

**PHILIPP
VANDŁNBERG**

**SKARB
PRIAMA**

**ŻYCIE HENRYKA SCHLIEMANNA
HISTORIA ODKRYCIA TROI**

NASZ STOSUNEK DO HOMERA JEST
CZĘŚCIĄ HISTORII KULTURY CZŁOWIEKA

ERNST CURTIUS

SPIS TREŚCI

WSTĘP	11
I MAJ 1945: BERLIN PŁONIE	13
Skarby sztuki w sztolni kopalni • Jedna wieść Hiobowa goni drugą • Skarb na becze prochu • Dramat w bunkrze w Friedrichshain • W jaki sposób znikł skarb Priama • Zwycięzcy i zwyciężeni • Los pewnego członka partii • Ciemności się rozjaśniają	
II POCZĄTEK WIELKIEJ KARIERY	37
Hanzeatyckie marzenia • Emigracja — ostatnia nadzieja Henryka • Rozbicie statku u wybrzeży Holandii • Buty i pończochy od tandeciarza • Skąpy i opanowany żądzą nauki • Przygody Telemacha — po rosyjsku	
III NIEBIESKIE RUBLE, ŻŁOTE DOLARY	54
Chybione oświadczyzny • Dwudziestopięcioletni Schliemann głową rodziny • Henryka ciągnie do Ameryki • Dwa tygodnie bezradny na Atlantyku • Przez Panamę do Kalifornii • Wśród poszukiwaczy złota i rycerzy szczęścia • San Francisco w płomieniach ■ Waliza ze złotem wartości 60000 dolarów • Powrót do Europy	
IV UCIECZKA PRZED SAMYM SOBĄ	76
Sceny małżeńskie • Cud w Kłajpedzie • Dlaczego Schliemann stał się workaholic ■ W wieku 34 lat Schliemann rozpoczyna nowe życie • W poszukiwaniu choćby odrobiny szczęścia • Gorączka podróży niezmordowanej duszy • Dosięga go przeszłość • W 20 miesięcy dookoła świata • W teatrze chińskim w Szanghaju • Samotnie na Murze Chińskim	
V ZAPÓŹNIONY STUDENT I MIŁOŚĆ	104
„Czuję się niezwykle szczęśliwy” • Rozpaczliwa propozycja: małżeństwo w stylu biblijnego Józefa • Pierwsza próba uzyskania obywatelstwa amerykańskiego • List miłosny z Kalkhorst ■ Żona Schliemanna kocha madame R.	
VI ŚLADAMI HEROSÓW	115
Gdzie Nauzykaa znalazła Odyseusza • Każdy pagórek i każde źródło przypominają Homera • Pierwsze prace wykopaliskowe Schliemanna • Grecja — niebezpieczna przygoda • Zagadka prehistoryczna: Troja • Schliemann rekonstruuje bitwę o Troję ■ Wybór pada na Hissarlik • Pomocnicy Schliemanna: Homer, Herodot i Plutarch	

- VII NOWY CZŁOWIEK, NOWE ŻYCIE _____ 134
 Pierwsze plany wykopaliskowe Troi • Dzięki pieniądzom i stosunkom do tytułu dra fil. • Jak Schliemann został nielegalnie Amerykaninem • Pozew o rozwód i pięciu adwokatów • „Czy Jego Eminencja nie znalazłby dla mnie żony?” ■ Rozwód za pomocą nielegalnych środków
- VIII MAŁŻEŃSTWO W TRÓJKE: HOMER, ZOFIA I HENRYK _____ 149
 Pierwsza randka okazała się katastrofą • Miłość — początkowo w listach ■ Drugi ożenek Schliemanna ■ Szczęście i cierpienie w Paryżu ■ Ucieczka przed wojną niemiecko-francuską • Schliemann bigamistą? • Samotnie w poszukiwaniu Troi ■ Henryk wyjeżdża do Paryża • „Czy nie masz męża, który cię ubóstwia?” ■ Berlin w nastroju zwycięstwa • Curtius uważa Schliemanna za fantastę • Bunarbaşi czy Hissarlik?
- IX SKARB TROJAŃSKI _____ 177
 Agamemnon i Hektor z łopatami i miotłami ■ Wymarzona zgoda na kopanie ■ Po ośmiu dniach pracy: garść kamieni ■ Dlaczego Henryk Schliemann kłamał? • Nieoczekiwanie w epoce kamiennej • Jasna chwila na głębokości siedmiu metrów • Lęk przed kompromitacją • 78545 metrów sześciennych Troi • Homer jako świadek • Bóg słońca Helios zadaje zagadkę ■ Homerowe mury • Schliemann znajduje się u kresu sił • Trzecie podejście • Skutki rabunku dzieła sztuki • „Pali się, pali się!” • Brama Skajjska • Gród trojański — róg obfitości ■ Prawda na temat największego odkrycia Schliemanna • Złote diademy • Czy skarb Priama jest prawdziwy? • Wątpliwa sława złota ■ Schliemann chce opuścić Ateny • Straszliwe podejście
- X W JAKI SPOŚÓB SKARB TRAFIŁ DO NIEMIEC _____ 232
 Ze Schliemannem było podobnie jak z Ryszardem Wagnerem • Uwielbiany w Anglii, pogardzany w Niemczech • Mądre posunięcie Virchowa • Dar dla narodu niemieckiego • Wciąż nowe wymagania • Schliemann u celu swych pragnień
- XI SCHLIEMANN W GABINECIE PSYCHOLOGA _____ 252
 Prawdziwe przyczyny charakteru Schliemanna • Nienawiść do ojca • Było dwóch Henryków Schliemannów • Cyniczny nekrolog • Wydumana miłość ■ Mężczyzna pełen seksualnych lęków • Własna religia Schliemanna ■ Próba wyjaśnienia mitomanii Schliemanna • Ojcowskie niepowodzenia • Dom zainscenizowany perfekcyjnie jak całe życie -Zofia — tresowany piesek • Stosunek Schliemanna do pieniędzy • Utracjusz i dobroczyńca
- XII MYKENY: ZŁOTA MASKA AGAMEMNONA _____ 286
 Śmiertelny wróg Stamatakis ■ Stosunki rodzinne w Mykenach ■ „Natknąłem się na największe trudności” • Walki o wykopaliska • Tajemnica kamiennych okręgów grobowych • Przybywa cesarz Brazylii ■ Grób zalany błotem • „Pięć! Musi być pięć grobów!” ■ Czaszka ze złotą maską • Telegram do króla • Trzy szkielety przykryte złotem • Schliemanna łąką wątpliwości • Cały świat mówi o Mykenach

XIII	TROJA I TIRYNS: POMYŁKI I ROZCZAROWANIA _____	319
	Schliemann przesadza: nowy skarb • Virchow i Schliemann — podobni, a jednak tak różni • Pierwsze spotkanie z Wilhelmem Dörpfeldem • Wątpliwości wokół pałacu Priama • „Omyliłem się” • Ostateczne zerwanie z Troją • Tiryns, dzieło cyklopów • Pałac, jak go opisywał Homer • Państwo króla Minosa • Śladami faraonów	
XIV	ŚMIERĆ W NEAPOLU _____	340
	Z Virchowem w Paryżu • „W wieku 67 lat nie jest się już młodzieńcem” • Spotkanie ekspertów na wzgórzu Hissarlik • Spór o Troję • Niezwykła przemiana Schliemanna • Zaplanowany koniec • Samotna śmierć małego człowieka • Świat żegna się z wielkim człowiekiem	
	SUPLEMENT: _____	359
	Testament Henryka Schliemanna • Henryk Schliemann i jego czasy ■ Rodzina Schliemannów <i>£>IMsVto(X/V)</i> ,	
	BIBLIOGRAFIA _____	370

WSTĘP

Pisać o nim, to znaczy wiele pominąć. Chyba po żadnej postaci XIX wieku nie zachowało się tyle dokumentów dotyczących jej życia co po Henryku Schliemannie. Niektórzy mówią o 80000 listów, 18 dziennikach, 10 książkach, w tym autobiografiach, oraz o niezliczonych artykułach w gazetach niemieckich, angielskich, amerykańskich, francuskich, włoskich i greckich. Nie ułatwiło to zatem poszukiwań przed napisaniem tej książki.

Zacząło się wszystko przed 18 laty, kiedy to po raz pierwszy napisałem książkę o Schliemannie. Miała ona tytuł *Auf den Spuren unserer Vergangenheit* (Ślady naszej przeszłości) i opowiadała o „największych przygodach archeologii. Napisana była zgodnie z tradycyjnym wyobrażeniem o Schliemannie. Siedem lat później miało miejsce moje drugie spotkanie literackie z tym wielkim człowiekiem. W tej drugiej książce pod tytułem *Das versuntene Hellas* (Zatopiona Hellada) Schliemann odgrywa znaczącą rolę, toteż odpowiednio staranne były moje poszukiwania.

Wówczas, w 1984 roku, uderzyło mnie, że Schliemann był całkiem inny, aniżeli usiłowały nam wmówić pokolenia autorów. Wszyscy oni kierowali się jego własnym opisem życia oraz materiałem, który pod koniec lat dwudziestych przekazała niemieckiemu pisarzowi Emilowi Ludwigowi wdowa po odkrywcy, Zofia Schliemann, jako niepodważalną podstawę publikacji.

Sam Schliemann kłamał jak z nut. Całe okresy jego życia są całkowicie zmyślane, jak na przykład jego młodsze uczucie do Minny Meincke. Tylko z trudem udało się powstrzymać tę tak „uhonorowaną” damę od wytoczenia Schliemannowi procesu. A Emil Ludwig przelał na papier tylko to, na co zezwoliła wdowa po odkrywcy. Na przykład mit o tym, że to ona przesznuowała z Troi „skarby Priama”. Kobieta zapomniała jednak spalić listy, które dowodzą, że w owym czasie wcale nie przebywała w Troi.

Dziewięćdziesiąt pięć procent listów, które Schliemann napisał, skopiował lub kazał skopiować, powstały z myślą o ich późniejszym opublikowaniu. Ukazują one upiękuszony wizerunek

Henryka, takiego Schliemanna, jakim pragnął być. Tylko jeden procent owych listów ma istotnie prywatny charakter i tylko one ukazują prawdziwego, nieznanego Schliemanna. Wyselekcjonowanie owych listów było zatem wielce trudnym zadaniem.

Jeśli chodzi o styl literacki Schliemanna, to odpowiadał on nieporadności autora i zdradzał jego dobre chęci oraz dziewiętnastowieczną napuszość. Dlatego też, aby uczynić go czytelnym, wygładziłem wiele cytatów, usunąłem błędy gramatyczne i skróciłem wiele nie kończących się ustępów. Dotyczy to również dzienników z podróży, pisanych w języku anglo-amerykańskim, listów w języku francuskim oraz greckich i łacińskich tekstów antycznych autorów, które częściowo na nowo przetłumaczyłem. Pozostawiłem natomiast wspaniałą staroświecki przekład *Iliady* Johanna Heinricha Vossa*.

Wydarzenia i dialogi zawarte w tej książce nie są w żadnym razie wymyślone. Są one częściowo wzięte dosłownie z listów Schliemanna albo z doniesień dziennikarskich na temat pewnych zdarzeń i mogły mieć taki właśnie albo podobny przebieg. Opuszczone cytaty wykazują w spisie źródeł na końcu książki.

Skarb Priama, który w rzeczywistości wcale nie istniał, jest życiowym symbolem Henryka Schliemanna, mężczyzny wzrostu zaledwie 157 centymetrów, który owładnięty ideą przenosił góry. Był człowiekiem niezwykle pracowitym i niezmordowanym; prowadził życie na miarę dziesięciu ludzi. Jednak przez całe swoje życie był samotnikiem i dziwakiem. Moje uczucia dla tego człowieka wahają się między najwyższym podziwem a głęboką pogardą. Ale są to właśnie sprzeczności, z których rodzą się książki.

Philipp Vandenberg

W polskim wydaniu cytaty z *Iliady* w przekładzie Fr. Ks. Dmochowskiego (przyp. red.).

MAJ 1945: BERLIN PŁONIE

„Wy, Niemcy, rzeczywiście źle strześliście waszych skarbów sztuki, tych wspaniałych skarbów kultury światowej, i ponosicie winę za to, że zostały one narażone na niebezpieczeństwo. Nadejdzie jednak dzień, w którym wszystkie te dzieła sztuki sprowadzimy tam, gdzie jest ich miejsce; albowiem naród radziecki nie traktuje skarbów sztuki jako łupów wojennych”.

Pułkownik S. J. Tiulpanow,
szef Wydziału Propagandy
Radzieckiej Administracji Wojskowej w Niemczech

Mogło być tak jak ongiś w Troi. Była wiosna, ale nikt tego nie zauważył. Nie było już ptaków ani kwiatów. W rezultacie straszliwego nalotu w dniu 3 lutego 1945 śródmieście Berlina upodobniło się do płonącej pustyni. W Tiergarten ziały pustką głębokie krater. Owe niegdyś tak starannie utrzymane planty bomby zmieniły w księżycowy krajobraz. Opalone i pozbawione liści drzewa ze zwęglonymi koronami sterczały niczym czarne ramiona szukające pomocy w niebiosach.

Wysoki bunkier ZOO stawiał czoło wszelkim atakom — niezgrabna, siedmiopiętrowa budowla o betonowych, grubych na 5 metrów, murach z czterema wieżami dla dział przeciwlotniczych na płaskim betonowym dachu. Największe berlińskie muzeum i szpital wojskowy. Nikt nie mógł powiedzieć, ilu ludzi przebywało na mrocznych i dusznych piętrach. W obliczu niebezpieczeństwa bunkier ten mógł pomieścić 15 tysięcy osób. Cuchnęło w nim okropnie. Wyziewy potu, krwi i strach mieszały się z przejmującym zapachem jarzyn, głównie brukwi, gotowanej w zatłoczonej kuchni w podziemiu.

Tylko nieliczni wiedzieli, co kryje się za drzwiami numer 10 i 11 na pierwszym piętrze. Chudy mężczyzna wychodzący niekiedy w półmroku z tych drzwi nie odznaczał się niczym szczególnym. Był wysoki, tak że jego chudość nie rzucała się bardzo w oczy; w owym wojennym okresie wszyscy byli niedożywieni. Mężczyzną tym był profesor doktor Wilhelm Unverzagt; nosił nikielowe okulary, ciemny garnitur i kiedy opuszczał pomieszczenie, bardzo uważał, aby zamykać za sobą starannie drzwi.

Już od dwóch miesięcy profesor żył w tym bezpiecznym od bomb schronie w ZOO. Zjawił się tu 13 lutego z dwiema walizkami, które stanowiły całe jego mienie po pięciokrotnym bombardowaniu. Tak mówiono wówczas, kiedy domy czy mieszkania zamieniały się w płonące ruiny. Pozostały mu jedynie dwie walizki i ciemny garnitur, który miał na sobie — zwyczajny los wielu ludzi w owych dniach.

Niezwyčajne były tylko okoliczności, które przywiodły profesora do tego schronu; Unverzagt nie był bowiem ani ranny, ani nie należał do wieloosobowego personelu medycznego czy też zespołu wartowników, którzy mieli przejąć obronę bastionu na obrzeżu Tiergarten. Profesor pełnił funkcję dyrektora Państwowego Muzeum Historii Starożytnej przy Prinz-Albrecht-Strasse i był odpowiedzialny za skarb Priama, jeden z największych skarbów świata.

Odkrywca owego skarbu, Henryk Schliemann, przekazał go w testamencie narodowi niemieckiemu i brał osobiście udział w organizowaniu jego ekspozycji w muzeum berlińskim. Skarb przetrwał bez uszczerbku pierwszą wojnę światową; uchodził za cud świata i sensację archeologiczną, podobnie jak odkryta dopiero przed dwudziestu laty złota maska Tutenchamona.

Teraz skarb Priama spoczywał w trzech drewnianych skrzynkach o wymiarach 60x85x50 centymetrów z napisem MV]R stojących w pomieszczeniu nr 10 bunkra w ZOO. Unverzagt zapakował te złote skarby do skrzyń już 26 sierpnia 1939 roku, na kilka dni przed wybuchem wojny, kiedy ogłoszono hitlerowski plan inwazji na Polskę. Skrzynie umieszczono początkowo w podziemnym skarbcu muzeum, ale w 1941 roku, kiedy sytuacja stawała się niebezpieczna, profesor przeniósł je do Pruskiego Banku Państwowego. Pod koniec roku skrzynie wraz z innymi zbiorami trafiły do schronu w ZOO.

Unverzagt, od roku 1926 dyrektor Muzeum Historii Sztuki Starożytnej, a od 1938 członek NSDAP działając początkowo na własną rękę, opracował plan zabezpieczenia w razie nagłej potrzeby 150 tysięcy skatalogowanych obiektów swego muzeum. Plan okazał się bynajmniej nie przedwczesny. Muzeum przy Prinz-Albrecht-Strasse, w którym znajdowała się również kwatery gestapo, zostało doszczętnie zburzone.

SKARBY SZTUKI W SZTOLNI KOPALNI

Teraz profesor Unverzagt pozostał z trzema skrzyniami złota, pięcioma skrzyniami z cennymi brązami, bronią, szkłem i perłami (dalsze 25 wysłał już do kopalni soli w Graslleben); z pół tuzinem skrzyń z prehistorycznymi szkieletami i 25 skrzyniami o różnej zawartości, które zostały tu pospiesznie przywiezione w przerwach między nalotami.

Łącznie stanowiły one jedynie drobną część muzeum, ale tę najcenniejszą. Większą część obiektów muzealnych, kilkaset skrzyń z napisem MVE Unverzagt odesłał do różnych kryjówek: do piwnic zamku berlińskiego, do majątku junkierskiego Peruschen na Śląsku, do szybu „Moltke” kopalni soli potasowej w Schdnebeck nad Łabą, do zamku Lebos nad Odrą, stanowiącą filię muzeum i do sztolni kopalni soli w Graslleben.

W trzy tygodnie po całkowitym zniszczeniu śródmieścia Drezną wskutek bombardowania, podczas którego zginęło 60 tysięcy ludzi, dnia 6 marca 1945 Hitler polecił sekretarzowi stanu w Kancelarii Rzeszy, Hansowi Heinrichowi Lammersowi, usunąć z Berlina wszystkie cenne skarby sztuki. Lammers jeszcze tego samego dnia przekazał rozkaz wodza pod numerem Rk. 1126 dalej z uwagą: „Niniejsze stanowcze polecenie wodza zobowiązuje wszystkie placówki służbowe do szybkiego zakończenia akcji za pomocą wszelkich dostępnych środków”. Rozkaz Hitlera dotarł do Unverzagta w tym samym dniu, kiedy oddziały amerykańskie przekroczyły Ren pod Remagen, kierując się na wschód, i wywołał gorączkowy nastrój wśród osób odpowiedzialnych za skarby muzeum. Schron w ZOO — w istocie szpital wojskowy — zapchany był po najwyższe piętra dziełami sztuki i zbiorami Muzeum Miasta Berlina. Na trzecim piętrze leżały wielotonowe płaskorzeźby Ołtarza Pergamońskiego, znajdowało się tam także popiersie Nefretete. Teraz brakowało robotników do transportu.

Wojna totalna, ogłoszona przez Goebbelsa 24 sierpnia 1944, zobowiązywała wszystkich mężczyzn między 16 a 60 rokiem życia, którzy nie byli zdolni do walki o ojczyznę, do służby w „yolksturmie”. Kobiety do 50 roku życia zostały powołane do pracy w przemyśle zbrojeniowym, a zwolnieni dzięki temu mężczyźni mogli pójść na front. Nie było więc żadnej wolnej siły roboczej, a ponadto transport drogowy i kolejowy stał się szalenie niebezpieczny. Kolumny samochodów i pociągi stanowiły bowiem dobry cel dla alianckich bombowców.

Ale przez Berlin przepływają rzeki i kanały. Większość pomieszczeń muzealnych znajdowała się zaledwie o kilkaset metrów od przystani, tak że do wyselekcjonowanych skarbów można było dotrzeć drogą wodną. Profesor Unverzagt wyczarterował stary frachtowiec o dobrze brzmiącej nazwie „Deus Tecum” (Bóg z tobą) i wysłał go do Schönebeck nad Łabą; statek osiągnął cel 7 marca mimo powodzi, która zatrzymała go przez parę dni w Niegripp.

Ponieważ wyładowanie statku i jego powrót zajęłyby co najmniej dwa tygodnie (od przystani do kopalni było około dwóch kilometrów), Unverzagt stanął wobec konieczności zarekwirowania drugiego statku, co wydawało się w ówczesnych warunkach praktycznie niemożliwe. W Berlinie panował chaos, miasto płonęło, alianci niemal codziennie przeprowadzali nowe naloty. Ostatnia kolej miejska kursowała na trasie Westkreuz-ZOO. Zabroniono przejazdów prywatnych, jak również zwątpienia w ostateczne zwycięstwo (choć spojrzenie ze schronu każdego w tym umacniało), teatry zamknięto, z kin tylko niektóre były czynne, nie ukazywały się żadne czasopisma, dzienniki zaś *wychodziły* nieregularnie, i to tylko jako wydania nadzwyczajne. Jedynie radio Wielkich Niemiec nadawało nieprzerwanie i głosiło przejmująco boleśnie hasła przetrwania. Ludzie posiadali wprawdzie kartki żywnościowe, które miały im zapewnić kilka gramów chleba i mięsa lub kielbasy dziennie, ale sklepy były pozamykane. Na ulicach rozgrywały się wstrząsające sceny; zgłodniaли mieszkańcy rozszarpywali na miejscu zdychające konie i zabierali mięso wraz z kośćmi do domów. Kogóż w takiej sytuacji mogła interesować ewakuacja skarbów sztuki?

Bernard Rust, minister nauki, wychowania i oświaty, zaopatrzył Unverzagta w pełnomocnictwo następującej treści:

„Dyrektor Państwowego Muzeum Historii Starożytnej, Profesor Doktor Wilhelm Unverzagt, zamieszkały w Berlinie SW 11 przy Prinz-Albrecht-Strasse 7 prowadzi z polecenia ministra Rzeszy Rusta akcję ratowania i ewakuacji cennych zbiorów kultury, państwowych galerii obrazów, bibliotek, muzeów i innych bezcennych dzieł sztuki o narodowym znaczeniu. Zadanie to można wykonać w obecnych warunkach jedynie z pomocą placówek partyjnych, państwowych i wojskowych. Prosimy przeto o udzielenie Panu Dyrektorowi Profesorowi Doktorowi Unverzagtowi poparcia w realizacji tego trudnego zadania w interesie Rzeszy oraz pomocy w postaci udostępnienia środków transportu, siły roboczej i materiałów budowlanych.

Berlin, 8 marca 1945”.

Dzięki temu pełnomocnictwu udało się profesorowi znaleźć drugi frachtowiec i równie ważne dla transportu paliwo. Frachtowiec „Cosel 1583” należał do armatora żeglugi śródlądowej Emila Oberfelda i był w niezbyt dobrym stanie; nadawał się jednak w każdym razie do takiego zadania, gdyż nawet lepszy statek nie wytrzymałby nieprzyjacielskiego ostrzału.

Statek ten musiał pomieścić jeszcze zbiory innych muzeów i osób prywatnych. Dnia 14 marca „Cosel 1583” odpłynął; pozostał profesor Unverzagt wraz z trzema skrzynkami zawierającymi skarb.

Wbrew oczekiwaniom podróż przebiegła bez komplikacji, statek dotarł do Schönebeck 27 marca; tam jednak brakowało ludzi do przeładowania zbiorów na wagony kolejowe i możliwości dalszego transportu do kopalni. Robotnicy, którzy byli do dyspozycji, musieli ładować węgiel, ponadto na wyładunek potrzebne było zezwolenie od samego ministerstwa transportu w Berlinie.

Oddziały amerykańskie przekroczyły Ren. Rozpaczliwy plan obrońców wysadzenia w powietrze mostu pod Remagen okazał się bezsensowny. Statek „Cosel 1583”, słabo strzeżony, czekał 12 dni w Schönebeck; ale nic się nie działo; tymczasem mnożyły się przerażające meldunki. Na froncie południowym Rosjanie uderzyli w kierunku Wiednia. Hitler, który od stycznia przebywał w swoim schronie w ogrodzie Kancelarii Rzeszy i widział nadsięgający koniec, wydał tak zwany Rozkaz Neron: Wszystkie urządzenia przemysłowe, komunikacyjne oraz cały niemiecki sprzęt łącznościowy, który mógłby wpaść w ręce aliantów, należy wysadzić w powietrze. Minister Rzeszy Albert Speer udaremnił wykonanie szalonego rozkazu, przesyłając Hitlerowi pismo, w którym twierdził, że „nie mamy prawa w dzisiejszym stanie rzeczy dokonywać zniszczeń, które mogłyby godzić w życie narodu”.

Odpowiedź Hitlera przesycona była cynizmem: „Jeżeli przegramy wojnę, to zgubiony będzie również naród. Nie jest konieczne przywiązywanie wagi do podstaw niezbędnych narodowi niemieckiemu do dalszego, najbardziej prymitywnego bytowania. Przeciwnie, lepiej jest samemu to zniszczyć, gdyż naród niemiecki okazał się słabszy i przyszłość należy wyłącznie do silniejszego wschodniego narodu. Ci, którzy przeżyją tę wojnę, będą to ludzie mało wartościowi, gdyż najlepsi polegli”.

Dla niewydarzonego artysty Adolfa Hitlera sztuka miała oczywiście większe znaczenie aniżeli dobro jego udręczonego narodu. Na zjeździe partii w Norymberdze w 1935 roku powiedział bowiem:

„Żaden naród nie żyje dłużej aniżeli świadectwa jego kultury. Ale skoro kulturze i jej dziełom właściwe jest tak potężne oddziaływanie, to zajęcie się nią jest tym konieczniejsze, im bardziej dokuczliwe, zagmatwane i okrutne stają się ogólne warunki”.

Z tego też powodu Hitler z dużym zainteresowaniem śledził akcję ewakuacji dzieł sztuki i ministrowi komunikacji nie pozostało nic innego jak wstrzymać załadunek węgla w Schönebeck i tę garstkę pozostających jeszcze do dyspozycji robotników skierować do odtransportowania cennych obiektów muzealnych.

JEDNA WIEŚĆ HIOBOWA GONI DRUGĄ

Rozładunek statku „Cosel 1583” rozpoczął się ostatecznie 9 kwietnia. Żywiono nadzieję, że za cztery dni skarby muzealne zostaną umieszczone w sztolni kopalni „Hrabia Moltke” i zabezpieczone przed wrogiem. Jednakże w drugim dniu, kiedy wyładowano prawie dwie trzecie transportu, miastem wstrząsnęły potężne eksplozje; to czoigi amerykańskie doszły do bram. Następnego dnia zajęły Schönebeck wraz z kopalnią. I tak chcąc nie chcąc Amerykanie weszli w posiadanie cennych skarbów sztuki.

Wydaje się, że profesor Unverzagt posiadał szósty zmysł, ponieważ nie wydał trzech drewnianych skrzynek zawierających skarb Priama. Schron w ZOO ze swymi grubymi na metr, betonowymi murami był prawie nie do zdobycia, nawet nieprzyjacielskie bomby niewiele mogły mu zaszkodzić. Funkcjonowały jeszcze agregaty wytwarzające prąd, jeszcze były zapasy — ale na jak długo? A przede wszystkim, co się stanie ze skarbem? Unverzagt nie mógł czekać, aż Amerykanie czy Rosjanie zjawią się przed ciężką żelazną bramą.

Wiadomości rozpowszechniane przez radio Wielkich Niemiec były czystą propagandą. Z megafonów rozbrzmiewały raczej hasła wzywające do przetrwania aniżeli konkretne informacje. Ale ani jeden dzień nie minął bez Hiobowej wieści: Zagłębie Ruhry stracone, padł Królewiec oraz Wiedeń. W dniu zajęcia przez Rosjan Wiednia — 13 kwietnia — wszystkie radiostacje nadały wiadomość:

„Zmarł amerykański prezydent Franklin D. Roosevelt”.

Tylko ludzie, którzy mieli klapki na oczach, tacy jak Joseph Goebbels — ten polecił wznieść toast szampanem — wierzyli jeszcze w cud. Goebbels do Hitlera: „Mój wodzu, gratuluję panu.

Roosevelt nie żyje, zapisane jest w gwiazdach, że druga połowa kwietnia przyniesie nam zmianę".

Goebbels bardzo lubił horoskopy, ale jego nadzieje, że zmiana prezydenta w Waszyngtonie wstrzyma być może działania aliantów na froncie, nie sprawdziły się. Wręcz przeciwnie.

Profesor Unverzagt siedział w schronie na swoich skrzynkach. Od prawie dwudziestu lat był dyrektorem muzeum i do tej chwili czuł się strażnikiem skarbu, jednego z najcenniejszych w historii ludzkości. Był czwartkowy wieczór, 19 kwietnia. Huk armat słychać było w korytarzach schronu. Z megafonu brzmiał głos ministra propagandy Rzeszy Józefa Goebbelsa; przemawiał on w dniu urodzin Führera i każdy Niemiec miał obowiązek go wysłuchać. W porównaniu z przemówieniami sprzed jedenastu lat, głos Goebbelsa był raczej stonowany, niemal płaczący, ale brzmiał równie patetycznie jak dawniej: „W chwili wydarzeń wojennych, w której być może po raz ostatni wszystkie siły nienawiści i zniszczenia z zachodu, wschodu, południowego wschodu i południa uderzyły na nasze fronty, aby je przerwać i zadać Rzeszy śmiertelny cios, występuję, jak zawsze od 1933 roku, w przeddzień 20 kwietnia, wobec narodu, aby mówić mu o Führerze. W przeszłości były to szczęśliwe godziny, w których miały miejsce moje wystąpienia; ale jeszcze nigdy sprawy nie stały tak na ostrzu noża jak dziś, kiedy to naród niemiecki, narażając się na ogromne niebezpieczeństwo, musi bronić swego życia, aby w ostatecznym ogromnym zmaganiu zapewnić ochronę zagrożonej strukturze Rzeszy".

Unverzagt oparł głowę na rękach i patrzył przed siebie. Sam był członkiem NSDAR jednym z 8,5 miliona, znał sposób przemawiania nazistów i natychmiast zrozumiał, że ostatnie wielkie przemówienie Goebbelsa było łabędzim śpiewem. Podczas gdy z głośnika płynęły znane od dawna frazesy o „światowym sprzyśnięciu" i o „wynaturzonej koalicji wrogich mężów stanu", profesora zaprzętała tylko jedna myśl: jak mógłby uratować skarb Priama?

Wilhelm Unverzagt prowadził w tym czasie coś w rodzaju dziennika, w którym notował hasłowo wydarzenia zachodzące w schronie. Jego żona Mechthilde, którą poznał po zakończeniu wojny w 1946 roku i która mieszka obecnie w Berlinie, wspomina: „Te notatki są tak samo zwięzłe jak nie retuszowane świadectwa tego, co Unverzagt każdego dnia przeżywał. Ponieważ przedstawiają one najważniejsze wydarzenia wojenne, coraz cięższe i liczniejsze naloty na Berlin oraz szczegóły walk o Berlin aż do

kapitulacji, mimo swego hasłowego charakteru, zwłaszcza w części dotyczącej końca wojny, są pełne przygniatającego realizmu".

Dnia 20 kwietnia, kiedy Hitler, wbrew dorocznemu zwyczajowi, zabronił składania mu gratulacji z okazji urodzin, Unverzagt zanotował: „Alarm lotniczy i artyleryjski, bomby na Berlin, Rosjanie w Bernau i Straussbergu”.

Mimo że Unverzagt opuszczał schron tylko na godzinę, a Bernau i Straussberg oddalone były od Tiergarten jak Królewiec od Berlina w czasach pokoju, nie były dla niego tajemnicą ruchy wojsk nieprzyjacielskich. Schron w ZOO był bowiem wielofunkcyjną budowlą: schronem przeciwlotniczym dla ludności, wieżą dla 6 dział przeciwlotniczych kalibru 12,8 cm i 12 dział kalibru 2 cm. Ponadto mieściło się tu dowództwo obrony przeciwlotniczej. Temu samemu celowi służyły wieże dla dział w Friedrichshain i w Humboldthain — wszystkie trzy łączyła własna sieć podziemna. W bunkrze w ZOO umieszczono ponadto wojskową centralę telefoniczną o dalekim zasięgu, stanowiącą w owych dniach najlepsze źródło informacji.

Wprawdzie radio Wielkich Niemiec ciągle jeszcze nadawało program, ale jego emisje były sporadyczne, i to o różnym zasięgu, gdyż ostrzały armatnie stale uszkadzały urządzenia antenowe. Można było jeszcze słuchać na średnich i długich falach radiostacji o mocy 100 watów, należącej do naczelnego dowództwa Wehrmachtu na Bendlerstrasse; wiadomości przekazywano też za pośrednictwem stacji nadawczej i urządzeń nasłuchowych znajdujących się w piwnicy ministerstwa Goebbelsa. Ale wszystko, co stamtąd nadawano, było cenzurowane.

Profesor ze złotym skarbem wiedział jednak dokładnie, co naprawdę działo się na zewnątrz bunkra.

Zapis 22 kwietnia 1945: „Granaty w centrum Berlina”.

Zapis 23 kwietnia 1945: „Ataki na Berlin Charlottenburg”.

Zapis 24 kwietnia 1945: „Ataki granatów i nalot bombowy na Charlottenburg”.

W bunkrze w ZOO generał-major Sydow zorganizował centrum dowodzenia 1 dywizji obrony przeciwlotniczej. Było jeszcze dość amunicji dla dział na dachu, ale zarówno stanowisko dowodzenia, jak i skład amunicji dla dział na dachu stwarzały w tej sytuacji raczej niebezpieczeństwo, niż bezpieczeństwo. Jeden pancerfaust, gdyby trafił w otwór okienny albo drzwi, spowodowałby katastrofalne skutki. Obawiano się o bunkier. Wszyscy, którzy się tu znajdowali, ranni, dezertrzy i obrońcy, zdawali sobie sprawę,

że tkwią w pułapce, z której nie ma możliwości ucieczki, a odgłosy armat były coraz bliższe.

Zapis 26 kwietnia 1945: „Nastrój nerwowy; pogłoski”.

Zapis 27 kwietnia 1945: „Ranni w pomieszczeniu ze zbiorami; pogłoski o odsieczce; bomby na dworcu ZOO”.

Ile czasu jeszcze upłynie, zanim pierwsze czołgi rosyjskie zjawią się przed schronem w ZOO? Dni? Godziny? Jak postąpią Rosjanie z ludźmi, którzy się tu znajdują? Bunkier był wprawdzie ogromnym lazaretem i muzeum, ale był też silnie obsadzonym bastionem obrońców.

W wiadomościach wojskowych przekazywanych przez radio, ale wobec niemal całkowitego braku prądu ogłaszanych przez megafony samochodów krążących po zbombardowanych ulicach, podano: „Dnia 28 kwietnia 1945:.. W heroicznym boju o miasto Berlin jeszcze raz zmanifestowano całemu światu, że walka przeciw bolszewizmowi jest przeznaczeniem narodu niemieckiego..

Wróg wdarł się w wewnętrzny krąg obrony z północy do Charlottenburga, a z południa przez Tempelhof. Przy Hallescher Tor, na Dworcu Śląskim i na Alexanderplatz rozpoczął się bój o centrum miasta. Oś wschód-zachód znajduje się pod ciężkim ostrzałem. .. W rejonie na południe od Königswusterhausen dywizje 9 armii przeprowadziły atak w kierunku północno-wschodnim i przez cały dzień odpierały skierowane na flanki ataki sowieckie. Użyte w walce dywizje z zachodu w zażartej walce przegoniły wroga na całą linię frontu i dotarły do Ferch...

W rejonie Prenzlau Sowietci rzucili do walki nowe jednostki pancerne oraz piechotę i przy silnym wsparciu lotnictwa wdarli się głęboko w linię frontu”.

Rzeczywistość wyglądała jednak o wiele gorzej. Dzielnica rządowa z Kancelarią Rzeszy, oddalona od schronu w ZOO o niepełne dwa kilometry, leżała w gruzach. Siepacze i paladyni uciekli lub wycofali się do swoich schronów. Józef Goebbels, ostatni wierny sługa Hitlera, trwał do końca w schronie Fiihrera wraz z żoną i sześciorgiem dzieci. Ministerstwo Propagandy Rzeszy po drugiej stronie Wilhelmstrasse, gdzie ostatnio mieszkali Goebbelsowie, połączone było wieloma podziemnymi przejściami z dawną Kancelarią Rzeszy i schronem Fiihrera. Hitler i Goebbels nie zgodzili się, aby opuścić Berlin, mimo iż było to nadal możliwe. Jeszcze 22 kwietnia w nocy z lotniska Gatow odleciało kilka samolotów w kierunku Berchtesgaden, gdzie na górze Obersaltz czekał na przejęcie władzy Hermann Göring. W nocy 28 kwietnia z osi wschód-zachód odleciała

swym samolotem po raz ostatni oblatywaczka Hanna Reitsch. W jej bagażu znajdowało się dużo listów pożegnalnych, wśród nich list Magdy Goebbels do jej dorosłego syna z pierwszego małżeństwa, Haraldą; list zaczynał się słowami: „Mój ukochany Synu! Już sześć dni przebywamy tu w schronie Fihrera, ojciec, szóstka Twego rodzeństwa i ja, aby w jedyny możliwy i honorowy sposób zakończyć nasze narodowosocjalistyczne życie”.

SKARB NA BECZCE PROCHU

Unverzagt nie miał takich myśli; chciał przeżyć i pragnął, aby „jego” skarb Priama przetrwał całą tę przekłętą wojnę. Wiedział przy tym dokładnie, że nic nie może zrobić, absolutnie nic. Wokół bunkra przy dworcu ZOO tkwili na swych pozycjach żołnierze, ale wiedzieli, że obrona tego bastionu będzie jedynie bezsensownym przedłużeniem wojny. Resztki żołnierzy w okopach ZOO nie były w stanie przeciwstawić się rosyjskim czołgom.

Zapiski z kalendarza Unverzagta były nadal związane i bez śladu emocji.

Sobota, 28 kwietnia 1945: „Ostrzał wieży i okolicy”.

Niedziela, 29 kwietnia 1945: „Ostrzał wieży; duże napięcie”.

Poniedziałek, 30 kwietnia 1945: „Silny ostrzał wieży”.

W rzeczywistości za tymi suchymi słowami kryła się zażegnana w ostatniej chwili katastrofa; mieszkańcy bunkra — dokładnej ich liczby wówczas nie znano, ale mogła ona wynosić kilka tysięcy — siedzieli na beczce prochu, gdyż bunkier był zapchany amunicją do dział przeciwlotniczych znajdujących się na płaskim dachu.

Bunkier w ZOO, podobnie jak inne bastiony w Friedrichshain i Humboldthain, został zbudowany już w czasie wojny jako ochrona przed nieprzyjacielskimi bombami, ale nikomu się nie śniło, że mogłyby się przed nim zjawić radzieckie wojska. Bramy i okiennice ze stalowej blachy nie wytrzymały granatów pancernych. W murach nie było otworów strzelniczych, służących do obrony z bliskiej odległości, a działa na płaskim dachu mogły wprawdzie osiągnąć samolotów nieprzyjacielskich, ale nie przedpoła Tiergarten.

W dniu 30 kwietnia czołgi radzieckie doszły do bunkra na odległość wzroku. Rosjanie wiedzieli, że nie daliby rady temu potężnemu betonowemu kłocowi, używając dział pancernych; dlatego

Skarb na beczce prochu

też skierowali celowniki na prostokątne otwory okienne. Około południa pociski dział przebiły blachę okiennic na drugim i trzecim piętrze, co spowodowało eksplozję nagromadzonej tam amunicji; było wielu zabitych i rannych.

We wtorek, 1 maja 1945, Rzesza Wielkoniemiecka miała jeszcze powierzchnię 1,8 kilometra kwadratowego: 1,6 kilometrów od Weidendammbrücke do Prinz-Albrecht-Strasse, 1,1 kilometra od Brandenburger Tor do zamku berlińskiego. Berlin palił się jasnym płomieniem; świst pocisków, eksplodujące granaty, wyjące syreny, gęsty dym i kurz; wszystko to powodowało, że zapomniano o ciepłej wiosnie. Ósma radziecka armia gwardyjska stała w południowej części Tiergarten. Od trzech dni wieża bunkra w ZOO, na którym stały działa, była celem nieustannego huraganowego ognia, ale betonowy bastion to wytrzymał. Stale rosła liczba rannych, których sanitariusze z narażeniem życia ściągali do środka; byli oni bez rąk i nóg; wojna nie omijała kobiet ani dzieci; ich krzyki rozlegały się na klatce schodowej i w przejściach; każdy metr kwadratowy był zajęty.

Profesorowi, który od lutego przebywał wraz ze swym złotym skarbem w wieży, nie pozostawało zatem nic innego, jak otworzyć ciężkie okratowane drzwi na pierwszym piętrze, za którymi znajdowały się skrzynki z napisem MVF. Pomieszczenie numer 11 miało powierzchnię 11 metrów kwadratowych, a to oznaczało miejsce dla 10 rannych. Unverzagt nie spuszczał jednak oka z personelu sanitarnego, gdyż wszyscy lekarze i pielęgniarze wiedzieli oczywiście, co znajdowało się w skrzynkach, a plądrowanie w tych ostatnich dniach wojny nie było niczym niezwykłym.

„Już są! Rosjanie już tu są!” Wiadomość ta rozeszła się szybko jak ogień. Nikt nie wiedział, jak właściwie Rosjanie dostali się do bunkra. Ale oto teraz stali naprzeciw siebie zdenerwowani sowieccy żołnierze z wycelowanymi kałasznikowami i lekarze, sanitariusze, ranni oraz przerażeni cywile. Około wieczora kierownik grupy sanitariuszy, oficer doktor Werner Starfinger, wydał rozkaz: „Niemiecka obsada bunkra poddaje go bez walki!”

Można by spekulować, czy w owej chwili Starfinger wiedział już, że Hitler się zastrzelił poprzedniego dnia o godzinie 15.00. Istniejące w bunkrze urzędnictwo informacyjne raczej to potwierdzają. Faktem jest, że przekazanie bunkra bez walki zapobiegło dalszym bezsensownym ofiarom, a prawdopodobnie nawet zniszczeniu skarbu Priama.

Rosyjscy zdobywcy jeszcze tej samej nocy wyprowadzili strażników i obsadę wieży przeciwlotniczej. Pozostali na miejscu ranni, lekarze, personel pielęgniarski oraz profesor Unverzagt. Już ranniem następnego dnia poruszyło go pewne spotkanie. Do pomieszczenia 11 wtargnęli nagle trzech radzieccy żołnierze z wycelowanymi karabinami; jeden z nich zawołał łamaną niemieczyzną: „Gdzie jest złoto?”

Profesorowi zaparło dech w piersiach. Skąd Rosjanie dowiedzieli się o złotym skarbie? Bunkier w *ZOO* z tysiącem eksponatów był oczywiście szczególnie muzeum. Ale kto im zdradził, że on, Unverzagt, ma pod swą opieką złoty skarb Priama?

Profesor nie dał się jednak zastraszyć. Zażądał rozmowy z rosyjskim komendantem i wyjaśnił mu, że w tych trzech skrzynkach znajdują się przedmioty o ogromnej wartości materialnej i historycznej. Skarb ten przekazuje on niniejszym pod sowiecką opiekę. „Unverzagt nie zawahał się — mówi żona profesora — przekazać znajdujące się w bunkrze skarby muzealne w ręce sowieckiego dowództwa wojskowego. Miał nadzieję, że tylko w ten sposób zostaną one nie uszkodzone i będą mogły w drodze rokowań wrócić później w posiadanie Niemców”.

Cóż mógł zresztą zrobić innego? W przeciwieństwie do swych późniejszych krytyków Unverzagt miał doświadczenie w sprawach pertraktacji dotyczących zwrotu obiektów sztuki, jakie toczyły się pomiędzy dawnymi przeciwnikami wojennymi. Po pierwszej wojnie światowej należał on przez 6 lat do tak zwanej Komisji Rzeszy do Spraw Zwrotu Skarbów Narodowych i przypuszczał, że przekazanie skarbu Sowietom zapobiegnie przynajmniej dostaniu się tego cennego obiektu kultury w ręce rabusiów i wandalii. Aby temu przeszkodzić, Rosjanie jeszcze tego samego dnia wystawili warty strzegące skarbu Priama i całego muzeum.

Tymczasem w pobliżu bunkra druga wojna światowa dobiegała żalostnego końca. Po Hitlerze popełnił samobójstwo Goebbels, pozbawiając przedtem życia swoją rodzinę. Komendant Berlina generał Weidling polecił 2 maja o godzinie 0.40 nadać następujący radiotelegram: „Tu 56 niemiecki korpus pancerny! Tu 56 niemiecki korpus pancerny! Prosimy o wstrzymanie ognia! O godzinie 12.50 czasu berlińskiego wysyłamy na Potsdamer Brücke parlamentariuszy. Znak rozpoznawczy biała flaga przed czerwonym światłem. Prosimy o odpowiedź. Czekamy!”

Nadawca pięciokrotnie wysyłał tę wiadomość w eter. Długie, pełne napięcia oczekiwanie. Później zgłosiła się, skrzecząc, radio-

stacja 79 dywizji strzelców gwardyjskich Armii Czerwonej: „Zrozumielśmy! Zrozumielśmy! Przekazujemy waszą prośbę szefowi sztabu!”

W uzgodnionym terminie generał Helmut Weidling spotkał się z generałem pułkownikiem sowieckim Wasylim Iwanowiczem Czujkowem. Rokowania trwały do rana 3 maja. Weidling zgodził się na bezwarunkową kapitulację. Ulicami Berlina, którymi można się było jeszcze poruszać, jeździły samochody rosyjskie, nadające przez megafony rozkaz Weidlinga wzywający do zaprzestania wszelkich działań wojennych.

Mimo to wielki admirał Dónitz, desygnowany przez Hitlera jako jego następca, przesłał z dalekiego Felsenburga-Miirwika następujący rozkaz dzienny: „Żołnierze niemieckiego Wehrmachtu! Koledzy! Führer poległ. Wierny swej idei uchronienia narodów europejskich przed bolszewizmem, oddał swe życie i poległ śmiercią bohatera. W jego osobie odszedł jeden z największych bohaterów w niemieckiej historii. Wierni mu, z głębokim szacunkiem chylimy przed nim nasze sztandary. Führer mianował mnie swym następcą, głową państwa i naczelnym wodzem wszystkich jednostek wojskowych, z wolą kontynuowania walki z bolszewizmem dopóty, dopóki walczące oddziały i tysiące rodzin z terenów niemieckich na wschodzie nie zostaną uratowane przed zniewoleniem i zniszczeniem...”

Dnia 4 maja 1945 roku w bunkrze w ZOO zjawił się sowiecki komendant Berlina generał pułkownik N. E. Bersarin. Interesował się on mniej szpitalem, który nadal jeszcze znajdował się w bunkrze, a raczej zgromadzonymi tu wartościowymi przedmiotami. Generał dał profesorowi do zrozumienia, że wszystkie te muzealne skarby zostają skonfiskowane. Będą one przewiezione do Rosji po wydaniu opinii przez sowiecką komisję ekspertów. Do tej chwili Unverzagt, dyrektor muzeum w bunkrze, jest odpowiedzialny za całość i nienaruszalność wszystkich skarbów sztuki i zabytków. Na drzwiach do pomieszczenia zawieszono tabliczkę w języku rosyjskim. Była ona następującej treści:

„Majątek muzeum przechodzi pod opiekę komendantury. Zabrania się usuwania jakichkolwiek przedmiotów. Osoby naruszające niniejszy zakaz zostaną postawione przed trybunałem wojskowym.
Szef komendantury”

Unverzagt otrzymał dowód w języku rosyjskim, ale dokument ten odebrał mu już następnego dnia jeden z rosyjskich żołnierzy, uznając, że jest fałszywy.

DRAMAT W BUNKRZE W FRIEDRICHSHAIN

Unverzagt byt uparty. Przysiągł sobie, że dopóki znajduje się tu skarb Priama, on nie opuści bunkra; upór ten się opłacił.

Inaczej było z bunkrem w Friedrichshain. Ów leżący we wschodniej części miasta obiekt, który podobnie jak bunkier w ZOO służył jako przechowalnia dzieł sztuki zwiezionych z różnych berlińskich muzeów, został także zdobyty przez Sowieców 2 maja 1945 roku. Tu, inaczej niż w przypadku bunkra w ZOO, nad skarbami sztuki przejęli nadzór Sowieci. Pełniący straż dwaj zmieniający się żołnierze nie traktowali swego zadania zbyt poważnie. W każdym razie niemieccy dozorczy Muzeum Niemieckiego Max Kiau i Herbert Eichhorn, którzy poprzednio opiekowali się za bytkami, zeznali, że niekiedy wejście do zdobytego bunkra było otwarte i każdy, kto chciał, mógł do niego wejść i swobodnie się poruszać.

W tym czasie w bunkrze w Friedrichshain zmagazynowano 441 wielkich obrazów, wśród nich 7 rubensów, 3 carawaggiów, 3 van dycków, 437 cennych rzeźb, 2065 przedmiotów zabytkowych kutych w złocie i srebrze oraz setki eksponatów pochodzących z wykopalisk na terenie świata antycznego.

Kiedy wypędzony przez Sowieców nadzorca muzealny Kiau zbliżył się 4 maja do bunkra, napotkał wprawdzie przy wejściu straż, jednak w trakcie pogawędki z Rosjanami odniósł wrażenie, że ci nie mają pojęcia, czego właściwie pilnują. Obaj żołnierze pozwolili mu na krótki przegląd pomieszczeń bunkra i Kiau zameldował dyrektorowi Muzeów Państwowych Ottonowi Kummelowi: „W bunkrze Friedrichshain wszystko w porządku”.

Dwa dni później, 6 maja, Kiau wrócił tu ponownie. Ale już z daleka ujrzał kłęby dymu wydobywające się przez drzwi i otwory okienne bunkra. Im był bliżej, tym bardziej potwierdzały się jego najgorsze przypuszczenia: bunkier płonął. Mój Boże, pomyślał Kiau, wszystko przetrwało wojnę, a teraz to!

W bunkrze nie było prądu, panowała całkowita ciemność. Owiały go żar i dym, ale nie było płomieni, gdyż Rosjanie już ugasiłi ogień. Kiau przedostał się na pierwsze piętro. Drewniane ściany i regały były spalone. W gruzach tliły się jeszcze zwęglone resztki obrazów, co uniemożliwiało dokładną inspekcję szkód. Spaliła się również wielka winda transportowa, a dym i żar nie pozwoliły dozorczy przedostać się na wyższe piętra. Kiau odniósł jednak wrażenie, że ogień tam się nie rozprzestrzenił.

Żołnierze rosyjscy, zajęci gaszeniem pożaru, okazali się niechętni i odprawili Kiaua. Udał się więc do profesora Kiimmla, a ten odszukał rosyjskiego majora Lipskerowa z miejscowej komendantury w Zehlendorf i poprosił go o pomoc. Dnia 7 maja Kiimmel wraz z majorem i swymi współpracownicami doktor Gerdą Bruns i Eleonorą Behrsing, która mówiła biegle po rosyjsku, dokonali oględzin szkód.

W sprawozdaniu sporządzonym pół roku później Kiau pisał:

.... Stwierdziłiśmy, że wieża była nie strzeżona i dostępna dla każdego żądneho łupu Niemca czy Rosjanina. Często też była odwiedzana przez różne niepowołane osoby. Panowały w niej całkowite ciemności i było bardzo gorąco. Niżej położoną część wieży, która mniej ucierpiała wskutek działań wojennych, strawił pożar tuż przed inspekcją, a więc już w kilka dni po przekazaniu bunkra; nie było jednak pewności, czy przyczyną pożaru była eksplozja, czy podpalenie. Ponieważ dysponowano jedynie nędznym oświetleniem, nie mogło być mowy o dokładnych oględzinach. Pewne jednak jest, że znajdowało się tam jeszcze wiele dzieł uszkodzonych, a nawet nie uszkodzonych. Błagałem przeto majora Lipskerowa o zadbanie przede wszystkim o to, aby nikt nie miał dostępu do wieży, co uniemożliwiłoby płądrowanie i podeptanie leżących w zgłiszczach obiektów sztuki i aby nie wybuchł ponownie pożar; poszukiwacze łupów bowiem zwykli byli używać w ciemnościach pochodni z papieru, które następnie beztróska rzucono nie zgaszone na ziemię. Początkowo jednak nic nie zrobiono w tej mierze..."

Max Kiau wyraził przypuszczenie, że za podpaleniem kryją się członkowie SS albo partyzanci z organizacji Wehrwolf, którzy w końcowej fazie wojny realizowali zasadę spalonej ziemi, aby zwycięzcom nic nie wpadło w ręce poza wygłodniałymi ludźmi.

O partyzanckim ruchu Wehrwolf krążyły fantastyczne pogłoski. Podobno na rozkaz wpływowego gauleitera i pełnomocnika do spraw wykorzystania siły roboczej Fritza Sauckla wysadzili oni w powietrze szczątki Goethego i Schillera, wywiezione pod koniec 1944 roku do Jeny, aby nie wpadły w ręce Rosjan. Namiestnik Rzeszy w Saksonii Martin Mutschmann wydał rozkaz zniszczenia *Madonny Sykstyńskiej* Rafaela oraz wielu dzieł Rembrandta i Rubensa z Galerii Drezdeńskiej. W kopalni soli Steinberg w majątku Salzkammer magazynowano austriackie skarby sztuki, a gauleiter Eigruber ogłosił, że w razie przegranej Niemiec własnoręcznie wrzuci *do sztolni granaty*; zdeponował on tam wcześniej wiele

zamaskowanych bomb. Jednakże akcje te cudem nie doczekały się realizacji.

Tylko w bunkrze Berlin-Friedrichshain katastrofa toczyła się dalej. Kiedy dwaj pracownicy muzeum zjawili się 18 maja 1945 roku, aby prowadzić dalszą inspekcję, w bunkrze pełnili wprawdzie straż dwaj rosyjscy żołnierze, ale do pomieszczeń wchodziło wielu nie uprawnionych cywilów; kiedy zaś obaj kontrolerzy weszli na górę, śmiertelnie się przerazili: górne piętra z bezcennymi przedmiotami sztuki były spalone i spustoszone.

Na ich wyrzuty radzieccy żołnierze odpowiedzieli tylko wzruszeniem ramion. Badania wykazały: katastrofa, największe zniszczenie obiektów sztuki w Niemczech podczas drugiej wojny światowej, miała miejsce między 14 a 18 maja, a więc w parę dni po kapitulacji. Czy bunkier w tym czasie nie był strzeżony, czy przekupiono rosyjskich strażników, czy też brak uwagi pładujących hord spowodował, że wybuchł po raz drugi pożar, tego nie dało się wyjaśnić. Śledztwo przeprowadzone później, na początku 1946 roku, którego wyniki Sowietci podali do wiadomości, wskazuje na „podpalenie metodą następujących po sobie, wzajemnie powiązanych faz pożaru”.

Nie można było również ustalić, ile i jakie obiekty zostały zniszczone, a jakie zrabowane. Wśród obrazów, które, jak się przypuszcza, zostały zniszczone, znajdował się *Święty Sebastian* Giovanniego Contariniego, pochodzącego ze znanej szlacheckiej rodziny z Wenecji. Obraz ten pojawił się w roku 1982 na aukcji Sotheby'ego w Londynie i został wówczas sprzedany. Ponadto wystawy obrazów w moskiewskim Muzeum Puszkina oraz w Ermitażu potwierdziły, że wiele obiektów uważanych za zaginione było ukrytych przez dziesiątki lat w sowieckich archiwach.

W JAKI SPOSÓB ZNIKIŁ SKARB PRIAMA

Bunkier ZOO, w którym nadal znajdował się skarb Priama, uniknął zniszczenia. Duże straty dóbr kulturalnych, które pozostały pod opieką radziecką, podziały jak zbawienny szok i spowodowały zmianę zachowania się zwycięskich władz.

Na polecenie komendantury sowieckiej w bunkrze ZOO zjawiała się wkrótce komisja ekspertów; było w niej 17 osób, wojskowych, dyplomatów, historyków sztuki i specjalistów z dziedziny

muzealnictwa, a także członkowie Akademii Nauk Związku Radzieckiego. Wśród dyplomatów znajdował się jeden, którego Unverzagt znał przynajmniej z nazwiska; był to Andriej Smirnow. Ów trzydziestosześcioletni mężczyzna rozpoczął swą karierę dyplomatyczną w 1937 roku w Berlinie jako młody radca ambasady; w latach 1957-1966 był ambasadorem w Bonn.

Teraz Smirnow i jego towarzysze zażądali od Unverzagta otwarcia wszystkich znajdujących się w bunkrze skrzyń; sporządzono spis ich zawartości w języku rosyjskim. W ogólnym chaosie panującym w bunkrze zdarzały się przypadki kradzieży.

Jak można było oczekiwać, zwycięzcy traktowali zwyciężonych dość brutalnie. Nie tolerowali żadnego sprzeciwu, nawet pytań; dlatego też aż do końca zatajono wobec Unverzagta nazwę miejscowości, do której, począwszy od 13 maja, codziennie ekspediowano skrzynie. Z notatek w kalendarzu profesora wynika, że trzy skrzynie zawierające skarb Priama przekazał on komisji jako ostatnie; było to dnia 26 maja 1945 roku.

Przed ciężką żelazną bramą stały trzy ciężarówki należące do armii radzieckiej, pomalowane na zielono-brązowy kolor; miały wypisane białą farbą numery: S 69425, S 69398 i S 69393. Radziecy żołnierze załadowali trzy skrzynie z napisem MVF 1, MVF 2 i MVF 3 na trzecią ciężarówkę, następnie konwój ruszył przez zbombardowany Tiergarten, przypominający krajobraz księżycowy. Unverzagt wrócił do bunkra, gdzie na pierwszym piętrze urządził sobie prowizoryczne mieszkanie, usiadł na pozostawionych pustych skrzyniach, które służyły mu teraz jako meble, i ukrył twarz w dłoniach.

Świadkiem przekazania skarbów sztuki w innym miejscu była doktor Irena Kiihnel-Kunze, historyk sztuki i pracownik naukowy; wspomina ona, co następuje: „Byliśmy wszyscy głęboko wstrząśnięci faktem wywożenia obiektów — albowiem przez cały czas trwania wojny wykonywaliśmy naszą pracę w muzeach; przetrwaliliśmy bombardowanie i natychmiast po ustaniu walk na ulicach Berlina wróciliśmy w niezwykle trudnych okolicznościach do pracy w muzeach. Zabranie podręcznych bibliotek, kartotek, dokumentacji fotograficznych i innych części naszego aparatu naukowego pograżyło nas w całkowitej beznadziejności. Nieobce były nam długie wędrówki z zachodnich przedmieść do śródmieścia, które trwały siedem albo więcej godzin przez gruzy i zwłoki poległych i które odbywaliśmy z narażeniem życia”.

ZWYCIEZCY I ZWYCIEŻENI

To, co Sowieci określali mianem „zabezpieczenia”, było starannie zaplanowaną akcją. Świadczy o tym fakt, że już kilka dni po kapitulacji komisja ekspertów wysokiego szczebla rozpoczęła przegląd i ocenę skarbów. Powód tego pośpiechu jest jasny: Rosjanie wiedzieli, że będą musieli podzielić się łupem z aliantami, kiedy ci zjawią się w mieście. Dlatego też wszystkie zdobyte dzieła sztuki zabrali natychmiast do swej kwatery głównej, do radzieckiej administracji wojskowej w Karlshorst, który leży we wschodniej części Berlina, tam, gdzie potem mieściła się radziecka komisja kontrolna i naczelna komisja Związku Radzieckiego w NRD.

W radzieckim żargonie wyprawy zwycięzców po łup nazywa się oczywiście inaczej. Trzydzieści lat po zakończeniu wojny wspomina tę „akcję ratunkową” uczestniczący w niej pułkownik Andriej Bielokopytow: „Patrząc wstecz, stwierdzam, że najważniejszym w tej pracy był czynnik moralny. Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie salwy armatnie — prace nad ratowaniem Ołtarza Pergamońskiego rozpoczęto 13 maja — a już zabrano się do sprawy przyszości, o której nikt nie ważył się myśleć w obliczu tylu milionów śmiertelnych ofiar. Nasi żołnierze własnymi rękami odgruzowywali skarby kultury, nie bacząc na zagrożenie życia; albowiem bunkry, w których magazynowano te obiekty, były zaminowane. Bunkier ZOO miał dwanaście piętér wysokości; na środkowym pięttrze znajdowały się płyty Ołtarza Pergamońskiego, a wydobycie ich tak, aby nie doznały uszczerbku, wiązało się z nadludzkim wysiłkiem. Przybyli niemieccy historycy sztuki i fachowcy, którzy zaofiarowali swą pomoc”.

Giinther Schade, do czasu przełomu jedyny dyrektor generalny Muzeów Państwowych w Berlinie, cytuje dosłownie tę wypowiedź w sprawozdaniu z okazji 40 rocznicy wyzwolenia narodu niemieckiego od faszyzmu: „Katastrofalna sytuacja na berlińskiej Museumsinsel nie mogła się istotnie zmienić w ciągu 1945 roku mimo wysiłków pracowników. Wraz z rozpoczynającą się zimą wzrastało niebezpieczeństwo dla znajdujących się w zburzonych muzeach zbiorów, które mogły ucierpieć wskutek złej pogody. Rosła wciąż liczba włamań i kradzieży w słabo zabezpieczonych pomieszczeniach. Otwartej na wszystkie strony Museumsinsel nie można było zabezpieczyć własnymi siłami; tak więc dyrektor generalny profesor Carl Weickert musiał zwrócić się o pomoc do komendantury

miasta na Friedrichstrasse 122, która wystawiła straż wojskową w celu ochrony dzieł sztuki".

A jak to wyglądało w rzeczywistości wówczas, w maju 1945? Mówi Irena Kiihnel-Kunze: „Na Museumsinsel oprócz dozorczy i kilku robotników trwali nadal na posterunku doktor Gerda Bruns i profesor E. E. Bange. Fakt, iż zamknięte działa, nie przyniósł im żadnej ulgi w obronie muzeów. Teraz dzień i noc musieli się oni bronić przed płądrowaniem, zuchwałym niszczeniem, sami będąc stale zagrożeni. Niekiedy ktoś z nas zostawał, aby im pomóc wytrwać w tej okropnej sytuacji. Napięcie nerwowe profesor E. E. Bange przypląciło życie. Rosjanie uważali, że jest on odpowiedzialny za muzea i wciąż go przesłuchiwali, przypuszczając, że zna miejsce przechowywania broni. Aresztowano go i odstawiono do komendatury sowieckiej, która mieściła się w budynku naprzeciw Kupfergraben, skąd po kilku dniach zwolniono. Kiedy 30 czerwca 1945 aresztowano go powtórnie, zażył truciznę, przechodząc nad kanałem nad Sprewą. Umierającego dostawiono do komendatury. Nasze próby dokonania pochówku nie przyniosły rezultatu...”

Z obawy przed zgwałceniem kobiety nosiły okulary, które z trudem gdzieś zdobywały. Rozeszła się bowiem wieść, że żołnierze radzieccy nie zaczepiają kobiet w okularach. To dziwne, ale prawdopodobnie Rosjanki nie nosiły okularów. Słów „Chodź ze mną”, wypowiedzianych przez rosyjskiego żołnierza, kobiety w owym czasie najbardziej się bały.

Przez ulice przetaczały się ciężarówki z beczkami z farbą olejną. Tam, gdzie pozostały jeszcze nie zmienione tablice z nazwami ulic, zamalowywano je cyrylicą. Na skrzyżowaniach stały uzbrojone Rosjanki w butach z cholewami, z chorągiewkami w rękach i energicznie kierowały ruchem, którego w ogóle nie było.

Berlin i całe Niemcy przestały istnieć. Przegranym zabrano wszystko, nawet ich czas, najbardziej oczywistą rzecz na świecie. Rozkaz nr 4 wojskowej i okupacyjnej komendatury Berlina z dnia 20 maja 1945 brzmiał: „Aż do czasu wydania nadzwyczajnych poleceń w Berlinie obowiązuje praca według czasu moskiewskiego...”

Ożywiano się dopiero w nocy. Głód wypędzał ludzi z ruin domów jak szczury; szli wówczas płądrować. Potrzebowano wszystkiego; jeśli nie udało się znaleźć nic do jedzenia, szukano przynajmniej czegoś do palenia, belek albo gałęzi, aby ugotować kartofle. Prąd był tylko na niektórych ulicach, i to nieregularnie. Mówiono, że jeszcze długo potrwa, zanim podłączy się gaz; jako oficjalną

przyczynę podawano zniszczoną sieć, a nieoficjalnie twierdzono, że chodzi o to, aby mniej ludzi odbierało sobie życie.

LOS PEWNEGO CZŁONKA PARTII

Wielu członków partii popełniło samobójstwo. Wilhelm Unverzagt był członkiem NSDAP; przyłączył się do ruchu w 1938 r. Według wypowiedzi jego żony Mechthilde „pod groźbą”, ponieważ w przeciwnym razie jego stanowisko dyrektora muzeum objąłby kandydat popierany przez partię. W parę tygodni po przekazaniu Sowietaom skarbów kultury, znajdujących się w bunkrze ZOO, Unverzagt otrzymał wypowiedzenie z rąk doktora Herberta Dreyera, komisarycznego generalnego dyrektora Muzeów Berlińskich. Trzy tygodnie później zwolniono także jego, bo też figurował na liście członków NSDAP

Unverzagt był rozgoryczony. Nie miał pojęcia, że trzy skrzynie ze skarbem Priama już 30 czerwca 1945 roku, a więc przed wkroczeniem Amerykanów do Berlina, przetransportowano samolotem wojskowym do Moskwy. Wiedział tylko, iż był ostatnim Niemcem, który widział skarb, wiedzieli też o tym inni.

Po wojnie Unverzagt musiał odpowiadać na wiele pytań z całego świata, co się stało ze skarbem Priama. Jego odpowiedzi brzmiały zawsze tak samo. Skarb został zabezpieczony przez Sowietaów i będzie zapewne oddany Berlinowi w ramach akcji zwrotu skarbów kultury.

Największego rozczarowania Unverzagt doznał niewątpliwie wówczas, kiedy w 1958 roku Sowieci zwrócili wprawdzie NRD 4000 zabytków odkopanych przez Schliemanna, ale wśród nich nie było skarbu Priama. Na wszelkie zapytania osoby odpowiedzialne w Moskwie odpowiadały, że nic im nie wiadomo o skarbie. Również na artykuły dziennikarskie nie było żadnej reakcji; sprawa skarbu Priama stanowiła temat tabu.

Unverzagt przestał wierzyć, że jego skarb ujrzy kiedykolwiek światło dzienne. Kiedy archeolog profesor Sterling Dow z uniwersytetu harwardzkiego zapytał w 1961 roku, czy istnieje szansa odnalezienia skarbu Priama, berlińczyk odpisał zrezygnowany: „Odpowiadając na Pańskie zapytanie z dnia 3.04.61 r. z przykrością informuję, że znaleziska z Troi, a w szczególności tak zwany skarb Priama, umieszczone w bunkrze ZOO (a nie w Friedrichshain) w celu ochrony przed nalotami, dotychczas się nie odnalazły.

Istnieją podstawy do przypuszczeń, że skarb został przetopiony wraz z innymi złotymi przedmiotami Państwowego Muzeum Starożytności w Berlinie; należy się więc liczyć z ich stratą".

Dziesięć lat później, 17 marca 1971 r. profesor Wilhelm Unverzagt zmarł. Przeglądając jego osobiste rzeczy, żona profesora dokonała niezwykłego odkrycia. W kilku kartonach profesor przechowywał archiwum mikrofilmów. Zawierały one spisy inwentaryzacyjne przedmiotów z kierowanego przez profesora muzeum, wśród nich znalazły się wszystkie z wielotysięcznego zbioru Schliemanna.

Odkrycie to spowodowało wiele pytań, a przede wszystkim jedno: Dlaczego Unverzagt trzymał w ukryciu tak ważne dla badań naukowych filmy? Pojawiły się najróżnorodniejsze spekulacje. Czy była to osobista zemsta za to, że po wojnie usunięto go z dyrektorskiego stanowiska, czy też chciał on te filmy spieniężyć po jednej lub drugiej stronie żelaznej kurtyny? A może kiedy wyciągnął te filmy po wojnie ze skrytki, po prostu nie miał odwagi ich zwrócić? Niewykluczone też, że obawiał się, iż zostanie posądzony o ukrycie także skarbu Priama. A może Unverzagt uległ pokusie w czasie samotnych dni i nocy w bunkrze ZOO i część złota usunął gdzieś na bok (co mogłoby wyjść na jaw dzięki owym listom inwentaryzacyjnym) ?

Fakt, że te spisy inwentaryzacyjne zostały sfilmowane jeszcze przed wojną i nikt nie mógł oczekiwać, iż właśnie one przetrwały piekło wojenne.

Odkrycie tych filmów rzuciło na profesora po śmierci cień. W gazetach wciąż ukazywały się artykuły, które przypisywały mu winę za zaginięcie skarbu Priama, i mnożyły się twierdzenia, że profesor wraz z jakimiś nazistowskimi osobistościami zakopał skarb, aby go potem spieniężyć.

Kiedy Mechthilde Unverzagt po raz pierwszy w roku 1988 udostępniła zapiski swego męża, kierowała się chęcią zrehabilitowania profesora przez ich opublikowanie; sądziła, że to mogłoby pomóc w wyjaśnieniu sprawy. Musiała jednak z rezygnacją stwierdzić: „Wiadomo jednak, że najbardziej cenne przedmioty, które znajdowały się w trzech skrzyniach zawierających szlachetne metale, gdzieś przepadły, mimo że właśnie w ich przypadku można dokładnie prześledzić przebieg ratowania i przechowywania aż do chwili przekazania ich przez samego profesora radzieckim władzom okupacyjnym. Co się natomiast stało z nimi potem, pozostaje w mroku tajemnicy”.

CIEMNOŚCI SIĘ ROZJAŚNIAJĄ

Winne zaginięcia skarbu Priama były ówczesne stosunki polityczne, natomiast zmiany tych stosunków przyczyniły się do wydobycia sprawy na światło dzienne.

Przez czterdzieści pięć lat skarb Priama, zgodnie z oficjalnym językiem urzędowym, uchodził za zaginiony. Jedyne garstka osób wtajemniczonych знаła miejsce jego ukrycia. Doszło do tego, że nawet wysoko postawieni rosyjscy muzeolodzy, którym bardzo na tym skarbie zależało, nie wiedzieli, gdzie się on znajduje. Borys Piotrowski, dyrektor Ermitażu w St. Petersburgu (w magazynach tego muzeum, jak bardzo długo sądzono, znajduje się skarb), jeszcze w roku 1990 tłumaczył się, że nic nie może powiedzieć na temat jego miejsca ukrycia, w każdym razie na pewno nie jest on przechowywany w Ermitażu.

Głasność i pierestrojka stworzyły w Związku Radzieckim nowe możliwości i zachodni poszukiwacze skarbu uzyskali pomoc ze wschodu. Decydującego odkrycia dokonali dwaj historycy sztuki z Moskwy, Grigorij Kozłów i Konstantin Akinsza. W czasie badań w Centralnym Państwowym Archiwum Literatury i Sztuki w Moskwie natrafili oni na listy przewozowe dotyczące owych trzech skrzyń: MVF1, MVF 2 i MVF 3, które profesor Unverzagt przekazał Rosjanom 26 czerwca 1945. Ładunek dostarczono następnie do moskiewskiego Muzeum Puszkina. Rezolutnej kierownicze tego muzeum Irinie Antonowej nie było na rękę opublikowanie tej informacji i stanowczo zaprzeczyła, że skarb znajduje się w jej muzeum. Również ówczesny minister kultury Jewgienij Sidorów odpowiedział „nie” na oficjalne zapytanie Niemiec, czy skarb znajduje się w Rosji.

Czy było to zamierzone, czy też tylko stanowiło dyplomatyczne potknięcie? W czasie oficjalnej wizyty w Grecji w 1993 roku rosyjski prezydent Borys Jelcyn obiecał tamtejszej minister kultury Dorze Bakojannis udostępnienie skarbu Priama na wystawę w willi Schliemanna „Iliou Melathron”. Tym samym prezydent zdrwił ze swego ministra kultury Sidorowa, który podczas toczących się tymczasem rokowań na temat zwrotu dóbr kultury uparcie twierdził, że skarbu w Rosji nie ma.

Wkrótce potem Irina Antonowa musiała przyznać, że skarb jest przechowywany w jej muzeum, i to nie w magazynie wraz z tysiącem innych cennych obiektów, lecz w specjalnym pomiesz-



Muzeum Puszkina w Moskwie, zbudowane w roku 1912 na wzór świątyni Erechtejon w Atenach. Tu, za żelaznymi drzwiami pokoju dla gości, przez pół wieku przechowywano ukryty skarb Priama. Tylko kilka osób знаło tę tajemnicę.

czeniu w dziale numizmatyki. Wejście tam prowadzi przez pokój dla gości, ale jest zabezpieczone żelaznymi drzwiami.

Dnia 24 października 1994 r. drzwi te otwarto po raz pierwszy przed niemieckimi muzeologami. Był to poniedziałek i muzeum było zamknięte dla publiczności. Profesor Winfried Menghin, naczelny kustosz doktor Klaus Goldmann, główny konserwator Hermann Born i tłumacz doktor Burkhardt Goeres nie zauważeni przez publiczność dotarli do położonego w głębi pokoju konferencyjnego na parterze. Zostali tam przyjęci przez kierownika muzeum Irinę Antonową i kierownika oddziału archeologii doktora W. Tołstikowa. Szerokimi schodami udali się na pierwsze piętro muzeum. Tam otworzono przed nimi małe boczne drzwi, za którymi widać było wąskie, kręte schody prowadzące na poddasze.

„Z biciem serca — przypomina sobie doktor Klaus Goldmann — spowodowanym nie tylko wchodzeniem po schodach, stanęliśmy w wąskim pomieszczeniu, w którym po obu stronach oraz na środku znajdowały się rzędy szklanych gablot”. Na podręcznym stoliku leżały przygotowane białe rękawiczki. Nad stolikiem na ścianie wisiał portret olejny przedstawiający Henryka Schliemanna. Sam Schliemann nie mógłby tego lepiej zainscenizować.

Tołstikow i jego główny konserwator Treister wnieśli tacę i postawili ją przed niemieckimi gośćmi na stole przykrytym zielonym filcem. Przed nimi leżał skarb Priama, który zaginął prawie

przed pół wiekiem i uznany został za bezpowrotnie stracony; skarb owiany legendami i mitami, stanowiący bezcenną wartość, jeden z największych skarbów kultury ludzkości. Naukowcy niemieccy byli świadomi tej historycznej chwili; na ich twarzach malowało się przejęcie.

Skąd bierze się fascynacja tym skarbem? Czy sprawia to wartość złota? Czy może jego wiek, usuwający w cień nawet Biblię? A może to powiew wielkiej bohaterskiej legendy otaczającej Priama, ostatniego króla zaginionego państwa? Czy też może tajemnica otaczająca poetę Homera, który przybliżył nam fantastyczne mity o zagładzie Troi?

Zapewne wszystkie te czynniki odgrywają pewną rolę w tak niezwykłym zafascynowaniu skarbem Priama, ale do tego dochodzi jeszcze coś, mianowicie człowiek i jego los. Tak jak złota maska Tutenchamona związana jest nierozłącznie z jej odkrywcą Howardem Carterem, tak skarb Priama związany jest z historią Henryka Schliemanna. A nawet jeszcze bardziej, albowiem skarb ten stał się symbolem życia Schliemanna: i skarb, i życie jego odkrywcy były błyskotliwe, lśniące, pełne chwały, a mimo to problematyczne. Skarb Priama i Henryk Schliemann należą do siebie i nie sposób sobie wyobrazić jednego bez drugiego.

Skarb Priama i Heinrich Schliemann to temat i główna postać współczesnej bajki, i jak wszystkie bajki również ta rozgrywa się w świecie pełnym cudów, gdzie spełniają się wszystkie tęsknoty człowieka za szczęściem. Jest to motyw Tomcia Palucha, biednego małego chłopca, który jest biedniejszy aniżeli wszyscy mali ludzie, a który mimo to osiąga bogactwo i sukces. I jak wszystkie bajki jest ona pełna marzeń i romantyzmu, realistyczna i okrutna, fantastyczna, a niekiedy nieprawdopodobna.

WIELKIEJ KARIERY

Moje mieszkanie, za które miesięczny czynsz wynosił osiem franków, było nędzną izdebką na poddaszu, bez pieca, w której w zimie drzałem z chłodu, a w lecie pocilem się od upału.

Moje śniadanie składało się z papki z mąki żytniej, a mój główny posiłek nie kosztował nigdy więcej niż cztery trzeciaki. Ale nic tak nie pobudza do nauki jak nędza i nadzieja, że dzięki usilnej pracy będzie się można z niej wydobyć.

Henryk Schliemann

Hamburg, wrzesień 1841

Ówczesne wolne miasto hanzeatyckie niepodobne było do dzisiejszej metropolii, ale dla dziewiętnastoletniego młodzieńca z Meklemburgii stanowiło objawienie. Jak sam mówił, miasto to uczyniło z niego marzyciela i wywarło na nim tak silne wrażenie, że odtąd mógł mieszkać tylko w wielkich miastach.

Z części spadku po matce, który kazał sobie wypłacić tuż przed wyjazdem, pozostało mu dwadzieścia dziewięć talarów. Ten skromny kapitał wyjściowy musiał mu starczyć za podstawę do kariery. Pierwszą noc młody Schliemann spędził w tanim zajeździe „Heydkrug”. Był on oddalony o dwie mile od centrum miasta. Ale kiedy następnego ranka się obudził, wyrzwał przez okno i zobaczył panoramę miasta z jego wieżami, ogarnęło go wzniosłe, pełne nadziei, nieopisane uczucie. Owładnęło Henrykiem tak potężnie, że przez całą godzinę stał nie ubrany w oknie i patrzył przed siebie.

„Ach, powinniście zobaczyć tę wspaniałość i elegancję, które jawią się naszym oczom — pisał do swoich sióstr Wilhelminy i Doris w sześćdziesięcioczworostronicowym liście — wówczas miałybyście zupełnie inne wyobrażenie o bogactwie tego świata!... Co za ciżba ludzi, co za ruch, co za ścisk i jaki handel na ulicach. Wszystko się rusza, biega, kłębi i tłoczy w nieładzie i podobne jest do straszego chaosu”. I dalej pisze: „Nieustanne pokrzykiwania sprzedawców oferujących swój towar, który noszą na głowach, biegając po ulicach, nieprzerwany turkot wozów przejeżdżających ulicami, bicie zegarów i miłe uchu dźwięki dzwonów ze wszystkich wież tak bardzo ogłuszają przybysza, że nie słyszy własnych słów”

W tym chaosie, w jaki dostai się młody przybysz, zachowa! on jasny umysi i nie stracił z oczu wytyczonego celu, jakim było znalezienie przede wszystkim pracy, a następnie jakiegoś dachu nad głową, gdyż z dwudziestoma dziewięcioma talarami nie można zejść daleko. Dobroduszny Theodor Hiickstadt, kupiec z Fiirstenbergu, u którego młody Schliemann sprzedawał śledzie i wódkę, okazał mu pomoc, pisząc listy polecające do swoich dostawców z Hamburga, prosząc, aby pomogli młodzieńcowi, który wprawdzie nie jest zbyt silny, ale chętny do pracy. Tak więc Henryk był zaopatrzony w wiele adresów.

„W każdym domu czymś się handluje, a branżę określają sięgające nawet do drugiego piętra szyldy, na których wymalowane są rozmaite produkty i towary... Zwracałem się zatem po kolei do kupców, do których miałem listy polecające, a mianowicie do panów Marcka i Sp., Oswalda i Sp., Fessera i Vielhacka, Conrada Warnkego i H. F. Prehna, przedstawiałem się im i wręczałem listy. Wszyscy oni zapewniali mnie przyjaźnie, że postarają się mi pomóc w osiągnięciu wytyczonego celu...”

Już następnego dnia starania Schliemanna zostały uwieńczone powodzeniem. Młody szef firmy S. H. Lindemann zatrudnił go jako magazyniera w swoim składzie na targu rybnym. Jednakże po trzech dniach Henryk musiał zrezygnować, opadł bowiem z sił. Noszenie worków i wciąganie linowego dźwigu, którym transportowano towar na piąte piętro, okrutnie go wyczerpywało. Obawiał się, że znowu zacznie płuć krwią, co już niejednokrotnie mu się zdarzało przy wysiłku fizycznym; poprosił więc o lżejsze zajęcie, którego jednak Lindemann junior nie mógł mu zaoferować; tak więc Schliemann pozostał bez pracy.

Młodzieniec ponownie przeto zaczął szukać zatrudnienia. Góttów był pracować za parę groszy, aby tylko praca nie była zbyt ciężka; niczego jednak nie znalazł. Niekiedy przedstawiając się wzbudzał śmiech z powodu swego niskiego wzrostu — miał niecałe 160 centymetrów i krótkie nogi.

Henryk uważał, że musi wzmocnić swe ciało, i prawie codziennie się kąpał, nawet w listopadzie w zimnej Łabie; ta końska kuracja miała jednak katastrofalne następstwa. Właśnie udało mu się znaleźć zajęcie u E. L. Deyckiego nad Mattentwiete koło portu *rzecznego, bez zapłaty, ale za to z wyżywieniem*, kiedy zaczął znowu płuć krwią. Przez cały tydzień usiłował ukrywać chorobę, ale odkryto ją i ponownie stracił pracę.

Mimo iż nie pozwalał sobie na żaden luksus, gotówka jednak się wyczerpywała. Nie chcąc skończyć jak bezdomny żebrak, Schliemann był zmuszony pożyczyć pieniądze. Któż jednak byłby skłonny pożyczyć choćby krajcara chorowitemu praktykantowi kupieckiemu bez pracy?

Zwrócenie się z tym do ojca kosztowałoby go wiele trudu, był zbyt dumny. W tej ciężkiej sytuacji zwrócił się do wuja Wachenhusena z Vipperow. Napisał do niego serdeczny list, którego punktem kulminacyjnym była informacja, że bez pomocy wuja siostrzeniec zakończy żywot.

To rozpaczliwe wołanie o pomoc nie pozostało bez odpowiedzi. Wuj z Vipperow przesłał mu dziesięć talarów do zwrotu do świąt Bożego Narodzenia. Równocześnie wuj poskarżył się siostrze Henryka na bezczelność jej żalosego brata. Kiedy dotarło to do Henryka, poprzysiął sobie, że już nigdy w życiu nie poprosi krewnego „nawet o okruch chleba”.

HANZEATYCKIE MARZENIA

Z dziesięcioma talarami w kieszeni, ale bez dochodów Schliemann niewiele mógł począć. Jedyne, co posiadał, to czas, dużo czasu, który wykorzystywał na obserwacje. Oddychał atmosferą wielkiego miasta, a pobyt nad Łabą, trwający dwa i pół miesiąca, wrył mu się bardziej w pamięć niż każdy dłuższy nawet pobyt w obcym mieście. Henryk Schliemann stał się hanzeatą, a przynajmniej postanowił nim zostać.

Chłodni i powściągliwi kupcy i handlarze tego starego hanzeatycznego miasta szalenie imponowali kramarskiemu czeladnikowi z prowincji. Sposób, w jaki postępowali z pieniędzmi i towarami, w jaki kupowali i sprzedawali bez brania ich do ręki, budził podziw Henryka.

Wytworne towarzystwo, które Schliemann mógł obserwować z bliska, ważni, dostojni panowie i elegancko ubrane panie (przede wszystkim te w cudzysłowie) wzbudzały w nim potrzebę stania się takim jak oni. Wywoływali marzenia, a Henryk był właśnie w tym wieku, kiedy się je żywi i kiedy nie są już one nierealnymi mrzonkami z dzieciństwa, lecz stają się realnym celem, który można osiągnąć wysiłkiem i pracą.

Schliemann chciał zostać hanzeatą, poważanym kupcem, który wytwornie odziany udaje się na giełdę i który nie potrzebuje

zabiegać o kobiety, ponieważ one same zabiegają o niego, i to nie jakieś skromne dziewczęta jak jego przyjaciółka z dzieciństwa Minna Meincke z Ankershagen, lecz dumne, dojrzałe kobiety w podniecających sukniach. Oczywiście on sam był niski i niepozorny, ale tu, w Hamburgu, Henryk po raz pierwszy zrozumiał, że istniał bardzo prosty środek, dzięki któremu można było zapomnieć o jego godnym pożałowania wyglądzie, a mianowicie pieniądze.

Pieniądze czynią człowieka pięknym. Kimże byli i co posiadali panowie Fesser i Vielhack, Marek, Wilhelm Oswald, Warncke i Prehn poza dużym majątkiem? Byli oni niedużego wzrostu, otyli i w porównaniu z nim bardzo starzy. A jednak należały do nich najpiękniejsze kobiety. Podczas tych miesięcy spędzonych w Hamburgu Schliemann doszedł do przekonania, że jedynie pieniądze i bogactwo mogłyby w nim umocnić poczucie własnej wartości. Miał dziewiętnaście lat i stracił już nadzieję, że jeszcze urośnie, ale teraz już wierzył, iż pieniądze mogą z karta uczynić olbrzymą.

Jednak z dziesięcioma pożyczonymi talarami w kieszeni jego wzrost, o którym marzył, był jeszcze odległą przyszłością i Henryk nie wiedział jeszcze dobrze, jak to osiągnie, ale był pewien, że to się kiedyś stanie.

Wynajął sobie izdebkę u gadatliwego gospodarza na portowym targu; nieszczęśliwy Henryk zwierzył mu się kiedyś ze swoich problemów, a ten kazał mu pójść do salonu Petera Mullera na Neustadter Neustrasse, znanego lokalu rozrywkowego w mieście, gdzie przebywało czterysta „dam”. Za osiem srebrnych groszy mógł taki biedaczyna jak Schliemann gapić się cały wieczór; dla Henryka już sam wstęp był za drogi. Za osiem groszy mógł bowiem żyć przez trzy dni; dlatego też przekonał kasjera przy wejściu, że wcale nie przyszedł tu, aby się zabawić; przyjechał z Meklemburga, a ponieważ słyszał o tym „ósmym cudzie świata”, zapragnął go zobaczyć, by tak rzec — w celach poznawczych.

Ów trik okazał się skuteczny i Schliemann pozostał tam pięć godzin. Podziwiał samo pomieszczenie, wspaniałą salę ze 120 żyrandolami i 200 marmurowymi posągami, z biegnącą wokół galerią i mahoniową posadzką. Ruch w salonie Mullera Schliemann opisał swoim siostrom w kwiecisty sposób: „Pośrodku salonu stoją panowie, nie mają zamiaru zdjąć kapeluszy. Wokół, na pięknych krzesłach, siedzą panie i czekają na zaproszenie do tańca. Jeśli człowiek nie jest zachwycony i oszołomiony świetnością i wspaniałością samego salonu oraz płynącymi z galerii dźwiękami muzyki, to na pewno wpadnie w zachwyt na widok dam i będzie miał wrażenie,

że znalazł się w dawnych cudownych czasach świata wrózek, jeśli przybysza nie oczarują ich toalety z prawdziwego aksamitu i jedwabiu, których nie powstydzilaby się sama cesarzowa, to na pewno zachwyci się, spoglądając na oblicza dam, gdyż niełatwo spotkać na świecie taką ciepłą biel twarzy i szyi i takie zaróżowione szminką policzki, płomienne wargi, półkule brwi zakreślone chińskim tuszem, a wokół uroczych ciemnych główek — niczym u egipskich piękności — gęstwina loków. Długo stałem osłupiały w drzwiach, dopóki nie ściągnąłem na siebie baczących spojrzeń; a kiedy doszedłem do równowagi, przyłączyłem się do setki mężczyzn stojących pośrodku salonu".

W owym czasie młody Henryk nie wiedział, że owe jaskrawo umalowane piękności to były kobiety sprzedajne z półświatka. „Nie wątpiłem — usprawiedliwiał się w swym liście — że wszystkie te damy, ogółem około czterystu, są córkami najwytworniejszych domów Hamburga, ale ku memu przerażeniu dowiedziałem się po tygodniu, że wszystkie one oddają się wyłącznie przyjemnościom, mieszkają na Damtorwall-Strasse i co wieczór gromadzą się w tej sali; dlatego obecność tam uczciwych kobiet jest niestosowna. Natomiast panowie najlepszego pochodzenia, zajmujący najwyższe zaszczytne pozycje, poczytują sobie za honor zabawianie się w tym lokalu, a nawet dziedziczny książe Schwermu odwiedza ten salon podczas swego pobytu w Hamburgu".

Przygoda w salonie Petera Mullera wywarła na Schliemannie tak głębokie wrażenie, że odtąd jego zainteresowanie wzbudzały jedynie kobiety wystrojone, a dopiero w następnej kolejności zwracał uwagę na ich charakter, co w późniejszych latach stało się przyczyną jego zguby.

Po kilku tygodniach Schliemann był święcie przekonany, że nie pasuje już do meklemburskiej prowincji. Był jednak realistą (cecha, którą mimo swego marzycielstwa odznaczał się od wczesnej młodości) i szybko uznał, że winogrona w Hamburgu wiszą za wysoko, jak na jego możliwości, i nie widząc dla siebie drogi do szybkiej kariery, po raz pierwszy powziął myśl wyemigrowania.

Emigracja — było to magiczne słowo w pierwszej połowie XIX wieku, jedyna i ostatnia nadzieja ludzi pozbawionych pracy, praw i majątku. W czasach, w których urodził się Schliemann, w Europie zaczął się ruch emigracyjny o nie dającym się opisać nasileniu. Sześćdziesiąt milionów ludzi wyruszyło w XIX wieku w poszukiwaniu nowej egzystencji, głównie na drugą stronę Atlantyku; sama Ameryka musiała przyjąć w tym czasie 34 miliony

przybyszów i mimo że jedna trzecia z nich skruszona i dręczona nostalgią wróciła równie biedna jak przedtem, nie powstrzymało to jednak innych od szukania szczęścia w dalekich stronach.

EMIGRACJA — OSTATNIA NADZIEJA HENRYKA

Schliemann zerwał ze swym młodzieńczym okresem w Meklemburgii, ukochana matka już nie żyła, a wobec swego ojca łajdaka odczuwał jedynie pogardę; cóż go więc jeszcze trzymało w Niemczech? Ze swym starszym bratem Ludwikiem, który nie dorównywał mu wprawdzie pod względem inteligencji i sprytu, lecz pod niektórymi względami był dla niego wzorem, często rozmawiał o wychodźstwie i szansach, jakie się „tam” otwierały. Mimo jednak iż statki odpływające Łabą w kierunku Nowego Jorku czy Bostonu były tak blisko, to jednak Ameryka pozostawała nadal daleka jak marzenie, gdyż przedsiębiorczemu młodzieńcowi brakowało pieniędzy na przejazd.

W poszukiwaniu nowego i niezbyt ciężkiego zajęcia nieszczęśliwemu młodemu człowiekowi przyszedł z pomocą przypadek. Wśród listów polecających, które przywiózł ze sobą do Hamburga, znajdował się list do maklera okrętowego J. E. Wendta, kolegi szkolnego zmarłej matki Henryka. Wendtowi żal było młodzieńca i udało mu się polecić go gorąco panom Declisurowi i Bóvingowi. Henryk napisał na próbę kilka listów handlowych w językach niemieckim, francuskim i angielskim; próba ta zadowoliła zleceniodawców, zgodzili się więc zatrudnić młodego Schliemanna w jednej ze swoich filii, oczywiście nie w Hamburgu, Bremie czy Rostocku, lecz w La Guaira w Wenezueli nad Morzem Karaibskim. Statek tej firmy pod nazwą „Dorothea” stał w porcie gotów do rejsu. Pracodawcy nie chcieli się wypowiedzieć na temat wynagrodzenia; oświadczyli, że zostanie ono ustalone na miejscu i po odpowiednim wykazaniu się w pracy. Przejazd do Ameryki Południowej będzie bezpłatny, również wyżywienie podczas czterotygodniowej podróży; o pościel w kabinie trzeba się samemu zatroszczyć.

Nieoczekiwana oferta zaskoczyła Schliemanna, ale nie zwlekał ani chwili z jej przyjęciem, mimo że dla kupna materaca z morskiej trawy i dwóch wełnianych kocy musiał sprzedać swój jedyny żakiet. Schliemann już wówczas wiedział, że „jak cię widzą, tak cię piszą”. Dziewiętnastolatek bez żakietu był nikim, ale sprzedaż była konieczna; chodziło przecież o, być może, niepowtarzalną szansę

życiową. Młody Henryk był pewien jednego: pewnego dnia wróci z dalekiej Ameryki z wieloma walizkami, a w jednej nich będzie tylko wytworna odzież, żakiety i garnitury z delikatnego sukna, jakie noszą hamburscy kupcy.

Jeśli chodzi o przejazd Schliemanna do Wenezueli i bliższe okoliczności tego przedsięwzięcia, to sam sobie zaprzecza. Raz mówi, że został zwerbowany jako chłopiec okrętowy i musiał wykonywać na pokładzie najcięższe prace, innym razem wspomina, że na pokładzie „Dorothei” znajdowali się trzej pasażerowie, pewien hamburski stolarz, jego syn i on, Henryk Schliemann.

Dlatego też krytycy wyrazili wątpliwość, czy historia z „przejazdem” nie została wymyślona i czy Schliemann w rzeczywistości nie udał się drogą lądową do Holandii, gdzie jego domniemany rejs z konieczności się zakończył. Rzeczywiście istniał trójmasztowiec o nazwie „Dorothea”, który został spuszczonej na wodę około 1841 roku. Na liście załogi w zaplanowanym rejsie do Ameryki Południowej figurowało 18 nazwisk, wśród nich nie było Schliemanna. List pasażerów wówczas nie sporządzano. Rozbicie statku u wybrzeży Holandii jest jednak udokumentowane. Możliwe, że Schliemann dowiedział się o tym z gazet i włączył ten fakt do swej autobiografii (tak jak wiele lat później pożar w San Francisco).

Narzuca się oczywiście pytanie, dlaczego Schliemann miałby to zrobić? Odpowiedź brzmi: Wysuwa się tu na pierwszy plan cecha, która występuje w całym jego dalszym życiu — skłonność do imponującej samoinscenizacji. Schliemann nie był człowiekiem wierzącym, ale wierzył w zrządzenie losu i uważał, że jest wybrany do nadludzkich dokonań.

ROZBICIE STATKU U WYBRZEŻY HOLANDII

Według wersji, jaką podawał Schliemann w liście do swoich sióstr, Wilhelminy i Doris, „Dorothea” wypłynęła 28 listopada 1841 roku o godzinie czwartej rano z portu hamburskiego. O tej porze roku była jeszcze ciemna noc. Jednak, pisał Schliemann, na pożegnanie zagrzmiały działa. Było to mało prawdopodobne, wzięwszy pod uwagę porę dnia i nieznaczne rozmiary statku. Z powodu niekorzystnych wiatrów statek musiał zakotwiczyć przed Glickstadt i dopiero 30 listopada wzięł kurs na Cuxhaven.

Wieczorem tego dnia, tymczasem statek wypłynął już na pełne morze i wzięł kurs na zachód, rozpętał się sztorm północno-zachodni i pędził po morzu rozszalałe fale, wysokie jak domy. Schlie-

mann cierpiał na chorobę morską. „Sztorm szalał przez osiem dni, to z północy, to z zachodu, a z nim moja choroba. Już osiem dni nie miałem nic w ustach i opuszczałem kajutę jedynie za własną potrzebą. Z innymi pasażerami działo się podobnie, wszyscy jęczeli tak jak ja...”

W owym czasie przy dobrej pogodzie statek przypluwał do Kanału La Manche w trzy dni, „Dorothea” zaś była już dziesięć dni w drodze, a „znajdowała się bliżej Hamburga niż Kanału”.

9 grudnia. Ciężkie fale przyboju przelewają się przez pokład, „Dorothea” nabiera wody, zaczynają pracować pompy. Schliemann siedzi na przymocowanym krześle w kajucie i usiłuje uczyć się hiszpańskiego.

10 grudnia. Sztorm północny.

11 grudnia. Lodowaty sztorm, 6 stopni Celsjusza, śnieg, mewy krążą wokół statku. Około południa sztorm się nasila, wczesnym wieczorem zaczyna szaleć orkan, fale są „wysokie jak wieże”. O godzinie 18 bramzągiel poszarpany. O 19 chłopiec okrętowy przynosi herbatę i cwibak, płacze i mówi: „Ostatni raz...” O 22 pierwszy sternik melduje o światłach w oddali. Kapitan Jurg Siemonsen każe rzucić kotwicę. Łańcuchy pękają.

Była północ, kiedy kapitan otworzył drzwi kajuty i zawołał: „Wszyscy na górę, najwyższe niebezpieczeństwo!” W tym momencie huśtającym się statkiem zatrzęsło, pękły okna kajuty. Schliemann chciał się ubrać, ale woda, zimna, lodowata woda wdarła się ze wszystkich stron do środka. Nie ubrany popędził na górę. Fala uderzyła na niego i odrzuciła na reling. Udało mu się przywiązać zwisającą liną.

Na pokładzie były dwie łodzie ratunkowe. Załoga rozpaczliwie usiłowała je spuścić, ale zanim to się stało, nabrały tyle wody, że uderzyły o fale i zatонуły. Załoga przeklinała, krzyczała i jęczała. Nieprzerwanie, jakby poruszany niewidzialną ręką, rozbrzmiewał dzwon okrętowy. Statek przechylił się na bok i zaczął tonąć. Niektórzy członkowie załogi uciekli do olinowania. „Również ja — pisze Schliemann — myślałem, że będę tam bezpieczny, odwiązałem się i chciałem wejść na górę, ale wrak ze straszliwym łoskotem zapadł się i pociągnął mnie w otchłań. Wkrótce jednak wypłynąłem na powierzchnię i uchwyciłem się kurczowo pływającej beczki, która mnie unosiła dalej, to sto stóp w górę, to na powrót sto stóp w dół; miotła tak mną nieprzytomnym może cztery godziny, aż wyniosła mnie na mieliznę, a niskie fale oraz płycizna wskazywały, że ląd jest blisko. Zdrętwiały i półżywy z wycieńczenia postanowiłem tu cze-

kać na śmierć lub ratunek, ale ani jedno, ani drugie nie nadchodziło. Wreszcie nastał ranek i ku mojej wielkiej radości ujrzałem przed sobą ląd. Usiłowałem się podnieść i dojść tam, ale nie mogłem; chciałem wołać, ale nie byłem w stanie z powodu wycieńczenia. Wkrótce dostrzeżono mnie i na brzegu zebrało się wielu gapiów".

Schliemanna wyrzuciło na jedną z największych wysp Zachodniej Fryzji, u wybrzeży Holandii. Nazywała się Texel. Jej mieszkańcy utrzymywali się między innymi z hodowli kwiatów cebulkowych, ale głównie z kuracjuszy odwiedzających nadmorskie uzdrowiska. Ludzie przechodzący wybrzeżem znaleźli rozbitka na piasku i zabrali go do domu, gdzie zajął się nim gospodarz nazwiskiem Johannes Branes, dał mu gorącej kawy i opatrzył rany. „Męczyły mnie okropne bóle — wspomina Henryk w liście do siostr — i głośno wyłem, gdyż miałem wybite dwa przednie zęby, głębokie rany na twarzy i na całym ciele; byłem jak sparaliżowany, a nogi miałem opuchnięte".

Jak dalej donosi Schliemann, oprócz niego uratował się jedynie kapitan i jeden marynarz. Kapitan pogratulował mu „cudownego uratowania". Nie odpowiada to jednak faktom. Wprawdzie gazety holenderskie donosiły o katastrofie statku, ale nie wspominały o żadnych ofiarach. Schliemann rości sobie prawo do owego dziwnego zrządzenia losu, o którym wciąż wspomina i którym stale dzieli się ze swoimi czytelnikami, przekręcając fakty po to, aby zademonstrować, że on, Henryk Schliemann, jest tym wybranym przez opatrność, aby dokonał niezwykłych czynów.

Kiedy dzięki opiece Branesa doszedł do zdrowia, nie miał porządnego odzienia, a przede wszystkim ani feniga. Dlatego też poddyktował gospodarzowi list do swego dobroczyńcy Wendta w Hamburgu z prośbą o pomoc i przysłanie trochę pieniędzy. List był adresowany do konsula Meklemburgii w Amsterdamie z prośbą o przekazanie go dalej. Tam postanowił młody Schliemann udać się po czterodniowym wypoczynku i poczekać, co będzie dalej.

Przez Zuyder-See dotarł dnia 20 grudnia do Amsterdamu (z powodu nadal trwającego sztormu przejazd zamiast dwanaście godzin trwał aż trzy dni i trzy noce). „Ponieważ przewoźnik nie miał dla mnie wolnego łóżka, musiałem znosić okropne warunki i straszliwe zimno, a że byłem w dodatku chory i nie zagoiły mi się jeszcze rany, leżałem prawie cały czas na ławce. Jednak nadzieja na lepszą dolę łagodziła ból i znosiłem to wszystko cierpliwie, w przekonaniu, że po cudownym uratowaniu i skierowaniu mnie do Holandii, los ześle mi powodzenie..."

BUTY I POŃCZOCHY OD TANDECIARZA

Wydaje się, że po przybyciu do Amsterdamu Schliemann pożebrał swe emigracyjne plany. Pierwsze kroki skierował do konsula Meklemburgii, który rezydował we wspaniałym domu nad Amstel i współczuł do głębi swemu rodakowi. Eduard Quack, tak się bowiem ów konsul nazywał, podarował mu na początek dziesięć guldenów i postarał się dla niego o umeblowany pokój. U tandeciarza Henryk nabył marynarkę, spodnie, kapelusz, pończochy i buty, wprawdzie używane, ale w dobrym gatunku, gdyż odzienie świadczy o człowieku, nawet gdy jest znoszone.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia Henryk zapadł na silną gorączkę przyraną. Jego gospodyni podejrzewała, że jest to jakaś zaraźliwa choroba, i poradziła swojemu lokatorowi, aby się udał do najbliższego szpitala. Quack zareczył za pacjenta, dał Henrykowi następne dziesięć guldenów i umieścił go w „Siekenhuis”, w szpitalu zakaźnym. Leżało tam w jednej sali ponad stu chorych i nie było dnia, aby nie wyniesiono z niej dwóch albo trzech zwłok.

Święta owego roku 1841 były najsmutniejszymi w życiu młodego Henryka, ale utwierdził się w przekonaniu, że gdy ma się niezbędne zaufanie do siebie samego, to nawet z najgorszego położenia znajdzie się jakieś wyjście, trzeba tylko w to mocno wierzyć. Z Hamburga nadeszła wiadomość, że kupiec Wendt przekazał mu 30 guldenów i polecił go równocześnie kantorowi handlowemu Hoyack i Sp., gdzie otworzył mu kredyt opiewający na dalszych 100 guldenów. Tam miał się Henryk zwrócić.

Już sama ta wiadomość wystarczyła, aby przyspieszyć zdrowienie Schliemanna. Dwa dni po świętach Henryk uiścił dwa i pół guldena za pobyt w szpitalu i udał się do firmy Hoyack i Sp. Wprawdzie Schliemann był niezbyt porządnie odziany, ale — czytamy — „Moja zaklejona plastrami twarz natychmiast podpowiedziała im, kim jestem, i pryncypałowie z miejsca zwrócili się do mnie po nazwisku. Musiałem im opowiedzieć moją historię od A do Z; bardzo mi współczuli i powiedzieli, że Bóg widocznie raz jeszcze wybrał mnie do wielkich zadań, i są pewni, że to moje nieszczęście obróci się w szczęście”.

Hoyack dodał jednak, że nie może zaoferować młodemu człowiekowi posady, gdyż teraz, w okresie zimowym, żegluga zamarła, ale na wiosnę należy się spodziewać ożywienia w interesach, co będzie musiało spowodować zwiększenie personelu. Nie zniechęciło to jednak Henryka i zwrócił uwagę na swą znajomość buchalterii

i umiejętność korespondencji „w czterech językach”, a co do piątego, holenderskiego, to opanuje go w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Hoyack musiał zapewne przyjąć to z niedowierzaniem i miał duże wątpliwości, podał mu jednak z uśmiechem papier i pióro i polecił zredagować w czterech językach list dotyczący handlu wymiennego. Schliemannowi nie zajęło to nawet piętnastu minut, i Hoyack był tak zdumiony, że z miejsca zaangażował go w swoim kantorze. Henryk poprosił o połowę kredytu, który był dla niego otwarty, i się pożegnał.

„Czy był ktoś szczęśliwszy ode mnie? — wspominał Schliemann — poszedłem natychmiast do porządnego sklepu i kupiłem sobie solidną marynarkę, spodnie, kamizelkę, kilka par wełnianych pończoch, koszulę, krawat i tak dalej; następnie wynająłem pokój na Nieuwekijds-Vorburgswall nr 60, na piątym piętrze, gdzie nadal mieszkam, i już następnego dnia zgłosiłem się w biurze moich przełożonych L. Hoyacka i Spółki...”

Pracowali tam głównie obcokrajowcy, Niemcy, Rosjanie, Szwedzi, Hiszpanie, i Henryk czuł się bardzo dobrze w tej gmatwaninie językowej. W przeciwieństwie do Hamburga czy Meklemburgii, w Amsterdamie obowiązywał dość umiarkowany czas pracy. Biuro otwierano o godzinie dziesiątej, szefowie zjawiali się o jedenastej, pracowano do piętnastej, potem godzina na giełdzie, około siedemnastej mała przekąska, od siedemnastej trzydzieści aż do dwudziestej ponownie praca w biurze. Popołudnia w środy i soboty oraz wszystkie niedziele były wolne.

Ponadto panowały tu o wiele bardziej cywilizowane i wytworniejsze stosunki aniżeli w prymitywnych kantorach, jakie Schliemann znał z Hamburga. Dom Handlowy Hoyack i Spółka (za słowem Spółka krył się pruski konsul generalny Wilhelm Hepner) znajdował się na Keizergracht. Do eleganckiego budynku wiodły marmurowe schody. W dużym kantorze zatrudnionych było osiemnastu pracowników i trzech uczniów; handlowano głównie zbożem, towarami kolonialnymi i indygiem; nadto dochodziły transakcje bankowe i spekulacyjne; firma posiadała 31 statków.

Schliemann, pełen dumy, podaje, że „jeżeli chodzi o wielkość, to żaden dom handlowy w Amsterdamie, a nawet, chciałbym rzec, na świecie, nie może się z nami równać, gdyż nie ma drugiego takiego domu, który zatrudniałby tylu pracowników i miałby takie obroty jak nasz. Obracamy setkami tysięcy guldenów, które wpływają i wypływają stąd każdego dnia. Cóż za różnica w porównaniu

II Początek wielkiej kariery

z Fiirstenbergiem, gdzie uważaliśmy się za szczęśliwców, kiedy inkasowaliśmy 30 talarów".

List z 20 lutego 1842, skierowany do sióstr Wilhelminy i Doris, sprawia wrażenie, jakoby Henryk objął z miejsca stanowisko urzędnika kantoru, który starannie ubrany siedzi przy biurku. W rzeczywistości jego pierwsza praca była przypuszczalnie pracą praktykanta, który głównie pełnił obowiązki gońca. W swej autobiografii, wydanej pół wieku później przez jego drugą żonę Zofię, Schliemann jest szczery, kiedy pisze: „W mojej nowej pracy obowiązkiem moim było stemplowanie weksli i inkasowanie ich w mieście, odnoszenie i przynoszenie listów z poczty. Te mechaniczne czynności bardzo mi odpowiadały, gdyż miałem dostatecznie dużo czasu, aby pomyśleć o moim zaniedbanym wykształceniu. Najpierw starałem się przyswoić sobie czytelne pismo, co udało mi się po dwudziestu godzinach nauki, którą pobierałem u znanego kaligrafa Magnee. Następnie, aby osiągnąć lepsze stanowisko, zacząłem się pilnie uczyć języków. Moja roczna pensja wynosiła jedynie 800 franków, z czego połowę wydawałem na naukę, a drugą połowę na dość skromne utrzymanie".

Za umeblowany pokój bez ogrzewania na piątym piętrze przy Nieuwekijds-Vorburgswall nr 60 płacił Schliemann osiem guldenów. Nie było tam żadnego pieca, musiał przeto wynająć u kowala za następne sześć guldenów żeliwnego dziwoląga na węgiel, który dla praktykanta był dość droгим sprzętem. Przyznaje szczerze, że najczęściej drżał z zimna w swojej izbie, mimo podwójnych kalensonów, dwu wełnianych podkoszulków oraz kociey skórki, którą się okręcał i nosił ją nawet w dzień.

Tej pierwszej zimy w Amsterdamie powodziło się Schliemannowi źle, chociaż w swych listach do sióstr nie przyznawał się do tego. Jego śniadanie składało się z papki z mąki żytniej, a obiad, jak pisze później w swej autobiografii, kosztował zawsze tylko kilka fenigów. „Ale nic tak nie pobudza do nauki jak nędza i nadzieja, że dzięki usilnej pracy będzie się można z niej wydobyć".

SKĄPY I OPANOWANY ŻĄDZĄ NAUKI

Młodemu człowiekowi z Meklemburgii nie było łatwo narzucić sobie konieczną dyscyplinę, gdyż przyjemności atakowały człowieka na każdym rogu ulicy. Były teatry, które z powodu dużego napływu cudzoziemców grały każdego wieczoru w pięciu językach.

Wielkie barwne ogłoszenia reklamowały koncerty, wieczory tańeczne i bale maskowe, „ale — pisze Schliemann — wszędzie wejście kosztowało co najmniej trzy guldery, na co nie pozwalała moja aktualna sytuacja finansowa”. Omijał nawet małe, tanie kawiarenki, gdzie można było nawiązać kontakty z amsterdamskimi dziewczętami. Obawiał się, że mógłby się zupełnie spłukać.

Już na początku jego pobytu w Amsterdamie wystąpiła wyraźnie na jaw cecha, która towarzyszyła mu przez całe życie — chorobliwa oszczędność, a nawet skąpstwo, graniczące z umartwianiem się. Jediną rozrywką, na jaką sobie pozwalał, były spacery po mieście po pracy i podziwianie jasno oświetlonych domów i ulic. Czasami kręcił się koło Bramy Harlemskiej, skąd odjeżdżała do Harlemu parowa kolej żelazna; Schliemann marzył wówczas o wielkim, dalekim świecie, a przede wszystkim o dalekiej Japonii, głos wewnętrzny jednak mówił mu: nie powinienesz zostawać w Europie, twoje szczęście znajduje się daleko stąd.

Jeszcze długo nie było mowy o Grecji, Homerze i Troi ani też o nauce greki i łaciny. Młodemu Henrykowi tymczasem nie chodziło o naukę w klasycznym sensie; uczył się języków, aby w ten sposób poprawić swoją pozycję zawodową. W autobiografii pisze: „Ze szczególną pilnością poświęciłem się nauce angielskiego i potrzeba spowodowała, że wymyśliłem metodę, która ułatwia przyswojenie sobie każdego obcego języka. Jest ona prosta; polega na tym, że na początku należy dużo czytać na głos, i to codziennie przez godzinę, pisać wypracowania na interesujące tematy, następnie poprawiać je pod nadzorem nauczyciela, uczyć się tego na pamięć, a potem powtarzać to, co poprzedniego dnia poprawiliśmy. Moja pamięć była słaba, gdyż od młodości wcale jej nie ćwiczyłem; teraz jednak wykorzystuję każdą chwilę na naukę”.

Schliemann uczęszczał na nabożeństwa, w których nie gustował, choć był synem pastora, ale chciał w ten sposób osiągnąć pewien konkretny cel. Chodziło bowiem o zbór angielski, gdzie przysłuchiwał się kazaniom w języku angielskim, a następnie powtarzał w myśli każde słowo kaznodziei. W ten sposób Schliemann w ciągu pół roku opanował całkiem niezłe angielski, a w ciągu następnych sześciu miesięcy poświęcił się francuskiemu.

Ćwiczył swój umysł przez nieustanne uczenie się na pamięć; czynił to idąc ulicą, stojąc w kolejce na poczcie, a nawet wieczorem przed zaśnięciem. Podobno znał na pamięć powieść *Ivanhoe* Szkota Waltera Scotta i sagę rodzinną pt. *Proboszcz z Wakefield* Olivera Goldsmitha. Z dzieł literatury francuskiej miał w głowie w całości

powieść podróżniczą i miłosną *Przygody Telemacha* teologa i pisarza Francois Fenelona i opowiadanie *Paul i Virginia* Jacques--Henri Bernardina de Saint-Pierre. „Przez nieustanną nadmierną naukę — pisał Schliemann — moja pamięć wyćwiczyła się w przeciągu roku tak bardzo, że z łatwością przysła mi nauka holenderskiego, hiszpańskiego, włoskiego i portugalskiego i potrzebowałem tylko sześciu tygodni, aby móc w każdym z tych języków mówić i pisać”.

Te oświadczenia należy przyjmować dość ostrożnie. Jak o tym świadczą kartki z ćwiczeniami oraz listy z tego okresu, Henryk wcale nie opanował tych języków, a również angielskiego i francuskiego, w sposób doskonały. To bowiem granaczyłoby z genialnością; ale niewątpliwie Schliemann posiadał niesłychane uzdolnienia językowe, odkrył je w sobie i zmusił swą pamięć do ogromnych osiągnięć.

Starania w opanowaniu języka rosyjskiego zdecydowały o jego późniejszym losie. Państwo carów na wschodzie było najważniejszym partnerem wszystkich domów handlowych w Amsterdamie, ale prawie żaden z ich pracowników nie opanował tego języka, i w tym dostrzegł Schliemann szansę dla siebie.

Praca gońca w firmie Hoyack i Hepner stała się wkrótce dla niego przykra; jego pracowitość i zapał nie wystarczały ani do awansu, ani do wyższej płacy. Henryk zdecydował się zatem szukać szczęścia w innym kantorze. Dwudziestojednoletni młodzieniec nie miał jednak żadnego wykształcenia i minęły ponad dwa lata, nim znalazł nową posadę. Schliemann został korespondentem i buchalterem w firmie B. H. Schröder i Spółka w Amsterdamie na Heerengracht nr 286. Jego pensja wynosiła 1200 franków.

Bernhard Heinrich Schröder okazał się surowym szefem i jego to zasługa, że poznał się na talencie kupieckim Schliemanna. Dał młodemu człowiekowi z Meklemburgii twardą szkołę, nie cofając się przed pisemnymi upomnieniami. Schröder 6 czerwca 1846 do Schliemanna: „Już na początku i później powtarzaliśmy Panu, żeby nie obiecywał za dużo i nie składał bezsensownych przyrzeczeń, których żaden rozsądny kupiec nie może spełnić. Zmuszeni jesteśmy ponadto prosić Pana, aby w swej korespondencji nie formułował wobec nas żadnych poleceń. Sami wiemy, co mamy robić, a czego nie. Pozwala Pan sobie na rzeczy niestosowne. Ponadto przypisuje Pan sobie nadmierny wpływ i władzę, czego wcale nie podzielamy, i życzymy sobie, aby Pan, zważywszy swoje sangwiczne usposobienie, nigdy się zbytnio nie łudził...”

Schliemann przyjął krytykę szefa, gdyż cenił Schródera jako człowieka interesu. Nie wziął jej sobie jednak zbyt do serca. Tak więc osiem miesięcy później nadeszło drugie upomnienie, tym razem od holenderskiego wspólnika Johna Henry'ego Schródera: „Znamy Pana i żywimy nadzieję, że zostanie Pan kiedyś wykształconym i mile widzianym członkiem społeczeństwa. I że kiedyś Pan, co jest absolutnie konieczne, nabędzie praktycznej kupieckiej wiedzy i dla siebie samego zdobędzie zaszczytne stanowisko w kupiectwie i w ogóle na świecie, stając się pożyteczny dla siebie samego i dla przyjaciół. Ale teraz niech mi Pan nie weźmie tego za złe, ale uważam, iż przecenia Pan samego siebie, marzy o swych niezwykłych dokonaniach i zasługach, którymi nas zarzuca, przybiera Pan zarozumiały ton i wyraża wobec nas absurdalne pretensje, zapominając, że nasze interesy idą dobrze i bez Pana...”

Powodem arogancji Schliemanna była zapewne jego szybka kariera. Jeszcze bowiem przed dwoma laty pełnił obowiązki gońca, teraz zaś działał samodzielnie dla domu handlowego, w jego biurze zatrudnionych było piętnastu pisarzyków i w pewnym sensie był on istotnie niezbędny dla firmy Schröder i Spółka, gdyż znał język rosyjski.

PRZYGODY TELEMACHA — PO ROSYJSKU

Opanowanie języka rosyjskiego było dla Schliemanna, tak jak wiele dokonań w jego życiu, przygodą. Rozpoczął ją, przetrząsając wszystkie antykwiariaty w Amsterdamie w poszukiwaniu książek rosyjskich. Wynikiem tych poszukiwań był leksykon rosyjski i przekład *Przygód Telemacha*, które już znał na pamięć, ale po francusku. W Amsterdamie nie było nauczyciela języka rosyjskiego, toteż wszystko, co było niezbędne, Schliemann przyswoił sobie sam za pomocą tych książek. W każdym razie doszedł do tego, że mógł czytać rosyjskie teksty.

Pomocni w opanowaniu rosyjskiej wymowy byli kupcy rosyjscy, którzy przyjeżdżali do Amsterdamu na aukcje indyga. Schliemann sam przyznawał: „Ponieważ nie było nikogo, kto by poprawiał moje wypracowania, a były one bez wątpienia bardzo złe, starałem się drogą praktycznych ćwiczeń poprawiać moje błędy w ten sposób, że uczyłem się na pamięć rosyjskiego przekładu *Przygód Telemacha*. Wydawało mi się, że poczynię szybsze postępy, jeśli

będę mógł je komuś opowiadać. Zaangażowałem przeto pewnego ubogiego Żyda, który za cztery guldeny tygodniowo przychodził do mnie każdego wieczoru i musiał wysłuchiwać moich deklamacji, nie rozumiejąc ani słowa".

Tygodniami i miesiącami połowa domu na Nieuwekijds-Vorburgswall nr 60 uczyła się wraz ze Schliemannem przygód Telemacha. Ściany i stropy domu były bowiem cienkie jak papa. W każdym razie lokatorzy twierdzili, że w piwnicy słyszano, co mówi się na trzecim piętrze. Wszystkie domy w Amsterdamie budowano w ten sposób i doszło do tego, że podczas nauki rosyjskiego Schliemann musiał dwukrotnie zmieniać mieszkanie. Potem dumny napisał swój pierwszy list po rosyjsku do Wasilija Płotnikowa, agenta londyńskiego, pracującego dla rosyjskiego kupca indyga M. P. N. Malutina, i otrzymał szybką odpowiedź również po rosyjsku. Natomiast Schröder nie znał zupełnie rosyjskiego, tak samo jak żaden z pozostałych pracowników kantoru.

Schliemann czytał z zapalem wszystkie zagraniczne dzienniki, jakie wpadły mu w ręce, wykorzystywał wiadomości, jeżeli mogły mu być przydatne dla firmy; wciągał się w interesy i możliwości zarobku w handlu cukrem z Jawy, Hawajów i Surinamu, handlu bawełną, ryżem, tytoniem i indygiem, szczególnie indygiem. Schröder z trudem hamował żądzę czynu młodego człowieka i jego coraz bardziej uwytatniającą się zarozumiałość.

Wprawdzie małego wzrostu Schliemann przywiązywał wagę do wytwornej odzieży, ale mylił się ten, kto myślał, że będzie on żył w luksusie, odkąd Schröder przyznał mu za jego osiągnięcia dodatek w wysokości 800 guldenów. Henryk zachował skłonność do skąpstwa, która dana mu była już od młodości i której nie pozbył się aż do śmierci.

Z rachunków jego gospodyni z dnia 11 i 12 maja 1845 roku:

11 maja 1845:	2 bułki	10 fl.
	1 chleb	20 fl.
	2xjałowcówka	13 fl.
	1/2 1 jałowcówki	32 fl.
12 maja:	2,5 uncji masła	25 fl.
	5 bułek	22 fl.
	1/2 uncji herbaty	20 fl.
	5 uncji cukru	35 fl.
	razem tygodniowo	3,75 guldenów

Schliemann żył według zasady: jak cię widzą, tak cię piszą. Wydawał więc dużo pieniędzy na odzież wierzchnią, natomiast nie zważał na bieliznę.

Raczej spartański tryb życia umożliwił młodemu Schliemannowi przesyłanie znacznej części oszczędności rodzinie. Ta gotowość niesienia pomocy najbliższym jest jedną z zagadkowych cech, które trudno jest włączyć do ogólnego obrazu jego charakteru. Nawet ojca, którego nienawidził, gdyż obwiniał go o przedwczesną śmierć matki, wspomagał przekazami pieniężnymi, mało, pewnego razu przesłał starym pijakowi dwie baryłki wina Bordeaux.

Przez całe życie Schliemann wspomagał finansowo zarówno ojca, jak i siostry i braci. Nieregularnym zasiłkom towarzyszyły zawsze upomnienia do usilnego oszczędzania.

W owym czasie, w połowie lat czterdziestych ubiegłego stulecia, Henryk Schliemann pragnął zostać hurtownikiem w Rosji. Pragnął, tak jak jego szef Schröder, handlować i spekulować towarami, które zapewniałyby wielki zysk, szczególnie indygiem, tym ciemnoniebieskim proszkiem z Indii i Chin, którego używano do farbowania wełny i bawełny.

Pomysł nie był wcale taki nierealny. Pierwszy biograf Schliemanna, Emil Ludwig, któremu druga żona Schliemanna Zofia udostępniła całą atęską spuściznę po mężu, odkrył wśród bogatej korespondencji następujący list odręczny rosyjskiego hurtownika Żiwago:

„Podczas mojej rozmowy z Panem zwróciłem uwagę na Pańską chęć zrobienia kariery kupca w Moskwie... mianowicie jako agent pana B. H. Schrodera i Spółki. Ponieważ jednak nie ma Pan w naszym mieście znajomości ani ludzi, którzy znają moskiewskie środowisko kupieckie, jest Pan ostrożny i nie chce darmo tracić pieniędzy. Znając owe trudności, przedkładałem Panu niniejszym propozycję przystąpienia do spółki ze mną na następujących warunkach: Otworzymy w Moskwie dom handlowy pod firmą Żiwago i Schliemann, a ja przekażę Panu sumę 50-60 tysięcy srebrnych rubli pod warunkiem, iż będzie Pan również agentem firmy Schröder i Spółka, a może i innych domów handlowych. Podział zysków, kontrakt na pięć, sześć lat”.

W owym czasie adresat tego pisma miał właśnie 24 lata. Dla czego odrzucił tak wspaniałomyślną ofertę, nie zostało wyjaśnione. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Henryk Schliemann do czegoś w życiu doszedł.

III

NIEBIESKIE RUBLE, ŻŁOTE DOLARY

 Nie jest wskazane gniewać się na rzeczy.
 One się o nic nie troszczą. Ale jeśli ten, kto
Na nie natrafi, uporządkuje je, dobrze na tym wychodzi.

Eurypides

St. Petersburg, koniec stycznia 1846

W szesnaście dni przebył Henryk Schliemann łodem nie kończącą się trasę z Amsterdamu do St. Petersburga; szesnaście dni w przewiewnych zaprzęgach, a częściowo saniami.

Rosja, czterdziestomilionowe państwo na wschodzie, była dla Europejczyków czymś tajemniczym i niezwykłym. Tylko kupcy znajdowali niekiedy uciążliwą drogę do nabrzeży Newy i Moskwy. Otwierało się tu przed nimi szerokie pole do działania, rynek, który nie dorównywał rynkom środkowoeuropejskim. „W interesie panów B. H. Schródera i Sp. w Amsterdamie, Antona Schródera i Sp. w Le Havre, A. B. C. M. Schródera w Trieście, St. van Lennepa i Sp. w Smyrnie, Schródera i Sp. w Rio de Janeiro, G. H. i P. D. Schródera w Bremie i B. H. Schródera w Hamburgu” załatwiał Schliemann w Petersburgu rozmaite sprawy „i zarówno tu, jak i w Moskwie — pisał — moje starania w czasie pierwszych miesięcy zostały uwieńczone sukcesem, przerastającym oczekiwania zarówno moich szefów, jak i moje własne”.

Schliemann, który znał bardzo dobrze sytuację na światowych rynkach z czasów pracy w centrali Schródera w Amsterdamie, zauważył wkrótce, że w sercu Europy brak było towarów, których Rosja miała w nadmiarze, i dlatego uzyskiwały one tam wysoką cenę. I odwrotnie, towary z Europy środkowej można było sprzedawać w Rosji z dużym zyskiem. Schliemann popadł w upojenie kupnem i sprzedażą, tak że mimo korzystnych transakcji B. H. Schröder musiał hamować jego zapał. Schröder do Schliemanna: „Jeśli chce Pan znać moją radę i kierować się nią, to pragnę jej Panu udzielić. Mieszka Pan w St. Petersburgu i jeździ stamtąd

do Moskwy. Proszę więc tak to urządzić, aby żyć oszczędnie i nie wydawać niepotrzebnie ani kopiejki, szczególnie na..."

Stawiając te kropki, Schröder miał zapewne na myśli kobiety lekkich obyczajów, jakich nie brakowało podówczas w miłującym życie St. Petersburgu. Tam wciąż jeszcze obowiązywał zakaz cara Aleksandra I, który zabraniał noszenia okrągłych kapeluszy i surdutów z połami, organizowania przyjęć i spotkań towarzyskich bez zgody cara, a poza stolicą gubernatora prowincji.

Być może, iż upomnienia Bernharda Schródera padły na żyzny grunt, a może był to tylko przypadek, w każdym razie Schliemann w owym czasie podjął ważny krok w kierunku zmiany swego życia. Jego zamiar dziwi tym bardziej, że ów młody karierowicz nie zdradzał dotychczas zbytńich skłonności do kobiet. Oczywiście wytrzeszczał oczy na wystrojone panie z półświatka w salonie Petera Mullera w Hamburgu, o której to „przygodzie" pisał do swoich sióstr. Uwielbiał również żonę swego dawnego szefa Wilhelma Hepnera, która była córką kierownika firmy Hoyacka, „gdyż jest młodą, piękną kobietą"; kiedy zaś Hepner był w podróży służbowej, przychodził do niej dwa razy w tygodniu na obiad. Poza tym jednak brak jakiegokolwiek wzmianki, że Schliemann miał wówczas takie czy inne bliższe kontakty z kobietami. Jego jedyną rozrywką były regularne wieczorne spaceru, o czym pisał w listach do sióstr Wilhelminy i Doris, oraz podziwianie oświetlenia ulic i peruk w sklepie fryzjerskim, które pięknie uczesane obracały się na zadziwiających podstawkach.

CHYBIONE OŚWIADCZYŃY

Pewny siebie, arogancki z powodu pierwszych sukcesów w Petersburgu, Henryk uczynił nieoczekiwany krok: Zwrócił się do zaprzyjaźnionego Carla Ernsta Laue, nadwornego muzyka w Neustrelitz, opisał mu swoją znakomitą sytuację materialną i poprosił, aby ten zechciał w jego imieniu poprosić Meinckego o rękę jego córki Minny, przyjaciółki Henryka z lat dziecińnych.

Cztery tygodnie później nadeszła do St. Petersburga wiadomość, że dwudziestosześcioletnia Minna przed kilku dniami poślubiła starszego od niej o dwadzieścia lat dzierzawcę majątku ziemskiego.

Henryk i Minna podobno przyrzekli sobie w dzieciństwie, iż się pobiorą, ale potem nie widzieli się przez dziesięć lat, a Schlie-

III Niebieskie ruble, złote dolary

mann nigdy do Minny nie napisał, tak iż mogła uznać, że zapomniał o dziewczynie z dalekiego Ankershagen. Był to największy cios, jaki mu los zadał — tak w dramatycznych słowach określił Schliemann swoje niepowodzenie.

W autobiografii pisze: „Czułem się całkowicie niezdolny do jakiegokolwiek działania i leżałem złożony niemocą. Nieustannie przywoływałem w myślach wszystko, co wydarzyło się w naszym dzieciństwie, wszystkie nasze słodkie marzenia i wspaniałe plany, do których realizacji mam teraz tak znakomite możliwości; ale jak mam o tym myśleć bez udziału Minny? Czyniłem sobie gorzkie wyrzuty, że nie zabiegałem o jej rękę jeszcze przed wyjazdem do St. Petersburga, ale wciąż sobie powtarzałem, że tylko bym się ośmieszył. Przecież wówczas w Amsterdamie byłem jedynie subiektem handlowym, całkowicie zależnym od humoru moich szefów, i nie miałem żadnej pewności, że poszczęści mi się w Petersburgu; przecież zamiast powodzenia mogła mnie tam spotkać całkowita klęska. Wydawało mi się niemożliwe, aby Minna mogła być szczęśliwa u boku innego mężczyzny, a także, abym ja mógł sprowadzić do domu inną kobietę. Dlaczego okrutny los musiał ją ode mnie oderwać w chwili, kiedy po szesnastu latach starań w końcu miałem nadzieję, że ją zdobędę? W rzeczywistości obojgu nam zdarzyło się to, co ma zazwyczaj miejsce w snach, kiedy wyobrażamy sobie, że niezmordowanie za kimś zdążamy, a gdy już nam się wydaje, że go dogoniliśmy, ponownie nam się wymyka”.

Ten chybiony krok miał nieprzewidziane następstwa w życiu Schliemanna i nasuwa się pytanie, co by się stało, gdyby Henryk istotnie ożenił się z Minną w 1847 roku? Przypuszczalnie byłoby to dobre małżeństwo, a Schliemann nie ożeniłby się ani z Rosjanką Jekateriną Pietrowną, ani z Greczynką Zofią Engastromenos. Obie te kobiety skierowały Schliemanna na drogę, która doprowadziła go do odkopania Troi i odkrycia skarbu Priama.

Swoją nieszczęśliwą miłość do Minny Meincke, która po zamążpójściu nazywała się Richers, Schliemann później niewątpliwie wyolbrzymiał. Niemniej Minna pozostała przez całe życie jego marzeniem. Schliemann żył marzeniami i zwykł był przelewać je z duszy na papier. Jeden z najbardziej wzruszających listów pochodzi z 1861 roku, a więc z okresu, kiedy Schliemann już dziesięć lat pozostawał w nieszczęśliwym związku z Jekateriną. Skierowany był do Lentza, przyjaciela z czasów praktyki w Fiirstenbergu. Wraz z listem Henryk przesłał mu swoje dwie fotografie, jedną dla niego,

drugą dla Minny. Pisał wówczas: „Proszę powiedzieć *Pannie* Minnie, że sprawi mi wielką radość, jeśli prześle mi swoją fotografię; każe ją oprawić w ramki ze szczerego złota i zawieszę nad moim biurkiem. Proszę również powiedzieć, że Jej fotografia, przedstawiająca obiekt mojej pierwszej miłości, a przez to stanowiąca wspomnienie najszcześniejszych chwil mego życia, będzie odąd najpiękniejszą i najcenniejszą ozdobą mego domu, a także to, iż zasługuję na ten dar, gdyż ani oddalenie, ani czas nie są w stanie wymazać we mnie wspomnień o Niej, i że zaprzętała Ona stale moje myśli, czy to podczas szalejącego orkanu na środku oceanu, czy też w nawale interesów handlowych, w zmartwieniach, a także w zgiełku uciech. Kiedy byłem biedny i nieszczęśliwy, duma zabraniała mi zabiegać o Nią, a kiedy się bogaciłem, nadzieja, że będę mógł ją zdobyć, uskrzydlała mnie, dodawała energii i torowała drogę do bogactwa i poważania; kiedy zaś to wszystko osiągnąłem na przełomie 1847/1848 roku, natychmiast napisałem do H. Lauego w Strelitz, aby w moim imieniu poprosił Minnę o rękę; otrzymałem jednak wiadomość, która napełniła mnie rozpaczą, mianowicie że wyszła właśnie za mąż za dzierżawcę majątku. Gdyby tak się nie stało, Minna byłaby już od trzynastu i pół roku lat panią Schliemann, a od trzech lat panią radczynią i obywatelką rosyjską". W tej rozpacz Schliemann rzucił się jeszcze bardziej w wir pracy. W poszukiwaniu nowych rynków energiczny młody kupiec jeździł do Moskwy; szukając nowych towarów natrafił na saletrę służącą do sporządzania materiałów wybuchowych, na potas do produkcji mydła, na drewno budowlane, wino reńskie z Niemiec i kamienie szlachetne z Rosji. Najlepszy interes można było zrobić oczywiście na indygu, niebieskim proszku farbiarskim. W samym tylko Petersburgu pracowały trzy duże tkalnie bawełny, które rosyjskie przepisy celne chroniły przed zagraniczną konkurencją. Ich zapotrzebowanie na proszek do farbowania tkanin z trudem można było zaspokoić.

Ożywiona działalność handlowa Schliemanna i jego męczące podróże (przy 40-stopniowym mrozie z Petersburga do Moskwy odkrytymi saniami) doprowadziły w końcu do załamania fizycznego. Kiedy dowiedział się o tym ojciec, przypuszczał, że Henryk zaraził się cholera, i mimo że zawsze od niego stronił, udzielił mu listownych rad. Syn podziękował mu, zapewniając, że chodzi tu o niedomaganie spowodowane nadmierną pracą. Cholery się nie obawia i uważa, że jest na nią uodporniony; kiedy jednak wybije jego godzina, przypomni sobie o zalecanych przez ojca środkach.

III Niebieskie ruble, złote dolary

Schliemann z przesadną gorliwością pisał również listy; było to dosłownie jego pasją, a nawał korespondencji rósł z roku na rok. Z roku 1846 pochodzi 400 listów, w 1847 r. Schliemann napisał ich aż 602; były wśród nich również listy wielostronicowe, i to w czterech językach.

Dnia 16 lutego 1848 r. Schliemann donosi swemu ojcu: „Stojąc od wczesnego ranka do późnego wieczora przy moim biurku, pogrążony w głębokim rozmyślaniu, niezależnie czy z korzyścią, czy też ze stratą dla moich zleceniodawców lub konkurentów, nad tym, jak by tu jeszcze bardziej wypchać mój worek pieniędzmi, czuję się o wiele mniej szczęśliwy niż wówczas, kiedy stojąc za ladą w Fiirstenbergu rozmawiałem z taczkarzami rozwożącymi ryby o wszystkim i o niczym, czy też później, kiedy co tydzień jeździłem z Rostocku do Bentwisch do chirurga”.

DWUDZIESTOPIĘCIOLETNI SCHLIEMANN GŁOWĄ RODZINY

Kupiec odnoszący sukcesy nie był jednak szczęśliwy. Być może nie przezwycięzył jeszcze szoku z powodu zamążpójścia Minny; dokuczala mu także tęsknota za domem rodzinnym. Minna była dla niego nie tylko młodzieńczą miłością, stanowiła też kawałek ojczyzny, do której nie miał dostępu z oddalonego St. Petersburga. W czasie podróży w interesach, która prowadziła z Petersburga do Lubeki, Hamburga, Bremy, Amsterdamu, Rotterdamu, Londynu, Liverpoolu, Manchesteru, Havru, Paryża, Brukseli i wreszcie Renem do Niemiec, Schliemann świadomie ominął *rodzinną* Meklemburgię.

Schliemann, zaledwie dwudziestopięcioletni, ale już dobrze zarabiający kupiec, uważał się teraz za głowę rodziny. Ojciec, którego społeczna degradacja z powodu jego sposobu życia zdawała się jeszcze bardziej rzucać w oczy, wcale nie miał nic przeciwko temu, wprost przeciwnie, dopóki dzielny syn pomagał mu finansowo, okazywał mu podziw i był nawet gotów przyjmować jego życzyliwe rady.

Henryk żywił głębokie przywiązanie do swych siostr, braci zaś otaczał dyktatorską wprost opieką. Najpierw sprowadził do siebie do Petersburga szesnastoletniego Pawła, aby zrobić z niego dzielnego kupca. Jak sam mówił, za pięć, sześć lat zamierzał go ożenić

z jakąś Rosjanką i zapowiedział, że będzie dla niego nie tylko bratem, ale również ojcem.

Z bratem Ludwikiem, o rok młodszym od Pawła, Henryk chciał postąpić podobnie. Załatwił mu posadę w kantorze Schrödera w Amsterdamie. Nie chciał go mieć w St. Petersburgu, gdyż stosunki między nimi nie były najlepsze. Henryk uważał, że Ludwik jest głupi, uparty i zarozumiały; mimo to pomagał mu wspaniałomyślnie w pierwszych miesiącach pobytu w Amsterdamie. Nawet kiedy Ludwik, wbrew woli Henryka, postanowił wyemigrować do Ameryki, przesłał mu 100 guldenów; przekraczało to opłatę za przejazd statkiem w 2 klasie. „Pozwól, aby między nami zapanaowały dawne przyjazne stosunki i żebyśmy mogli się nawzajem swobodnie wypowiadać — pisał Ludwik w swym pożegnalnym liście — ...być może nie zobaczę już nigdy Europy”. Co do tego — miał rację.

Przez Nowy Jork, gdzie na krótko się zatrzymał, po pełnej przygodzie podróży statkiem wokół przylądka Horn, w kwietniu 1848 roku Ludwik dotarł do Kalifornii. Rok wcześniej Stany Zjednoczone nabyły od Meksyku Kalifornię i ogłosiły ten rozległy kraj wolnym od niewolnictwa trzydziestym pierwszym stanem Unii. Przypadek czy też nie, ale właśnie w tym czasie znaleziono w rzece Sacramento złoto, i z całego świata zaczęły napływać setki tysięcy „rycerzy szczęścia”.

Brat Schliemanna Ludwik przyłączył się do innych żądnych przygod ludzi, zakupił muły i konie i wyruszył z towarzyszami nad Trinity River, oddalonej od Sacramento o 300 mil. Tam, w Sierra Nevada, żyli Indianie, którzy kazali sobie słono płacić za prawo poszukiwania złota. Ale i tak po potrąceniu wszelkich kosztów Ludwik w ciągu pierwszych dwu miesięcy zarobił 420 dolarów, to jest 700 talarów, a więc okazałą sumę, którą złożył w banku Priest Lee i Spółka.

Henryk Schliemann, dla którego najważniejszy w życiu był sukces, zrewidował swój sąd o Ludwiku, kiedy dowiedział się o zarobkach młodszego brata. Dotychczas uważał go za nicponia, a teraz brat mu zaimponował. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak ciężko musiał pracować poszukiwacz złota w Kalifornii. Dwie trzecie poszukiwaczy szczęścia rezygnowało już po tygodniu, a znaczną liczbę Europejczyków wykańczała gorączka i epidemie. Równie surowe jak klimat były też tamtejsze obyczaje. Kopacze nie znali ani prawa, ani ustaw, kradzież i nieuczciwość przy dzieleniu urobku karano przez powieszenie. Ludwik Schliemann pisze o swym życiu

III Niebieskie ruble, złote dolary

poszukiwacza złota:tutaj bardzo łatwo jest umrzeć, niezwykle szybkie zmiany temperatury powodują zaziębienia. Pierwsza połowa nocy jest przyjemna i ciepła, potem następuje gęsta mgła, a tuż przed świtem przychodzi lodowate zimno. W dzień jest okropnie gorąco, a od godziny 12.00 do 2.00 w ogóle nie można pracować. W wykopach przebywa się od rana do 11.00, potem idzie się do namiotu, gotuje, czyści złoto i śpi godzinę; o 2.30 idzie się znów do pracy, która trwa do zachodu słońca. Jestem silny i myślę, że mógłbym stać w wykopie nawet w porze deszczowej...

Sacramento, 25 września 1843, City Hotel, o godzinie 9 wieczorem".

Częściowo przesadzone wiadomości od brata o sukcesach („Wczoraj widziałem dwóch marynarzy, a każdy z nich miał więcej niż 40 funtów złota”) spowodowały, że Henryk się zadumał. Wietrzył w Nowym Świecie dobre interesy i prosił brata o informacje na temat bankowości i stóp procentowych w Stanach Zjednoczonych.

HENRYKA CIĄGNIE DO AMERYKI

Dla potencjalnego inwestora jak Henryk Schliemann Ameryka w połowie ubiegłego stulecia była rzeczywiście krajem o nieograniczonych możliwościach. San Francisco miało 30 tysięcy mieszkańców, a Sacramento 16 tysięcy. Szukali tam szczęścia nie tylko kopacze złota, ale również spekulanci; ci kupowali złoto po niższej cenie i sprzedawali po wyższej. Kawałek ziemi nad Sacramento River kupiony za 500 dolarów przy odrobinie szczęścia wart był po roku już 30 tysięcy dolarów. Nic dziwnego zatem, że Henryk długo się nie namyślał i postanowił zainwestować w Ameryce.

Decyzję tę ułatwiły mu zmiany na polu zawodowym. Schliemann wymówił pracę w firmie Schröder i Spółka, od której uzyskał pół procent od obrotu, i usamodzielniał się. Co prawda nadal współpracował ze Schroderem, ale już na własny rachunek. Nie potrzebował więc prosić o zgodę na realizację swego amerykańskiego projektu i nie musiał już znosić krytycznych uwag surowego pryncypała.

Kiedy wiosną 1850 roku urwał się nagle kontakt listowny z bratem, Henryka ogarnął niepokój. Co miał czynić? Podróż do Kalifornii potrwałaby co najmniej 21 miesiące. Dnia 20 lipca Schliemann otrzymał list z Nowego Jorku; jego nadawcą był bankier

C. D. Behrens. Do listu dołączony był wycinek z gazety w Sacramento: „Dnia 21 maja w wieku 25 lat zmarł w Sacramento City na gorączkę tyfusową pan Louis Schliemann z Niemiec, ostatnio zamieszkały w Nowym Jorku”.

Ludwik w drodze do kopalni przejeżdżał konno przez rzekę, której prąd go porwał. Udało mu się wprawdzie przedostać na drugi brzeg, ale nie miał zapasowej odzieży i przemoczony spędził całą noc w zimnie. Dostał wysokiej gorączki, która nie opuszczała go i trzęsła przez 12 dni i nocy. Bez żadnych środków do życia, gdyż zarówno koń, jak i bagaż zaginęły podczas przeprawy przez rzekę, Ludwik pracował w wykopie, póki nie znalazł 2 uncji złota, które umożliwiły mu udanie się do Sacramento. Zmarł tam po wizycie u lekarza.

„Mimo iż w moim życiu wiele wycierpiałem i przetrzymałem i potrafiłem łatwo pogodzić się z nieszczęściem — pisał Henryk w dniu, w którym otrzymał tę tragiczną wiadomość, do swego kuzyna Wachenhusena — to bardzo przygnębiła mnie śmierć mego ukochanego brata i nie potrafię opisać Ci mego bólu i smutku”. Ale ten na pozór głęboki żal już wkrótce okazuje się wątpliwy; Henryk bowiem pisze dalej: „...Ludwik dzięki swej mozolnej pracy i wytrwałości doszedł do czegoś. Już po paru miesiącach pobytu w Kalifornii zarobił *co najmniej* 7000 talarów...” Dla Henryka Schliemanna życie to saldo wyciągu z konta bankowego.

Czy chodziło o pieniądze, które brat pozostawił w Kalifornii, czy też był to pomysł, aby w dalekiej Ameryce zarobić jeszcze więcej pieniędzy niż w Rosji? A może jeszcze jakiś inny powód zdecydował, że Schliemann tak szybko był gotów opuścić St. Petersburg. Była nim blondynka Zofia Hecker; pochodziła z Niemiec, ale mieszkała z rodzicami w St. Petersburgu. Henryk poznał ją rok po rozczarowaniu, jakie zgotowała mu Minna. Kochał i poważał Zofię, gdyż, jak przyznał, znała ona trzy europejskie języki, pięknie grała na fortepianie, a ponadto była bardzo oszczędna. Henryk pisał do swoich sióstr: „Znajduję się na szczycie szczęścia, cóż za słodka rekompensata po tylu cierpieniach... dzięki temu możemy się stać bogaci”.

Henryk i Zofia zamierzali się pobrać. O małżeństwie z miłości z jego strony nie mogło być mowy, raczej o małżeństwie z rozsądku lub małżeństwie zastępczym, skoro nie mógł mieć Minny. Na szczęście dla Henryka, na jednym z wielkich spotkań towarzyskich pojawił się pewien bliżej nie znany oficer, któremu Zofia bez żadnych zahamowań rzuciła się na ozdobioną orderami pierś. Niskiego

III Niebieskie ruble, złote dolary

wzrostu Henryk nie mógł się niczym przeciwstawić żołnierskiemu urokowi. Po gwałtownej scenie zazdrości dał za wygraną. Jako uzasadnienie zerwania podał, że Zofia jest jeszcze „zbyt młoda i płocha”, starał się nie okazywać swego smutku, tym bardziej że miał już na oku następczynię: „Jest to piękna i bardzo mądra Rosjanka, ma niewielki, bądź nawet żaden, majątek” — pisał.

Za zawodowymi sukcesami Henryka ukrywało się fiasko w życiu osobistym. Miał 28 lat, a nie posiadał jeszcze stałej partnerki. Co najmniej teraz musiał już dojść do przekonania, że nie ma zbyt wielu atutów w walce o kobietę. Niski wzrost, duża głowa; nie pomógł tu nawet surdut z najlepszego sukna uszyty przez najlepszego krawca w Petersburgu.

Schliemann zwrócił się listownie do Nowego Jorku do bankiera C. D. Behrensa z zapytaniem, jakie są możliwości zainwestowania kapitału w Ameryce. Nie on sam, lecz jego przyjaciel zamierza zainwestować 30 tysięcy dolarów. Nie jest jasne, dlaczego Schliemann nie przyznał się, że to on jest tym zainteresowany. Być może nie chciał się przyznać, że on, kupiec pierwszej gildy z St. Petersburga, nie ma pojęcia o interesach pieniężnych w Stanach Zjednoczonych.

„Chodzi tu o pewnego młodego człowieka — tak pisał o ewentualnym inwestorze — który posiada dużo energii i zapału oraz znakomitą znajomość interesów; niewątpliwie dałby sobie radę w Ameryce nawet bez pieniędzy; natomiast jechać tam z pieniędzmi uważam za zbyt niebezpieczne i obawiam się, że mój przyjaciel mógłby stracić majątek”.

Ledwie Schliemann doszedł do pewnego bogactwa, ogarnął go lęk, że straci je wskutek nieostrożności. Tą obawą podyktowane są również jego rady, skierowane do sióstr wraz z przekazem na 2 tysiące marek. Łączy to z upomnieniem: „Złóżcie te pieniądze w kasie oszczędności i obchodźcie się z nimi ostrożnie, mając stale na względzie, że prędzej czy później nadejdzie «czarna godzina». W życiu człowieka bowiem szczęście szybko zamienia się w nieszczęście, a radość w cierpienie”.

DWA TYGODNIE BEZRADNY NA ATLANTYKU

Nie czekając na odpowiedź z Nowego Jorku, z 50 tysiącami talarów (ponad 30 tysięcy dolarów) w kieszeni wyruszył Henryk Schliemann 10 grudnia 1850 roku w podróż do Ameryki. Najpierw

pojechał do Amsterdamu, następnie do Liverpoolu, gdzie wsiadł na pokład parowca „Atlantic”; był to nowoczesny luksusowy statek o wyporności 3 tysięcy ton, zabierał na pokład 150 pasażerów, miał trzy salony wykładane mahoniem i wygodnie urządzone kajuty.

Wydaje się jednak, że Schliemann był na stopie wojennej z Posejdonem, gdyż w dniu swych 29 urodzin, 6 stycznia 1851 roku, w połowie drogi między Liverpoolem a Nowym Jorkiem na morzu rozszalał się huragan, a wieczorem fale roztrzaskały ster. Parowiec niezdolny do manewrów miotał się na wzburzonym morzu. Przez cztery dni i cztery noce kapitan West wraz z załogą próbował bezskutecznie założyć prowizoryczne żagle. Sztorm pchał statek na powrót w kierunku wschodnim. Ponieważ nie było wiadomo, dokąd pogna statek i jak długo będzie trwała ta odyseja, kapitan racjonował żywność; zamiast czterech posiłków były tylko dwa; i tylko dzięki temu załoga i pasażerowie mogli przetrwać 70 dni.

Dnia 22 stycznia, w dwa tygodnie po katastrofie, pojawiły się na horyzoncie brzegi Irlandii i kapitan zasygnalizował awarię. Wreszcie holownik przyciągnął statek „Atlantic” do portu w Queenstown. Dnia 23 stycznia Schliemann cały i zdrowy znalazł się w Liverpoolu, skąd przed trzema tygodniami wyruszył w podróż. Zatrzymał się w hotelu „Adelphi” i rozmyślał, co robić dalej.

Armator Brown, Shipley i Spółka zapłacił 35 funtów za przetransportowanie statku na europejski ląd, a Schliemann nosił się z zamiarem zrezygnowania z amerykańskiej przygody. Uratował swe pieniądze i wołał teraz najpierw odwiedzić w Amsterdamie Schródera. W drodze skorzystał z najnowszego wynalazku, z kolei żelaznej, która przewiozła go do Dover. W przedziale zetknął się z niejakim panem Duke, z zawodu budowniczym okrętów. Ów mężczyzna opowiadał, jakie zyski może w Kalifornii osiągnąć człowiek interesu. Schliemann zmienił przeto zamiar, niezłomnie jednak postanowił najpierw pojechać do Amsterdamu, aby porozmawiać ze Schróderem, na którego zdaniu zawsze polegał, a dopiero potem udać się do Ameryki.

Dnia 1 lutego znalazł się ponownie na morzu, tym razem na pokładzie parowca „Afryka”. Statek ten, zabierający 115 pasażerów, był znacznie mniej komfortowy niż uszkodzony „Atlantic”. Morze było równie wzburzone jak podczas pierwszego rejsu, ale 15 lutego na horyzoncie pojawił się Nowy Jork. W porcie zgromadziły się tysiące ludzi oczekujących na wiadomości o „Atlanticu”. Oficer „Afryki”, zanim jeszcze statek przycumował do brzegu, wołał przez tubę: „Atlantic został uratowany!”

III Niebieskie ruble, złote dolary

Kiedy Schliemann zdążył do hotelu „Astoria”, najelegantszego i największego w Nowym Jorku, widział po drodze, jak gazeciarze sprzedają dzienniki, i słyszał, jak wykrzykują tę wiadomość jako sensację. Henryk wynajął pokój wraz z pełnym utrzymaniem po dwa i pół dolara za dobę. Wytworna amerykańska kuchnia bardzo przypadła do gustu Meklemburczykowi, który nie był rozpieszczany zarówno ojczystą, jak i rosyjską kuchnią. Podawano tu na śniadanie jajka na szynce, na obiad langusty, rozbeł i indyka, a na kolację był zimny bufet.

Schliemann pisał w swym amerykańskim dzienniku: „Nowy Jork jest bardzo symetrycznie zabudowanym, pięknym, czystym miastem, z wieloma eleganckimi, a nawet olbrzymimi domami. Jest to jednak nowe miasto i z architektonicznego punktu widzenia nie wytrzymuje porównania z wielkimi stolicami europejskimi. Domy są zbudowane przeważnie z cegieł i nie otynkowane. Największą i najelegantszą ulicą jest Broadway, długości trzy i pół mili, ciągnąca się przez całe miasto. Znajdują się tam cztery teatry; są one niewielkie i źle wyposażone, gdyż głęboko zakorzeniony u Amerykanów zmysł przedsiębiorczości nie ma dla teatru zbyt wiele zrozumienia. Jedynym miejscem, gdzie można się zabawić, jest muzeum Barnuma; tam czekają na człowieka wszelkiego rodzaju uciechy. Często chodzi się na koncerty muzykantów objazdowych, przeważnie Murzynów, którzy grają, śpiewają i bawią publiczność rozmaitymi figlami. Nie mogę powiedzieć, że-bym szczególnie lubił ten rodzaj zabawy, który tak podoba się Jankesom”.

W pisany po angielsku dzienniku Schliemanna znajdujemy uwagę, iż nie tylko pieniądze sprowadziły go do Ameryki. Już dwukrotnie zawiedziony, miał nadzieję, że w kraju tak nieograniczonych możliwości znajdzie wreszcie kobietę, która będzie odpowiadała jego wyobrażeniom. Zaraz drugiego dnia po przybyciu do Nowego Jorku poszedł na bał w „Astorii”, na którym bawiło się wiele „Yankee Ladies”.

Jak należy rozumieć to określenie, Schliemann bliżej się nie wypowiada; wydaje się jednak, że poddawał te kobiety wnikliwej ocenie i doszedł do przekonania, iż płeć piękna w Ameryce o wiele szybciej się starzeje. Kobiety w wieku 22 lat są już stare i zniszczone. Amerykanka jest godna podziwu, kiedy ma 16 lub 18 lat. Schliemann tłumaczył to ekstremalnymi zmianami temperatury oraz faktem, że Amerykanki nie uprawiają gimnastyki.

Zaledwie po dwudniowym pobycie w Ameryce Schliemann doszedł do następującego wniosku: „Mimo iż pleć piękna jest tu o wiele solidniejsza niż we Francji, to jednak jest bardziej niefrasobliwa niż w Anglii, a charakterystyczną cechą Amerykanek jest ich przesadna ruchliwość oraz skłonność do frywolności i rozrywek”.

Było zatem pewne, że Amerykanka nie wchodziła u niego w grę jako kandydatka na żonę. Z tego też powodu nie tracił czasu na dalsze rozmyślania na ten temat i poświęcił się całkowicie uregulowaniu sprawy spadku po swym bracie Ludwiku. Jego dawny bankier C. D. Behrens miał swój kantor przy Houston Street 335 i polecił kupcowi z Petersburga w celu załatwienia spraw finansowych solidny dom bankowy James King i Syn.

PRZEZ PANAMĘ DO KALIFORNI

Henryk wybrał zupełnie inną trasę podróży do Kalifornii niż jego brat Ludwik. Pojechał koleją na południe, następnie przez Przesmyk Panamski i dalej statkiem w kierunku północno-zachodnim. Tak więc najpierw dotarł przez Filadelfię do Waszyngtonu. Jak tylko tam przybył, odnalazł Kapitol, gdzie obradował właśnie Kongres amerykański.

Wobec następnych zapisków Schliemanna w jego dzienniku amerykańskim wskazana jest pewna nieufność. Można sobie jeszcze wyobrazić, że niemiecki gość był obecny na posiedzeniach Kongresu, ale wielce nieprawdopodobne jest, że opisana przez niego wizyta u prezydenta Miliarda Fillmore'a miała istotnie miejsce. Jakież powód mógłby mieć Fillmore, aby przyjmować u siebie tego „nobody” z St. Petersburga? W roku 1851 Schliemann nie był jeszcze ani tak znany, ani tak bogaty, aby interesował się nim prezydent Stanów Zjednoczonych. Wydaje się raczej, że Schliemann — jak można było wykazać przy innej okazji — do swych zapisków w dzienniku wykorzystał sprawozdania prasowe, pisząc mniej więcej tak: „Z żywym zainteresowaniem i największą przyjemnością przysłuchiwałem się wspaniałym przemówieniom panów Henry'ego Claya, senatora z Kentucky, Hale'a z New Hampshire, masona z Wirginii, Douglasa z Illinois i Davisa z Massachusetts. Głównym tematem ich wystąpień były niedawne powstania Murzynów w Bostonie”.

.... wieczorem około siódmej pojechałem do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Złożyłem mu wyrazy szacunku i oświadczy-

III Niebieskie ruble, złote dolary

łem, że moim największym życzeniem jest zwiedzenie zachodniej części jego pięknego kraju. Przyjął mnie bardzo przyjaźnie i przedstawił swej małżonce, córce i ojcu, po czym rozmawialiśmy przez półtorej godziny".

Jak pisze Schliemann parę lat później, prowadząc dziennik uprawiał ćwiczenia językowe. Może to stanowić wyjaśnienie powstania owych bajkowych opowieści; nie usprawiedliwia ich jednak, gdyż w latach późniejszych wszystkie te bajki Schliemann opublikował jako prawdę.

Z Waszyngtonu wrócił wozem pocztowym do Filadelfii i tam 28 lutego 1851 roku wsiadł na „Crescent City”, parowiec ze 180 kabinami pasażerskimi i 80 miejscami na pokładzie i odpłynął w kierunku Panamy.

Kiedy „Crescent City” „zbliżał się do wybrzeży San Domingo, około 470 mil od wyznaczonego celu, Schliemann zmienił język swych zapisków z angielskiego na hiszpański: „Nada de mas terrible que el calor” (nie ma nic okropniejszego niż upał).

Schliemann dobrze znosił niskie temperatury, natomiast nienawidził wysokich. W rozżarzonem upale przyszło mu przemierzać lądem i wodą panamskie moczary; była to niebezpieczna przygoda, którą omijało wielu Kalifornijczyków i wolało opływać statkiem cały południowoamerykański kontynent.

Na wschodnim wybrzeżu Panamy Schliemann wsiadł na najbliższy statek odchodzący do San Francisco. Było to 15 marca. „Oregon” sprawiał wrażenie statku bardzo sfatygowanego. Pasażerowie w liczbie 140 musieli korzystać ze wspólnych sanitariatów, które w żadnym razie nie zasługiwały na miano łazienek. Wśród dwudziestu pasażerek Schliemann zaobserwował cztery, które najwidoczniej poszukiwały mężczyzny swego życia. Zauważył krytycznie, „że niewątpliwie to, czego szukają, znajdują w Kalifornii, albowiem tamtejszy rynek nie obfituje w płeć piękną”.

Z powodu braku chłodni na statku, na pokładzie „Oregona” znajdowały się cztery żywe woły. Stanowiły one zapas mięsa na długą podróż na północ, ku Kalifornii.

„Środa, 19 marca. Ostatnią noc przespałem na ławce w jadalni. Na innych ławkach wokół mnie i na podłodze leżały same pasażerki, które z powodu wielkiego upału nie mogły zasnąć w swych kabinach. Rano około wpół do piątej przyszedł Murzyn i oznajmił, że przygotował dla mnie kąpiel. Wyszedłem więc na pokład i wykapałem się.

Sobota, 22 marca. Od wczesnego ranka widać już ład. Około godziny dziesiątej przycumowaliśmy w porcie Acapulco... Od strony zatoki Acapulco wygląda jak afrykańska wioska... stoi tu tylko kilka murowanych domów, które zamieszkują Hiszpanie lub Amerykanie.

25 marca. 19°32' szerokości geograficznej północnej, 106° długości geograficznej zachodniej. Za nami trasa długości 197 mil. Na horyzoncie ani śladu ładu. Znajdujemy się dziś na wysokości Zatoki Kalifornijskiej.

26 marca. Ostatniej nocy zmarł jeden z pasażerów. Jego zwłoki zawinięto wraz z kawałkiem żelaza, okryto flagą Stanów Zjednoczonych i umieszczono na burcie. Lekarz okrętowy odmówił krótką modlitwę i zmarłego oddano morzu, w którym natychmiast zniknął. Dziś jest o wiele chłodniej; w południe osiągnęliśmy 21°30' szerokości, 109° 04' długości. Za nami 209 mil...

Poniedziałek, 31 marca. Dziś rano o godzinie wpół do jedenastej wylądowaliśmy w porcie San Diego, małej, brzydkiej miejscowości, składającej się z trzech części — kilku drewniaków w porcie, kilku wzdłuż wybrzeża oraz wielkiego skupiska domów oddalonego około czterech mil od przystani... Po półtoragodzinnym postoju dalsza podróż. Wieczorem minęliśmy dwie wyspy, z których jedna nazywa się Catalina...

Wtorek, 1 kwietnia. Rano około godziny piątej minęliśmy piękną wyspę Santa Barbara... potem Santa Cruz, San Miguel, wreszcie Santa Rosa, wszystkie skaliste.

Środa, 2 kwietnia. Rano zmarł na gorączkę starszy mężczyzna. Owinięto go w płótno i spuszczone do morza; jeden z pasażerów nazwiskiem Fógginen wygłosił pożegnalną mowę. Ujrzelśmy wybrzeże kalifornijskie otoczone gęstą mgłą, najwidoczniej znak, że zbliżamy się do San Francisco. Po południu, około wpół do trzeciej, wpłynęliśmy do Golden Gate... Tuż przed miastem stało w porcie ponad 800 trójmaszowców z różnych krajów..."

WŚRÓD POSZUKIWACZY ZŁOTA I RYCERZY SZCZĘŚCIA

San Francisco. 30 tysięcy mieszkańców, większość domów zbudowana z drewna i jaskrawo pomalowana, kolonia wszelkich możliwych narodowości ze wschodu i zachodu. Schliemann zatrzymał się w hotelu „Union”, najlepszym w mieście, ale tylko na jeden dzień, bo cena siedmiu dolarów wydawała mu się zbyt wysoka. Już

III Niebieskie ruble, złote dolary

nazajutrz znalazł korzystniejszą kwaterę prywatną u pewnego doktora nazwiskiem Stout.

Pierwsze kroki Schliemann skierował przez Golden Gate do Sacramento na grób swego brata Ludwika. Widok zaniedbanego grobu z prostym drewnianym krzyżem uraził jego honor; kazał więc za pięćdziesiąt dolarów położyć marmurową płytę i posadzić kwiaty.

Sacramento, położone nad rzeką o tej samej nazwie, bardzo się spodobało młodemu kupcowi z St. Petersburga. Obcy przybysz mógł się z łatwością zorientować w przejrzystej sieci ulic tego 16-tysięcznego miasta. Ogółem było tu tylko 55 nie kończących się ulic; z zachodu na wschód zostały one opatrzone numerami od 1 do 31, a z północy na południe literami od A do Y. Kwitnące drzewa i krzewy, jak się wkrótce okazało, wprowadziły Schliemanna w błąd; sądził on bowiem, że są dowodem zdrowego klimatu. W każdym razie Schliemann podjął decyzję osiedlenia się w Sacramento i zainwestowania swoich pieniędzy w przedsiębiorstwie bankowym, specjalnym banku dla poszukiwaczy złota, których tysiące pracowały nad Sacramento-River.

W połowie maja Schliemann wyruszył do kopalni złota, aby zorientować się, jak żyją ludzie, z którymi w przyszłości będzie miał do czynienia. Słyszał już wiele o kopalniach nad Yubą, o dużych urobkach niektórych kopaczy. W Parkisbar zakwaterował się w hotelu „National”, dziwnej budowli składającej się ze szkieletu z drewnianych belek, pokrytego płótnem żaglowym. Warunki w tym „hotelu” były katastrofalne, natomiast niezłe jedzenie.

Rwąca Yuba-River wylała. Z tego też powodu ustały wszelkie prace i Schliemann wykorzystał przerwę, aby szczegółowo zapoznać się ze sposobem poszukiwania złota. Pisał w swym dzienniku: „Każdy ma swoją własną działkę, ale zazwyczaj pięciu lub sześciu właścicieli łączy się w spółkę, czasami werbując robotników. Jeden kopie ziemię, dwaj inni ładują ją łopatami na taczki i dowożą do sit, którymi bez przerwy potrząsają jeszcze inni robotnicy. Do sit doprowadza się wodę gumowymi węzami zanurzonymi w rzece albo za pomocą pomp, bądź też umieszcza się je tam, gdzie jest silny spadek, tak że woda sama spływa na sita. Ziemię z sit przesypuje się na wielkie patelnie, potrząsa się i dalej płucze”.

Schliemann natychmiast zauważył, że płukanie złota jest bardzo mozolnym zajęciem i zabiera dużo czasu. Jeśli jakiemuś kopaczowi albo spółce udało się z rzecznoego piasku uzyskać garść złotego pyłu, to w następnej kolejności trzeba było urobek zamienić

na pieniądze. Wszędzie włóczyli się kupcy złota i rozmaici spekulanci i próbowali oszukać kopaczy, którzy słabo znali angielski. Schliemann dostrzegł tu szansę dla siebie. W swym dzienniku pisze: „Ponieważ byłem bardzo zadowolony ze swojej wyprawy na tereny wyrobisk, gdzie zaimponowało mi bogactwo tego kraju i niezmiernie zasoby, już na początku czerwca zorganizowałem dom bankowy skupujący złoty pył i sprzedający waluty amerykańskie oraz różnych innych krajów europejskich”.

Schliemann, który dotychczas w Sacramento pożyczał jedynie pieniądze, co według niego było śmiertelnie nudnym zajęciem, zaangażował amerykańskiego kasjera oraz hiszpańskiego służącego, wynajął dla bezpieczeństwa i ochrony przed pożarem jeden z niewielu murowanych domów i zakupił ważącą ponad trzy tony kasę pancerną. W gazecie „Sacramento Daily Union” ukazało się ogłoszenie następującej treści: „Dom Bankowy Henry Schliemanna [!] w domu z cegieł na rogu J-Street/Front-Street. Ważne dla handlujących i kopaczy złota. Poszukuje się do natychmiastowego zakupu 3000 uncji dobrego, czystego złotego mialu po 17 dolarów za uncję za złote monety lub kartę kredytową w Domu Bankowym B. Davidsona na rachunek Rothschilda w San Francisco, filiach w USA i Europie”.

Interes kwitł. Schliemann skupował złoto znacznie poniżej jego wartości rynkowej, płacił gotówką i sprzedawał według wartości rynkowej. Nie była to jednak prosta procedura, gdyż wśród rycerzy szczęścia nad Sacramento-River znajdowali się liczni oszuści. Schliemann pisał do swego meklemburskiego przyjaciela J. H. Bahlmanna, handlarza zbożem i maklera z miejscowości Waren, którego syn wyemigrował do Australii: „Wiele złota podrabia się powlekając miedź cienką warstwą złota, a to fałszowane złoto nazywa się złotem śladowym lub bogusem. Wydrwigrosze z kraju złota oszukują w ten sposób nowych przybyszów i dlatego zanim się kupi złoto, należy je sprawdzić za pomocą kwasu saletrowego. Jeżeli jest to złoto prawdziwe, kwas na nie nie podziała, natomiast w przypadku bogusa kwas burzy się i zmienia barwę na zieloną. Ale jeżeli się już nabierze wprawy, wówczas taki eksperyment nie jest konieczny... Do ważenia i przeliczania tego, co się zważyło, można się szybko przyzwyczaić, jak w ogóle do wszystkiego, czym zainteresowana jest nasza kieszeń...”

Jest to jedna z typowych i nierzadkich sytuacji w życiu Henryka, obecnie Henry Schliemanna: w sprawie, o której jeszcze wczoraj nie miał najmniejszego pojęcia, szybko się orientuje,

III Niebieskie ruble, złote dolary

uzyskując pozytywne wyniki. Powodzenie jego banku nad Sacramento-River szybko zwróciło nań uwagę i mister z Petersburga stał się tematem dnia w miasteczku. Pierwszym powodem sukcesu była powaga właściciela banku w porównaniu z cwanyimi handlarzami, a drugim — że kopacze, niezależnie od tego, skąd pochodzili, mogli się z nim rozmówić w swoich ojczystych językach. Średni obrót dzienny banku Schliemanna wynosił w tym czasie 20 000-30 000 dolarów. Niekiedy po zamknięciu kasy dostarczał on statkiem Davidsonowi w San Francisco nawet do stu kilogramów złotego proszku i złotych samorodków. W biurku Schliemanna leżały dwa naładowane i odbezpieczone, gotowe do strzału kolty. On sam, jego kasjer i służący nosili przy sobie dodatkowo widoczne dla wszystkich noże i kolty. Wydaje się, że Henry chciał sobie samemu dodać w ten sposób odwagi, pisząc, że za pomocą tej broni był w stanie w pięć sekund położyć pięciu ludzi.

SAN FRANCISCO W PŁOMIENIACH

San Francisco, 4 czerwca 1851: „W mieście wybuchła straszliwa katastrofa, pożar, największy ze wszystkich dotychczasowych, obrócił prawie całe miasto w popiół i zgliszcza.

Przyszedłem do hotelu «Union» na Plaża około wpół do jedenastej. Spałem chyba kwadrans, kiedy obudził mnie straszliwy krzyk na ulicach: «Pożar! Pożar!» Do tego nieprzyjemny dźwięk dzwonów alarmowych. Wskoczyłem szybko z łóżka, wyrząłem przez okno i zobaczyłem, że płonie oddalony od hotelu o 20,30 kroków drewniany dom. Ubrałem się pospiesznie i wybiegłem na ulicę; zaledwie dotarłem do końca Clay-Street, ujrzałem, że również mój hotel stoi w płomieniach. Aby uniknąć niebezpieczeństwa, poszedłem w górę Montgomery-Street i dostałem się na Telegraph Mili, wzniesienie na skraju miasta wysokości około stu metrów. Roztaczał się stamtąd straszny obraz największego widowiska, jakie kiedykolwiek widziałem".

Owo bardzo skrótowe sprawozdanie Henry Schliemanna wydaje się przesadzone i nieprawdopodobne, przypuszczalnie sam je wymyślił — przynajmniej w części dotyczącej jego osobistego udziału. Z właściwą sobie skłonnością do dramatyzowania, Henry, opisując to wydarzenie, oparł się widocznie na sprawozdaniach prasowych drukowanych w „Sacramento Daily Union" w dniach

6 i 7 maja, a dotyczących zdarzenia, jakie rzeczywiście miało miejsce, ale miesiąc wcześniej, i było szeroko opisywane w prasie.

Można to traktować również jako dowód, że Schliemann wymyślił też swoją wizytę u prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdyż w tym samym czasie, kiedy Henryk jechał z Nowego Jorku do Waszyngtonu, w „Baltimore Tribune” ukazał się reportaż na temat prezydenta Fillmore’a, jego rodziny i Białego Domu. Zarzut niektórych krytyków Schliemanna, że jest on patologicznym kłamcą i że jego wypowiedzi nie zasługują na poważne traktowanie, jest jednak niesłuszny, tak jak niesłuszne jest też owo przekonanie o wiarygodności, którą to cechę entuzjaści przypisują temu upartemu człowiekowi. Henryk Schliemann był, i to nie ulega wątpliwości, znakomitym twórcą własnego wizerunku. Jego potrzeba imponowania przekraczała wszelkie normy. Ten Meklemburczyk niskiego wzrostu wyszukiwał wielkie współczesne nazwiska i ważne wydarzenia, aby się nimi niejako przystroić i dzięki nim wywyższać.

Kalifornijska przygoda trwała nie dłużej niż rok. Jeśli Schliemann mimo niewątpliwie wysokich zysków jej poniechał, to musiał mieć po temu ważne powody. On sam nigdy nie wspomniał o konflikcie ze swym partnerem w interesach B. Davidsonem. Z listów wynika jednak, że Davidson obwinił go o manipulacje przy ważeniu złota w celu uzyskania większego zarobku. Na tym tle dochodziło między nimi do ostrych sprzeczek.

Istnieją jednak jeszcze inne powody. Śmierć brata Ludwika dotknęła Schliemanna bardzo głęboko i żył on w nieustannym strachu przed epidemią. Kiedy 4 października zachorował na żółtą febrę, sprowadził najlepszych lekarzy. Dzięki przepisanej chininie wyzdrowiał po trzech tygodniach, które spędził w swym biurze, mając cały czas otwarte drzwi. Od tego czasu stał się przysięgłym entuzjastą chininy. Później, podczas odkopywania Troi, zażywał ją* regularnie w celach profilaktycznych. Ataki febry powtórzyły się jeszcze dwukrotnie i Henryk popadł w panikę. W żadnym razie nie chciał skończyć jak jego brat.

Do obaw, aby nie stać się ofiarą epidemii, dołączyła się kolejna choroba — tęsknota za ojczyzną. Co jednak uważał Schliemann za swoją ojczyznę? Czy meklemburski Ankershagen? Nie. W swym dzienniku z Ameryki zwierza się: „Gdybym sobie we wczesnych latach wyobraził, że pewnego dnia będę zarabiał choć ćwierć tego co dziś, to uważałbym się za człowieka najszcześniejszego. A ja jestem śmiertelnie nieszczęśliwy, bo oddalony o 16000 kilometrów od St. Petersburga, gdzie skupiają się wszystkie moje nadzieje

III Niebieskie ruble, złote dolary

i wszystkie moje marzenia. Istotnie, czy to pośród huraganów wyjących na oceanach, czy w niebezpieczeństwie i tarapatach, w wirze uciech, a teraz tu, podczas załatwiania interesów — zawsze mam przed oczami moją ukochaną Rosję, mój czarujący St. Petersburg. Podczas gdy tu, w Sacramento, w każdej chwili muszę się liczyć z ewentualnością, że zostanę zamordowany lub ograbiony, to w Rosji mogę spać spokojnie w moim łóżku, bez obawy o własne życie i majątek, gdyż nad statecznymi mieszkańcami czuwa tyśiąć oczu sprawiedliwości".

WALIZA ZE ZŁOTEM WARTOŚCI 60000 DOLARÓW

Dnia 9 kwietnia 1852 w „Sacramento Daily Union” ukazało się następujące ogłoszenie:- „Uwaga! Dom Bankowy Henry Schliemanna i Sp. w Sacramento City przejmuje B. Davidson z San Francisco, który będzie go dalej prowadził. Wszystkie dokumenty zostały mu przekazane. Henry Schliemann i Sp.”

Tymczasem Henry znajdował się już na pokładzie amerykańskiego parowca „Golden Gate”, który „pełną parą i przy pomyślnym wietrze” płynął w kierunku Panamy. Wbrew swemu zwyczajowi dzielenia kabiny z innymi pasażerami ze względów oszczędnościowych, tym razem Henry zarezerwował sobie pojedynczą kabinę na górnym pokładzie. Cena: 600 dolarów. Wciąż jeszcze czuł się niezdrów. W swoim dzienniku z Ameryki notuje: „Mimo częstych ciężkich chorób i częstych niedoborów w kasie, co mogę przypisać tylko niesolidności moich pracowników, mam wszelkie podstawy, aby czuć się zadowolonym z mojego sukcesu w Kalifornii. Jestem pewien, że wśród tych, którzy opuszczają ten kraj, na sto tysięcy osób znajduje się tylko jeden człowiek, który załatwił własne sprawy tak pomyślnie jak ja”.

Swój kapitał w wysokości 30000 dolarów Henryk Schliemann podwoił w ciągu jednego roku. 60 000 dolarów wiozł ze sobą w zwyczajnej walizie. Dopóki znajdował się na pełnym morzu w swej kabinie, dopóty mógł się czuć bezpiecznie, ale kiedy statek rzucił kotwicę dwie mile od Panama City i kiedy pasażerów przewieziono wraz z bagażem na ląd, Schliemanna ogarnął strach.

W porcie panowało nieopisane zamieszanie. Często zdarzało się, że miejscowi tragarze przywłaszczali sobie bagaże podróżnych i znikali. Schliemann wspomina: „Niektórzy podróżni zostali pozabawieni całego majątku, który zdobyli w Kalifornii. Jeżeli chodzi

o mnie, to byłem na takie sztuczki przygotowany; siedziałem na swoim bagażu z rewolwerem w jednej, a sztyletem w drugiej dłoni, grożąc, że zastrzelę albo zasztyletuję każdego, kto odważy się dotknąć któryś z moich bagaży".

Ta bezzwzględność Schliemanna okazała się skuteczna. Z pomocą dwóch tragarzy, którzy zdawali się budzić jako takie zaufanie, dotarł on do miasta, gdzie najpierw zasięgnął rady konsula brytyjskiego, pytając, jak mógłby najbezpieczniej przewieźć majątek na drugi kraniec Panamy. Konsul nie robił mu wielkich nadziei, mówiąc, że kradzieże i morderstwa są na porządku dziennym podczas przepraw trudnymi szlakami wąskiego łądu Panamy, ale za 3,125 procent ogólnej wartości przewożonego bagażu gotów jest przejąć transport i ubezpieczyć pieniądze. Jednak ani wytworność pana konsula, ani tym bardziej jego mętna oferta nie zdołały przekonać bogatego kupca: „Wolałem zatrzymać złoto przy sobie”.

Henryk przyznał później, że następne dni i noce należały do najstraszniejszych w całym jego życiu. Pierwszą noc spędził wraz z innymi pasażerami „Golden Gate” w „American Hotel”. Był to nędzny hotel, a współtowarzysze cuchnęli. Dla bezpieczeństwa dwadzieścia osób uzbrojonych w rewolwery i noże spało we wspólnym pomieszczeniu. Schliemann okręcił walizę ze złotem sznurem, który przywiązał do ręki. Miał nadzieję, że dzięki temu poczujecie najłżejsze nawet poruszenie bagażu.

Śmiertelnie zmęczony — na dodatek zaczął padać deszcz — Schliemann następnego dnia najął za 40 dolarów poganiacza z trzema mułami, który gotów był przeprowadzić go wraz z bagażem przez góry. Kilku powracających do Europy podróżników przyłączyło się do rezolutnego Niemca. Łodzią, a następnie kolejną grupa ta dotarła wreszcie do wybrzeża Atlantyku; wszyscy byli głodni, przemoknięci, wycieńczeni i w dodatku opuszczeni przez miejscowych przewodników.

Schliemann i inni podróżni mieli nadzieję, że zdążą jeszcze na parowiec „Crescent City”, ale tego samego dnia rankiem odpłynął on w kierunku Nowego Jorku; trzeba było zatem czekać. Od wyjazdu w Panamie padał nieustannie deszcz. „Żaden z nas — pisał Schliemann w swym dzienniku — nie miał suchej odzieży i nie było niczego, co by nas chroniło przed tą niepogodą, która się rozszalała nad nami. Setki ludzi trapiła gorączka panamska, biegunka i febra; niektórzy umierali już po jednym lub dwóch dniach cierpień. Ofiary leżały tam, gdzie zmarły, gdyż nikt z nas nie mógł, a także nie chciał ich pogrzebać”.

III Niebieskie ruble, złote dolary

Od 26 kwietnia do 8 maja koczował Schliemann wraz z innymi podróżnymi na tym śmiercionośnym błotnistym terenie. Tymczasem zranił się w lewą nogę; rana ropiała. Rankiem 8 maja wystrzał armatni wyrwał oczekujących z letargu. Od północy zbliżał się amerykański parowiec „Sierra Nevada”, za którym podążały trzy mniejsze amerykańskie statki.

Schliemann zarezerwował sobie na „Sierra Nevada” pojedynczą kabinę za 130 dolarów. Był szczęśliwy, że po raz pierwszy od czternastu dni mógł wysuszyć ubranie. Parowiec wziął kurs na Kingston, stolicę Jamajki. Lekarz okrętowy opatrzył mu ranę na nodze i Henryk szybko doszedł do siebie po trudach podróży. Dnia 18 maja wylądował w Nowym Jorku.

„New York to raj dla człowieka przybywającego z Kalifornii” — zanotował Schliemann w swym dzienniku; kiedy zaś wyszedł z „New York Hotel” na Broadwayu, zawołał pełen zachwytu: „O New York! O New York!”

Henry pozostał tu tylko jedną noc. Był zdenerwowany z powodu majątku, który miał przy sobie w walizce. Już następnego dnia wsiadł na parowiec „Europa”, zdążający do Liverpoolu. Przejazd trwał jedenaście dni, na statku znajdowało się 125 pasażerów, którzy, jak zauważył Schliemann — byli eleganckimi ludźmi, najlepszą publicznością, z jaką kiedykolwiek spotkał się na statku.

POWRÓT DO EUROPY

Schliemann pozostał w Londynie dziesięć dni; lubił to miasto, do którego jeszcze wielokrotnie miał wracać. Najpierw zatrzymał się w „Morleys Hotel” na Trafalgar Square, ale potem wynajął sobie prywatną kwaterę w Chiswick. Doradził mu to jego lekarz G. F. Collier, który wypalił mu ranę na nodze; twierdził, że tam Schliemann będzie miał więcej spokoju. Jak tylko Henryk mógł znowu chodzić, z walizką w ręku odwiedził renomowany dom bankowy Bracia Baring i Spółka, który 143 lata później miał się pojawić w nagłówkach gazet. Schliemann wymienił tam złote monety, samorodki i weksle. Wreszcie, uwolniony od ciężaru swego majątku, zrobił wypad do Paryża, gdzie świętował szczęśliwe zakończenie kalifornijskiej przygody.

Kiedy Schliemann wrócił do Londynu — rana na nodze tymczasem się zagoiła — przyszło mu na myśl, czy by nie jechać od

razu do St. Petersburga. Parowcem „John Buli” udał się najpierw do Hamburga, a potem koleją przez Schwerin do Rostocku.

Na dworcu w Biitzow doszło do uzgodnionego uprzednio spotkania z obiema siostrami, które jechały na letni wypoczynek na Rugii. Schliemann pisze, że jednej z sióstr, której nie widział już dziesięć lat, w ogóle nie poznał. Henryk miał teraz trzydzieści lat.

Ze swoim wujem Friedrichem Schliemannem spotkał się ostatni raz przed dwudziestu laty. Dlatego też następnego dnia pojechał dylizanssem przez Wismar do wuja w Kalkhorst. Spotkanie nie przebiegło zbyt serdecznie i Schliemann wolał udać się do Ankershagen, wioski meklemburskiej, w której spędził dzieciństwo. W dzienniku z podróży nazwał Ankershagen swym miejscem urodzenia, mimo iż przyszedł na świat w Neubukow. Dlaczego to zrobił, nie wiadomo; tak samo niezrozumiałe są niektóre inne jego zapiski.

Schliemann pisze dosłownie: „Trudno mi opisać uczucie, jakie mnie ogarnęło, kiedy ujrzałem te miejsca, w których spędziłem najszcześniejsze lata mego wczesnego dzieciństwa, i gdzie każdy dom, każde drzewo, każdy kamień i każdy krzak przywołują na pamięć tysiące przyjemnych wspomnień z dawno minionych czasów. Wydaje się, że w oczach dziecka wszystko jawi się o wiele większe, albowiem wieża kościelna, która kiedyś wydawała mi się bardzo wysoka i o której myślałem, że jest największą wieżą na świecie, jak również lipa pośrodku naszego ogrodu, która wydawała się sięgać obłoków, teraz sprawiały wrażenie miniatur. Jedyny wyjątek stanowią balsamiczne topole i wiśnie przed drzwiami; musiały bardzo urosnąć, gdyż teraz były równie wysokie jak przed 21 laty”.

Jak wszyscy chłopcy we wsi, również Henryk Schliemann wyrzył w różnych miejscach swe inicjały. Odkrył je na oknie dawnego domu i na pniu lipy w ogrodzie starej plebanii, gdzie teraz mieszkał wikary Conradi. Grób matki na niewielkim cmentarzyku przy kościele w Ankershagen znajdował się w opłakanym stanie, lecz Henryk nie zaprzętał sobie tym zbyt długo myśli i następnego dnia odwiedził trzecią siostrę mieszkającą u wuja Wachenhusena w Vipperow; wreszcie odjechał do Rostocku; tam wsiadł na najbliższy statek odchodzący do St. Petersburga.

Schliemann opuścił St. Petersburg z 50 tysiącami talarów w kieszeni. Po roku wracał z podwojoną sumą. Dnia 4 sierpnia 1852 roku przybył do St. Petersburga na pokładzie parowca „Erb-grossherzog Friedrich Franz”. Miasto nad Newą było tak samo godne miłości jak przed rokiem, tylko Schliemann się zmienił.

IV UCIECZKA PRZED

SAMYM SOBĄ

Vultus fortunae variatur imagine lunae: Crescit,
decrescit, constans persistere nescit.

(Oblicze bogini szczęścia zmienia się jak oblicze księżycy:
Zwiększa się, zmniejsza, nigdy nie pozostaje takie samo).

Napis na Zielonej Bramie w Królewcu*

Henryk Schliemann powrócił do St. Petersburga latem 1852 roku; w wieku 30 lat. Będąc mężczyzną niskiego wzrostu, o krótkim wzroku i przeredzonych włosach, zawsze był dobrze ubrany; cechowało go wysokie mniemanie o sobie i zarozumiałość, a przede wszystkim był bardzo bogaty. Wbił sobie do głowy, żeby jeszcze raz zacząć jako kupiec, a nawet więcej, zapragnął osiadłym od dawna w rosyjskiej stolicy kupcom pokazać, jakie to interesy potrafi prowadzić on, Schliemann, człowiek światowy. Chciał zostać pierwszym hurtownikiem w St. Petersburgu.

Aby udowodnić, że należy do tutejszego najlepszego towarzystwa, zamieszkał na eleganckiej ulicy. Wynajął całe trzecie piętro w pałacu z dwiema salami, siedmioma pokojami od frontu i pięcioma pokojami i kuchnią od podwórza, a ponadto obszerną piwnicę, stajnię i wozownię. Umeblowaniem zajęli się najdrożsi architekci wewnątrz. Samo urządzenie pokoju gościnnego miało kosztować tysiąc rubli.

Były to odpowiednie ramy dla przyjęć i wielkich spotkań towarzyskich, które Schliemannowi bardzo się spodobały. Z tymi dużymi nakładami finansowymi związany był jednak szczególny cel. Schliemann zdecydowanie postanowił szybko się ożenić. Cierpiał z powodu uczuciowej samotności, szczególnie że jego dwukrotne poważne zamiary ożenku spełzły na niczym.

Dla rozpieszczonego powodzeniem Schliemanna nie było gorszej plamy na honorze niż odmowa, z jaką spotkał się ze strony dwu kobiet. Według niego ożenek nie był następstwem wzrastającego uczucia, lecz raczej reprezentacyjnym związkiem dwu osób

* Przełożyła z jęz. niem. B. Tarnas.

odmiennej płci. Odpowiedni majątek narzeczonej, który jeszcze przed swą amerykańską przygodą uważał za niezbędny warunek, teraz miał dla niego znaczenie drugorzędne.

Zaczął się więc nagle interesować młodszą siostrą pewnego kupca petersburskiego. Była to kobieta niebogata, nawet nie specjalnie ładna, ale posiadała coś, co wzbudzało w Schliemannie namiętność — o ile w ogóle można mówić o namiętności w odniesieniu do niego. Przed dwoma laty panna ta nie odwzajemniła jego poważnej próby zbliżenia. Ale teraz, przy spotkaniu po przerwie spowodowanej podróżą Schliemanna, dwudziestolatka dała mu do zrozumienia, że bardzo jej zależy na tak dobrze ustawionym niemieckim kupcu.

Ta młoda dama nazywała się Jekatierina Pietrowna Łyszina. Schliemann, który dotychczas nie odnosił zbyt wielkich sukcesów u kobiet, musiała bardzo zaskoczyć owa przychyłość ze strony tej chłodnej i niedostępnej panny. W każdym razie nie namyślając się długo poprosił natychmiast o jej rękę. Również jej zgoda nastąpiła tak szybko, że wiadomość o tym zdumiała nawet osoby najbliższe narzeczonemu.

„Kiedy otrzymacie ten list — donosił Henryk swej rodzinie w październiku 1852 roku — ja będę już z woli Bożej od pięciu dni żonaty i uczynię wszystko, aby uszczęśliwić moją żonę. Zastępuje ona na to, aby być szczęśliwą, gdyż jest bardzo dzielną, skromną i rozumną dziewczyną i z każdym dniem bardziej ją kocham i szanuję”.

Schliemann z dumą powiadomił o swym ożenku wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych, ale o samej Jekatierinie niewiele się oni dowiedzieli. Ślub miał miejsce 12 października według obrządku rosyjsko-ortodoksyjnego w katedrze Świętego Izaaka w St. Petersburgu. Obecni byli tylko krewni panny młodej. Prawdopodobnie nie odbyło się nawet huczne wesele, bo z pewnością wówczas Henryk byłby się tym pochwalił, tak jak wypożyczeniem swojego mieszkania. A nie dowiedzieliśmy się od niego niczego na temat wesela ani podróży poślubnej. Również o swej żonie Schliemann wypowiedział się tylko jeden raz w krótkich pochwalnych słowach. Już kilka dni po ślubie siedział w swoim nowo otwartym petersburskim kantorze i pilnował interesów.

SCENY MAŁŻEŃSKIE

Już od samego początku małżeństwo Henryka Schliemanna i Jekatieriny Łysziny stało na chwiejnych nogach. Było związkiem z rozsądku, porozumieniem obu stron. Henryk szukał kobiety do domu i do łoża, natomiast Jekatierina, z natury zimna, traktowała ten związek jako środek do poprawy bytu. Dla niej małżeństwo oznaczało awans społeczny. O miłości obie strony mówiły rzadko.

Niemożliwe do pokonania okazały się jednak przeciwieństwa, z jednej strony skąpstwo, z drugiej zaś skłonność do rozrzutności. Jekatierina uwielbiała uczyty i przyjęcia, Henryk natomiast akceptował ten rodzaj zabawy jedynie wówczas, jeśli służył jego interesom. On przez całe życie lubił podróżować, Jekatierina natomiast nie chciała opuszczać Petersburga.

Zgodnie z obowiązującymi wówczas obyczajami, Schliemann nie sypiał oczywiście z Jekatierina przed ślubem. Jako małżonek, odziedziczywszy najwidoczniej po ojcu spóźniony popęd płciowy, stwierdzał teraz, że Jekatierina sprzeciwiała się wszelkiemu fizycznemu zbliżeniu. Wydaje się, że przez pierwszy rok małżeństwa nie mieli żadnych kontaktów seksualnych, bo chyba tylko tak należy tłumaczyć zdanie Schliemanna, który skarżył się rozgoryczony: „Po roku małżeństwa muszę siłą wymuszać moje dzieci”.

Świadczy o tym również nadgorliwość, z jaką rzucił się on w wir interesów. Jakby pragnąc zrekompensować swe rozczarowanie drogą jeszcze większych sukcesów i zysków, poszukiwał teraz wciąż nowych handlowych kontaktów. Pod koniec roku otworzył w Moskwie filię hurtowni indyga. Dotychczasowego moskiewskiego agenta Aleksieja Matwiejewa uczynił swoim plenipotentem, a kiedy ten nagle zmarł, zastąpił go dawnym sługą Jucenką, o którym mówił, że dobry sługa może z łatwością zostać dyrektorem, natomiast dyrektor nigdy nie nada się na dobrego sługę.

Podczas gdy Schliemanna w życiu prywatnym prześladował pech, w interesach szczęście mu sprzyjało. Czasami wydawało się, że fortuna wytyczyła dla tego syna pastora z Meklemburgii ścieżkę, na którą wystarczyło, aby wszedł. Ledwie z wielkim rozmachem przerzucił się na handel saletrą, owym białym proszkiem, stanowiącym surowiec do produkcji prochu strzelniczego i materiałów wybuchowych, kiedy w roku 1853 rozpętała się wojna krymska, która trwała aż do 1856 roku. Powodem jej było ultimatum cara Mikołaja I, wystosowane do Turcji, wzywające, aby uznała

Sceny małżeńskie

ona zwierzchnictwo rosyjskie nad prawosławnymi chrześcijanami w państwie otomańskim. Turcja odrzuciła ultimatum i we wrześniu 1853 wojska rosyjskie wtargnęły do księstw naddunajskich; w odwecie mocarstwa zachodnie stanęły po stronie Turcji i zajęły rosyjski port wojenny Sewastopol.

Car Mikołaj I nie dożył końca wojny, zmarł w 1855 roku. Dla Rosji wojna ta skończyła się fiaskiem. Na mocy pokoju paryskiego w 1856 roku musiała ona zrezygnować z protektoratu nad chrześcijańskimi księstwami naddunajskimi; Morze Czarne stało się strefą neutralną, a Rosja carska nie mogła tam utrzymywać swej floty wojennej.

Cichym zwycięzcą wojny krymskiej był Henryk Schliemann. Dostarczył on bowiem 1/3 prochu wystrzelonego w tej wojnie. Nie trapiły go z tego powodu wyrzuty sumienia, a sukces handlowy dodał mu bodźca do nowych czynów.

We wrześniu 1854 Schliemann udał się do Amsterdamu, aby wziąć udział w tamtejszej aukcji indyga. Nabył kilka skrzyń tego cennego barwnika i wraz z innymi towarami zakupionymi w Holandii oraz z 225 workami kawy wysłał statkiem do Królewca i Kłajpedy. Schliemann musiał wybrać akurat te pruskie porty, gdyż wszystkie porty rosyjskie były zablokowane z powodu wojny krymskiej. Firma Meyer i Spółka, z którą Schliemann już od dawna współpracował, miała ten ładunek o wartości 150 tysięcy talarów przejąć w Kłajpedzie i przetransportować drogą lądową do St. Petersburga.

W drodze powrotnej z Amsterdamu Schliemann zatrzymał się dnia 3 października 1854 roku w Królewcu. Tam, w „Hotel de Prusse” spędził bezsenną noc. Transport jego towarów do Prus Wschodnich stwarzał duże ryzyko dotyczące w stu procentach właśnie jego. Jak zwykle będąc w dobrej kondycji finansowej zapłacił za wszystko gotówką. Kiedy rano wyrzął przez hotelowe okno, zobaczył słynną Zieloną Bramę, na której widniał łaciński napis; jego pozłacane litery ukłuły go w oczy:

*Vultus fortunae vañatur imagine lunae:
Crescit, decrescit, constans persislere nescit.*

Schliemann szybko sobie przetłumaczył te łacińskie słowa: „Oblicze bogini szczęścia zmienia się jak oblicze księżycy: Zwiększa się, zmniejsza, nigdy nie pozostaje takie samo”.

CUD W KŁAJPEDZIE

„Nie byłem przesądny — pisze Schliemann w swych wspomnieniach — ale napis ten wywar! na mnie głębokie wrażenie i ogarnęła mnie obawa, jak przed bliżej nie znanym niepowodzeniem”.

Jeszcze tego samego dnia udał się on w drogę w kierunku Tylży. Przenocował na stacji dylizansów i rano pojechał dalej. Na jednym z postojów za Tylżą wsiadł pewien podróżny i opowiedział, że dzień wcześniej Kłajpedę i wszystkie urządzenia portowe strawił pożar.

Schliemann zdecydował się zawrócić z drogi i najbliższym dylizansem pocztowym wrócił do Kłajpedy. „Już dojeżdżając do miasta stwierdziłem, że wiadomość potwierdziła się w tragiczny sposób. Przede mną leżało miasto podobne do cmentarzyska, na którym wznosiły się osmalone mury i kominy jak wielkie kamienie nagrobne, jak ponure znaki przemijania wszystkiego, co ziemskie”. Większość mieszkańców uciekła w panice z miasta. Kiedy po długich poszukiwaniach Schliemann odnalazł swego agenta Meyera i zapytał, gdzie znajdują się jego towary, ów odpowiedział z roztarzeniem: „Leżą tam pogrzebane”.

Schliemann nie popadł jednak w depresję z powodu straty 150 tysięcy talarów. Pisał: „Świadomość, że nikomu nic nie jestem winien, działa na mnie uspokajająco. Wojna krymska zaczęła się dopiero niedawno i warunki dla handlu są jeszcze niepewne, wobec czego dokonywałem zakupów za gotówkę. Mogłem przeto oczekiwać, że panowie Schröderowie w Londynie i Amsterdamie udzielą mi kredytu, i byłem pewien, że z czasem uda mi się nadrobić straty”.

Los chciał jednak inaczej. Schliemann podjął powrotną podróż do St. Petersburga i po drodze żalił się na swoją dolę.

Jeden z podróżnych długo mu się przypatrywał, a następnie zapytał: „Przepraszam, jak się pan nazywa?”

Schliemann wymienił swoje nazwisko.

Wówczas nieznamy roześmiał się i powiedział: „Schliemann jest jedynym człowiekiem, który nic nie stracił!”

Schliemann spojrzął na podróżnego i zapytał: „Co pan mówi?”

„Tak, to prawda — odpowiedział pasażer — jestem pierwszym pomocnikiem handlowym w firmie Meyer i Spółka. Nasz magazyn był już przepełniony, kiedy przybyły statki z pańskim towarem.

Dlatego też urządziliśmy nowe pomieszczenie. Dzięki temu pański towar pozostał nie naruszony".

Schliemann zaczął płakać. „Nagły przeskok z ciężkiego zmar-twienia do wielkiej radości — pisze w swych pamiętnikach — trudno jest znieść bez łez; na kilka minut zaniemówiłem, wszystko wydawało mi się snem; trudno było pojąć, abym ja jeden miał wyjść z tej katastrofy bez uszczerbku, a jednak to była prawda...”

Pożar Kłajpedy, który oszczędził jedynie kilka historycznych budynków, spowodował braki towarowe; Schliemannowi przyniosło to znaczne korzyści. „Zrobiłem dobry interes na indygu, drewnie barwiącym i materiałach wojskowych (saletrze, siarce i ołowiu), a ponieważ kapitaliści się bali, ja mogłem bez przeszkód w czasie wojny krymskiej wdawać się w wielkie przedsięwzięcia, w wyniku których osiągnąłem ogromne zyski i w ciągu roku podwoiłem swój majątek”.

Z wnikliwością spekulanta giełdowego Henryk Schliemann obserwował sytuację polityczną i gospodarczą na świecie i wyciągał z niej wnioski korzystne dla swoich interesów. Światowa produkcja złota — analizował w roku 1853 — wzrosła z pięciu milionów w roku 1845 do 50 milionów funtów w 1852, w rezultacie gorączki złota w Kalifornii i Australii. Handel i przemysł nie były jednak w stanie rozwijać się na taką skalę. Z tego Schliemann wywnioskował, że złoto potanieje i dlatego nawet go nie tknął. W liście do J. H. Bahlmanna pisał: „Jeżeli wydobycie złota nie będzie większe aniżeli obecnie, to nadejdzie, i musi nadejść, czas, kiedy przestanie działać istniejący od tysięcy lat system określania wartości wszystkich towarów na podstawie tego metalu”.

Dwa lata później Schliemann zmienił jednak przekonanie i wdał się z dużym rozmachem w handel złotem, uzasadniając ten krok następująco: „Obawy, że złoto może spaść w cenie ze względu na wielkie wydobycie w Australii i Kalifornii, znikły, gdyż fakt ten nie wywiera niekorzystnego wpływu, lecz przeciwnie, stymuluje handel i przemysł, cywilizuje pierwotne ludy, które w ogóle nie znały złota, i w ciągu następných 25 lat, w wyniku stale rozszerzającego się obiegu, spowoduje wielki przewrót w stosunkach międzyludzkich, jakiego dotąd nie znała historia”.

Okiem sprytnego handlowca obserwował Schliemann falę emigracji, jaka dotknęła Niemcy, a szczególnie biedną Meklemburgię. Doszedł do wniosku, że fakt ten spowoduje spadek wartości tamtejszych majątków ziemskich. Ich posiadaczom zabraknie wkrótce rąk do pracy, a ci, co pozostaną, będą się domagali

wyższych zarobków. Wierny giełdziarskiej zasadzie dokonywania zakupów w czasie zniżki cen, a sprzedaży w czasie zwyczaj, Schliemann nosi! się z zamiarem nabycia w Meklemburgii ziemi; poprosił w tym celu o pomoc swego przyjaciela Bahlmanna. Ten jednak nie podziela! jego prognoz, gdyż dotychczas ceny ziemi w Meklemburgii nie spadły, i radził jeszcze poczekać.

Ojciec Schliemanna, z którym odnoszący sukcesy kupiec prowadził częstszą korespondencję niż przedtem, atakował, wzywał syna, aby zaniechał spekulacyjnych interesów. Wydalony ze służby kościelnej pastor, z którym los obszedł się tak źle, nie mógł pojąć, że to właśnie jego syn miał być pobłogosławiony szczęściem w działalności kupieckiej. Sukcesy syna już od samego początku wydawały mu się podejrzane. Czekał tylko, kiedy fortuna odwróci się od niego. Ojciec doradzał mu inwestowanie w nieruchomości: „W ten sposób nie stracisz majątku i przyniesie ci to dobre i pewne odsetki”.

Papa Schliemann w swym zatroskaniu kierował się nie tylko dobrem syna. Niefortunny pastor otrzymywał od syna już od dawna wsparcie finansowe i obawiał się, że może się ono skończyć. „Dzięki Bogu jest jeszcze czas, abyś się zabezpieczył przed zmianą sytuacji i uchronił przed zmiennością fortuny”.

Syn wykazywał co prawda dużą wspaniałomyślność finansową wobec swego wyrodnego ojca, który tymczasem przeniósł się na przedmieścia Gdańska, gdzie prowadził życie raczej człowieka społecznego, a nie jak dawny pastor; jednocześnie jednak upokarzał go swą bezlitosną arogancją. W protekcyjnym tonie ukazywał mu jego żalosną sytuację pisząc:

„Przekazuję dzisiejszą pocztą zlecenie otwarcia dla Ciebie kredytu na wysokości 500 talarów pruskich, które masz wykorzystać na urządzenie się w okolicy Gdańska, godne ojca Henryka Schliemanna. Oddając Ci do dyspozycji tę sumę, stawiam jednak warunek, abyś odtąd trzymał porządnego służącego i porządną służącą, aby w Twoim domu panowała schludność i aby talerze, miski, noże i widelce lśniły czystością; żądam też, aby szorowano i myto trzy razy w tygodniu wszystkie pokoje i podłogi i aby gotowano Ci potrawy, jakie spożywają ludzie o Twojej pozycji”.

Każdy inny ojciec z odrobiną dumy odesłałby te 500 talarów, ale nie stary Schliemann; ten brał wszystko, co mu dawano.

Straszliwy pożar w Kłajpedzie, który omal nie pozbawił Schliemanna majątku, zmusił go niewątpliwie do zastanowienia. Wprawdzie nie było możliwe podwojenie fortuny w jednym roku przez inwestowanie w nieruchomości, z drugiej jednak strony taki spekulant jak on mógł spać spokojnie. Schliemann zasięgnął rady pewnego bogatego Szwaba, który dorobił się majątku w Ameryce Południowej, i nosił się nawet z zamiarem nabycia ziemi w południowej Brazylii.

Rozwój interesów, spowodowany wojną krymską, uczynił ze Schliemanna tzw. workaholic. Pieniądze i zyski sprawiały mu coraz większą przyjemność, stały się wręcz namiętnością. „Szczerze mówiąc — pisał do swego przyjaciela Bahlmanna w styczniu 1855 roku — skąpstwo i chciwość są u mnie silniejsze aniżeli tęsknota za majątkiem ziemskim w Meklemburgii, i dopóki trwa wojna, nic mnie nie oderwie od mamony...”

Dzięki międzynarodowym kontaktom, mógł Schliemann wyszukiwać coraz to nowe i bardziej opłacalne towary i drogi transportu; istniało tylko jedno wydarzenie, którego musiał się obawiać, mianowicie zawarcie pokoju między Rosją a Turcją i mocarstwami zachodnimi. Schliemann pisał do Bahlmanna: „Gdyby wkrótce zawarto pokój, na drewnie barwiącym, saetrze i ołowiu straciłbym około 30 procent. Chcąc te ewentualne straty zrekompensować w inny sposób, zakupiłem przed ośmioma dniami w Londynie i Amsterdamie 550 skrzyń indyga, gdyż ten artykuł wobec zmniejszonych zbiorów we Wschodnich Indiach nie spadnie w cenie, jeżeli wojna się przedłuży; musi natomiast zdrożeć o 1 szylinga, jeżeli uzyskamy szczęśliwie pokój”.

Pieniądze i pieniądze. Schliemann nie potrafił już myśleć o niczym innym jak tylko o pieniądzach. Czasami zdawało się, że wzbogacała go już sama myśl o nich. Pożar w Kronsztadzie sprawił, że wpadł na pomysł szybkiego zakupu drewna, aby je z zyskiem odsprzedać. Kiedy w Rosji ogłoszono plan wydania nowego kodeksu, Schliemann przedstawił rządowi ofertę na dostawę papieru i zlecenie to otrzymał. Czegokolwiek się tknął, zawsze wynikał z tego dobry interes.

W swoich zapiskach wspomina: „Wiem, że jestem skąpy i chciwy, muszę przestać być tak zachłanny na pieniądze”, albo skarży się: „Chciałbym na zawsze zrezygnować z interesów. Ale kto wie, czy na targach w Niżnym Nowgorodzie znów nie poczuję

się w swoim żywiole, jak pijak, którego zamknięto w szopie pełnej butelek z wódką". Schliemann jest nie tylko obrotny w interesach, ale również pragnie ich i waży się na stwierdzenie, że pragnie zostać drugim Rothschildem.

Opanowanie jakakolwiek żądzą musi mieć zawsze pewien powód. Jego żądza pieniędzy — mógł przecież równie dobrze stać się pijakiem albo graczem, chociaż na to nie pozwalałoby mu skąpstwo — spowodowana była nieszczęśliwym związkiem z Jekatieriną Łyszyną. Cierpiał bardzo z tego powodu. I choć na ogół bez oporów zwierzał się ze swych myśli, jednak bardzo długo trwało, zanim zdecydował się przyznać, że jego małżeństwo jest nieudane.

Sam fakt przyjścia na świat trojga dzieci, Sergieja w 1855, Natalii w 1858 i Nadzieży w 1861, nie dowodzi harmonijnego, albo chociaż prawidłowo funkcjonującego związku. Sam Schliemann przyznał, że musiał gwałcić swą żonę. „To nieszczęście — pisał do swego szwagra — że kocham moją żonę jak szaleniec i że jestem nieszczęśliwy, widząc jej obojętność względem mnie". Są to dość niezwykle słowa u człowieka, który był marzycielem jedynie w interesach.

Henryk i Jekatieriną po prostu różnili się bardzo i żadne z nich nie okazywało gotowości wzajemnego zbliżenia. Henryk, egocentryk, nie potrafił, a Jekatieriną, osoba obojętna, nie chciała. Jekatieriną kompromitowała poważnego handlowca, zachowując się niestosownie i rzucając się innym mężczyznom na szyję, i to takim, którzy byli wyżsi i atrakcyjniejsi od Schliemanna, co go szczególnie bolało.

„Mógłbym znaleźć tysiąc innych kobiet", pisał w cytowanym już liście do szwagra, ale był naprawdę zakochany w Jekatierinie. Jednakże jednym tchem stwierdził: „Dotknięty niesłusznymi zarzutami z jej strony... odpowiedziałem jej brutalnie, że oddam ją do domu dla obłąkanych, jeżeli powtórzy się skandal z ubiegłego wieczoru".

Zawiedziona miłość przemawia z listu, który Schliemann skierował do żony w niespełna dwa lata po ślubie: „Kochana żono, od najwcześniejszej młodości moim najgorętszym życzeniem było związanie mego życia z istotą, która dzieliłaby ze mną szczęście, radość i smutek. Ale jak okrutnie przeczy tym radosnym oczekiwaniom rzeczywistość. Ty mnie nie kochasz i nie uczestniczysz tym samym w moim szczęściu, nie dzielisz moich radości i trosk i myślisz tylko o zaspokojeniu własnych życzeń i kaprysów, okazujesz mi całkowitą obojętność. Przeciwnstawiasz mi się we wszyst-

kim, co mnie dotyczy, zarzucasz mi nawet rozmaite przestępstwa, które mogły się zrodzić jedynie w twym umyśle, i na myśl o tym drzę i włosy stają mi dęba na głowie".

Jednak na zewnątrz, a przede wszystkim wobec swej rodziny, Schliemann starał się stwarzać wrażenie, że jego małżeństwo jest w równym stopniu błogosławione jak jego interesy. Jeszcze 31 grudnia 1856 roku pisał do ciotki Magdaleny Schliemann mieszkającej w Kalkhorst: „Moja żona jest, dzięki Bogu, zdrowa i pozdrawia serdecznie Ciebie i Twoją rodzinę. Nasze szczęście rodzinne jeszcze się umocniło dzięki narodzinom syna, któremu daliśmy imię Sergiej; chłopiec rośnie jak na drożdżach i sprawia nam dużo radości. Stworzyliśmy sobie kółko przyjaciół, którzy każdej niedzieli nas odwiedzają i których upodobanie do wszelkiego rodzaju nauk zgadza się z naszymi".

W rzeczywistości Schliemann w tym czasie po raz pierwszy pomyślał o rozwodzie, ale musiał uznać, że małżeństwo zawarte według obrządku prawosławnego w Rosji nie dopuszcza rozwodu. Była to sytuacja bez wyjścia, tym bardziej że Jekatierina stanowczo nie zgodziła się na opuszczenie St. Petersburga. Henryk musiał więc ostatecznie pogrzebać swe marzenia nabycia w Meklemburgii majątku ziemskiego, aby się tam osiedlić i żyć z procentów od kapitału, które wówczas wynosiły około 33 tysięcy talarów rocznie.

„Gdzie popełniłem błąd?" — z tym pytaniem i prośbą o pomoc zwrócił się Schliemann do swoich przyjaciół J. H. Bahlmanna i Wilhelma Hepnera. Kupiec zbożowy z Meklemburgii odpowiedział powściągliwie: „Jedynym mankamentem u Pana jest Pański niespokojny, ruchliwy duch, dla którego, można by rzec, świat jest za mały".

Natomiast pruski konsul w Amsterdamie był bardziej dosadny: „Proszę mi nie wziąć za złe, ale uważam, że Pańska natura po prostu nie jest dla kobiet atrakcyjna. Być może Pańskiej żonie brakuje zwyczajnie zewnętrznych oznak serdeczności. Jeżeli postara się Pan oszlifować swą szorstkość i przyswoić sobie spokój w myślach, dążeniach i mowie, wówczas powoli uzewnętrznia się Pańskie znakomite przymioty wewnętrzne".

W WIEKU 34 LAT SCHLIEMANN ROZPOCZYNA NOWE ŻYCIE

Wojna krymska zakończyła się ku ubolewaniu Schliemanna pokojem paryskim zawartym w marcu 1856 roku. Wojna ta uczyniła go milionerem. Ów obecnie trzydziestoczteroletni hurtownik był już tak bogaty, że śmiało mógł się wycofać z interesów; Schliemann mógł jednak robić wszystko, tylko nie próżnować. Był właśnie w tym wieku, kiedy mężczyzna zaczyna się zastanawiać nad swym dotychczasowym życiem, robi bilans i zadaje sobie pytanie: Czyżby to miało być już wszystko?

Jeżeli pominiemy, że pieniądze, jakie Schliemann zarobił, potrzebne mu były do zapewnienia sobie dostatniego bytu w przyszłości, to prawdziwy Schliemann narodził się dopiero w 34 roku życia. Henryk Schliemann przeanalizował najpierw swoją sytuację i doszedł do wniosku, że pieniądze, które w ciągu ubiegłych dziesięciu lat tak wiele dla niego znaczyły, to nie wszystko.

Do tego momentu ów handlowiec odnoszący wielkie sukcesy mógł sobie wiele wyobrażać, nie przypuszczał jednak, że jego przyszłość związana będzie daleko od Rosji, z Południową Europą. Nie ma podstaw, aby sądzić, że Henryk już od najwcześniejszych lat nosił się z zamiarem odkrycia antycznej Troi. Dotychczas z wrodzoną łatwością nauczył się dwunastu języków, ale nie było wówczas mowy o grece i łacinie, które miały odegrać tak istotną rolę w jego późniejszym życiu.

Raczej z zarozumiałstwa w ciągu sześciu tygodni Schliemann przyswoił sobie język nowogrecki, przynajmniej w takim stopniu, iż mógł się w nim porozumieć. I dopiero podczas tej nauki spodobał mu się język starogrecki, mowa Homera, zaangażował więc greckiego prawosławnego duchownego, Theokletosa Vimposa, który udzielał mu lekcji. Przez trzy miesiące wgłębiał się Schliemann w wersy Homera, potem mógł już czytać *Iliadę* w oryginale.

W liście do ojca tuż po zakończeniu wojny krymskiej pisał: „...Z chęcią odwiedziłbym kraje południowoeuropejskie, a szczególnie ojczyznę mego ulubionego Homera, tym bardziej że językiem nowogreckim posługuję się jak niemieckim”. Nieco później pisze już w starogreckim do Carla Andressa, nauczyciela domowego zatrudnionego u wuja Friedricha i ciotki Magdaleny w Kalkhorst: „Minęło już dwadzieścia lat, kiedy uczył Pan w Kalkhorst greki mojego kuzyna (Adolfa). Byłem wówczas za młody, aby się uczyć tego języka, ale zawsze, w najtrudniejszych dla mnie

godzinach, brzmiały mi w uszach boskie heksametry i dźwięki wersów Sofoklesa. Dopiero teraz mam możliwość nauczania się tego wspaniałego języka, z którego znałem dotychczas tylko alfabet. Chcę pojechać do Grecji, tam pragnę żyć. Jak to możliwe, że istnieje tak piękny język?"

Rok 1856 był decydujący dla dalszego życia Schliemanna. Krytyczny czytelnik jego listów może stwierdzić, że w tym czasie następuje zmiana w jego sposobie myślenia; można nawet zaryzykować twierdzenie, że zmienił mu się charakter.

Dotychczas dla Henryka istniał tylko jeden temat: Jak stać się bogatym? Teraz, kiedy wydawało się, że wziął bogactwo w pacht, gdyż mógł żyć spokojnie i dostatnio z odsetek od swego majątku, staje przed nami całkiem inny człowiek. Podczas gdy jeszcze w marcu 1856 roku pisał do ojca pełen dumy: „Tu i w Moskwie uchodzę za najbardziej chytrego, przebiegłego i zdolnego kupca”, to pod koniec tego samego roku pełen uniesienia donosił ciotce Magdalenie: „Nauka, szczególnie języków obcych, stała się moją namiętnością”. Jednak najszczerzej wypowiedział się on wobec kierownika szkoły w Neustrelitz, nadwornego muzyka Carla Ernsta Lauego, w liście z dnia 15 stycznia 1857 roku, że mianowicie jego namiętność do nauki jest tak wielka, iż zdecydował się porzucić interesy i poświęcić jej resztę swego życia.

Młody i odnoszący sukcesy milioner, zawdzięczający wszystko samemu sobie, coraz bardziej cierpiał na kompleks wykształcenia, i to determinowało jego dalszy los. Pieniądze, które w pierwszej połowie życia tak wiele dla niego znaczyły, a może nawet były wszystkim, teraz zaczęły tracić na wartości. Schliemann mógł być zadowolony ze swych osiągnięć, ale zawsze tkwiła w nim owa świadomość niewiedzy, z której ten i tak już pełen kompleksów handlowiec w bolesny sposób zdawał sobie sprawę.

Kluczowym przeżyciem dla niego było przemówienie zaprzyjaźnionego historyka, profesora Friedricha Lorentza, prezesa Cesarskiego Instytutu Pedagogicznego w St. Petersburgu, wygłoszone po łacinie z okazji jubileuszu tej uczelni. Jego naszpikowanej cytatami z Cyserona mowy pełen zachwytu Schliemann nauczył się na pamięć:..... ale samemu napisać takiego przemówienia — skarżył się do ciotki w Kalkhorst — nie potrafiłbym i nigdy do tego nie dojdę, gdyż brak mi zupełnie podstaw. Gdyby przed 24 laty mój nieszczęsny los nie pozbawił mnie Waszej opieki, to poszedłbym do gimnazjum, a następnie na uniwersytet w Wismarze, i zdobyłbym niezbędne rudymenty, a wówczas mogłoby ze mnie wyrosnąć

coś dobrego, gdyż nie brak mi było w tym kierunku uzdolnień; a tak już do końca życia z naukowego punktu widzenia pozostanę partaczem..."

Lorentz należał do niewielkiego kręgu wykształconych ludzi, z którymi spotykał się raz w tygodniu w swoim domu żądny wiedzy kupiec, po to, aby prowadzić z nimi mądre rozmowy. Te wieczorne dysputy przy kominku ukazywały wprawdzie Schliemannowi wciąż na nowo jego braki w wykształceniu, ale z drugiej strony wyzwalały jego niezwykłą energię umysłu, na przykład wówczas, kiedy Henryk powtórzył z pamięci dosłownie cały referat jednego z uczestników wspomnianego zgromadzenia.

W POSZUKIWANIU CHOĆBY ODROBINY SZCZĘŚCIA

Schliemann poważnie rozważał projekt wyjazdu z Lorentzem i jego rodziną do Niemiec, aby tam studiować i rozpocząć nowe życie. Temu projektowi sprzeciwiała się Jekatierina i jej krewni, stanowczo go odrzucając. Wówczas w Henryku odezwała się owa dusza kramarza, który zawsze i w każdej sytuacji chciał ubić interes.

Ledwie zarzucił jeden pomysł, natychmiast chwycił się innego, nowego. Z jego pisemnych wypracowań greckich, które w większości się zachowały i są być może bardziej szczerze aniżeli jego listy, wynika, że Schliemann chciał wówczas wszystko porzucić, opuścić Petersburg i rodzinę. „Dłużej tego nie wytrzymam”, pisał w języku starogreckim i skarżył się na brak wykształcenia u ludzi, którzy go otaczali. Chciał wyjechać do Grecji i spróbować tam żyć, a może znów do Ameryki. „Jeżeli nawet tam nie będę szczęśliwy, to udam się w tropiki, gdzie może wreszcie znajdę szczęście, za którym się tak uganiam...”

Rozbity, niezdecydowany i stale niezadowolony z siebie i swego losu, jakby był biednym psem, a nie milionerem, szukał Schliemann nowego początku. Jak widać, mając 35 lat, nie posiadał jeszcze ustalonego życiowego celu. W każdym razie do tego czasu w żadnym z jego zapisków nie ma mowy o Troi: „Chciałbym mieć pomocnika handlowego narodowości greckiej, musiałby on jednak znać rosyjski, francuski i niemiecki. Szczególną miłością bowiem darzę potomków Homera i Sofoklesa”.

Niezwykle energiczny handlowiec, który instynktownie czuł, jak ma postępować w sprawach zawodowych, przechodził pierwszy poważny kryzys życiowy. Nie różnił się tym od innych mężczyzn

w jego wieku. „Nie mogę już dłużej być kupcem — pisze niemal zrozpaczony — ... w czasie kiedy inni uczęszczali do gimnazjum, ja byłem niewolnikiem i dopiero w dwudziestym roku życia zacząłem uczyć się języków obcych. Nigdy nie zostanę uczonym, ale pragnę to choć trochę nadrobić. Życzeniem moim są istotnie studia, a moje nadzieje rosną”.

Gdyby chodziło o niego samego, to już w roku 1857 zlikwidowałby swe petersburskie przedsiębiorstwo i zaczęłyby wszystko na nowo w innym mieście, w innym kraju; przeciwstawił się temu jednak klan Łyszinów, wpływowej rodziny jego żony Jekatieriny. Henryk, który traktował dyrektorów wielkich europejskich domów handlowych tak, jakby chodziło o głupich młodzików, który ze swymi partnerami handlowymi targował się o każdą kopiejkę, ten sam człowiek nie ważył się na najmniejszy sprzeciw, kiedy teściowie, wujowie i ciotki żony dyktowali mu, co ma robić, a czego nie. A rodzina Łyszinów życzyła sobie, by Schliemann nadal prowadził swój interes w Petersburgu.

Miał on przy tym — abstrahując od całkiem osobistych motywów — poważne zawodowe powody, aby zawiesić swe importowe i eksportowe interesy. W roku 1857 doszło po raz pierwszy do światowego kryzysu, wzrosła niespotykanie liczba bankrutów, ale Schliemann jeszcze raz wykazał, że posiada dobry węch. „Przewidywania, że tegoroczny import przyniesie straty, potwierdziły się całkowicie — pisał do H. J. Mercka w Hamburgu. — Mając tego świadomość, nie zaimportowałem ani funta towarów i jestem najszczęśliwszym i najlepiej zarabiającym importerem, gdyż siedząc spokojnie, zarabiam znaczne sumy, które w przeciwnym wypadku zapewne bym stracił...”

Zamiast robić interesy, które w tym trudnym czasie przynosiły tylko straty, Schliemann wolał wyjechać do Meklemburgii. Tam spotkał się z kupcem zbożowym i maklerem J. H. Bahlmannem, z którym już od lat utrzymywał kontakt listowny, aby się zorientować w tamtejszym rynku nieruchomości. Schliemann załił mu się na swój los. Zaznał już dostatecznie wiele szczęścia i nieszczęścia w sprawach zawodowych. Dłuższe znoszenie codziennego napięcia nerwowego było ponad jego siły. Zwierzał się Bahlmannowi: „Podupadam przy tym moralnie i fizycznie i nawet gdybym miał zarobić miliony, nie kontynuowałbym już dalej interesów”.

Żona Jekatierina oświadczyła mu zdecydowanie, że nigdzie z nim nie wyjedzie, przeto Henryk wziął pod uwagę nowy cel. Poprosił Bahlmanna, aby wyszukał majątki ziemskie na wybrzeżu

Morza Bałtyckiego, najlepiej w pobliżu jakiegoś większego miasta, na przykład Rostocku. Rostock to wprawdzie nie St. Petersburg, ale morze, ożywiony handel oraz wesołe życie towarzyskie pozwalały mieć nadzieję, że przesiedlenie się tu nie byłoby zbyt bolesne.

Schliemann pytał również Bahlmanna, jak liczny personel byłby potrzebny w takim nadmorskim majątku. Na koniec wyraził obawę: „Czy ktoś, kto jest przyzwyczajony do życia w St. Petersburgu, zniesie tę głupią dumę meklemburskiego ziemiaństwa?” Nie wiadomo, dlaczego Schliemann odstąpił od tego zamiaru.

Wydaje się jednak, że stracił całkowicie radość z uprawiania interesów. Światowy kryzys również u niego nie przeszedł bez śladu. Według własnej oceny stracił 350-400 tysięcy rubli. Wprawdzie go to nie zrujnowało, ale pochłonęło znaczną część jego majątku. Trzydziestosześcioletni handlowiec przyznał się swemu staremu przyjacielowi z czasów terminowania w Fiirstenbergu, że podczas trzech najgorszych miesięcy kryzysu między listopadem 1857 a lutym 1858 posiwił: „Kryzys obrzydził mi handel”.

Schliemann nie podejmuje już żadnych ryzykownych interesów; woli żyć z procentów od majątku. Rezygnuje tym samym z dużych zysków, ale może za to spać spokojnie i coraz więcej czasu poświęcić greckim i łacińskim pisarzom antycznym.

„Ja nieszczęśliwy umarłbym z nudów — pisze do zaprzyjaźnionego konsula i kupca w Amsterdamie Wilhelma Hepnera — gdybym się miał zajmować jedynie handlem. Obserwuję u wielu moich przyjaciół, że zły humor w tym obecnym nieszczęśliwym okresie, kiedy interesy całkowicie leżą, popycha ich do najbardziej ryzykownych spekulacji, podczas gdy ja, zadowolony nawet z niskich odsetek od mego kapitału, siedzę sobie spokojnie w domu, gdzie tłumaczenie Pindara ze starogreckiego na nowogrecki bawi mnie tysiącrotnie bardziej aniżeli zbijanie kapitału w okresie największej świetności...”

GORĄCZKA PODRÓŻY NIEMORDOWANEJ DUSZY

Schliemann nie wiedział przede wszystkim, co będzie dalej z jego małżeństwem. Ażeby pogodzić się najpierw z samym sobą, postanowił udać się w długą podróż; nie przeszkadzał mu w tym w żadnym razie fakt, że jego żona urodziła właśnie drugie dziecko, Natalię. Schliemann chciał wyjechać, i to możliwie jak najdalej.

W listopadzie 1858 roku wyruszy! do Wioch przez Sztokholm, Kopenhagę, Berlin, Frankfurt i Baden-Baden.

Zatrzymał się w Rzymie i Neapolu, ale dopiero na Sycylii, gdzie spędził Boże Narodzenie, ogarnęły go wątpliwości, czy jego pomysł jest słuszny. „Całe życie podróżować, spędzać czas na nieróbstwie w Rzymie, Paryżu czy w Atenach, to nie do zniesienia dla takiego człowieka jak ja, który przywykł od rana do wieczora oddawać się praktycznym zajęciom" — pisał Schliemann do swego przyjaciela w interesach Bessowa, pytając go jednocześnie, czy byłby skłonny założyć wraz z nim (lub tylko uczestniczyć jako wspólnik) dom handlowy Bessow-Schliemann. Henryk poczuł się bowiem nagle zbyt stary, aby zaczynać wszystko od nowa jako naukowiec, i teraz marzyła mu się przyszłość w roli cichego wspólnika domu handlowego.

Mimo to kontynuował podróż, a celem jej był Egipt; chciał tam spędzić zimę, ale nie w jakimś hotelu, lecz — jak to było wówczas modne wśród bogaczy — na jachcie na Nilu. Arystokracja i potentaci finansowi z całego świata wówczas, w połowie ubiegłego stulecia, wyznaczali sobie spotkania na Nilu, przede wszystkim w Luksorze i Asuanie, miastach, które dzięki suchemu i stale wiosennemu klimatowi były ulubionym miejscem postoju jachtów.

Henryk Schliemann wykorzystał swój pobyt w Egipcie we właściwy mu sposób; zaangażował nauczyciela i uczył się arabskiego. W Kairze zaprzyjaźnił się z dwoma włoskimi poszukiwaczami przygód, hrabiami Giuliem i Carlem Bassi z Bolonii. Udało mu się. Zdołał zachęcić obu braci do podróży przez pustynię do Jerozolimy. Wspólnie zakupili na targu w Kairze trzy wierzchowce, dwanaście wielbłądów do transportu bagaży oraz najęli dziesięciu afrykańskich niewolników jako towarzyszy podróży. Wędrówka przez pustynię trwała 19 dni i była połączona z niemałym niebezpieczeństwem; grozili im bowiem rozbójnicy.

W Jerozolimie spędzili Wielkanoc; tam Schliemann pożegnał swych włoskich towarzyszy, z którymi jednak przez wiele lat pozostawał w kontakcie listownym. Teraz jego celem były miejsca wykopalisk Petra i Baalbek.

Dla przeciętnego Europejczyka podróż taka była bardzo niebezpieczna. Dlatego też Schliemann odział się jak angielski kolonizator, którego surowości obawiano się na całym Bliskim Wschodzie. Trzej prawdziwi Anglicy, których spotkał, podróżowali przypadkowo w tym samym celu, więc mała karawana ruszyła.

Z Libanu Schliemann pisał 26 maja 1859 roku do swego ojca i siostr:

„Piszę do Was ten list w lesie cedrowym pochodzącym sprzed 4 tysięcy lat; stąd Salomon sprowadzał drewno do budowy świątyni. Potrzebowałem aż czterech dni, aby dotrzeć tu przez góry. Jeszcze dziś rano brnąłem w śniegu. Podróż do Petry zakończyła się szczęśliwie, gdyż w Hebronie umówiliśmy się z osławionym hersztem rozbójników Abu Dahudem, który miał nas osobiście przeprowadzić do Petry i z powrotem do Jerozolimy wzdłuż wybrzeży Morza Martwego. Petra jest naturalnie godna zwiedzenia ze względu na swe pałace, teatry i tysiące grobowców niemal jak pałace, a wszystko lśniące wspaniałymi barwami. W pobliżu Petry, w Hebronie na Górze Aarona zwiedziliśmy jego grób oraz groby proroków Abrahama, Izaaka i Jakuba. Z Jerozolimy udałem się do Jerycha i nad Jordan; kąpiąc się w nim omal nie utonąłem, gdyż od Morza Martwego nadciągnął sztorm. Nad Morzem Martwym zwiedziliśmy ruiny Gomory i Ingedi...”

Wróciwszy do Jerozolimy, Schliemann pożegnał swych angielskich towarzyszy, po czym wynajął miejscowego gospodarza i dwóch służących. W dwa konie i trzy osły udał się z nimi ponownie w drogę, która tym razem prowadziła do Samarii, Nazaretu, Kany, Tyberiady, na górę Karmel, i dalej do Tyru, Sydonu i Bejrutu.

Dnia 30 maja Schliemann dotarł do Damaszku. Przemęczenie, upał i katastrofalne warunki higieniczne osłabiły wątłego człowieka; trapiła go uporczywa gorączka; mimo to udał się parowcem do Smyrny położonej na wybrzeżu Azji Mniejszej, a stamtąd do Aten.

Tu gorączka powaliła go na łożo boleści. Sześć dni i sześć nocy, jak później pisał, leżał w stanie krytycznym w pokoju hotelowym, gdzie dotarł do niego list od sekretarza z St. Petersburga.

DOSIĘGA GO PRZESZŁOŚĆ

Stiepan Sołowiew, któremu Schliemann sprzedał swoje przedsiębiorstwo w Petersburgu, nie chciał spłacać rozłożonej na trzy lata kwoty kupna w wysokości 82 tysięcy srebrnych rubli i twierdził, że przedłożone przez Schliemanna weksle są sfałszowane. Wiadomość ta wywołała u Schliemanna szok, śmiertelnie chory kazał się zawieźć dorożką do portu w Pireusie i przetransportować

na noszach na statek odchodzący do Konstantynopola. „Uratowała mnie zmiana powietrza — pisał do konsula Wilhelma Hepnera — i już na wpół ozdrowiały przybyłem do Konstantynopola, całkiem zaś zdrów do Sulimy, skąd Dunajem popłynąłem do Budapesztu, a następnie do Pragi i Szczecina”.

Było jeszcze lato, kiedy Schliemann powrócił do Petersburga. Ale miasto, któremu niegdyś poświęcił całą swą miłość, już mu się nie podobało, stało się dla niego obce. Jekatierina przyjęła go jeszcze chłodniej niż zazwyczaj i wszelkie próby ratowania nieudanego małżeństwa spełzły na niczym.

W procesie, który się odbył przeciwko Sołowiewowi, Schliemannowi chodziło głównie o własny honor. Jak się okazało, interesy jego następcy szły o wiele gorzej niż pod jego osobistym kierownictwem i Sołowiew uważał, że powinien zapłacić tylko połowę ustalonej ceny. Schliemann upierał się jednak przy dotrzymaniu pierwotnych warunków kontraktu i wniósł sprawę do sądu. Wygrał ją wprawdzie w sądzie handlowym, ale Sołowiew odwołał się od tej decyzji, przekupił sekretarzy sądowych i w ten sposób przeciągał postępowanie. Manewry te zajęły prawie dwa lata, podczas których Schliemann zmuszony był pozostawać w Petersburgu.

Z nudów więc i po trosze dla rozrywki prowadził rozmaite interesy; zakupił 15 tysięcy bel amerykańskiej bawełny oraz inne towary za 2,5 miliona srebrnych rubli i miał z tego znaczny zysk. Ale jak pisał J. H. Bahlmannowi, nawet najkorzystniejsza transakcja nie sprawiała mu już przyjemności.

Obowiązek kronikarza nakazuje mi poinformować, że Jekatierina Schliemann urodziła trzecie dziecko, córkę Nadieżdę. Dziwne, że Schliemann wcale się na ten temat nie wypowiedział w żadnym ze swoich licznych listów. Podobnie zresztą było też w przypadku narodzin pierwszej córki Natalii.

Inaczej niż w późniejszym okresie życia Schliemann wcale nie zachowywał się jak lew salonowy. Mimo ogromnego społecznego uznania — w roku 1861 został mianowicie wybrany sędzią handlowym, a w roku 1864 kupcem pierwszej gildy — życie towarzyskie nie sprawiało mu przyjemności. Żona Jekatierina nie pokazywała się z nim nigdy publicznie. Jego dzień wypełniały rozmaite terminy: w poniedziałki i czwartki był zajęty jako sędzia handlowy, a pozostałe dni robocze spędzał prowadząc własne interesy.

Schliemann wstawał bardzo wcześnie; już o godzinie siódmej wychodził z domu i udawał się najpierw do klubu gimnastycznego, czegoś w rodzaju fitness-center, w którym uprawiano ćwiczenia

fizyczne. „Klimat i nasz siedzący tryb życia — twierdził — wymagają po prostu ruchu za wszelką cenę”. O wpół do dziewiątej *rozpoczął dzień pracy w kantorze. Do dziesiątej załatwiał pocztę krajową, do dziesiątej trzydzięci zagraniczną. Następnie wizyty i rozmowy do czternastej. Krótka przerwa na mały posiłek. Od piętnastej trzydzięci do siedemnastej giełda.*

Wieczory spędzał Schliemann głównie na pisaniu listów i nauce języków. Na czas wolny i przyjemności przeznaczał sobotnie popołudnia i niedziele. Schliemann był członkiem towarzystwa łyżwiarskiego, trzymał ognistego wierzchowca, na którym jeździł w zimie nawet przy dwudziestostopniowym mrozie. Do jego ulubionych sportów letnich należało pływanie.

Mimo zahartowania fizycznego czterdziestoletni Schliemann czuł się jak człowiek stary, wypalony i bez przyszłości, jeśli chodzi o szczęśliwe życie. „Minchen — zwraca się do swej siostry Wilhelminy, szukając u niej pomocy (list z dnia 13.03.1863) — troski związane z natłokiem interesów i często nieludzki wysiłek. .. podkopują moje zdrowie. Mając porywczy charakter mogę wiele dokonywać, ale wymaga to nieustannego napięcia, co wprawia mnie w rozstrój nerwowy i przedwcześnie czyni ze mnie starego człowieka”.

Schliemann zastanawiał się również nad swoją przyszłością: „Ponadto uważam, że odkąd powróciłem z podróży do Hiszpanii i na Bliski Wschód, podwoiłem swój majątek i do końca roku jeszcze coś zarobię. Nie mam komu przekazać moich interesów, gdyż działałem na własny rachunek i nie mam do *nikogo* zaufania na tyle, aby udzielić mu pełnomocnictw. Po długim namyśle zdecydowałem się z końcem roku rozpocząć likwidację moich spraw i mam nadzieję, że do wiosny 1864 doprowadzę do przekazania ich jednemu z tutejszych bankierów w celu ostatecznego ich sfinalizowania. Nie zamierzam opuszczać Petersburga na stałe, ale kiedy już będę wolny, chcę dużo podróżować i mam nadzieję, że będę Cię częściej odwiedzać. Chyba sobie przypominasz, że już w 1853 zacząłem likwidować moje interesy, ale pod koniec 1859 podjąłem je na nowo, ponieważ w celu ratowania własnego honoru zmuszony byłem pozostawać tu tak długo, jak długo miały trwać procesy. Aby przez ten czas nie siedzieć beczynnie, zacząłem znów prowadzić interesy. Tak więc można powiedzieć, że wszystko, *co* zarobiłem od końca 1859 roku, zawdzięczam właśnie tym procesom”.

Schliemann wygrał rewizję procesu, ale świat, którym dla niego był kiedyś Petersburg, przestał już być jego dawnym świa-

tern. Schliemann ponownie odwiedził adwokata i informował się o możliwości rozwiązania małżeństwa zawartego według obrządku prawosławnego. Odpowiedź brzmiała: nie, chyba że gdzieś za granicą, ale rozwód taki nie byłby ważny w Rosji.

Dla Schliemanna było zatem jasne, że jeżeli chce się rozwieść z Jekatieriną, to nie ma dla niego żadnej przyszłości w Rosji. Aby jednak zaczynać wszystko od nowa, brakowało mu rozpędu. Oczywiście pokutowała jeszcze w jego myślach chęć osiedlenia się w Meklemburgii, aby wieść tam życie ziemianina, życie poświęcone naukom (w tym czasie jeszcze nie archeologii) albo życie podróżującego pisarza.

Ostatecznie na razie zdecydował się na podróżę. Z właściwą mu skłonnością do wszystkiego co monumentalne i pompatyczne, Schliemann nie myślał o podróży do jednego rejonu na południu czy zachodzie, która trwałaby tylko parę tygodni czy miesięcy, lecz o podróży, która wiodłaby dookoła kuli ziemskiej i zajęłaby co najmniej dwa lata.

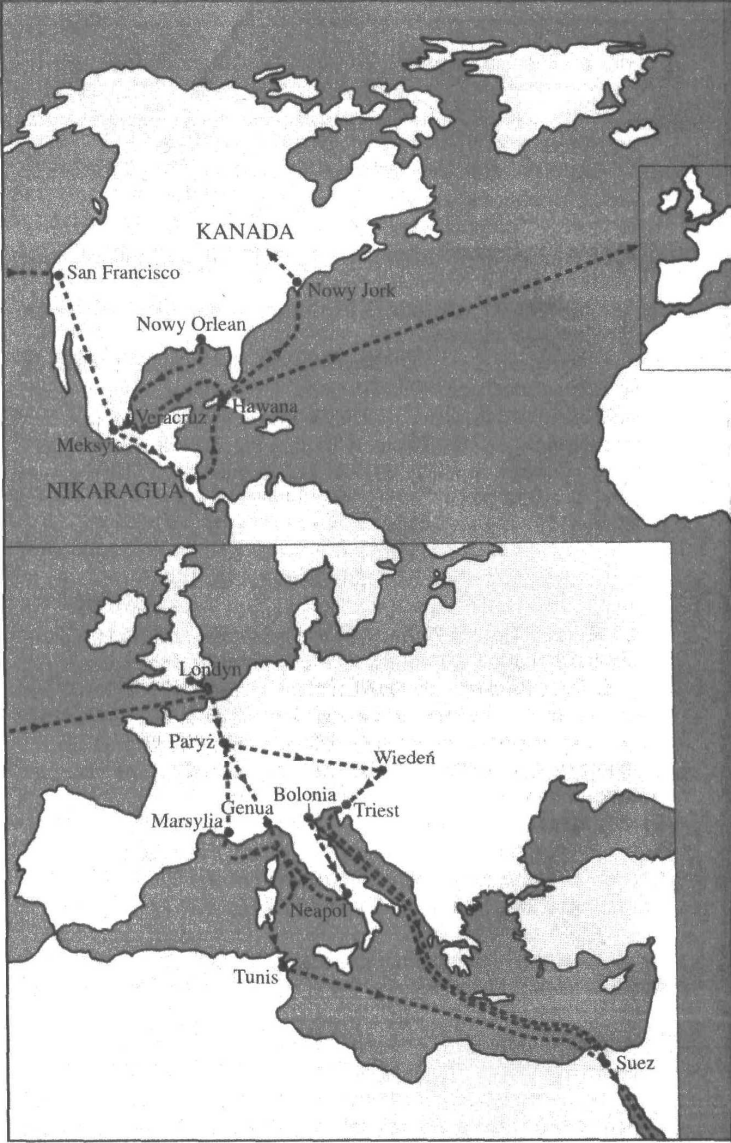
W 20 MIESIĘCY DOKOŁA ŚWIATA

Wydaje się, że Schliemann chciał pozostawić za sobą całą przeszłość, że chciał się uwolnić od więzów swego dotychczasowego życia. Ogłosił nawet, że nie zamierza już powrócić do Rosji; nie wiedział jednak jeszcze, gdzie osiadzie na stałe. Nie był też pewien, czy przetrwa tę przygodę. Dlatego też sporządził testament i złożył go u Schródera w Londynie z zastrzeżeniem, że należy go otworzyć wówczas, jeżeli przez sześć miesięcy nie nadejdzie od niego żadna wiadomość.

W kwietniu 1864 Schliemann udał się na kurację do Akwizgranu i wzmocniony odjechał stamtąd 25 maja w kierunku Genui. Siedemnaście lat później napisał w autobiografii:

„Podróżowałem zatem do... Tunisu, obejrzałem ruiny Kartaginy, a następnie pojechałem przez Egipt do Indii. Zwiedziłem kolejno Cejlon, Madras, Kalkutę, Benares, Agrę, Lucknow, Delhi, Himalaje, Singapur, Jawę, Sajgon w Kochinchinie, spędziłem dwa miesiące w Chinach, gdzie dotarłem do Hongkongu, Kantonu, Amoy, Fu-tsu, Szanghaju, Tien-cin, Pekinu i aż do Muru Chińskiego”.

Schliemann podróżował raczej bez planu, co było niezgodne z jego naturą. Miał przed oczami tylko dwa cele, o których marzył od wczesnej młodości: Chiny i Japonię. Oba kraje otoczone były





w ubiegłym stuleciu nimbem tajemniczości i uchodziły za nieosiągalne. Podróż tam byta czymś więcej aniżeli przygodą, była przedsięwzięciem wymagającym dokładnego przygotowania i mnóstwa osób towarzyszących. Schliemann, podróżując samotnie, postępował nad wyraz lekkomyślnie, ale czynił to świadomie, jak gdyby chciał wyzwąć los.

Skrupulatnie jak buchalter prowadził swój dziennik. Miał w bagażu termometr, miarę i wagę i dokonywał częstych i żmudnych zapisów. Było to coś w rodzaju bedekera, a w swoich komentarzach Schliemann sprawiał niekiedy wrażenie nauczyciela tępych Europejczyków. Koszty i ceny w tych zapiskach były równie ważne jak obyczaje i zwyczaje obcych ludów.

Na pokładzie angielskiego frachtowca dotarł nasz podróżnik dnia 13 grudnia 1864 roku do Kalkuty. Do Delhi, które było jego następnym celem, kursowała już wówczas kolej, ale podróż tam trwała ponad dwa dni i dwie noce i łączyła się z różnymi niebezpieczeństwami. W Delhi Schliemann wynajął służącego i przewodnika, który pokazywał *mu meczety* i pałace; ale długo tam nie zabawił, gdyż nęciły go ośnieżone szczyty Himalajów na północy.

Na grzbiecie osła dotarł Schliemann do wsi Landur, położonej 2300 metrów nad poziomem morza. Ujrawszy wysokie na sześć i siedem tysięcy metrów szczyty wpadł w zachwyt. „Ponad dwie godziny stałem w najwyższym miejscu w Landur i rozglądałem się dokoła. Moje oczy nie mogły się nasycić, widok był tak wspaniały i tak wzniosły...”

W drodze powrotnej z Himalajów Schliemann zatrzymał się trzy dni w Benares, gdzie popłynął w górę i w dół Gangesu. Na brzegach stały w wodzie tysiące ludzi, którzy modlili się i z oddaniem dokonywali świętych ablucji. Na placach publicznych palono ciała zmarłych, biedacy robili to za pomocą krowiego fajna, bogaci zaś używali do tego celu drogich gatunków drewna. Schliemann nigdy jeszcze nie widział takiego kontrastu między biedą a bogactwem: dzieci śpiące na ulicach i bogate kobiety z wielkimi złotymi pierścieniami, wysadzanymi drogimi kamieniami, w uszach, na ramionach i na nogach. Świątynię bogini Durga zamieszkiwało 300 świętych małp, a na stopniach prowadzących do Gangesu siedzieli bramini w lśniących szatach, którzy mruczeli nabożne modlitwy i rozdawali ludowi kwiaty i wieńce.

Z Indii droga Schliemanna prowadziła na Jawę. Po podróży parowcem z Kalkuty, trwającej trzy i pół tygodnia, Henryk przybył 19 lutego 1865 do Batawii (dzisiejszej Dżakarty). W zdumienie

wprawił go przepych kwiatów na tej wyspie oraz bujne plantacje herbaty, ryżu i indyga. Wyprawa konno na wulkan Gedeh liczący 3 tysiące metrów miała poważne następstwa. Napady gorączki oraz bóle ucha spowodowały konieczność operacji, w czasie której usunięto mu narośl. Bóle ucha nękały go potem przez całe życie.

Schliemann jednak nie chciał nawet myśleć o żadnym urlopie zdrowotnym. Skorzystał z najbliższego statku do Hongkongu, gdzie dotarł 1 kwietnia. Hongkong należał wówczas do Chin; wszystkie domy w tym mieście miały tylko dwa piętra, pieniądze były tam dziurkowane, aby dało się je nanizać na sznurek i nosić przy sobie. Już wówczas kwitł w mieście ożywiony handel. Na ulicach unosił się zapach muszli, raków i egzotycznych owoców morza, które przyrządzano w ulicznych kuchniach i sprzedawano za grosze. Ten, kto się cenił, nie przeciskał się na piechotę przez tłum ludzi, tylko kazał się nosić w lektyce; było ich bardzo dużo, każdą niosło dwóch, czterech i więcej tragarzy. Zagradzały one sobie nawzajem drogę.

Schliemann zwrócił nawet w Chinach uwagę na kobiety. Zanotował w dzienniku, że mają one bardzo wymalowane policzki, wargi i brwi, a ciemne włosy układają w artystyczne, wysokie fryzury. Noszą ciemne spodnie, żółte lub czerwone kaftany albo niebieskie suknie. „Ich usta wydają się rywalizować, jeśli chodzi o minimalną wielkość, z lilipucimi stopami, które obciskają czarne jedwabne pantofelki na grubych białych podszwach”.

W TEATRZE CHIŃSKIM W SZANGHAJU

Droga morska Schliemanna prowadziła dalej do Szanghaju, który był wówczas zapewne najbardziej interesującym miastem w Chinach. Rzadko jednak opisywał on swoje przeżycia, które sprawiały, że sprawozdania stawały się bardziej ożywione. Wyjątek stanowi opis wizyty w teatrze w Szanghaju wiosną 1865 roku:

„Dnia 28 maja wieczorem wraz z panem Michelelem, właścicielem «Hôtel des Colonies», gdzie się zatrzymałem, udałem się do wielkiego chińskiego teatru. Musieliśmy zapłacić po jednym piastrze i do tego półtora piastra za trzech służących, których wzięliśmy ze sobą. Przedstawienie zaczynało się o wpół do dwunastej, a kończyło dopiero około wpół do szóstej lub szóstej rano. Wielką salę, szeroką na 27 metrów i długą na 30 metrów, oświetlało 60 szklanych latarni oraz około 20 lichtarzy, w których paliły się świece z czerwonego łoju, grubości 2 cali na górze, a na dole

o połowę cieńsze. Wokół każdej latarni wisiało sześć frędzli z czerwonego jedwabiu. Teatr mieścił 320 osób, ale ponieważ widzowie stale dochodzili, zapelniał się dopiero około pierwszej w nocy.

Nie było stałego programu. Zamiast tego człowiek należący zapewne do zespołu artystycznego pokazywał każdemu widzowi kawałek kości słoniowej długości 90 centymetrów i szerokości 17 centymetrów, na której wypisane były tytuły sztuk, które zamierzano grać; jednocześnie podawał on książkę, liczącą 150 stron, gdzie wypisane były tytuły sztuk, które artyści znali. Każdy z widzów mógł za dodatkową opłatą 1 piastra wybrać jedną z nich i kazać ją zagrać zamiast jednej ze sztuk wymienionych na tablicy z kości słoniowej. I rzeczywiście po kilku minutach znalazło się paru kupców chińskich z długimi warkoczami, którzy zapłacili osiem piastrow i zamiast ośmiu pozycji z właściwego programu kazali grać sześć komedii i dwa dramaty, które sami wybrali".

Jeśli się uwzględni warunki komunikacyjne w 1865 roku, to Schliemann pędził przez Daleki Wschód, jak gdyby ścigały go furie. Jego głównym środkiem lokomocji był statek, ale również zaprzęg konny i grzbiet osła; w ten sposób zwiedził Singapur, Dżakartę, Bandung, Sajgon, Hongkong, Fu-tsu, Szanghaj, Pekin, aż do Wielkiego Muru Chińskiego i z powrotem do Pekinu i Szanghaju.

Wozem zaprzężonym w muły dotarł Schliemann do stolicy Chin, Pekinu. Wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej. „Spodziewałem się natrafić w śródmieściu na cuda cudów, ale okropnie się zawiodłem. Ponieważ w Pekinie nie ma hoteli z wyjątkiem odrażających i brudnych zajazdów dla podróżnych, zatrzymałem się w buddyjskiej świątyni..."

Nie wnikajmy jednak w to, czy wypowiedź owa odpowiada prawdzie. Schliemann podziwiał szerokie ulice Pekinu, ale stan ich oceniał krytycznie: „Nie ma prawie ulicy, na której nie byłoby bardziej lub mniej rozwalonych domów. Pełno na ulicach gór i pagórków, gdyż wyrzuca się na nie wszelkie nieczystości i odpadki, ponadto trzeba bardzo uważać, nawet jadąc konno, aby nie wpaść w dół".

Schliemann stale napotykał gołych lub okrytych łachmanami żebraków. Zbierali oni na wysypiskach śmieci rozmaite przydatne dla nich rzeczy, nawet skrawki papieru i wypalone resztki węgla. W mieście panował okropny hałas, słychać było szczekanie bezpańskich psów, ryk osłów i beczenie długowłosych mongolskich wielbłądów, które w karawanach liczących niekiedy siedemdziesiąt zwierząt ciągnęły przez ulice, uwiązane za nozdrza.

Schliemann spotykał również przestępców z deskami wielkości jednego metra kwadratowego na szyi. Wypisane były na nich ich czyny i rodzaj kary. Deski uniemożliwiały skazańcom samodzielne jedzenie. Byli oni zdani na litość bliźnich.

Chińczycy obchodzili się surowo z kryminalistami, natomiast zmarłych otaczali wielkim szacunkiem. Schliemann obserwował kiedyś pogrzeb zwykłego kupca, którego niosło czterdziestu kulisów w trumnie długości czterech metrów. Na przedzie kroczyło stu dwudziestu kulisów z białymi i niebieskimi chorągiewkami, za nimi żałobnicy oraz dwunastu muzykantów z bębnami i gongami, na końcu zaś dalszych siedemdziesięciu dwóch kulisów ze złotymi noszami.

„Po drodze — pisze Schliemann w sprawozdaniu z podróży, — przechodziłem koło pałacu cesarskiego, położonego na przeszło dwunastokilometrowym terenie i otoczonego murem wysokim na osiem metrów. Nikomu nie wolno tam wejść poza najwyższymi dostojnikami. To miejsce należałoby określić nie jako pałac, lecz bardziej dosadnie, jako więzienie cesarskie, gdyż, zgodnie z obyczajem tego kraju, cesarzowi nie wolno go opuszczać”.

SAMOTNIE NA MURZE CHIŃSKIM

Szczególne zainteresowanie Schliemanna wzbudził Mur Chiński, największa budowla na świecie. Ponieważ położony jest on z dala od uczęszczanych szlaków, każde zbliżenie się do niego związane jest z ryzykiem. Ostatecznie nasz bystry obieżyświat najął chińskiego przewodnika, który, jak się później okazało, nie grzeszył odwagą. Konno wyruszyli w drogę na północ wraz z wozem zaprzęgniętym w muły.

Dopiero w górach na granicy z Mandzurią okazało się, dlaczego ludzie w Pekinie odradzali mu tę podróż. Większość mieszkańców tych położonych wysoko górskich dolin nigdy nie widziała Europejczyka. „Odziany orangutan albo goryl na ulicach Paryża — pisze Schliemann — nie wywołałby takiego zdumienia i zaciekania jak moje pojawienie się wśród mieszkańców gór”.

Nieprzebrany tłum otoczył europejskiego podróżnika, kiedy przybył on do małej miejscowości, a gdy sięgnął na noc do swej kwatery, otoczyło ją siedemdziesięciu ciekawskich, którzy podarli papierowe szyby i weszli przez okna, aby przyjrzeć się z bliska mężczyźnie o krótko przystrzyżonych włosach, który — jak szybko

rozeszła się wieść — nie pisze pędzelkiem z góry na dół, tylko piórem od lewej do prawej.

Następnego dnia Schliemann sam udał się na zwiedzanie Muru Chińskiego, gdyż jego towarzysz szybko skapitulował z powodu głębokiej przepaści. Henryk wspinał się na mur częściowo „na czworakach”. Trudno było wejść na tę gigantyczną budowlę szerokości sześciu do ośmiu metrów i wysokości od ośmiu do dwunastu metrów. Droga biegła przez skalisty grzbiet górski. Po pięciu i pół godzinach Schliemann wdrapał się wreszcie na jedną z wież.

Widok z góry pozwolił mu zapomnieć o trudach wspinaczki. Rozmarzył się: „Widziałem już wspaniałe panoramy: z wierzchołka wulkanu na Jawie, ze szczytów Sierra Nevada w Kalifornii, ze szczytów Himalajów w Indiach i wyżyn południowoamerykańskich Kordylierów, ale nic nie może się równać z widokiem, jaki roztoczył się tu przed moimi oczami”.

Przez Pekin wrócił Schliemann do Szanghaju, gdzie najbliższym parowcem udał się do Japonii; przybył 5 czerwca do Jokohamy i zatrzymał się w hotelu kolonialnym. Po tym, *co* widział w Chinach, miasto ze swymi bitymi ulicami nie wydało mu się godne szczególnej uwagi. Zafascynowały go jednak japońskie obyczaje, jednakowe fryzury mężczyzn i artystyczne uczesania kobiet. Ze zdumieniem zaznajamiał się ze swobodnym obcowaniem obu płci. „Brak w języku japońskim rodzajnika dla odróżnienia rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego znajduje odzwierciedlenie w praktyce życia codziennego, albowiem łaźnie publiczne od rana do wieczora pełne są pomieszanego tłumu obu płci i w różnym wieku, odzianego jak nasi przodkowie, zanim skosztowali zakazanego owocu”.

Stolica Tokio nazywała się jeszcze Yedo i posiadała status miasta zakazanego. Ale właśnie ten zakaz pociągał Schliemanna i dzięki pośrednictwu konsula amerykańskiego udało mu się uzyskać zezwolenie na trzydniowy pobyt; jednakże nie mógł się swobodnie poruszać. Stałe towarzyszyło mu pięciu policjantów konnych oraz sześciu służących również na koniach. „Tutaj w Yedo jestem jak więzień” — żalił się Schliemann, ale istniały uzasadnione powody, aby pilnować obcych, gdyż parę lat temu fanatycy urządzili cudzoziemcom krwawą jatkę i po tym wydarzeniu wszyscy zagraniczni przedstawiciele opuścili Yedo.

Schliemann mało się tym wszystkim przejmował. Owemu małemu mężczyźnie nigdy nie brakowało odwagi. Żądny poznania, chodził po ulicach, odwiedzał kawiarnie, szkółki drzewne i plan-

tacje jedwabników, duże domy towarowe oraz, wbrew swym nadzorcom, wielki teatr „Taisibaya”, dwupiętrowy drewniany budynek na sześć do ośmiu tysięcy widzów, lecz bez jednego krzesła czy fotela.

Po trzech dniach obieżyświat wróci! do Jokohamy. Ogółem przebywał w Japonii trzy tygodnie. „Tutaj — reasumował swój pobyt w Kraju Wschodzącego Słońca — dopiero się stwierdza, że wszystkie potrzeby, które my w Europie uważamy za niezbędne, są tylko sztucznym wymysłem...”

Dla ówczesnych podróżnych było prawie niemożliwe dostanie się z Japonii do Kalifornii. Między Dalekim Wschodem i zachodnią Ameryką nie było połączenia pasażerskiego. Dlatego Schliemann wsiadł 4 lipca 1865 roku na pokład 160-tonowego angielskiego żaglowca handlowego „Queen of the Avon”. Cel: San Francisco.

Podróż trwała pięćdziesiąt dni i związana była z dużymi trudnościami. Schliemann spał w kajucie 2 na 1,3 metra z koją, komodą i umywalką. W przeciwieństwie jednak do swej pierwszej podróży do Ameryki wcale nie narzekał na prymitywne warunki. Wydaje się, że w Japonii nauczył się pokory i skromności.

Pięćdziesiąt samotnych dni na pokładzie „Queen of the Avon” Schliemann wykorzystał na napisanie w języku francuskim sprawozdania z podróży: *La Chine et le Japon au temps present* (Współczesne Chiny i Japonia). Prawdopodobnie już w czasie przepływania Pacyfiku zdecydowany był wydać tę książkę w Paryżu i spędzić tam kolejne lata swego życia.

Podróż dookoła świata od 1864 do 1866 nie pozostawiła u Schliemanna trwałych wrażeń, poza jednym może, mianowicie iż w czasie jej trwania stało się dla niego jasne, że resztę swego życia poświęci nauce.

W późniejszej autobiografii Schliemann nie poświęca nawet dwudziestu wierszy swej japońskiej przygodzie, pięćdziesięciodniowej podróży przez Pacyfik, następnie z San Francisco przez Nikaraguę, Meksyk i Hawanę, wreszcie przybyciu do Paryża w styczniu 1866 roku. Tę podróż dookoła świata traktował on jedynie jako intermezzo.

Nowe, prawdziwe życie miał zacząć dopiero teraz, w 1866 roku w Paryżu.

ZAPOZNIONY STUDENT I MIŁOSC

Bądź spokojna, już nigdy nie będę próbował Cię objąć.
Będę Cię kochał jako matkę moich drogich dzieci,
ale platonicznie

Henryk Schliemann do żony Jekatieriny

Bardzo lubię podróżować z kobietą światową, nie wyobrażam zaś
sobie niczego bardziej nudnego niż podróżowanie ze świętą, która pasuje raczej
do klasztoru aniżeli do wielkiego świata.

Henryk Schliemann do kuzynki Zofii

Dnia 2 lutego 1866 Henryk Schliemann zapisał się na studia
na paryskiej Sorbonie.

Nazwisko:	Schliemann
Imię:	Henryk
Urodzony:	6 stycznia 1822 w Neubukow
Zamieszkały:	Paris, Place St. Michel nr 6
Przynależność państwowa:	rosyjska
Stan cywilny:	żonaty
Przedmioty studiów:	<ol style="list-style-type: none"> 1. Poezja francuska XVI wieku 2. Język arabski i poezja (prof. Defremery, College de France, z wykorzystaniem chrestomatii Kosegartena) 3. Filozofia grecka (prof. Ch. Leveque, Coli. de France) 4. Literatura grecka z omówieniem <i>Ajasa</i> Sofoklesa (prof. E. Egger) 5. Petrarka i jego podróże (prof. Mezieres, kontynuacja kursu) 6. Językoznawstwo porównawcze (grammaire comparee) (prof. Michel Breal)

7. Filologia egipska i archeologia (Via de Rouge)
8. Język i współczesna literatura francuska, szczeg. Montaigne (prof. Guillaume Guizot)

Po zakończeniu podróży dookoła świata Henryk Schliemann powziął zamiar rozpoczęcia czegoś całkiem nowego. Nie wrócił już do St. Petersburga, lecz nabył za 40 tysięcy franków wspaniały dom przy Place St. Michel i urządził go w nowoczesnym stylu. Tak rozpoczęło się jedyne w swoim rodzaju życie studenta.

Nie był to objaw spleenu zarozumiałego milionera, który mógł sobie pozwolić na kosztowne ekstrawagancje. Schliemann całkiem poważnie traktował swoje studia. Pragnął dzięki nim raz na zawsze pozbyć się kompleksu wykształcenia, który go dręczył od czasów zmarnowanego dzieciństwa. Nie było z pewnością innego miasta na świecie, które mogłoby zaoferować czterdziestoltniemu Schliemannowi tyle atrakcji i rozrywek co Paryż. Ale brzmi też przekonująco, kiedy świeżo upieczony student pisze do swej siostry Doris: „Paryż wraz ze swymi wspaniałościami nie ma żadnego uroku dla podróżnika, który opłynął świat dookoła i widział cuda Indii, Wysp Sundajskich, Kochinchin, Chin, Japonii, Meksyku itd. Zainteresowały mnie i zatrzymały tu wykłady największych sław uniwersyteckich w dziedzinach literatury, filozofii, egiptologii itd., a ponadto muzea i teatry, gdyż czegoś równie doskonałego nie znajdzie się nigdzie na świecie”.

Jednakże gorliwy student, posiadający wrodzony talent do języków, musiał Szybko uznać, że muzy sztuki i nauki zachowywały się dość nieprzystępnie i wymagały od swych uczniów pełnego zaangażowania, a uczniowskie wkuwanie i systematyczna nauka nie leżały w naturze Schliemanna. Uczęszczał on wprawdzie pilnie na wszystkie wykłady, ale na tym poprzestawał, pozostając na dotychczasowym skromnym poziomie wykształcenia.

Ten obieżyświat wolał zająć się wydaniem swego dziennika. Myślał, że dzięki temu będzie mógł przedłożyć pracę naukową, którą książka ta w istocie nie była. Praca pt. *La Chine et le Japon au temps present* (Współczesne Chiny i Japonia) miała 221 stron dużego druku i wydana została w małym formacie na żółtym papierze przez Libraire Centrale, Paris, Boulevard des Italiens 24; była napisanym lekko, a czasem nieporadnie dziennikiem podróży. Daleki Wschód był w połowie ubiegłego stulecia jeszcze terra incognita

i cieszył się ogólnym zainteresowaniem. Jednakowoż ku zmartwieniu autora sprzedano niewiele egzemplarzy książki. Obecnie uchodzi ona za cenny okaz bibliofilski.

Schliemann napisał ją po francusku i chciał wydać również w języku niemieckim. Na przetłumaczenie jej nie miał czasu ani ochoty i przypomniał sobie swego dawnego korepetytora Carla Andressa, z którym nadal korespondował, i to wyłącznie po łacinie. Dawny kierownik internatu w Neustrelitz, Carl Ernst Laue, poinformował go, że Andressowi bardzo źle się powodzi: kiedy widać się tego biednego człowieka, jak idzie ulicą pochyłony, samotny

i opuszczony, w nędznej odzieży, o wyblakłej twarzy zdradzającej wielką biedę, a nawet głód, to człowieka aż serce boli..."

Bogaty student zwrócił się natychmiast do Andressa, naturalnie po łacinie, z zapytaniem o jego stan zdrowia i otrzymał pełną żalu odpowiedź: „Quodsi aliqua,ex parte ad levandam tristem meam conditionem conferre poteris...” (Gdyby mógł Pan w jakiś sposób przyczynić się do ulżenia memu ciężkiemu położeniu, to byłbym Panu niezmiernie wdzięczny. Niech Pan będzie zdrow).

Schliemann, który posiadał wrodzony zmysł do znajdowania we wszystkim celu, zlecił biednemu Andressowi przetłumaczenie swojego manuskryptu na język niemiecki i zapłacił mu wysokie honorarium.

„CZUJĘ SIĘ NIEZWYKLE SZCZĘŚLIWY”

Wolny, majątny, na pozór beztroski spędzał zapóźniony student czas w Paryżu. Pisał z euforią do pruskiego konsula generalnego w Amsterdamie, Wilhelma Hepnera: „Czuję się niezwykle szczęśliwy z dala od giełdy i handlu, pilnie staram się doskonalić w naukach, tak że wcale nie myślę o tym, iż kiedykolwiek znów zostanę kupcem”.

W rzeczywistości ten okres studencki był tylko ucieczką od własnej przeszłości i nie rozwiązanych problemów. Naturalnie, że nie chce on już wracać do swego szarpiącego nerwy zawodu. A przede wszystkim nie chce wracać do Petersburga, gdzie jego sfrustrowana małżonka czyni mu wciąż wyrzuty. Jednak kocha on tę zimną, nieprzystępną kobietę, dla której każde zbliżenie fizyczne stanowi problem. Tak, kocha ją nadal — na *swój* sposób.

Po zakończeniu pierwszego semestru zimowego w Paryżu Schliemann zdecydował się na czterotygodniową kurację w Sama-

rze nad dolną Wołgą. Coroczna kuracja stanowiła wówczas jedną z form spędzania czasu przez wytworne towarzystwo; dlatego też ta decyzja nikogo nie dziwiła. Ale fakt, że Schliemann na ową kurację nie wybrał Kissingen czy Karlsbadu albo któregoś z francuskich kurortów, lecz daleką Samarę nad Wołgą, miał swe uzasadnienie. Podróż do Samary można było zorganizować tak, aby przejechać przez St. Petersburg. Henryk chciał podjąć jeszcze jedną próbę odzyskania Jekatieriny, a przede wszystkim dzieci. Bardzo mu zależało na tym, aby je odsunąć od złego wpływu klanu Łyszinów.

Jadąc na kurację do Samary, Henryk całkiem niespodziewanie zjawił się w Petersburgu. Od swego wyjazdu przed dwoma laty nie prowadził z Jekatieriną żadnej korespondencji; powód był prosty, ale i ważki: podobno nie chciała ona objąć męża na pożegnanie.

Teraz Henryk pragnął doprowadzić do zgody ze względu na dzieci; doszło jednak do wielkiej, ostatecznej rozprawy.

Henryk oświadczył, że nadal kocha Jekatierinę, mimo wszystko, co zaszło, Jekatieriną natomiast odpowiedziała jasno, że nie może żyć ze swym mężem i nie będzie mu robiła wyrzutów, jeśli weźmie on sobie kochankę, a nawet domaga się tego.

Na propozycję Schliemanna, aby cała rodzina osiadła w wielkim mieście, w Paryżu czy w Dreźnie, w celu umożliwienia dzieciom odpowiedniego wykształcenia (szkoły petersburskie Henryk uważał za słabe), Jekatieriną odpowiedziała wybuchem wściekłości i potwierdziła ponownie, że nigdy z Rosji nie wyjedzie.

Schliemann był również wściekły; groził, że odbierze jej dzieci przy pomocy policji, ostatecznie jest ich ojcem. Potem opuścił dom i pogrążony w rozpacz udał się przez Moskwę i Niżny Nowgorod do Samary.

O tym, że myślał całkiem poważnie, grożąc odebraniem dzieci siłą, świadczy dalszy przebieg jego podróży. Droga jego prowadziła nad Morze Kaspijskie i Azowskie i dalej na Krym. Stamtąd Henryk popłynął Dunajem i zatrzymał się ostatecznie w Dreźnie, aby tam zwiedzić zakład naukowo-wychowawczy dla dzieci wysoko postawionych osób. Bez wahania nabył w Dreźnie dom, o wiele większy niż w Petersburgu, i pojechał do Paryża.

Możemy jedynie przypuszczać, co się działo w głowie Schliemanna po powrocie do Paryża. Ten tak rozpieszczany przez los, szczęśliwy wybraniec, popadł w głęboką depresję. Nie mógł się pogodzić z faktem, że jego małżeństwo się nie udało i że rodzina się rozpadła. Ale życie nauczyło go nigdy nie dawać za wygraną.

ROZPACZLIWA PROPOZYCJA: MAŁŻEŃSTWOW
STYLU BIBLIJNEGO JÓZEFA

Schliemann podjął zatem dalszą, wprost wzruszającą próbę odzyskania Jekatieriny i dzieci. Napisał do żony, jak zawsze po rosyjsku: „Przyjmij rozsądną rękę, którą wyciągam do Ciebie z od dali, aby ustanowić stałą przyjaźń. Pomyśl o tym, jak cierpi nasz majątek i nasze dzieci z powodu braku jedności między nami. Chcę Ci zrobić przyjemność i gotów jestem na zawsze wybaczyć Twemu bratu wszystko zło, które mi wyrządził. Będziemy dobrze żyli w Dreźnie. Zatrzymamy nasz dom w Petersburgu, jak również wspaniały dom w Paryżu, którego urządzenie kosztowało 40 tysięcy franków. Bądź spokojna, już nigdy nie będę próbował Cię objąć. Będę Cię kochał jedynie jako matkę moich drogich dzieci, ale platonicznie. Będziemy szczęśliwi, przyjeżdżając do Drezna, gdyż jestem teraz typowym paryżaninem, chodzę co wieczór do teatru lub na wykłady słynnych profesorów. Będę mógł Ci opowiadać przez dziesięć lat rozmaite historie, tak że nie będziesz się nudziła. Na moje wizyty w Dreźnie będziesz czekała z niecierpliwością narzeczonej spodziewającej się przybycia kochanka. Duże poważanie, jakim cieszę się jako właściciel wielkiej rezydencji w Paryżu, zobowiązuje mnie do luksusu, a moje powozy, wierzchowce oraz odzież idą w parze z eleganckim wyposażeniem domu. Przekaż mi telegraficznie po otrzymaniu tego listu wiadomość, że przyjmujesz moją przyjacielską rękę. Twój telegram będzie dla mnie talizmanem podczas podróży do Drezna”.

Jednakże zarówno rozpaczliwa oferta małżeńska w stylu biblijnego Józefa, jak i kusząca wzmianka o jeszcze większym luksusie aniżeli w Petersburgu, okazały się bezskuteczne. Jekatierina odpowiedziała szorstko: „Nigdy nie opuszczę Rosji, nawet na krótko, mówiłam Ci to aż nadto często. Jak mam Cię kochać, skoro żądasz ode mnie takich rzeczy”.

Henryk szalał, ale wciąż jeszcze nie dawał za wygraną. Skoro jego pochlebstwa i zapewnienia nie przyniosły pożądanego skutku, uciekł się do gróźb: „Wiedz o tym — pisał wściekły do St. Petersburga — że swym dzikim i szalonym postępowaniem prowadzisz do wydziedziczenia Twych dzieci. Przysięgam Ci, zostaną wydziedziczone! Osiągnęłaś swój cel. To jest ostatni w moim życiu list do Ciebie. Dzięki dwudziestoletnim nieludzkim wysiłkom zdobyłem dla każdego z dzieci milion franków i z dumą myślałem, że

zapewniłem im ziemskie szczęście. Z rozkoszą poświęciłbym dla każdego z nich swe życie".

Konflikt z żoną wytrącił Schliemanna całkowicie z równowagi. Zawiesił na kolku swe studia, które jeszcze niedawno były największą radością jego życia, i w październiku 1857 wyjechał do Ameryki na pokładzie parowca „Russia”. W jego bagażu znajdował się pukiel włosów kuzynki Zofii, który ta przesłała mu wraz z listem miłosnym parę tygodni wcześniej. Jak zwykle Schliemann dał pierwszeństwo względom finansowym, które istotnie zaistniały, ale ostatecznie była to podróż z rozpacz.

W londyńskim dzienniku „Times” eksperci ekonomiczni wypowiadali złe prognozy na temat amerykańskich papierów wartościowych. Schliemann ulokował w tych papierach duże pieniądze, chciał się więc na miejscu upewnić, jak wyglądają sprawy. Mimo kłopotów rodzinnych znów się ożywił, jak sprytny kupiec i geszefciarz, który potrafi wyciągnąć dla siebie korzyści z każdej sytuacji; wydawało się, że zapominał o wszelkich postanowieniach zarzucenia działalności handlowej.

Schliemann pisze do J. H. Schródera w Londynie: „Jak się dowiedziałem w poselstwie amerykańskim, posiadam tamtejsze obywatelstwo, gdyż w 1851 roku podpisałem odpowiednią deklarację. Zamierzam przeto pojechać pod koniec tygodnia na kilka dni do Nowego Jorku, aby odebrać papiery. Kiedy już tam będę, chciałbym pojechać przez Chicago, Cincinnati i Missisipi do Nowego Orleanu, a stamtąd do Hawany, aby zasięgnąć informacji na temat sytuacji w państwach południowych...”

Pomysł Schliemanna dochodzenia praw obywatelskich miał praktyczne tło. Jako obywatel rosyjski, a takim był nadal, nie miał żadnych widoków na rozwód z Jekatieriną. Natomiast w Ameryce panowały liberalne przepisy dotyczące rozwodów, a w niektórych stanach nawet bardzo swobodne. Dlatego też, jeśli w ogóle istniała dla niego szansa rozwodu z Jekatieriną, to tylko drogą okrężną przez Amerykę.

PIERWSZA PRÓBA UZYSKANIA OBYWATELSTWA AMERYKAŃSKIEGO

Po przybyciu do Nowego Jorku Schliemann natychmiast podjął starania o uzyskanie obywatelstwa amerykańskiego, ale jego prośba została odrzucona; wobec tego poświęcił się tymczasem

interesom. Jak się okazało, obawy o papiery wartościowe były uzasadnione. Akcje kolejowe natomiast przyniosły mu 10 procent dywidendy. Postanowił więc kupić dalsze. Aby uzyskać wgląd w rozwój rozmaitych linii kolejowych i przedsiębiorstw, udał się w podróż w celu inspekcji linii i stacji New York Central, Toledo-Cleveland, Michigan Central, Illinois Central, Chicago-Burlington-Quincy, Pittsburgh-Fort Wayne i Chicago.

W Chicago zatrzymał się sześć dni. Z podziwem stwierdził, że liczba mieszkańców, która w roku 1838 wynosiła 3500, w roku 1867 wzrosła do 250000. „Jeden z wielu cudów, jakie tam widziałem — pisał do Konrada Hepnera z Amsterdamu — to przymocowywanie śrubami i podwyższanie wszystkich domów w mieście o pięć do ośmiu stóp, albowiem ulice były zbyt niskie, aby zapewnić «proper drainage»... a to przymocowanie śrubami odbywało się przy zachowaniu ruchu i handlu w budynku”. To, o czym Schliemann tak rozwleknie pisał, było podnoszeniem domów o 1,5-2,5 m za pomocą pras hydraulicznych w celu założenia pod fundamentami rur kanalizacyjnych.

List do petersburskiego kupca i konsula Hóhnego, którego nazwisko pojawia się tylko jeden raz w korespondencji Schliemanna, należy przyjąć z rezerwą. Píše on w nim do Petersburga, że z Chicago udał się do St. Louis, Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonu. Poznał tam prezydenta USA Andrew Johnsona, ministra finansów McCullocha i sławnego generała Ulyssesa Simpsona Granta, od niedawna ministra wojny Stanów Zjednoczonych. Wszyscy oni starali się go uspokoić, jeśli chodzi o sytuację ekonomiczną Ameryki.

Wiemy, że Schliemann lubił przyozdabiać się znanymi nazwiskami i te rzekome spotkania z osobistościami amerykańskimi miały prawdopodobnie wyrzucić wrażenie na jego rodzinie w Petersburgu. Ale to, co píše Schliemann dalej do Hóhnego, jest zgodne z prawdą: „Na własne oczy widziałem wszędzie zastój w produkcji, upadek budownictwa okrętowego, niestabilne interesy towarowe i całkowitą ruinę południowych stanów”. Z tego też powodu sprzedał on niemal dwie trzecie papierów wartościowych o łącznej wartości 300 tysięcy dolarów i nabył za to akcje i obligacje „najlepszych towarzystw kolejowych w Stanach”.

Schliemann, jak zwykle, prowadził dziennik. Z Nowego Jorku udał się do Wirginii, Tennessee, Alabamy, Missisipi i Luizjany i zatrzymał się na dziesięć dni w Nowym Orleanie. „Nowy Orlean jest pięknym miastem, ale nie ma tu życia, gdyż wszyscy zubożeli”. Następnie udał się statkiem na Kubę i zatrzymał w Hawanie.

W przeddzień swych 46 urodzin dosięgła go znowu przeszłość: „Dzisiaj w Petersburgu jest Wigilia i z zegarkiem w ręku obliczam, która jest tam teraz godzina, dodając do czasu nowojorskiego sześć godzin i pięćdziesiąt minut. Moje serce i myśli są cały czas przy kochanych dzieciach: Sergieju, Nataszy i Nadieżdzie. Widzę, jak cieszą się choinką. Wylewam gorzkie łzy, że nie mogę dzielić ich radości i powiększyć ich szczęścia moimi prezentami. Dałbym 100 tysięcy dolarów, aby tylko móc spędzić ten wieczór razem z nimi. Trzeba doprawdy mieć o wiele więcej siły i wewnętrznego spokoju, niż ja posiadam, aby nie przeplakać tego wieczoru”.

Z tych zapisków wynika jedno: mianowicie żona Jekatierina nie odgrywa już najwidoczniej w jego myślach żadnej roli. Na przełomie lat 1867/1868 pogodził się już z zerwaniem. Niech to kosztuje, ile chce, ale on się rozwiedzie i rozpocznie nowe życie w Paryżu lub gdziekolwiek indziej, tylko nie w Rosji.

LIST MIŁOSNY Z KALKHORST

Na początku zimowego semestru, 1 lutego 1868 roku, Henryk Schliemann wrócił do Paryża. I oto jakby znak losu — znalazł w poczcie list zaadresowany znanym charakterem pisma: od Zofii Schliemann, której w 1841 roku w Kalkhorst nadaremnie nadskakiwał i do której w ciągu późniejszych lat napisał niejeden czuły list. Owa Zofia, tymczasem już czterdziestoosmioletnia kobieta, ciągle jeszcze panna, pisała:

„Drogi Henri!

Tysiąckrotne dzięki za Twą miłość, mój Drogi Henryku! Mimo że nie napisałam od razu, to jednak stale Ci towarzyszyłam w myślach i modlitwach. Czy nie zechciałbyś podjąć tam pieniędzy i kupić coś tutaj? Jeśli tu coś zakupisz, będziesz tego pewny, albowiem posiadłość ziemska zawsze będzie miała swą wartość. W lecie chętnie pojechałabym z Tobą na wieś. Zegnaj, mój Drogi Henryku, pozdrawiam Cię serdecznie, zawsze kochająca

Zofia Schliemann”.

Henryk nie był zbyt rozpieszczany czułościami, toteż list ów podziałał na samotnika elektryzująco. Nigdy nie zapomniał „gorących pocałunków”, jakimi na pożegnanie w Meklemburgii przed 27 laty okrył usta Zofii. Nie zapomniał jednak również, że Zofia

unikala wówczas czułych zbliżeń. Być może dlatego, że był od niej niższy? Dotknęło go to głęboko. Schliemann mógł znieść wszystko, upał i mróz, ból i cierpienie oraz nadludzki wysiłek, nie mógł jednak znieść jednego: zadawania mu ran duchowych.

List Zofii był sprzed dwóch miesięcy. Teraz Henryk odpowiedział złośliwie i arogancko:

„Droga Zofio!

Wyrażasz życzenie wyjazdu ze mną, ale, moja Droga, wyznam Ci szczerze, że Twoje obyczaje są dla mnie zbyt cnotliwe. Kiedy odjeżdżałem z Boltenhagen, nie chciałaś mnie objąć, nie chciałaś nawet odprowadzić mnie do dylizansu. Zawsze wzbraniałaś się podać mi ramię, jak przeto chciałabyś podróżować z człowiekiem światowym? Bardzo lubię podróżować z kobietą światową, nie wyobrażam zaś sobie niczego bardziej nudnego niż podróżowanie ze świętą, która pasuje raczej do klasztoru aniżeli do wielkiego świata.

Henry”.

Był to jedyny spośród kilkudziesięciu tysięcy listów, jakie Schliemann napisał w swoim życiu, którego potem żałował. List ten nie dotarł jednak do Zofii, gdyż zmarła ona właśnie w dniu, w którym Henryk wysłał go z Paryża.

Kiedy Henryk otrzymał wiadomość o tym od ciotki Zofii, pastorewej Hager, płakał przez wiele dni i skarżył się na swój los. Zdawał sobie boleśnie sprawę, że w kontaktach z kobietami znów popełnił błąd. Robił sobie wyrzuty, że nie poszukał sławnych lekarzy, być może dałoby się Zofię uratować.

Czynił wyrzuty ciotce, iż nie powiadomiła go o chorobie Zofii: „Nigdy Ci tego nie wybaczę”, i dalej pisał: „To nie była zmysłowa miłość ani żadna kalkulacja, która by mnie łączyła z tą dobrą i anielsko czystą istotą, lecz tylko platoniczne przywiązanie, wzniosła sympatia... Z jakąż radością wyjechałbym z Nią w podróż dookoła świata...” I bez żadnego przejścia, w samym środku swego pełnego żalu listu: „Co to ma znaczyć, że nie ofrankowujesz swoich listów?”

Owa późna, zbyt późna namiętność do zmarłej kuzynki gnała go bez celu po Paryżu. Przyjmował zaproszenia, które w normalnej sytuacji wcale by go nie interesowały, chodził do teatrów i na filozoficzne wykłady, z płaczem błędził po ulicach, trzymając w kieszeni wysadzane diamentami etui zawierające pukiel włosów Zofii,

z którym podróżował po Ameryce, „moją wspaniałą relikwię, mój najdroższy klejnot”.

Prawdziwą winowajczynię znalazł ostatecznie w osobie swojej siostry Luizy. Jeszcze w tym samym roku, w którym ożenił się z Jekatieriną, nosił się z zamiarem poślubienia Zofii; ale siostra opowiedziała mu o „dziwnym przyzwyczajeniu” Zofii i wyperswadowała mu dziewczynę. „Byłem nią zachwycony”. Zofia, pisał do siostry, była jedyną kobietą, która go naprawdę kochała.

Wydawało się, że w chwili nadmiernego smutku i złości na samego siebie Henryk zapomniał o swej młodzieńczej miłości do Minny Meincke. Kiedyś wydał czterdzieści talarów na grób swej matki, żeby ten był jej godny. Teraz czuł się zobowiązany wnieść „swej” Zofii grobowiec według własnego gustu; posłał więc kuzynowi sto talarów z poleceniem, „abyś nigdy ani w listach, ani w mowie nie wspominał o tych smutnych okolicznościach, chyba że koszty grobowca przekroczyłyby przesłane przeze mnie stolarów”.

ŻONA SCHLIEMANNA KOCHA MADAME R.

Myśli Schliemanna, żądnego miłości, a nie seksu, który w Paryżu można było mieć na każdym rogu ulicy, zaczęły ponownie krążyć wokół Jekatieriny. Nie mógł on po prostu pojąć, nie mógł uwierzyć, że małżeństwo to miałyby się rozpaść, skoro zmusił się do takich ustępstw.

Załamany, zrozpaczony i bezradny, jak spragniony miłości młodzieniec, chwycił za pióro i napisał raz jeszcze do St. Petersburga:

„Moja ukochana Żono!

Nie mogę żyć bez Ciebie i bez dzieci, dlatego pragnę się z Tobą pojednać. Piszę ten list płacząc. Przed dwoma laty odbyłem podróż dookoła świata. Wówczas, niestety, nie potrafiłem spojrzeć na życie filozoficznie i za największe szczęście życiowe uważałem opanowanie wielu języków obcych; nauczyłem się nawet perskiego. Potem jednak moje interesy zaczęły iść źle, a jedyną myślą, jaka mnie wówczas trapiła, było: Ty mnie już nie kochasz...”

Płaczliwy ton tego listu zdradza, że Henryk nie żywił już żadnej nadziei na odzyskanie Jekatieriny. Pisał, jak zwykle, aby się samemu pocieszyć, aby się usprawiedliwić i uwolnić od wszelkiej

winy oraz po to, aby sobie samemu uświadomić swoją sytuację bez wyjścia. „Dlaczego — pisze Schliemann w tym liście po rosyjsku — tak bardzo kochasz madame R.?” i kontynuuje: „gdybym już wówczas myślał kategoriami filozoficznymi, to tego rodzaju przyjaźń wydawałaby mi się naturalna i nie byłbym zazdrosny...”

List ten pozwala na jedyną konkluzję, iż żona Schliemanna utrzymywała stosunki z kobietą. Jekatierina była lesbijką. Można się jedynie zastanawiać, czy skłonność owa istniała już w młodych latach, czy też wystąpiła dopiero w czasie trwania małżeństwa. Sam Schliemann wspomniał o tym tylko jeden raz, mimochodem i przypuszczalnie niechęć; wyjaśnia to jednak trudną do pokonania niechęć Jekatieriny do męża. Na wiosnę 1868 roku Henryk gotów był do wszelkich ustępstw, proponował żonie porzucenie swojego studenckiego życia w Paryżu oraz domu przy Place St. Michel wraz z kosztownym urządzeniem, mówiąc, że „czuję się biedny, gdyż jestem bez rodziny”. Daremne były jednak wszystkie te ustępstwa, jak również wielokrotne przyrzeczenia, iż ich stosunek pozostanie na płaszczyźnie miłości platonicznej. Henryk wyraził to w swym liście następująco: „Jeżeli nie mogłaś mnie znieść jako filologa, to może mogłabyś kochać filozofa?”

Odpowiedź brzmiała: Nie. Jekatierina kochała madame R. i Henryk musiał się z tym pogodzić.

VI ŚLADAMI

HEROSÓW

Ulisses Cefalensów prowadzi orszaki,
Mieszkance lesistego Nerytu, Itaki;
Co Egilip na skale wyniesiony mieli,
W Krocylei, w Zacynie i w Samie siedzieli
I co przeciw leżącym cieszyli się lądem,
Zostawali pod mądrym Ulissesa rządem.
Z nim dwanaście okrętów z czerwonymi przody
Zeglowało pod Troję przez obszerne wody.

Homer, *Iliada* (księga 11)¹

Mając 46 lat Henryk Schliemann był szalenie bogaty, ale zarazem biedny jak żebrak. Opływał w dobra materialne, miał nieruchomości, papiery wartościowe, i śmiało mógł żyć jedynie z procentów. Jednocześnie jednak jego prywatne życie było całkowicie nieudane i musiał żebrac nawet o odrobinę sympatii. Kiedy jego ostatni błagalny list spotkał się z nieprzejednanym stanowiskiem Jekatieriny, Henryk, aby nie zginąć, musiał rozpocząć całkiem nowe życie. Jego niespokojny duch, który nie pozwalał mu przebywać dłużej na jednym miejscu, roztaczał przed nim coraz to nowe i — jak się wydawało — trudne do zrealizowania plany, sprawiał, że ten marzyciel, ale i realista, szukał dla siebie nowego celu, który by wymagał mobilizacji wszystkich jego sił. Postanowił przeto poświęcić się archeologii.

W jego autobiografii czytamy:

„Wreszcie zostało mi dane urzeczywistnienie marzenia mego życia, zwiedzenie miejsc wydarzeń, które mnie tak do głębi interesowały, ojczyznę bohaterów, których przygody tak mnie fascynowały i przynosiły pociechę w dzieciństwie. Tak więc w kwietniu 1868 roku wyruszyłem w drogę — wiodła mnie ona przez Rzym i Neapol na Korfu, do Kefallenii i Itaki, którą gruntownie przebadałem”.

Jeśli pominie się wspomniane miejscowości oraz podany czas, to wypowiedź ta jest jednym wielkim kłamstwem. W roku 1881,

* Przel. Fr. Ks. Dmochowski.

kiedy Schliemann przelewał te słowa na papier, miał już za sobą pełną sukcesów karierę odkrywcy. Usiłował przeto, z wrodzoną skłonnością do dramatyzowania i przekręcania faktów, tak przedstawić wcześniejsze rozdziały swej biografii, aby mogły stanowić godne etapy wstępne jego ważnych osiągnięć archeologicznych. W rzeczywistości zawdzięcza on karierę archeologa bardziej swej żonie Jekatierinie aniżeli greckim bohaterom. Ona bowiem była powodem jego rozpacz i stan ten nasunął mu absurdalny pomysł zamiany życia podróżującego rentiera na życie archeologa.

Umiłowanie archeologii Schliemann odkrył dopiero na drugim semestrze studiów, które właśnie zakończył. Znał on oczywiście z dzieciństwa mitologię grecką, ale byłoby błędem wnioskować z tego faktu, iż już wówczas postanowił poszukiwać śladów greckich bogów i bohaterów. Wersja ta to późniejsze przeinaczenia pełnego sukcesów archeologa hobbysty. Dotychczas bowiem Schliemann, podróżując po Morzu Śródziemnym, pozostawiał na boku Grecję, a język grecki był jednym z ostatnich języków, które opanował.

Kiedy Schliemann, wracając z Sycylii, zszedł 6 lipca 1868 roku o godzinie 6 rano na łód w porcie Korfu, w swym wielkim bagażu miał bardzo dużo książek; lubił je bowiem, a szczególnie stare wydania klasyków. Wśród tych książek znajdowała się *Odyseja* Homera, pięć tomów Pliniusza, komplet dzieł Strabona i Tukidydesa oraz historia Grecji Ksenofonta.

Korfu, jak podają źródła, to wspomniana przez Homera cudowna wyspa Scheria, na której żył szczęśliwy lud żeglarzy Feaków, a ich królem był Alkinoos. Statki Feaków docierały szybko i bez sterników do wszystkich zakątków ziemi. Według Homera król Alkinoos pozwolił na jednym z tych statków powrócić Odyseuszowi do jego ojczyzny Itaki.

Z *Odyseją* w rękę zwiedzał Schliemann przez dwa dni wyspę i poczynił fascynujące odkrycia. „Dwie małe wyspy, jedna w obecnym porcie, a druga w niewielkiej zatoce na północnym wybrzeżu wyspy, podobne są z daleka do statków z rozpiętymi żaglami. Niewątpliwie wywołało to u Homera wyobrażenie, że żaglowiec Feaków, którym Odyseusz wracał do Itaki, został przez Neptuna w złości zamieniony w skałę”.

W *Odysei** Homera (XIII) historia ta brzmi następująco: „Na te słowa Posejdon Ziemioburca duchem / Biegł do Scherii feac-

* Przet. L. Siemieńskiego.

kiej i tam zaczajony / Czekał, aż ku brzegowi wiosłami pędzony /
Okręt się zbliżył — wtedy Posejdon wyskoczył / Palnął weń pięścią
z góry, na dno morskie wtłoczył / Już w skałę obrócony... a sam
pognał dalej".

GDZIE NAUZYKAA ZNALAZŁA ODYSEUSZA

Gdyby udało się epopeję Homera przenieść do rzeczywistości i odkryć miejsca, gdzie rozgrywała się jej akcja, wówczas strofy ślepego pieśniarza miałyby nie tylko znaczenie literackie, lecz można by z nich było korzystać jak z przewodnika w podróży. Przekonanie to jednak zdecydowanie przeczyło chwytnym doktrynom naukowym, dla Schliemanna jednak miało być elementem o podstawowym znaczeniu. Wprawdzie nierzadko mierzył on zbyt wysoko i snuł ekstrawaganckie rozważania, co powodowało krytyki ze strony wielu uczonych; nie umniejszało jednak jego sławy jako odkrywcy.

Schliemann szukał na przykład na Korfu* owego miejsca, gdzie Nauzykaa, córka króla Feaków Alkinoosa, oraz jego żona Arete prały wraz ze służącymi bieliznę i gdzie znalazły rozbitka Odyseusza; jest to najbardziej wzruszająca scena w *Odysei*. Homer powiada, że Nauzykaa i służące prały bieliznę w cembrowanej niecce, a następnie rozkładały ją na brzegu pokrytym żwirem, aby wyschła (VI, 93-95). Schliemann wyciągnął wniosek, że owo wgłębienie znajdowało się blisko brzegu morskiego.

Mieszkańcy Korfu opowiadali mu o źródle Kressydy, strumieniu płynącym z zachodu i wpływającym do jeziora Kalichipulos. Miejscowy przewodnik zaprowadził naszego podróżnika w to miejsce, ale brzegi strumienia były zalane. Schliemann zostawił przewodnika i ubranie i w samej koszuli przebrnął przez bagnisty teren. Nie odnalazł wprawdzie owej niecki służącej do prania, ale za to dwa duże, niezgrabnie ociosane kamienie, które według mieszkańców służyły dawniej jako misy do prania.

W książce na temat owej podróży, zatytułowanej *Ilhaka, Peloponnes und Troja* (Itaka, Peloponez i Troja), Schliemann dochodzi do prostego wniosku: „Co do identityczności tej rzeczki z potokiem Homera nie może być żadnej wątpliwości, gdyż jest to jedyny ciek wodny w okolicy starego miasta. W rzeczywistości na wyspie jest jeszcze tylko jedna rzeczka, ale płynąca dwanaście kilometrów od

* Gr. Korkyra (przyp. red.).

starej Kororkyry, podczas gdy źródło Kressydy oddalone jest tylko o trzy kilometry".

Schliemann nie znalazł dowodu na poparcie swej tezy, ale wystarczyło mu, co sam widział. Obudził się jego instynkt odkrywcy. Z dnia na dzień narodził się Henryk Schliemann, archeolog i odkrywca.

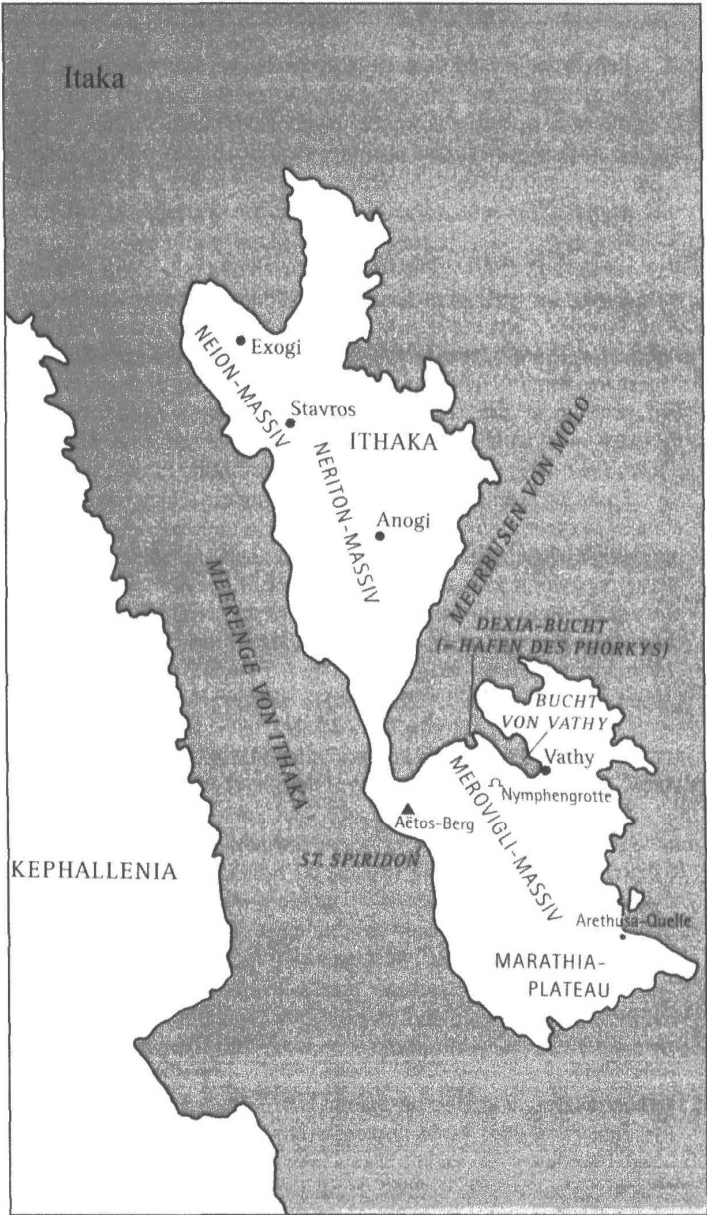
Homer stał się jego idolem. Ten badacz, ogarnięty kultem dla poety, nie miał żadnych wątpliwości co do autentyczności jego wypowiedzi. Jeżeli Homer określił wyspę Itakę jako ojczyznę pełnego pomysłów cierpiętnika Odyseusza, to dla Schliemanna tylko jońska wyspa Itaka, położona na zachodnim wybrzeżu Grecji, mogła być Itaką Homera.

Schliemann znał dobrze krytyczne opinie, według których Itaka była wymysłem poety. Posługiwały się one argumentem, że geograficzny opis Itaki Homera nie zgadza się w żadnej mierze z faktycznymi danymi, gdyż ojczyzna Odyseusza musiała leżeć *na zachód* od wyspy Kefallenii. Jednocześnie namiętny badacz czytał też sprawozdania innych uczonych, takich jak Gandar, Wordsworth, Lilienstern, Bowen, Leake i Konstantin Koliades, którzy jońską wyspę Itakę uważali za ojczyznę Odyseusza.

Jak ongiś Odyseusz, tak teraz Henryk przeżył podczas powrotu z wyspy Kefallenii gorący letni sztorm. Przejazd trwał sześć godzin zamiast jednej i była już głęboka noc, kiedy Schliemann zszedł na ląd w porcie Św. Spirydona na południowo-zachodnim wybrzeżu Itaki. Na szczęście spotkał on młynarza Panagisa Aspro-ierakę, który podjął się przeprowadzić go wraz z bagażem górską ścieżką do Vathy, stolicy wyspy. Resztę nocy Schliemann spędził leżąc na okutej żelazem skrzyni w domu młynarza.

KAŻDY PAGÓREK I KAŻDE ŹRÓDŁO
PRZYPOMINAJĄ HOMERA

W Vathy nie było żadnego hotelu ani zajazdu, ale siostry Helena i Aspazja Triantafyllides wynajęły przybyszowi pokój z łóżkiem na dziewięć dni; nic więcej bowiem nie potrzebował. „Wszystkie nasze wspomnienia — pisze Schliemann — wiążą się z tą heroiczną epoką, każdy wzgórek, każda skała, każde źródło, każdy gaj oliwny przypomina nam Homera i *Odyseję*, i jednym skokiem przez sto pokoleń przenosimy się w najwspanialszą epokę rycerstwa greckiego i greckiej poezji".



Itaka wzięła Schliemanna w niewolę; morze, krajobraz, kamienie zaczęły mówić. Homer znalazł swego najbardziej żarliwego admiratora i najbardziej wzruszonego czytelnika. Konno, z egzemplarzem *Odysei* w kieszeni zdobywał Schliemann wyspę słynnego greckiego bohatera. Wykorzystywał Homera jako przewodnika w podróży, a tam, gdzie zawodził poeta, pomagała mu własna fantazja.

W *Odysei** (XIII, 100-109) powiedziane jest: „Pod Forkisa, morskigo starucha, wezwaniem /Jest tam przystań w Itace: dwie groźne opoki / Sterczą u wniścia, niby wrota tej zatoki, / Odpierające fale, które burza pędzi / W przystań; więc też u cichej wybrzeża krawędzi / Nie cumowanych łodzi stoi rząd spokojny. / Wyżej, gdzie brzeg, tam rośnie oliwnik w liść strojny. / Jest i ciemna pieczara oliwnika blisko, / Boginiek Najadami zwanych w niej siedlisko. / Wewnątrz dzbany i garnki dwuuszne tam stoją”.

Schliemann pisze na temat tego fragmentu: „Miejscowość jest opisana w cytowanym fragmencie tak dokładnie, że nie można się pomylić; z małej zatoki widać bowiem dwie niewielkie strome skały, pochylone ku wejściu, a tuż obok, na stoku góry Neion, pięćset metrów nad poziomem morza, grotę nimf... Wnętrze jest całkowicie ciemne, ale mój przewodnik rozniecił za pomocą suchych krzewów tak wielki ogień, że mogłem dokładnie zbadać grotę... Ze sklepienia zwisają masy stalaktytów o najdziwniejszych kształtach, a przy odrobinie wyobraźni można tam rozpoznać urny, dzbany i krosna, na których nimfy tkwały swoje purpurowe szaty”.

Z *Odyseją* Homera w rękę wchodził Schliemann w piekącym upale na górę Aetos, 150-metrowe wzniesienie na przesmyku między północną a południową częścią Itaki. Na spłaszczonym, tworzącym wiele tarasów szczycie podróżnik odkrył szczątki muru, ruiny budowli z nie ociosanych kamieni i resztki wieży. Henryk Schliemann nie miał wątpliwości: musiał to być pałac Odysusza!

„Upał był przygniatający — pisał odkrywca — mój termometr wskazywał 52 stopnie, czułem piekące pragnienie, a nie miałem przy sobie ani wody, ani wina. Ale zachwyty, jaki mnie ogarnął, kiedy znalazłem się wśród ruin pałacu Odysusza, był tak wielki, że zapomniałem o upale i pragnieniu”.

Tam, gdzie brakowało dowodów naukowych, Schliemann dostrzegł intuicyjnie związki historyczne. Nie było widoku, nie było

* Przeł. L. Siemieńskiego.

stosu kamieni, które nie opowiadałyby mu swej historii: Na północy lśniła wyspa Leukadia i owa opadająca stromo ku morzu skała, z której nieszczęśliwie zakochani, jak poetka Safona, poeta Nikostratos albo królowa karyjska Artemizja, rzucali się do morza, aby znaleźć wybawienie od swej namiętności.

Myśli Schliemanna drążyły dalej, w swoich zapiskach wspomina, że mieszkańcy Leukadii mieli jeszcze inne zwyczaje: Według historyka greckiego Strabona mieszkańcy Leukadii corocznie w dniu święta boga Apollina zrzucali ze skały przestępcę jako zadośćuczynienie za wszystkie przewinienia ludzi. Aby dać mu szansę przeżycia, przywiązywano delikwentowi pióra ptaków oraz żywe ptaki do ciała.

PIERWSZE PRACE WYKOPALISKOWE SCHLIEMANNA

Okolo wieczoru Schliemann wracał, oszołomiony tym, co ujrział, i upojony własnymi myślami, z góry Aetos do Vathy. Kiedy znalazł się na dole, wyszedł mu naprzeciw chłop i zaproponował kupno antycznej wazy i srebrnej monety.

„Skąd to masz?” — zapytał Schliemann poruszony.

Stary machnął lekceważąco ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ach, to nic szczególnego”. Potem zaś odrzekł: „Z grobu w skałe, tam na górze!” Wskazał ręką na wierzchołek góry Aetos.

„A co jeszcze było w tym grobie?”

„Nic”.

„Żadnych ludzkich kości?”

„Nie” — odparł chłop.

Schliemann mu nie uwierzył, ale dał znalazcy sześć franków za monetę i wazę.

To spotkanie wieczorem 9 lipca 1868 obudziło w Schliemannie gorączkę poszukiwania. Chciał sam poszukać skarbu z przeszłości, i to najlepiej od razu nazajutrz. Zatrudnił więc czterech robotników, prócz tego chłopców i dziewczęta do transportu żywności na Aetos, wynajął dla siebie konia i osła na niezbędne narzędzia.

Następnego ranka okolo godziny piątej Schliemann wyruszył ze swą małą ekspedycją w drogę. Cel: wierzchołek Aetos z pałacem Odyseusza. „Najpierw — pisał — kazałem czterem mężczyznom powycinać krzewy z korzeniami, następnie odkopać północno-wschodni róg, gdzie według mojego przypuszczenia musiało

się znajdować owo wspaniałe drzewo oliwne, z którego Odyseusz sporządził ślubne łożo, a wokół miejsca, gdzie ono rosło, urządził swą sypialnię".

Z zapisków Schliemanna widać wyraźnie, z jaką naiwnością badacz przystąpił do dzieła. Wyśmiewano się później z tej naiwności, a właśnie ona uczyniła ze Schliemanna jednego z największych odkrywców naszych czasów.

Miejsce, w którym Schliemann najpierw zagłębił łopatę, nie zapowiadało większego sukcesu: w masie ziemi znajdował się gruz i cegły, a na głębokości 66 centymetrów była tylko lita skała. „Straciłem wszelką nadzieję, że znajdę tu jakieś przedmioty o wartości archeologicznej”. Niedaleko od tego miejsca łowca przygód ponowił próbę. Rezultat trzygodzinnej pracy: niewielki mur z kamieni ciosowych, spojonych białym jak śnieg cementem. Oczywiście Schliemann wiedział, że cement zaczęto stosować dopiero w czasach rzymskich. Był zbity z tropu.

Nieco z boku znalazł Schliemann kilka kamieni, które, oglądane z kilku metrów, zdawały się tworzyć koło. Podrapał nożem po powierzchni i po kilku centymetrach ujrzał popiół z kości. Zaciekało go to. Nie chciał się znów skompromitować, wołał więc sam wziąć do ręki motykę. „Ledwie dokopałem się dziesięć centymetrów w głąb, stłukłem piękną, ale bardzo małą urnę wypełnioną prochami ludzkimi”. Schliemann kopał głębiej, tylko ostrożnie, i wydobył dwadzieścia różnego rodzaju waz, niektóre „przedziwnych kształtów”, pięć spośród nich było zupełnie nie uszkodzonych.

Schliemann nie ukrywał, jak wielką dumą napełniło go to pierwsze znalezisko archeologiczne. „Pięć lat życia oddałbym za napis, niestety nie znalazłem żadnego!” Nie było najmniejszej informacji, która by wskazywała, co znalazł. Ale taki człowiek jak Schliemann nie miał wątpliwości, że chodzi tu oczywiście o coś wyjątkowego, „...i nie jest wcale wykluczone — zanotował z całą powagą — że w moich pięciu urnach przechowuję prochy Odyseusza i Penelopy albo ich potomków”.

Podczas przerwy obiadowej pod drzewem oliwnym, przy wodzie, winie i suchym chlebie Schliemann rozmyślał: „Stałem się posiadaczem wyrobów, które znalazłem w itackiej ziemi, i to w pałacu Odyseusza, być może w tym samym miejscu, w którym zapłakał, ujrawszy swego ukochanego psa Argosa; pies zmarł z radości, kiedy rozpoznał swego pana po dwudziestoletniej nieobecności...”

Mimo dalszych poszukiwań na rozgrzanej słońcem wyspie Schliemann nie znalazł już nic szczególnego. Ostatniego dnia pobytu na Itace udał się Schliemann do wsi Exogi. W tej niewielkiej miejscowości, zamieszkaanej głównie przez żeglarzy, spotkał marynarza włoskiego pochodzenia, który osiedlił się na wyspie przed dwudziestu laty i tam wyuczył zawodu kowala.

Marynarz opowiedział nieznanemu o pełnych niebezpieczeństwach podróży, o licznych katastrofach statków oraz o spokoju i szczęściu, które znalazł tu na wyspie. Potem przedstawił Schliemannowi swoją żonę i dwóch synów. Kobieta miała czarne oczy i ciemne włosy i była piękna jak bogini. Nazywała się Penelopa. Starszy z synów nosił imię Odyseusz, a młodszy nazywał się Telemach.

Prosty kowal z wioski Exogi stał się dla Schliemanna, świadomie czy też nieświadomie, wzorem godnym naśladowania.

„Uważałem go za szczęśliwego, bo w przeciwieństwie do tysięcy innych ludzi stał się mądry wskutek nieszczęścia; ponieważ z dala od niebezpieczeństw, burz i raf, założył swój spokojny dom w najpiękniejszym i najbardziej malowniczym otoczeniu interesującej ze wszech miar i najstawniejszej wyspy, pośród godnego miłości i zacnego ludu; dla pełni szczęście niebiosa zesłały mu uroczą żonę, prawdziwy wzór cnót; wyraziłem mu przy okazji swoją radość z powodu zachwytu, jakim darzy on bohaterów tej osławionej wyspy, jego drugiej ojczyzny — zachwytu, którego nie mógł wyrazić lepiej niż nadając swym dzieciom owe słynne imiona”.

Nie upłynął rok, i Schliemann również znalazł *swoją* Itakę i *swoją* Penelopę.

Wśród notatek z podróży: „Z głębokim wzruszeniem opuściłem Itakę; już dawno wyspa zniknęła za horyzontem, a ja wciąż jeszcze spoglądałem w jej kierunku. Nigdy w życiu nie zapomnę tych dziewięciu szczęśliwych dni, które przeżyłem wśród tego poctiwego, przyjaznego i pełnego cnót ludu”.

GRECJA — NIEBEZPIECZNA PRZYGODA

Przez Patras udał się Schliemann dalej do Koryntu. Tam daremnie poszukiwał typowych kolumn, które nosiły imię miasta — nie znalazł nawet jednej. Ale zobaczył Diolkos, równinną drogę na przesmyku, którą w starożytności przemierzały statki ciągnięte na balach sześć kilometrów od jednego morza do drugiego.

Niewielkie miasto o nazwie Korynt miało dopiero dziewięć lat. Trzęsienie ziemi w roku 1859 zamieniło w gruzy miasto zbudowane na ruinach *antycznego* Koryntu. Nowy Korynt był więc oddalony siedem kilometrów na północny wschód od dawnych ruin. Brakowało tu hotelu, i w nocy musiał Schliemann zadowolić się nędzną oberżą i spać na ławie, stając się ofiarą niezliczonych komarów. Uciekł wreszcie przed nimi nad morze i zagrzebał się w piasku.

Podróżowanie po wiejskich drogach przez Grecję było w XIX wieku niebezpiecznym przedsięwzięciem. Roilo się na nich od rozbójników i cudzoziemiec mógł za pół drachmy stracić życie. Schliemannowi udało się zwerbować w Koryncie dwóch uzbrojonych żołnierzy i przewodnika oraz zdobyć nie osiodłanego konia. Celem były Mykeny.

Podróżnik posługiwał się *Przewodnikiem po Grecji* Pauzania-sza*, książką, która powstała około 180 roku naszej ery. Ów Pauzaniusz, kiedy przybył do Myken, widział jeszcze resztki zamku i Lwią Bramę**, skarbcę Atreusa i jego synów, jak również groby wielu osób, które grały tak ważną rolę w *Iliadzie* Homera. Według Pauzania-sza spoczywali tam Atreus, Agamemnon i jego towarzysze, Cassandra i jej synowie, woźnica Eurymedon, Elektra, Ajgistos i Klitajmnestra (Pauz. II, 16).

Już sama lista nazwisk rozbudziła w Schliemannie zmysł poszukiwacza. Wszyscy ci ludzie żyli w czasach bohaterów, które odkrywcę bardzo pociągały. „Do dziś — skarżył się — nie pozostał nawet ślad po tych grobach”. I natychmiast zrodziła się w nim myśl: „Ale niewątpliwie można je na nowo odkryć, prowadząc wykopaliska”.

Przez Argos, jedno z najbardziej kwitnących miast Grecji w ubiegłym stuleciu, i przez Tiryns, miasto-twierdzę z okresu mykeńskiego, udał się Schliemann do Nauplii, dawnego portu Argos, a w średniowieczu potężnej twierdzy weneckiej. Z Nauplii chciał podróżnik następnego dnia popłynąć dalej statkiem w kierunku Aten, ale najbliższy statek odchodził dopiero za tydzień. Parę dni spędził więc Schliemann w malowniczej okolicy. Dnia 28 lipca 1868 wsiadł nocną porą na statek o nazwie „Jonias”. Wprawdzie Schliemann skarżył się na brak komfortu na greckich statkach, ale został on całkowicie zrekompensowany „nadzwyczajną uprzejmością” jego towarzyszy podróży. W książce na temat podróży przez

* *Przewodnik po Grecji* albo *Wędrówka po Helladzie* (*Periegesis des Hellados*) w 10 ks. (przyp. red.) ** Zwana też Bramą Lwic (przyp. red.).

Morze Śródziemne wspomina Henryk Schliemann swoje przybycie do Aten i pomniki starożytności stolicy Grecji tylko w dwunastu wierszach. Akropol oraz inne osobliwości interesują go, jak się zdaje, jedynie w niewielkim stopniu; w każdym razie nie w takim jak resztki murów na Itace czy w Mykenach. Przyczyna: Schliemann czuł się teraz jak odkrywca, a w Atenach, tak sądził, nie było już nic do odegrania tej roli. W dzienniku pisze: „Rezygnuję z bardziej szczegółowego zwiedzania zabytków stolicy Grecji, które już wiele razy były opisywane przez słynnych uczonych i które stanowiły przedmiot ich badań i studiów”.

Poza tym nowoczesna stolica Grecji szczególnie mu się podobała. Ożywiony ruch na ulicach, beztroska ludzi, piękne greckie kobiety, w tym wszystkim było coś, co Schliemann spotykał tylko w Paryżu. Ponadto Schliemann opanował język tego kraju i spotkał w Atenach starego znajomego, Theokletosa Vimposa, u którego uczył się w St. Petersburgu języka starogreckiego. Vimpos był teraz profesorem na uniwersytecie w Atenach, a oprócz tego arcybiskupem Mantynei i Kynurii. Vimpos był dla Schliemanna jak ojciec, podziwiał go.

Obaj rozmawiali ze sobą wyłącznie po starogrecku, w języku Homera. Schliemann poskarżył się pobożnemu człowiekowi Kościola na swoje nieszczęśliwe małżeństwo. Jeśli chodzi o pobożność arcybiskupa, to wydaje się, że nie była ona aż tak wielka — jeszcze się o tym przekonamy. W każdym razie to spotkanie miało zdecydowanie odmienić życie Schliemanna.

ZAGADKA PREHISTORYCZNA: TROJA

Właściwym celem podróży Schliemanna była położona na wschodnim wybrzeżu Turcji Troja, Ilion Homera, widownia wojny trojańskiej, która wybuchła z powodu porwania przez Parysa pięknej Heleny. Przeciwnie niż Itaka, Korynt i Mykeny, Troja, która kiedyś wycisnęła piętno na historii Europy, zniknęła ze wszystkich map. Zagadka historyczna, jakby stworzona dla odkrywcy Henryka Schliemanna.

Panował nieznośny letni upał, kiedy Henryk przybył 9 sierpnia 1868 do miasta portowego Karanlik. Wraz z przewodnikiem natychmiast wyruszył na koniu do Troi, położonej na północno-zachodnim krańcu Azji Mniejszej, miejsca, które opływał Skamander i jego dopływ Simoeis. Droga wiodła w kierunku południowo-

-wschodnim przez nie zamieszkaną, przyjazną okolicę z rozległymi stepami i licznymi źródłami, porośłą świerkowymi i dębowymi lasami.

Były dwa źródła, które już od pewnego czasu naprowadzały badaczy na ślad domniemanej Troi. W pobliżu wsi Bunarbaşi (dziś Pinarbaşi) wytryskały u podnóża góry źródła, które podobno były identyczne z opisywanymi przez Homera w *Iliadzie** (XXII, 149-160). Tak w każdym razie twierdził u schyłku XVIII wieku podróżnik francuski nazwiskiem Lechevalier. Od tego czasu twierdzenie to było wciąż powtarzane.

Homer powiada: „Dążą drogą publiczną bystrymi wyścigi, / Już pagórek, już wiatrem kołysane figi, / Już wreszcie omijają wdzięczne okolice, / Gdzie tryskają Skamandru dwoiste krynice: / Jedna płynie ukropem, gęste bucha pary, / Jakby wrzącymi była tuczona pożary, / Druga w gorącym lecie czyste sączy wody, / A tak zimne jak śniegi lub stopniałe lody. / Tam byty wodne łoża, ozdobione głazem, / Gdzie nadobne Trojanki z córy swymi razem / W czasach pokoju drogie wybielały sprzęty, / Nim do tych brzegów greckie przybyły okręty”.

Kiedy Schliemann nad wieczorem dotarł do wioski Bunarbasj, liczącej 23 stare chaty, był zaskoczony ich opłakany stanem, ale jednocześnie zniewolony wspaniałym krajobrazem. „Przyznaję — pisał — że z trudem mogłem opanować wzruszenie, gdy ujrzałem przed sobą niezwykłą równinę Troi, której obraz miałem przed oczami w snach najwcześniejszego dzieciństwa. Teraz na pierwszy rzut oka wydała mi się za długa. Troja leżała zbyt daleko od morza, jeśli Bunarbaşi rzeczywiście została zbudowana w środku dawnego miasta, jak twierdzą niemal wszyscy archeolodzy, którzy odwiedzili to miejsce”.

Choć Schliemann jako archeolog miał za sobą zaledwie kilka tygodni doświadczeń, zaczął natychmiast grzebać w ziemi, w nadziei, że natrafi na cegły albo gliniane skorupy. Z właściwą mu mieszaniną naiwności i zmysłu poszukiwacza był natychmiast gotów wątpić we wszystko, co badacze dotychczas powiedzieli na temat Troi: „Kiedy przyjrzałem się dokładnie ziemi i nigdzie nie odkryłem śladu resztek cegieł ani wyrobów garncarskich, doszedłem do wniosku, że mylono się co do położenia Troi; moje wątpliwości umocniły się, kiedy... zwiedziłem źródła u stóp pagórka, na którym leży Bunarbaşi”.

Opis Homera nie pasował w żadnym razie do obu źródeł w Bunarbaşi. Schliemann znalazł bowiem natychmiast *trzy* położone obok siebie źródła, a po dłuższym poszukiwaniu w promieniu 500 metrów jeszcze 31 następnych. Mieszkańcy wioski twierdzili nawet, że w najbliższym sąsiedztwie znajduje się ogółem 40 źródeł i dlatego miejscowość ta nosi nazwę „Czterdzieścioro Oczu”. Schliemann utwierdził się całkowicie w swej opinii, kiedy termometrem zmierzył temperaturę poszczególnych źródeł — wszystkie miały 17,5 stopni Celsjusza. Teraz ciepłe źródło mogło już wyschnąć, ale ponieważ Homer wspomniał tylko dwa źródła w miejscu, gdzie było ich co najmniej 40, to wydawało się Schliemannowi mało prawdopodobne.

Kto zatem się mylił? Homer czy współcześni badacze?

Schliemann nie zadawał sobie takich pytań. Im dłużej oglądał tę zaniedbaną wioskę, mając przed oczami przede wszystkim jej położenie geograficzne, tym większe stawały się jego wątpliwości: Odległość do morza wynosiła czternaście kilometrów, a więc trzy do czterech godzin marszu. O ile dokładnie pamiętał *Iliadę*, to gród trojański był oddalony od floty Achajów nie więcej niż o godzinę marszu, bo żołnierze greccy przemierzali tę drogę w ciągu dnia co najmniej sześć razy w obie strony. Poza tym rodziło się pytanie: Czy Achilles rzeczywiście, jak opisuje Homer, mógł trzykrotnie ścigać Hektora wokół murów Troi? Na skalistym stoku, który tu stromo opadał ku Skamandrowi, byłoby to całkowicie niemożliwe.

Czyżby zatem Homer opowiedział tylko bajkę?

W Mykenach i Tirynsie zobaczył Schliemann potężne resztki zaginionej kultury. Troja była wprawdzie zburzona 700 lat wcześniej niż owa cywilizacja, ale czy nie pozostał już ani jeden ciosowy kamień, który byłby dowodem na istnienie tego miasta?

Aby się upewnić, badacz zaangażował na następny dzień pięciu robotników. Kopali na 60 do 100 centymetrów w głąb, ale nigdzie nie znaleźli najmniejszego śladu, który by wskazywał, że ten płaskowyż był zamieszkały w czasach wczesnohistorycznych. „To doprawdy nie do pojęcia — pisał Schliemann — jak można było kiedykolwiek uważać wzniesienia Bunarbasj za miejsce, gdzie znajdowała się Troja. Można to wytłumaczyć jedynie tym, że przybywali tu podróżnicy z uprzednio ugruntowanym przekonaniem, które czyniło ich ślepymi; gdyby bowiem byli oni w stanie spojrzeć jasno i bez uprzedzeń, natychmiast by spostrzegli, że niemożliwe jest utożsamianie tych wzniesień z opisem *Iliady*”.

SCHLIEMANN REKONSTRUUJE BITWĘ O TROJĘ

Schliemann był święcie przekonany, że *Iliada* Homera to nie była legenda, bajka ani mit, tylko przekaz wydarzeń historycznych. Dlatego z dokładnością buchaltera sporządził najpierw chronologię bitwy pod Troją, tak jak została ona opisana w *Madzie* Homera. Z pomocą tego planu miał Schliemann nadzieję wyciągnąć wnioski dotyczące topografii i odległości między różnymi miejscami zdarzeń.

Według chronologii Schliemanna bitwa pod Troją miała następujący przebieg:

W nocy Zeus rozkazał bogowi snów, aby udał się do Agamemnona, naczelnego dowódcy wojsk greckich u bram Troi, i wezwał go do wydania swoim ludziom rozkazu złożenia broni. Zapowiedział, że wezmą Troję następnego dnia (II, 8-15). Kiedy nastał dzień, Agamemnon zgromadził Greków, opowiedział dowódcom swój sen i aby sprawdzić ich charaktery, zaproponował im powrót do ojczyzny (II, 48-140). Żołnierze początkowo na to przystali i pospieszyli do statków (II, 142-154). Jeden z wojowników, Odysusz — król Itaki — zatrzymał wojska i przekonał je, aby zostały (II, 182-210). Nastąpiła długa dyskusja między Odysusem, mądrym Nestorem i Agamemnonem (II, 284-393). Postanowili zostać. Wojownicy udali się do obozu i spożyli poranny posiłek (II, 394-401). Agamemnon złożył Jowiszowi* w ofierze byka i zwołał dowódców, aby wzięli udział w ceremonii (II, 402-433). Nestor wygłosił przemówienie. Następnie Agamemnon rozkazał jednostkom przygotować się do boju (II, 441-454). Wojska ustawiły się w szyku bojowym przed obozem na równinie Skamandra (II, 464-475).

O tych poczynaniach Trojanie zostali zawiadomieni przez Iris, posłankę Hery. Oni również się uzbroili i wyszli z głośnymi okrzykami z bram miasta (II, 786-810; III, 1-9). Na równinie nastąpiło starcie obu armii (III, 15 i n.).

Henryk Schliemann pisze: „Równina nie mogła być wielka, albowiem od strony Bramy Skajskiej Helena rozpoznała greckiego wodza i powiedziała Priamowi jego imię. Wojska greckie zatem mogły być oddalone najwyżej o jeden kilometr, gdyż już na taką odległość trzeba mieć bardzo dobre oczy, aby móc rozpoznać człowieka”.

Dalszy przebieg wydarzeń: Po drugiej stronie Parys, syn króla Priama, wyzywa Menelaosa na pojedynek. Brat Parysa, Hektor, wygłasza mowę, tak samo Menelaos, brat Agamemnona (III, 67-75, 86-94, 97-110). Hektor wysyła heroldów do Troi, aby przynieśli żywe jagnięta. Agamemnon posyła w tym samym celu Talthybiosa do głównego obozu greckiego (III, 116-120).

Komentarz Schliemanna: „Ponieważ obóz grecki mógł być oddalony od Bramy Skajskiej najwyżej kilometr, musiał on — jeśli Troja leżała na wzgórzach Bunarbasj — znajdować się co najmniej trzynaście kilometrów od portu, gdzie stała flota wojenna; Talthybios nie mógłby więc wrócić prędzej niż po sześciu godzinach. A on był tak krótko, że Homer nawet nie podaje czasu”.

U bram Troi złożono ofiary i wypowiedziano uroczyste przysięgi (III, 268-301). Dochodzi do pojedynku. Parys zwycięża Menelaosa i przez Afrodytę, która stała po stronie Trojańczyków, zostaje uprowadzony z pola walki (III, 355-382). W walce obu wojsk początkowo Trojańczycy zostają zepchnięci do murów swojego miasta (V, 37). Podczas walki obie strony wysyłają rannych i łupy — wozy i konie — do Troi albo do obozu Greków (V, 325-663; 668-669). Grecy cofają się przez Trojańczykami (V, 699-702).

Hektor udaje się za mury Troi (VI, 111-115). Na nowo podejmuje walkę z Parysem. Następnie Hektor wzywa najodważniejszych Greków do pojedynku (VII, 67-91). Zgłasza się dziewięciu bohaterów. Los pada na Ajasa, syna Telamona (VII 161-225). Wieczorem Grecy wracają do swojego obozu (VII, 313-320).

Tak wyglądał przebieg pierwszego dnia bitwy o Troję. Schliemann wyciąga z tego następujący wniosek: „Tak więc obszar między miastem a obozem greckim został przemierzony co najmniej [...] sześciokrotnie, dwa razy przez herolda, który przyniósł jagnię, i co najmniej cztery razy przez wojsko, a raz nawet w obie strony [...] Odległość z obozu greckiego do Troi musiała więc być bardzo niewielka i wynosiła najwyżej pięć kilometrów. Bunarbasj jest oddalony o czternaście kilometrów od przylądka Sigeum; gdyby Troja znajdowała się na wzgórzu Bunarbaşi, wówczas trzeba by przemierzyć... co najmniej osiemdziesiąt cztery kilometry...”

Nawet gdyby badacze byli przeciwnego zdania, Troja i wioska Bunarbaej to nie to samo.

WYBÓR PADA NA HISSARLIK

W drodze do Bunarbaşi natrafił Schliemann na inne miejsce, wzgórze o nazwie Hissarlik*, co w tłumaczeniu oznacza „Zamek”. Wzgórze, długości 230 metrów i 160 metrów szerokości, różniło się zasadniczo od tego, na którym położone było Bunarbaşi. Leżały tu dokoła kamienie ciosowe i marmurowe bloki. Wystarczyło po-grzebać nogą w ziemi, a już odsłaniały się masy glinianych skorup. Czyżby pod tym wzgórzem leżała legendarna Troja?

Schliemann nie był pierwszym, który reprezentował tę teorię. Już przed piętnastoma laty konsul amerykański w Dardanelach Frank Calvert, który w wolnym czasie zajmował się archeologią, postawił śmiałą tezę, że Homerowa Troja leży ukryta pod płaskowzgórzem Hissarliku. Nie bacząc na szyderstwa, zakupił część wzgórza i na własny koszt prowadził poszukiwania. Prowadzone nieprofesjonalnie prace wykopaliskowe odsłoniły usytuowane jedno na drugich resztki murów z różnych epok, a na wschodzie wzgórza pozostałości świątyni czy też pałacu z kamieni ciosowych połączonych bez użycia spoiwa.

Dziesięć lat po swoich pierwszych odkryciach Calvert planował prowadzić nowe, tym razem systematyczne poszukiwania. Przy wsparciu British Museum w Londynie, którego dyrektor Charles T. Newton obejrzał już teren, konsul pragnął znaleźć dowód na poparcie swojej teorii. Jednak w ostatniej chwili przedsięwzięcie upadło, ponieważ nie znalazł się nikt, kto byłby gotów wziąć na siebie koszty w wysokości stu funtów brytyjskich.

„Po dwukrotnym zbadaniu równiny wokół Troi — zanotował Schliemann z pewnością siebie — podzielam w pełni przekonanie Calverta, że wzniesienie Hissarlik jest miejscem, gdzie znajdowała się dawna Troja i że na wspomnianym wzgórzu leżał Pergamos**”. Schliemann postanowił: Odkopię Troję.

Nie przerażało odkrywcę, że będzie to jego wyzwanie życiowe. Nakłady i koszty nie grały roli. Również zastrzeżenia od strony naukowej, że pod wspomnianym wzgórzem w żadnym razie nie może się znajdować Homerowa Troja, nie mogły go odwieść od raz powziętej decyzji.

* Pisownia zgodna z tradycją; forma poprawna — zgodna z wymową turecką — Hisarlyk. Por. J. Ciechanowicz *Cień Minotaura*. Warszawa 1996, s. 157 (przyp. red.). ** Pergamos [Priama] = zamek Priama (przyp. red.).

Na podstawie leżących wokół kamieni i resztek murów Schliemann doszedł do następującego wniosku: „Aby dotrzeć do ruin siedzib Priama i jego synów, jak również do ruin świątyni Minerwy i Apollina, trzeba zbadać całą sztucznie utworzoną część wzgórza. Dopiero wówczas z pewnością się okaże, że gród warowny Troja rozciągał się hen daleko poza przylegający płaskowyż; tak też i ruiny pałacu Odyseusza, ruiny Tirynsu i ufortyfikowanego zamku Myken, jak również wielki, nienaruszony skarbiec Agamemnona wyraźnie wskazują, że budowle epoki bohaterów rozciągały się bardzo daleko”.

POMOCNICY SCHLIEMANNA: HOMER, HERODOT I PLUTARCH

W tych notatkach widoczny jest samorodny talent, wielkie zdolności poszukiwacza, który na podstawie porozrzucanych kamieni i stanu podłoża stwierdził istnienie związku pomiędzy Troją a Mykenami. Pomocna w tym była Schliemannowi *Iliada* Homera, którą nosił zawsze przy sobie, a także grecki geograf i historyk Strabon, historyk Herodot z Halikarnasu — wspinały znawca obszaru wybrzeża Azji Mniejszej, następnie pisarz grecki Plutarch ze swymi biografiami znanych Greków i Rzymian oraz historyk starożytny Arrian, autor dzieł o czasach Aleksandra.

Schliemann porównywał wypowiedzi tych autorów, którzy w różnym czasie i z rozmaitego punktu widzenia informowali o tych samych miejscach, i z mozaikowego obrazu tworzył całość. Schliemannowi chodziło przede wszystkim o to, aby donieść, że Troja nie była wymysłem fantazji Homera, tylko realnym tłem *Iliady*.

Herodot na przykład donosi (VII, 43), że król Persów Kserkses przed swoim najazdem na Grecję w roku 480 przed Chrystusem zatrzymał się nad Skamandrem i wdrapał na zamek Priama, gdzie złożył w ofierze bogini Minerwie Ilijskiej* tysiąc wołów. Działo się to 2350 lat przed Schliemannem, co świadczy wyraźnie, że zamek Priama w owych czasach był jeszcze w pamięci faktem historycznym. Miejsce dowodzi, że świątynia Minerwy była znacznych

* Chodzi oczywiście o Atenę Ilijską; H. Schliemann i Ph. Vandenberg imię bogini traktują wymiennie z jej rzymskim odpowiednikiem; por. Herodot *Dzieje* w przekł. S. Hammera, t. II, s. 128, Warszawa 1959; tu por. s. 196,206 (przypr. red.).

rozmiarów, wystarczająco duża, aby przyjąć ofiarę w postaci tysiąca wołów.

Również pobyt Aleksandra Wielkiego w Troi jest literacko poświadczony. Od Plutarcha dowiadujemy się, że Aleksander nazwał *Iliadę* „spizarnią cnót wojennych” i odpis dzieła wraz ze swym mieczem trzymał pod poduszką. Jeśli wierzyć poważnemu historykowi Arrianowi, to Aleksander Wielki podczas wizyty w Troi pozostawił w świątyni Minerwy Ilijskiej swoją zbroję i zabrał ze sobą poświęconą broń, która była tam przechowywana od czasów wojny trojańskiej. Schliemann wyciąga z tego następujący wniosek: „Przy wielkim szacunku, jakim Aleksander Wielki darzył Homera i jego Troję, był on z pewnością przekonany, że owa Troja, gdzie złożył ofiarę Minerwie, stoi na miejscu dawnego miasta Priama”.

Taki pogląd przeczy jednakże Strabonowi, greckiemu historykowi i geografowi, który — jak Schliemann wyraźnie podkreślał — nigdy nie był w Troi. Strabon twierdzi, że w czasach Aleksandra Troja stanowiła jedynie punkt na ziemi z malutką świątynią, a Aleksander założył nowe Ilium albo Troję, z murami długości 40 stadiów, niedaleko od zamku Priama. Pośrednio jest to jednak dowód na potwierdzenie teorii Schliemanna, że mianowicie Homerowej Troi nie należy szukać w okolicy wioski Bunarbasi, tylko koło Hissarliku; resztki bowiem murów Nowego Ilium, które leżało na północnym zachodzie od Hissarliku i wielokrotnie było burzone, dawało się rozpoznać nawet gołym okiem.

Jak tropiący pies przemierzał Henryk Schliemann migoczącą w upale okolice Troady z południa na północ i ze wschodu na zachód. Dokuczały mu upał i robactwo, przede wszystkim pchły i pluskwy. Dlatego wołał spędzać noce na wolnym powietrzu. Jego pożywienie skradało się głównie z chleba i wody.

W mieście Yeniseri na przylądku Sigeum*, które ma kształt rogu i wdziera się w Morze Egejskie, podróżnik zapragnął zjeść kawałek mięsa. Właściciel kawiarni, któremu Schliemann przedstawił swoje życzenie, wyciągnął w górę ramiona, po czym zniknął. Kiedy wrócił, trzymał w ręku drżącą, krzyczącą kurę. Za godzinę, powiedział, danie będzie gotowe. Widok skazanego na śmierć ptaka najwidoczniej jednak odebrał gościowi apetyt. Zapłacił bowiem za kurczaka i kazał go wypuścić. Następnie zjadł osiem jajek — cały

* Pełna nazwa tac. brzmi Sigeum Promontorium; gr. Sigejon — przylądek na półn.-zach. cyplu Azji Mniejszej (przyp. red.).

zapas — wszystek chleb i wypił do tego wino z sąsiedniej wyspy Tenedos.

„Kiedy z *Iliadą* w dłoni — pisze Schliemann — stałem na dachu domu i spoglądałem przed siebie, wydało mi się, że widzę u stóp flotę, obóz i zgromadzenie Greków, Troję i Pergamos na wyżynie Hissarliku, przemarsze wojsk i walki jednostek na równinie między miastem a obozem. Przez dwie godziny pozwoliłem przesunąć się przed oczami najważniejszym wydarzeniom z *Iliady*”.

Wówczas, w sierpniu 1868 roku, w głowie Schliemanna kłębiło się wiele myśli. Jego przykra sytuacja rodzinna i szarpiący nerwy stres związany z akcjami i spekulacjami zdawały się pójść w zapomnienie. Przed nim roztaczał się nowy, nieznany, podniecający, fantastyczny świat. Jeszcze ów świat był zawarty między dwiema okładkami, w potędzie słowa niewidomego poety. Schliemann jednak mocno wierzył w realność tego świata, który należało tylko wydobyć spod wzgórza Hissarlik. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynie, zanim będzie mógł dostarczyć dowody. Wiedział tylko, że nie spocznie, dopóki tych dowodów nie zdobędzie.

VII NOWY

CZŁOWIEK, NOWE ŻYCIE

Ni przebywam wciąż w towarzystwie świątłych i pięknych kobiet, które z ochotą leczyłyby mnie z moich cierpień i chętnie by mnie rozpieszczały, gdyby wiedziały, że myślę o rozwodzie. Ale, mój przyjacielu, człowiek jest słaby, i boję się zakochać we Francuzce i znów zostać nieszczęśliwym.

Henryk Schliemann do arcybiskupa Vimposa

Paryż, wrzesień 1868. Na pierwszym piętrze eleganckiego domu na Place St. Michel 6 dzień i noc pali się światło. Wróciwszy ze swojej greckiej wyprawy, która go bardziej poruszyła niż wszystko, co dotychczas przeżył, Henryk Schliemann pracuje jak opętany, aby przenieść na papier swoje przeżycia. *Itaka, Peloponez i Troja* — tak ma się nazywać książka. Podtytuł: *Badania archeologiczne*. A więc książka naukowa, zupełnie inna niż relacje z podróży dookoła świata. Ma być ona wstępem do jego kariery naukowej jako archeologa. Dla Schliemanna nie ulega bowiem wątpliwości: Jego dalsze życie nie będzie się rozgrywało w kantorach handlowych, halach giełdowych i magazynach, tylko wśród hałd gruzu, ruin i szczątków murów. A jego codzienną lekturę będą stanowiły nie ceduły giełdowe i bilanse, lecz pisarze antyczni, przede wszystkim Homer.

Jednakże Schliemann nie jest piszącym naukowcem, którym tak bardzo chciałby być, jest on i pozostanie przede wszystkim człowiekiem, który na pierwszym miejscu stawia własne ja, i takim go na zawsze zapamiętamy. W tym też duchu przedstawia siebie w swej „naukowej” książce. Konstruuje jednak własną biografię tak, żeby pasowała do obrazu archeologa, który późno odkrył swe powołanie.

„Jak tylko nauczyłem się mówić, ojciec opowiadał mi o wielkich czynach Homerowych bohaterów. Lubiłem te opowieści; poruszały mnie one do głębi i budziły największy zachwyty. Te pierwsze wrażenia, których doznaje dziecko, pozostają w nim przez całe życie, i choć pisane mi było w wieku czternastu lat terminowanie w sklepie kolonialnym u pana Emila Ludwiga Holtza w małym meklemburskim miasteczku Fiirstenberg, a nie kształcenie się, do

czego czułem w sobie nadzwyczajne predyspozycje, to jednak zachowałem w sobie ową miłość do znanych ludzi starożytności, zrodzoną w czasach mego najwcześniejszego dzieciństwa". Tak brzmi początek.

Za niespełna trzy miesiące Schliemann napisał książkę pt. *Itaka, Peloponez i Troja* — po francusku. Ale kiedy ją skończył, stwierdził, że nie jest wcale dziełem naukowym, a raczej znów czymś w rodzaju sprawozdania z podróży, z tą różnicą, że tym razem trasę podróży wyznaczały *Iliada* i *Odyseja*. Henryk pospiesznie dodał więc do sprawozdania przedmowę, w której wyjaśnił, że nigdy nie byłby na tyle próżny, aby napisać książkę na ten temat; dopiero kiedy na własne oczy ujrzał, w jakim błędzie są „niemal wszyscy archeolodzy", zdecydował się na opublikowanie własnych doświadczeń i wrażeń.

Tak pisze do ojca dnia 9 grudnia 1868: „Skończyłem już moje dzieło archeologiczne, znalazłem też wydawcę; książka idzie właśnie do druku, a ponieważ atakuję w niej Strabona i wszystkich, którzy po nim pisali o Troi, wiele się będzie mówiło przeciwko mojej książce. Wcale się tego nie obawiam, na wszystko mam dowody i nie twierdzę niczego bez poparcia oczywistymi faktami".

Jemu samemu owoc pracy znacznie bardziej się podobał niż specjalistom z Sorbony, którym Schliemann z własnej inicjatywy wysłał swoje nowe dzieło. Kim był człowiek, który stawiał tak obrazoburcze tezy? Jaką opinią się cieszył? Jacy ludzie stali za tym nowicjuszem w dziedzinie archeologii? W świecie fachowców zapanowała niepewność. Jeszcze nikt dotąd na taką śmiałość się nie poważył. Schliemann rozkoszował się tą niezwykłą sytuacją. Teraz należało szybko działać.

PIERWSZE PLANY WYKOPALISKOWE TROI

W konsulu amerykańskim Franku Calvercie, który rezydował w Canakkale nad Cieśniną Dardanelską, Schliemann pozyskał znaczącego przyjaciela. Nie tylko dlatego, że należał do niego spory szmat ziemi, o którym Schliemann sądził, że jest dawną Troją; konsul miał także dobre kontakty, orientował się w ustawodawstwie kraju i Rosjaninowi niemieckiego pochodzenia, zamieszkałemu w Paryżu, udzielił pomocy w wyjaśnianiu podstawowego problemu „ubi Troia fuit" (łac: gdzie była Troja).

Calvert znalazł nazwiska dwóch Turków, którzy byli współwłaścicielami pozostałej części wzgórza Hissarlik, i polecił Schliemannowi, żeby zainteresował przedsięwzięciem swojego ambasadora w Konstantynopolu, prosząc go o załatwienie u władz tureckich pozwolenia na kopanie. Swoją ziemię Calvert pozostawia mu do dyspozycji; ma również nadzieję, że otrzyma on zgodę od właścicieli tureckich.

Henryk Schliemann w porozumieniu z Frankiem Calvertem opracował następujący plan:

Prace wykopaliskowe w Hissarliku powinny się rozpocząć wczesną wiosną 1869 roku. Dla Schliemanna, który niczego tak się nie obawiał jak pcheł i pluskiew, wynajęto dom w wiosce Ciblak, wydezynfekowany i świeżo pomalowany z zewnątrz i wewnątrz. Na miejscu kopania ustawiono namiot, o który postarał się Calvert. Zmierzano zatrudnić sześćdziesięciu do osiemdziesięciu robotników, głównie Greków, którzy uchodzili za szczególnie pracowitych, otrzymywaliby oni dniówkę od ośmiu do dwunastu piastrow, w zależności od wykonanej pracy.

Calvert zaproponował, aby narzędzia, takie jak łopaty, motyki i wózki ręczne sprowadzić z Francji, gdyż na miejscu można dostać tylko drewniane szufle. Poza tym doradził on Schliemannowi, aby założył konto w Banku Ottomańskim w Konstantynopolu, za pośrednictwem którego będą regulowane wszystkie opłaty. „Może Pan — pisał Calvert w liście do archeologa — zabrać ze sobą tyle broni, ile Pan zechce, ile dyktuje Panu poczucie bezpieczeństwa. Ja mam zawsze przy sobie tylko jeden karabin”.

Perspektywa zostania sławnym archeologiem przywróciła Schliemannowi poczucie własnej wartości, które zdawał się być tymczasem utracić. Zaprzagnął rozpocząć nowe życie, a do tego trzeba było przede wszystkim przeprowadzić rozwód z Jekatieriną. Bez zbitych przygotowań wyruszył dnia 2 stycznia 1869 roku z Paryża do St. Petersburga.

Nie liczył na pogodzenie. Fronty się umocniły. Poza tym zdawał sobie jasno sprawę, że nigdy nie potrafi zaakceptować stosunku Jekatieriny z kobietą. Dlatego postawił Łyzynie ultimatum: „Albo pojedziesz ze mną do Paryża, i to natychmiast, albo przeprowadzę za granicą rozwód”.

Jekatierina zareagowała tak, jak należało się spodziewać: „Pozostanę tu! Nigdy nie opuszczę Petersburga!”

Dzięki pieniądзом i stosunkom do tytułu dra fil.

Ze Izami pożegnał się Schliemann z dziećmi, czternastoletnim obecnie Sergiejem i ośmioletnią Nadzieją; Natalia zmarła w wieku dziesięciu lat.

W drodze powrotnej odwiedził Henryk w Schwerinie swego kuzyna, radcę Adolfa Schliemanna. Do owego kuzyna z Kalkhorst, o pięć lat starszego od niego, od roku 1855 uznanego prawnika w Schwerinie, Henryk od najwcześniejszej młodości żywił przyjazne uczucia. Adolf był poza tym jedynym krewnym, z którego radą Henryk się liczył, choć wypominał mu jego skłonności do hazardu. Henryk płacił długi karciane Adolfa. Gdyby nie jego wsparcie, kariera prawnicza Adolfa dawno by się skończyła. Teraz kuzyn mógł mu się zrewanżować.

Doktor Adolf Schliemann był nie tylko cenionym adwokatem, miał on także liczne kontakty w całej Meklemburgii. Oba te fakty mogły być dla Henryka przydatne. Jego największym życzeniem, skarżył się, było rozwiązanie małżeństwa z Jekatieriną. Ale istniały też inne sprawy, które mu ciążyły: wobec planowanych prac wykopaliskowych w Troi brakowało mu autorytetu naukowca. Wiedzę miał wystarczającą; aby poważnie potraktowano jego pracę potrzebował jednak tytułu naukowego. Henryk Schliemann, kupiec z St. Petersburga, uchodziłby w oczach profesorów za świętokradcę, jeśli zechce odkopywać Troję. Dr Henryk Schliemann natomiast mógłby sobie swobodnie poczynać na polu archeologii i byłby szanowany.

W sprawie Schliemann kontra Schliemannowa kuzyn Adolf znalazł radę: największe szanse załatwienia rozwodu widział on w amerykańskim stanie Indiana. Co się natomiast tyczy wymarzonego tytułu doktorskiego, to zobaczy, co się da zrobić; w każdym razie ma on dobre kontakty na uniwersytecie w Rostocku.

DZIEKI PIENIĄDZOM I STOSUNKOM DO TYTUŁU DRA FIL.

Szybciej, niż to sobie wymarzył, Schliemann został doktorem filozofii. Nie miał wprawdzie ani matury, ani ukończonych studiów, ani nie przedłożył pracy doktorskiej, a tytuł akademicki, który został mu przyznany w ciągu czterech tygodni, nie był bynajmniej doktoratem honorowym; Schliemann posiadał jednak dużo pieniędzy. I choć nie ma dowodów, że kupił sobie tytuł dra fil., to jednak

istnieje takie podejrzenie, a dokładniejsza analiza okoliczności wykazuje pewną dozę komizmu.

Choć uzyskanie tytułu doktora należało do najważniejszych wydarzeń w życiu Henryka Schliemanna, nie było go wówczas w Europie, kiedy uniwersytet w Rostocku zajmował się jego „przyładkiem”. Nigdy nie widział na oczy swojego promotora, jak również dziekana uniwersytetu. W autobiografii wspomina Schliemann to wydarzenie tylko jednym zdaniem: „Egzemplarz tego dzieła (*Itaka...*), wraz z dysertacją napisaną w języku starogreckim, przesłałem na uniwersytet w Rostocku i zostałem za to nagrodzony zaszczytnym tytułem doktora filozofii tej uczelni”. To tak niewątpliwie ważne wydarzenie z perspektywy czasu wydaje się dla Schliemanna przykre.

Dokumenty, które na uniwersytecie rostockim wydobyto na światło dzienne, mówią same za siebie. Według nich Henryk Schliemann na polecenie swego kuzyna Adolfa dnia 12 marca 1869 wysłał paczkę do profesora Hermanna Karstena, na uniwersytet w Rostocku. Jej zawartość: dwie książki, dwa życiorysy i list w języku niemieckim z łacińskim nagłówkiem. Co za kompromitacja, albowiem już ów nagłówek „Decane spectabilis!”, (Czcigodny Panie Dziekanie!), zawierał błędy gramatyczne! A oto list Schliemanna w dosłownym brzmieniu:

„Decane spectabilis!

Niniejszym pozwalam sobie przesiać Czcigodnemu Panu moje obie prace: *La Chine et le Japon au temps present* i *Ithaque, le Peloponnese et Troie — recherches archeologiques*; ukazały się one w Paryżu, pierwsza w roku 1867, druga w roku bieżącym; jednocześnie, zamiast życiorysu, załączam tłumaczenie wstępu do mojej najnowszej pracy w językach starogreckim i łacińskim, zawierającego życiorys, i ośmielam się zarazem wyrazić moją uniżoną prośbę o uznanie mnie godnego promocji na doktora filozofii.

Do przekładu mojej biografii chciałbym tylko dodać, że urodziłem się dnia 6 stycznia 1822 roku w Neubukow w Meklemburgii, gdzie mój ojciec był kaznodzieją; tam po początkowej nauce prywatnej w Kalkhorst, w dniu Świętego Michała roku 1833, poszedłem do gimnazjum w Neustrelitz, do klasy trzeciej, ale z powodu nieszczęśliwych dla mego ojca okoliczności musiałem to gimnazjum opuścić już po trzech miesiącach, aby pójść do szkoły realnej, z której odszedłem na Wielkanoc 1836, zostawszy tam po roku nauki uczniem klasy pierwszej. Potem w miarę możliwości

uzupełniałem braki wykształcenia szkolnego i doskonaliłem się w językach europejskich; oprócz nich uczyłem się także języków starogreckiego i arabskiego — o tym wszystkim jest mowa obszerniej w załączonym wstępie. Na koniec pozwałam się zwrócić z prośbą o przekazanie wszelkich dyspozycji mojemu kuzynowi, radcy dr. Adolfowi Schliemannowi, w Schwerinie, jak również o egzekwowanie od niego wszelkich kosztów. Pozostaję z poważaniem, wielce Panu oddany

Henryk Schliemann".

Karsten, dziekan wydziału filozoficznego, był już zorientowany w sprawie dzięki pośrednictwu specjalisty od filozofii greckiej, prof. Ludwiga Bachmanna, który z kolei był zaprzyjaźniony z Adolfem Schliemannem. Tak więc przewód doktorski został otwarty „in absentia” (pod nieobecność kandydata).

Jak Adolfowi Schliemannowi udało się przekonać wszystkich członków rady wydziału filozofii, aby otworzyli ów przewód, na ten temat, jak już wspomniano, można tylko snuć flomysły. W każdym razie, aby ten przewód został rozpoczęty, potrzebna była jednogłośnie zgoda członków rady wydziału. W tym wypadku jednak okazała się możliwa promocja na podstawie uznanych dokonań naukowych.

Wszakże zacni profesorowie uniwersytetu w Rostocku próbowali chociaż zachować formy. Karsten dnia 3 kwietnia 1869 do kolegium:

„Pan Henryk Schliemann, kuzyn pana radcy Schliemanna zamieszkałego w Schwerinie, i przez niego już nam zaanonsowany, prosi zgodnie z załączonym listem o promocję. Przysłał dwie prace *La Chine et le Japon* i *Ithaque, le Peloponn&se et Troie — recherches archeologiques* oraz jako curriculum vitae przekład na język łaciński i grecki przedmowy do swojej ostatniej pracy. Pierwsza praca, właściwie sprawozdanie z podróży, może być w mniejszym stopniu brana pod uwagę niż druga, archeologiczna, o której ocenę proszę kolegę Bachmanna. Następnie proszę Szanownych Kolegów o wypowiedź, czy i w jakiej mierze można w przypadku tego filologa samouka odstąpić od dopełnienia formalności”.

W istocie promocja Henryka Schliemanna na uniwersytecie w Rostocku była farsą. Podczas gdy profesorowie zazwyczaj potrzebują miesięcy, aby sporządzić ocenę, pomiędzy 8 a 12 kwietnia 1869, a więc w ciągu czterech dni, profesorowie Bachmann, Karsten, Fritzsche, Roeper, Schulze, Bartsch, Roesler i Schirmmacher,

a więc ośmiu uczonych mężów, przeczytali i ocenili pozytywnie dzieło Schliemanna pt. *Itaka...*, jak również osiem stron jego łacińskiego i greckiego życiorysu.

Nadto sam Bachmann, przyjaciel kuzyna Schliemanna, Adolfa, który był głównym recenzentem i ze zrozumiałych względów dobrze usposobiony do doktoranta, nie szczędził słów pochwały dla „samodzielnie zdobytych umiejętności samouka”. Pisze on: „Mniej przekonujące są rezultaty badań, które autor przeprowadził na równinie trojańskiej, nad obiema przepływającymi przez nią rzekami, i nad usytuowaniem dawnego Ilium, choć dokonał ich z niezłomną wytrzymałością; opowiada o niej wciąż nawiązując do odpowiednich miejsc *Iliady*, w bardzo zabawnym opisie. Tu jednakże, mimo dokładności danych, na których opiera on swoje twierdzenia, zaistniała pomyłka, zarówno jeśli chodzi o omawianą lokalizację, jak też o nazwę i bieg Skamandra i Simoeis. Henryk Schliemann przedłożył nam swój życiorys w trzech językach; wersję francuską czyta się bardzo dobrze, autor jest bardzo sprawny w tym języku; wersja łacińska, pomijając kilka potknięć, jest pod względem językowym zadowolająca; natomiast przekład na grecki lepiej byłoby pominąć, albowiem mnogość greckich zwrotów i okresów zdaniowych wskazuje, że autor nie ukończył syntaktycznego kursu tego języka i dlatego nie potrafi utworzyć całkowicie zamkniętej konstrukcji zdania w formie antycznej”.

Jednak profesor Ludwik Bachmann opowiedział się za promocją tego niezwyklego indywidualisty — ukartowana gra, jak wskazuje list ze spuścizny Adolfa Schliemanna. Albowiem 12 marca, tego samego dnia, kiedy Henryk wysłał na uniwersytet w Rostoku załączniki do promocji doktorskiej, napisał doktorant do swego kuzyna Adolfa: „Zechciej przyjąć moje najserdeczniejsze podziękowania za tyle dobra, jakie mi okazałeś. List profesora Bachmanna w najwyższym stopniu mi pochlebia”.

Dnia 27 kwietnia 1869 przyznano Henrykowi Schliemannowi za jego *Liber Archaeologicus de Ithaca Insula Peloponneso et Troade* (Książka archeologiczna o Itace, Peloponezie i Troadzie) tytuł doktorski. Z pewnością nie był to tytuł do sławy uniwersytetu w Rostoku.

JAK SCHLIEMANN ZOSTAŁ NIELEGALNIE AMERYKANINEM

Wiadomość o przyznaniu tytułu doktora dotarła do Henryka do Indianapolis w stanie Indiana. Tam wyjechał Schliemann za radą swego kuzyna Adolfa, aby wykorzystał nadzwyczaj liberalne prawo rozwodowe, jakie obowiązywało w tym stanie. Nie wiadomo, jak „doktor filologii i nauk wyzwolonych” zareagował na niezwykle szybkie zakończenie przewodu doktorskiego. Należy jednak sądzić, że wśród tysięcy pozostawionych listów, które często dotyczyły spraw błahych, nie zachował się ani jeden, w którym doktorant wypowiadałby się na temat tego wydarzenia. Co takiego miał Henryk Schliemann do ukrycia?

Dla cierpiącego bardzo z powodu braków w wykształceniu drobnomieszczanina z Meklemburgii tytuł doktorski miał niebagatelne znaczenie; podnosił jego prestiż we własnych oczach. O ile w interesach Schliemann potrafił śmiało prezentować swój ucziwie zdobyty majątek i nie wstydził się informować otoczenia o swoich rocznych dochodach niczym krzykacz jarmarczny, o tyle bardzo cierpiał ów mały człowieczek na kompleks niższości. Schliemann był pyszałkiem pod każdym względem, a magia tytułu akademickiego wessała go jak trąba powietrzna na niepojęte wyżyny. Potem już tylko niekiedy brakowało mu pewności siebie.

Czterdziestosiedmioletni mężczyzna dowiódł, że za pieniądze rzeczywiście wszystko można osiągnąć. I świadomy tego faktu wytknął sobie następny cel.

Do otrzymania rozwodu zgodnie z prawem amerykańskim, potrzebne mu było obywatelstwo amerykańskie. Aby jednak uzyskać takie obywatelstwo, należało się wykazać albo pochodzeniem amerykańskim, albo pięcioletnim pobylem w USA. Schliemann nie spełniał żadnego z tych warunków. Jednak za pomocą grubego pliku dolarów został on dożywotnio obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Schliemann kupił sobie paszport USA dzięki krzywoprzysięstwu. Ledwie bowiem dnia 27 marca 1869 stanął na lądzie amerykańskim, zaczął poszukiwać w Nowym Jorku poręczyciela. Po dwóch dniach udało mu się. John Bolan, zamieszkały w Nowym Jorku, Madison Avenue 90, był gotów przysiąc przed sądem, że mister Henry Schliemann, urodzony 6 stycznia 1822 w Neubukow, w Niemczech, mieszka od pięciu lat w Stanach Zjednoczonych, z tego rok w Nowym Jorku, i przestrzega zasad konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Odpowiedni dokument został podpisany 29 marca 1869 i jeszcze tego samego dnia Henry Schliemann otrzymał obywatelstwo amerykańskie. Nazajutrz wyjechał do Indiany. Dnia 1 kwietnia przybył do Indianapolis, miasta liczącego 40 tysięcy mieszkańców, założonego przed półwiekiem.

Pierwszy hotel na miejscu był dość obskurny. Henry wytrzymał tam tylko jedną noc. Następnie wynajął dom przy nasypie kolejowym, w którym zamieszkał razem z czarnym sługą i czarną kucharką, darząc ją szczególnym respektem, nie tyle ze względu na jej umiejętności kulinarne, ile z uwagi na fakt, że czytała dziennie trzy gazety. W owym bowiem czasie w całym stanie Indiana nie było jeszcze ani jednej szkoły dla kolorowych.

POZEW O ROZWÓD I PIĘCIU ADWOKATÓW

Już następnego dnia po przybyciu do Indianapolis Henry Schliemann znalazł trzech adwokatów — w późniejszych rozprawach było ich nawet pięciu — aby móc wnieść sprawę o rozwód przeciwko obywatelce rosyjskiej Jekatierinie Pietrownie Schliemann, z domu Łyszinej. Honoraria dla adwokatów zostały wynegocjowane nadzwyczaj sprytnie. Zdradzały one sprawnego człowieka interesu. Zgodnie z umową w przypadku pozytywnego zakończenia procesu doradcy prawni mieli otrzymać niebagatelną sumę 15000 dolarów, a więc piętnastokrotną cenę domu, w wypadku zaś niekorzystnego rezultatu procesu tylko 200 dolarów. Pozew rozwodowy wniósł Schliemann 5 kwietnia i zgodnie z prawem stanowym został on opublikowany w „Indiana Weekly State Journal”, z apelem do opinii publicznej, aby się wypowiedziała w tej sprawie.

On sam uczynił wszystko, aby nie stwarzać wrażenia, że przybył do Indianapolis tylko po to, aby załatwić sobie rozwód. Dlatego kupił dom nr 473 na Illinois Street za cenę 1125 dolarów i został współwłaścicielem średniej wielkości fabryki. Za sumę 12 000 dolarów kupił jedną trzecią wszystkich jej akcji.

Oczywiście chodziło tylko o pozorne interesy, albowiem Schliemann był daleki od tego, aby zapuścić korzenie w Indianapolis. Dnia 11 kwietnia 1869 roku skarżył się swojemu kuzynowi Adolfowi: „Kiedy człowiek tu przybywa, zrobiwszy podczas wielu lat życia mozolną karierę w Europie i dorobiwszy się znacznego majątku, a szczególnie kiedy człowiek zakosztował przez dwa i pół roku wspaniałego życia w Paryżu, a podczas nieustannego dążenia

do piękna osiągnął tak wiele, i teraz pogrążył się w metafizyce, nie może się czuć jak u siebie w domu i tęskni za powrotem do Europy..."

Schliemann nie mógł oczywiście uczynić nic innego, jak tylko czekać — zajęcie, od którego był wprost chory. Ale kiedy dotarła do niego wiadomość o promocji, nie posiadał się z radości. Jeszcze raz potwierdziło się przekonanie, że wszystko w życiu można kupić za pieniądze, nawet uznanie i sławę naukową; to zaś nasunęło mu nową myśl: Dlaczego nie można by sobie kupić kochającej kobiety?

Jeśli dotychczas brakowało mu czegokolwiek w życiu, to kobiety, która by go kochała. Przyszedł czas, aby wypełnić także i tę bolesną lukę. Rozwód z Jekatieriną oznaczał teraz dla niego już tylko formalność. Dlatego zaczął poszukiwać nowej kandydatki na żonę.

Henry nie był mężczyzną, który by sprawy, w dodatku tak ważne, pozostawiał przypadkowi. Całe jego dotychczasowe życie było starannie zaplanowane; teraz należało także poszukiwania kochającej żony prowadzić rozważnie i starannie.

Czekając w Indianapolis na rozprawę rozwodową, Schliemann wytyczał sobie drogę przyszłego życia. Choć zachwycił go Paryż, atmosfera i kultura tego miasta, wiedział, że metropolia nad Sekwaną nigdy nie stanie się jego drugą ojczyzną. Natomiast Ateny, położenie miasta u stóp Akropolu i niefrasobliwość żyjących tam ludzi dobrze na niego wpływały. Przede wszystkim czarnowłose i ciemnookie Greczynki budziły jego zainteresowanie.

Jeszcze przed wyjazdem do Ameryki zwrócił się Henry do swego dawnego nauczyciela greki Theokletosa Vimposa z zapytaniem, czy nie znalazłby dla niego wśród mieszkanek Grecji odpowiedniej kandydatki na żonę. Vimpos najpierw postanowił nie odpowiadać na list przyjaciela, nie był on wszak pozbawiony pewnej dozy pikanterii. Kiedy bowiem Schliemann wyraził pragnienie „uszcześliwienia” greckiej kobiety, był jeszcze wedle prawa człowiekiem żonatym, a Theokletos piastował wciąż urząd arcybiskupa Mantynei i Kynurii.

List do arcybiskupa, który zachował się w dosłownym brzmieniu, ukazuje całkiem innego Schliemanna od tego, którego znamy z jego innej korespondencji. Tu mamy do czynienia nie z trzeźwo myślącym, wyniosłym, zrównoważonym milionerem, który o własnych siłach doszedł do majątku, tylko z niepewnym, marzycielskim, tęskniącym do miłości młodzieńcem, ujawniającym swoje najgłębsze uczucia.

„CZY JEGO EMINENCJA NIE ZNALAZŁBY
DLA MNIE ŻONY?”

„Drogi Przyjacielu — pisał Henryk Schliemann do Vimposa — nie potrafię wyrazić, jak bardzo kocham Pańskie miasto i jego mieszkańców. Przysięgam na szczątki mojej matki, że wszystkie myśli i dążenia kieruję na to, aby uczynić szczęśliwą moją przyszłą żonę. Przysięgam, że nigdy nie dam jej powodu do skargi, pragnę ją nosić na rękach, jeśli będzie to dla niej miłe. Tu stale jestem w towarzystwie mądrych i pięknych kobiet, które chętnie uleczyłyby mnie z moich cierpień i rozpieszczalyby mnie, gdyby wiedziały, że zamierzam się rozwieść. Jak wiadomo, mój Przyjacielu, człowiek jest istotą słabą, a ja boję się zakochać we Francuzce i znów być nieszczęśliwy.

Dlatego proszę Pana, aby wraz z odpowiedzią przysłał mi Pan zdjęcie jakiejś pięknej Greczynki; może Pan je kupić u fotografa. Tę fotografię będę nosił stale w kieszeni i będzie mnie ona chroniła przed niebezpieczeństwem poślubienia innej kobiety niż Greczynka. A jeśli mi Pan przyśle zdjęcie dziewczyny, którą wybrał Pan dla mnie na żonę, tym lepiej. Proszę, aby Pan wyszukał dla mnie kobietę o takim anielskim charakterze jak Pańska zameżna siostra. Może być biedna, ale wykształcona, musi się zachwycać Homerem, żywić entuzjazm dla odrodzenia mojej ukochanej Grecji. Niekoniecznie ma znać języki obce. Ale powinna być w typie greckim, w miarę możności być ładna, o czarnych włosach. Moim podstawowym warunkiem jest dobre, kochające serce! Może zna Pan sierotę, córkę jakiegoś uczonego, która jest zmuszona służyć jako guwernantka, a posiada wymienione przeze mnie cechy.

Mój Przyjacielu, otwieram przed Panem moje serce jak przed spowiednikiem. Nie mam nikogo na świecie, komu mógłbym powierzyć tajemnice mojej duszy...”

Z Indianapolis upominał się Henry o odpowiedź na swój list, podkreślając, że jego rozwód z Jekatieriną nastąpi już niebawem.

Vimpos lubił Schliemanna. Wierzył w szczerość jego zamiarów. Udało mu się nawet zdobyć fotografię dwóch atenek chętnych do małżeństwa. Wobec perspektywy szczególnie dobrej partii, jaką był niewątpliwie bogaty miłośnik Grecji, Vimpos rozglądał się oczywiście wśród własnych krewnych. Jego kuzynka Wiktoria, zameżna z ateńskim handlarzem suknem Georgiosem Engastromenosem, miała syna i dwie córki, z których młodsza, uczennica imieniem Zofia, wyróżniała się niezwykle mądrością i urodą. Miała wprawdzie

dopiero szesnaście lat i w porównaniu z czterdziestosiedmioletnim Schliemannem była jeszcze dzieckiem, ale dla Vimposa nie stanowiło to żadnej przeszkody. Zofia została sfotografowana w eleganckiej sukni swej starszej siostry. Tę fotografię wraz z fotografiami dwóch innych atenek wysłał Vimpos do Indianapolis.

Schliemann zareagował tak, jak Vimpos się spodziewał: Obie atenki nie dorównywały młodzieńczej piękności Zofii

Engastromenos. Poza tym Henry znał się na tyle na ludziach, że potrafił czytać z ich twarzy. Jedną z tych kobiet, Polyxene Gousti, nauczycielkę, scharakteryzował w liście do arcybiskupa jako przekorną, zarozumiałą, apodyktyczną i pamiętliwą. W twarzy Zofii natomiast zobaczył Henry towarzyską, wrażliwą, wspaniałomyślną, dobrze wychowaną dziewczynę i dobrą gospodynię — w czym się nie mylił. Niepokoił go tylko jej młody wiek.

Jeśli miał być szczery, a był szczery wobec swego przyjaciela Vimposa, musiał przyznać, że od sześciu lat nie spał z kobietą. Kiedy zobaczył fotografię młodej dziewczyny, która miała całe życie przed sobą, ogarnęły go wątpliwości, czy przypadkiem nie jest impotentem. Oto wyjątek z listu do Vimposa: „... Nawet jeśli przed ślubem kobieta pokocha mężczyznę, będzie nim zawsze pogardzała, gdy się okaże, że nie zaspokaja on jej fizycznych potrzeb”.

W długich listach arcybiskup podjął się niezwyklego zadania rozproszenia wątpliwości Schliemanna w tym względzie. Uległ nawet jego prośbie i przysłał mu następne portrety pięknych atenek do wglądu, wśród nich także fotografie panny imieniem Charikleia i żwawej wdowy o imieniu Kleopatra. Ale Schliemann trwał przy swoim zdaniu: Zofia była tą najlepszą. Zakochał się po uszy w dziewczynie i kazał sobie przysłać dwanaście odbitek fotografii Zofii; rozesłał je rodzinie i nielicznym przyjaciółom, z którymi utrzymywał kontakty od młodych lat.

W swej samotni w domu w Indianapolis przyglądał się zdjęciu w dzień i w nocy. Następnie zarzucał arcybiskupa pytaniami:

Kim jest ten Georgios Engastromenos? Czy ma majątek?

Ile lat ma Zofia?

Jakiego koloru są jej włosy?

Czy gra na fortepianie?

Czy zna języki obce? Jeśli tak, to jakie?

Czy Zofia jest dobrą gospodynią?

Czy rozumie Homera i innych poetów starożytnych?

Czy zgodziłaby się przenieść do Paryża i towarzyszyć swemu mężowi w podróżach do Włoch, Egiptu albo gdziekolwiek indziej?

Vimpos odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania. Wreszcie poznał on Henryka na wylot i wiedział aż nadto o jego pedantyzmie. Rodzicom dziewczyny, którzy wprawdzie posiadali dom w Atenach i drugi na wsi w Kolonos, ale musieli się borykać z problemami finansowymi, perspektywa takiego związku z bogatym Amerykaninem bardzo odpowiadała. Zofii nikt nie pytał o zdanie. Zgodnie z duchem czasu to rodzice wydawali córki za męża, a z małym niewielkim posagiem Zofia w ogóle nie miała wielkich szans.

Dnia 18 maja, upłynęła właśnie połowa trzymiesięcznego okresu do rozprawy rozwodowej, Henryk poinformował ojca o swym zamiarze ożenku:

„...Arcybiskup z Grecji, mój dawny nauczyciel, przysłał mi do wyboru fotografie kilku atenek; wybrałem spośród nich Zofię Engastromenos jako najbardziej godną miłości, i wydaje się również, że arcybiskup, zanim wstąpił do stanu duchownego i wierzył jeszcze, że pozostanie grzesznikiem, miał zamiar ją poślubić. W każdym razie, jeśli wszystko dobrze pójdzie, zamierzam w lipcu pojechać do Aten, aby się ożenić, a następnie odwiedzić Was wraz z żoną; ponieważ moim marzeniem jest język grecki, wierzę, że tylko z Greczynką będę szczęśliwy. Ale poślubię ją tylko wówczas, jeśli będzie miała zrozumienie dla nauki; jestem bowiem pewien, iż młoda dziewczyna jedynie wtedy może szanować i kochać starszego mężczyznę, gdy bliskie są jej nauki, w których on jest zaawansowany znacznie bardziej niż ona...”

ROZWÓD ZA POMOCĄ NIELEGALNYCH ŚRODKÓW

Tymczasem adwokaci zaangażowani przez Schliemanna pracowali w pocie czoła. Nie chcąc dać sądowi w Indianapolis najmniejszych szans oddalenia pozwu, posunęli się nawet do krzywoprzysięstwa i sfalszowania dokumentów. Aby ich mocodawca został z całą pewnością uznany za obywatela Indiany, przekupili farmera z Fort Wayne, który złożył fałszywe oświadczenie. Mężczyzna podpisał pod przysięgą zapewnienie, że Henry Schliemann od roku mieszka w Fort Wayne. Na dowód, że jego małżeństwo było rozbite, przedłożono sądowi listy w języku rosyjskim. Ich treść wskazywała, że Jekatierina odmówiła wspólnego życia z mężem przebywającym w Ameryce. Tłumaczenia pochodziły oczywiście od Schliemanna, a dokumenty były sfalszowane. Później przyszło

Henry'emu na myśl, że fałszerstwo może wyjść na jaw, i zobowiązał adwokatów, by osobiście zwrócili mu wątpliwe dokumenty.

Z prawnego punktu widzenia proces rozwodowy Schliemanna i uzyskanie obywatelstwa amerykańskiego były jednym wielkim oszustwem. Ale sprawiedliwość przymknęła oczy i Heinrich Schliemann, obywatel Stanów Zjednoczonych, dnia 30 czerwca 1869 otrzymał rozwód z Jekatieriną Pietrowną Schliemann, z domu Łyszina, obywatelką rosyjską, przed sądem w Indianapolis pod nieobecność drugiej strony. Schliemann zapłacił swoim adwokatom, wynajął dom i dnia 15 lipca opuścił Indianapolis, udając się w kierunku Nowego Jorku z zamiarem przyjazdu tu jeszcze kiedyś przy okazji.

Jednak Henry nie wrócił już nigdy do Indianapolis. W roku 1873 polecił swoim adwokatom sprzedać dom. Sześć lat później za pośrednictwem maklera kupił inny dom w Indianapolis. Dzięki temu zachował nadal prawo do obywatelstwa amerykańskiego. Dom ten odziedziczyła później jego córka Nadieżda, która aż do śmierci pobierała z niego czynsz. Ponieważ nie płacono podatków ani żadnych świadczeń, dom został wystawiony w roku 1958 na licytację.

Szczęśliwie rozwiedziony i z nadzieją na poślubienie pięknej młodej kobiety, wymarzonej Greczynki, która chciała dzielić z nim jego zainteresowania, dnia 24 lipca 1869 wsiadł Schliemann w nowojorskim porcie na statek francuski „St. Laurent”. „Ciesząc się jak najlepszym apetytem i takimż trawieniem”, rozkoszował się Henry podróżą. Morze było spokojne. Nad Atlantykiem rozpościerało się ciemnobłękitne niebo. Schliemann był w dobrym nastroju. W połowie drogi między Nowym Jorkiem i Le Havre usiadł przy małym stoliku w swojej kabinie, aby odpowiedzieć rodzeństwu na list, który otrzymał na poste restante dwa dni przed wyjazdem z Nowego Jorku.

Ton jego odpowiedzi można by przypisać pewności siebie, jaka go ogarnęła w obliczu nowego życia — jednocześnie jednak zdradzał on także bezczelny, zarozumiały, wyrachowany charakter człowieka, któremu zawsze chodziło tylko o niego samego. Jednocześnie Schliemann starał się usilnie przemilczeć, że zakochał się po uszy w szesnastoletniej dziewczynie, którą znał jedynie z fotografii. Poinformował już rodzinę o rozwodzie. Teraz zawiadomił szwagra Martina Pechla, wuja Friedricha i siostrę Doris, że za dwa tygodnie zamierza wyjechać do Grecji, aby się rozejrzeć za nową żoną, „gdyż tam jest ten plus, że dziewczyny są biedne

jak myszy kościelne i uważają każdego cudzoziemca za bogacza; polują więc na niego dokładnie tak, jak ja przed dziesięciu laty polowałem w Egipcie na kaczki. A ponieważ wszystko, co nam przychodzi z łatwością, a szczególnie, co samo pcha się w ręce, ma dla nas niewielką wartość, mogę zatem poznawać tam kobiety całkiem na zimno i w zupełnym spokoju. A jeśli spotkam Greczynkę w odpowiednim wieku, o życzliwym, serdecznym i miłym usposobieniu Doris, a poza tym jej pasją okaże się język i literatura starogrecka, starożytna historia, archeologia i geografia i która w tych dziedzinach będzie już dość zaawansowana, wówczas pojmę ją za żonę; *i w takim wypadku*, tego możecie być pewni, nie będę działał pospiesznie i zanim dokonam wyboru, przeprowadzę dokładne badania. Bogu dzięki, dziewcząt w Grecji nie brakuje, a są one piękne jak piramidy w Egipcie..."

Butny ton listu zakochanego mężczyzny w przerażający sposób dowodzi, jaki wyrachowany i zimny potrafił być Henryk Schliemann. Swemu ojcu i przyjacielowi Vimposowi już dawno bowiem przyznał się do swego szczęścia i do faktu, że jest zakochany. Ale uczucia te, przeniesione na papier, jakby się ulotniły i wraz z listem zostały odłożone ad acta.

VIII

MAŁŻEŃSTWO W TRÓJKĘ: HOMER, ZOFIA I HENRYK

Nieustannie próbujemy nawzajem się uszczęśliwiać...

Zofia Schliemann po podróży poślubnej

Niestety, wydaje się, że nie jest mi pisane nieustanne szczęście małżeńskie... Henryk

Schliemann pół roku później

Nieduży mężczyzna o przerzedzonych włosach ledwie rzucał się w oczy wśród dostojnych gości wytwornego ateńskiego „Hotel d'Angleterre”; nie ubierał się jak paryski dandys. Ale zawsze przez hall przechodził szmer, kiedy przekraczał progi luksusowego hotelu. Szybko się bowiem rozniosło, kim był ów elokwentny mężczyzna o wielkiej głowie: to dr Henry Schliemann, Amerykanin zamieszkały w Paryżu. Mało tego, ludzie szeptali po kątach, że ten bogacz przybył do Aten w szczególnym celu: pragnął znaleźć sobie żonę. Nie przywiązywał wagi do posagu, kobieta powinna być tylko młoda, ładna i znać dobrze historię Grecji. Nic więc dziwnego, że życzliwie usposobione matki ze swoimi dojrzałymi do zamążpójścia córkami całą gromadą otaczały plac przed pałacem królewskim, na którym znajdował się również „Hotel d'Angleterre”.

Zanim jeszcze arcybiskup i rodzina Engastromenosów zaanonowali swoją wizytę, Schliemann obejrzał sobie inne kandydatki, które polecił mu Vimpos.

U kobiet nie przeszkadzał mu ani duży wzrost, ani zaawansowany wiek, ani zbytnia nieśmiałość. Schliemann na pewno nie był typem, który pragnął zdobywać kobiety. Tylko jedna spośród tuzina kandydatek zawróciła mu w głowie.

Nazywała się Kleopatra Lemoni, miała blisko trzydzieści lat, była wdową i w jakiś tajemniczy sposób pociągała Schliemanna. Ogarnęły go wprawdzie wątpliwości, czy wobec wieloletniej wstrzemięźliwości nie byłoby lepiej zwrócić się do kobiety doświadczonej w małżeństwie, która miałaby już za sobą niepohamowane uniesienia młodości. Ale po miłej wymianie uprzejmości

Kleopatrze udało się zainteresować sobą gotowego do żeniaczki Amerykanina i postanowiła wykorzystać swą szansę życiową.

Dopiero po kilku dniach Henry odwiedził przyjaciela Theokletosa Vimposa, który tymczasem dostąpił wysokiej godności kościelnej. Spotkanie obu mężczyzn było skrępowane nerwowym niepokojem Schliemanna.

„Gdzie jest Zofia? Kiedy ją zobaczę?” — zapytał niecierpliwie Henryk.

Vimpos, który już dawno słyszał o przyjeździe przyjaciela, uspokoił go, że dziewczyna przebywa w posiadłości rodzinnej w Kolonos.

„W Kolonos?” — Schliemann był podekscytowany. Z Kolonos pochodził bowiem wielki poeta grecki Sofokles! Czy to nie był znak bogów?

Zofia, wyjaśnił Vimpos, zajmuje się ozdabianiem kwiatami kościoła Świętego Meletiosa, którego uroczystość przypada właśnie jutro.

Kiedy Vimpos i Schliemann przybyli do Kolonos do przyszłych teściów, cała rodzina Engastromenosów była zebrana przy wielkim stole. Henry starał się wśród tej gromady ludzi rozpoznać Zofię. Powitanie przebiegło formalnie i sucho z obu stron, a przeznaczone sobie osoby nie miały nawet okazji, aby zamienić ze sobą choćby dwa słowa bez świadków. Zgromadzenie całej rodziny, która chciała obejrzeć multimilionera z Paryża, przypomniało Henrykowi w fatalny sposób klan Łyzininów w St. Petersburgu. Najchętniej by stamtąd uciekł.

Z błahym frazesem, którego w chwilę potem już nie pamiętał, wręczył Schliemann młodej Zofii swoją książkę pt. *Ithaque...*, której zawdzięczał doktorat. Poza tym nie dał ani kwiatka.

Pierwsze spotkanie dla obojga było rozczarowaniem. Zofia spodziewała się bardziej eleganckiego mężczyzny, dostojnego profesora albo pewnego siebie człowieka interesu, jakich widywała w sklepie swego ojca. Natomiast ten doktor Schliemann był nie tylko niższy od niej, ale w dodatku nosił — przede wszystkim do czytania — zbyt małe okulary. Przerzedzone, cienkie włosy miał krótko przystrzyżone jak kadeci w porcie w Pireusie. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka raczej chorowitego.

Schliemannowi natomiast trudno było doszukać się w Zofii owej pięknej, powabnej dziewczyny z dwunastokrotnie powiększonej fotografii. Zofia była powściągliwa i nieśmiała i wcale nie

zdradzała wykształcenia, jakie przypuszczalnie zdobyła w gimnazjum Arsakion.

Natomiast rodzicom Zofii, Wiktorii i Georgiosowi Engastromenosom, jak należało oczekiwać, Schliemann bardzo się spodobał. Z pewnością nie wyglądał imponująco, ale był niewyobrażalnie bogaty, mówił wszystkimi językami świata i znał historię Grecji lepiej niż każdy Helleńczyk. Schliemannowi nie spodobało się, że przyszli teściowie tak się nim popisywali i traktowali go, jakby już należał do rodziny.

PIERWSZA RANDKA OKAZAŁA SIĘ KATASTROFĄ

Po trzech dniach natarczywych objawów sympatii ze strony rodziny Engastromenosów Schliemannowi wciąż jeszcze nie udało się porozmawiać z Zofią. Wściekły wrócił do hotelu i napisał do dziewczyny list: „Droga Panno Zofio! Proszę, aby Pani zapytała rodziców, czy nie byłoby możliwe, abym mógł spotkać się tylko z Panią, bez tej gromady ludzi, która zawsze Panią otacza... Jeśli według zwyczajów greckich nie jest możliwe spotykać się częściej z Panią samą albo w towarzystwie rodziców po to, aby się bliżej poznać, to muszę Panią prosić, aby Pani o mnie całkiem zapomniała! H. S.”

Rozgniewany konkurent zapieczętował list i wysłał go przez posłańca do Kolonos. Następnego ranka, 7 września, do recepcji „Hotel d'Angleterre” nadeszła odpowiedź: W trosce o dalsze zamiary drogiego zięcia rodzice pragną zaaranżować spotkanie obojga w porcie Pireusu.

Pierwsza randka Henryka i Zofii skończyła się katastrofą. Nie doszło nawet do subtelnych prób zbliżenia, albowiem Schliemann natychmiast objął rolę belfra. Egzaminował dziewczynę z historii Grecji, kazał jej recytować fragmenty *Iliady* i na koniec zadał pytanie: „Zofio, dlaczego chce pani za mnie wyjść?”

Wuj Theokletos przygotował dziewczynę na wszystkie możliwe pytania swego przyjaciela Henry'ego, ale tego Zofia się nie spodziewała. Cóż miała odpowiedzieć?

Zadufany w sobie konkurent sądził, że ładna dziewczyna zarzuci go słowami miłości i podziwu oraz bezgranicznej wdzięczności; ale nic takiego nie nastąpiło. Nie bacząc na możliwe konsekwencje swej odpowiedzi, Zofia odrzekła szczerze: „To całkiem

proste, panie Schliemann, ponieważ chcą tego moi rodzice i ponieważ pan powiedział, że jest bogatym człowiekiem".

Odpowiedź młodej dziewczyny była dla Henryka Schliemanna jak policzek. Jeszcze raz potwierdziło się jego mniemanie, że wszystkie kobiety tego świata uganiają się tylko za jego pieniędzmi. Zofia, niemal jeszcze dziecko, którego nie podejrzewał o wyrachowanie, nie była pod tym względem wyjątkiem. Schliemann był gorzko rozczarowany. Szybko się pożegnał i wrócił do hotelu z mocnym postanowieniem jak najszybszego opuszczenia Grecji.

Kiedy w swoim pokoju hotelowym spojrzął w lustro, musiał wszakże przyznać: Cóż miał do zaoferowania? Nie był, na Boga, jakimś nędznym typem, raczej karłem o chorowitym wyglądzie. Jego konwersację, jeśli nie dotyczyła Homera albo historii Grecji, hamowały niekiedy widoczne kompleksy. Cóż więc dziwnego, że Zofia tak mu odpowiedziała?

Szczera odpowiedź dziewczyny uświadomiła Schliemannowi boleśnie, że w życiu istotnie wiele można było kupić, ale nie miłość: Mojry, boginie losu, które kierują naszym życiem, były nieprzekupne. Poniżony, upokorzony i bezradny chwycił Henry za pióro: „Głęboko mnie dotknęło, droga Zofio, że Pani, wykształcona, młoda kobieta, dała mi prymitywną odpowiedź. Jestem honorowym, prostoliniowym człowiekiem. Sądziłem, że gdyby mnie Pani poślubiła, to dlatego, abyśmy mogli razem prowadzić wykopaliska i wspólnie zachwycać się Homerem. Ale w tej sytuacji wyjadę jutrze do Neapolu i być może więcej się nie zobaczymy. Jeśli będzie Pani kiedyś potrzebowała przyjaciela, to niech Pani przypomni sobie i zwróci się do swego oddanego Henryka Schliemanna, dr. fil., Place St. Michel 6, Paris".

Jak wszystkie listy Schliemanna, również i ten nie był całkiem szczery. Henry pisał go z pewnym wyrachowaniem. Urażony do głębi, miał nadzieję, że Zofia zechce się przed nim usprawiedliwić, tłumacząc swe zachowanie młodzieńczą lekkomyślnością, która jej kazała wypowiedzieć te niemądre słowa. Teraz zaczął się obawiać, że tak się nie stanie, że będzie musiał spełnić swą groźbę i wyjechać.

„Wszystko skończone!" Henry zwrócił się do swej ostatniej deski ratunku, przyjaciela Theokletosa, i opowiedział mu o swoim cierpieniu. Vimpos nie rozumiał rozpaczy Schliemanna. Dla niego było jasne, że od szesnastoletniej dziewczyny nie należało oczekiwać dyplomatycznej odpowiedzi. Nieprzemyślane działanie jest prawem młodości, a miłość .potrzebuje czasu, aby dojrzeć.

Z taką samą szczerością, z jaką Zofia odpowiedziała na pytanie Schliemanna o jej motywacje małżeńskie, dziewczyna zareagowała jeszcze tego samego dnia na list pożegnalny Schliemanna. Według jej własnych słów poczuła się dotknięta, ale w żadnym razie nie zmieszana ani zakłopotana, co w jej sytuacji byłoby zrozumiałe.

„Drogi Henryku! — odpowiedziała Zofia. — Przykro mi, że Pan wyjeżdża. Nie powinien Pan być zły o to, co dziś po południu Panu powiedziałam. Myślałam, że taka właśnie odpowiedź przystoi młodej dziewczynie jak ja. Ja i moi rodzice będziemy się bardzo cieszyli, jeśli Pan nas jutro odwiedzi. Pańska Zofia Engastromenos”.

Schliemann postanowił poczekać. W szczerych słowach Zofii bowiem dostrzegł ową sympatię, której nie dało się odczuć podczas osobistych spotkań. Z jego pierwszą żoną Jekatieriną było podobnie. Kiedy był przy niej, obrzucał ją najgorszymi obelgami, w listach natomiast nie skąpił jej tkliwości. Również teraz potrzebował kontaktu listownego, aby przełamać lody, w których ich znajomość zaczynała zamarzać, ledwie się zaczęła.

Pragnąc załagodzić sytuację, ale wciąż jeszcze z dużą powściągliwością, Henryk odpowiedział pisemnie.

„Bogactwo pomaga wprawdzie szczęściu małżeńskiemu, ale nie może być podstawą małżeństwa. Kobieta, która by mnie poślubiła dla pieniędzy albo po to, aby w Paryżu grać wielką damę, będzie ubolewać, jeśli opuści Ateny, albowiem unieszczęśliwi mnie i siebie. Kobieta, która mnie poślubi, musi mnie umieć cenić jako człowieka”.

Nie ulega wątpliwości, że stosunek miłosny między Henrykiem Schliemannem i Zofią Engastromenos nawiązał się dzięki listom. Czego oboje nie mieli odwagi powiedzieć sobie w oczy, to powierzali cierpliwemu papierowi listowemu. Zahamowania i postawa wyczekiwania, które obojgu, ilekroć się spotkali twarzą w twarz, kazały milczeć, zdawały się znikać, kiedy chwyтали za pióro. Z wrażliwością zakochanej dziewczyny Zofia odpowiedziała:

„Drogi Panie Henryku!

Z wielkim niepokojem oczekiwałam Pańskiej odpowiedzi na mój list, gdyż bardzo mi zależało na tym, aby się dowiedzieć, czy ma Pan dla mnie jeszcze tę sympatię, jaką Pan mi okazywał podczas naszych spotkań... Ale Pański dzisiejszy list bardzo mnie zmartwił.

Czytając go dowiedziałam się, co Pan myśli o naszym związku, a teraz modłę się do Boga, aby pozwolił Panu odzyskać stracone uczucia dla mnie. Pisze Pan, że wciąż zamierza opuścić w sobotę Ateny. Wówczas odebrałby mi Pan wszelką nadzieję. To mnie bardzo zasmuca. I choć nie mogę niczego od Pana żądać, proszę Pana chociaż o ostatnią wizytę. W nadziei, że Pańska szlachetna dusza nie odrzuci mojej prośby, przesyłam Panu moje najszczerze wyrazy uznania

Zofia Engastromenos".

Ten szczerzy, smutny list siedemnastoletniej dziewczyny rozwiał wątpliwości Schliemanna. Jeśli poprzedniego dnia był przygnębiony, to teraz po przeczytaniu tych słów poczuł się znów podniesiony na duchu. Nie odpisał jednak natychmiast. Dopiero po dwóch dniach i pod naciskiem Theokletosa Vimposa odpowiedział chłodno i wyniośle: „Nie mam żadnych złudzeń. To całkiem oczywiste, że młoda i ładna dziewczyna nie może się tak po prostu zakochać w czterdziestosiedmioletnim mężczyźnie, który w dodatku nie jest szczególnie przystojny. Wydało mi się jednak, że kobieta o podobnym charakterze do mojego i z takim samym zapalem do nauki mogłaby mnie uszanować. A ponieważ taka żadna wiedzy żona przez całe życie byłaby moją uczennicą, miałem śmiałość mieć nadzieję, że mnie kiedyś pokocha...”

Nie wiemy, jak minął ten dzień, w każdym razie 18 września Henryk Schliemann i Zofia Engastromenos postanowili się pobrać. Theokletos Vimpos zajął się prawną stroną małżeństwa według obywatelstwa grecko-ortodoksyjnego. Rozwód, jaki otrzymał Schliemann jako obywatel USA, był również ważny w Grecji. A więc nic nie stało na przeszkodzie w zawarciu ślubu.

Nie można jednoznacznie wyjaśnić, dlaczego Schliemann tak naglił do małżeństwa z Zofią; niewątpliwie do przeforsowania tej decyzji znacznie się przyczyniła dwuosobowa rodzina. Wylewnie i chępliwie jak zwykle wobec swoich najbliższych meldował Schliemann ukochanej siostrze Doris w Meklemburgii:

„Z radością donoszę, że 24 września odbędzie się mój ślub z Zofią Engastromenos. Jest to ta sama kobieta, którą zaproponowałem mi jeszcze w marcu arcybiskup Grecji i której nienajlepszą kopię fotografii przysłałem Wam z Indianapolis. Ponieważ arcybiskup tak bardzo zachwalał mi jej cnoty, a także jej urodę i ciekawą osobowość, bez wahania zakochałem się w tej dziewczynie jeszcze w Indianapolis...”

Drugi ożenek Schliemanna

Jak ogień rozeszła się wiadomość, że przybyłem tu po to, aby sobie znaleźć żonę. Wobec tego tutejsze damy urządziły na mnie straszliwe polowanie, miałem więc okazję obejrzeć co najmniej 150 młodych pań. A ponieważ nie znalazłem ani jednej, która by dorównywała Zofii — w dodatku ona sama mi się oświadczyła i kopię tych oświadczyń załączam — zdecydowałem się 18 bieżącego miesiąca zawrzeć związek małżeński. Tym bardziej, że przekonałem się, iż Zofia ma charakter Dorci [siostry Doris] i będzie uwielbiała *mężczyznę*, który jest prawy i wierny i traktuje ją z szacunkiem.

Jeśli więc Zofia kiedykolwiek uroni przeze mnie łzę, daję Wam pełne prawo nazwania mnie łotrem i przypisania mi winy za nieszczęście mojego pierwszego małżeństwa. Zofia mówi tylko po grecku, ale wykazuje prawdziwy zapał do nauki, tak że mogę mieć nadzieję, iż za cztery lata będzie mówiła czterema językami. W każdym razie przez całe życie będę jej nauczycielem, a ponieważ nigdy nie zdobędzie ona tej wiedzy, którą ja posiadam, zawsze będzie mnie szanowała".

Jak to dobrze, że Zofia nie mogła przeczytać tego listu napisanego po niemiecku, o którym nawet nie wiedziała; ujawnia on przecież, że Schliemann zamierzał swoją drugą żonę traktować prawie jak dziecko i widział w niej tylko służebnicę i wielbicielek. Uwagi dziewczyny uszedł również fakt, że jej ojciec tuż przed ślubem musiał podpisać akt notarialny, w którym Zofia i jej rodzina rezygnowali z prawa do spadku. Zofia miała dziedziczyć jedynie niewiele, o ile Schliemann w ogóle uwzględni ją w testamencie.

DRUGI OŻENEK SCHLIEMANNA

Ślub odbył się w małym kościele Św. Meletiosa w Kolonos. Schliemann ubrany był w czarny surdut i cylinder, do tego biała kamizelka i białe rękawiczki. Wyglądał na więcej lat, niż miał w istocie. Sprawiały to jego zapadnięte oczy i krzaczaste wąsy. Choć panna młoda była o trzydzieści lat młodsza od narzeczonego, wcale nie wyglądała dziecinnie, jak można było oczekiwać. Czarne włosy miała gładko uczesane z przedziałkiem pośrodku i zebrane z tyłu w węzeł. Szeroka, długa biała suknia i welon, który sięgał niemal do podłogi, dodawały jej pewnej dostojności, która rzadko bywa cechą siedemnastolatek. Zofia zadbała o to, aby nie sprawiać wrażenia

wyższej niż Henryk. A na oficjalnej fotografii ślubnej — pokazywała ona młodą parę bardzo poważną i bynajmniej nie szczęśliwą — Zofia ugięła kolana, aby niski małżonek sprawiał wrażenie wyższego.

Wiktor i Georgios Engastromenos, rodzice panny młodej, wykosztowali się na wesele w sposób wręcz lekkomyślny. Byli zbyt dumni, aby swej córce, która robiła taką dobrą partię, urządzić tylko skromne przyjęcie. Jedyne Zofia wiedziała o sytuacji finansowej rodziców i poprosiła Henryka o pomoc. Schliemann zapłacił protekcyjnie, znacznie więcej niż się należało.

Goście w liczbie 200 osób bawili się do późnych godzin wieczornych. Następnie wszyscy pojechali powozami do portu Pireus, gdzie o północy miał odpłynąć luksusowy parowiec „Afrodyta” w kierunku Sycylii. Odjazd przeciągnął się jednak do trzeciej rano. Ostatnie pożegnanie, i Zofia i Henryk odpłynęli ku wspólnej przyszłości.

Podróż poślubna młodej pary była niczym innym niż podróżą w interesach, którą Henryk i tak już od dawna zamierzał odbyć; ale dla dziewczyny takiej jak Zofia, która nigdy jeszcze nie widziała obcego kraju, było to i tak wielkie przeżycie. Henryk i Zofia wyszli na ląd w Palermo, aby stąd zdobywać starożytne miasta Agrigentum*, Segestę, Selinunt, Gelę i Syrakuzy. Zofia po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ten niewielki, od stuleci gnębiony naród grecki kiedyś był światową potęgą, że Sycylia niegdyś należała do Grecji. Również Neapol, w którym spędzili siedem dni, został założony przez Greków.

W Rzymie młoda małżonka poznała przedsmak tego, czego mogła oczekiwać w małżeństwie. Przez siedem dni oprowadzał Henryk Zofię przez dwa i pół tysiąca lat historii. Forum Romanum, Koloseum, Circus Maximus, Termy Karakalli, Domus Aurea, Mauzoleum Augusta, Panteon, Grobowiec Cecylii Metelli, Rynek Trajana [Forum Traiani], Kapitol, Via Appia, Piramida Cestiusa, katakumby, Watykan, Kościół Św. Piotra i inne kościoły — Zofii kręciło się od tego w głowie. Po tygodniu stwierdziła, że prawie nic nie pozostało jej w pamięci. Podobnie było we Florencji i Wenecji, gdzie małżonkowie zatrzymali się na dwa dni.

Główne zadanie Zofii podczas trzech i pół tygodnia podróży polegało na słuchaniu. Dziewczyna *umiała* słuchać i okazywała szczerze zainteresowanie dla objaśnień Schliemanna, choć była

* Gr. Akragas, dziś. Agrigento (przyp. red.);

Szczęście i cierpienie w Paryżu

zdolna zapamiętać z tego jedynie niewielką część. Henryk natomiast rozkoszował się podziwem, jakim obdarzała go siedemnastoletnia żona. Jakże była inna niż Jekatierina. Nie sprzeciwiała się, nie stawiała żadnych żądań, wprost przeciwnie, okazywała mu wdzięczność.

Schliemann pisał 14 października 1869 z Florencji do swojej siostry Doris: „Oboje nie mamy cienia wątpliwości, że będziemy zawsze szczęśliwi, nawet jeśli Bóg nie obdarzy nas dziećmi; Zofia jest kochającą, oddaną, pokorną i wspaniałą istotą, poza tym jest uczona, rozumie starogrecki, zna historię i geografię; nie mówiąc już o innych językach...”

.... nawet jeśli Bóg nie obdarzy nas dziećmi...” To zdanie na pozór bez znaczenia wymaga komentarza. Jak Schliemann mógł wpaść na myśl po dwudziestu dniach małżeństwa, że związek ten pozostanie bezdzietny? Jest na to tylko jedna odpowiedź: Henryk aż do tej chwili istotnie cierpiał na impotencję. Ale Zofia zdawała się nie robić mu wyrzutów z powodu tej słabości. Być może temu niedoświadczonemu dziewczęciu nawet to odpowiadało. Dawała ona obojgu czas, aby się do siebie nawzajem przyzwyczaili.

SZCZĘŚCIE I CIERPIENIE W PARYŻU

Młoda para przybyła w końcu października przez Monachium do Paryża, aby zamieszkać w domu Schliemanna na Place St. Michel. I tam zdaje się nastąpiło także zbliżenie fizyczne Henryka i Zofii. Po raz pierwszy oboje mówią wszak o namiętności i szczęściu miłosnym. „Zofia — pisze Schliemann do rodziny w Meklemburgii — jest wspaniałą żoną, która potrafi uszczęśliwić każdego mężczyznę; jak niemal wszystkie greckie kobiety obdarza ona swego męża boskim uwielbieniem. Kocha mnie jak Greczynka, niezwykle namiętnie, a ja kocham ją nie mniej. Rozmawiam z nią tylko po grecku, gdyż jest to najpiękniejszy język świata. Jest to język bogów”.

Zofia do rodziców Wiktorii i Georgiosa Engastromenosów: „Paryż to raj na ziemi; jeszcze piękniejsza natomiast jest cudowna miłość pomiędzy Henrykiem i mną. Próbujemy nieustannie nawzajem się uszczęśliwiać...”

Oczywiście młoda dziewczyna z Aten nie mogła konkurować z paryskimi rówieśnicami. Wobec Paryża Ateny były prowincją. Schliemann jednakże wcale nie pragnął wyemancypowanej, pewnej

siebie, wykształconej, przemądrzałej żony. Wyszukał sobie młodą, ładną, nie ociosaną istotę, aby móc ją formować na własną modłę. Najpierw młoda małżonka miała nauczyć się języka kraju, w którym żyła, toteż cztery godziny dziennie wkuwała pod kierunkiem profesora Sorbony. Greczynka musiała też opanować niemiecki, język ojczysty swojego męża, dlatego przez cały dzień miała do dyspozycji nauczyciela niemieckiego.

Zofia była chętna, ale zbyt przeciążona. Nadto doszła tęsknota za domem rodzinnym i rosnące poczucie izolacji, bo choć Schliemann wszędzie występował ze swoją młodą żoną, czuła się ona nie na swoim miejscu i samotna. Mało kto mówił po grecku, tak że Zofia była zdana na tłumaczenie męża. Miała dopiero siedemnaście lat, Schliemann zaś obcował głównie z ludźmi jeszcze starszymi od siebie, którzy śmiało mogli być jej dziadkami. Rezultatem tej sytuacji były nerwicowe skurcze żołądka, a po trzech miesiącach załamanie nerwowe. Henryk konsultował się z najlepszymi lekarzami Paryża. Ich diagnoza: cierpienia młodej pani Schliemann są natury psychosomatycznej. Jako terapię zalecili przede wszystkim spokój, najlepiej jednak powrót do Aten.

Na egocentryka, jakim był Schliemann, kryzys nerwowy Zofii podziałał jak szok, oczywiście jak zbawienny szok; ani bowiem lekarzom, ani przyjaciółom i krewnym nie udało się, jak dotąd, odwieść Henryka żadnymi argumentami od jego sposobu kształtowania i wychowywania żony. Za cztery lata, oznajmiał z dumą, będzie ona mówiła czterema językami, i był przekonany, „że z Zofii jeszcze wiele da się zrobić”. Teraz jednak z dnia na dzień zaczynał rozumieć, że rabunkowa gospodarka, jaką on uprawiał wobec własnego organizmu, nie każdemu człowiekowi mogła wyjść na zdrowie, a już na pewno nie siedemnastoletniej dziewczynie, która po raz pierwszy w życiu opuściła swój dom rodzinny.

Henryk kochał tę kobietę — o ile w ogóle był zdolny kochać kobietę. Ubóstwiał ją, aczkolwiek nietrudno dostrzec, że ubóstwiał także siebie. W każdym razie słabość psychiczną i fizyczną swej żony przyjął ze zrozumieniem i współczuciem, a nawet z czułością — cechy, które dotychczas były u niego nie znane.

UCIECZKA PRZED WOJNĄ NIEMIECKO- FRANCUSKĄ

Od przybycia do Paryża Schliemann czekał na zgodę rządu tureckiego na prowadzenie wykopalisk na wzgórzu Hissarlik. Jednak firman nie nadchodził, a ponieważ stan Zofii się nie poprawiał, Henryk podjął w połowie lutego decyzję powrotu wraz z żoną do Aten.

Byłoby jednak błędem tłumaczenie decyzji Schliemanna jedynie troską o młodą żonę. Henryk i Zofia mieli bowiem jeszcze inny powód, aby jak najprędzej opuścić Paryż. Jak już często bywało, także i w tym przypadku okazał Henryk mądrość polityczną. Czytał dokładnie gazety i nieustannie zbierał informacje z pół tuzina tytułów prasy krajowej i zagranicznej. A jeśli ktoś wyrobił sobie umiejętność krytycznego myślenia, dla tego nie mógł pozostać nie zauważony fakt, że między Francją i Niemcami wojna jest nieunikniona. Mogła wybuchnąć lada dzień. Jak do tego doszło?

Właściwa przyczyna konfliktu sięga dwóch lat wstecz. W 1868 roku królowa hiszpańska Izabella II została obalona w wyniku puczu wojskowego. Jej następcą miał zostać książę z dynastii Hohenzollernów. Francuski minister spraw zagranicznych Gramont, który obawiał się hegemonii Prus w Europie, gwałtownie zaprotestował: Francja nie znieśnie, aby „obce mocarstwo osadziło na tronie Karola V jednego ze swoich książąt, zakłócając na naszą niekorzyść równowagę sił w Europie oraz zagrażając interesom i honorowi Francji”.

Od miesięcy gazety paryskie podjudzały przeciwko niecnym poczynaniom Niemców. Francuski minister spraw zagranicznych polecił swemu przedstawicielowi w Berlinie, aby od króla pruskiego Wilhelma I uzyskał oświadczenie o rezygnacji z tronu hiszpańskiego. Król Wilhelm, który przebywał na letniej kuracji w Bad Ems, nie zgodził się. Bismarck opublikował odpowiedni telegram króla. Ta „depesza emska” stała się dla Napoleona III okazją do wypowiedzenia wojny.

Wojska niemieckie spowodowały dotkliwą porażkę Francji. Napoleon III wraz z 90 tysiącami żołnierzy dostał się do niewoli niemieckiej. Paryż był oblężony. Głód i wojna domowa zmusiły stolicę do kapitulacji.

Dzięki ucieczce w samą porę Schliemannowie uniknęli piekła. Wyjazd z Paryża musiał się odbywać w wielkim pośpiechu,

albowiem na pokładzie parowca „Niemen” pisał Schliemann dnia 17 lutego 1870, na trasie między Marsylią a Pireusem, do konsula USA Franka Calverta: „Proszę o poinformowanie mnie przy najbliższej okazji, czy Pan wreszcie otrzymał firman... Jeśli tak, to proszę mi niezwłocznie przysłać listę narzędzi i sprzętu, który będzie mi potrzebny podczas wykopalisk, albowiem w pośpiechu, w jakim opuszczaliśmy Paryż, zapomniałem wykonać kopie kilku Pańskich listów z ubiegłej zimy...”

Kiedy przybyli do Aten, Henryk okazał teściom i żądnym pieniędzy krewnym lekceważenie. Zamieszkał z Zofią w „Hotel d'Angleterre” naprzeciwko pałacu królewskiego, a nie na przedmieściu w Kolonos. Wiktor i Georgios Engastromenosowie byli poirytowani, podobnie jak liczni wujowie, ciotki, szwagrowie i szwagierki, którzy po wżenieniu się multimilionera w ich rodzinę obiecywali sobie wечно tryskające źródło pieniędzy. Ale Schliemann był powściągliwy, jeśli chodzi o kredyty albo większe darywizny i skąpy, jak wszyscy bogaci ludzie. Regulował wprawdzie wszystkie rachunki Zofii, ale młoda kobieta nie miała nawet niewielkiej sumy, którą mogłaby sama rozporządzać. Było jej bardzo przykro z tego powodu.

Teściowie oczekiwali, że Henryk Schliemann ureguluje ich znaczne długi i wyłoży większą kwotę na odbudowę ich przedsiębiorstw, ale zawiedli się w swych nadziejach. Engastromenos twierdził, że Schliemann zobowiązał się ustnie wobec Theokletosa Vimposa, iż zapłaci za Zofię 150 tysięcy franków diamentami, na magazyn sukna przeznaczy 40 tysięcy franków i na posąg dla młodszej siostry Zofii, Marigo, da 20 tysięcy franków. Henryk nie dokonał żadnej wypłaty.

To chorobliwe skąpstwo, orzekła więc rodzina Engastromenosów. Schliemann nie po raz pierwszy usłyszał ów zarzut pod swoim adresem, ale tym razem dotknął on go szczególnie mocno — przecież chodziło o Zofię. Dlatego też napisał do teścia ostry list. Zarzucił Engastromenosowi wielki grzech, że mianowicie chciał prehandlować córkę za 150 tysięcy franków. Tylko Turcy mają zwyczaj sprzedawać swoje córki; a oni są przecież chrześcijanami. Schliemann zagroził nawet, że opublikuje w ateńskiej gazecie wiadomość o sposobie postępowania zachłannego teścia.

I trwał przy odmowie wypłacenia rodzicom Zofii choćby najmniejszej sumy. Gdyby odstąpił od tego postanowienia, miałby uczucie, że kupił sobie żonę. Za to zaproponował Engastromenosowi posadę agenta we własnym przedsiębiorstwie ze stałą

pensją, jak również poręczenie w dowolnej wysokości, gdyby teść zechciał wziąć kredyt na wzmocnienie swego podupadającego przedsiębiorstwa.

SCHLIEMANN BIGAMISTĄ?

Ledwie Schliemann pozbył się jednej irytacji, nadeszła nowa, jeszcze większa niż poprzednia. Aby oszczędzić Zofii przykrości, Henryk przemilczał, że tuż przed odjazdem z Paryża otrzymał pozew od petersburskiego adwokata, który podważał jego nowe małżeństwo. Jako przyczynę podawał: rozwód Schliemanna przeprowadzony w Indianapolis jest nielegalny, pozostaje on nadal mężem Jekatieriny Łysziny.

Ale ponieważ pozwany mógł udowodnić swoje amerykańskie obywatelstwo, sądy paryskie uznały, że nie są w tej sprawie kompetentne i oddaliły pozew. Według prawa rosyjskiego Schliemann istotnie był bigamistą, a bigamię uważano za przestępstwo, za które zgodnie z prawodawstwem carskim karano zesłaniem na Syberię. Teraz Jekatierina próbowała swoją skargę złożyć w Atenach, mianowicie u adwokata Vretosa, który prócz tego był konsulem greckim w Livorno.

Zawziętość wyrzuconej za burtę rosyjskiej żony wprawiała Schliemanna w wielki niepokój. Po pierwsze dlatego, że tu, w Atenach, wiadomość ta, inaczej niż w Paryżu, rozeszła się lotem błyskawicy i dała znenawidzonym krewnym nowy materiał zapalający do rąk, a po drugie — Schliemann poczuł się niepewnie z powodu rozmaitych krzywoprzysięstw, jakie opłacił, aby tylko osiągnąć wymarzony cel.

Zasadniczym punktem całego sporu prawnego było jego amerykańskie obywatelstwo. Dopóki był Amerykaninem, Jekatierina nic mu nie mogła zrobić. Ale bał się, że podczas swej nieobecności może zostać pozbawiony obywatelstwa amerykańskiego. Dlatego wysyłał prywatne listy do biura adwokackiego w Nowym Jorku z poleceniem, aby je na nowo ofrankowywano i przesyłano dalej do jego adwokata w Indianapolis. W listach tych pisał, że spędza chłodne zimowe miesiące w Nowym Jorku i zapowiadał, że najpóźniej za rok wróci do Indianapolis.

W rzeczywistości Jekatierinie wcale nie zależało na podtrzymaniu zawartego w roku 1852 związku małżeńskiego. Jej adwokaci widzieli w tym jedynie właściwy manewr taktyczny, mający na celu

zmuszenie Schliemanna do większych ustępstw finansowych na rzecz jego pierwszej żony. Wreszcie obie strony uzgodniły: Henryk przepisał na Jekatierinę dom w St. Petersburgu i zobowiązał się do wypłacania swojej byłej żonie dożywotnich apanaży w wysokości 4000 rubli rocznie. Dopiero w końcu 1871 roku przed sądem w Petersburgu ogłoszono rozwód amerykańsko-rosyjskiej pary małżeńskiej.

W Grecji stan zdrowia Zofii bardzo szybko się poprawił. Znużony życiem hotelowym Schliemann rozglądał się w Atenach za nowym domem. Ceny gruntów w Atenach były w roku 1870 wyjątkowo niskie, stanowiły niewielki ułamek cen paryskich. Nic dziwnego, Ateny w owym czasie liczyły zaledwie 60 tysięcy mieszkańców. Poszukiwania w Odos Mouson, najwytworniejszej okolicy w pobliżu placu Syntagma, zakończyły się powodzeniem. Schliemann kupił elegancki dom, urządził go drogimi meblami i zatrudnił służbę. Henryk pogodził się z faktem, że wciąż jeszcze zbyt słaba Zofia nie mogła mu towarzyszyć w podróżach. A ponieważ zgoda rządu tureckiego na prowadzenie wykopalisk na wzgórzu Hissarlik ciągle nie nadchodziła, Schliemann wyczarterował statek z czteroosobową załogą, aby na Cykladach poszukiwać śladów przeszłości. Szczególnie fascynowały go wyspy Delos, Paros, Naksos i Thera (Santoryn). Wrócił w połowie marca. Zamierzał teraz razem z żoną wyruszyć do Azji Mniejszej.

Rodzice Zofii stanowczo odradzali jej tę męczącą podróż. Henryk jednak nie mógł prowadzić leniwego żywota rentiera: „Ponieważ nie ma tu dla mnie poważnego zajęcia, nie mogę dłużej tak żyć beczynnie”.

SAMOTNIE W POSZUKIWANIU TROI

Oficjalne zezwolenie na prace wykopaliskowe wciąż jeszcze nie nadchodziło. Mimo to Schliemann zdecydował się pojechać do Troi, chcąc na miejscu zbadać sytuację.

Przejrzyste wiosenne niebo rozpościerało się nad wzgórzem, pod którym Schliemann miał nadzieję znaleźć dawną Troję. Okrążał nieprzerwanie teren porośnięty kwiatami, sprawdzał każdą nierówność ziemi, każdy kamień, który wyglądał niezwykle. Im dłużej oddawał się tym oględzinom, tym bardziej był przekonany, że musi zastosować narzędzia, jeśli chce znaleźć coś wartościowego.

Przeklina! opieszałość władz tureckich i w odruchu protestu wynajął 9 kwietnia 1870 roku tuzin mężczyzn z okolicy, którzy byli gotowi za dziesięć piastów dziennie kopać w okolicy rowy. Rowy te miały dać informacje na temat ruin Troi.

Podjęta akcja protestacyjna przeciwko władzom okazała się bardzo szybko majstersztykiem archeologicznym. Schliemann utwierdził się w swoich poglądach. Na temat wykopalisk z pierwszych dni informował Schliemann radcę sprawiedliwości w Kolbergu, który się ofiarował towarzyszyć archeologowi na Hissarlik.

Schliemann do radcy Plato:.....Na tutejszym wzgórzu wyko-pałem wiele głębokich i bardzo szerokich rowów i znalazłem ruiny pałaców i świątyń na murach znacznie starszych budowli tego typu, wreszcie na głębokości 15 stóp natknąłem się na olbrzymie mury grubości 6 stóp i wspinały styl budownictwa. Jeszcze o 7,5 stóp głębiej odkryłem, że mury te spoczywają na innych, grubości 8,5 stóp. Te są niewątpliwie murami pałacu Priama albo świątyni Minerwy; niestety mam wciąż nieprzyjemności ze strony Turków, do których należy ten teren, i być może już jutro będę zmuszony przerwać moje prace. Ale dołożę wszelkich starań, aby kupić to wzgórze, i nie spocznę, dopóki nie odkopię całego Pergamosu Priama...*"

Ponaglany przez tureckiego właściciela gruntu, ambasador amerykański w Turcji Wayne MacYeagh interweniował u swego rodaka Schliemanna i skłonił go 22 kwietnia 1870 do zaprzestania prac wykopaliskowych. Rowy zostały na powrót zasypane na życzenie właścicieli. Archeologowi wydało się stosowne opuścić jak najszybciej Turcję.

Po pierwszych próbach kopania mógł Schliemann jednak dokonać pierwszej kalkulacji takiego przedsięwzięcia. Ocenił on ogólne koszty na 100 tysięcy franków. Czas trwania prac przy zatrudnieniu stu robotników szacował na pięć lat, licząc po trzy miesiące w roku. W liście do Franka Calverta zdradził Schliemann swój zamiar pozyskania do całego przedsięwzięcia, w Rzymie albo Pompejach „a pioneer in the excavating-business”, a więc starego wyjadacza w branży wykopaliskowej. Wydaje się jednak, że wkrótce zapomniał o tym zamiarze. Później zaangażował do swych wykopalisk francuskiego inżyniera, który był zatrudniony przy budowie linii kolejowej Pireus-Camia.

* Pergamos Priama — por. przyp. na s. 132.

Rów wykopany nielegalnie na wzgórzu miał długość 20 metrów, szerokość 14,5 metra, a głębokość miejscami 3 metry. W obszernym liście do kierownika „Institut de France” w Paryżu Henryk napisał, że odkrył mury świątyni Ateny z czasów Homera, spalone resztki Homerowej Troi i wizerunek pięknej Heleny. Jakby chcąc dodać sobie odwagi, kilka dni później poinformował swego paryskiego przedstawiciela, że już przy pierwszej próbie poszukiwań odkrył pałac Priama.

W liście do Calverta pisze o tym znacznie skromniej: „Nie mam złudzeń, ile będzie kosztowało *całkowite* odkopanie pałaca Priama...”

Najważniejsza informacja, jaką Schliemann zdobył podczas pierwszej próby poszukiwań, to ta, że ukryte pod wzgórzem His-sarlik resztki murów nie były jednolite. Mówiąc innymi słowy: Troja znajdowała się przypuszczalnie pod różnymi warstwami osiedli.

A może istniała nie tylko *jedna* Troja? Może istniało więcej miast o tej nazwie w tym samym miejscu, tylko w różnym czasie? Pytanie gonilo pytanie.

Skazany na bezczynność, Schliemann pisał w rozmaitych niemieckich gazetach o swoich próbach poszukiwań. Chętnie się tym, że działał w tajemnicy i bez zgody władz tureckich. Artykuły te nie uszły uwagi właściwego ministra spraw publicznych w Konstantynopolu. Rozgniewał się i kazał podać do wiadomości, że postara się, aby ten Amerykanin nigdy nie otrzymał zgody na kopanie. Przede wszystkim zdumiony był Calvert. Dotychczas cały czas stał po stronie Schliemanna, ale teraz zareagował ze złością: „Nie mogę się powstrzymać, aby Panu nie oznajmić, iż było ze wszech miar niemądre chwalić się swoimi wyczynami — teraz musimy ponosić konsekwencje tego i starać się o firman dopiero wówczas, kiedy rząd będzie przychylniej usposobiony”.

HENRYK WYJEŻDŻA DO PARYŻA

Wobec napięć politycznych między Niemcami i Francją Henryk Schliemann uznał za konieczne zatroszczyć się o swoje paryskie nieruchomości. Zofia pozostała w Atenach. „Bylibyśmy w pełni szczęśliwi — pisał Henryk do przyjaciela — gdyby ona była zdrowa. Niestety zdaje się, że nie jest mi pisane nieustanne szczęście małżeńskie... Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem

z tego powodu zawiedziony". W tym samym czasie pisze jednak do żony, która pozostała w Atenach: „Ponieważ jestem przyzwyczajony do życia małżeńskiego, moje obecne życie mnicha powoduje u mnie bezsenność. Wstaję więc o wpół do czwartej rano, biorę prysznic, wypijam filiżankę czarnej kawy, idę do maneżu, znanego z Twoich prób ujeżdżania, wynajmuję tam konia i jeżdżę trzy godziny po Bois de Boulogne... Wracam do domu dopiero o wpół do dziewiątej, zjadam drugie śniadanie, po czym pracuję przez resztę dnia”.

Z oddalenia próbował Schliemann dać żonie do zrozumienia, jak bardzo liczy na jej udział w wykopaliskach w Troi. Pisał, że jej największą dumą stanie się książka, którą podpisze „Zofia Schliemann” i w której przedstawi własne przeżycia. Za to obiecał jej przywieźć z Paryża damskie siodło i buty do konnej jazdy, jak również kielbaski i sardynki w konserwach.

Mimo wypowiedzenia wojny Niemcom przez Francję nie dał się Schliemann odwieść od projektu spędzenia urlopu w Boulogne-sur-Mer. Planowane odkopywanie Troi zajmowało go bardziej niż wojna. Tymczasem zrozumiał, że niedozwolone kopanie tylko mu zaszkodziło. Na dzień przed nieszczęsną klęską Francuzów pod Sedanem, gdzie cała armia Mac-Mahona i Napoleona III została zmuszona do kapitulacji, Schliemann napisał do tureckiego ministra szkolnictwa Safveda paszy list z usprawiedliwieniem: „Pełen podziwu i entuzjazmu dla ogromnych reform, które Pan przeprowadził w sposób genialny i z pobudek humanitarnych, pozwalam sobie zwrócić się do Waszej Ekscelencji z prośbą o przyjęcie załączonej książki [*Itaka...*] jako znak mojego uznania. Książka ta traktuje między innymi o moich badaniach archeologicznych w Troadzie... Przypadek zaprowadził mnie w kwietniu ponownie na wzgórze trojańskie, a boskie wiersze Homera i moja miłość do archeologii skłoniły mnie, aby w owych dniach na płaskowzgórzu przeprowadzić małą próbę; podczas kopania natknąłem się na pałac Priama i świątynię Minerwy [Ateny]...

Ku mojemu ubolewaniu dowiedziałem się od pana Calverta z Dardaneli, że Wasza Ekscelencja jest na mnie zły, iż prowadziłem te drobne prace wykopaliskowe bez zezwolenia. Ale kiedy ujrzałem przed sobą to wzgórze, które kryje w sobie pałac Priama, ów pałac, którego bezskutecznie od dwudziestu stuleci poszukują uczeni z całego świata, wówczas uwiódł mnie mój entuzjazm dla wiedzy i moje fanatyczne umiłowanie archeologii. Pracowałem w strumieniach deszczu, jak gdyby świeciło słońce; wydawało mi się, że



Konstantynopol, w czasach Schliemanna jeszcze stolica Turcji. W grudniu 1870 odkrywca przez trzy tygodnie daremnie wędrował od urzędu do urzędu, aby uzyskać licencję na wykopaliska w Troi.
Jedyny sukces: nauczył się w tym okresie języka tureckiego.

jadłem obiad i kolację, choć naprawdę przez cały dzień nie miałem nic w ustach; każda skorupa, którą wydobyłem, była dla mnie nową kartą historii.

Proszę o wybaczenie w imię naszej matki Wiedzy, której zarówno Pan, jak i ja poświęciliśmy życie; w imię wiedzy, dla której obaj mamy taki sam szacunek, taki sam entuzjizm; w imię wiedzy, którą Pan wziął pod swoją troskliwą opiekę!"

Schliemann nie wierzył, że jego posiadłości w stolicy Francji i w ogóle Paryż zadrżą od niemieckich kul armatnich; wrócił więc w dobrym nastroju do Aten.

Szczęście zdawało się nie mieć granic, kiedy Zofia wyznała swojemu małżonkowi: „Jestem w ciąży”.

Schliemann nie posiadał się z radości: „Chłopiec będzie się nazywał Odyseusz!” —• zawołał podniecony.

„Czy nie masz męża, który cię ubóstwia?”

Zofia spojrzała na niego zdumiona: „Kto ci powiedział, że to będzie syn?”

„Ja to wiem — odparł Schliemann — jestem tego całkiem pewny. Chłopiec będzie nosił imię Odyseusz, jak sprytny król Itaki”.

Schliemann zachowywał się wobec swej żony taktownie i uprzedzająco grzecznie jak nigdy. Zaangażował doktora Venizelosa, profesora (kształcił się on w Berlinie i na uniwersytecie w Atenach i uchodził za najlepszego ginekologa w Atenach), aby opiekował się Zofią w czasie ciąży.

Minęła jesień, wraz z nią rok 1870, a oczekiwane zezwolenie tureckie z Konstantynopola nie nadchodziło. W końcu grudnia udał się Schliemann do stolicy Turcji, aby przy poparciu ambasadora amerykańskiego Wayne'a MacVeagha pertraktować z odpowiednimi władzami. Według informacji samego Schliemanna, jego znajomość tureckiego ograniczała się do 6 tysięcy słów i musiała wystarczyć, aby przekonać sułtana czy też właściwego ministra o doniosłości jego zamiarów.

Przez trzy tygodnie odsyłano pełnego nadziei archeologa od jednego urzędu do drugiego. Wszędzie był przyjmowany na pozór uprzejmie, ale ze wschodnią opieszałością, która dawała mu nadzieję na jutro, za miesiąc albo za nie określony bliżej czas. Jedynym osiągnięciem, o którym Schliemann mógł donieść Zofii do Aten, było doskonałe opanowanie w ciągu tych tygodni języka tureckiego.

„CZY NIE MASZ MEŻA, KTÓRY CIĘ UBÓSTWIA?”

Zofia czuła jednak się zaniedbywana przez Henryka. Miała wrażenie, że zezwolenie na kopanie znaczyło dla jej męża więcej niż jej ciąża, że oprócz Henryka poślubiła jeszcze Homera. Kiedy napisała o tym mężowi, odpowiedział jej gorzkimi wyrzutami: „Jestem niepokieszony — pisał do niej po francusku — słysząc o Twoim złym nastroju, Twoim smutku, Twojej rozpacz. Ale, moja Najdroższa, czy Bóg nie obdarzy! Cię wspaniałym losem? Czy nie masz męża, który Cię ubóstwia? Czy nie stoisz u progu spełnienia Twego najgorętszego życzenia? Czy nie jesteś przy Swojej matce, w naszych ukochanych Atenach, podczas gdy nasi paryscy przyjaciele, a wraz z nimi dwa miliony mężczyzn, kobiet i dzieci nie mają ani drow na opał, ani kromki chleba, by się posilić, a na

ich domy spadają bomby zapalające i grzebią w gruzach tysiące najmańdrzejszych, najmilszych i najwartościowszych istot, których jedynym przewinieniem jest, że dały się zwieść tej kanalii Napoleonowi!"

We wrześniu 1870 ogłoszono w Paryżu republikę. Stolica Francji została otoczona wojskami niemieckimi, które przygotowały działa i granaty, aby zmusić miasto do kapitulacji. Gazety w Konstantynopolu publikowały budzące zgrozę informacje o sytuacji w Paryżu: ludzie głodują i marzną. Olbrzymie części miasta są zburzone. Dnia 18 stycznia 1871 stolica Francji padła. Wojna, która zakończyła się oficjalnie 10 maja, pochłonęła po stronie niemieckiej 49 tysięcy, po stronie francuskiej 139 tysięcy istnień ludzkich.

Choć Zofia błagała, aby mąż został przy niej w Atenach, Schliemann nie dał się powstrzymać i znów wyjechał do Paryża, gdzie chciał szukać sprawiedliwości. Jego cztery domy czynszowe z 270 rodzinami przedstawiały wartość wielu milionów franków i stanowiły znaczną część jego majątku.

Amerikaninowi nie było trudno wyjechać do Francji. Aby jednak dostać się do Paryża, potrzebne było szczególne zezwolenie. Pomny opieszałości władz tureckich Schliemann uciekł się do podstępstwa. W Lagny kupił pocztmistrzowi Charlesowi Kleinowi mundur i przepustkę. Następnie sam przebrany za Charlesa Kleina sforsował dwa regimenty saskie i jeden pruski. Przy tym śmiałym przedsięwzięciu pomocna mu była znajomość języka francuskiego, ale także fakt, że dowody osobiste w owym czasie nie miały jeszcze fotografii. Schliemann zwracał się do kontrolerów najczystszą francuszczyzną „monsieur Oberst" albo „mon generał". Uehonorowani w ten sposób funkcjonariusze odpowiadali przyjaźnie: „Szczęśliwej podróży, panie pocztmistrzu!"

„Gdyby odkryli oszustwo — pisał Schliemann do swojego kuzyna Adolfa w Schwerinie — bez wątpienia by mnie aresztowali i zastrzelili". Kiedy przechodził linie niemieckie, pisał Schliemann dalej, nie myślał o niczym i tylko instynktownie szukał drogi do Boulevard St. Michel. Spotkanych ludzi pytał i ci opowiadali mu, że całe dzielnice miasta są zburzone. Ale stał się cud: żadna z jego kamienic ani jego prywatny dom nie doznały szkód. Schliemann napisał dosłownie: „Z radości ucałowałem wówczas książki w mojej bibliotece".

Henryk zatrzymał się w Paryżu do początku kwietnia, nie tracąc z oczu celu, jakim było odkopanie Troi. Dowiedział się tymczasem, dlaczego władze tureckie potraktowały jego plany z taką

„Czy nie masz męża, który cię ubóstwia?”

rezerwą. Akurat bowiem w tym miejscu, gdzie Schliemann podjął swoje próby kopania, znaleziono przed kilkoma laty 1200 wielkich srebrnych monet z czasów Antiocha Wielkiego*, i skarb ów pozwał władzom tureckim przypuszczać, że w tym miejscu znajduje się w ziemi jeszcze więcej cennych rzeczy.

Wobec tego Schliemann wyraził gotowość złożenia ustnego i pisemnego oświadczenia ministrowi Safwedowi paszy i w obecności ambasadora amerykańskiego Wayne'a MacVeagha, że wszystkie odkryte przez siebie skarby w złocie i srebrze, jak również każdą monetę odda państwu tureckiemu, i że wykopaliska będą prowadzone pod stałą kontrolą dwóch obserwatorów.

„Byłbym nawet gotów — pisał Henryk do Franka Calverta — zapłacić ministrowi podwójną wartość wszystkich wykopanych przeze mnie skarbów, ponieważ miałem w głowie tylko jedno: odnalezienie Troi. Jestem gotów poświęcić na wykopaliska całe lata mojego życia i znaczną sumę pieniędzy, ale teren ten musi należeć do mnie; dopóki tak nie będzie, nie zacznę kopać, jak długo bowiem będę kopał na terenie rządowym, nie opuszczą mnie zdenerwowanie i kłopoty...”

W każdym razie wspaniałomyślna oferta Amerykanina doprowadziła do ożywionych pertraktacji. Propozycja najwidoczniej przekonała władze tureckie, że Schliemannowi nie chodzi o znalezienie skarbu, tylko o badania naukowe.

Wróciwszy do Aten, Schliemann zaczął bez specjalnego rozgłosu kupować działki w różnych częściach miasta, ogółem ponad tuzin. Wszędzie w Europie brakowało pieniędzy, czynsze były wysokie, ceny gruntów niskie jak nigdy dotąd. Wśród działek znajdowała się jedna na odós** Panepistimiu w pobliżu biblioteki państwowej. Schliemann zapłacił za nią 68 tysięcy drachm i obiecał Zofii: „Pewnego dnia zbuduję na niej pałac!”

Dnia 7 maja 1871 Zofia Schliemann urodziła zdrowe dziecko. Ojciec nie mógł ukryć rozczarowania: była to dziewczynka. Skoro już dziecko nie może się nazywać Odyseusz, musi przynajmniej mieć imię z *Iliady*. Do najpiękniejszych ustępów poezji Homera należała rozmowa Hektora z żoną Andromachą przed bitwą pod Troją.

„Będzie się nazywała Andromachą, jak żona Hektora!” — powiedział Schliemann.

* Antioch (gr. Antiochos) III Wielki, panował w latach 223-187 p.n.e. (przyp. red.).

** Por. gr. odós = ulica, droga (przyp. red.).

Matka się nie sprzeciwiła. Wiedziała, że nie ma szans, jeśli Henryk wbił sobie coś do głowy.

Najnowsze wiadomości z Konstantynopola nastroiły Schliemanna ufnie. Mając na względzie proponowane warunki, rząd turecki nie mógł inaczej postąpić, *musiał* udzielić licencji na kopanie. Jesienią, obiecał Henryk, kiedy miną letnie upały, rozpocznie dzieło swego życia. Zofia, która po urodzeniu dziecka czuła się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, obiecała towarzyszyć mężowi pod warunkiem, że będzie miała opiekunkę do dziecka.

Dla Schliemanna w grę wchodziła tylko kobieta z Niemiec. „Niemieckie opiekunki do dzieci są najlepsze w świecie”, stwierdził i udał się natychmiast w podróż do Meklemburgii. Stamtąd chciał pojechać dalej do Berlina, aby nawiązać kontakt z profesorem Ernstem Curtiusem. Curtius uchodził za wybitnego specjalistę od starożytności i interesował się projektem odkopania Troi.

W poszukiwaniu opiekunki do dziecka udał się Schliemann do Neustrelitz. Wybrana kobieta nazywała się Anna Rutenick, była niezamężną córką radcy sprawiedliwości i miała doskonałe maniery. Schliemann roztoczył przed nią widoki na królewską zapłatę, postawił jednak warunek, że Anna będzie uczyła dziecko niemieckiego.

BERLIN W NASTROJU ZWYCIĘSTWA

W końcu lipca przybył Henryk do Berlina. Zatrzymał się w eleganckim hotelu „Bellevue” na Potsdamer Platz. W całym mieście panował nastrój podniecenia. Wydawało się, że nastały nowe czasy. Tu i ówdzie zwisały jeszcze z okien i nad portalami domów girlandy, pozostałości po zorganizowanej przed kilkoma tygodniami paradzie zwycięstwa. Cesarz Wilhelm został przeprowadzony przez Bramę Brandenburską, z końmi po bokach, przez Bismarcka, Moltkego i Roona. Prusy świętowały zwycięstwo nad Francją. W Wersalu ogłoszono powstanie Rzeszy Niemieckiej. Jeszcze nigdy Niemcy nie były takie wielkie i takie potężne. Profesor Ernst Curtius rezydował we wspaniałym pałacu na Matthaikirchstrasse. „Rezydować”, to było właściwe słowo na określenie reprezentacyjnych wielkomieszczańskich stosunków mieszkaniowych. Z wypisanym na twarzy poczuciem własnej wartości profesor przyjął gościa w swoim Błękitnym Salonie. Salon na trzecim piętrze domu lśnił wspaniałym komfortem. Nad masywną kanapą wisiało na jedwabnych tapetach o błękitnym wzorze dziewięć litografii według

obrazów Rafaela. Ciężkie aksamitne zasłony wpuszczały do środka niewiele światła. Na komodzie naprzeciwko tykał wahadłowy zegar stołowy.

„Wiele o panu słyszałem!” — powitał Curtius gościa.

„Mam nadzieję, że same dobre rzeczy!” — odpowiedział Schliemann.

„Czy mieszka pan teraz w Atenach?”

„Tak, panie profesorze. Poślubiłem piękną, młodą atenkę. Nasza córka skończyła właśnie dwa i pół miesiąca”.

„Wobec tego gratuluję panu, jak nazywa się szczęśliwe dziecko?”

„Andromacha” — odpowiedział Schliemann.

Profesor nie mógł ukryć uśmiešku, a Schliemann dodał: „Miał być Odyseusz, byłem tego pewny i zakupiłem nawet w Paryżu ubranka dla chłopca za dwa tysiące franków...”

Curtius zmienił nagle temat: „Czytałem o pańskich próbnym poszukiwaniach, panie doktorze. Czy naprawdę wierzy pan w to, że znalazł Troję?”

„Widziałem Troję na własne oczy, dotykałem kamieni, na których Achilles walczył z Hektorem. Wykopałem tylko kilka rowów i na głębokości piętnastu stóp natknąłem się na potężne mury. Musiały to być resztki pałacu Priama. Jestem tego całkowicie pewien”.

W kręgach fachowców wiadomo było, że profesor Curtius uważał, iż zasypana Troja leży koło Bunarbasj. Teorię tę pragnął on także udowodnić w książce na temat Azji Mniejszej.

„I jest pan rzeczywiście przekonany, że Troja leży pod wzgórzem Hissarlik?” Siwowłosey profesor uśmiechnął się, jak gdyby chciał powiedzieć: „Żeby pan tylko nie zabrnął w ślepą uliczkę, drogi przyjacielu!”

Schliemann próbował objaśnić Curtiusowi, w jaki sposób doszedł do takiego wniosku: Zbadał dokładnie teren wokół Bunarbasj, ale im dłużej tam przebywał, tym bardziej rosły jego wątpliwości, czy Troja mogła leżeć tak daleko od morza. Stał się porywczy — „W jaki sposób żołnierze greccy wielokrotnie w ciągu dnia przemierzali drogę od swych okrętów do zamku nieprzyjaciela i z powrotem, skoro Troja znajdowała się pod Bunarbasj? Jak mógł Achilles ścigać Hektora trzykrotnie wokół murów tego zamku, skoro stoki wzgórza były niemal nie do przebycia? Próbowałem dwukrotnie okrążyć zamek, potrzebowałem na to, idąc częściowo na czworakach, pełne dwie godziny”.

CURTIUS UWAŻA SCHLIEMANNA ZA FANTASTĘ

Profesor wzruszył ramionami. Jak większość poważnych naukowców owych czasów reprezentował on pogląd, że Homer był wielkim poetą, ale nie historykiem ani nawet autorem, którego dzieła opierałyby się na prawdziwych wydarzeniach. Curtius wierzył w istnienie Troi, warownego miasta na wybrzeżu Azji Mniejszej, ale w cierpiénika Odyseusza, w bohaterów Achillesa i Hektora i ich sławione przez Homera czyny nie wierzył.

Schliemann zdawał się czytać w myślach swojego rozmówcy. „Jestem przekonany — zaczął od nowa — że to wzgórze Hissarlik ukrywa prawdziwą Troję. Widziałem trzcinę, którą znalazł Odyseusz, i jak Odyseusz słyszałem krzyk czapli, które gnieździły się w tej okolicy. Całe dni żywiłem się czarnym chlebem jęczmiennym i wodą ze Skamandra. Był kwiecień i spędzałem noce pod gołym niebem na skale, z Homerem pod głową i bohaterami trojańskimi niemal w zasięgu ręki". Przy tych słowach jego oczy lśniły.

Wobec zachwytu, który promieniował ze Schliemanna i który sprawiał, że wyglądał jak młodzieniec, pięćdziesięciosiedmioletni profesor wyglądał jak starzec; a przecież różnica wieku między nimi wynosiła mniej niż dziesięć lat. Curtius potrząsnął głową. „Panie Schliemann — wykrzyknął — czy pan w ogóle wie, w co się pan wplątuje? Aby swoją teorię — a o nic więcej tu nie chodzi — aby swoją teorię udowodnić, będzie pan musiał przenieść całe wzgórze!"

Po raz pierwszy podczas ich rozmowy na twarzy Schliemanna pojawił się uśmiech wyższości. Następnie powiedział spokojnie — „Odkopanie zamku Priama będzie kosztowało co najmniej 100 tysięcy franków. Przy pomocy setki ludzi, którzy będą tam pracować przez trzy miesiące w roku, będę na to potrzebował jakieś pięć lat. Dla siebie i dla robotników zbuduję mocne domy. Wybieram się właśnie do Londynu, gdzie zamierzam w swojej dawnej firmie Schröder i Spółka zakupić kilkaset tacek i łopat".

Ze Schliemanna przemawiał teraz chłodno kalkulujący przedsiębiorca, któremu powierzono do zrealizowania projekt gigantycznych rozmiarów. I podczas gdy profesor mierzył małego mężczyznę krytycznym wzrokiem, żałował, że nie może wciągnąć tego fanatyka do własnych planów. Bardzo by mu się przydał człowiek o takim zapale i z taką siłą działania.

Przez pół życia zaprzętała Curtiusa myśl odkopania starożytnej Olimpii, świętego miasta Igrzysk Olimpijskich. Dotychczas

przedsięwzięcie rozbijało się o brak pieniędzy; ale kiedy teraz przyglądał się Schliemannowi, musiał przyznać, że chyba brakowało mu również zapału. Być może był za bardzo profesorem, a za mało żądnym przygód podróżnikiem.

Nagle Curtius podniósł się ze swego krzesła. „Mam pomysł — powiedział zamyślony. — W końcu sierpnia wyruszam wraz z kilkoma kolegami do Azji Mniejszej. Pewien inżynier drogowy z Essen natknął się na północ od Smyrny pod Bergamo na starą budowlę. W tej okolicy znajdował się Pergamon, stolica królestwa pergamońskiego. Podczas budowy drogi z Konstantynopola do Smyrny odsłonięto potężne płyty marmurowe, a Turcy mają zamiar spalić te monumenty w swoich piecach wapiennych. Jeśli się uda, zrobimy mały wypad na Hissarlik.”

Kiedy Schliemann się żegnał, nie miał wątpliwości co do tego, że ani trochę nie przekonał Curtiusa. Profesor nadal będzie głosił przekonanie, że starożytnej Troi należy szukać w pobliżu wioski Bunarbagi, a to, co Schliemann zamierza! wydobyć na światło dnia na Hissarliku, interesuje jego oraz naukę tylko marginalnie.

Może istniała jeszcze ostatnia, niewielka nadzieja, że uda się przekonać Curtiusa, jeśli sam zobaczy Hissarlik.

Najchętniej Schliemann powróciłby do Aten i udał się dalej nad Cieśninę Dardanele, aby tam czekać na profesora Curtiusa. Jednak zamówił u Schrodera w Londynie taczki i narzędzia za wiele tysięcy franków; trzeba było z tego dokonać wyboru i jak najprędzej przewieźć wszystko statkiem do Azji Mniejszej.

BUNARBAŞI CZY HISSARLIK?

W Londynie pierwsze kroki skierował Schliemann — jak zwykle, kiedy przybywał do obcego kraju — do ambasady amerykańskiej. Robił to z dwu różnych powodów: Po pierwsze, wymagały tego przepisy meldunkowe, a po drugie, dzięki temu był wszędzie osiągalny za pośrednictwem poczty. Schliemann odebrał plik korespondencji. Najważniejszy list przyszedł od ambasadora USA w Konstantynopolu Wayne'a Mac Veagha i zawierał podpisaną przez Safveda paszę licencję na wykopaliska. Było to 12 sierpnia 1871.

Najpierw Schliemann zawiadomił o tym swoją żonę i jeszcze tego samego dnia Franka Calverta. Napisał, że chce jeszcze

w październiku, jak tylko miną największe upały, rozpocząć prace wykopaliskowe. Bardzo też mu leża! na sercu profesor Curtius, który w końcu miesiąca miał przybyć do Dardaneli z zamiarem *złożenia* wizyty na Hissarliku. „Niech Pan się postara za wszelką cenę spotkać z nim choć na krótko, albo jeszcze lepiej: niech Pan poprosi konsula pruskiego i właściciela hotelu, aby natychmiast Pana zawiadomili o jego przybyciu. Towarzystwo temu sławnemu człowiekowi sprawi Panu wielką przyjemność...”

Dobrze się stało, że Schliemanna nie było w Troadzie, kiedy przyjechał tam Curtius. Ernst Curtius przybył w towarzystwie pięciu ekspertów, historyka berlińskiego Friedricha Adlera, profesora B. C. Starka z Heidelbergu, swoich asystentów Gustava Hirschfelda i Heinricha Gelzera oraz majora Regely'ego z pruskiego sztabu generalnego, cenionego mierniczego.

Sześciu elegancko ubranych mężczyzn wysiadło na ląd dnia 3 września w porcie Canakkale u ujścia Cieśniny Dardanele. Kiedy przybyli, Calvert zaoferował się, że będzie towarzyszył Niemcom w czarnych surdutach na Hissarlik.

„My chcemy do Bunarbasj!” — wyjaśnił Curtius.

Calvert zrobił zdziwioną minę. „Ale Bunarbasj to nie Troja! Czy Schliemann panu tego nie wyjaśnił?”

„Oczywiście — odparł profesor. — Mimo to chcemy najpierw pojechać do Bunarbasj, aby sobie wyrobić zdanie, a następnie udamy się na Hissarlik”.

Profesor i jego towarzysze wynajęli łódź zagłową i pojechali na południe aż do przylądka Kumkale. Stamtąd odbyli drogę do Bunarbasj na grzbietach osłów. Nikt z mężczyzn nie mógł ukryć rozczarowania, kiedy w pobliżu minaretu, który wyznaczał środek wioski Bunarbasj, ujrzeli wzgórze otoczone resztkami murów. Oto widok, jaki się przed nimi roztaczał: niskie domy, trawa i krzewy, brązowe od gorączki lata. Tylko w miejscu, gdzie u zachodniego podnóża góry z zakurzonej ziemi tryskało źródło, trawa miała barwę zieloną.

W sześciu wdrapali się na strome wzgórze. Kiedy znaleźli się na szczycie, spojrzeli wzruszeni na zachodzące słońce i morze na horyzoncie lśniące niczym diamenty w blasku świateł. Skamander wił się jak wąż między zielonymi krzewami i rosochatymi wierzbami i dalej przez monotony krajobraz. Uczonym trudno było sobie wyobrazić, że tu, w tej opuszczonej przez Boga okolicy, mogła znajdować się kiedyś obfitująca w *złoto* Troja.

Kiedy zapadł zmrok, *znaleźli* chan, który posłużył im za schronienie, coś w rodzaju gospody, gdzie przede wszystkim troszczono się o konie i osły. Niemcy woleli przespać się na gołej podłodze.

„No i co pan sądzi? — zapytał Adler Curtiusa. — Czy to starożytna Troja?”

Profesor długo zwlekał z odpowiedzią. Następnie odparł: „Sądząc po krajobrazie i miejscowości, powiedziałbym, że tak. Same mury jednak nie wskazują jeszcze na to, że istotnie mamy przed sobą Troję”.

„Być może — zauważył Adler — powinniśmy obejrzeć wykopaliska tego Schliemanna”.

Curtius machnął jednak niechętnie ręką: „Ach, *co* tam!”

„Ale Calvert był również przekonany, że Troi należy szukać koło Hissarliku”.

„Prawdopodobnie dlatego — odpowiedział profesor — że należy do niego połowa terenu. Z pewnością wietrzy niezły interes”.

Żaden z sześciu przybyszów z Niemiec nie mógł tej nocy spać spokojnie. Bali się napaści, a ponadto widok wzgórze w Bunarbaszy sprawił ich w głęboką bezradność.

Całkiem niespodziewanie następnego ranka Curtius stwierdził — „Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy rzucić okiem na wykopaliska pana Schliemanna”. Badacze osiedlili osły i ruszyli w drogę na północ.

Mimo iż rowy, które wykopał Henryk Schliemann przez wzgórze Hissarlik, w większej części zostały na powrót zasypane, formacja terenu oraz odsłonięte mury sprawiały większe wrażenie niż widok pod Bunarbaşi. W różnych miejscach widać było mury rozmaitego rodzaju. Wiele osiedli pozostawiło tu ślady swej historii. Ale czy to wystarczało, aby twierdzić, że pod nimi kryje się Homerowa Troja?

Po powrocie nad Cieśninę Dardanele Curtius i jego towarzysze znów spotkali się z Frankiem Calvertem. Konsul zapytał profesora, czy teraz, kiedy widział obie miejscowości, wciąż trwa przy swoim dawnym przekonaniu.

Curtius odpowiedział powściągliwie, ale jego słowa mimo to były policzkiem dla Schliemanna i jego teorii — „Uważam miejsce, gdzie Schliemann prowadzi prace, za nowy Ilion, który przeżywał swój złoty okres za panowania Macedończyków i Rzymian. Nie wierzę, że jest to stara Troja; ta spoczywa pod ziemią koło Bunarbaşi”.

„ŚWIAT POWINIEN ZOBACZYĆ, ŻE MAM RACJĘ!”

„Szczęśliwy, z furmanem w kieszeni, wrócił Schliemann w polowie września do Aten. Towarzyszyła mu Anna Rutenick, nowa opiekunka do dziecka z Neustrelitz. Andromacha miała już cztery miesiące. Anna otrzymała nowe, odpowiednie imię: Nauzykaa.

Schliemann zdenerwował się, kiedy otworzył list od Franka Calverta, w którym składał on sprawozdanie z wizyty berlińskiego profesora Curtiusa i jego trzech towarzyszy w Troadzie.

„Co tam masz?” — zapytała Zofia.

Henryk wyciągnął ku niej list Calverta. Zofia spostrzegła, że jej mąż drży.

„To z powodu Curtiusa. On jest i pozostanie wykształconym, zarozumiałym człowiekiem!”

Następnie jeszcze raz przebiegł wzrokiem list, wymamrotał kilka słów bez związku i wreszcie zaczął głośno czytać: „...Oto wszystko, co mogłem zauważyć po ich powrocie z Troady: Curtius i jego ludzie przejęli teorię Bunarbaşi, nie zważali na wszelkie moje próby, aby ich przekonać o czymś wręcz odwrotnym. Mister Hirschfeld (myślę, że tak się pisze jego nazwisko), który studiował w Atenach, reprezentuje pogląd, iż mury, które Pan odkrył (jak również te, które ja odkopałem), pochodzą z późniejszego okresu, a nie z czasów starożytnej Troi. Pan wie, że pod tym względem się z nim zgadzam. Powiedziałem mu, że dopiero kiedy odkopimy Hissarlik, z pewnością natkniemy się na mury legendarnego miasta. Teraz jest jeszcze za wcześnie, aby mieć ostateczny pogląd...”

Schliemann odrzucił na bok list, a Zofia próbowała pocieszyć męża — „Nie powinieneś się tym zrażać!”

Henryk w milczeniu popatrzył na żonę. Następnie odparł — „Nie, w żadnym razie. Świat powinien zobaczyć, że mam rację!”

IX SKARB TROJAŃSKI

[...] przyjdzie czas, gdy Pryjam i lud jego zginie, A
Ilijon się w smutnej zagrzebie ruinie. Siedząc na
górnym tronie, Saturna syn możny Straszłą egidą
wstrząśnie na naród bezbożny I, obrażon, tej zbrodni
nie puści bezkarnie.

Homer, *Iliada* (księga IV)*

Canakkale nad Cieśniną Dardanele, 27 września 1871.

„Schliemann effendi! Schliemann effendi!" Robotnicy portowi, pracownicy dniówkowi i chłopcy w obszarpanych ubraniach, którzy zaludniali port Canakkale, biegali podnieceni we wszystkie strony, aby pochwycić wzrok małego Amerykanina, o którym ludzie opowiadali niesamowite rzeczy. Był podobno niezwykle bogaty, a głowę miał pełną szalonych pomysłów; chciał szukać w ziemi skarbów, tak mówiono, właśnie w opuszczonej przez Boga Troadzie, o której powiadano, że jeśli Allah pragnie kogoś ukarać, zsyła go właśnie tu.

Czekano na effendiego. Konsul Stanów Zjednoczonych Frank Calvert powitał Schliemanna ze wschodnią serdecznością, natychmiast jednak oznajmił przybyszowi Hiobową wieść:

„Nie może pan jeszcze rozpocząć kopania. Gubernator prowincji Ahmet pasza polecił mi, abym to panu zakomunikował”.

Schliemann się roześmiał. Przyjął słowa Calverta za żart. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął kartkę papieru.

„Tu oto — powiedział i rozłożył tryumfalnie papier na dłoni — jest firman właściwego ministra. Wystarczająco długo nań czekałem”.

„Wiem o tym — odpowiedział Calvert — gubernator wcale nie ma zastrzeżeń do licencji. Zwrócił mi tylko uwagę, że w firmanie nigdzie nie jest powiedziane, w którym miejscu może pan kopać. Hissarlik jest wielki”.

„Co to znaczy:-w którym miejscu?”

* Przeł. Fr. Ks. Dmochowski.

„Gubernator zapytał, czy pozwolenie na kopanie odnosi się do *mojej* posiadłości, czy do terenu, który jest własnością państwa tureckiego, a może do całego wzgórza Hissarlik”.

„Oczywiście że *do całego* Hissarliku!” — wykrzyknął Schliemann z wściekłością.

Calvert odpowiedział — „Ale niestety nie ma o tym ani słowa w firmanie”.

W zastrzeżeniach gubernatora Schliemann wietrzył nową intrygę Safveda paszy, ministra szkolnictwa. Archeolog już w kwietniu 1870 roku pertraktował z dwoma głównymi właścicielami, dwoma Turkami z Kumkale, na temat wykupienia terenu wzgórza Hissarlik. Pierwsza cena obu właścicieli wynosiła 5 tysięcy franków. W końcu Schliemann wytargował cenę tysiąc franków.

W grudniu tego roku wybrał się w podróż do Konstantynopola, aby poinformować Safveda paszę o swych pertraktacjach z pozytywnym skutkiem na temat zakupu gruntu w Troi i że sfinalizuje sprawę, kiedy tylko otrzyma zgodę na kopanie. Wówczas Henry musiał ministrowi dopiero wyjaśnić, na czym polega znaczenie Troi. Safved pasza nigdy jeszcze nie zetknął się z tą nazwą. Wysłuchał entuzjastycznych objaśnień Amerykanina i zażądał, aby ten przyszedł do niego ponownie za osiem dni.

Kiedy Schliemann wrócił, dowiedział się, że minister kupił Hissarlik za 600 franków. Zrobił mu przy tym propozycję, że może kopać, gdzie zechce i jak długo zechce, wszakże pod jednym warunkiem: wszystkie, nawet najmniejsze znaleziska, muszą być przekazane jemu, Safvedowi paszy.

„Co za nędzna kreatura, co za oszust! — wściekał się Schliemann — Poskarżę się sułtanowi. Otworzę mu oczy na stosunki w jego rządzie!”

Groźba była zbyteczna. Wszyscy w państwie osmańskim wiedzieli o korupcji w rządzie. Spowodowała ona prawdziwy kryzys państwa. Komendant policji Husni pasza, minister wojny Husseyin Avni pasza, pierwszy skarbnik sułtana Emin bej i minister sprawiedliwości Riiżdi pasza przebywali na wygnaniu. Tego ostatniego sułtan szczególnie nienawidził. W wypadku innych sprawa była bardziej skomplikowana: Komendant policji na przykład musiał pokutować za winy swego poprzednika, który przez całe lata opłacał z tajnego funduszu policji faworytów zmarłego wielkiego wezyra. Minister wojny był mistrzem defraudacji w wielkim stylu, które pozwalały mu na luksusowe życie we własnym pałacu. A Emin bej, pierwszy skarbnik sułtana i szara eminencja na

dworze, tak zręcznie wykorzystywał swoje stanowisko, że osiągał dochody miesięczne w wysokości 18 tysięcy talarów.

„Co mam teraz zrobić? — zapytał Schliemann, kiedy się nieco uspokoił. — Nie mogę przecież zaczynać wszystkiego od początku!”

Frank Calvert poradził przyjacielowi, aby udał się do nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Wysokiej Porcie, Johna E. Browna, człowieka wykształconego, o szerokich horyzontach umysłowych. Brown jest autorem książki o starym i nowym Konstantynopolu i z pewnością zajmie się projektem Schliemanna. Zanim wyjaśni się sytuacja prawna, mógłby on poczynić niezbędne przygotowania.

AGAMEMNON I HEKTOR Z ŁOPATAMI I MIOTŁAMI

Już nazajutrz Schliemann najął w pobliskiej wiosce Renkoi ośmiu bezrobotnych Greków. Mieli oni pracować od poniedziałku do piątku za 9 piastrow albo 1,80 franków dziennie, natomiast na niedzielę, która dla chrześcijan jest dniem świętym, wynajął ośmiu Turków. Nikolaosa Zaphyrosa, najbardziej bystrego spośród Greków, uczynił swoim sługą, osobistym strażnikiem i sekretarzem w jednej osobie, płacąc mu za te czynności 30 piastrow dziennie.

Na każde wezwanie miał pod ręką stu dalszych robotników. Największe trudności sprawiało archeologowi zapamiętanie obco brzmiących nazwisk. Dlatego robotnikom greckim nadal dobrze brzmiące imiona z Homera: Eneasza, Agamemnon, Laomedon albo Hektor — Turcy zaś musieli się zadowolić takimi imionami jak Derwisz, Mnich, Pielgrzym, Kapral, Doktor albo Bakalarz.

Kwaterę urządził sobie Schliemann w wiosce o nazwie Ciblak, położonej na wschód od Hissarliku. Wynajął tam niewielki domek o ścianach z gliny. Wewnątrz było tylko jedno pomieszczenie. Stały w nim stół, krzesło i żelazne łóżko. Mimo wszystko dom miał oszklone okna i pokryty był dachówką w celu ochrony przed deszczem, który jesienią bywał tu szczególnie intensywny.

Nad wypaloną słońcem Troadą panował jeszcze dręczący upał. Pierwszego wieczoru o zmierzchu Schliemann wybrał się do wału ziemnego wokół Hissarliku. W uszach dźwięczały mu tysiące cykad. Nad głową unosiły się chmury ptaków. Ciemne, tajemnicze i nieprzeniknione wznosiło się przed nim masywne wzgórze. Jak gdyby Polifem, Homerowy olbrzym, rozpostarł się na gołej ziemi

do snu i leżał spowity w czarny płaszcz z fałdami z ziemi i guzikami z okrągłych kamieni.

Gdzie zacząć? Oczywiście Schliemanna wędrowały po śpiącym monstrum. I im dłużej jego wzrok wpijał się w ciemną ziemię, tym więcej obrazów pojawiało się przed nim: świątynie i pałace z białego marmuru, schody i ołtarze, bite ulice i place, ozdobione rzeźbami i cennymi naczyniami — Troja, miasto bohaterów Homera. Nie, to miasto, które tak obrazowo przedstawił Homer, nie mogło zginąć bez śladu w Hadesie. Ilion musiał pozostawić dowody swego istnienia. A on, Schliemann, je odnajdzie.

„Jeśli faktem jest — pisał on w swoim późniejszym raporcie z wykopalisk — że góry, które zbudowane są z samej ziemi i uprawiane, stopniowo całkiem zanikają, i jeśli na przykład Wartsberg koło wsi Ankershagen w Meklemburgii, który jako dziecko uważałem za największą górę świata, w ciągu 40 lat się zapadnie, to jest również faktem, że wzgórza, na których w ciągu tysiącleci wznoszono wciąż nowe budowle na ruinach dawnych, znacznie zyskują na wielkości i wysokości. Wzgórze Hissarlik jest tego przekonującym dowodem”.

Również następnego dnia Schliemann, skazany na bezczynność, badał tajemnicze wzgórze. Podobnie w ciągu kolejnych dni. Krążył po wzgórzu nieustannie, aż wreszcie miał w pamięci nawet najmniejszą grudkę ziemi. Nad nim przelatywały na południe klucze żurawi i bocianów. Zapowiadały one jesień, a ta mogła być w Troadzie chłodna, mokra i nieprzyjazna — prawie niewyobrażalna przy takim upale. Ale był już październik i każdy stracony dzień wywoływał zdenerwowanie Schliemanna.

Z dziennika Schliemanna z dnia 3 października 1871: „Niecierpliwość i bezczynność mnie zabijają”.

Miriady komarów wypełniały podmokłe tereny Troady. Wdzierały się do szalasów i domów, i nawet przez moskitierę, którą Schliemann rozpostarł, te żądne krwi stworzenia znalazły drogę do swojej zdobyczy. Dlatego Schliemann wolał sypiać na wolnym powietrzu. Od czasów podróży do Ameryki, szczególnie od wędrowki przez Panamę, nasz obywatel znał cudowny środek przeciwko malarii, która tu, podobnie jak tam, atakowała wielu ludzi: chininę. Miał zaufanie do białego proszku, którego zażywał dziennie co najmniej łyżeczkę.

Noce, podczas których nie mógł spać, wydawały się nie mieć końca. W jego głowie kłębiły się tysiące myśli. Ogarniały go wątpliwości, czy rzeczywiście jego teoria na temat Troi jest słuszna

i czy ludzie tacy jak Curtius i Adler nie mają racji. Zapowiedział on już rozpoczęcie prac wykopaliskowych w renomowanych pismach, takich jak londyński „Times” i „Augsburger Allgemeine Zeitung”. Jego wątpliwości rosły z każdym dniem, który zmarnował, nie mogąc rozpocząć kopania.

WYMARZONA LICENCJA NA KOPANIE

Dnia 8 października 1871. List Schliemanna do tymczasowego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych Ameryki w Wysokiej Porcie, Mr Johna P. Browna:

„Na miłość boską, błagam, niech Pan uczyni wszystko, co w Pańskiej mocy, aby przyspieszyć sprawę, albowiem bezczynność na tym rojącym się od owadów placu wykańcza mnie fizycznie i psychicznie. Nie mogę wrócić do Aten, bez przepracowania co najmniej sześciu tygodni w Troi. Gazety bowiem zbyt wiele już napisały o moich planach wykopaliskowych, narazę się więc na śmieszność, jeśli wkrótce coś się nie zacznie dziać”.

We władzach w Konstantynopolu do głosu doszedł tymczasem nowy minister, Kemal pasza, bo tak się ów człowiek nazywał, który sprawiał wrażenie, że bardziej interesuje się nauką niż łapówkami. Na jego polecenie do gubernatora prowincji w Canakkale trafiła informacja, że firman Schliemanna obejmuje *całe* wzgórze Hissarlik. Wiadomość ta dotarła do Schliemanna wieczorem 10 października.

Zgodnie z warunkami licencji Ahmet pasza, gubernator prowincji, przydzielił niecierpliwemu odkrywcy urzędnika tureckiego, który miał go pilnować. Człowiek ów nazywał się Georgios Sarkis, był z urodzenia Ormianinem i pracował jako drugi sekretarz w kancelarii prawnej gubernatora. Ku swojej wściekłości Schliemann musiał płacić własnemu szpiegowi kwotę 23 piastrow dziennie.

„Dnia 11 bieżącego miesiąca zacząłem wreszcie znów kopać — napisał Schliemann w raporcie — wraz z ośmioma robotnikami, ale podniosłem ich liczbę już następnego dnia do 35, a 13 bieżącego miesiąca do 74 mężczyzn, którzy otrzymują dziennie 9 piastrow (1 fr. 80 cent.). Ponieważ, niestety, sprowadziłem z Francji tylko osiem tacek, a tu takich nie ma i w całej okolicy nikt ich nie potrafi wykonać, muszę używać do transportu gruzu 52 koszy. Praca posuwa się więc powoli i jest bardzo wyczerpująca, albowiem gruz musi być przenoszony na dużych odległościach. Używam także czterech wózków ciągniętych przez osły, a każdy z nich kosztuje

dziennie 20 piastrow. Pracując z wielkim zapalem i nie szczędząc kosztów, aby możliwie przed zimowymi deszczami, które mogą nastąpić w każdej chwili, dostać się do najstarszych pokładów i tym samym rozwiązać wielką zagadkę, czy — w co święcie wierzę — wzgórze Hissarlik rzeczywiście jest Troją Priama".

Schliemann miał dość czasu, aby zbadać teren. Teraz zaczął kopać rów długi na sześćdziesiąt metrów w odległości dwudziestu metrów od miejsca, gdzie dokonał pierwszego wykopu, od północno-zachodniego krańca wzgórza na południe. Jego pomysł polegał na tym, aby przez poprzeczny przekrój wzgórza odsłonić różne warstwy, które już podczas pierwszej próby stały się widoczne.

Duma Trojańczyków, wielka świątynia Ateny, znajdowała się, jak przypuszczał odkrywca, na najwyższym miejscu wzgórza. Jeśli stąd zrobi przejście do skały wewnątrz wzgórza, która służyła najstarszym osiedlom za fundament, wówczas przetnie rozmaite warstwy osadnicze Troi.

Sama teoria Schliemanna nie była błędna; ale wychodził on z błędnego założenia, z pomyłki, która potem miała podać w wątpliwość wszystkie jego wykopaliska w Troi. Odkrywca uważał bowiem za oczywiste, że Homerowa Troja, która przez historyków jest datowana na okres około 1250 przed Chr., była najstarszą, a tym samym najgłębiej leżącą warstwą. Czyż mógł on przypuszczać, że wojna trojańska, którą Homer tak dokładnie opisał w swojej *Iliadzie*, rozegrała się na najmłodszej, a więc najwyższej warstwie osadniczej wzgórza? Że przed Homerem nazwę Ilium* nadano co najmniej sześciu innym osadom?

Schliemann, któremu chodziło o odkopanie Troi Homera, nie narzekał na trudności, na jakie napotykał, kiedy próbował przekopać sztuczne wzgórze Hissarlik aż do głębi. Miejscami prowadzony wykop sięgał szesnastu metrów w głąb. Jednak wojna trojańska rozegrała się na głębokości najwyżej siedmiu do dziesięciu metrów pod powierzchnią.

Wskutek błędnej oceny praca przybrała gigantyczne rozmiary. Do tego doszły jeszcze dodatkowe trudności; o ile bowiem odłamki gruzu i kamienia w górnych warstwach były niezbyt duże i tym samym łatwiejsze do transportu, o tyle kamienie ciosowe i głazy, które były odkopywane w głębszych warstwach wzgórza, wymagały od robotników i ich pociągowych zwierząt pracy ponad siły. Mimo iż początkowo robotnicy uważali, że są dobrze opłacani, teraz

* Gr. Iliion (przyp. red.).

zaczęli się buntować. Czuli się wykorzystywani, poganiacze osłów strajkowali, Turcy przeklinali Greków. Schliemann skarży! się na pierwsze ubytki ludzi. Istniało podejrzenie malarii. W tej sytuacji uznał on za błogosławieństwo boże, kiedy z dnia na dzień pogoda się zmieniła.

PO OŚMIU DNIACH PRACY: GARŚĆ KAMIENI

„Wzgórze Hissarlik na płaskowyżu Troi 18 października 1871. Deszcze. Zimno. Ogromne trudności w kopaniu na tym pustkowiu — pisał Schliemann po tygodniu pracy w swoim raporcie — pojawiają się na każdym kroku i rosną z każdym dniem; z powodu spadku terenu bowiem wykopy stają się coraz dłuższe, im głębiej kopię, rosną kłopoty z transportem gruzu; ten ostatni nie może tak po prostu być zrzucony z góry, bo trzeba by go potem na nowo uprzętać. Należy go zatem wyrzucać w pewnej odległości na lewo i na prawo od ujścia rowu na spadzisty stok. Wydobywanie i transport mas ogromnych bloków kamiennych, które wciąż stają nam na drodze, kosztuje wiele wysiłku i powoduje znaczne straty czasu, bo w chwili, kiedy toczy się wielki blok kamienny aż do krawędzi zbocza, wszyscy moi ludzie przerywają pracę i spieszą, aby być świadkami, jak potężny ciężar z wielkim dudnieniem toczy się po kamienistej ścieżce i zatrzymuje się dopiero w pewnej odległości od płaskowyżu. Dla mnie — sam muszę wszystkiego doglądać — jest niemożliwością przydzielenie każdemu robotnikowi właściwego zajęcia i dopilnowanie, by wszyscy spełniali należycie swoją powinność”.

Rezultat ośmiu dni ciężkiej pracy mógł zniechęcić nawet człowieka o tak twardym charakterze, jakim był Henryk Schliemann. Kilka koszy muszli, kilka brył wypalanej ziemi i garść kamieni z nieznanymi napisami — doprawdy inaczej wyobrażał on sobie plon.

Na temat tego pierwszego tygodnia kopania Henryk Schliemann pisał dalej: „Moja droga żona, atenka, która śni o Homerze, a *Iliadę* zna prawie na pamięć, uczestniczy w wykopaliskach od świtu do nocy. Nie chcę już nawet mówić o naszym trybie życia na tym pustkowiu, gdzie brakuje nam wszystkiego i gdzie musimy zażywać codziennie cztery gramy chininy, aby uchronić się przed malarią”.

IX Skarb trojański

Niemal wszyscy biografowie Schliemanna przyjęli bez zastrzeżeń informację, że Zofia uczestniczyła w pracach wykopaliskowych w Troi. Nawet Emil Ludwig, któremu Zofia Schliemann zleciła opracowanie biografii, ubarwił tę legendę, twierdząc, że matka nie poznała swej córki Andromachy, kiedy po trzech miesiącach powróciła z Troady.

W rzeczywistości, kiedy Henryk kopał w Troi, Zofia czekała w domu, nudząc się, najczęściej pogrążona w depresji, na powrót swego męża. Dowodzą tego dwa listy, których Schliemann zapomniał zniszczyć i które dziś przechowywane są w Gennadios-Bibliothek.

Pierwszy pochodzi od Anny „Nauzykai” Rutenick z Neustrelitz, opiekunki do dziecka i damy do towarzystwa; napisany jest w plattdeutsch, dnia 11 (!) października, a więc w dniu, kiedy Henryk rozpoczął prace wykopaliskowe, i został nadany w Atenach. W liście czytamy:

„Proszę mi nie brać za złe, że piszę do Pana tych kilka słów. Chciałam Pana tylko poinformować, że mi się tu bardzo podoba, a to głównie za przyczyną Pańskiej drogiej Zony. Uczy się Ona pilnie niemieckiego i wspólnie z wielką radością prowadzimy dom.

Teraz jednak mam do Pana ogromną prośbę i chcę od razu o niej napisać. Otóż, kiedy Pańska droga Zona coraz częściej bywa zasmucona, bo Pan jest tak daleko, chciałabym jej wówczas zagrać na fortepianie, aby ją nieco rozerwać; i pani Schliemann również chciałaby się sama uczyć gry na fortepianie. Ale to jest niemożliwe, ponieważ nie mamy żadnego instrumentu strunowego... Dlatego ośmielałam się teraz poprosić pana uprzejmie, aby nam Pan pozwolił wynająć fortepian. Mam nadzieję, że Pan nie odrzuci tej prośby i nie uzna jej za zbyt wielką niestosowność”. ą

Drugi list nosi datę 13 października 1871, a miejscem nadania jest „Troja”. Skierowany jest on od Henryka Schliemanna do jego „gorąco ukochanej żony Zofii”: „Choć łało jak z cebra, wczoraj z 74 robotnikami i 4 zaprzęgami w woły pracowaliśmy od godziny 6 rano do 6 wieczorem; dziś mam już tylko 45 pracowników. Kopanie przebiega niezwykle ciężko, ale posuwam się z wielkim zapalem naprzód... Życie tutaj jest okropne, wszystko ocieka błotem, a niedostatki są nie do zniesienia. Cieszę się, że Cię tu nie ma. Nawet teraz, w lecie, wykopaliska w Troi nie są dla Ciebie. Nie wytrzymałaśbyś życia tutaj nawet przez dwa dni mimo Twego zachwytu dla Homera”.

DLACZEGO HENRYK SCHLIEMANN KŁAMAŁ?

Dlaczego Henryk Schliemann mówił nieprawdę? Dlaczego twierdził w swoim raporcie z wykopalisk, że Zofia od początku uczestniczyła w pracach? Dlaczego wziął na siebie ryzyko, że również inne jego wypowiedzi mogą być zakwestionowane?

Jak to często bywało u Schliemanna, także w tej sytuacji fantazja przysłoniła rzeczywistość, wyrażając jego tęsknotę za spełnieniem dawno żywionych nadziei. Od nieszczęśliwych dni swego pierwszego małżeństwa marzył, aby razem z ukochaną żoną wędrować śladami Homera. Nie wątpił w miłość Zofii; tymczasem jednak dla tej dziewiętnastoletniej matki, która w Atenach zarządzała dużym domem z liczną służbą, która uczyła się historii i języków obcych (w żadnym razie nie знаła na pamięć *Iliady*, jak twierdził Henryk), dla tej młodej kobiety dynamiczne i ruchliwe życie Schliemanna było trudne do zniesienia. Sytuacja wcale nie poprawiła się wskutek przeprowadzki do Aten.

Być może Henryk wierzył, że kłamstwo to obudzi w jego żonie zachwyty dla przyszłych wspólnych projektów. Nie wiedział, że te nadzieje, przynajmniej jeśli chodzi o wykopaliska w Troi, nigdy się nie urzeczywistnią.

Być może Schliemann nawet zwątpił w powodzenie, zdawszy sobie sprawę z tego, że porusza się po omacku jak Tezeusz w labiryncie Minosa. Pierwsze dni przyniosły tylko niejasności, absurdy, niewiedzę, tylko nonsensy. Entuzjazm, z jakim podążał do Hissarliku, gdzieś zniknął.

Schliemann nic nie jadł, dręczyły go bóle. Siedział w blasku świecy do rana przy małym czworokątnym stoliku, pisał coś i rysował, próbując w chaosie żwiru, kamieni i szczątków murów zaprowadzić porządek. Ale na próżno. Czyżby miejsce, które miało kryć w sobie Homerową Troję, było jedynie zwykłą hałdą kamieni, śmietniskiem historii? Czyżby Troja istotnie leżała dalej na południe, koło Bunarbaşi?

W ciągu następnych dni Schliemann kopał z blisko osiemdziesięcioma robotnikami. Wykop różnej szerokości, który ciągnął się już przez pół grzbietu wzgórza, miał miejscami głębokość czterech metrów. Wypełniony gruzem, obmurowany szyb studni był pierwszym przejawem cywilizacji, ale przy bliższych oględzinach murów Schliemann musiał stwierdzić, że kamienie były spojone zaprawą murarską, a więc pochodziły w najlepszym razie z czasów rzymskich. Jego przypuszczenie potwierdziło znalezienie wielu monet

z wizerunkami Minerwy i Faustynty, Marka Aureliusza i Kommodusa.

„Głębiej, głębiej, musicie kopać głębiej!” — krzyczał Schliemann, biegnąc po hałdach gruzu. Nic nie mogło ujść jego uwagi. Najchętniej sam by machał łopatą, zaczepiał haki. Ale ponieważ było to niemożliwe, więc tylko wysoki głos małego mężczyzny rozbrzmiewał na wzgórzu Hissarlik, głośno i we wszystkich językach.

Wyglądało na to, że karta się odwróciła, kiedy robotnicy zaczęli natrafiać na coraz więcej szczątków murów, już nie spojonych zaprawą murarską. Pęknięta płyta marmurowa długości 65 centymetrów i szerokości 37 centymetrów miała grecki napis, który mógł się odnosić do króla albo do Pergamosu. Pochodziła ona z III stulecia przed Chrystusem.* Tego dnia i następnego wyłoniły się dwie dalsze pęknięte greckie tabliczki z napisami, które były przypuszczalnie młodsze niż pierwsza.

Z Homerową Troją i jej bohaterami wszystko to nie miało wprawdzie nic wspólnego; ale w każdym razie były to greckie ślady na wybrzeżu Azji Mniejszej, a tym samym wskazówka, że istniały czasy, kiedy ta ziemia znajdowała się pod greckim panowaniem. Po raz pierwszy od rozpoczęcia prac Schliemann znalazł czas, aby z wierchołka Hissarliku popatrzeć w dal:

„Widok ze wzgórza Hissarlik jest wspaniały: przede mną rozpościera się równina trojańska, która po ostatnich opadach na nowo pokryła się trawą i żółtymi kaczęcami, a w odległości jednej godziny na północnym zachodzie graniczy z Hellespontem. Półwysep Gallipoli ma spiczastą formę, a na końcu znajduje się latarnia morska. Na lewo od półwyspu leży wyspa Imbros, za którą widnieją pokryte śniegiem góry Samotrake, a trochę dalej na zachód, na Półwyspie Macedońskim* znajduje się usiana klasztorami góra Atos (Monte-Santo); od jej północnej strony widać jeszcze dziś ślady owego wielkiego kanału żeglownego, który, według Herodota (VII, 22-23), kazał wykopać Kserkses, aby uniknąć niebezpiecznego objazdu cypla u podnóża góry Atos”.

Półwysep Macedoński = Piw. Chalkidyjski (przyp. red.).

Poniedziałek, 30 października 1871. Schliemann spogląda w głąb swego rowu. Żwir, nic tylko żwir, pojedyncze kamienie i otoczaki aż do głębokości czterech i pół metra. Pośród tych mas żwiru proste narzędzia z czarnego kamienia, siekiery, topory i kamienne ostrza. „Myślałem, że kamienne narzędzia pochodzą z czasów najazdów barbarzyńców, których panowanie trwało jedynie krótko. Ale się myliłem, albowiem w śróde odsłoniliśmy rozległą warstwę z okresu kamiennego i pracowaliśmy jeszcze przez cały wczorajszy dzień”.

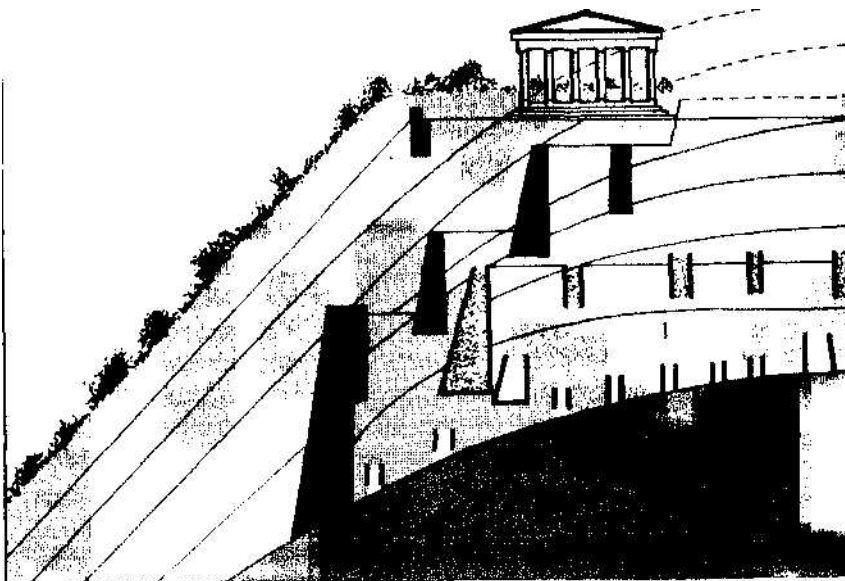
Bezradność i zwątpienie rosły. Schliemann potrząsał energicznie głową. Na wszystkich bogów Olimpu! Przecież król Priam nie żył w epoce kamiennej! Trojańczycy byli narodem o wysokiej kulturze i ogromnym poczuciu estetyki! W żadnym razie nie posługiwali się kamiennymi toporami jak dzicy ludzie sprzed dziesięciu tysięcy lat!

„Wiele całkiem niezrozumiałych dla mnie rzeczy — pisał Schliemann — znajduję w tej epoce kamiennej. Uważam zatem za konieczne przedstawić wszystko możliwie jak najdokładniej, w nadziei, że ten czy ów z moich kolegów będzie w stanie rozświetlić mi te ciemne punkty”.

Ów chaos tkwiący rzekomo w znalezisku z epoki kamiennej polegał na prostym, zbyt prostym sposobie myślenia Schliemanna. Wprawdzie jest coś niewątpliwie logicznego, ale z drugiej strony także i naiwnego, kiedy archeolog reprezentuje pogląd, iż wysoko rozwinięta kultura trojańska musiała się znajdować nad prymitywną kulturą kamienną. Ale tu, na głębokości czterech i pół metra, znajdował się on właśnie w epoce kamiennej, a Troi i jej kultury ani śladu!

Schliemann zastanawiał się, spekulował, wątpił w siebie i swój projekt i wciąż od nowa o tym rozmyślał. Pisał do konsula Calverta: „W śróde rano znów wyłoniła się epoka kamienna. I trwa od tamtej pory, wprawiając mnie z każdym dniem w coraz większą konsternację... Muszę się zwyczajnie pogodzić z tym, że na szczycie wzgórza na głębokości czterech metrów natknąłem się na epokę kamienną, podczas gdy dwadzieścia metrów dalej na głębokości pięciu metrów odkryłem mury z czasów rzymskich. W tym miejscu jednak nawet na głębokości ośmiu metrów nie odkryłem pozostałości epoki kamiennej”.

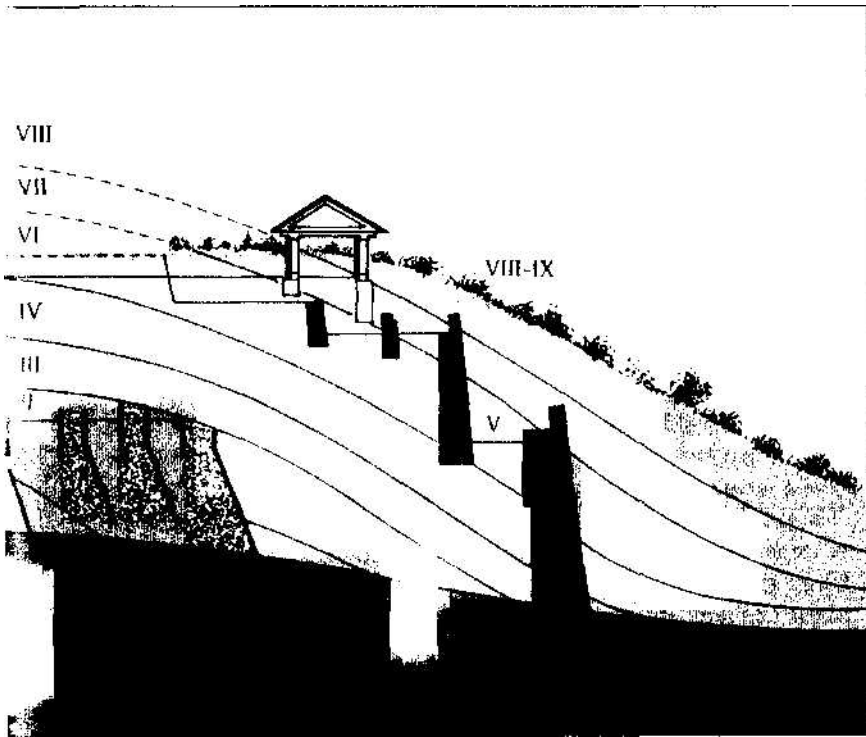
Warstwy osadnicze, Troja I - Troja IX.
Przekrój wzgórza Hissarlik
na linii północ-południe (wg W. Dórfelda)



Cztery dni później, 11 listopada 1871 roku, Schliemann pisze w liście do ambasadora Johna P. Browna: „Nie wiem już, co mam sądzić o tym wszystkim. Jestem całkiem skolowany, na głębokości siedmiu metrów znajduję ślady obecności ludzi, którzy żyli 1500 lat przed Chr., choć byłem przekonany, że natrafię na rok 3000 przed Chr. Kto wie, być może nie dotarłem jeszcze do warstwy, w której rozegrała się wojna trojańska. Ale dalej te pierwotne masy kamienia, grubości trzech metrów! Gdzież Homer zna narzędzia kamienne, wspomina tylko brąz i żelazo!”

Następnie Schliemann pisze: „Ale cały ten zamęt mnie nie zniechęca. Pobudza tylko do dalszych poszukiwań, póki nie natrafie na nietknięty grunt; niech to kosztuje, ile chce. Nawet gdybym musiał kopać na głębokości dwudziestu metrów... Widzi Pan sam, na jakie nieprzyjemności i koszty naraża się człowiek, który pragnie zgłębić prawdę”.

Henryk Schliemann, zastanawiając się, popełnił dwa istotne błędy logiczne. Wydają się one dziś, po wielu doświadczeniach i postępie, jaki poczyniła archeologia od tamtych czasów, niemal



kuriozalne. Jednakże należy pamiętać, że archeologia klasyczna w owych czasach znajdowała się jeszcze w powijakach, Schliemann zatem był pionierem w tej dziedzinie.

Schliemann wyszedł z założenia, że wzgórze Hissarlik było pokryte wieloma warstwami jednorodnych kultur i że te warstwy ułożone były regularnie jedna nad drugą. Pogląd ten był błędny: nie każda kultura wypełniała obszar Ilionu na jednakowej przestrzeni i na takiej samej wysokości. Przede wszystkim różne warstwy Troi nie były wcale ułożone jak książki na stosie. Pokrywały one wzgórze tworząc jakby spłaszczony na bokach kapelusz grzyba, zarysowały się więc wewnętrzne różnice wysokości, tak że archeolog, który chciał dotrzeć do wnętrza wzgórza, na rozmaitych wysokościach natrafiał na różne warstwy. Słuszność miał jedynie Schliemann przypuszczając, że Troja znajduje się nie w samym wnętrzu wzgórza, lecz bliżej jego powierzchni.

Sądził on, że świątynia Ateny Ilijskiej znajduje się tam, gdzie królowa Hekabe i kobiety trojańskie błagały o błogosławieństwo dla swego miasta. Gdzieś przed nią musiał stać pałac królewski

Priama. Jaka była jego wysokość i w którą stronę był zwrócony, o tym Schliemann nie miał pojęcia. Wspominane wielokrotnie przez Homera mury twierdzy, potężne dzieło Posejdona i Apolla, doprowadziły archeologa do błędnego wniosku. Wierzył on Homerowi i jego twierdzeniu, że wzgórze, zanim wzniesiono siedzibę królewską było nie zamieszkane, a następnie sądził, że mury Posejdona musiały powstać na naturalnym gruncie Troady. Dopiero później okazało się, że Homer się mylił, a wraz z nim Henryk Schliemann.

JASNA CHWILA NA GŁĘBOKOŚCI SIEDMIU METRÓW

Jasna chwila w świecie bóstw Homerowych przyszła dnia 6 listopada. Robotnicy dotarli właśnie do głębokości siedmiu metrów, kiedy rumowisko kamieni niespodziewanie się skończyło, odsłaniając całkiem inną warstwę kulturową. Serce Schliemanna zaczęło walić jak młotem. Wprawdzie nie umiał sobie tego wytłumaczyć, ale istotnie pod warstwą prostych przedmiotów z epoki kamiennej nagle ukazały się miedziane gwoździe, noże, włócznie i topory wojenne. Były one tak misterne, jak tylko mógł je wykonać wysoce cywilizowany lud. „Muszę zatem nie tylko odwołać stwierdzenie, że natrafiłem na okres epoki kamiennej, ale muszę przyznać, że dotarłem do epoki brązu, albowiem narzędzia i broń, którą znalazłem, są nadzwyczaj pięknie wykonane”.

Czyżby Hektor i Achilles oraz wszyscy bohaterowie trojańscy zawrócili Schliemannowi w głowie? A może to orzeźwiający wody Skamandra, które stanowiły dla niego od tygodni jedyne źródło wody pitnej, podziałały podobnie jak podziemna rzeka Lete, rozwiewająca wszelkie doznania? Obojętne z jakiej przyczyny, wszystko, co się działo na terenie wykopalisk, przeczyło zdrowemu rozsądkowi: albowiem — pisał — „im kopię głębiej poniżej siedmiu metrów, tym więcej znajduję śladów wyższej cywilizacji”. Odkryto nawet podwójne ostrza noży wykonane ze szkła wulkanicznego. Według oceny Schliemanna, nadawały się one dziś jeszcze do golenia.

Istotnie jakość znalezisk stawała się tym wyższa, im bardziej Schliemann zagłębiał się we wzgórze Hissarlik. Ukazały się pierwsze naczynia gliniane, jednobarwne wprawdzie i bez ozdób, ale o tak eleganckim kształcie, że archeolog się rozmarzył i określił je

jako kieliszki do szampana z uszkami. Prócz tego odkopał gliniane urny ponad metrowej wysokości*.

Dnia 19 listopada opady jesienne tak się nasiliły, że nie mogło być już mowy o regularnej pracy. Teren wykopalisk pogrążył się w błocie. Coraz więcej robotników skarżyło się na febrę i gorączkę. Na szczęście Schliemann dysponował sporym zapasem chininy. Wieść o cudownym proszku szybko się rozeszła i codzienna godzina, którą Schliemann przeznaczał dla chorych, kończyła się tym, że hodowcy bydła z okolicy przychodzili ze swymi chorymi wielbłędami, końmi i osłami.

Pogoda się nie poprawiała, Schliemann więc zdecydował się przerwać w tym roku prace wykopaliskowe. Była to trudna decyzja wobec sukcesów ostatnich dni. Dnia 22 listopada osiągnął archeolog głębokość, na której ukazały się potężne, obciosane bloki, jakie widział już uprzednio w Mykenach. Czyżby to były wymarzone fundamenty grodu trojańskiego? Schliemannowi wydawało się, że w jednym z kamiennych kolosów rozpoznaje próg portalu. Aby odsunąć kamień, 65 robotników potrzebowało 3 godzin.

Liczba znalezisk greckich i rzymskich oraz prahistorycznych była wprawdzie duża, jednak nie zadowalała ona archeologa. Spośród 1000 obiektów 950 pochodziło z czasów prahistorycznych, ale żadne znalezisko nie wskazywało na Troję Homerową. Schliemann miał nadzieję, że znajdzie jakieś świadectwa pisane, dzięki którym rozwiążą się wszelkie wątpliwości. Jednakże nie było pewności, czy w ogóle takowe świadectwa istniały. Co prawda Homer w swoich wierszach użył dwukrotnie greckiego słowa „graphein”, które w czasach klasycznych oznaczało „pisać”, ale u Homera „graphein” znaczy tyle co „wydrapywać”.

„Jednakże — pisał Schliemann — jestem przekonany, że w dawnej Troi było znane pismo literowe, i mam niepłonną nadzieję, że najbliższej wiosny za pomocą napisów i rozmaitych monumentów dowiodę, iż zacząłem odkrywać ruiny długo poszukiwanej Troi”.

Dwa dni później wyczerpany, ale szczęśliwy odkrywca wyjechał. Choć pracował w odległości jednego dnia podróży od Aten, władze greckie zażądały, aby Schliemann poddał się jedenastodniowej kwarantannie. Do tego celu służyła leżąca u wybrzeży wyspa

* Podana wysokość pozwala przypuszczać, że autor niestusznie nazywa urnami gliniane naczynia do przechowywania żywności — pitosy (gr. pithos) — w kształcie zbliżonym do beczki lub jajowate (te wkopywano w ziemię). O niezapewne chodzi. Por. s. 225 (przyp. red.).

Salamina, która już podczas wojen perskich wykorzystywana była przez Ateńczyków jako miejsce schronienia. Schliemann bez sprzeciwu poddał się wymaganej procedurze, a swemu ojcu napisał z pewną dumą z Salminy: „Nie mogłem do Ciebie pisać z Troi, ponieważ praca tam przekraczała moje siły...” Ale informował swego byłego przyjaciela — „mój sukces w Troi przyniósł mi tysiącrotnie więcej radości niż najkorzystniejszy interes, jaki kiedykolwiek w życiu zrobiłem”.

LEK PRZED KOMPROMITACJĄ

W połowie grudnia wrócił Schliemann do domu na odos Mouson. Andromacha miała już siedem miesięcy, a Zofia dzięki pomocy Nauzykai bardzo dobrze opanowała język niemiecki.

Zofia natychmiast zauważyła, że z Henrykiem coś jest nie w porządku. Był bardziej zamyślony i poważniejszy niż przedtem, zamykał się w swoim skromnie umeblowanym gabinecie, siadał na niewygodnym drewnianym krześle i patrzył przed siebie.

„Co ci jest?” — zapytała kiedyś Zofia ostrożnie.

Schliemann nie odpowiedział.

„Czy masz coś do zarzucenia swojej żonie?”

Henryk potrząsnął głową.

„To nie ma nic wspólnego z tobą, moja droga małżonko!” — Wyciągnął z kieszeni *Iliadę*, którą zawsze nosił przy sobie, i trzymał przed oczami Zofii. — „Wciąż wierzę, że to nie są bajki. Ale nigdy nie myślałem, że tak ciężko będzie znaleźć dowody”.

Zofia skinęła głową ze współczuciem. Pierwsze wrażenie po powrocie męża jej nie zmyliło. Henryk wciąż jeszcze żył heksametrami Homera. Ale przedsięwzięcie go przerastało.

„Jak mogłabym ci pomóc?”

Henryk się roześmiał, ale w jego śmiechu zabrzmiała gorycz:

„Nie możesz mi pomóc! Nikt mi nie może pomóc. Dla mnie istnieje tylko jedna możliwość, muszę iść dalej raz wytyczoną drogą, nie bacząc na niebezpieczeństwo, że skompromituję się raz na zawsze wobec całego świata”.

„Co za bzdury opowiadasz!”, Zofia wzięła męża za rękę.

„A może sam już nie wierzysz w swoją ideę?”

Schliemann wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

Do późnej nocy siadywał Schliemann w ciągu następnych dni w swoim pokoju, wykonywał szkice na podstawie własnych

rysunków i na próżno starał się *znaleźć* sens w dziwnej kolejności odkrytych przez siebie warstw. Ale im więcej szkiców sporządzał, im dłużej myślał o historii powstania Troi, tym bardziej niezrozumiałe wydawał mu się rezultat jego wykopalisk. Henryk się bał. Bał się kompromitacji, niczego poza tym. Zarozumiali mężowie nauki tylko na to czekali, że on, outsider, się zblamuje. A dla niego oznaczałoby to najwięcej porażkę życiową.

Ze wszech miar niepewny, w nadziei, że zdoła jeszcze pozyskać dla siebie znanego badacza starożytności, zwrócił się Schliemann dnia 6 stycznia 1872 do Ernsta Curtiusa:

„Zdumiewa mnie to, co znalazłem w owych kolosalnych ruinach, które odkryłem na głębokości dziesięciu metrów (albo 33 stóp angielskich) i w których po raz pierwszy od głębokości pięciu stóp ujrziałem wielką masę ociosanych kamieni. Wierzę z całą mocą, że są to ruiny Pergamosu Priama; albowiem, jeśli takowy w ogóle istniał, to mógł się znajdować tylko na owym wzgórzu, gdzie teraz kopię, i jestem święcie przekonany, że istniał. Ale bloki kamienne owych ruin są niezwyklej wielkości, tak że nie jestem w stanie dalej pracować, dopóki nie poszerzę znacznie wykopu, który ma teraz 60 metrów długości; jestem gotów poszerzyć go o 18 metrów. Ale jest to kolosalna praca i aby ją wykonać, muszę zbudować kolejkę.

Jeśli odkryję na owym wzgórzu Pergamos Priama, w co ani przez chwilę nie wątpię, będę się nim zajmował jeszcze długie lata; jeśli zaś okaże się, że popełniłem błąd, wówczas zacznę poszukiwać radości w odkopywaniu akropolu w Mykenach; a prócz tego grobu Klitajmnestry.

Bardzo Pana proszę, aby zechciał Pan przeczytać moje raporty z Troi i wyrazić swoją opinię na ten temat”.

Odpowiedź Curtiusa zawierała pięć nierównych linijek. Po tem Schliemann dowiedział się, że profesor żartował sobie z jego listu. Oczywiście, że Schliemann nie znalazł jeszcze najmniejszego dowodu na poparcie własnej teorii istnienia Troi; ale czy Curtius mógł przedstawić dowody na poparcie swojej teorii?

Schliemann był wściekły i zawiedziony. Szukał dalej pomocy w świecie naukowców i profesorów, u monachijskiego archeologa Heinricha von Brunnna, u religioznawcy Ernesta Renana, którego darzył przyjaźnią, oraz u Emila Burnoufa z Ecole Francaise d'Athenes. Ale nikt się nie odważył przyznać bez zastrzeżeń racji outsiderowi. Schliemann był skazany albo na całkowity blamaż, albo na samotne rozkoszowanie się sławą odkrywcy.

Podczas wilgotnej, chłodnej zimy w Atenach, którą spędzał głównie na studiowaniu dzieł naukowych, Schliemann nie mógł się doczekać wiosny w Troadzie i wymarzonej chwili, kiedy znów podejmie prace wykopaliskowe.

„Ku mojemu ubolewaniu — pisał w połowie lutego do Jamesa Calverta — muszę Pana poinformować, że Mr. Curtius trwa przy swojej hipotezie, iż antyczna Troja leżała w Bunarbaşi... Mierzi mnie jego *veni, vidi, vici*". Schliemann nawiązał tu do krótkiej wizyty profesora w Troi i zażartował sobie teraz z szalonego naukowca, „co to w ciągu godziny potrafi odkryć więcej niż najbardziej zdolni ludzie, którzy całe życie spędzili na płaskowyżu Troi”.

78545 METRÓW SZEŚCIENNYCH TROI

Z największą precyzją przygotował Schliemann swoją drugą kampanię wykopaliskową. Wiedział teraz, co go czeka, planował więc i kalkulował kontynuację przedsięwzięcia w stylu wielkiego kupca: Od 1 kwietnia 1872 do pracy przy kopaniu miało stanąć stu robotników. Od Johna Lathama, dyrektora kolei Pireus-Ateny, dostał Schliemann dwóch najlepszych nadzorców, Theodorusa Markrysa z Mityleny i Spiridiona Demetriosa z Aten. Płacił każdemu 150 franków miesięcznie. Jako kasjer, księgowy, sługa i kucharz zgłosił się na służbę, tak jak w ubiegłym sezonie, Nikolaos Zaphyros z wioski tureckiej Renkoi. Zaphyros otrzymywał, podobnie jak ubiegłego roku, 30 piastrow, czyli 6 franków dziennie.

„Prócz tego — pisał Schliemann w swoim pierwszym raporcie w nowym sezonie — pan Piat, który przejął kierownictwo budowy kolei z Pireusu do Lamii, był tak dobry i odstąpił mi swego inżyniera Adolphe'a Laurenta na miesiąc, za 500 franków i zwrot kosztów podróży. Poza tym jest jeszcze wiele innych wydatków związanych z wykopaliskami, tak że ogólne koszty oceniam na co najmniej 300 franków dziennie”.

Koszty były tak wysokie, że Schliemann niezłomnie postanowił, iż „w tym roku musi ostatecznie rozwiązać problem Troi”. Sukces miało mu zapewnić zrobienie wykopu długości 70 metrów i 14 metrów głębokości, o różnej szerokości, przez całe wzgórze w kierunku północ-południe. Inżynier budowlany Adolphe Laurent oceniał masę wydobytego gruzu na 78 545 metrów sześciennych. Schliemann miał nadzieję, że na głębokości 14 metrów na skalistym dnie rowu odkryje Troję.

Od razu pierwszego dnia bogowie zesłali mu ostrzegawcze znaki: ze stosu zwiru na Hissarliku wypęzły niezliczone jadowite węże. Wprawiły one robotników w panikę. Wśród rozmaitych gatunków węży był także ów mały brązowy antelion, którego ukąszenie, jak powiadano, człowiek mógł przeżyć tylko do wieczora.

Po trzech tygodniach robotnicy dotarli na głębokość piętnastu metrów w głąb góry, nie napotkawszy pradawnych kamieni. Według obliczeń Laurenta odpowiadało to akurat ilości 8500 metrów sześciennych. Siedem dni, skarżył się Schliemann, zostały zmarnowane z powodu deszczu, świąt i buntu. W wypadku buntu chodziło o ostry strajk. Ze strajkiem Schliemann poradził sobie w ten sposób, że zwerbował w sąsiednich wioskach nowych robotników i zwolnił protestujących. Jednocześnie zwiększył czas pracy o jedną godzinę. Od tego czasu kopano od piątej rano do szóstej wieczorem.

Po zachodniej stronie wzgórza, na najwyżej położonym miejscu kazał Schliemann zbudować drewniany dom. Dom miał trzy pokoje służące do odpoczynku, pracy i spania i był pokryty pilśnią nie przepuszczającą wody. W prawym rogu urządzono magazyn do przechowywania narzędzi, żywności i znalezisk. Służył on również jako kuchnia — robotnicy otrzymywali posiłek codziennie o godzinie wpół do drugiej.

Tymczasem wykop we wzgórzu Hissarlik osiągnął niebezpieczną głębokość. Często natykano się na bryły ziemi i kamieni. Pewnego dnia na terenie wykopalisk zjawiał się nieznamy Grek. Nazywa się Georgios Photidas, wyjaśnił, pochodzi z Paxos, ale ostatnie siedem lat spędził w Australii jako budowniczy kopalni, tuneli i studni. Sprowadziła go tu tęsknota za krajem. Wskutek lekomyślności i przez patriotyzm poślubił piętnastoletnią Greczynkę. Teraz pilnie szuka pracy.

Schliemann z miejsca zaangażował Photidasa. Jego główne zadanie polegało na zabezpieczeniu prac wykopaliskowych. A ponieważ Grek miał ładny charakter pisma, pełnił dodatkowo funkcję kopisty. Photidas przepisywał starannie raporty Schliemanna i artykuły, które następnie były wysyłane do gazet i towarzystw naukowych.

Mimo licznych znalezisk archeologicznych pierwsze tygodnie nie przybliżyły Schliemanna ani o krok do jego zasadniczego celu. Coraz częściej robotnicy natrafiali na bloki z wapienia muszlowego. Leżały one jedne na drugich tak blisko, że wyglądały jak resztki murów budynków, które runęły wskutek potężnej katastrofy.

Niekiedy wśród nich pojawiały się srebrne szpile do włosów, wiele rozbitych naczyń należących do zastawy grobowej i naczyń, w których przechowywano płyny, miedziane gwoździe, wiele ostrzy noży, ciężką włócznię i rozmaite drobne przedmioty z kości słoniowej. Wielokrotnie Schliemann odkrywał na marmurowych blokach przedstawienia sowych głów — sowych głów o ludzkich rysach.

W sprawozdaniu Schliemann pisał: „Uderzające podobieństwo tych sowych głów z głowami sów na wielu wazach i rodzaj hełmów przykrywających sowie głowy przekonuje mnie niezbitie, że wszystkie wizerunki i wszystkie głowy sowie w hełmach wyobrażają tę samą boginię...: Narzuca się teraz ważne pytanie, która to bogini tak powszechnie, ale zarazem samotnie występuje na naczyniach do picia i innych wazach. Odpowiedź jest następująca: musi to być niewątpliwie bogini opiekunka Troi, musi to być Ilijska Minerva (Atena), a to by się zgadzało z przekazem Homera, który wciąż mówi o bogini Atenie o sowim obliczu”.

Wraz ze 120 robotnikami, z których każdy wydobywał dziennie cztery metry sześcienne żwiru i ziemi, Schliemann posunął się znacznie naprzód. „Ale — zanotował dnia 25 kwietnia 1872 roku — jutro zaczyna się grecka Wielkanoc, która niestety trwa sześć dni, i wówczas nie będzie się pracowało”.

HOMER JAKO ŚWIADEK

Przy sprzyjającej temperaturze około 20 stopni Celsjusza Schliemann kontynuował od 1 maja prace wykopaliskowe. Na jego wezwanie gotowych było do pracy 85 robotników, 45 następnych pozostawało do dyspozycji Georgiosa Photidasa. Podczas gdy on sam prowadził dalej wykop od północy, Photidas próbował iść mu naprzeciw od południa, robiąc drugi wykop.

Robotnicy, którzy odtąd kopali za dziesięć piastrow (dwa franki), nie widzieli w tym niczego dziwnego, kiedy Schliemann stając nad kruchą krawędzią wykopu, wpatrywał się w cuchnącą stęchłą głąbię i mamrotał do siebie wiersze, których nikt nie rozumiał. Dobrze płacił, wobec czego mógł sobie nawet śpiewać arie operowe.

Schliemann znał *Iliadę* niemal na pamięć. Teraz porównywał wszystko, co ujrzały jego oczy, z wierszami wielkiego poety Homera. O ile wcześniej w Bunarbasj stwierdzał niekonsekwencje w opisach Homera, o tyle teraz na Hissarliku natrafiał na coraz

więcej zgodności pomiędzy tekstem i rzeczywistością trojańską. „Jestem mocno przekonany — zapisał 11 maja w dzienniku robotniczym — że spojrzawszy na moje wykopaliska każdy spośród pozostałych jeszcze obrońców przestarzałej teorii, według której Troi należy szukać na płaskowyżu Bunarbaşi, natychmiast ją odrzuci; albowiem tamtejszy akropol i miasto, które charakteryzuje się ruinami murów obronnych, ma zaledwie tyle miejsca, aby mogło się osiedlić 2000 osób; również nagromadzenie żwiru tylko pozornie jest nieznaczne; widać nawet w wielu miejscach, w środku akropolu, gołą skalę. Między tym niedużym miastem i Bunarbasj nierówny grunt skalny wskazuje, że nigdy nie mogłaby tam stanąć wieś, nie mówiąc już o mieście [...] Dolna warstwa Hissarliku nie sięga wprawdzie nawet dwadziestu metrów ponad sam płaskowyż, ale szczególnie część leżąca u podnóża wzgórza w ciągu ponad 31 stuleci wyraźnie się podniosła. Nawet gdyby tak nie było, to i tak zbudowana na tym wzgórzu Troja przez swoje imponujące wysokie położenie zasługuje na Homerowe określenia „zbudowana na występie skalnym”, „położona wysoko” i „wystawiona na działanie wiatru”, a szczególnie na to ostatnie; dla mnie bowiem największą dokuczliwością tu jest niustanny wiatr, a za czasów Homera również nie mogło być inaczej”.

Następnego dnia — Schliemann sprawdzał właśnie przebieg prac na południowej stronie — jeden z robotników zbiegł na dół: „Doktorze! Doktorze!” — wołał z daleka — „Nieszczęście, wielkie nieszczęście!”

Schliemann dał znak Photidasowi, żeby mu towarzyszył. Pośpieszyli przez wzgórze w kierunku, skąd dochodziły krzyki. Kiedy byli już blisko, Schliemann zobaczył, co się stało: jakiś mur z potężnych kamieni ciosowych wskutek jednostronnego nacisku, od środka wzgórza, zaczął się chwiać i runął. Potężne kamienne bloki poruszyły tony żwiru i pociągnęły za sobą sześciu robotników — na szczęście dla owych mężczyzn; albowiem dzięki temu zostali oni ściągnięci z toru spadania ciężkiego kamienia, który by ich wszystkich przygniótł. Schliemann napisał w dzienniku: „Jeszcze dziś z przerażeniem myślę, jaki byłby los odkrycia Troi i mój, gdyby owych sześciu mężczyzn zostało zmiądzonych przez spadający mur. Żadne pieniądze i żadne obietnice nie zdołałyby mnie wówczas uratować...”

W głębszych warstwach Hissarliku robotnicy natrafili na liczne pitosy o przekroju jednego metra i wysokości dwóch metrów, w których przechowywano zapasy. Piwnice były w owych czasach

nieznane; dlatego wszystkie produkty żywnościowe nadające się na zapasy musiały być przechowywane w takich właśnie naczyniach z wypalanej gliny. Spryskiwane wodą naczynia wytwarzały wskutek parowania niską temperaturę. W ten sposób produkty żywnościowe również latem mogły być przechowywane w chłodzie. Schliemann wysłał siedem takich naczyń do muzeum w Konstantynopolu, trzy zatrzymał na miejscu znalezienia.

Mimo iż nie minął ani jeden dzień, w którym gruz tysiąceci nie dostarczyłby cennego znaleziska (robotnicy otrzymywali premię w wysokości 10 paras za każde odkrycie), Henryk Schliemann był niezadowolony. Koszty kopania osiągnęły tymczasem 400 franków dziennie. „Są one — skarżył się Schliemann — zbyt duże jak na prywatne przedsięwzięcie”. Wprawdzie znalazł tymczasem „stokrotnie więcej” niż ubiegłego roku, ale dotychczas nie natrafił na żaden napis, który by świadczył, że to miejsce jego poszukiwań kryje także Troję Homera. Tylko wzory geometryczne ozdabiały liczne dzbany, misy i inne ułamki naczyń. Najczęściej powtarzała się swastyka, aryjsko-indyjski symbol szczęścia. Czyżby Trojańscy istocie nie znali jeszcze pisma?

Dwa miesiące po ponownym przyjęciu robotników do pracy, Schliemann zwrócił uwagę na czworokątne obniżenie się podłoża długości 34 metrów i szerokości 23 metrów, które mogło powstać tylko wskutek prac wykopaliskowych. Już bowiem przed setkami lat tureccy poszukiwacze marmuru wykonali tu całą robotę. Tylko z rzadka odsłaniały się pojedyncze marmurowe bloki. Większość została rozproszona po całej Troadzie jako materiał do budowy domów i cmentarzy.

BÓG SŁOŃCA HELIOS ZADAJE ZAGADKĘ

Dnia 13 czerwca najbardziej, jak dotychczas, podniecające znalezisko: blok z paryjskiego marmuru, 2 metry długości i 86 centymetrów wysokości, pośrodku z wizerunkiem Heliosa z głową obramowaną promieniami słońca i z czterema nieśmiertelnymi, przemierzającymi kosmos rumakami. Dwa pola z trzema nacięciami po obu stronach reliefu na górze wskazują, co to za znalezisko. Fachowcy nazywają ornament z trzema nacięciami tryglifem, a znajdującą się między nimi powierzchnię, często ozdobioną reliefami, metopą. Tryglify i metopy to typowe elementy architektoniczne na

fryzach świątyni doryckich. Wizerunek boga słońca był dla Schliemanna równie niezrozumiały jak wiele innych rzeczy, które odsłoniły się podczas kopania; Homer bowiem nie wspomina ani słowem o świątyni trojańskiego Heliosa. Z Homerową Troją ta marmurowa płyta nie ma z pewnością nic wspólnego. Cechy stylistyczne wskazują raczej na związki z kulturą helleńską.

W każdym razie uznano to za dowód, że w tym miejscu musiała stać kiedyś świątynia. Uwzględniając skomplikowane parantele wśród bogów w greckiej mitologii — każdy był spokrewniony z każdym — można było założyć, że ów wizerunek pochodził ze świątyni Ilijskiej Minerwy [Ateny], a fundamenty owej świątyni Schliemann, jak sądził, właśnie odnalazł. W swoim dzienniku zanotował pod datą 18 czerwca: „Fakt, że odkryłem dzieło sztuki na stromym stoku góry, podczas gdy powinno się ono znajdować po przeciwnej stronie, nad wejściem do świątyni, można wytłumaczyć tylko w ten sposób, że Turcy, którzy szukali kamieni grobowych, pogardzili tą płaskorzeźbą, ponieważ ukazywała żywe istoty, których przedstawiania Koran surowo zabrania”.

Tak zwana metopa Heliosa — dziś ozdoba berlińskiego Muzeum Pergamońskiego — poróżniła Schliemanna i jego starego przyjaciela Franka Calverta. Archeolog koniecznie chciał umieścić fragment marmurowego fryzu w ogrodzie swego ateńskiego domu. Ponieważ jednak znaleziska dokonano na gruncie Calverta, rościł on sobie prawo do połowy wartości metopy. Po obejrzeniu dzieła sztuki Calvert wycenił je na 500 funtów brytyjskich. Schliemann przysięgał „na wszystkie świętości”, że ów fragment nie jest wart nawet 50 funtów, ofiarował się jednak „wspaniałomyślnie” wypłacić żadaną kwotę tytułem odszkodowania, odliczając jeden funt na koszty transportu do najbliższego portu. I tak się stało.

W kosztorysie zaś sporządzonym dla paryskiego Luwru wycenił Schliemann wartość metopy Heliosa na 4000 funtów brytyjskich. Kiedy Calvert się o tym dowiedział, nazwał Schliemanna oszustem.

Lipiec zbliżał się do końca i gorące wiatry — nie było dnia, w którym termometr nie przekraczały 30 stopni — zabarwiły Troadę na żółto i brązowo. Okres suszy utworzył siatkę pęknięć na wypalanej ziemi. Ludzie pracujący przy wykopaliskach na wzgórzu Hissarlik okręcali sobie twarze wilgotnymi szmatami w celu ochrony przed tumanami kurzu, które unosiły się w górę podczas pracy.

Schliemanna znów był w minorowym nastroju; czuł się wyjąłowany i u kresu sił. W dodatku z dnia na dzień zaczęły rosnać koszty. Aby odciągnąć robotników od żniw, Schliemann płacił teraz dwanaście piastów dniówki, o jedną trzecią więcej niż na początku pracy. Poza tym kopał teraz przy pomocy 150 mężczyzn.

„Za dwanaście dni — pisał Schliemann do profesora Ernsta Curtiusa, od którego wciąż spodziewał się wsparcia — za dwanaście dni zakończę przekopywanie całego wzgórza, po czym zostawię odsłonięte mury aż do 1 marca, ponieważ jestem bardzo zmęczony; nieprzerwany straszliwy wiatr napędza nam do oczu drobny kurz i oślepia nas; prócz tego mamy tu teraz trującą trojańską gorączkę, na którą zapada dziennie gromada moich robotników; dotychczas leczyłem wszystkich chininą. Moje koszty wynosiły dawniej 300 franków, a teraz doszły do 400 dziennie; ale to wszystko nic, bo odkrywam nowy świat...”

Wielkie słowa miały zamaskować jego głęboką rozpacz. Wciąż jeszcze bowiem Schliemann nie znalazł najmniejszego dowodu, który by potwierdził jego teorię istnienia Troi. Były skromne poszlaki, ale żadnego dowodu. Na temat Troi Schliemann miał własne wyobrażenia: pięknie spojone, potężne mury, szlachetnie uformowane świątynie i wysoko sklepione pałace. Wszystko to powinno informować o bajecznym bogactwie królów i ich szczęśliwego ludu. Czyżby Homer tylko sobie wymarzył to oślepiające bogactwo, te wspaniałe skarby, błysk szlachetnej broni i lśniące ozdoby pięknie u fryzowanych kobiet? Czy to wszystko było jedynie wynikiem jego fantazji? Gdzie bowiem były owe mocno spojone mury, gdzie były owe bajeczne skarby?

HOMEROWE MURY

Po długich tygodniach nieśmiertelni bogowie wysłuchali wreszcie skarg archeologa: na głębokości dziesięciu i pół metra ukazał się mur grubości dwóch metrów i wysokości trzech metrów. Dalsze leżące wokół kamienie naprowadziły Schliemanna na myśl, że mur musiał być pierwotnie znacznie wyższy. Rodzaj położenia warstw bez użycia zaprawy wskazywał, że powstał on w czasach prahistorycznych. Czyżby to był fundament trojańskiej świątyni? A może kamienie należały do murów okalających wzniesionych przez Posejdona i Apolla?

Homerowe mury

Podczas gdy Schliemann żywił nadzieję i rozmyślał nad pochodzeniem tych murów, Photidas doniósł mu o następnym odkryciu na południowym odcinku wykopu: odsłonięto tam mianowicie fundamenty wieży o kwadratowej podstawie dwanaście na dwanaście metrów. Schliemann wywnioskował, że chodziło tu o wieżę potężnej grubości murów. Kiedy robotnicy zaczęli kopać głębiej, okazało się, że wieża była zbudowana na skale.

Schliemann, który wciąż jeszcze wierzył, że Homerowa Troja jest najstarszą — a tym samym najgłębiej położoną — warstwą osadniczą, był teraz pewien, że natrafił na budowlę z czasów Hektora i Achillesa. W myśli recytował *Iliadę* Homera: literackie poszukiwanie śladów Homerowej Troi. W trzeciej księdze zostało ono uwieńczone pozytywnym wynikiem. Przypomniawszy sobie wersy, w których piękna Helena w towarzystwie służebnic przychodzi do Bramy Skajskiej, na wierzchołku której Priam z towarzyszącymi prowadzi rozmowę (III, 145-157).

Mimo zażywania chininy wśród robotników szalała malaria. Ale w tej sytuacji przerwanie prac wydawało się Schliemannowi nie do pomyślenia. „Gorączka trojańska”, jak nazywał on malarię, ogarnęła niemal całą załogę. Henryk nie miał już odwagi wyjść na słońce. Głowa zdawała mu pękać z bólu. Nocą, kiedy w prażącym upale leżał na żelaznym łóżku, wstrząsały nim ataki gorączki. A od strony płaskowyżu dochodziło do niego kumkanie i rechotanie żab. Jak kiedyś rozbitek Odyseusz, zatkał sobie uszy. Głuchota może być dobroczynna.

Nawet kiedy wszyscy trzej nadzorcy i sługa Nikolaos zostali zaatakowani przez malarię, Schliemann nie zaprzestał prac. Robotnicy leżeli rzędami pokotem. Schliemann kazał zatrudnić nowych. Bogowie olimpijscy dali znak, że teraz właśnie należało iść tym tropem. W owych dniach naznaczonych chorobą i szaleńczą pracą Nikolaos Zaphyros był dla swego pana wielką podporą. Choć jego samego dręczyły napady malarii, dostarczał pisemne rozkazy Schliemannowi, a nawet udał mu się wyczyn wprost niewiarygodny: wyczarował statek grecki, „Taxiarches”, kazał go zakotwiczyć w zatoce Karanli i potajemnie przetransportował metopę Heliosa za pomocą wolego zaprzęgu na brzeg. Dwa dni później „Taxiarches” dotarł z cennym ładunkiem do portu w Pireusie.

Henryk Schliemann pracował ponad siły. Nie chciał się przyznać do tego, że nie jest już młodzieńcem, ma pięćdziesiąt lat, jest wypalony i wyczerpany. Po raz pierwszy w życiu musiał stwierdzić, że się przeliczył z siłami. „Moje dni są policzone — tymi słowami

zwrócił się w depresji do profesora Curtiusa — a tak bardzo chciałbym jeszcze przed śmiercią odkopać świątynię wyroczni delfickiej, akropol w Mykenach i grób Klitajmnestry oraz dokonać na Delos wielkich odkryć". I skromnie dodał: „Ale jeśli nikt nie zainteresuje się Troją, będę zmuszony wznowić tam moje prace wykopaliskowe dnia 1 marca 1873..."

SCHLIEMANN ZNAJDUJE SIĘ U KRESU SIŁ

Schliemannowi najbardziej odpowiadałoby, gdyby jakiś obcy rząd albo instytut międzynarodowy przejął prace wykopaliskowe. Po pierwsze ze względu na ogromne koszty, które przynosił każdy dzień kopania, po drugie mogliby wówczas przystąpić do pracy fachowcy, archeolodzy i filolodzy klasyczni. On sam już nie czuł się na siłach wlec to wszystko dalej.

Curtius był pierwszym, do którego Schliemann zwrócił się z tą propozycją. W wypadku przejęcia prac, oferował on rządowi niemieckiemu zbudowane przez siebie domy, wszystkie środki transportu, narzędzia i maszyny. „Odsłonięcie boskich murów Troi jest teraz proste, ponieważ niewątpliwie musi ono pozostawać w związku z odkrytą przeze mnie «wielką wieżą Troi»".

Aby rozwiązać w Berlinie ewentualne wątpliwości finansowe, Schliemann napisał: „Na Boga, koszty związane z wykopaliskami zwrócą się z nawiązką dzięki prahistorycznym przedmiotom, które zostaną odnalezione, nie mówiąc już o wielkim znaczeniu, jakie będzie miało dla nauki wydobyć na światło dzienne murów prawdziwej Troi". Schliemann świadomie nie wspomina przy tych propozycjach ani słowem o układach z rządem tureckim, według których archeolog miał ponosić całkowite koszty związane z wykopaliskami, natomiast przypadają mu w udziale tylko 50 procent znalezisk. Ach, co tam...

Ach, co tam, archeolog i tak zamierzał najlepsze znaleziska potajemnie usunąć z pola widzenia. Tak stało się z metopą Heliosa. Kiedy Schliemann w połowie sierpnia śmiertelnie chory wrócił do Aten, zastał cenny blok marmurowy w swoim ogrodzie, przez wszystkich podziwiany.

Zofia nie podzielała zachwyty nad odkryciem swego męża, miała inne zmartwienia. Odniosła wrażenie, że Henryk postarzał się o wiele lat. Policzki miał zapadnięte, oczy wyglądały jak

martwe, ledwie mógł się utrzymać na nogach i połykał garściami chininę.

„I po co to wszystko?” — zapytała Zofia zrezygnowana.

„Po co?” — odparł Henryk wzburzony — „pytasz mnie, po co chcę odkopać Troję? Bo mam nadzieję, że cywilizowany świat jako zapłatę za moje niedostatki, udręki i cierpienia na tym odludziu, a przede wszystkim za moje odkrycia przyzna mi prawo do nadania imienia temu świętemu miejscu”.

„Chcesz nazwać je swoim imieniem?”

„Moim imieniem?” — Henryk się roześmiał. — „Nie, nie moim imieniem! Przywrócę wzgórz Hissarlik dawną nazwę Homera, ochrzczę je imionami Troja i Ilion, a zamek nazwę Pergamonem Trojańskim, i nikomu nie będzie wolno używać innej nazwy”.

Złożony chorobą, pisał Schliemann raporty dla londyńskiego „Timesa” i „Augsburger Allgemeine”, i najwidoczniej wracał do zdrowia. Już po tygodniu był znów na nogach. Snuł nowe plany. Z Troją sprawa była zakończona. Troja została odkryta. Co teraz nastąpi, powiedział sobie Schliemann, to już tylko sprawa badaczy starożytności.

Swoje zainteresowania przeniósł teraz na Delfy, Delos i Mykeny. W nadziei, że otrzyma licencję na kopanie w tych historycznych miastach, rozbudził u władz greckich nadzieję na posąg Heliosa, swoje trojańskie wykopaliska i 200 tysięcy franków. „Jeśli jednak tutejsze władze odmówią mi zezwolenia — pisał Schliemann w liście — nie będą się liczył z Grecją, nic jej nie zapiszę, sprzedam rzeźbę i udam się z moimi wykopaliskami do Turcji”.

Władze młodego państwa greckiego były jednak mniej skorpumpowane niż władze tureckie. Grecy okazali dumę narodową, Schliemann był dla nich tylko bogatym Amerykaninem, który poślubił młodą Greczynkę. W każdym razie władze nie zareagowały, ku zdenerwowaniu Schliemanna, który znów zwrócił się ku Troi.

W towarzystwie greckiego mierniczego Sisilasa i fotografa o nazwisku Siebrecht dnia 10 września 1872 Henryk znów wyjechał do Troi. Chciał podjąć próbę odtworzenia planu grodu w Troi i jego murów na podstawie odsłoniętych resztek ruin. Poza tym musiał zabezpieczyć przed zimą domy na szczycie wzgórze i wykopaliska, czego nie uczynił wcześniej, wyjeżdżając w pośpiechu w sierpniu. W dzienniku Schliemann napisał: „Z przerażeniem ujrzałem po przybyciu, że pozostawiony przeze mnie strażnik okazał się nieuczciwy i bardzo wiele kamieni pochodzących z moich wykopalisk zniknęło. Uzupełniłem nimi w różnych miejscach mury,

nie chcąc dopuścić, aby podczas zimowych opadów deszczu wypłukiwał się żwir. Strażnik tłumaczył się w ten sposób, że kamienie zostały przeznaczone na szlachetny cel, mianowicie na budowę dzwonnicy w wiosce chrześcijańskiej Yenişehir i na budowę domów w wiosce tureckiej Ciblak. Wypędziłem go i nająłem na jego miejsce strażnika wyposażonego we flintę, który miał być mi wierny, a wskutek swej silnej postury miał budzić respekt wśród złodziei kamieni. Najbardziej gniewało mnie to, że ci ostatni odważyli się nawet na zabranie dwóch wielkich kamieni z odsłoniętego przeze mnie na południowym stoku wspaniałego wału ochronnego z czasów Lizymacha; niewątpliwie zniknąłby cały wał, gdybym zwlekał z przyjazdem tu jeszcze jeden tydzień".

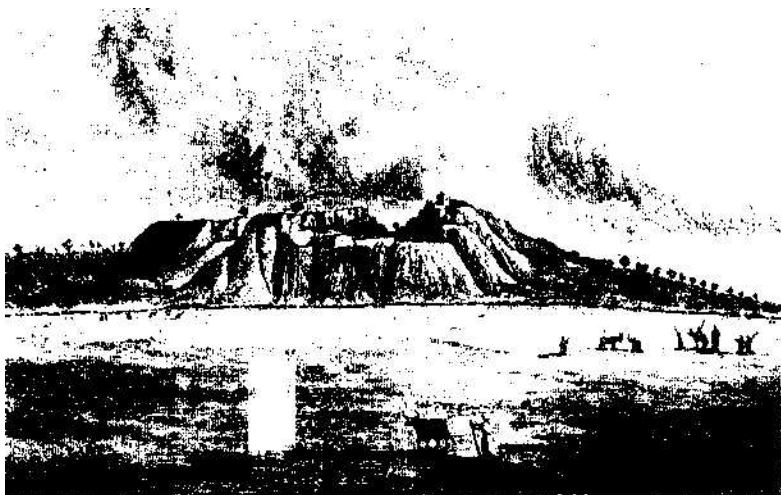
Tym ważniejsze okazały się dla archeologa wykonane przez Sililasa dokładne rysunki wszystkich odsłoniętych dotychczas resztek murów. Siebrecht robił zdjęcia, a Schliemann porównywał każdy kawałek muru z opisem u Homera. Jego wiara w Homera znacznie jednak ucierpiała wskutek katorżniczej pracy ubiegłego lata.

Ten, kto czytał *Iliadę* wczuwając się w jej treść, musiał wyobrazić sobie Troję jako ogromne miasto z niebosięźnymi domami i wspaniałymi urządzeniami. A przecież to, co Schliemann wy dobył dotychczas na światło dzienne dzięki swoim wykopaliskom, wydawało się żłudne, niemal żalosne, wcale nie pasujące do poetyckich opisów Homera. Schliemann nie mógł również pojąć, że kwitnąca kultura Troi nie pozostawiła pisma. „Jeśli w Troi istniało pismo — stwierdził Schliemann przy końcu roku — to prawdopodobnie odnajdę je w ruinach obu świątyń. Ale w tym względzie nie jestem już takim entuzjastą, ponieważ dotychczas w wielkich pokładach ruin z czterech warstw osadniczych, które poprzedzały greckie miasto, nie znalazłem śladu pisma".

TRZECIE PODEJŚCIE

Raczej ze złości na opieszałość władz greckich niż z przekonania, że dokona jeszcze w Troi odkrycia swego życia, na początku roku 1873 podjął Schliemann na nowo prace wykopaliskowe. Dnia 31 stycznia, jak zapisał w dzienniku, wyruszył do Troi w towarzystwie żony.

Ale była to znów świadoma mistyfikacja. Zofia bowiem pozostała w domu w Atenach. U boku Schliemanna znajdował się tylko nadzorca Georgios Photidas, Albańczyk z wyspy Salamina, który



Wzgórze trojańskie po trzech latach prac wykopaliskowych na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Widać wyraźnie ogromny wykop głębokości 14 m i długości 70 m, który Schliemann poprowadził w kierunku północ-południe przez cały teren.

miał pracować jako nadzorca, ale z powodu opieszałości został odesłany do domu; następnie rysownik zatrudniony do szkicowania wszelkich znalezisk; wreszcie Georgios Barba Tsirogiannis, kapitan statku z wyspy Eubea, którego ton, jakim wydawał rozkazy, tak zachwycił Schliemanna. Dobry nadzorca, zwykł był mawiać Schliemann, jest bardziej użyteczny niż dziesięciu zwykłych robotników. Zresztą ten dar wydawania właściwych komend był cechą tylko marynarzy.

W wioskach dookoła opowiadano, jakie wymagania stawia ten opętany Homerem Amerykanin; że krzyczy jak poganiacz niewolników, nie zezwala robotnikom nawet na przerwę na papierosa i nie płaci za czas choroby. Za to rozdaje biały proszek. Tego roku pewien kupiec ze Smyrny podkupił mu 150 robotników. Płacił 12 do 23 piastrow dziówki za poszukiwanie korzeni lukrecji.

Schliemann zwerbował właśnie w wioskach Kalifatli, Yenişehir i Neo-Chori 120 robotników (za dziówkę w wysokości 9 piastrow), kiedy od północy nadszedł sztorm. Termometr spadł poniżej zera. Nawet woda do mycia w mieszkaniu zamieniła się w bryłki lodu. Nie było co myśleć o dalszej pracy. Schliemann stwierdził z goryczą: „Tego wieczoru, aby się rozgrzać, nie mieliśmy nic prócz naszego entuzjazmu do wielkiego dzieła — odkrycia Troi”.

Przez krótki czas Schliemann zastanawiał się, czy by nie zwolnić robotników, nie wrócić do Aten i tam poczekać na wiosnę. Ale zaraz odrzucił tę myśl; wiedział, że nie wytrzyma nawet tygodnia bezczynności. A więc pozostał i omawiał z nadzorcą przebieg dalszych prac wykopaliskowych.

Poniedziałek, 24 lutego 1873. Nad Troadą wieje chłodny wiatr. Schliemann polecił 158 robotnikom, aby aż do fundamentów odkopali od strony północno-wschodniej wielkie mury z białych nieciosanych kamieni, które w ubiegłym roku zostały odkryte. Początkowo jeszcze wierzył, że mogą to być resztki murów oporowych, które należały do dawnego ufortyfikowania miasta; ale niewielki napis grecki naprowadził go na całkiem inny trop. Napis brzmiał: „to hieron” — miejsce święte. Miejsce święte! Schliemann zaczął się zastanawiać. Mogło tu chodzić tylko o świątynię Ateny!

Mury, które w ciągu następnych dni zostały odsłonięte, miały długość 87,7 metra. Była to dłuższa, północna ściana świątyni, która, jak wskazywały rozmaite warstwy kamieni, została wzniesiona na starszej świątyni, a ta z kolei na jeszcze starszym sanktuarium. Sądząc po rozległości, świątynia była największą budowlą w Troi. Schliemann pisał w dzienniku: „Od początku szukałem tego ważnego świętego miejsca i aby je znaleźć, przerzuciłem ponad 100 tysięcy metrów sześciennych gruzu z najpiękniejszych miejsc Pergamosu, a teraz odkrywam je w miejscu, w którym się tego najmniej spodziewałem. Szukałem tej wzniesionej prawdopodobnie przez Lizymacha nowej świątyni, ponieważ wierzyłem i wierzę, że głęboko znajduję ruiny pradawnej świątyni Minerwy, a w niej więcej niż gdziekolwiek indziej informacji na temat Troi”.

Minerwa jest rzymskim odpowiednikiem greckiej bogini Ateny, córki boga Zeusa, bogini mądrości, życzliwej opiekunki bohaterów greckich. Jej atrybutem była sowa, i liczne sowy wykonane z terakoty, znajdowane podczas wykopalisk, wskazywały Schliemannowi drogę. Tu, u stóp murów zewnętrznych świątyni, odsłonięto stosy glinianych fragmentów z przedstawieniami sów.

Dnia 15 marca 1873: „Noce są zimne, a nad ranem termometr spada do około zera, w dzień natomiast słońce zaczyna już mocno przygrzewać, a termometr wskazuje często w południe 18 stopni w cieniu w skali Reaumura. Pąki na drzewach zaczynają pękać, a płaskowyż Troi jest już pokryty wiosennymi kwiatami. Już od 14 dni słychać kumkanie milionów żab, a od 8 dni powróciły bociany. Do najbardziej dokuczliwych zjawisk na tym odludziu należy niesamowity wrzask niezliczonych sów, które gniezdzą się

w dziurach moich wykopalisk. Ten wrzask ma w sobie coś tajemniczego i strasznego i jest nie do zniesienia szczególnie w nocy".

Schliemann w gorączce wykopalisk. To tu, to tam zagłębia swoją łopatę, każe kopać nawet poza wzgórzem. Z *Iliadą* w rękę niemal każdego dnia wpada na nowy pomysł. Wraca na przykład na zachodnią stronę odsłoniętej ubiegłego roku wieży i wykopuje tam duży kwadratowy szyb (14 metrów). „Widok tej wieży — pisze — jest wart podróży dookoła świata; kiedyś była ona położona tak wysoko, że panowała nie tylko nad płaskowyżem, ale także nad położonym u jej stóp na południu płaskowyżem, podczas gdy teraz sam jej szczyt znajduje się głęboko poniżej jego poziomu".

Już na głębokości dwóch metrów odkryto ruiny wielkiej budowli z czasów greckich. Musiała ona należeć niewątpliwie do bogatego człowieka, myślał sobie Schliemann, albowiem podłogi domu były wykonane z czerwonych, polerowanych kamiennych płyt, jakie można było spotkać tylko w wytwornych domach.

Kamienie, które nie nosiły rzucających się w oczy śladów obróbki albo nie dały się dopasować do żadnych murów, gromadził Schliemann na wielu rozmieszczonych wokół wzgórzy Hissarliku składowiskach. Mieszkańcy okolicznych wiosek wykorzystywali je jako cenny materiał budowlany. „W ten sposób między innymi z moich trojańskich kamieni został zbudowany meczet i minaret w biednej wiosce tureckiej Ciblak oraz wieża kościelna w wiosce chrześcijańskiej Yenişehir".

SKUTKI RABUNKU DZIEŁA SZTUKI

Konsul Calvert czuł się — nie bez powodu — oszukany w związku z reliefem Heliosa, przy czym Schliemann publicznie przechwalał się, że faktyczna wartość marmurowej płyty jest stokrotnie wyższa niż cena, jaką podał Calvertowi i jaką też zapłacił. Calvert nie mógł cofnąć zgody na kopanie na swojej posiadłości (prawdopodobnie otrzymał za tę zgodę pokaźną sumę), ale zemścił się w inny sposób.

On, który na początku prac wykopaliskowych podzielał teorię Schliemanna dotyczącą Troi, nagle zaczął odczuwać wątpliwości.

W gazecie „The Levant Herald" wyraził opinię, że żadna z odkopanych dotychczas przez Schliemanna warstw nie może być Troją Homera. Warstwa gruzu, która występuje bezpośrednio na

sięgających dwóch metrów w głąb ruinach greckich jest o ponad tysiąc lat starsza niż wojna trojańska.

Schliemann nie chciał uwierzyć w opinię Calverta. To nie mogło być prawdą. Schliemann zagroził konsulowi zerwaniem przyjaźni „do końca życia”. Napisał: „Mówię całkiem otwarcie, że w czasie kiedy cały cywilizowany świat czeka w napięciu na wyniki moich trzyletnich wykopalisk, moja praca na tym odludziu, w okropnych warunkach klimatycznych wskutek Pańskich wprowadzających w błąd informacji pójdzie na marne!”

Tymczasem wieść o zrabowaniu metopy Heliosa dotarła do Konstantynopola. Dr Dethier, francuski dyrektor tamtejszego muzeum starożytności, zażądał od władz, aby anulowały pozwolenie na kopanie. Schliemann tłumaczył się, że znalazł marmurową płytę na terenie Calverta i odkupił od właściciela należną mu połowę.

Zdopingowany przez te wydarzenia Schliemann zdwoił wyśiłki. Zatrudnił teraz 160 robotników, kopał jednocześnie w trzech, a niekiedy w czterech miejscach i wydobył setki prahistorycznych przedmiotów z terakoty, przeważnie dzbany i inne naczynia. Wiosna była ciepła jak rzadko o tej porze. Schliemann zaproponował więc w liście żonie, aby przyjechała na kilka dni do Troady.

Od czasu narodzin córki Zofia okazywała znacznie mniejsze zainteresowanie eskapadami naukowymi swego męża niż przedtem. Znosiła je cierpliwie tylko dlatego, że dzięki temu od czasu do czasu mogła się cieszyć, że mąż jej nie poucza, nie wychowuje i nie dyryguje nią. Schliemann natomiast jeszcze nie wyzbył się nadziei, że Zofia spędzi z nim lato i wspólnie będą odkopywać Troję. Andromacha miała już blisko dwa lata. A niemiecka opiekunka cieszyła się pełnym zaufaniem rodziców.

W końcu marca Zofia przybyła na wzgórze Hissarlik. Schliemann nie posiadał się ze szczęścia. Potrzebował całego dnia, aby pokazać swej żonie odkopane mury i ruiny i wszystko objaśnić. Zofia dostała pokój do własnej dyspozycji w jednym z dwóch domów, które Henryk zbudował w najwyższym punkcie wzgórza. Photidas dbał, aby młodej pani niczego nie brakowało.

Oczywiście uwagi Zofii nie uszły ataki Calverta na jej męża. Pogłoski, że rząd turecki chce cofnąć Schliemannowi licencję, dotarły aż do Aten.

„Ach, byłoby lepiej, gdybyś tu zostawił ten kamień boga słońca — powiedziała Zofia zniechęcona — przynosi ci tylko nieszczęście!”

„Pali się, pali się!”

Schliemann odpowiedział — „Odkupiłem teren od Calverta. Wcale go do tego nie zmuszałem. Zgodził się na pięćdziesiąt funtów i otrzymał pięćdziesiąt funtów. I tyle. A rząd turecki nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Kamień znajdował się na terenie należącym do Cahrertha”.

„Ale Calvert czuje się oszukany”.

„Oszukany? To on jest złym kupcem. — Henryk zaśmiał się szyderczo. — Poza tym nie ma on pojęcia o *Iliadzie*”.

Zofia wiedziała, że nie ma sensu sprzeciwiać się Schliemannowi w takiej sytuacji jak ta. Był wściekły na Calverta, a w swej wściekłości często chybiał celu — choć potem było mu z tego powodu przykro i nawet przepraszał.

„On nie ma pojęcia o *Iliadzie* — powtórzył Henryk cienkim głosem. — Uważa, że bohaterowie Homera posługiwali się narzędziami i kamiennymi toporami. A co uczynił Hektor, aby wyłamać zamkniętą bramę miejską Argejczyków? Calvert uważa, że chwycił za topór i piłę. Ale w dwunastej księdze *Iliady* napisane jest dokładnie, że uniósł kamienny blok, rzucił go o bramę, po czym brama z trzaskiem się rozpadła. Gdyby mister Calvert zadał sobie trud i przeczytał Homera, wówczas odkryłby, że słowa młot i obcegi w całej *Iliadzie* występują tylko jeden raz, i to w związku z Hefajstosem, bogiem ognia”.

„PALI SIĘ, PALI SIĘ!”

Zofia skinęła głową. Zrobiło się późno. Siedzieli przy prymitywnym kominku, który Schliemann kazał zbudować w swoim drewnianym domu na wzgórzu trojańskim. Zanim udali się do sypialni położonej od północnej strony, Henryk dołożył drew. Noce były chłodne. Około trzeciej Schliemann nagle się obudził. Poczł drażniący dym. Kiedy otworzył drzwi do pokoju, buchnęły na niego płomienie. Drewniana podłoga przed kominkiem płonęła.

„Zofio, pali się, pali się!” — krzyknął Henryk i rzucił się do sypialni. Chwycił swą śpiącą żonę i wyniósł na powietrze; następnie pobiegł z powrotem do domu. Nie udało się Schliemannowi ugasić ognia. Ale Photidas, który spał w sąsiednim pokoju, właśnie się obudził i zwołał pomoc z sąsiedniego domu. Brakowało wody do gaszenia; mężczyźni, przerażeni, próbowali stłumić ogień piaskiem i ziemią, lecz udało się to tylko połowicznie. Ciężkimi młotami

i hakami wyrwali wreszcie płonące deski podłogi i wyrzucili na dwór. W ten sposób zapobiegli całkowitemu spłonięciu domu.

Obecność Zofii niezwykle uskrzydliła Schliemanna. Zainscenizował dla niej *Iliadę*, wykorzystując pomysły godne wielkiego reżysera. Dzięki niemu antyczni bohaterowie powstawali z gruzów tysiąceci, a budynki i ścieżki na wolnym powietrzu stanowiły kulisy teatralne; dzbanki i inne naczynia, narzędzia i ozdoby służyły jako rekwizyty. Zofia była wdzięczną publicznością. Okazywała wielkiemu reżyserowi bezgraniczny podziw, klaskała i nie zadawała dociekliwych pytań. Od rana do późnego wieczora Zofia towarzyszyła Henrykowi podczas jego kontrolnych obchodów. Szczerze starała się nadażać za tokiem jego wybujałych myśli i całą siłą własnej fantazji próbowała z trzech pozornie bezładnie leżących kamiennych bloków i z resztek murów odtworzyć całą budowlę.

Dnia 5 kwietnia 1873: „Najbardziej interesujący w tym tygodniu okazał się odkopany dom na głębokości siedmiu i ośmiu metrów, wzniesiony na miejscu wielkiej wieży, dokładnie pod grecką świątynią Minerwy; odkryto do dziś jego osiem pomieszczeń. Ściany wzniesione z drobnych, spojonych ziemią kamieni zdają się należeć do różnych okresów historycznych; albowiem gdy niektóre ściany spoczywają już na kamieniach należących do wieży, inne były wzniesione dopiero wówczas, kiedy tamte pokryła 20-centymetrowa, a w wielu miejscach nawet metrowa warstwa gruzu [...] Ten prastary dom ze swymi małymi pomieszczeniami bardzo przypomina pompejański dom [...] Obok owego domu i w większych pomieszczeniach znalazłem mnóstwo kości ludzkich, ale jak dotychczas tylko dwa całe szkielety (na głębokości siedmiu metrów), które niewątpliwie należały do wojowników; na głowach były bowiem miedziane hełmy, a obok kośćców znalazłem długą włócznię [...]”

Dnia 16 kwietnia 1873: „Od czasu mojej notatki z dnia 5 bieżącego miesiąca pracowałem z pomocą przeciętnie 160 robotników i wydobyłem wiele wspaniałości. Muszę też szczególnie wyróżnić szeroką na pięć metrów ulicę wiodącą do Pergamosu, odkrytą przy wielkiej wieży, tuż obok mojego domu, na głębokości dziewięciu metrów. Jest ona wykładana grubymi kamiennymi płytami długości 118 do 150 centymetrów i 89 do 134 centymetrów szerokości. Ulica biegnie w kierunku południowo-zachodnim, bardzo stromo w dół [...] Ta pięknie wykładana droga pozwoliła mi przypuszczać, że owa wspaniała budowla [Pergamos] musiała się znajdować

w niewielkiej odległości nad drugą, taką samą. Dlatego wysłałem natychmiast 100 ludzi, aby zrobili wykop na terenie leżącym na północny wschód od tego miejsca, długości 24 metrów, szerokości 24 metrów i głębokości 10 metrów..."

W tych notatkach z dziennika widać wyraźnie szczególne zamówienie Schliemanna do odkryć. Na czym to dokładnie polegało, skąd się brało, nie można z całą pewnością wytłumaczyć: chodzi tu o niezwykły talent, o niespotykany dar jakby różdżkarza, który ma szczególną orientację w tym, co ukryte; jest to właściwa tylko nielicznym umiejętność łączenia fantazji i rzeczywistości w taki sposób, że tworzą one urodzajne podłoże dla czegoś nowego, niespotykanego. Fantazja, której upust dawał Schliemann potem w autobiografii albo w notatkach ze swych odkryć archeologicznych, jakże często wybiegająca poza rzeczywistość, ta fantazja stanowiła zarazem jego wielką siłę i drogowskaz w poszukiwaniach.

Henryk Schliemann był przekonany, że paradna droga wykładana płytami — a o taką w jego oczach chodziło — musiała prowadzić do głównej budowli trojańskiej twierdzy. „Aby to wydobyć na światło dzienne — zanotował Schliemann w swym dzienniku — zostałem zmuszony do najboleśniejszego posunięcia, mianowicie do rozbicia trzech wielkich ścian nowego domu. Rezultat przeszedł jednak moje najśmielsze oczekiwania, albowiem znalazłem nie tylko dwie wielkie bramy, stojące w odległości 6,13 metra od siebie, ale także oba wielkie miedziane trzpienie tych bram... Ważę się teraz na twierdzenie, że odkopana przeze mnie wielka podwójna brama musi być niewątpliwie Bramą Skajską..."

Schliemann stał godzinami nad głębokim wykopem, który ciągnął się po obu stronach drogi. Patrzył na czworokątne resztki murów, a w jego wyobraźni kamień po kamieniu rosła potężna budowla. Za nią wznosił się ku niebu gród Troi.

Zofia podeszła do niego. Czuli, co dzieje się we wnętrzu Henryka. Wiedziała, że myślami jest oddalony o ponad dwa tysiące lat, i dlatego nie miała odwagi do niego przemówić.

BRAMA SKAJSKA

Po długim, zdającym się nie mieć końca, milczeniu Henryk Schliemann ujął Zofię za rękę i wskazał głową na resztki murów. „Tu — powiedział zamyślony — rozgrywały się najbardziej wzru-

szające sceny *Iliady*". I jakby we śnie, zaczął recytować Homera, wiersze z trzeciej księgi*.

Niezadługo przychodzą, gdzie Scejska jest Brama.
Siedzącego wysoko znajdują Pryjama; Przy nim
Lamp, Ukalegon, Hicetaon, Klity, Tymet, Pant i
Antenor, radca znakomity, Lata pochyłe bronią
działać im nie dadzą, Lecz mądre między sobą
rozmowy prowadzą. Jak na drzewie koników grono
słodko gwarzy, Tak na wierchołku bramy poszeptują
starzy. Ci, postrzegłszy Helenę, że na wieżę wchodzi,
Rzekli cicho do siebie: „Dziwić się nie godzi, Że
Grek i Troja bronią przez tyle lat czyni O takową
niewiastę: istna z niej bogini”.

Natchniona recytacja została przerwana głośnym krzykiem nadjeżdżającego na koniu posłańca, który zbliżał się do wzgórza od Kumkóy, wymachując nad głową listem niczym trofeum.

„Telegram z Aten do państwa Schliemannów!” — zawołał jeszcze w galopie.

Henryk rozerwał kopertę, nie patrząc na nazwisko nadawcy ani adresata. Dla niego wszystko było jasne: władze tureckie zabroniły kontynuowania prac wykopaliskowych. I to wszystko. Był to koniec jego snu o Troi.

Dlatego trwało dobrą chwilę, zanim Henryk powrócił do rzeczywistości. Telegram był zaadresowany do Zofii Schliemann, Ciblak via Canakkale. Krótki tekst brzmiał: „Ojciec umierający. Przyjeżdżaj natychmiast. Matka”.

Nie mówiąc słowa, Henryk wręczył Zofii telegram. Kiedy go przeczytała, wybuchnęła płaczem.

Schliemann objął żonę. „Pojadę z tobą” — powiedział. Te słowa nie przyszyły mu lekko.

Zofia czuła to mimo swego bólu. Dlatego odparła — „Nie, Henryku, zostaniesz tu. Właśnie teraz, w tej trudnej sytuacji, twoja obecność jest bardziej konieczna niż kiedykolwiek. Kto wie, czy tu kiedyś wrócisz, jeśli teraz wyjedziesz!”

Schliemannowi ulżyło. Z teściem Georgiosem Engastromenosem nie łączyły go zbyt serdeczne więzy. Engastromenos był

* Przet. Fr. Ks. Dmochowski.

despotycznym chuchrem, chełpliwym bankrutem, krótko mówiąc — człowiekiem, którego zięć nie znośli. Od początku mu to oka żywał. Zofia natomiast bardzo kochała swego ojca. Ona nigdy nie widziała w nim żalostnego nieudacznika, tylko zawsze ofiarnego ojca rodziny. Jemu zawdzięczała wszystko, nawet męża u swego boku. Było bowiem życzeniem ojca, aby poślubiła Henryka. Sama nigdy by się nie odważyła na ten krok.

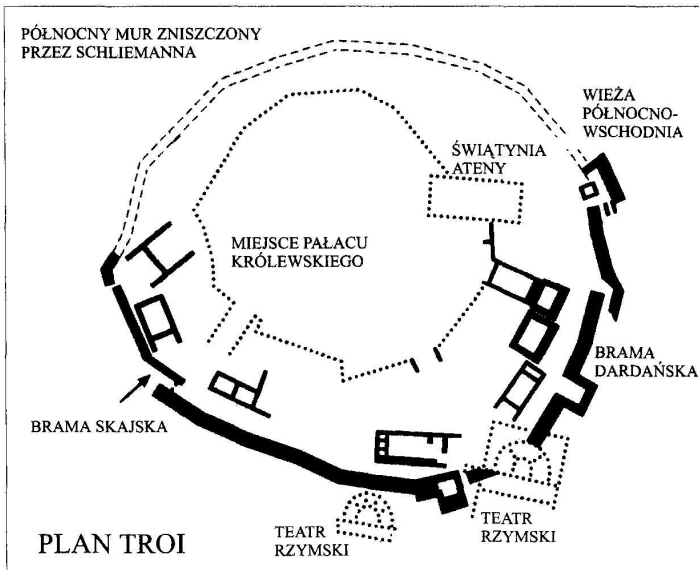
Henryk towarzyszył Zofii do Canakkale, skąd popłynęła najbliższym statkiem do Pireusu. Kiedy przybyła do Aten, jej ojciec właśnie zmarł.

„Moja gorąco umiłowana Żono! — pisał Schliemann, kiedy dowiedział się o śmierci teścia. — Niech Cię, moja Droga, pocieszy myśl, że wkrótce wszyscy podążymy za Twoim wspaniałym Ojcem. Niech Cię pocieszy myśl o naszej ukochanej córeczce, która potrzebuje matki i której szczęście zostałoby zburzone, gdyby nie Ona. Niech Cię pocieszy świadomość, że Twoje łzy nie wskrzeszą Twego drogiego Ojca i że On, ten dobry, porządny człowiek — z dala od wysiłków, trosk i cierpień tego życia — cieszy się teraz prawdziwym, nie zakłóconym szczęściem na tamtym świecie, a w każdym razie jest znacznie szczęśliwszy niż my, którzy go żalujemy i oplakujemy. Jeśli nie potrafisz opanować żalu po stracie ukochanego Ojca, wracaj tu do mnie najbliższym statkiem, a ja znajdę sposób, aby Cię jakoś rozpogodzić. Nasze prace wykopa liskowe bez Ciebie nie posuwają się wcale naprzód, i ze łzami radości *myślimy* o Twoim rychłym powrocie...”

Czy Zofia w swoim bólu zauważyła, że Henryk mówił o sobie w pluralis maiestatis? — „Ze łzami radości *myślimy* o Twoim rychłym powrocie”.

Jak każdego roku na wiosnę miliony kaczęć ozłociły Troadę. Ale Schliemann tego nie widział. Mrużąc oczy od rana do wieczora badał resztki murów, które odkopywali robotnicy. Jego myśli i teorie były coraz bardziej śmiałe, jego wypowiedzi coraz pewniejsze. Na przedłużeniu wspaniałej drogi za Bramą Skajską odkrył rozległą budowlę i bez chwili wahania powiedział: „Położenie budowli tuż powyżej bramy na sztucznym wzniesieniu, jak również jej solidny sposób budowy nie pozostawiają cienia wątpliwości, że jest to najwytworniejsza budowla Troi, że jest to dom Priama”.

Schliemann nie mógł dostarczyć dowodu na poparcie tego twierdzenia. Kierował się własnymi odczuciami. Brama Skajska w południowo-zachodniej części miasta miała w *Iliadzie* centralne



znaczenie. Było to miejsce ważnych spotkań, rozmaitych pożegnań, wyrażania trwogi tych, którzy pozostawali w swoich domostwach. Brama Skajska była symbolem Troi tak jak Brama Brandenburska jest symbolem Berlina. I tak jak Brama Brandenburska potem stała się godłem Niemiec i niemieckiej powojennej historii, tak Brama Skajska stanowi symbol wojny trojańskiej i *Iliady* Homera.

Priam, którego pałac odkrył, jak sądził, Schliemann za bramą o dwóch wieżach, występuje jako główna postać w *Iliadzie*. Syn Laomedona pojął za żonę Hekabe, ale był związany z wieloma innymi kobietami, z którymi miał liczne potomstwo, wśród niego znakomite imiona jak Hektor, Kassandra, Parys, Polidor i Poliksene. Jego śmierć była równie spektakularna jak jego życie: podczas zdobywania Troi przez Greków uciekł on do ołtarza Zeusa i tam został zabity przez Neoptolemosa.

Odkopanie Bramy Skajskiej i pałacu Priama było dla Henryka Schliemanna — zakładając, że chodziło istotnie o te budowle — dowodem na potwierdzenie jego teorii istnienia w tym miejscu Troi. Albowiem najważniejsze założenia owej teorii brzmiały: *Iliada* Homera opiera się na faktach historycznych; arena wojny trojańskiej leżała przysypana gruzem pod wzgórzem Hissarlik.

Żaden z poważnych badaczy starożytności nie odważyłby się uważać nędznych resztek murów za pałac Priama. W każdym razie wewnątrz murów nie znaleziono ani jednego przedmiotu, który by przybliżył uzasadnienie tej teorii. Wprawdzie Schliemann wykopał zbiór waz glinianych z wizerunkami Ateny o sowej głowie, prócz tego sześć polerowanych toporów z diorytu, cztery kubki i fragmenty wielkiej urny oraz resztki rozmaitych naczyń, jednak wyciąganie z tego wniosku, że chodzi na pewno o królewski pałac Priama, świadczyło albo o wybujałej fantazji, albo o szaleństwie mitomana. Henryk Schliemann odznaczał się i jednym, i drugim.

„Ku mojej radości — pisał pewny siebie do archeologa i dyrektora muzeum, profesora Alexandra Conze — mogę Panu zakomunikować, że Pańskie poglądy, jak również poglądy Pańskich czcigodnych kolegów okazały się słuszne, i że na drodze wykładowanej wielkimi płytami odkopałem dwie bramy, z której jedna stoi około sześciu metrów za drugą [...] Przed drugą bramą znajduje się wielki dom, którego ruiny i gruz, wysoki na trzy metry, zasłaniały wieże... Jest to niewątpliwie dom Priama. A brama to Brama Skajska [...]”

W listach i notatkach w gazetach trąbił Schliemann o swoim sukcesie na cały świat. I chyba właśnie ów nieoczekiwany sukces powstrzymał władze tureckie przed cofnięciem mu licencji.

Archeolog po sporze z Frankiem Calvertem zaprzestał kopania na jego gruncie położonym na północy, ponieważ, jak się wyraził, nie mógł się już z nim pogodzić. Zasoby na gruncie Calverta były jednak znikome w porównaniu ze znaleziskami na gruntach rządowych i to był prawdziwy motyw zachowania się Schliemanna.

GRÓD TROJAŃSKI — RÓG OBFITOŚCI

Dopiero dzięki tym znaleziskom Schliemann poczuł zadowolenie. Już 24 maja ogłosił w sprawozdaniu dla „Augsburger Allgemeine...”, że „doskonale wypełnił” swoje zadanie i 15 czerwca zakończy definitywnie wykopaliska w Troi. „Gród trojański — jak brzmią słowa Schliemanna — jest niezwykle bogatym, niewyczerpanym rogiem obfitości, zawierającym różnego rodzaju niezwykle i nigdzie dotąd nie spotykane przedmioty codziennego użytku i kultu religijnego słynnej ludności trojańskiej i jej następców, i niezależnie od monumentów nieśmiertelnej sławy, które odkopałem, dzięki tym

starożytnym przedmiotom odkryłem także dla archeologii nowy świat...

O ile człowiek może się poczuć zawiedziony we własnych oczekiwaniach, patrząc na plany Troi, bo uzna, że była ona zbyt mała dla wielkich czynów opisanych w *Iliadzie* i że Homer w swej licentia poetica przesadził, o tyle z drugiej strony musi znajdować prawdziwe zadośćuczynienie w pewności, że Troja naprawdę istniała, że *Troja została odkryta i że u podstaw strof Homera leżą niezaprzeczalne fakty*.

Odkrycie Troi zawdzięczam mojemu entuzjazzmowi dla filologii greckiej, a szczególnie dla Homera. Dlatego w testamencie cały mój zbiór starożytności trojańskich zapiszę narodowi greckiemu, wśród którego założyłem swą stałą siedzibę na resztę moich dni. Jestem gotów z całą przyjemnością pokazywać ów zbiór wszystkim chętnym, ilekroć będę w Atenach".

Kiedy Schliemann pisał te słowa 24 maja 1873 roku, nie przypuszczał, że swoje największe odkrycie ma dopiero przed sobą, znalezisko, które z dnia na dzień uczyni go sławnym — tak jak tego zawsze pragnął.

Na temat owego znaleziska od początku krążyły pogłoski, wątpliwości i rozmaite domysły. Wydawało się niemal, że Henryk Schliemann przez wprowadzenie zamętu pragnie ustanowić miarę dla późniejszych wielkich odkryć archeologicznych, takich jak odnalezienie archiwum tabliczek glinianych z Bogazkóy, popiersia królowej Nefretete albo złotej maski Tutenchamona. Wszystkie te odkrycia owiane są aurą tajemniczości i zawierają wątek kryminalny i po dziś dzień na temat każdego z nich słyszy się rozmaite historie.

Zdarzenia w Troi różniły się od innych historii odkryć jedynie tym, że tu sam odkrywca upowszechniał w świecie rozmaite wersje. W listach, sprawozdaniach dla gazet i w swoich książkach pt. *Trojanische Mteñumer* (Trojańskie starożytności) oraz *Selbstbiographie* (Autobiografia) Schliemann przedstawia zdumionym czytelnikom dziesiątki rozmaitych opowieści odkrywcy, tak że jest niemal niemożliwością wyłuskanie z tego prawdy o wydarzeniach między 31 maja a 7 czerwca 1873.

Oczywiście nie ma pewności co do dokładnego czasu odkrycia. Najwcześniejsza notatka z dziennika wskazująca na to znalezisko pochodzi z dnia 31 maja. Nie wiadomo jednak, czy Schliemann posługiwał się przy tym kalendarzem greckim, czy gregoriańskim. W jego książce o Troi informacja o odkryciu ukazuje się

dopiero pod datą 17 czerwca, kiedy archeolog już zakończył swoje prace.

Z całą pewnością świadomie zafalszowane jest twierdzenie Schliemanna, że jego żona była obecna przy odkryciu i bardzo mu później pomogła ukryć skarb, a następnie wywieźć z kraju. Schliemann nie chciał dopuścić myśli, że Zofia właśnie wtedy, kiedy on dokonał swego życiowego odkrycia, była nieobecna. I jak to wielokrotnie widzieliśmy, zgodnie ze swym charakterem, jeśli los nie spełniał jego imaginacji, poprawiał jego działanie na własną rękę. W każdym razie we wszystkich raportach Schliemanna z prac wykopaliskowych powtarza się nieprawdziwa wypowiedź, że Zofia była u jego boku podczas odkrycia.

PRAWDA NA TEMAT NAJWIĘKSZEGO ODKRYCIA SCHLIEMANNA

Najbliższy prawdy jest zapewne ten pierwszy raport, który Henryk Schliemann sporządził kilka dni później. W dziwny sposób właśnie w tym zapisie nie ma owej egzaltacji i zachwytu, które charakteryzują późniejsze relacje Schliemanna dotyczące tego zdarzenia. Można tylko spekulować na temat, dlaczego tak jest: być może Schliemannowi zależało, aby możliwie skromnym opisem pozyskać uznanie profesorów, którzy do jego poszukiwań dotychczas odnosili się sceptycznie albo wręcz z pogardą im się przeciwstawiali.

„Za domem (Priama) na głębokości 8 do 10 metrów odkryłem ciągnące się daleko od Bramy Skajskiej trojańskie mury obronne, a przy dalszym kopaniu na tychże murach, tuż obok domu Priama, natknąłem się na wielki miedziany przedmiot niezwykle osobliwego kształtu, który tym bardziej zwrócił moją uwagę, kiedy wydało mi się, że za nim spostrzegłem złoto. Ów miedziany przedmiot przysypany był skamieniałą warstwą czerwonego popiołu grubości 1,5 do 1,75 metra i zwapniałego gruzu; na warstwie tej spoczywał wspomniany już uprzednio mur twierdzy grubości 1,80 metra i wysokości 6 metrów; zbudowany był z wielkich kamieni i ziemi i niewątpliwie pochodził z czasów po zburzeniu Troi. Aby uchronić skarb przed chciwością moich robotników i uratować go dla nauki, konieczny był niezwykle pośpiech; i choć nie było jeszcze pory śniadania, kazałem natychmiast zwołać «paidos»; i podczas gdy robotnicy jedli i wypoczywali, wyciąłem skarb za pomocą wielkiego

noża, co wymagało niezwyklego wysiłku i mogło się okazać niebezpieczne dla życia, albowiem wielki mur obronny, który odkopałem, groził każdej chwili przywaleniem. Ale widok tyłu przedmiotów, z których każdy miał nieocenioną wartość dla nauki, sprawił, że wcale nie czułem strachu i nie myślałem o niebezpieczeństwie.

Zabranie skarbu z tego miejsca byłoby jednak niemożliwe bez pomocy mojej ukochanej żony, która zdecydowała się wydobyte przeze mnie przedmioty zapakować w swój szal i wynieść".

W raporcie Henryk Schliemann wyraźnie starał się podkreślić wartość skarbu dla nauki. Podkreślał, że dla niego znalezisko nie przedstawia żadnej wartości materialnej, co prawda także nie przedstawiało ono wartości naukowej; teraz wreszcie mógł się wykazać swoimi umiejętnościami archeologicznymi i wiedzą wobec uczonych profesorów, którzy go dotychczas traktowali — przypomnijmy sobie Ernsta Curtiusa — jak niemądrego młodzieńca.

Dla Schliemanna od początku było *jasne, że znalezione w pobliżu domu Priama cenne przedmioty stanowiły część jego skarbu*. Któż inny jeśli nie król Troi posiadał broń i zastawę stołową ze złota i srebra? A to, że skarb znajdował się pod warstwą popiołu grubości półtora metra, był dla odkrywcy jeszcze jednym tego dowodem. Czy nie mogło być tak, że wierni królowi Trojańczycy próbowali ratować skarb przed wrogiem, kiedy ich miasto już płonęło?

Ukrycie skarbu przy całkowitym zachowaniu tajemnicy było trudnym przedsięwzięciem. Chodziło tu bowiem o blisko 8833 przedmioty, na ogół niewielkie, które należało przetransportować. Tylko 83 egzemplarze miały poręczny format. W wypadku pozostałych chodziło o małe płytki, gwiazdki, pierścionki, kolczyki i guzy ze złota oraz ogniwa łańcuchów i części diademów, którymi Schliemann ze zrozumiałych względów zajął się dopiero później.

Na samym wierzchu leżała owalna miedziana tarcza o średnicy 50 centymetrów, pośrodku ze zgrubieniem wielkości pięści i wygiętą krawędzią wysokości czterech centymetrów. Kiedy Schliemann podniósł ją ostrożnie, ujrzał najpierw miedziany kociołek, następnie miedzianą płytę długości 44 centymetrów i szerokości 16 centymetrów. Powygięta się pod wpływem ognia i chyba również żar ognia sprawił, że podstawa srebrnej wazy stopiła się na miedzianą płytę. Piąty przedmiot, który Schliemann wydobył z gruzu, była to kulistego kształtu butelka z czystego złota, ważąca 400 gramów. Obok niej leżał, również wykonany ze złota, należący do niej kubek o wadze 226 gramów.

Nożem wyluskał Schliemann skarby z ziemi. Starał się bardzo, aby niczego nie uszkodzić. Z drugiej strony czas naglił. Schliemann ukrył skarb całkiem sam, nie dlatego, jak wspomniał, aby go uchronić „przed chciwością [...] robotników i uratować dla nauki” — nie, dla niego od początku było jasne, że pragnie skarb zachować dla siebie i potajemnie wywieźć z kraju.

Archeolog włożył przedmioty do kosza i zaniósł do swego drewnianego domu oddalonego zaledwie o kilka kroków, po czym kontynuował kopanie. Natknął się przy tym na niezwykle przedmiot ze złota, z którym początkowo nie wiedział, co począć. Miał on kształt stateczka z dwoma uszkami po obu stronach, z wylewem na „dziobie” i „rufie”. Doskonała znajomość Homera naprowadziła Schliemanna na myśl, że znalazł „depas amphikypellon”, rzadko spotykane naczynie do picia, z którego mogli pić jednocześnie i gospodarz, i gość.

Z jego zapisków tego samego dnia: „Znalazłem tam następnie sześć sztuk najczystszej srebra, wykonanych za pomocą młotka, w kształcie dużych ostrzy, których jeden koniec był zaokrąglony, drugi wycięty w formie półksiężyca... Ponieważ wszystkie wspomniane przedmioty, tworzące czworokątny stos, znalazłem na murze, zapakowane razem albo jedno w drugim, wydało mi się pewne, że leżały one w drewnianej skrzyni w pałacu Priama, o której wspomina Homer w *Iliadzie*. Nabrałem tym większej pewności, kiedy tuż obok owych przedmiotów znalazłem miedziany klucz długości 10,5 centymetrów, którego bródka długości i szerokości 5 centymetrów bardzo przypominała bródki kluczy do kas w bankach. Dziwne, ale ten klucz miał drewniany uchwyt; ponad wszelką wątpliwość był to zgięty w prawo uchwyt klucza, tak jak uchwyt sztyletu”.

Schliemann myślał intensywnie. Kawalek metalu w kształcie klucza pobudził jego fantazję. Ożyły sceny z historii: wojna o Troję. Archeolog pisze: „Przypuszczalnie ktoś z rodziny Priama zapakował skarb w pośpiechu do skrzyni, wyniósł ją, nie mając czasu, aby wyjąć klucz; ale na murze dosięgła go ręka wroga albo ogień i musiał porzucić skrzynię, która natychmiast została zasypana czerwonym popiołem i kamieniami ze stojącego obok królewskiego domu. Być może do tego nieszczęśliwca, który próbował uratować skarb, należały odkryte kilka dni wcześniej w jednym z pomieszczeń królewskiego domu i tuż obok miejsca znalezienia skarbu przedmioty takie jak hełm i masywna srebrna waza wysokości 18 centymetrów i szerokości 14 centymetrów; w niej to znajdował się elegancki kubek wysokości 11 centymetrów i szerokości

9 centymetrów, wykonany z elektronu. Hełm był rozbity, ale być może da się go spoić, bo mam wszystkie fragmenty. Obie części górne są nie uszkodzone.

O tym, że ów skarb pakowano z narażeniem życia i ze strachem, świadczy między innymi także zawartość największej srebrnej wazy, w której znalazłem na samym dnie dwa wspaniałe złote diademy, opaskę na czoło i cztery wspaniałe, kunsztownie wykonane wisiory ozdabiające uszy; ponadto 56 złotych kolczyków o nadzwyczaj wyszukany kształcie; 8750 małych złotych pierścionków, przedziurawionych graniastosłupów i kostek, złotych guzów i podobnych drobiazgów, które najwidoczniej pochodziły z innych klejnotów; następnie — sześć złotych bransolet, a na samym wierzchu dwa małe złote kubki".

ZŁOTE DIADEMY

Diademy i przepaska na czoło zyskały spośród wszystkich przedmiotów skarbu największą popularność: Schliemann polecił sfotografować swoją żonę Zofię, przybraną cennymi ozdobami, następnie zdjęcia te obiegiły świat i były opublikowane we wszystkich największych gazetach. Mniejszy diadem składał się ze złotego łańcucha długości 51 centymetrów, który opasywał czoło. Nad skroniami zwisało z każdej strony po osiem łańcuszków długości 39 centymetrów. Poszczególne ogniwa łańcuszków wykonano w kształcie małych złotych listków i zakończono sowymi główkami, symbolem Ateny Ilijskiej, bogini opiekunki. Czoło okrywały 74 złote łańcuszki, o długości 10 centymetrów każdy; podobnie jak łańcuszki na skroniach, wykonano je z małych złotych listków. Każdy ostatni listek był dłuższy i miał mniej więcej 2 centymetry długości.

Drugi złoty diadem przypomina pierwszym sposobem wykonania, różnica w wielkości pozwala jednak przypuszczać, że oba diademy nie były własnością tej samej kobiety. W każdym razie opaska na czoło jest o 4 centymetry dłuższa. Nad skroniami ma ona po siedem łańcuszków z liści, zakończonych głową sowy. Łańcuszki te o długości 26 centymetrów są znacznie krótsze niż łańcuszki pierwszego diademu. Pomiędzy łańcuszkami na skroniach czoło zdobi 47 łańcuszków o długości 10 centymetrów; na końcach mają symbol Ilijskiej bogini opiekunki.

Czy skarb Priama jest prawdziwy?

Szczególnie wiele trudu przysporzyło Schliemannowi ukrycie czterech kunsztownych wisiorów zdobiących uszy, z których tylko dwa pasowały do siebie. Dwa pozostałe stanowiły pojedyncze sztuki. Wszystkie długości od ośmiu do dziesięciu centymetrów. Zachowały się one w częściach, wymagały więc czasochłonnej rekonstrukcji.

Szczególną precyzją odznaczało się sześć złotych bransolet; dwie z nich były to proste, zamknięte obręcze grubości czterech milimetrów, trzecia, również zamknięta obręcz, o szerokości siedmiu milimetrów, misternie zdobiona. Trzy pozostałe — otwarte i zakończone głową sowy. „Księżniczki, które nosiły te bransolety — zanotował Schliemann — musiały mieć niezwykle małe ręce; są one bowiem tak małe, że z trudem włożyłaby je na rękę dziesięcioletnia dziewczynka”.

Podczas tajemnego wykopywania skarbu musiał Schliemann posługiwać się sitem, aby mieć pewność, że wśród odrzucanego gruzu nie znajdują się inne złote paciorki albo płytki. Najmniejsze przedmioty były to filigranowe drobiazgi w kształcie pierścionków, kulek albo cylindrów o przekroju trzech milimetrów, które niegdyś były nanizane na sznurki. Wprawdzie te drobne precjoza znajdowały się w wielkiej srebrnej wazie, Schliemann nie mógł jednak wykluczyć, że waza została przewrócona i złoto się rozsypało.

W swoim dzienniku Schliemann podsumował: „Cały skarb, jak mi się wydaje, był kiedyś przechowywany w skrzyni, albowiem wszystko leżało zgromadzone razem na czworokątnym stosie. Ktoś z rodziny królewskiej próbował ze strachu albo z rozpacz w obliczu upadku Troi ratować cenne skarby i wynieść je z zamku. Ale tu, na murach, w pobliżu bramy zaskoczył go wróg albo ogień i pogrzebał skarb pod popiołem i zwalami gruzu”.

CZY SKARB PRIAMA JEST PRAWDZIWIY?

Krytycy Schliemanna wysuwali twierdzenie, że w przypadku znaleziska, który odkrywca nazwał „skarbem Priama”, chodzi nie o pojedyncze odkrycie, stanowiące jedną całość, tylko o zbiór rozmaitych przedmiotów wydobytych w ciągu jego trzyletniej pracy. Schliemann gromadził poszczególne obiekty i dopiero po zakończeniu prac zaprezentował je szumnie jako jednorazowe odkrycie.

Niewątpliwie taka inscenizacja pasowałaby do charakteru Henryka Schliemanna. Czyż nie był on bowiem pyszałkiem, który wodził świat za nos?

Za tym, że Schliemann nie zainscenizował odkrycia skarbu trojańskiego, przemawia na pozór nieistotny list do jego wydawców F. i A. Brockhausów. Archeolog wysłał w końcu maja jeden ze swoich licznych raportów do Lipska z prośbą o opublikowanie go w rozmaitych pismach, między innymi w „Leipziger Allgemeine Zeitung”. W raporcie była mowa o różnych innych znaleziskach. Po odkryciu skarbu Schliemann się obawiał, że władze tureckie mogą znów zwrócić na niego uwagę, jeszcze zanim skarb trojański zniknie z zasięgu ich rąk.

W trzy dni po natknięciu się na skarb, napisał Schliemann do Brockhausów: „Znalazłem tu, w pałacu Priama, rzeczy wielkiej wagi, które mnie skłaniają do przekopania całego terenu, na co potrzebuję 14 dni. Proszę Panów w związku z tym telegraficznie, aby nie publikować jeszcze mojego artykułu w «Allgemeine Zeitung», albowiem zostanie on zaraz przedrukowany w gazetach tureckich i spowoduje natychmiastowe cofnięcie mojego firmanu.

Pozwolę sobie podać Panom dokładną datę, kiedy artykuł będzie się mógł ukazać, nie stanowiąc dla mnie niebezpieczeństwa. Same znalezione przedmioty wystarczą, aby naszemu dziełu zapewnić poczesne miejsce”.

List do Brockhausów świadczy, że odkrycie było dla Schliemanna zaskoczeniem. Gdyby zainscenizował znalezisko, z pewnością nie ściągałby na siebie kłopotów przez przedwczesne wysłanie raportu.

Tymczasem skarb Priama, rozdzielony na sześć wiklinowych koszy, znajdował się w domu Schliemanna na szczycie trojańskiego wzgórza. Jeszcze nikt nie wiedział o znaczeniu znaleziska, nawet robotnicy, którzy niewątpliwie byli na bieżąco w akcji wykopaliskowej. Kiedy Schliemann kazał kopać dalej na północ od miejsca znalezienia skarbu, ponieważ miał nadzieję, że dokona kolejnego odkrycia, dręczyło go przede wszystkim pytanie: W jaki sposób przewieźć niezauważenie skarb Priama do Aten?

Sam archeolog i Zofia Schliemann nigdy nie wypowiadali się publicznie na temat, w jaki sposób złoto trojańskie ze wzgórza Hissarlik trafiło do Aten. Wersję rozpowszechnianą przez niego samego, że mianowicie Zofia pomagała mu przy transporcie, Schliemann zdementował później wobec dyrektora muzeum londyńskiego Charlesa T. Newtona. Wyznał mu szczerze, że tylko dlatego

wciągnął swoją żonę do gry, aby obudzić w niej chęć do dalszych wykopalisk w Grecji. Ani Henryk, ani Zofia Schliemannowie, jedyni, którym znani byli stojący za całym przedsięwzięciem ludzie, nigdy nie ujawnili ich nazwisk.

Ale co się zdarzyło naprawdę wówczas, w połowie czerwca 1873?

Po zerwaniu kontaktów z Frankiem Calvertem, który — słusznie zresztą — czuł się oszukany przez Schliemanna, archeolog nawiązał stosunki z bratem Calverta, Frederikiem. Obaj dobrze się rozumieli, w każdym razie świadczą o tym liczne listy. Frederic Calvert mieszkał w małej miejscowości Thymbria i tam dotarł do niego na początku czerwca list od Schliemanna następującej treści: „Niestety, muszę Pana poinformować, że jestem cały czas śledzony i muszę się liczyć z tym, że szpieg turecki, który z jakiegoś nie znanego mi powodu jest na mnie zagniewany, przeprowadzi jutro u mnie w domu rewizję. Ośmielam się zatem zdeponować u Pana sześć koszy i jeden worek i prosić, aby je Pan ukrył i za żadną cenę nie dopuścił do tego, aby wpadły w ręce Turków...”

Czy w wypadku przeszukania domu przez tureckiego urzędnika imieniem Amin chodziło o rutynową kontrolę, czy też rząd w Konstantynopolu został poinformowany o odkryciu, pozostanie tajemnicą. Kiedy następnego dnia Amin effendi przybył do domu na wzgórze, skarb zniknął.

Niejasna jest rola Frederica Calverta w tej brawurowej akcji. Rzekomo przetransportował on sześć koszy, zamkniętych i zaopatrzonych napisem „owoce i warzywa”, oraz worek na najbliższy statek odpływający do Aten. Adresatem przesyłki miała być Zofia Schliemann. Ale ta wersja nasuwa dwie wątpliwości: Czyżby Henryk Schliemann rzeczywiście wybrał tak ryzykowną drogę transportu? I: Czy to możliwe, że Cahrrert — jak Schliemann potem twierdził — nie wiedział, jaka jest zawartość koszy?

Fakt, że kiedy Henryk Schliemann w połowie czerwca 1873 wrócił do Aten, skarb Priama znajdował się już w jego domu. Nie można wykluczyć, że Schliemann nie tylko Frederica Calverta, lecz także Amina przekupił większą sumą pieniędzy. Później bowiem, kiedy przeciwko nim mnożyły się zarzuty, Schliemann energicznie stanął po ich stronie.

Kiedy na przykład dowiedział się, że przeciwko Aminowi ma być nawet wytoczony proces, zwrócił się listownie do gubernatora Safveda paszy, aby uwolniono od podejrzeń rządowego strażnika.

Nikt, zapewniał, nie doglądał lepiej wykopalisk w Troi niż Amin effendi. Jeśli mimo to udało się przeszmuglować skarb z Turcji, to tylko dlatego, że w Troi kopano jednocześnie w pięciu miejscach. A przecież Amin nie mógł być jednocześnie na wszystkich pięciu posterunkach.

„Gdyby Pan widział, jak zrozpaczony był ten biedny człowiek, kiedy potem dowiedział się od robotników, że znalazłem skarb, i gdyby Pan widział, ile trudu go kosztowało, żeby wpaść do mojego pokoju i w imieniu sultana wydać rozkaz, abym otworzył wszystkie szafy i skrzynie, i jak ja go bez słowa wyrzuciłem — z pewnością odczułby Pan dla niego współczucie”.

WĄTPLIWA SŁAWA ZŁOTA

Oczywiście byłoby roztropniej, gdyby Schliemann odkrycie skarbu na jakiś czas zataił, gdyby trochę poczekał z rozgłoszeniem wiadomości o sensacyjnym odkryciu. Ale powściągliwość nie była bynajmniej jego cechą. Za bardzo lubił stawiać siebie i swoje dokonania w świetle rampy. Czyż więc miał przemilczeć życiowe odkrycie?

Pierwsze reportaże pióra Schliemanna na temat skarbu Priama i jego odkrycia ukazały się w „Augsburger Allgemeine” i w „Leipziger Allgemeine Zeitung”, następnie w londyńskim „Timesie”, wreszcie rewelacyjną wiadomość rozpowszechniły wszystkie duże gazety. W przeciwieństwie do wiadomości o odkryciu Troi, skarbem trojańskim interesowali się nie tylko ludzie wykształceni. Przecież archeolog ogłosił, że skarb jest wart milion franków. Nie było niemal tygodnika ani miesięcznika, który by nie zrobił sensacji z tego wydarzenia.

Henryk Schliemann nagle stał się znany na całym świecie. Promieniał ze szczęścia. „Pochlebia mi — pisał z dumą do Charlesa T. Newtona — że odkryłem nowy świat dla archeologii...”

Ledwie gazety greckie poinformowały o znalezieniu skarbu i o tym, że jest on przechowywany w domu Schliemanna, a już od rana tłumy ludzi zaczęły się gromadzić przed willą na odos Mouson. Wszyscy pragnęli zobaczyć skarb. Początkowo Schliemann przyglądał się z zadowoleniem naporowi ludzi; ale gdy po tygodniu wcale się on nie zmniejszył, zamknął dom dla publiczności. Swemu wydawcy Brockhausowi Schliemann wyznał, że nie może spać spokojnie, odkąd skarb Priama znajduje się w jego domu.

Rozsądnie byłoby oddać złoto trojańskie na przechowanie do banku greckiego. Schliemann jednak nie skorzystał z tej możliwości, gdyż w ten sposób skarb dostałby się w ręce władz. Z Konstantynopola przyszło bowiem tymczasem wezwanie rządu tureckiego, aby władze greckie aż do wyjaśnienia praw własności skonfiskowały skarb. Schliemann ubiegł władze greckie i uciekł się do podstępstwa. Rozdzielił skarb zaplombowany w sześciu skrzyniach pomiędzy liczną rodzinę żony i nakazał całkowite milczenie, dopóki spór nie wygaśnie.

„Ponad sto firmanów na wykopaliska — złożył się w liście do lipskiego wydawcy Brockhousa — wydano w Turcji w ciągu dziesięciu lat, i wszystkie bez wyjątku zawierają klauzulę, że połowę należy oddać władzom tureckim; jak dotychczas jedynie ode mnie Turcy przynajmniej cośkolwiek otrzymali, wysłałem im bowiem siedem pitosów, a także cztery worki kamiennych narzędzi; od nikogo poza tym nie otrzymali najmniejszego drobiazgu... Także tym razem niewypełnienie warunków firmanu zwróciło uwagę tylko dlatego, że tak blisko Konstantynopola odkryłem najsłynniejsze z miast na tak niezwykłej głębokości i z taką szczerością wymieniłem w artykułach w gazetach znalezione przedmioty”.

W istocie władze tureckie przede wszystkim interesowała materialna wartość skarbu. Wartość historyczna znaleziska trojańskiego odgrywała dla Turcji podrzędną rolę. Wiadomo było, że nad Bosforem nie przykładano zbyt wielkiej wagi do dóbr przeszłości. Nie bez racji Schliemann podejrzewał, „że odnalezione przedmioty umieszczone w zamkniętej dla publiczności stajni, zwanej muzeum tureckim, przepadną na zawsze dla nauki”.

Młode państwo greckie natomiast, które cechowała duma narodowa, potraktowało wykopaliska w Troi jako wskrzeszenie własnej historii i właściwe organy od początku były zainteresowane tym, aby przejąć skarb Priama i wystawić go w muzeum. Schliemann nie miał nic przeciwko temu, ale przekazanie daru obwarował pewnymi warunkami. Na trzyletnie wykopaliska ów bogaty człowiek wydał znaczną część swego majątku — wymieniał sumę pół miliona franków. Teraz chciał zwrotu tych pieniędzy jako odszkodowania. Ale Grecja była biednym krajem i suma ta przekraczała jej możliwości.

Z drugiej zaś strony pieniądze nie były dla Schliemanna sprawą wielkiej wagi. Istniało coś o wiele ważniejszego niż pieniądze, mianowicie sława. Usatysfakcjonowany napływającymi z całego świata dowodami uznania, jakie przyniósł mu skarb Priama,

Schliemann pragnął sam sobie wystawić pomnik. Zaproponował władzom greckim, że zbuduje w Atenach muzeum, które zostanie nazwane jego imieniem. Za to rząd grecki udzieli mu zezwolenia na kopanie w Olimpii i Mykenach.

Właściwie Mykeny stanowiły dla Schliemanna najbardziej interesujący teren wykopalisk. Już podczas pierwszych odkryć na wzgórzu Hissarlik zorientował się, że między Troją a Mykenami istniały więzy kulturalno-historyczne. Ale teraz nagle zapragnął mieć zgodę na kopanie w Olimpii. Dostrzegł w tym szansę wyeliminowania wykształconego Prusaka Ernsta Curtiusa, który nigdy nie traktował poważnie jego i jego badań. Dla starego profesora wykopaliska w Olimpii oznaczałyby ukoronowanie jego życia, a władze pruskie poczyniły już pewne starania o uzyskanie u odpowiednich władz zgody na wykopaliska w Olimpii.

„Moja propozycja — pisał Schliemann w liście do dyrektora muzeum w Schwerinie Friedricha Schliego, z którym łączyły go od dawna więzy przyjaźni — została przyjęta z radością w parlamencie, ale ministerstwo jest przeciwko mnie. Również tu moje osiągnięcia wywołują straszliwą zazdrość w środowisku archeologów, tak że Olimpia jako miejsce wykopalisk zostanie przekazana rządowi pruskiemu, który właśnie o to poprosił. Mnie zezwala się tylko na kopanie w Mykenach, i dlatego nie przekazę Grecji skarbów sztuki, czuję się urażony i nie zamierzam tu kopać...”

SCHLIEMANN CHCE OPUŚCIĆ ATENY

Kiedy Georgios Kaliphoumas, grecki minister spraw publicznych, przekazał decyzję pewnemu sobie Amerykaninowi, Schliemann dostał napadu wściekłości. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że rząd głosował przeciwko niemu. Ziemia, którą tak ukochał, państwo, któremu okazał tak wielkie zaufanie, nagle stały się mu nienawistne. I już wówczas, w lipcu 1873, Schliemann powziął decyzję, że poszuka dla skarbu Priama nowej ojczyzny gdzieś w Europie. A nawet nosił się z myślą opuszczenia Grecji.

Jego przyjaciel Friedrich Schlie kształcił się w Niemieckim Instytucie Archeologicznym w Rzymie. Był więc znakomicie zorientowany w stosunkach włoskich. Wściekły z powodu decyzji władz ateńskich, poprosił Schliemann dyrektora muzeum w Schwerinie o radę, czy ma się w przeszłości zwrócić ku Italii: „Myślę, że

jeśli zaproponuję rządowi włoskiemu wykopaliska na Sycylii, budowę wielkiego domu w Palermo albo w Neapolu, i przyrzeknę, że wszystko, co znajdę, zostawię na miejscu i zapiszę narodowi włoskiemu, również tam zostaną chętnie przyjęty; nie uważam przy tym wcale za konieczne obiecanie Włochom skarbu Priama. Natomiast zbiory trojańskie chętnie zapiszę narodowi włoskiemu, jeśli dojdę tam do porozumienia".

Jak poważnie Schliemann myślał o tym projekcie, dowodzi jego kolejny list do dyrektora muzeum w Londynie Charlesa T. Newtona; w liście tym wyraża pogląd, że dzięki wykopaliskom w Troi zyskał prawo do wdzięczności całego cywilizowanego świata, a szczególnie Grecji. „Dlatego zrywam z Grecją i w przyszłości zacznę kopać we Włoszech, gdzie z pewnością będę mile widzianym gościem..."

Reakcja Konstantynopola na kradzież złota trojańskiego była początkowo umiarkowana. R. A. Dethier, dyrektor Muzeum Cesarzskiego, z pochodzenia Niemiec, napisał do Schliemanna pojednawczy list. Nie wspominał ani słowem o skarbie Priama i tylko prosił o przekazanie kilku terakotowych sówich głów, które Schliemann wykopał w Troi. Ale Schliemann odrzucił prośbę. Zamiast tego zaproponował, że będzie kopał w Troi z ekipą 100 do 150 ludzi przez następne trzy miesiące i *wszystkie* znaleziska z tego okresu przekaze władzom tureckim. Pod jednym wszakże warunkiem: Turcja musi uznać jego prawo do wszystkich dotychczas znalezionych przedmiotów, a więc także do skarbu Priama.

Plan był zarówno prosty, jak i wyrafinowany, a ambasador amerykański w Konstantynopolu, George K. Boker, miał niejakie trudności w wyjaśnieniu go odpowiednim urzędom. Schliemann próbował zyskać przychyłość tureckiego ministra spraw publicznych Djevedda paszy, zwracając mu uwagę na fakt, że zna w Turcji co najmniej 500 miejsc, w których oplaca się prowadzić wykopaliska, i że jest gotów oddać do dyspozycji władz tureckich swoją wiedzę i siły.

Tymczasem sprawa Troi, przede wszystkim z powodu raportów Schliemanna w gazetach, nabrała w całym świecie posmaku skandalu. Władze tureckie nie mogły się zachować inaczej, jak tylko odrzucić wszelki kompromis z archeologiem. Na polecenie rządu minister wychowania wręczył Muzeum Cesarzskiemu w Konstantynopolu skargę przeciwko Amerykaninowi Henrykowi Schliemannowi. Żądanie, które zostało zawarte w skardze, brzmiało: zwrot skarbu albo jego równowartości w wysokości

625 tysięcy franków. Władze w Konstantynopolu zażądały ponadto od władz greckich konfiskaty wszystkich akcji Schliemanna, złożonych w Ateńskim Banku Narodowym, aż do decyzji sądu. Przychyłono się do wniosku.

Henryk Schliemann był w wystarczającym stopniu realistą, aby pojąć, że z własnej winy wplątał się w nadzwyczaj niebezpieczną sytuację. Musiał się liczyć z tym, że zostanie pozbawiony prawa do skarbu Priama. A przecież ów skarb stał się dla Schliemanna treścią jego życia. Zaczął więc rozważać nowy podstęp. Ale to, co początkowo było pomyślane jako pomocny wybieg, wkrótce wciągnęło archeologa w jeszcze większe tarapaty.

O tym, że Schliemann rzeczywiście prowadził nieuczciwą grę, świadczą dwa listy, które dopiero niedawno zostały odnalezione w Gennadios-Bibliothek „American School of Classical Studies”. W bibliotece tej przechowuje się całą pisemną spuściznę po Schliemannie, spośród której dotychczas przeczytano i opracowano naukowo jedynie część. Oba zadania, zarówno czytanie, jak i opracowanie naukowe, stawiają badaczy przed trudnym problemem wobec przytłaczającej liczby 80000 listów i pism znajdujących się w tym archiwum oraz wobec często trudnych do odczytania rękopisów Schliemanna, pisanych staroniemieckim pismem, a nadto pozostawionych w dwunastu językach.

STRASZLIWE PODEJRZENIE

Na światło dzienne wypływają wciąż nowe dokumenty, na które dotychczas nie zwracano uwagi, a te, jak się okazuje, mają wielkie znaczenie. Tak było z poniższą korespondencją w języku francuskim między Henrykiem Schliemannem i jego paryskim agentem E Beaurainem, który sprawował pieczę nad interesami bankowymi archeologa i troszczył się o wynajem jego 270 mieszkań w mieście nad Sekwaną. Oba listy rzucają na Schliemanna i skarb Priama straszliwe podejrzenie. Poniżej cytujemy oba listy*:

„Do rąk własnych!

Ateny, 28 czerwca 1873

Drogi monsieur Beaurain:

Jak się wydaje, opatrność niespodziewanie mnie nagrodziła za moją długoletnią, ciężką pracę w Troi, albowiem na kilka dni

* Oba listy przełożone z jęz. fr. na niem.; te z kolei — na jęz. polski (przyp. red.).

Straszliwe podejrzenie

przed odjazdem znalazłem skarb Priama: zbiór 60 kolczyków, 2 diademów, dużej butelki i trzech kubków z czystego złota, jak również wielu przedmiotów ze srebra o nieocenionej wprost wartości dla nauki.

Po opublikowaniu w gazetach wiadomości o znalezisku musiałem stwierdzić z ubolewaniem, że władze tureckie noszą się z myślą sądenia się ze mną o połowę tego skarbu. Napiszę o tym wszystkim w mojej książce, która ukaże się za kilka miesięcy. Oczywiście jestem w stanie sam obronić się przed sądem greckim. Wyjaśnię mu, że kupiłem ów skarb, i aby stać -etę sławnym, rozpowszechniłem wiadomość, iż znalazłem go w pałacu Priama. Teraz jestem bardzo zmartwiony i proszę Pana o informację, czy w Paryżu znajdzie się jakiś złotnik, któremu można w pełni zaufać. Tak bardzo, aby mu powierzyć zlecenie wykonania kopii wszystkich znalezionych przedmiotów. Powinny one wyglądać jak starożytnie i oczywiście nie mogą nosić żadnych znaków owego złotnika. Poza tym musi on zachować konieczne milczenie, wykonać pracę za możliwie przystępną cenę. Może potrafiłby nawet zrobić srebrną wagę z galwanizowanej miedzi, którą następnie dałoby się przyciemnić. Proszę, aby podczas pertraktacji mówił Pan cały czas o przedmiotach znalezionych w Norwegii, i niech Pan, na miłość boską, nie wymienia słowa «Troja».

Powtarzam, złotnik, do którego Pan się zwróci, musi być osobą absolutnie godną bezgranicznego zaufania. Z wyrazami szacunku dla Pana, monsieur,

H. Schliemann

Mam mnóstwo pracy, tak że przed końcem sierpnia nie przyjadę do Paryża".

Ten list Schliemanna stwarza okazję do wielu spekulacji. Nagłówek „Do rąk własnych” („Privee”), którego archeolog nigdy dotąd nie stosował, stanowi wyraźną wskazówkę, że sprawa jest delikatna. Co Schliemann zamierzał? Najbardziej zagorzali krytycy Schliemanna twierdzą, że skarb istniał tylko w jego fantazji i że kazał on wykonać złoto trojańskie według własnych rysunków.

Czy chciał zwrócić rządowi tureckiemu kopie skarbu, a oryginały zachować dla siebie? Albo może chciał — jak wzmiankuje w liście do Beauraina — przyznać się przed całym światem, że jest oszustem, że kazał wykonać skarb, aby stać się sławnym?

Druga możliwość z pewnością najmniej pasowała do charakteru Schliemanna. Nie należał on bowiem do ludzi, którzy przegrywają. A gdyby nawet przegrał, nigdy by się do tego nie przyznał. Przede wszystkim takie wyznanie oznaczałoby kres jego kariery jako archeologa.

Odpowiedź Beuraina nadeszła odwrotną pocztą i dotyczyła wysłanego dwa dni wcześniej listu Schliemanna w sprawie wynajmu pustych mieszkań.

Paryż, 8 lipca 1873

„Monsieur,

Mam zaszczyt donieść Panu, że otrzymałem oba Pańskie listy z 26 i 28 czerwca.

Na kilka dni przedtem, zanim otrzymałem pierwszy list, odwiedziłem puste mieszkania, a dziś zająłem się sprawą wspomnianą w drugim liście.

Jestem szczęśliwy, że Pańskie mozolne i długotrwałe wysiłki zostały ukoronowane sukcesem, i rozumiem Pańską radość. Myślę, że monsieur Froment-Meurice, złotnik i jubiler światowej sławy, daje gwarancję i dyskretną pewność, której Pan szuka. Spotkałem się z nim, nie informując go szczegółowo o sprawie, a on oznajmił, że jest gotów skopiować każdy przedmiot za przystępną cenę.

Oczywiście pragnę Panu powiedzieć, co ja sam bym zrobił na Jego miejscu, naturalnie nie biorąc odpowiedzialności, i chcę dodać, że w tak ważnej sprawie w każdym razie lepiej będzie, jeśli Pan przekaze te przedmioty osobiście, kiedy przyjedzie do Paryża. Jakiż by to miało sens, gdybym ja działał z całkowitą dyskrecją i ostrożnością, a następnie w jakiś głupi sposób Pańska tajemnica wyszłaby na jaw. Niewątpliwie pomyślałby Pan, że to ja nie zachowałem należytej ostrożności, a takie podejrzenie byłoby dla mnie bardzo przykre.

Mówiąc szczerze, taka jest moja opinia; ale niezależnie od tego jestem do Pańskiej dyspozycji, gotów wypełnić jak najlepiej Pańskie instrukcje.

Nie muszę podkreślać, że repliki nigdy nie będą uznane za oryginały. Nie potrafię ocenić, czy Pańskie najgorsze obawy, jakie Pan żywi wobec władz tureckich, są uzasadnione, albowiem nie znam przepisów prawnych tego kraju.

Poza tym nie mam na dziś nic więcej do zakomunikowania.

Strasliwe podejrzenie

Mamy tu Króla Królów i z tego powodu odbywają się wielkie uroczystości; im więcej, tym lepiej, albowiem to daje pracę i przynosi pieniądze naszym kupcom — potrzebują tego.

Monsieur, proszę przyjąć moje serdeczne pozdrowienia
P. Beaurain"

Złotnik Emile Froment-Meurice prowadził na rue St. Honore 372, w wytwornej dzielnicy, renomowany sklep. W eleganckim paryskim towarzystwie uchodził za najlepszą firmę, a jego dyskrecja była co najmniej tak samo pożądana jak jego złoto i klejnoty.

Beaurainowi bynajmniej nie było po myśli zlecenie jego patrona. Wolałby nie mieć nic wspólnego z planowanym oszukańczym manewrem Schliemanna. Odpowiadając Schliemannowi na list zabezpieczył się stosowną klauzulą. Bał się, że zostanie wciągnięty w wielki skandal, a na to jako bankier i makler mieszkaniowy nie mógł sobie pozwolić. Dlatego zaproponował Schliemannowi, aby ten sam pertraktował z Emilem Froment-Meurice'em.

Ale nie doszło do tego. Na podstawie listów można z całą pewnością wykazać, że Henryk Schliemann od czerwca 1873 do kwietnia 1875 nie opuścił Grecji. Być może uznał, że to zbyt wielkie ryzyko narażać skarb na tyle barier celnych. W końcu w Atenach było również wielu złotników wysokiej klasy.

W artykule zamieszczonym w gazecie „Levant Herald” konsul Frank Calvert wysunął twierdzenie, że Schliemann znalazł wprawdzie na wzgórzu Hissarlik wiele klejnotów, ale misy, dzbany i kubki ze szczerego złota kazał wykonać ateńskiemu złotnikowi. Calvert nie przedstawił jednak dowodów na to twierdzenie. Słyszeliśmy już, że konsul był skłócony z archeologiem; jednak wywody Calverta są warte analizy. Kiedy mianowicie Schliemann jesienią 1878 znów podjął prace wykopaliskowe w Troi, odkrył wówczas w innym miejscu następne kolczyki, porównywalne z tymi, które zostały znalezione w roku 1873. Nie odkopano jednak złotych naczyń, jak w przypadku skarbu Priama.

Czy Henryk Schliemann był oszustem, hochsztaplerem, człowiekiem, który nie cofał się przed niczym, kiedy chodziło o rozślawienie własnego imienia?

TRAFIŁ DO NIEMIEC

Nie czynię nikomu wyrzutów, jeśli przyjmuje odznaczenia albo je nosi.
Jestem nawet gotów pomóc każdemu porządnemu człowiekowi,
jeśli odczuwa potrzebę posiadania odznaczeń. O ile dobrze Pana zrozumiałem,
to pragnie Pan otrzymać order Pour le Merite. Jest to oczywiście
swego rodzaju gra w kości...

Rudolf von Virchow do Henryka Schliemanna

Odkrycie skarbu trojańskiego wydawało się Niemcom od samego początku podejrzane. Poważni i cenieni naukowcy przyjęli tę sensacyjną wiadomość z uczuciem zazdrości, wątpliwości i wyższości. Przede wszystkim profesorowie Ernst Curtius, Adolf Furtwangler i Ulrich von Wilamowitz-Moellendorf drwili z dyletanta w dziedzinie starożytności, który udał się w teren i usiłował za pomocą łopaty i dużego konta bankowego ukazać na nowo prahistorię i wczesny okres nowożytny. Schliemann był zdany na ich przychylność; wiedział, że bez nich nie znajdzie w Niemczech uznania.

Dnia 3 lutego 1872 pisał on do Ernsta Curtiusa: „Jeszcze raz proszę bardzo usilnie, aby mi Pan odpowiedział, co myśli o tych przedmiotach, i czy chciałby Pan, abym mu... co tydzień składał sprawozdania z moich prac... Nie brak mi bowiem ani czasu, ani energii, ani środków, brak mi jednak czasami dobrej rady takiego człowieka jak Pan...”

Curtius nie traktował tego dyletanta i jego skarbu poważnie. Jeszcze w roku 1877 nazwał on Schliemanna wobec barona von Biilowa łaciarzem, partaczem i oszustem; Curtius nie wierzył w Troję, lecz w Olimp.

Schliemann gorąco prosił Adolfa Furtwanglera (ojca kompozytora Wilhelma Furtwanglera), jednego z najślawniejszych archeologów XIX wieku, a od roku 1884 profesora w Berlinie, aby obejrzał jego trojańskie znaleziska, a przede wszystkim gliniane naczynia, „gdyż sądzę, że ceramika porównawcza jest równie ważna jak filologia porównawcza”. Furtwangler patrzył na to inaczej; profesor

pisa! do swej matki: „Schliemann jest i pozostanie na wpół obłąkanym i niezrównoważonym człowiekiem, który nie ma pojęcia, co w ogóle odkopuje... Mimo swej miłości do Homera jest w głębi serca spekulantem i człowiekiem interesu i nigdy się od tego nie uwolni”.

Nawet Ulrich von Wilamowitz-Moellendorf, najpopularniejszy i najnowocześniejszy filolog klasyczny swej epoki, nie znalazł dla Schliemanna dobrego słowa. W liście do rodziców pisze on: „Pytacie mnie o skarb Priama, więc zamiast wierzyć bzdurom, lepiej posłuchajcie prawdy. Królestwo Priama znajduje się bowiem w tej samej krainie co niebiańska Jerozolima, piekło Dantego, Lasy Czeskie Schillera, zamek króla Leara i owa Islandia, gdzie rządzi Brunhilda...”

W ten sam ton uderza powstały w roku 1848 berliński tygodnik satyryczny „Kladderadatsch”, kiedy pisze na temat odkrycia złotego skarbu:

„Jak się dowiadujemy, pan Henryk Schliemann rozszerzył swe badania na teren dawnego obozu greckiego pod Troją i również tu opatrzność nagrodziła jego pracę powodzeniem. Z wielu znalezionych przedmiotów wymieniamy najbardziej interesujące dla laika:

1. Dyszel wozu wraz z batem, pochodzący oczywiście z wozu, którym Atena często jeździła do obozu greckiego.

2. Pudełko egipskich zapalek, odznaczonych na międzynarodowej wystawie w Memfis w roku 1400 przed Chr., którymi Achilles podpalił stos Patroklesa.

3. Wiele instrumentów chirurgicznych oraz 2 butelki z napisami „do użytku zewnętrznego, apteka Machaona w Troi”, bez wątplenia z czasów obu lekarzy (Machaon jest synem Asklepiosa, jednym z lekarzy, którzy, jak podaje *Iliada*, obsługiwali walczących pod Troją Greków).

4. Bombonierkę z napisem „Parys” oraz znajdującym się w środku wizerunkiem kobiety, pod którym widnieje podpis „La belle Helenę”, a którego pierwsze słowa pozostają dotychczas niejasne. Jest to niewątpliwie zdobycz pochodząca z mieszkania Parysa; podarował on ją kiedyś swej żonie, a łupieżca odrzucił jako coś bezużytecznego”.

Ale nie dość tego. W tym samym roku ten sam tygodnik — a prasa w ubiegłym stuleciu zajmowała tak ważną pozycję jak

dziś telewizja — szydził ze Schliemanna, drukując „prywatny telegram”: „Nadawca: Dr Schlaumann [chytus]: Właśnie odnalazłem w Renie skarb Nibelungów i omal przy tym nie utonąłem, ale dzięki opatrności zostałem uratowany.

Niestety, podczas przenoszenia skarbu w pledzie mojej żony zrobiła się dziura, tak że dziesięć złotych noży długości jednego metra wpadło z powrotem do Renu. Ponadto znalazłem koronę króla Alberyka i, co szczególnie osobliwe, fotografię Zygfrйда, zrobioną od tyłu i ukazującą owo słynne miejsce, w które jedynie można go było zranić. Dalsze szczegóły nastąpią!"

ZE SCHLIEMANNEM BYŁO PODOBNI JAK Z RYSZARDEM WAGNEREM

Nietrudno sobie wyobrazić, jak głęboko owe żarty raniły tego sentymentalnego, dbającego o swą sławę i pedantycznego autobiografa. Oto wyzebrał dla siebie tytuł doktora filologii, można by powiedzieć, że go wymusił, a nawet kupił, i mimo to Niemcy traktowali go jak głupca, jak naukowego parweniusza, jak małego, nędznego dorobkiewicza. „Widoczne braki Schliemanna, jeśli chodzi o wykształcenie archeologiczne — twierdził ze współczuciem kolega odkrywcy, Artur Evans — były dla systematycznych Niemców czymś irytującym". Ze Schliemannem było podobnie jak z Wagnerem, jedna połowa Niemców go kochała, a druga nienawidziła; nikt nie był wobec niego obojętny.

Jak musiał cierpieć ten człowiek, który nawet swoje prywatne listy redagował w napuszonej niemczyźnie i przed ich wysłaniem sporządzał kopie, aby zachować je dla potomności. Jak musiał cierpieć, kiedy „Frankfurter Zeitung" odrzuciła przesłany przezeń artykuł, w którym udowadniał powagę swych działań, albo kiedy wspomniany już tygodnik satyryczny skrytykował wierszem jego odkrycia:

Znalazłem mój skarb, raduje to mnie!
Hurra! Schliemannie, niech żyje Homer!

Nie po raz pierwszy Henryk Schliemann popadł w depresję i zwątpił w siebie i w swą pracę. Powiadomił wydawcę Brockhousa, że wrogość, na jaką narażony jest od lat w Niemczech, sprawiła, iż wolałby zapomnieć niemiecki język.

Schliemann chciał w ten sposób jedynie prowokować. W głębi serca bowiem pałał chęcią opublikowania swych naukowych osiągnięć właśnie w Niemczech, w starej ojczyźnie. Ponieważ Brockhaus nie bardzo wierzył w powodzenie dzieła o wykopaliskach w Troi — archeologia nie zajmowała jeszcze wówczas takiej pozycji jak po wykopaliskach w Pergamonie i Olimpii — toteż nie spieszył się z opublikowaniem pracy Schliemanna pt. *Bericht uber die Ausgrabungen in Troja in den Jahren 1871 bis 1873* (Sprawozdanie z wykopalisk w Troi w latach 1871-1873). Dopiero kiedy Schliemann przyrzekł sfinansowanie całego nakładu w liczbie jednego tysiąca egzemplarzy, zgodził się i książka ukazała się 1 stycznia 1874.

Schliemann polecił fotografowi ateńskiemu Panago Zaphyropoulosowi wykonać ponad 100 tysięcy zdjęć do przygotowywanego dodatkowego tomu zawierającego ilustracje. Było to bardzo drogie przedsięwzięcie, przy ówczesnych cenach produkcji. Ostatecznie sprzedano mniej niż 500 egzemplarzy.

Schliemann zbierał tylko słowa krytyki. Kręgi fachowców wytykały nienaukowy charakter jego publikacji, a szeroka publiczność, dla której właściwie Schliemann przeznaczył książkę, uważała ją za nudną; podobnego zdania byli recenzenci. We Francji, gdzie odkrywca opublikował raporty również za własne pieniądze, reakcja czytelników była podobna. Anglia — kraj, w którym amatorzy przygód cieszyli się większym uznaniem niż gdzie indziej, stanowiła ostatnią nadzieję dla Schliemanna, pragnącego powszechnego szacunku i imponowania innym; nie Grecja, dla której sławy nieustannie pracował, jak zapewniał w liście do ministra kultury.

Grecy obeszli się surowo ze Schliemannem, potraktowali go jak kryminalistę, otoczyli jego dom w Atenach i przeszukali, chcąc znaleźć wykopane przedmioty, tylko dlatego, że ambasador Turcji w Atenach zażądał podjęcia odpowiednich kroków, kiedy rozeszła się wieść o zagarnięciu skarbu.

Niezależnie od odkopania antycznej Troi, jej murów i fundamentów, „plon” Schliemanna obejmował prócz złotego skarbu także znaleziska znacznie liczniejsze i o większej wartości kulturowej i historycznej; były to ceramiczne i z brązu naczynia użytkowe oraz broń — wszystko zgromadzone w blisko 300 koszach i wielu skrzyniach, których zawartość wystarczyłaby, aby zapełnić całe muzeum.

Odkrywca Troi planował początkowo utworzenie w Atenach muzeum Henryka Schliemanna. Chciał podarować państwu grec-

kiemu niezbędną do tego celu kwotę 200 tysięcy franków w zlocie. Przypuszczał, że jego oferta wprawi rząd w Atenach w zachwyt, ale gorzko się rozczarował. Minister kultury odpowiedział w przyjaznym tonie, który jednak brzmiał prawie tak, jakby drwił on z wielkodusznej propozycji. „Z podziwem przeczytaliśmy Pańską ofertę i wnikliwie przeanalizujemy możliwości skorzystania z niej... gratulujemy Grecji jej obiektów starożytności, które odkryli mężowie Pańskiego formatu”.

Schliemann poczuł się obrażony, co więcej, wściekł z powodu afrontu, jaki spotkał go w Grecji. Trudno przy tym uwierzyć, że nie rozpoznał on politycznego tła takiej właśnie reakcji — odwiecznego konfliktu między Grecją i Turcją. W odrzuceniu swojej propozycji widział on najwidoczniej jedną tylko przyczynę: w Atenach nie powinno powstać muzeum jego imienia, a to właśnie stanowiło jego jedyny warunek, od którego nie zamierzał odstąpić. Schliemann wierzył, że „zazdrość wszystkich uczonych greckich nie ma granic i najchętniej by mnie ukrzyżowali, przypieklili i przebili dzidą”.

UWIELBIANY W ANGLII, POGARDZANY W NIEMCZECH

Jego sprawozdania w londyńskim „Timesie” wzbudziły o wiele większą uwagę aniżeli identyczne artykuły w prasie niemieckiej. W każdym razie cieszące się dobrą renomą Society of Antiquaries in London zaprosiło Schliemanna do wygłoszenia odczytu; to elitarnie stowarzyszenie, którego członkami byli bądź co bądź tak wielcy mężowie jak Charles T. Newton, dyrektor British Museum, i William E. Gladstone. Gladstone, „the grand old man”, w latach 1868-1874 szef rządu brytyjskiego, piastujący następnie z przerwami jeszcze trzykrotnie ten urząd, był wybitnym filologiem klasycznym i znawcą Homera. W roku 1858 opublikował trzytomowe dzieło pt. *Studies on Homer and the Homeric Age*.

Fakt, że właśnie Gladstone powitał przybyłego na odczyt Schliemanna w Burlington House, gdzie podano również herbatę, wspomniał przemówieniem, nie doceniany uczyony musiał przyjąć jako wyrównanie krzywd. Do jednej z niemieckich gazet napisał: „Ubiegłego roku podejmowano mnie w Londynie przez siedem tygodni, jak gdybym zdobył dla Anglii nową część świata; jakże inaczej w porównaniu z Niemcami, gdzie słyszałem jedynie obelgi cechowych uczonych i napotykałem na wrogość ze wszystkich

stron, a szczególnie ze strony pruskich lub zaprzędanych Prusom dzienników".

W Maxie Mullerze, profesorze z Oksfordu niemieckiego pochodzenia, który zainteresował się jego pracami, znalazł Schliemann życzliwego przyjaciela. To właśnie Muller namówił go, aby skarb Priama pokazać najpierw szerokiej publiczności angielskiej, gdyż jedynie w ten sposób jego praca mogła przynieść pozytywne rezultaty, a na tym Schliemannowi szczególnie zależało.

Schliemann zwlekał jednak, mimo że Anglicy szli mu na rękę, gdyż w głębi serca pragnął wystawienia owych skarbów w Berlinie. Tam jednakże miał przeciw sobie wszystkich czołowych uczonych i twórców opinii publicznej, a przede wszystkim papieża starożytności Ernsta Curtiusa, który obawia! się, nie bez racji zresztą, że niekonwencjonalny odkrywca i przebiegły autobiograf mógłby zaciąć jego osobę i jego życiowe dzieło.

Ernst Curtius, historyk, archeolog, filolog i wychowawca późniejszego cesarza Fryderyka III, miał mianowicie przed oczami ten sam cel, który przyświecał Schliemannowi: chciał odkopać Olimpię. Chociażby z tego powodu obaj mężowie od samego początku stali się rywalami, jeśli wręcz nie wrogami. W każdym razie ów ceniony berliński profesor nie zostawiał suchej nitki na dyletancie z Ankershagen w Meklemburgii i nie chciał nawet zapoznać się z rezultatami jego badań.

Jakże inaczej było w Anglii; tam Gladstone, o wiele sławniejszy niż Curtius polityk i badacz, polubił tego człowieka, który własnymi siłami został archeologiem, i wprowadził go do ekskluzywnego londyńskiego towarzystwa. Schliemann odżył; poczuł, że jest kimś, o czym marzył od wielu lat.

„Nigdy w życiu — pisał do żony Zofii do Aten — nie widziałem takiego bogactwa strojów i pomieszczeń, tu spotyka się cała londyńska arystokracja. Zawarłem wiele znajomości, gdyż Gladstone wszystkim mnie przedstawiał. Wreszcie o godzinie pierwszej w nocy podano obiad, który kosztował co najmniej 20 tysięcy franków; wyobraź sobie: było nawet w bród wspaniałych winogron!"

Mając wokół siebie tylu entuzjastów Schliemann skorzystał z okazji, aby osobiście zemścić się na berlińskiej klice uczonych, i zgodził się wystawić swój skarb najpierw w londyńskim South Kensington-Museum. Realizacja tego zamierzenia wymagała jednak znacznego czasu, tak że od odkrycia do wystawienia skarbu minęły cztery lata. W listopadzie 1877 roku Schliemann dokonał osobiście prezentacji swego skarbu w 24 gablotach; jak się należało

spodziewać, wystawa wywołała sensację i cieszyła się ogromnym powodzeniem.

Schliemann został honorowym członkiem najznakomitszych kół towarzyskich; jego nazwisko pojawiało się na szpaltach londyńskich pism plotkarskich, a ta forma popularności była dla niego równie cenna jak sam skarb, który uczynił go sławnym. Do żony pisał: „Jestem nadal lwem sezonu, a Ty byłabyś lwicą”.

Ten lew salonowy z dumą informował, iż jedna z agencji prasowych zrobiła mu zdjęcia i zapłaciła nawet 40 funtów za prawo ich opublikowania. Malarz Sydney Hodge, jeden z najsławniejszych portrecistów, malujący członków wytwornego towarzystwa, poprosił Schliemanna, aby zechciał mu pozować („oczywiście bez honorarium”). Namalował on odkrywcę dla Royal Academy, mając nadzieję, na podstawie mniemania swego modelu, że zdobędzie sławę, jeśli wykona portret wielkiego Schliemanna.

Wydaje się, że rachunki Schliemanna wyrównały się. Skarb Priama uczynił go sławnym, po raz pierwszy nie musiał kupować sobie popularności. Stał się teraz popularny i pławił się bez reszty w sławie. Lordowie i księżęta zapraszali go na obiady i herbatki, a z jego listów pisanych z Londynu wynika, że był to najszcześniejszy okres w jego życiu.

Dla cieszenia się w pełni podziwem, jakim go otaczano, brakowało mu jedynie Zofii u boku. Ona jednak jak zwykle niedomagała i nie chciała opuszczać Aten. Trzeba było wielu listów i telegramów z podaniem dokładnych informacji dotyczących kolejowego i morskiego rozkładu jazdy, aby skłonić ją do podróży do Londynu; Schliemann przy tym wyraźnie zalecał Zofii, by przed podróżą skorzystała z kąpieli morskich — mimo lodowatej wody.

Schliemann obiecywał Zofii szczególne honory, nie szczędził wzmianki, że może wiele osiągnąć jedynie przy pomocy żony; przypuszczał nawet, że nadanie mu honorowego odznaczenia przez Royal Archaeological Society zależne jest od jednoczesnego nadania odznaczenia również żonie. Zofia przybyła zatem do Londynu, a Schliemann uczcił jej przybycie zainscenizowaniem znakomitego show.

Było to dnia 8 czerwca 1877 roku. Sala biblioteki Towarzystwa była dyskretnie oświetlona. Wokół wielkiego kwadratowego stołu, na którym stały wysokie lampy gazowe, roztaczające z sykiem swe światło, siedzieli dostojnicy. Henryk i Zofia zajęły miejsca z tej strony stołu, która zwrócona była do publiczności. Ponad tysiąc par oczu oglądało to widowisko. Henryk Schliemann, pięć-

dziesięciosześcioletni mężczyzna, w czarnym surducie z cwikiem na nosie czytał swój wykład. Ale większe zainteresowanie niż jego wywody wywołało wśród obecnych wystąpienie dwudziestosześcioletniej Zofii; czytała ona po angielsku tekst, który ukazywał jednocześnie charakter Henryka Schliemanna.

Z wdziękiem i prostymi słowami Zofia przedstawiała prace wykopaliskowe swego męża widziane oczami kobiety, której przypadło ważne zadanie nadzorowania wielkiej gromady robotników. Zakończyła ona odczyt wezwaniem skierowanym do słuchaczy angielskich, aby swe dzieci uczyli języka nowogreckiego, a następnie greki klasycznej.

Mimo iż wystąpienia Schliemannów w Londynie miały niekiedy niemiły posmak, kiedy na przykład Zofia na bankiecie greckim zjawiała się w wieńcu laurowym na głowie, to jednak był to wielki sukces, zarówno towarzyski, jak i naukowy, który został zauważony również w Berlinie.

MĄDRE POSUNIĘCIE VIRCHOWA

Od czasu pobytu w Niemczech w sierpniu 1875 roku Schliemann miał w Berlinie oprócz krytyków również przyjaciela — lekarza, fizjologa i polityka Rudolfa Virchowa. Obaj mieli ze sobą wiele wspólnego, nie tylko w wyglądzie zewnętrznym — byli niskiego wzrostu — pochodzili też z warstwy drobnomieszczańskiej i obaj osiągnęli sławę. Toteż szybko się zrozumieli. Virchow, tak jak i Schliemann, kochał Homera, a w jego zachowaniu wobec odkrywcy Troi nie było śladu arogancji, jaka spotykała go ze strony większości berlińskich profesorów.

Dlaczego Schliemann tak cenił Virchowa?

Virchow pochodził ze środkowego Pomorza, jego rodzice byli równie biedni jak rodzice Schliemanna, i aby móc studiować bezpłatnie, wybrał zawód lekarza wojskowego. Zawód ten nie cieszył się wprawdzie zbyt dużym uznaniem, ale dzięki wybitnym osiągnięciom naukowym, szczególnie w dziedzinie patologii, Virchow szybko zrobił karierę. W okresie, kiedy Schliemann osiągnął w St. Petersburgu szczyty swej finansowej kariery, renomowany już lekarz o sławie międzynarodowej stworzył w Berlinie pierwszy instytut patologii.

Jedynie, co tych dwóch ludzi dzieliło, to polityka. Schliemann był całkowicie apolityczny, Yirchow natomiast uchodził za zdekla-

rowanego republikanina. „Jako przyrodnik — mówił Virchow — mogę być tylko republikaninem, gdyż realizacji żądań, jakie wynikają z praw, jakie wynikają z natury człowieka, można dokonać jedynie w republikańskim ustroju państwowym”. Virchow, liberał, poseł do parlamentu pruskiego i członek niemieckiego Reichstagu, uchodził za zdecydowanego przeciwnika Bismarcka.

W stosunkach ze Schliemannem czuł się on nawet powołany do udzielania mu rad małżeńskich: „Pańską żonę — pisał po powrocie z Troi — pozostawiłem w stanie stałego rozdrażnienia. Pragnie ona Pańskiego pilnego powrotu i już teraz obawia się, że w ciągu lata znów ją Pan opuści. Ośmielam się Panu poradzić, aby zdecydował się Pan poświęcić jej więcej czasu. Czuje się Ona istotnie opuszczona, mając wokół siebie tylko chorowitych i znerwicowanych krewnych; brak jej także przyjemnych i nie denerwujących rozrywek. Ponieważ weszła Ona do wielkiego świata i zaczęła mieć dzięki Panu większe wymagania, musi Pan teraz zacząć prowadzić bardziej ożywione życie towarzyskie...”

Nikt z rodziny Schliemanna nie pozwoliłby sobie na taką krytykę jego pożycia małżeńskiego, ale archeolog ją zaakceptował, nie biorąc jednak zbyt mocno do serca. Przez wiele lat Virchow był rzecznikiem Schliemanna w Niemczech, odkrywca wysyłał do niego listy, niekiedy pełne litości nad samym sobą.

Dnia 15 sierpnia 1876: „Polecam Pańskiej uwadze mój artykuł pt. *Tiryns*, wysłany do londyńskiego «Timesa», który ukaże się w przyszłym tygodniu. Od rozpoczęcia wykopalisk w Olimpii dzienniki niemieckie wspominają moje nazwisko jedynie w złym kontekście, publikują tylko obelżywe słowa przeciwko mnie i zdecydowanie wzbraniają się zamieszczać moje odpowiedzi, pisują więc tylko do «Timesa» i od czasu do czasu do «Academy»; również moją pracę na temat Tirynsu napisałem po angielsku, gdyż w Anglii uważają mnie i kochają”.

Odpowiedź Virchowa z dnia 11 stycznia 1877: „Myślę, że Pańskie skargi na niemiecką prasę nie są w pełni uzasadnione; być może, iż jej część jest nastawiona negatywnie, ale wydaje mi się, że na ogół wszyscy starają się zachować obiektywizm, i proszę być pewnym, że ogólne zainteresowanie skierowane jest na Pana. My wszyscy, którzy sami zajmujemy się pracami badawczymi, jesteśmy radzi, że wreszcie jakiś badacz jest szczęśliwy na tym tak bardzo przekopanym terenie, i gratulujemy Panu z całego serca Pańskich wyników”.

Tymczasem w Berlinie zrozumiano, że popełniono błąd, pozwalając Schliemannowi na wystawienie skarbu w Londynie. Virchow podjął się skleić porcelanę, którą rozbito wskutek aroganckiego zachowania Curtiusa. Przebiegły Virchow wiedział dokładnie, w jaki sposób można odzyskać sympatię Schliemanna dla Berlina. Był on członkiem Deutsche Anthropologische Gesellschaft; nie wymagało zbyt wielkiego talentu, aby przekonać szacowne gremium komitetu o „konieczności” mianowania Schliemanna honorowym członkiem.

Co prawda antropologia, nauka o człowieku, miała z badaniami Schliemanna tyle wspólnego co skarb Priama z ostatnim królem Troi, czyli nic; ale to pierwsze wyróżnienie przyznane zyskującemu tymczasem sławę odkrywcy w Konstancy, w 1877 roku, na wrześniowym posiedzeniu Towarzystwa, znakomicie nadawało się do pomnożenia sławy samego Towarzystwa. W archaizowanym języku oraz po łacinie prezydium chwaliło „twórczą energię i żarliwe pragnienie poznania”, dzięki czemu „Schliemann położył wielkie zasługi w dziedzinie badania okresu wczesnohelleńskiego i eposów Homera”.

Nie można przecenić znaczenia mądrego posunięcia Virchowa, gdyż przyniósł on zmianę sposobu myślenia Schliemanna w jego stosunku do Niemiec i dalszy rozwój ich wzajemnej sympatii. Virchow spowodował, że Schliemann został uznany za godnego odznaczenia, a człowiek ten niczego tak bardzo nie pragnął jak orderów i zaszczytów. A patrząc na sprawę krytycznie, nawet skarb Priama był przecież także błyszczącym odznaczeniem, które Schliemann najchętniej przypiąłby sobie do piersi.

Tymczasem dobiegł końca proces, który rząd turecki wytoczył Schliemannowi z powodu nielegalnego wywozu przedmiotów pochodzących z wykopalisk. Obciążono go karą w wysokości 10 tysięcy franków, a zatem wyrok był dla niego nader korzystny. Mógł bowiem zatrzymać całkiem legalnie skarb; okoliczność ta okazała się bardzo ważna. Wspaniałomyślnie, gdyż taki już był, jeśli chodziło o wielkie sumy (w drobnych był raczej skąpy), przekazał Schliemann ministrowi tureckiemu Safwedowi paszy 50 tysięcy franków dla Muzeum Cesarskiego w Konstantynopolu. Rząd turecki przyjął dar z podziękowaniem, a skarb w aspekcie prawa międzynarodowego należał już do Schliemanna.

Dopiero teraz widać wyraźnie, jak przezornie postąpił Schliemann, zabierając skarb na wystawę do Anglii. Proces mógł przecież zakończyć się całkiem inaczej i odkrywca musiał się liczyć

z ewentualnym wyrokiem nakazującym mu wydanie złota. To nie wchodziło w ogóle w rachubę. W Anglii, w której nie znano całej sprawy, Schliemann mógł być pewny zachowania skarbu. Obecnie, po wyroku tureckiego sądu, nie potrzebował się już martwić o swój stan posiadania.

Wystawa londyńska stała się magnesem dla publiczności, ale odkrywca zdawał sobie od początku sprawę, że skarb nie może tu pozostać i że powinien mu przysporzyć sławy tam, gdzie dano mu się najbardziej we znaki i gdzie najbardziej owej sławy pożądał: mianowicie w Niemczech.

Zapoznany geniusz, niezwykle bogaty, sławny na cały świat, bywały w najlepszych sferach, zachowywał się na zmianę jak lizus lub jak barbarzyńca, jeśli chodziło o najważniejszą dla niego sprawę. Czyż mogło mu zależeć na bezimiennych gabinetowych uczonych, na wydawcach mało poczytnych gazet? Tylko rzadko i tylko na krótko potrafił on wykazać ową wielkość i opanowanie właściwe wybitnym osobowościom, wówczas kiedy pisał, że Neron był równie jak on szkalowany i że taki jest los ludzi wybranych.

Ale już po chwili żalił się monachijskiemu uczonemu w dziedzinie starożytności Henrykowi von Brunnowi, który wyraził się krytycznie o jego słabościach: „Byłbym Panu wielce zobowiązany, gdyby zechciał mi Pan wyjaśnić, na czym polegają moje słabości, co umożliwiłoby mi wyeliminowanie ich; trudno jest bowiem poznać samego siebie. Jestem przekonany, że nigdy się nie skompromitowałem, i liczyłem w końcu na uznanie w mojej ojczyźnie. Jest Pan dla mnie najwyższym autorytetem i Pański osąd przyjmę za dogmat. Jeśli mi Pan nie odpowie, zniechęci mnie Pan na zawsze”.

Albo też skarżył się do wydawcy „Jenaer Literaturzeitung”, która określiła jego książkę o Troi jako „mącą w głowach blagę”. „Czuję się zmuszony odpowiedzieć Panu i proszę o natychmiastowe opublikowanie owej odpowiedzi w Pańskim piśmie w nie zmienionej formie; zwrócę Panu koszty publikacji, a od niniejszego miesiąca zamówię abonament Pańskiej gazety. Jeśli jednak nie zamieści Pan mego artykułu w nie zmienionej formie, co będzie oznaczało, że akceptuje Pan najokropniejsze świństwa skierowane przeciw mnie, to nie uzyska Pan ode mnie ani mojego wielkiego dzieła, ani nie zaabonuję Pańskiego pisma, i nie chcę Pana więcej znać”.

Mimo iż czas trwania wystawy skarbu w Londynie nie był z góry ustalony, przedsięwzięcie zakończyło się dość nieoczekiwanie po trzech i pół roku. Anglicy, podobnie jak Niemcy, byli zdziwieni, kiedy Schliemann oznajmił, że chce, być może pod pewnymi warunkami, podarować skarb Priama narodowi niemieckiemu.

Latem 1880 roku zakończył on pracę nad książką pt. *Ilios*, która parę miesięcy później ukazała się w Niemczech i w Anglii; tym razem jednak, inaczej niż dotychczas, Schliemann zyskał niespodziewanie uznanie w Niemczech, podczas gdy zaatakowało go kilka dzienników angielskich. Schliemann skarżył się rozgoryczony swemu przyjacielowi Virchowowi:

„W «Athenaeum», gazecie liverpoolskiej, oraz w dwóch innych, w tym w «Timesie», ukazały się wspaniałe, pochlebne recenzje z mojej *Ilios*; natomiast «Daily News», «Pall Mail Gazette» i «Saturday Review» zamieściły okropne i obelżywe artykuły, w których w bezczelny sposób wyśmiano moją książkę; szczególnie «Saturday Review» kpił sobie, że odnalazłem puchar z dwoma uchwytyami z epoki Homera, i wypisywał różne inne podobne rzeczy. Ale cały świat będzie mi wdzięczny za to, że dokonałem właściwej interpretacji znaleziska, albowiem tę interpretację przyjęto już w Niemczech”.

Ponadto Max Muller, profesor sanskrytu na uniwersytecie w Oksfordzie i ekspert w dziedzinie filologii porównawczej, który dotychczas zaliczał się do przyjaciół Schliemanna, napisał mu, że nadal żywi podziw dla jego działalności wykopaliskowej, nie podziela jednak jego homeromanii. Z przeciwnego obozu życzliwe słowa znalazł dla niego nawet Curtius. Ten berliński profesor prowadził z powodzeniem prace wykopaliskowe w Olimpii i teraz sam się przekonał, jak trudno jest się przebić przez mur nieuzasadnionych krytyk.

Virchowowi przypadła zatem kluczowa rola w sprawie wyrażanego przez obie strony zamiaru przeniesienia skarbu Priama do Niemiec. Przyjaźń obu mężczyzn jeszcze bardziej się zacieśniła dzięki udziałowi Virchowa w roku 1879 w pracach wykopaliskowych w Troi. Teraz jednak Schliemann wykorzystał wielkiego uczonego dla swych celów w niezbyt honorowy sposób. Nie ukrywano oczywiście przed Virchowem, że Schliemannowi chodziło o to, aby go wciągnąć do sprawy; Virchow chciał jednak bronić możliwości

przeniesienia skarbu Priama do Niemiec, a zatem musiał prowadzić w pewnym sensie podwójną grę.

Schliemann powiadomi! Virchowa, że jest gotów dostarczyć skarb „wolny od wszelkich opłat” jednemu z berlińskich muzeów i pozostawić go jako dar dla niemieckiego narodu. Wysunął jednakże żądania niemal nie do spełnienia, które w miarę upływu czasu wciąż zwiększał.

Dokładnie kalkulując, ten genialnie targujący się człowiek postawił następujące warunki: wydawcy Edward i Arnold Brockhausowie, którzy tymczasem stali się jego admiratorami, mieli z początkiem 1881 roku podać do publicznej wiadomości zamiar Schliemanna dotyczący darowizny. Następnie Virchow miał przekonać magistrat berliński, że Schliemann jest idealnym kandydatem do przyznania mu honorowego obywatelstwa miasta. „Kiedy stanie się powszechnie wiadomy fakt darowizny, wywoła to sensację i wówczas zniknie wszelka zazdrość; dlatego radzę Panu to wykorzystać w celu przyznania mi honorowego obywatelstwa miasta, albowiem teraz jest to łatwe, później zaś może być już trudniejsze”.

Dotychczas stolica Cesarstwa Niemieckiego przyznawała honorowe obywatelstwo jedynie wielkim naukowcom. Byli wśród nich Alexander von Humboldt, który otrzymał obywatelstwo w 1856, oraz w rok później August Boeckh. Schliemanna przypuszczalnie podniecała chęć zrównania się z wielkim Alexandrem von Humboldem. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że była to bardzo wysoka cena; ale zaznaczył, że przecież również on sam wydał swój majątek (16 tysięcy funtów — równowartość pięciu albo sześciu domów), aby zdobyć skarb Priama i resztę znaleźć. Musiał prowadzić tasiemcowy proces, który kosztował go 150 tysięcy franków (łącznie) z „ukrytymi kosztami” oraz grzywną). Deputowani miasta, którzy będą w tej sprawie decydować, powinni mieć na względzie to, że Schliemann w głębi serca jest Niemcem, ale posiada paszport amerykański i wskutek darowizny może „poróżnić się z narodem amerykańskim”.

WCIAŻ NOWE WYMAGANIA

Schliemann chciał jeszcze więcej. Na przyjęciach i kolacjach występował nadal z „nagą piersią”, bez orderu. Dlatego nalegał na Virchowa, aby ten wstawił się za nim u cesarza, aby go poprosił o przyznanie mu orderu Pour le Merite; Max Muller otrzymał

już taki order, a Virchow miał dobre kontakty z domem cesarskim. Uzyskanie orderu dla tego parweniusza-egoisty okazało się łatwiejsze aniżeli znalezienie większości wśród 126 deputowanych, która byłaby gotowa przyznać Schliemannowi honorowe obywatelstwo.

Virchow starał się wytłumaczyć łagodnie swemu trudnemu przyjacielowi, że magistrat i deputowani miejscy to „ociężałe ciała” i trzeba nabrać głębszego oddechu, aby zagrzać ich do takiej akcji. „Muszę stwierdzić, że moim zdaniem byłoby najlepiej, gdyby ową najwyższą nagrodę stolicy Rzeszy nadano przy okazji otwarcia dla publiczności wystawy Pańskich zbiorów”.

Tak oto Rudolf Virchow robił plany, nie licząc się z chytrym kupcem i szczwanym dusigroszem; Schliemann wprowadził bowiem do gry swą stale niedomagającą żonę Zofię, która chciała zatrzymać skarb Priama w Grecji i trzeba było użyć silnej argumentacji, aby nakłonić ją do darowania skarbu Niemcom.

„Paryż, 6 stycznia 1881,
Grand Hotel; 12, Boulevard des Capucines.
Szanowny Przyjacielu.

Jak już Panu mówiłem, żona moja domagała się, abym zbiory trojańskie przywiózł do Aten i ozdobił nimi nasz palazzo. Wiadomość o podarowaniu skarbu narodowi niemieckiemu doprowadziła ją do rozpacz; dała temu wyraz w codziennych telegramach. Ponieważ jest bardzo cierpiąca i nerwowa, obawiałem się najgorszego. Wie Pan, jak niewiele znaczą dla mnie ordery, ale w grę wchodzi tu życie mojej żony i całe moje rodzinne szczęście... Proszę przeto spowodować, aby miasto Berlin nadało obywatelstwo honorowe mojej *żonie* i mnie i proszę uczynić wszystko, aby załatwiono dla mnie w miarę możliwości jakieś odznaczenie, ratując w ten sposób moją żonę i moje szczęście rodzinne...”

Nie mając jeszcze przyrzeczenia, że zostanie order, Schliemann nagle zaczął się bardzo spieszyć z wywiezieniem swego skarbu z Londynu. Dowiedział się bowiem, że zbyt wielu pracowników muzeum miało klucze do szaf i gablot zawierających skarb Priama; obawiał się przeto kradzieży. Obawy te nie były bezpodstawne, gdyż istotnie w ubiegłym stuleciu w Londynie dokonano wielu spektakularnych kradzieży, a skarb Priama nie był ubezpieczony.

Całkiem niespodziewanie Schliemann zlecił firmie spedycyjnej Elkan i Sp. transport skarbu do Berlina. Do naczelnego dyrek-

tora muzeów berlińskich Richarda Schónego napisał w całkowitej tajemnicy: „Skarb... jest ubezpieczony na sumę 4 tysięcy funtów, podobnie jak reszta przedmiotów, mimo iż ich wartość jest stokrotnie większa”. Nie wiadomo, czy wysokość tej kwoty wynikała ze skąpstwa Schliemanna, czy też towarzystwo asekuracyjne odmówiło ubezpieczenia transportu morzem.

Dnia 17 stycznia 1881 40 skrzyń zawierających skarb Priama oraz ceramikę trojańską dotarło do Berlina w całkowitej tajemnicy. Schliemann w tym czasie przebywał znów w Atenach, a Richard Schóno zadeponował: „40 skrzyń dotarło w porządku, złote przedmioty zdeponowano w Banku Rzeszy, pozytywne załatwienie całej sprawy bliskie. Schóno”.

Zgodnie z życzeniem Schliemanna skarb Priama miał być udostępniony publiczności dopiero latem 1881 roku. Wprawdzie dla skarbu przewidziano osobne pomieszczenie w nowym Muzeum Etnologicznym, które miało nosić imię Schliemanna, ale wykończenie tego muzeum musiało jeszcze jakiś czas potrwać; dlatego też zamierzano wystawić tymczasem skarb w Muzeum Rzemiosł Artystycznych.

Teraz Schliemann postawił nowe warunki. Zażądał dla skarbu żelaznej gabloty, zabezpieczonej przed kradzieżą. Twierdził, że skarb był doskonale zabezpieczony w londyńskim Kensington-Museum, i domagał się identycznych środków w Berlinie. „Ponieważ nie macie detektywów ani strażników, którzy by stale czuwali przy eksponatach, jak to ma miejsce w muzeach londyńskich, szczególnie konieczna jest otwierana na dzień i zamykana na noc szafa z wewnętrznymi szybami”.

Cesarz Wilhelm I podziękował Schliemannowi własnoręcznie napisanym pismem za podarowanie trojańskich znalezisk i wyraził nadzieję, że Schliemann będzie mógł nadal swą bezinteresowną działalnością oddawać nauce znaczne usługi ku chwale ojczyzny. Cesarz Wilhelm przyrzekł ofiarodawcy oddać do dyspozycji tyle sal w nowym muzeum, ile będzie wymagała godna prezentacja eksponatów, i że wszystkie te sale będą nosiły jego imię.

Odręczne pismo cesarza pomogło Schliemannowi zapomnieć o wielu cierpieniach; nie posiadał się ze szczęścia, sam Wilhelm I dziękował mu w imieniu narodu niemieckiego! Od razu znikły wszelkie wątpliwości, czy Niemcy potrafią ocenić właściwie jego dar. Natychmiast u tego filistra dała się zauważyć owa arogancja, która występowała na zmianę ze zwątpieniem w siebie.

Schliemann u celu swych pragnień

Nie minęły dwa tygodnie od otrzymania dziękczynnego pisma cesarza, kiedy Schliemann zwrócił się w bezczelnym tonie do dyrektora muzeum Schónego: powinien mu wreszcie załatwić order •Pour le Merite, w końcu Schliemann zasłużył na to, a w ogóle powinien łaskawie postarać się o dalsze ordery, „tyle, ile tylko się da”.

Schóno zrobił dobrą minę do złej gry. Nie odważył się zniechęcić ofiarodawcy i przedstawił cesarzowi wniosek o przyznanie odkrywcy Orderu Korony 2 klasy. Order ten po rekomendacji kanclerza Bismarcka i ministra kultury Puttkamera został mu łaskawie przyznany, a wręczenie przewidziano w lecie, wówczas to bowiem odkrywca skarbu miał przybyć do Berlina na otwarcie wystawy; do tego czasu miała zapaść również decyzja w sprawie przyznania Schliemannowi honorowego obywatelstwa Berlina.

Schliemann przyjechał do Berlina w połowie czerwca 1881 roku w towarzystwie żony; małżonkowie zatrzymali się w hotelu „Tiergarten”; posypały się zaproszenia, poza tym oboje byli zajęci rozpakowywaniem 40 skrzyń i przygotowywaniem wystawy znalezisk trojańskich w Muzeum Rzemiosł Artystycznych; pracowali często po dwanaście godzin dziennie wraz z pięcioma asystentami i liczną służbą muzeum. Schliemann narzekał na wyposażenie sal, a przede wszystkim na brak oświetlenia gazowego.

Tymczasem Rudolf Virchow wykorzystał dobre kontakty, aby załatwić przyjacielowi wymarzone przezeń honorowe obywatelstwo. „Nawet jeśli 126 deputowanych będzie głosowało za przyznaniem obywatelstwa — ostrzegał zawczasu — to jednocześnie znajdzie się wielu przeciwników, tak że nie będzie łatwo uzyskać zdecydowanej większości. Ale chętnie uczynię, co będę mógł, i jestem dobrej myśli”.

SCHLIEMANN U CELU SWYCH PRAGNIĘĆ

Przedsięwzięcie się utłalo. Mimo dość ostrego sprzeciwu znalazła się większość, która przyznała Schliemannowi honorowe obywatelstwo (o żonie Zofii w ogóle nie było mowy). Nazwisko odkrywcy wpisano pod numerem 40 do Księgi Honorowych Obywateli Berlina po kanclerzu Bismarcku, feldmarszałku von Moltke i lokalnej znakomitości o nazwisku Kochhann.

W czwartek 7 lipca 1881 o godzinie 13.00 zjawili się w hotelu nadburmistrz Berlina Max von Forckenbeck i przewodniczący

Izby Deputowanych dr Schrassmann i przekazali Schliemannowi akt nadania honorowego obywatelstwa, który brzmiał następująco:

„My, magistrat Berlina, Królewskiego Stołecznego Miasta i Królewskiej Rezydencji, wystawiamy niniejszym ten dokument i oświadczamy, że po uzgodnieniu z niżej podpisanymi członkami zgromadzenia deputowanych mianujemy Pana Doktora Henryka Schliemanna Honorowym Obywatelem naszego miasta; Henryk Schliemann dzięki wspaniale zaplanowanym i wytrwale prowadzonym pracom wykopaliskowym stworzył nowe podstawy archeologii czasów Homera, a zgromadzone za własne pieniądze relikty kultury trojańskiej przekazał narodowi niemieckiego w celu wystawienia ich w stolicy Rzeszy. W ten sposób uczynił on naszą stolicę siedzibą unikalnego zbioru cennych pomników kultury, rzucających nowe światło na historię literatury klasycznej. Henryk Schliemann, łącząc pragmatyzm z idealizmem, stał się przykładem dla obywateli niemieckich — na dowód czego ten akt nadania honorowego obywatelstwa opatrzyliśmy naszymi podpisami oraz naszą wielką pieczęcią miejską.

Berlin, 4 lipca 1881"

Wieczorem w wielkiej sali berlińskiego ratusza odbył się uroczysty akt nadania obywatelstwa. Nie wystarczyło miejsca, aby pomieścić ciżbę chętnych, a ciekawi berlińczycy tłoczyli się do pierwszych rzędów, pragnąc obejrzeć niezwykle małego mężczyznę i jego zawsze ubraną na czarno grecką małżonkę. Wprawdzie nikt jeszcze nie widział skarbu Priama, ale to tylko wzbudzało jeszcze większe zainteresowanie i oczekiwania berlińczyków. Schliemann, odkrywca i milioner, był człowiekiem, który jak nikt inny ucieleśniał ducha epoki.

Napuszone przemówienia, wygłoszone w głównej sali ratusza, pasowały szczególnie do osoby, której dotyczyły, oraz do sytuacji. Nazwisko Schliemanna nie schodziło z ust, aż przykro było tego słuchać.

Nawet Virchow nie powstrzymał się od tego, aby powiedzieć:

„Szanowny Panie, wrócił Pan do ojczyzny, po latach ciężkiej pracy spędzonych na obcej ziemi. Opuścił Pan ojczyznę jako biedny, słaby i niemal bezradny młody człowiek, a teraz powraca Pan jako dojrzały mężczyzna, opływający w bogactwa i zaszczyty, a ponadto posiadający niezwykle skarby, które wyrwał Pan własnymi rękami

z ciemnego łona ziemi. Tego, o czym marzył w swym entuzjazmie chłopiec, dokonał dorosły mężczyzna. Przekazuje Pan narodowi niemieckiemu na wieczyste przechowanie w naszym mieście pozostałości owej pradawnej kultury, o której mówiły jedynie podania i poezja... i samo to wystarczyłoby, abyśmy byli Panu niezwykle wdzięczni. Ale myślę, że będę wyrazicielem intencji naszych władz miejskich, kiedy powiem, że nadając Panu honorowe obywatelstwo, pragnęli oni okazać uznanie dla kupca za to, że w dojrzałym wieku przeznaczył bezinteresownie dużą część swego majątku na tak idealistyczny cel, przeprosić za wszelkie ataki i szkody moralne, jakie Pan musiał ponieść w imię swoich ideałów, a także szacunek wobec człowieka, któremu udało się osiągnąć maksimum i który plon swej działalności składa w darze ojczyźnie, choć ta na tak długo się go wyrzekła..."

Dwa tygodnie później Schliemannowie wyjechali na kurację do Karlsbadu, w którym w tych czasach bywali wielcy tego świata. Na otwarcie wystawy zbiorów w Berlinie trzeba było jeszcze poczekać prawie pół roku. Wreszcie 4 lutego 1852 poranne wydanie „Vossische Zeitung” podało do wiadomości: „Jak postanowiono, zbiór Schliemanna będzie udostępniony zwiedzającym codziennie od wtorku, 7 lutego, w godzinach 10.00-15.00”. Tłok był nie do opisania.

W tym samym roku Henryk Schliemann wraz z Wilhelmem Dörpfeldem rozpoczął nowe prace wykopaliskowe w Troi. Zgodnie z umową, znaleziska przynależały rządowi tureckiemu, któremu zależało wprawdzie na wykopaliskach, jednakże obchodził się z nimi nieostrożnie. Tymczasem w muzeum ottomańskim w Konstantynopolu zgromadzono ponad 100 skrzyń znalezisk trojańskich, przeważnie ceramiki i narzędzi. Kiedy do Schliemanna dotarła wiadomość, że rozmaite przedmioty zostały skradzione, przekonywał! niemieckiego ambasadora w Turcji, Józefa Marię von Radowitza, aby ten spowodował odkupienie przez rząd Rzeszy Niemieckiej przynajmniej części trojańskich znalezisk od rządu tureckiego.

Schliemann utrzymywał z Radowitzem bliskie kontakty, odkąd ten przekazał mu osobiście pierwszy list od cesarza. Radowitz był częstym gościem w domu Schliemannów w Atenach; niekiedy żartował z tych wizyt, mówiąc, że musiał „wytrzymać szczegółowe oględziny przeszło tysiąca starych trojańskich garnków”. Jednakże temu ambasadorowi udało się odkupić od Turków 25 skrzyń przedmiotów pochodzących z wykopalisk w Troi. Zanim dołączono je do

berlińskiego zbioru, Schliemann zatrudnił pięciu — jak mówił — „artystów”, których praca przyniosła wiele niezwykle wartościowych naczyń i małych rzeźb.

W grudniu 1886 otwarto Muzeum Etnograficzne przy Königgratzer Strasse (dzisiejszej Stresemannstrasse) z salami Schliemann. Sam odkrywca nie był obecny na otwarciu; osiągnął to, czego pragnął, i wolał spędzać zimę w ciepłym Egipcie, i to sam; żona Zofia czekała cierpliwie w Atenach.

Skarb Priama wraz z pozostałymi zbiorami trojańskich znalezisk pozostawał do 1922 roku w dziale prahistorycznym Muzeum Etnograficznego. Zbiór obejmował 8455 eksponatów i przetrwał bez uszczerbku pierwszą wojnę światową. W 1922 roku przeniesiono Muzeum Rzemiosł Artystycznych w inne miejsce i dawny budynek Gropiusa stał pusty; tam więc umieszczono skarb Priama, gdzie był on przechowywany już wcześniej. Muzeum otrzymało nową nazwę Museum für Vor- und Frühgeschichte.

Postawa, jaką przyjął Schliemann wobec skarbu Priama, umiejętność wykorzystania go dla siebie i swej chwały, może budzić wątpliwości, ale rzuca na odkrywcę znamienne światło, gdyż, jak sam twierdził, żył on jedynie dla nauki. I to właśnie może choćby częściowo wyjaśnić jego wielki sukces.

Schliemann, bohater pierwszych lat rozwoju kapitalizmu, dość wcześnie — można powiedzieć: o sto lat za wcześnie — odkrył przodującą rolę reklamy. Reklama bowiem, która podobnie jak Schliemann jest dzieckiem XIX wieku, maskuje hałaśliwie mankamenty produktu. Produktem, o który w tym wypadku chodziło, który był wystawiony na sprzedaż, to sam Schliemann. Gdyby żył on dzisiaj, byłby bohaterem wyśnionej krainy Meklemburgii, o której Bismarck raz powiedział, że jeśli kiedyś nastąpi koniec świata, to w Meklemburgii zdarzy się on dopiero trzy miesiące później, choćby dlatego, aby Schliemann mógł jeszcze uroczyście sam siebie powitać.

Historia skarbu trojańskiego jest również historią pełnego kompleksów egocentryka, ograbiającego zwłoki nekromana, opętanego mitomana i psychopaty, którego życie jest zarazem życiem bohatera i łotra, krańcową mieszanką fantazji i realizmu, którą bohater sam wymyślił. To znaczy: najpierw pojawiła się jego życiowa idea, a następnie Schliemann próbował ją urzeczywistnić.

Również Zofia Schliemann, jak wszystko, czym się otaczał, była wytworem swego męża. Kontynuowała ona egomanię Schliemann w jego duchu, kiedy w roku 1925 zleciła cieszącemu się

Schliemann u celu swych pragnień

powodzeniem, modnemu wówczas pisarzowi niemieckiemu Emilowi Ludwigowi opracowanie biografii swego zmarłego małżonka. Ludwig, urodzony we Wrocławiu, mieszkał nad Lago Maggiore i był już autorem poczytnych biografii Wilhelma II, Bismarcka, Goethego i Napoleona; był więc godnym biografem Schliemanna.

Wstęp napisał brytyjski odkrywca Knossos, sir Arthur Evans, bliski Schliemannowi, jeśli chodzi o przedsiębiorczość. Zachował on Schliemanna w „niezwykłej pamięci” i żalił się na „chłodny, a nawet wrogi” stosunek wobec odkrywcy w jego własnej ojczyźnie, podczas gdy jego popularność wśród wykształconych warstw Anglii była olbrzymia. Biograf Ludwig obchodził się niemal z czcią ze swym obiektem, wielkim Schliemannem, któremu będąc jeszcze w wieku przedszkolnym mógł podać dłoń; a na zakończenie napisał: „Wszystko wokół niego było romantyczne”. Był to niewątpliwie romantyzm psychopatyczny, do którego uciekał Schliemann i o którym sam pisał: „Muszę prowadzić wykopaliska, aby móc żyć”.

Schliemann — człowiek nie posiadający pierwowzoru, o nieporównywalnym charakterze: łotr, geniusz, czy też istota godna pożałowania?

SCHLIEMANN W GABINECIE PSYCHOLOGA

Schliemann był chory tak jak alkoholik, gwałcielem dzieci albo narkoman.

Nie dostrzega! on różnicę między tym, co słuszne, a tym, co błędne. Ale winniśmy mu być wdzięczni za tę chorobę, gdyż uczyniła go wielkim.

William M. Calder, historyk amerykański

Nie zachowało się ani jedno zdjęcie z dzieciństwa ani z lat młodzieńczych tego wybitnego człowieka XIX wieku. Najwcześniejszym wizerunkiem jest dagerotyp znaleziony przypadkowo w Meklemburgii. Stanowił on własność żony pewnego leśnika. Trzydziestodwuletni mężczyzna zadedykował jej ową podobiznę 11 sierpnia 1861 „na pamiątkę od Henryka Schliemanna, St. Petersburg”. Późniejsza żona leśnika, której nazwisko uległo zapomnieniu, zetknęła się ze Schliemannem w czasie, kiedy praktykował jako pomocnik handlarza w Ftirstenbergu, i wywarła prawdopodobnie na biednym chłopcu silne wrażenie.

Amatorska fotografia z 1861 roku dokumentuje lepiej niż jakikolwiek dowód pisany osobliwy charakter tego człowieka. Pokazuje karykaturę parweniusza: mężczyznę niskiego wzrostu (156 cm), w niegustownym drogim ubraniu, z czarną muszką przy białym sztywnym _ kołnierzyku. Ciemny płaszcz ma podbity wytworkim wilczym błmem; jest on o 3 lub 4 numery za duży, sięga do ziemi i zakrywa nosy butów, a rękawy ma tak długie, że nie widać nawet palców; na głowę ma nasadzony zbyt szeroki cylinder, który opiera się na odstających uszach.

Młoda, a nawet niemal młodzieńcza twarz trzydziestodwuletniaka zdradza zdecydowany charakter, a szerokie brwi i wąskie ciemne oczy jeszcze potęgują to wrażenie. Kontrastuje z tym jednak wąsik nad górną wargą, w owym czasie raczej atrybut non-szalancji, świadczący o chęci przedstawienia się filistra jako światowca.

Na odwrotnej stronie fotografii widnieje napisany pięknym piśmem tekst:

Fotografia Henryka Schliemanna,
dawniej praktykanta pana Hiickstadta
z Furstenbergu;
obecnie hurtownika 1 gildii w St. Petersburgu,
dziedzicznego honorowego obywatela rosyjskiego,
sędziego Sądu Handlowego
i dyrektora Cesarskiego Banku Państwowego w St. Petersburgu

Dawniej praktykant u pana Hiickstadta, obecnie... a między tym okresem jest dwadzieścia lat, które dla Schliemanna znaczą cały świat. Tych kilka linijek wyraża zadowolenie z osiągniętego celu oraz dumę, ale bynajmniej nie pewność siebie, która byłaby stosowna dla takiego człowieka jak Schliemann w jego sytuacji życiowej.

Był to skomplikowany charakter, brak mu było prostoliniowości i wewnętrznego porządku. Głównym tworzywem jego biografii była ■ rozbieżność, nienawiść, bezradność, wściekłość i fantazja. W zachowaniu Schliemanna dostrzegało się wiele działań zastępczych i sublimacji. Psychologowie upraszczają sobie zadanie, interpretując jego zapal do wykopalisk jako próbę zbadania i uporania się z własną przeszłością. Oczywiście nie jest to interpretacja całkiem niedorzeczna, ale zbyt prosta, aby wyjaśnić motywy postępowania tego człowieka, jego niewyobrażalną wprost imaginację i zdolność do snucia urojeń.

W roku 1866 — Henryk Schliemann mieszkał już wówczas w Paryżu i poświęcał się studiom lingwistycznym i filozoficznym — napisał ów zapóźniony student do pruskiego generalnego konsula w Amsterdamie, Wilhelma Hepnera, list, którego treść pozostała nieznaną. Hepner, wspólnik domu handlowego Hoyack and Co., który przed 25 laty podarował rozbitkowi odzienie, odpisał, co następuje:

„Po przeczytaniu Pańskiego listu mimo woli muszę powtórzyć: co za interesujący człowiek, żywy przykład tego, czego mogą dokonać silna wola i wytrwałość, godny zazdrości człowiek posiadający nadmiar duchowych dóbr, jak i tych, które zdobył własnymi rękami; gdyż wydaje się, że Pańską własnością są również zadowolenie i spokój, i nie mogę się powstrzymać, Przyjacielu, aby Panu z głębi serca nie pogratulować i otwarcie się przyznać, iż z dumą chwałę się naszą bliską znajomością”.

Cóż za interesujący człowiek! Podziw Hepnera był zgodny z reakcją większości ludzi, którzy zetknęli się ze Schliemannem.

Dziesięć lat później, w październiku 1876 roku, Arthur Milchhófer, wówczas jeszcze młody stypendysta Instytutu Archeologicznego w Atenach, spotkał się w Grecji ze Schliemannem. Po wielu tygodniach obserwacji odkrywcy w Mykenach i Atenach nazwał go „jedną z najbardziej godnych zapamiętania i dostrzeżenia jednostek, jakie kiedykolwiek znajdowały się w szeregach badaczy starożytności. Co chwila z jego wypowiedzi wytryskała energia i entuzjazm, a potem jego prosty, niezbyt żywy sposób wypowiedzania się, przypominający jego meklemburską ojczyznę, nabierał patetycznego zabarwienia”. Gazety określały jego głos jako cienki, wysoki i niezbyt przyjemny.

Milchhófer nazywa Schliemanna „niezwykłą osobowością” i chyli przed nim głowę w głębokim podziwieniu. W swych *Erinnerungen an Heinrich Schliemann* (Wspomnienia o H. Schliemannie) stara się on dokonać oceny jego charakteru.

„Pozornie sprzeczne cechy entuzjasty, by nie powiedzieć marzyciela — i niezwykle obrotnej praktyka zjednoczyły się w nim, dając w rezultacie pragmatyczny idealizm, charakteryzujący się wytrwałą energią i stałością przekonań.

Sam Schliemann wysunął na plan pierwszy tę osobistą stronę swych działań; cały wcześniejszy okres jego życia, zmienne koleje losu jego młodości, jak również śmiałość i szybką karierę wielkiego handlowca, a następnie milionera, przedstawia on i traktuje najwidoczniej jedynie jako wstępne etapy do urzeczywistnienia ostatecznego celu. Również w okresie dwóch dekad swojej działalności badawczej pozostał on taki sam, mimo wielkich przemian, jakie w nim zaszły. Zalety i słabości tego człowieka wypływają z tego samego źródła, i tak nasze zainteresowanie jego osobowością kieruje się znów ku cechom charakterologicznym”.

PRAWDZIWE PRZYCZYNY CHARAKTERU SCHLIEMANNA

Kto chce zgłębić dwoistość charakteru Schliemanna, musi się cofnąć do jego dzieciństwa. Biografia każdego człowieka znajduje motywy w pierwotnej społecznej sytuacji jego rodziny. Henryk Schliemann jest tego najlepszym przykładem. Na jego życiu wycisnęły piętno mankamenty rodzinne i kompleksy: bieda i braki materialne, wyraźnie widoczny kompleks Edypa i kastrata, a przede

wszystkim kompleks wynikający z braku wykształcenia, pycha stanowa i lęk drobnomieszczanina przed stoczeniem się w społeczny dół. Te aspekty stanowią pierwotne czynniki kształtowania się tego człowieka, który w swej błyskotliwej wszechstronności stał się jedną z najciekawszych, najbardziej znanych, ale i najbardziej kontrowersyjnych postaci swej epoki.

Życie Henryka Schliemanna było od samego początku ucieczką od rzeczywistości, poszukiwaniem namiastki szczęścia, nabieraniem rozpędu po to, aby pozostawić za sobą ziemskie ciężary i wspiąć się do świata urojeń. Ale ten syn pastora z meklemburskiego Ankershagen nie miał zbyt wielu możliwości. Mógł stać się nałogowym pijakiem i kobieciarzem, jak jego wyrwany z dawnych warunków życiowych ojciec, lub też zakonnikiem w jakimś klasztorze, gdzie mógłby chociaż zwalczać duchowy chaos za pomocą śpiewu i modlitwy; innych możliwości nie było w owym czasie i w owej miejscowości dla takiego jak on.

Kariera kupca i spekulanta, nie mówiąc już o karierze badacza Homera i odkrywcy, pozostawała w sferze nierealności. I kiedy Schliemann twierdził później, że już od wczesnego dzieciństwa marzył o odkryciu antycznej Troi, i że dlatego został hurtownikiem, aby stworzyć sobie materialne podstawy do realizacji tego przedsięwzięcia, to jest to kłamstwo, i to jedno z wielu, gdyż Schliemann kłamał namiętnie, przede wszystkim kiedy chodziło o przedstawienie własnej drogi życiowej w jak najkorzystniejszym świetle.

Henryk Schliemann był mistrzem w tworzeniu legend, a przede wszystkim przez całe życie snuł swą powieść, która w niektórych miejscach wymagała retuszu przez samego głównego bohatera. A człowiek, który pisał tak dużo jak Schliemann, narażał się świadomie lub nieświadomie na niebezpieczeństwo przeczenia niekiedy samemu sobie w wymyślonych historiach.

Ten, kto zajmuje się szczegółowo dokumentami dotyczącymi życia Schliemanna, dochodzi do zadziwiającego stwierdzenia: do 46 roku życia Schliemann nie zaprzętał swych myśli ewentualną karierą archeologa czy też nawet pragnieniem odkopania Troi. Nawet podjęte dwa lata wcześniej studia nie obejmowały przecież historii starożytnej, tylko języki, literaturę i filozofię.

„Urodziłem się 6 stycznia 1822 roku — tak zaczyna Schliemann pełną romantycznego blasku legendę swego życia — w miasteczku Neubukow w Meklemburgii-Schwerinie, gdzie ojciec mój, Ernst Schliemann, był kaznodzieją protestanckim, a w roku 1823 został przeniesiony, również jako pastor, do parafii Ankershagen,

wsi leżącej między Waren i Penzlin, w tym samym wielkim księstwie. Tam spędziłem kolejnych osiem lat i tam też wrodzona skłonność do wszystkiego, co tajemnicze i cudowne, przerodziła się w prawdziwą namiętność, dzięki cudom, jakie się w tej miejscowości zdarzały. W naszym domu stojącym w ogrodzie straszyl ponoć duch pastora von Russdorfa, poprzednika mego ojca, a tuż za ogrodem był mały staw, tak zwana „srebrna miseczka”, z którego o północy wylaniała się upiorna dziewczica ze srebrną misą w rękach. Ponadto we wsi znajdował się mały wzgórek otoczony rowem, był to prawdopodobnie grób z czasów pogańskich, zwany grobem Hunów, w którym według legendy stary zbójcecki rycerz pochował w złotej kołysce swe ukochane dziecko. Oprócz tego obok ruin starej okrągłej wieży w ogrodzie dziedzica zakopane były podobno niezmierzone skarby. Moja wiara w istnienie tych skarbów była tak głęboka, że ilekroć słyszałem skargi ojca na trudności finansowe, pytałem ze zdziwieniem, dlaczego nie wykopie owej złotej kołyski, aby stać się w ten sposób bogaczem?"

NIENAWIŚĆ DO OJCA

Nawet niedzielna powieść pt. *W ogrodowej altance* nie mogłaby się pięknie zaczynać, ale prawda była całkiem inna. Ten sam autor, który przelał ową bajkę na papier, w innym miejscu naszkicował obraz rozbitej rodziny u schyłku okresu biedermeierowskiego. W spuściznie po Schliemannie w Gennadios-Bibliothek natrafiono na zeszyt, w którym czterdziestoletni odkrywca pisał ćwiczenia z języka włoskiego. Treść tych pisemnych ćwiczeń dowodzi jasno, jak bardzo cierpiał on już jako ojciec rodziny i pełen sukcesów człowiek interesu z powodu swych traumatycznych przeżyć w dzieciństwie.

„Mój ojciec był pastorem — czytamy tam — miał dużo dzieci, ale mało pieniędzy, był człowiekiem rozwiązłym i sybarytą; pozwalał sobie na cudzołożenie ze służącymi, które wołał bardziej niż swą żonę; żonę bowiem traktował bardzo źle i przypominam sobie z wczesnej młodości, jak jej wymyślał i jak ją opluwał. Podczas ostatniej ciąży tak ją maltretował, że zapadła na nerwową gorączkę, która zakończyła się śmiercią. Ojciec udawał potem głęboki ból i żal i urządził żonie, której śmierci był winien z powodu złego traktowania, wspaniałą pogrzeb”.

Z wielu listów Schliemanna wynika, że nienawdził on swego ojca i również w późniejszych latach nie cofał się przed upokarżaniem go. „Nienawidzę i czuję wstręt do tego człowieka — pisał do swych siostr — i wstyd mi, że jestem synem tej przeklętej kanaalii”. Kiedy Henryk miał 33 lata i pławił się w mamonie, przesłał, jak już uprzednio wspomniano, swemu zapijaczonemu i biednemu ojcu 500 talarów, pod warunkiem, iż będzie porządnie zmywać naczynia i myć podłogi trzy razy w tygodniu. Czy może syn bardziej poniżyć ojca?

Wy tłumaczenie tego jest całkiem proste: Henryk mścił się przez całe życie za śmierć swej kochanej miłością Edypa matki Luizy, o którą to śmierć winił ojca. Fakt, że w innych listach wypowiada się o ojcu niemal z czułością, świadczy, iż czynił to najwidoczniej z zamiarem opublikowania ich później, a więc chodziło mu o zachowanie pozorów.

Henryk Schliemann żył sto lat za wcześnie, aby mógł przyznać się w swej autobiografii, iż miał zakłócone dzieciństwo, gdyż ów cieszący się powodzeniem parweniusz bardziej niż swego ojca nienawdził odium społecznego dna. Henryk Schliemann był typowym dzieckiem żadnego harmonii okresu biedermeierowskiego, owej krótkiej epoki w historii Niemiec, w której pod idyllicznie umiarkowaną powłoką zaczynały się już burzyć wszystkie te społeczne, ekonomiczne i duchowe siły, które zadecydowały o dalszej dynamice XIX wieku.

Tak więc ojciec ponosi bez wątpienia winę za to, że Henryk Schliemann, odkąd zaczął samodzielnie myśleć, popadł w głęboki kryzys tożsamości. Psychiatrzy, którzy dogłębnie zajmowali się jego charakterem, wyznają nawet pogląd, że właśnie owo poszukiwanie własnej tożsamości spowodowało, iż Schliemann stał się poszukiwaczem i odkrywcą. Jak doszło do tego kryzysu i zdefiniowania osobowości?

BYŁO DWÓCH HENRYKÓW SCHLIEMANNÓW

To prawda: było dwóch Henryków Schliemannów; mieli oni tych samych rodziców, żyli w tym samym czasie i w tej samej miejscowości. Ten drugi Schliemann był alter ego. A było to tak: W roku 1813 pewien nauczyciel nazwiskiem Ernst Schliemann poślubił niejaką Luizę Burger, córkę swego zwierzchnika w meklemburskim Sternbergu. Po ślubie państwo młodzi przenieśli się do

Netibukow, gdzie w ciągu ośmiu lat Luiza urodziła pięcioro dzieci; czworo pierwszych nosiło imiona Henryk, Eliza, Dorota i Wilhelmina.

Kiedy 6 stycznia 1822 roku Schliemannom urodziło się piąte dziecko, pierworodny Henryk miał osiem lat i był śmiertelnie chory. Ojciec, będący w Neubukow pastorem, nadał nowo narodzonemu synowi również imię Henryk i wpisał go do miejscowej księgi metrykalnej pod czterema imionami: Jan Ludwik *Henryk* Juliusz. Pierworodny Henryk zmarł dwa miesiące później, dnia 24 marca.

Kiedy Henryk numer dwa dowiedział się później o tym fakcie, zupełnie się załamał. Zadawał sobie pytanie, czy w istocie nie jest tym zmarłym bratem, i od tego czasu pociągało go wszystko, co chore, a przede wszystkim groby. Kiedy rodzina przeniosła się do pobliskiego Ankershagen, Henryk, w przeciwieństwie do pozostałych dzieci, większość czasu spędzał na znajdującym się w pobliżu plebanii cmentarzu i w pobliskich ruinach zamku rycerskiego, którego właścicielem był ongiś rycerz-zbójca Hennig von Holstein i w którym straszły duchy.

Kiedy Henryk miał dziewięć lat, a więc w okresie, gdy zaczął pojmować swą rolę dziecka zastępczego, dotknął go pierwszy w życiu cios. Jego matka zmarła tuż po urodzeniu dziewiątego dziecka imieniem Paweł. Sześćdziesięcioletni Schliemann poświęcił temu wydarzeniu tylko jedno zdanie w swej biografii: „Była to niepowetowana strata i zapewne największe nieszczęście, jakie mogło spotkać mnie i sześcioro mojego rodzeństwa”. Te beznamiętne słowa, napisane przez człowieka skądinąd rozemocjonowanego, świadczą, że nawet w późnym wieku nie mógł on przeboleć tej straty.

Kiedy Henryk Schliemann był jeszcze dzieckiem, zorientował się, że jego matka nie zeszła z tego świata w sposób naturalny. „Nerwowa gorączka”, podawana jako przyczyna śmierci, wskazuje, że była to neurastenia, patologiczna pobudliwość psychiczna, której towarzyszyły chorobowe stany wyczerpania. Innymi słowy: pastor w iAnkershagen niszczył systematycznie swą żonę i mimo iż nigdy nie: został o oskarżony, w oczach Henryka uchodził za mordercę. Ten pijaczyna w szacie pastora bił wrażliwą i słabowitą żonę, nadwierał jej zdrowie częstymi ciążami, nie wystarczało mu, że urodziła już łącznie z ostatnią Luizą ośmioro dzieci. Wpędzał ją w ciążę z niemal sadystyczną lubieżnością. Oprócz pijaństwa jego drugą namiętnością były kobiety, obcował z nimi fizycznie we własnym domu, na oczach żony.

Ernst Schliemann upodobał sobie szczególnie nieletnią córkę murarza z Ankershagen, dziewczynę o bujnych kształtach. Panna ta, dwukrotnie obdarzona przez los dzieckiem, nazywała się Zofia Schwarz i znana była w całej wsi z lekkiego prowadzenia się i grubiańskiego zachowania. Prawdopodobnie właśnie to pociągało lubieżnego pastora. Wbrew protestom żony zatrudnił ją jako służącą, i jak należało oczekiwać, bardziej była ona pomocna panu domu niż gospodyni. Całe Ankershagen aż się trzęsło z tego powodu, wreszcie Luiza wyrzuciła dziewczynę z domu.

Od tej pory Schliemann zamienił życie swej żony w istne piekło. Wynajął swej kochance pokój w pobliskiej miejscowości Warren, ale kiedy i tam wesołe życie obojga stało się zbyt głośne, wyrzucono ją na ulicę. Potem razem mieszkali przez jakiś czas w zajezdzie w Serrahn, aż w końcu osiedli u brata Ernsta, Fryderyka, w Kalkhorst.

Kiedy pastor wracał do domu, tyranizował swą żonę. Mały Henryk odczuwał bezradną, niezmierną wściekłość wobec potwora, jakim był jego ojciec. Zapewne któregoś dnia przeczytał ostatni list matki, skierowany do jego starszej siostry Elizy, która wówczas przebywała pod opieką krewnych. W liście tym pastora dziękowała Elizie w czułych słowach za „uczucie miłości”, którą córka do niej żywiła. Pisała dosłownie: „Możesz sobie wyobrazić, że najbliższe dni będą dla mnie zmaganiem między życiem a śmiercią. Jeżeli powiadomią Cię o tej ostatniej, to zbytnio się nie martw, raczej ciesz się, gdyż tyle musiałam wycierpieć na tym tak niełaskawym dla mnie świecie, i nic nie pomogły pokora, prośby i modlitwy do Boga o zmianę. Jeżeli Bóg pomoże mi przetrwać ten okres cierpienia i jeżeli potem moje życie znów będzie takie, że będę miała ochotę przebywać z ludźmi, to wówczas przyrzekam Ci, iż będę przykładowie nosiła biały czepiec... Muszę już kończyć, bo właśnie biją świnie i jest mi tak bardzo ciężko”.

Nie wiadomo, czy pisząc o „okresie cierpienia” Luiza miała na myśli nową ciążę, czy stan ogólnej depresji. Bez wątplenia jednak pod koniec 1830 roku Luiza w wieku 36 lat nie miała już ochoty do życia.

CYNICZNY NEKROLOG

Matka Schliemanna zmarła 22 marca 1831 roku. Grób dla niej wykopano w pobliżu domu, w którym Henryk przeżywał najgorsze chwile swojego życia. Pastor pijaczyna zareagował na śmierć swej żony, matki siedmiorga dzieci (dwoje tymczasem umarło), wręcz cynicznie. Nazajutrz podał do lokalnej gazety „Mecklenburg-Schwerinischer Anzeiger” nekrolog pełen buty, kłamstwa, obłudy i współczucia dla samego siebie:

„Wczorajszy dzień był dla mnie najnieszczęśliwszym dniem w moim dotychczasowym życiu; nieubłagana śmierć zabrała mi moją wierną Żonę, złączoną ze mną siedemnastoletnimi więzami Towarzyszkę życia i najtkliwszą Matkę moich siedmiorga dzieci, Luitę Teresę Zofię z domu Burger. Owa Droga, nigdy Niezapomniana Małżonka i Matka zmarła w dniu wczorajszym wskutek wysokiej nerwowej gorączki w wieku 37 lat, po szczęśliwym urodzeniu dnia 13 stycznia br. zdrowego chłopca, naszego dziewiątego dziecka. Przepelniony głębokim bólem, stoję w otoczeniu moich sierot pozbawionych Matki, które częściowo nie są jeszcze w stanie ocenić ogromu straty, i modłę się, aby Bóg nagroził zmarłą za wszelką okazaną mnie i moim dzieciom miłość i czułą opiekę rozkoszą najczystszej i niezmaconej szczęśliwości. O, nie opuszczaj mnie i moich dzieci i wlej uśmierający ból balsam w nasze tak głęboko zranione serca! Słowa te kieruję do moich Krewnych i Przyjaciół mojej Świętej Pamięci Małżonki oraz do wszystkich tych, którzy mają serca otwarte na cudze cierpienia, i jestem przekonany, że nie odmówią oni mnie ani moim dzieciom cichych łez współczucia.

Schliemann
pastor w Ankershagen”.

Nikt w Ankershagen ani w przyległych miejscowościach nie przypominał sobie, aby czytał kiedykolwiek w lokalnej gazecie tak obszerny nekrolog. Meklemburczyków oburzało jednak zakłamanie ich pastora. Ten człowiek stał się dla wszystkich wprost nie do zniesienia. Niechęć do ojca udzielała się reszcie rodziny.

Ernstowi Schliemannowi najwidoczniej to nie przeszkadzało, zaledwie bowiem pochowano jego żonę, wdowiec sprowadził swą kochankę z powrotem do domu w charakterze gospodyni, jak twierdził. Ludzie wybili pastorowi szyby; w niedzielę zamiast pójść

do kościoła, przychodzili pod plebanię i bębniłi na przyniesionych garnkach i brytfannach.

Młody Henryk przeżywał trudny okres. „Śmierć mojej matki — pisał — zbiegła się z jeszcze jednym ciężkim doświadczeniem, gdyż wszyscy nasi znajomi nagle odwrócili się od nas i przestali utrzymywać z nami stosunki". Henryk został samotnikiem, poszukiwaczem, badaczem, marzycielem, ale rany, jakich doznał w owych dziecięcych latach, nigdy się nie zabiłiżyły.

Ten okres samotności był jednak dla niego bardzo ważny, nie tylko dlatego, że pozwalał mu marzyć i fantazjować, ale dlatego, że podtrzymywał w nim wściekłość z powodu bezradności i czynił przez to bardziej realnymi plany okazania wszystkim, że się wybije i zemści zrobieniem zapierającej dech kariery.

Z powodu rozwiążłego stylu życia ojca do Henryka i jego rodzeństwa przyłgnęło piętno hańby; innym dzieciom nie wolno było z nimi bawić. Schliemann twierdził hardo, że wcale się tym nie przejmuje, ale fakt, że zakaz ten obowiązywał również Minnę Meincke, dotknął go znacznie boleśniej niż śmierć matki.

To wyznanie może dziwić ze względu na jego bardzo silny związek z matką, ale należy zaznaczyć, że chodzi tu o wypowiedź sześćdziesięcioletniego autora pełnej egzaltacji autobiografii. Dziewczynka, rówieśnica, zajmuje tu o wiele ważniejszą pozycję, aniżeli miała ją istotnie w tamtych czasach dzieciństwa Schliemanna. Minna była jego szkolną koleżanką i mogła być jego pierwszą miłością, o ile można o tym mówić w przypadku dziewięcioletniego chłopca; nigdy jednak nie miała znaczącego wpływu na jego życie; w swych późniejszych miłostkach Henryk nie szukał nigdy kobiet w typie Minny.

Minna Meincke stanowi raczej przykład częstej i świadomej przesady, zafalszowania i błędnej interpretacji faktów, co było charakterystyczne dla autobiografii Schliemanna.

Podobnie jak prezydent Stanów Zjednoczonych nigdy nie przyjął Schliemanna, a jego rzekomo autentyczny opis Fillmore'a i jego rodziny został wzięty z gazety, tak też wzruszająca historia miłosna z Minną jest poetycko przerysowaną reminiscencją, która miała ewentualnie zmylić czytelnika, aby nie sądził, że ten zdesperowany samotnik cierpiał z powodu obojętności wobec kobiet i że więcej umiał powiedzieć o miłostkach Goethego niż swoich własnych.

Minna była zatem dla Schliemanna jedynie środkiem do celu, ale o tym wiedzieli jedynie wtajemniczeni. W roku 1880 Schlie-

mann usprawiedliwiał się wobec swej przyjaciółki z lat dziecińczych, która w roku 1847 poślubiła dzierżawcę dóbr Fryderyka Richersa i była matką jego trzech córek. Usprawiedliwienie to stanowi właściwie nowy przykład bezczelności. Schliemann do Minny Richers:

„Otrzymasz niebawem moją książkę pt. *Ilios*. I jeżeli stwierdzisz, że przesadziłem z naszą przyjaźnią sprzed pięćdziesięciu lat, to nie bierz mi tego za złe, a wytłumacz raczej moim dawnym przywiązaniem. Skoro tak się ułożyły okoliczności, to wszystkie moje słowa mogą Ci przynieść tylko największy zaszczyt, i pamiętaj że każda niemiecka kobieta chciałaby przejść w ten sposób do historii...”

Odpowiedź Minny nastąpiła wkrótce i była utrzymana w tonie pojednawczym, mimo iż początkowo ona sama, a także jej mąż byli mocno zirytowani i nosili się z zamiarem zażądania wyjaśnień. Ale Ida Fröhlich, siostrzenica Minny, z którą łączyła ją przyjaźń, wytłumaczyła ciotce, że Schliemann zachował ją na zawsze w swym sercu, i jeżeli jego fantazja była zaprzętnięta jej osobą, to nie można mu z tego powodu czynić wyrzutów. „W bajkach i podaniach często występują królowe, inspirujące bohaterów do wielkich czynów, a w życiu naszych mężów stanu czy poetów niejednokrotnie wielką rolę odgrywają kobiety. Dlaczegoż więc pewna genialna istota płci żeńskiej nie miałyby mieć wpływu na sławnego doktora Schliemanna?”

Minnie bardzo to pochlebiało. A oto jej odpowiedź z dnia 4 stycznia 1881 roku:

„Drogi Henryku, swoją autobiografią uczyniłeś mi istotnie wielki zaszczyt. Twoja żywa, młodzieńcza fantazja wyidealizowała postać małej Minny Meincke i wyposażyła ją w szczególne zalety i zdolności. Całe szczęście, że później jej nie spotkałeś, gdyż została prozaiczną i zwyczajną istotą, nie przypominającą wcale Twej upiększonej poetycko znajomości z lat dziecińczych. A prawdę mówiąc, trochę jednak przesadziłeś, jak zresztą sam o tym wspominaś w liście, i za to, mój stary przyjacielu, należy Ci się kara, a nie pochwała...”

Twoja przyjaciółka Minna Richers”.

Co mogło skłonić Schliemanna do wymyślenia tak namiętnej, dziecinnej miłości, która w rzeczywistości nigdy nie istniała?

Pisząc pierwszą historię swego życia Schliemann zdawał sobie sprawę, że na jego drodze brakowało miłości i bardzo wskutek tego cierpiał. Doszedł do przekonania, iż pięćdziesiąt lat przeżył bez tego uczucia, albowiem to, co uważał dotychczas za miłość, było jedynie seksem, potrzebą posiadania potomstwa, aby w ten sposób stworzyć złudzenie prawidłowego życia rodzinnego. Zaplanowany cel, pierwsze małżeństwo, został właśnie osiągnięty, jednak nie ku jego zadowoleniu, gdyż w związku tym nie mogło być mowy o głębszym uczuciu.

O jego pierwszej żonie, Jekatierinie Pietrownej Łyszynie, z którą był prawie siedemnaście lat nieszczęśliwie żonaty, dowiadujemy się z jego autobiografii zaledwie niewielkiej części w porównaniu z tym, ile miejsca poświęca on Minnie Meincke. Powód jest prosty: Jekatierina zmusiła Henryka do duchowej manifestacyjnej przysięgi, Minna natomiast pozostała piękną fikcją. Znacomity odkrywca i badacz był artystą w przysyłaniu rzeczywistych realiów, był wirtuozem, jeśli chodzi o przedstawienie w korzystniejszym świetle swego bez wątpienia zwichniętego charakteru czy też wytłumaczenie swojej mitomanii.

Minna Meincke była dla Henryka Schliemanna nie ziszczonym marzeniem, idealnym obrazem kobiety, któremu nie dorównywała również jego druga żona Zofia: „Minna wykazywała przede wszystkim największe zrozumienie i chętnie, z zapałem akceptowała moje olbrzymie plany na przyszłość. W ten sposób nawiązała się między nami nić sympatii i z dziecinną naiwnością ślubowaliśmy sobie wkrótce wieczną miłość i wierność... Było jasne, że kiedy dorośniemy, pobierzemy się i zbadamy wszystkie tajemnice Ankershagen, złotą kołyskę, srebrną czarę, niezmierzone skarby Henninga oraz jego grób, a w końcu odkopimy miasto Troję. Nie mogliśmy sobie wyobrazić niczego piękniejszego aniżeli spędzenie życia na poszukiwaniu śladów przeszłości. Dziękuję Bogu, że podczas zmiennych kolei mojego życia pełnego sukcesów nigdy nie opuściła mnie wiara w istnienie Troi. Ale dopiero w jesieni życia, i już bez Minny, i daleko od niej mogłem urzeczywistnić nasze dziecięce marzenia sprzed pięćdziesięciu lat”.

Należy mieć poważne wątpliwości, czy Minna Meincke istotnie była mu pomocna w budowaniu jego fantastycznego świata i umożliwianiu mu ucieczki od rzeczywistości. Patrząc wstecz

stwierdzamy, że Minna urosła jednak do symbolu jego nadziei i marzeń, do roli wzniosłej bogini Homerowego świata. Jakże musiał cierpieć Henryk, kiedy rodzice zabronili swej córce kontaktów z chłopcem z okrytej hańbą plebanii! Jak sam Schliemann wspomina, całymi godzinami płakał przed portretem matki, gdyż widział w niej podobieństwo do Minny. „Przyszłość wydawała mi się posępna i mętna i przez dłuższy czas nie podniecały mnie żadne tajemnicze cuda Ankershagen, a nawet Troja”.

To jest również czystym wymysłem. W roku 1833 Schliemann nie trwonął swych myśli na Troję. Minna wiedziała zapewne o jego sympatii, ale nie o tym, że ją kochał i oplakiwał. W owym czasie Henryk bardziej interesował się swoją rówieśnicą, kuzynką Luizą, której przysyłał nawet „gorące całusy”. W autobiografii Schliemanna flirt z Luizą nie wyparł jednak wzruszającej i wymyślonej historii z Minną.

Stosunek Schliemanna do kobiet był od zarania zwichnięty. Historia jego życia nie była niczym innym, jak poszukiwaniem miłości. Prawdziwej przychylności kobiet doświadczył dopiero jako człowiek dorosły; dotąd znaliśmy go jako mężczyznę o żalonym wyglądzie, tak jak na fotografii wykonanej w Petersburgu, poczciwego mieszcza, który tak bardzo pragnął być światowcem.

Henryk Schliemann zdawał sobie sprawę, że nie jest przystojny ani postawny, nie sprawiał też wrażenia męskiego. Nie mógł nikomu zaimponować wzrostem 156 centymetrów, wąskimi ramionami, krótkimi nogami i rękami oraz zbyt dużą głową; ale ostatecznie Cezar, Kant i Napoleon byli również niskiego wzrostu, a mieli powodzenie u kobiet.

Dla Henryka takie pojęcia jak miłość i partnerstwo wiązały się od początku ze sławą i pieniędzmi. Sława i pieniądze były jego miarą atrakcyjności. Nadal cierpiał z powodu niespełnionego związku z Zofią Hecker z St. Petersburga. Dopiero kiedy doszedł do majątku, odważył się zbliżyć do kobiety i oczywiście natrafił na niewłaściwą. Jekatierina Pietrowna Łyszina odmówiła uprzednio swej ręki młodemu Niemcowi; gdy jednak stał się on bogaty, zgodziła się; małżeństwo to stało się jednak jednym wielkim koszmarem.

Nie ulega wątpliwości, że Jekatierina nigdy nie kochała Henryka, ponieważ była lesbijką. Jak sam Schliemann się przyznał, swoje prawa małżeńskie często egzekwował przemocą; uważał to za całkiem naturalne, gdyż jego petersburskie małżeństwo opierało się ostatecznie na układzie, którego postanowienia musiały wypełniać obie strony.

Ponieważ Henryk Schliemann w swoich późniejszych listach wypowiada się całkiem swobodnie na tematy seksualne, których do czasu swego pierwszego małżeństwa nigdy nie poruszał, możemy przyjąć, że Jekatierina była pierwszą kobietą, z którą spał. Ze szczególną otwartością opowiadał Henryk tuż przed zawarciem drugiego małżeństwa o swych obawach dotyczących seksu po ośmiu latach życia w celibacie; czterdziestosiedmioletni wówczas mężczyzna obawiał się, że może nie zadowolić młodej żony.

Przesłanki dla zawartego w roku 1869 małżeństwa wcale nie były lepsze niż w wypadku pierwszego. W tym czasie bowiem nie stwierdza się żadnej zmiany w usposobieniu Schliemanna. Nadal traktował on małżeństwo jako układ ze szczegółowo sprecyzowanymi prawami i obowiązkami i wybrał swą żonę z katalogu fotografii. Wiadomość o jego przyszłym ślubie skierowana do ojca i rodzeństwa brzmiała raczej jak wiadomość o nabyciu w Grecji domu letniskowego. „Arcybiskup Grecji, mój dawny nauczyciel, przysłał mi do wyboru podobizny wielu atenek, spośród których jako najmiłszą wybrałem Zofię Engastromenos... Zamówiłem dwanaście odbitek jej fotografii i jedną z nich Wam posyłam”.

W przeciwieństwie do Jekatieriny, Zofia była „kochającą, oddaną, uległą, wspaniałą istotą”, jak pisał Schliemann do swej siostry Doris; dzięki niej zmieniał się powoli z kupca w pełnego taktu, kochającego mężczyznę. Nie mogą mylić nawet najbardziej napuszone zapewnienia w listach miłosnych do Zofii, że również drugie małżeństwo było z początku jedynie związkiem opartym na przesłankach praktycznych. Takie listy pisał Schliemann również do swej pierwszej żony Jekatieriny, a jednak małżeństwo to okazało się katastrofą.

Na początku drugiego małżeństwa Schliemann nauczył się przynajmniej jednego: liczenia się z drugą osobą. Jednakże jego zachowanie nadal pełne było wyrachowanej, kupieckiej trzeźwości. Do swego kolegi szkolnego Wilhelma Rusta pisał: „Z tą żoną mam niestety na razie tylko córeczkę Andromachę, gdyż moja biedaczka już cztery razy poroniła, a teraz nawet dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy; dlatego za wszelką cenę muszę zadbać, aby powróciła do sił”.

Schliemann po raz pierwszy prowadził wreszcie uregulowane życie seksualne, i to w wieku, w którym jego przyjaciel Rust, jak sam przyznawał, „stracił już popęd płciowy”. Pięćdziesięcio-

sześćioletni Henryk nie miał takiego kłopotu, radził przeto swemu przyjacielowi bankierowi: „... To z powodu długiego siedzenia, gdyż nasienie przemienia się u Ciebie w tłuszcz, ale to się poprawi, gdy zeszczuplejesz; musisz tylko zażywać więcej ruchu. U mnie popęd również słabnie od czasu do czasu wskutek nadmiernego wysiłku, ale później powraca ze wzmożoną siłą, kiedy pozwolę sobie na trochę wypoczynku”.

Henryk i Zofia całkiem do siebie nie pasowali, ani pod względem charakteru, ani wyglądu zewnętrznego. Świadek z owego okresu, Helena Schellberg z Drezna, zetknęła się ze Schliemannami w roku 1885 w St. Moritz, gdzie sławny odkrywca przebywał wraz z rodziną na kuracji. Szczególnie Zofia Schliemann wywarła na niej wielkie wrażenie: „Była piękną kobietą, o głowę wyższą od męża, miała gęste czarne włosy, a na jej twarzy malowała się powaga; nigdy nie widziałam, żeby się śmiała”.

Helena Schellberg najchętniej bawiła się z Andromachą Schliemann w „odkopywanie Troi”. W tym celu na placu zabaw zakopywano czekoladę. Kiedy pewnego razu zbliżył się do nich mężczyzna, Helena odezwała się do małej: „O, przyszedł twój dziadek!” Andromachą, która mówiła bardzo dobrze po niemiecku, odpowiedziała z oburzeniem: „To mój papa!”

To małżeństwo było przynajmniej dla Henryka spełnieniem jego życia. „Sophidion”, jak Schliemann nazywał swoją żonę, przeistoczyła się z pięknej zabawki w podziwu godną partnerkę; z obiektu pożądania seksualnego w prawdziwą kochankę. Po jej pierwszym załamaniu nerwowym musiał Schliemann uznać, że jego wizerunek małżonka w żadnej mierze nie zgadzał się z wyobrażeniami, jakie wpojono Zofii na temat małżeństwa. Był więc na najlepszej drodze, aby zniszczyć również i to małżeństwo.

Bez wątpienia Schliemann wybrał sobie żonę młodszą o trzydzieści lat po to, aby ją ukształtować na własną modłę; teraz jednak zrezygnował z tych planów oraz z prób przedstawienia Zofii jako odkrywczyni skarbów trojańskich. Nie było również mowy, aby Zofia nauczyła się na pamięć *Iliady* i *Odysei* Homera. Tak więc Zofia stała się w pewnym sensie ukochaną fikcją, jak kiedyś Minna Meincke, ale czyż całe życie Schliemanna nie było fikcją?

Starzejący się małżonek naprawdę kochał na swój sposób swą drugą żonę. Jeżeli porównuje się egzaltowaną formę jego miłosnych zapewnień w listach do Minny Meincke czy Jekatieriny Łysziny z wypowiedziami w ostatnim liście miłosnym, który wysłał Schliemann 28 września 1890 roku do Zofii z okazji 21 rocznicy

ślubu (przebywała wówczas na kuracji w Niemczech), to uderza wyraźna zmiana w jego uczuciach. Z kilkudziesięciu tysięcy listów, jakie Schliemann napisał w swym życiu, ten jest najpiękniejszy i najbardziej wzruszający:

„Ateny, 28,9.1890

Moja ukochana Sophidion!

...Życzeniem moim w tym dniu rocznicy naszego ślubu jest, aby bogowie pozwolili nam wspólnie świętować w zdrowiu i dobrym samopoczuciu ten dzień nie tylko w przyszłym roku, ale i za następne 21 lat. Patrząc dziś wstecz na nasze wspólne życie, widzę, że Parki uprzedły nam wiele gorzkich cierpień, ale również wiele słodkich radości. My, ludzie, przyzwyczajeni jesteśmy patrzeć na to, co przeminęło, przez różowe okulary, zapominając o tym, co w przeszłości było złe, i zachowujemy w naszej pamięci tylko momenty przyjemne. Brak mi słów na pochwałę naszego związku. Cały czas byłaś mi ukochaną małżonką, dobrym towarzyszem i wypróbowanym sternikiem w trudnych sytuacjach, a ponadto wierną współniczką na drodze życia i matką, jakiej drugiej nie ma na świecie. Cieszę się, patrząc na Ciebie tak obficie wyposażoną w cnoty. I dlatego przyrzekam Ci już dziś małżeństwo również w przyszłym życiu".

WŁASNA RELIGIA SCHLIEMANNA

Nieobliczalność charakteru Schliemanna, która nie dopuszcza jednoznacznej typizacji, ma jednak inne, nieoczekiwane pozytywne strony. W autobiografii Henryk usiłuje stworzyć wrażenie, że jego ojciec oddał go pod opiekę bratu Fryderykowi w Kalkhorst, aby zapomniał o nieszczęśliwej historii z Minną. W rzeczywistości pastor musiał umieścić swe dzieci u krewnych, gdyż brakowało mu środków do życia. Pamiętliwi mieszkańcy Ankershagen obwinili bowiem pastora, że dla własnych korzyści sięgnął do kościelnej kasy, a to w konsekwencji doprowadziło do usunięcia go z dobrze płatnego stanowiska.

Wuj Fryderyk był pastorem, tak jak Ernst, ojciec Henryka, i można było przypuszczać, że pobyt przez czternaście lat w rodzinie pastora miał decydujący wpływ na dalsze życie naszego bohatera; ale tak wcale nie było. Ani bigoteryjne zachowanie ojca, ani

Eneasz wnosi swego ojca Anchi-zesa z płonącej Troi — reprodukcja z książki Georga Ludwiga Jerrersa *Weltgeschichte für Kinder*. Ta ilustracja, jak Schliemann twierdzi! później, rozbudziła w nim już w młodych latach pragnienie, aby odkopać Troję Homera. Wymyśl, jakich wiele w autobiografii Schliemanna.



pobożna gadanina jego wuja nie wpłynęły na stosunek Schliemanna do religii.

Niečne postępowanie ojca, który z ambony kościołka w Ankershagen głosił karność i obyczajność, sam jednak żył w grzechu, mogło przyczynić się do tego, że Henryk mógł zostać ateistą, antyklerykałem czy zdecydowanym nihilistą, jak to się stało w przypadku współczesnego mu Karola Marksa, który mając sześć lat musiał jako żyd przejść na protestantyzm i reprezentował potem ściśle ateistyczne poglądy. To wszystko nie dotyczyło jednak Henryka. Zniósł on bez żadnego duchowego uszczerbku bigoterię ojca i nie został ani wiernym zwolennikiem Kościoła, ani żarliwym jego przeciwnikiem; stworzył sobie własną religię.

Pierwszą jego biblią była *Historia świata* dla dzieci Georga Ludwiga Jerrersa, którą otrzymał w podarunku na Boże Narodzenie, kiedy miał osiem lat. Jak sam potem opowiadał, najbardziej podniecająca w tej książce była rycina przedstawiająca Eneaszę wynoszącego z płonącej Troi swojego ojca Anchizesa. Na pytania dotyczące znaczenia tej sceny odpowiedział Henrykowi najpierw ojciec, a ostatecznie sprawę wyjaśnił mu nauczyciel Carl Andress, któremu Schliemann pozostał wierny przez całe życie.

Schliemann nie był wcale pobożny w chrześcijańskim znaczeniu. Słowo Bóg rzadko pojawiało się na jego ustach. Używał je raczej w znaczeniu opatrności. Bogiem dla niego był los, wyznaczony każdemu człowiekowi. Instytucje kościelne i służby boże ów pastorski syn uważał za równie godne pogardy jak jego własny ojciec. Kiedy miał dwadzieścia lat, w roku 1842, pisał do swych

pobożnych siostr Doris i Wilhelminy: „Nie martwcie się o moja wiarę, gdyż wierzę w jednego Boga i nie obchodzi mnie podrzędna gadanina derwiszy, kapłanów, mnichów i klechów, którzy wymyślili rozmaite podpórki dla swej postawy. Postępuję właściwie, nikogo się nie obawiam i wierzę w to, w co mogę wierzyć na podstawie własnego rozumu”.

W tym też duchu musimy interpretować wypowiedzi Schliemanna w jego autobiografii. Nawiązując do wydarzenia z października 1854 roku pisze on: „Opatrzność boska ochraniała mnie często w najcudowniejszy sposób i niejednokrotnie od zguby uratowała mnie przypadek”. Podczas pożaru Kłajpedy, gdzie, jak podaje Schliemann, składował on towary wartości 150 tysięcy talarów, był pewien, że oczywiście wszystko stracił. Ku swemu zaskoczeniu dowiedział się jednak, że jedynym magazynem, jaki ocalał z pożaru, był właśnie ten, w którym zgromadzone były jego towary. Schliemann nie skorzystał jednak z okazji, aby się nawrócić na chrześcijaństwo, tylko zinterpretował ten fakt w ten sposób, że los wybrał go, aby uczestniczył w szczególnych wydarzeniach.

Do połowy życia Schliemann nie uważał wcale Troi za swe „religijne” przeznaczenie, lecz za sukces handlowy. Nie przypisywał nawet do tego czasu żadnej roli swemu dzieciństwu w Ankershagen w kształtowaniu własnego życia. W roku 1851, kiedy Schliemann po powrocie z podróży do Ameryki pisał pierwszy raz o sobie i swym dotychczasowym życiu, nie poruszał wcale sprawy Home-rowej Troi, a o dzieciństwie w Ankershagen wspominał tylko po to, aby uwydatnić swą karierę od pozbawionego środków do życia dziecka oddanego pod opiekę krewnych do nadzwyczaj bogatego kupca.

Dnia 31 grudnia 1868 ukończył Schliemann w Paryżu rękopis sprawozdania z pierwszej podróży do Grecji, podając na wstępie własny życiorys. W tym czasie, a więc w wieku 47 lat, powziął decyzję rozpoczęcia nowego życia, życia badacza i odkrywcy. Dopiero teraz, w osiemnaście lat po opublikowaniu swego pierwszego życiorysu, nabrało dla niego znaczenia dzieciństwo.

PRÓBA WYJAŚNIENIA MITOMANII SCHLIEMANNA

„Kiedy w roku 1832 w Kalkhorst, w schwerińsko-meklemburskiej wiosce, w wieku dziesięciu lat wręczyłem swemu ojcu w prezencie gwiazdkowym wypracowanie napisane złą łaciną na

temat najważniejszych wydarzeń z wojny trojańskiej oraz przygód Odyseusza i Agamemnona, nie przypuszczałem, że 36 lat później przedstawię publiczności pracę na ten sam temat i będę miał szczęście oglądać na własne oczy teren działań wojennych i ojczyznę bohaterów, którzy dzięki Homerowi stali się nieśmiertelni". Tak zaczyna się fragment biograficzny książki Schliemanna, która ukazała się w roku 1869 i nosiła tytuł *Ithaka*.

„Jak tylko nauczyłem się mówić, ojciec opowiadał mi o wielkich czynach Homerowych bohaterów. Lubilem te opowieści, zachwycały mnie i wprawiały w podziw. Pierwsze wrażenia, jakich doznajemy jako dzieci, pozostają w nas na całe dalsze życie". Schliemann przytacza tu mnóstwo wrażeń, które wbiły się w jego dziecięcą pamięć, aby wyjaśnić swą mitomanię. Stopień prawdopodobieństwa w tych wypowiedziach ma w tym wypadku pośrednie znaczenie; bo jeśli nawet Schliemann tu i ówdzie wymyślił pewne sceny (co jest całkiem możliwe), to i tak opisy te dają podstawy do wyjaśnienia charakteru autora.

Jedenastoletni Henryk jako wychowanek i stolownik swego wuja Fryderyka rozpoczął najpierw naukę w gimnazjum w Neustrelitz, po trzech miesiącach musiał jednak wrócić do szkoły realnej, gdyż ojciec nie mógł, a może nie chciał opłacać czesnego. W szkole realnej zaś Henryk okazał się niezbyt dobrym uczniem. Świadectwo z roku 1835 dowodzi, że ani nie miał zdolności do historii i geografii, ani nie był geniuszem językowym. Właśnie z łaciny, która obok greki stała się później jego drugą mową ojczystą, jako uczeń otrzymywał najsłabsze oceny.

Szkoła realna w Neustrelitz

Świadectwo Henryka Schliemanna

za okres od Wielkanocy do świętego Michała 1835

Sprawowanie — dobre

religia — zadowolająca

geometria i arytmetyka — zadowolająca, jednak przy większym wysiłku stać ucznia na lepsze wyniki

fizyka i chemia — myli się, ale potrafi samodzielnie myśleć

przyroda — zadowolająca, uczeń wykazuje zainteresowanie przedmiotem

geografia — dostateczna

historia — zadowolająca

niemiecki — wypracowania pisze z pilnością

francuski — zadowolający

łacina — niezadowolająca, przekłady pobieżne i napszone

angielski — dość zadowolający

rysunki — średnie

czytanie — uczeń nie uważa przedmiotu za ważny

kaligrafia — zadowolające postępy

opuszczono — 22 godziny

Karierowicz i geniusz obudził się w Henryku Schliemannie dopiero później, ale podobnie rzecz się miała również z innymi geniuszami. W każdym razie braki w wykształceniu były jego drugą po śmierci matki bolesną raną, jakiej doznał od losu. Aż do uzyskania wątpliwego tytułu doktorskiego Schliemann bardzo cierpiał z powodu owych braków w wykształceniu, przypisując winę za to niekorzystnej sytuacji rodzinnej.

Nie jest istotne, czy opisana w autobiografii z roku 1868 scena z życia Schliemanna naprawdę miała miejsce, czy też została przez archeologa zmyślona. Ważne jest jedynie, co autor chciał przez nią powiedzieć: to mianowicie, że pochodził z dolnych warstw społecznych, miał duże braki w wykształceniu, ale w głębi duszy od najwcześniejszych lat czuł szczególne zamięrowanie do antyku.

Henryk Schliemann przedstawił to w następującej historii: „W małym sklepiku... do moich obowiązków należało sprzedawanie śledzi, masła, wódki, mleka, soli, mielenie ziemniaków do destylacji, zamiatanie pomieszczeń itd.; miałem kontakt tylko z najniższą warstwą społeczeństwa.

Od godziny 5 rano do 11 w nocy przebywałem w sklepiku i nie miałem ani chwili czasu na naukę. Wkrótce zapomniałem nawet tę garść wiadomości, jakie zdobyłem w dzieciństwie, ale mimo to nie stroniłem nigdy od nauki. Nie zapomnę do końca życia, jak pewnego dnia do sklepu przyszedł pijany pomocnik młynarza. Był on synem protestanckiego pastora ze wsi koło Teterów; chłopak ten byłby ukończył gimnazjum, niewiele mu już brakowało, gdyby go nie wyrzucono za złe sprawowanie. Aby go ukarać, ojciec oddał go na pomocnika do młyna. Niezadowolony ze swego losu młodzieniec zaczął pić, ale mimo to nie zapomniał Homerowych wersów, które pięknie recytował z zachowaniem rytmu. Mimo że nie rozumiał z tego ani słowa, ten dźwięczny język wywarł na mnie głębokie wrażenie i wylewałem gorzkie łzy nad swoim nieszczęśliwym losem. Prosiłem chłopaka, aby mi trzykrotnie powtórzył te boskie wiersze, za co zapłaciłem mu trzema szklankami wódki i paroma fenigami, które stanowiły cały mój majątek”.

Trudno sobie wyobrazić, że ta isticie filmowa scena mogła mieć w istocie miejsce, jednak potwierdził ją ów czeladnik młynarski Hermann Niederhöffer. Nieszczęśnik ten otrzymał w roku 1844 posadę pisarza gminnego w Wiedenhagen, następnie został poborcą drogowym, ożenił się, a żona odzwyczaiła go od pijaństwa. W 65 roku życia mężczyzna ten przeszedł na emeryturę — stale jednak cytował wiersze Homera.

OJCOWSKIE NIEPOWODZENIA

Z taką samą surowością, z jaką jego wychowywało życie, Schliemann postępował wobec własnych dzieci. Nie miał zrozumienia dla pobłażliwości i przesadnej czułości, z jakim jego pierwsza żona Jekatierina rozpieszczała dzieci. Taka postawa sprawiała, że dzieci uciekały w ramiona matki, a ojciec uchodził za człowieka niedobrego. Jak wszyscy przesadni ojcowie musiał Schliemann stwierdzić jeszcze przed swym wyjazdem z St. Petersburga, że nie zrealizują się żadne plany, jakie wiązał z synem Sergiejem, ponieważ chłopiec był zamknięty w sobie i flegmatyczny i tak jak matka nie wykazywał żadnych zainteresowań, oraz że nie będzie z niego drugi Henryk Schliemann. Jeśli jednak chodzi o materialne potrzeby syna, ojciec zachowywał się zawsze bez zarzutu i starał się być dla młodzieńca przykładem godnym naśladowania.

Jak ostry ton przybierał ojciec wobec syna, obrazuje list pisany 30 maja 1873 roku w Troi przed odkryciem skarbu Priama; w liście tym Henryk informuje osiemnastoletniego syna o swych wykopaliskowych sukcesach.

„Z powodu Twego niewłaściwego wychowania nie masz oczywiście żadnego zrozumienia dla tego, co wielkie, piękne i wzniosłe. Ale być może sam będziesz miał kiedyś syna i wychowasz go znacznie mądrzej, tak, aby miał poczucie piękna i tego, co wzniosłe, a jego marzeniem stanie się klasyczna starożytność. A jeśli tak się stanie, to poślij go do Troi, aby zobaczył wykopaliska swojego dziadka, które staną się po wsze czasy miejscem pielgrzymek żadnej wiedzy młodzieży. Poślij go również do moich ukochanych Aten i poleć mu zwiedzenie «Muzeum Schliemanna*», które zbudujemy z żelaza i marmuru i w którym oprócz naszych trojańskich zbiorów pomieścimy również inne starożytności greckiego narodu”.

Czy mógł ten chłopak kochać takiego ojca? — Sergiej udał się później do Paryża, gdzie studiował prawo, rozpił się i zmarł podobno w roku 1940 z głodu podczas wojny.

Małżonka numer dwa, Zofia, i dzieci odnosiły się do Henryka Schliemanna z dużym respektem, a nawet z głęboką czcią, co wyraźnie odpowiadało jego życzeniu. Nawet w ścisłym rodzinnym gronie pragnął on być podziwiany jako wielki odkrywca, daleki od wszelkich drobnych spraw codziennego życia, który nie może się troszczyć o tak powszednie sprawy jak zdrowie i dobre samopoczucie rodziny. Równocześnie emanował z niego niepokój, który zaznaczył się już w młodych latach i nie zanikł na starość. Nawet podczas urlopu w St. Moritz Henryk wstawał o godzinie czwartej rano, spacerował, załatwiał korespondencję i osobiście zanosił na pocztę stosy listów.

Schliemann dużo mówił, i to z dwu powodów. Po pierwsze bardzo lubił mówić i był nadzwyczaj elokwentny, a z drugiej strony usiłował w ten sposób pokonywać dość wcześnie występującą głuchotę; wraz z jej pogłębianiem się cecha ta spowodowała u niego kompleks, który rozładowywał w ten sposób, że dużo mówił; kiedy bowiem sam mówił, nie potrzebował stale pytać: „Słucham?” Z tego samego powodu unikał rozmów na ulicy lub podczas większych przyjęć, co często odbierano jako przejaw arogancji.

Charakter Schliemanna wykazuje niekiedy cechy schizofreniczne. Raz jest drobiazgowym rachmistrzem, trzeźwym kupcem i niesympatycznym kutwą; innym razem ukazuje się nam jako bezgraniczny rozrzutnik, nie rozumiany przez otoczenie marzyciel. Raz jest realistą i materialistą, innym razem fantastą żyjącym we własnym Homerowym świecie.

Sam Schliemann był świadom tego rozdwojenia, ale pozostaje pytanie, czy zdawał sobie sprawę, że za tym Janusowym obliczem kryje się męcząca frustracja. Do swej ciotki Magdaleny Schliemann z Kalkhorst, którą darzył szczególnym zaufaniem, napisał pod koniec 1856 roku (a więc w okresie, kiedy był u szczytu ekonomicznego powodzenia w St. Petersburgu, ale jednocześnie musiał uznać fiasko swego małżeństwa) bardzo szczery list; wskazał w nim na sprzeczności tkwiące w jego charakterze, nie analizując jednak ich przyczyn:

„...Nauki, a w szczególności studia językowe, stały się moją dzięką namiętnością. Wykorzystując każdą wolną chwilę udało mi się w ciągu dwu lat nauczyć polskiego, słoweńskiego, szwedzkiego i duńskiego, a z początkiem tego roku nowogreckiego, następnie

starogreckiego i łaciny, tak że teraz mówię płynnie i piszę w piętnastu językach. Ta wielka pasja językowa męczy mnie dniem i nocą i stale nawołuje, abym wycofał swój majątek z interesów, które toczą się ze zmiennym szczęściem, i udał się na wieś albo do jakiegoś miasteczka uniwersyteckiego, na przykład do Bonn, gdzie w otoczeniu uczonych poświęciłbym się całkowicie nauce. Pasja owa toczy we mnie już od lat ostrą walkę z inną moją namiętnością — ze skąpstwem i chciwością. I tkwiąc niestety w tym nierównym sporze, te dwie ostatnie zwyciężają i powiększają z każdym dniem zamieszanie w moich interesach".

W tym czasie Henryk Schliemann nie był jeszcze pogrążony w mglistych rejonach Homerowej Troi. Wbrew jego własnym twierdzeniom, iż herosi *Mady* fascynowali go już od dzieciństwa, jego mitomania ujawniła się dopiero o wiele później, w roku 1868. Przypomnijmy sobie: Pierwsza książka tego tak znakomitego badacza starożytności wcale nie opowiadała o Troi i jej bohaterach, ani nawet o Grecji, lecz tematem jej były współczesne Chiny i Japonia.

Ale wszystko, czego się tknął Schliemann, łącznie z tą namiętnością do antyku, stawało się manią, przybierającą formę groteski. Niski wzrost Schliemanna mógł niewątpliwie powodować, że jego projekty przeradzały się w „gigantomanię”; jego idee stawały się światopoglądem, jego życie heroiczną epopeją, jego przedsiębiorstwo imperium, jego podróże podróżami dookoła świata, jego bogactwo fanfaronadą, a jego dom pałacem.

DOM ZAINSCENIZOWANY PERFEKCYJNIE JAK CAŁE JEGO ŻYCIE

Dom ten, który kosztował podobno 890 tysięcy franków, jest odbiciem charakteru Schliemanna. Zlecił jego budowę przy Universitätsstrasse saksońskiemu architektowi Ernstowi Zillerowi. Był to pałac w stylu Hollywoodu, nieco renesansowy w stylu, nieco pompejański — kicz i fantazja, ale w każdym razie godny podziwu.

„Iliou Melathron” — głosiły lśniące złote litery między lodziarni pierwszego i drugiego piętra. To Homerowe określenie oznacza dosłownie więźbę dachu lub mieszkanie w Troi, a sam Schliemann przetłumaczył je jako „chata Ilionu”. W gazetach jednak pisano tylko „pałac Ilionu”. „Iliou Melathron” Schliemanna był tak doskonale zainscenizowany jak całe jego życie. Za wystawną fasadą, która zaćmiła fronton greckiego pałacu królewskiego, kryła

się konstrukcja ideologiczna, wzniosła filozofia — gdyż o mieszkaniu i jego praktycznej funkcji Henryk myślał dopiero na samym końcu. Gość wkraczał więc w świat Schliemanna, przez niego wydumany, pełen cieni i wzniosłej fantazji, do cudownej budowli, która była zarazem światem snów i marzeń i stanowiła odzwierciedlenie rozdwojonej jaźni archeologa.

Otoczony ogrodem z posągami i fontannami, „Iliou Melathron” stał się reprezentacyjnym pałacem-muzeum o charakterze monumentalnym. Lepiej pasowałby tu napis „Pamięci Henryka Schliemanna” aniżeli napis „Iliou Melathron”. Nad wejściem na parter z krużgankiem i niszami służącymi wyłącznie celom muzealnym znajdowała się pochodząca z Troi metopa Heliosa. Szerokie, białe marmurowe schody wiodły na pierwsze piętro, na którym mieściły się pomieszczenia recepcyjne, wśród nich sala balowa na 300-400 osób, jadalnia i kilka salonów — łącznie 25 pokoi. Posadzki i ściany zdobiły mozaiki w stylu pompejańskim. Między kolumnami i pilastrami widać było putta o obliczach odkrywcy, a nad wszystkimi drzwiami, nad każdym przejściem widniały wypisane dużymi literami cytaty z Homera i maksymy siedmiu mędrców*: „Poznaj samego siebie”, „Myślenie jest wszystkim”, „Dobrze jest zachować umiar”, „Ignorancja jest grzechem”, „Tylko nie przesadzać”.

Jak jednak wiadomo, Schliemann jedynie połowicznie stosował się do tych maksym. Swemu architektowi Ernstowi Zillerowi oznajmił, że pieniądze nie grają roli. Same tylko malowidła ściennie, dla których wzór stanowiła wydana w roku 1829 w Berlinie książka pt. *Die schönsten Ornamente und merkwürdigsten Gemälde von Pompeji, Herculenum und Stabiae* (Najpiękniejsze ornamenty i najbardziej osobliwe malowidła Pompejów, Herculenum i Stabii), pochłonęły majątek; tworzył je przez cały rok malarz wiedeński Juri Subic. Sam pan domu objeżdżał tymczasem wszystkie stolice europejskie w poszukiwaniu klasycystycznego umeblowania. Częściowo wykonano meble zgodnie z jego własnymi projektami, w szczególności krzesła.

W „Iliou Melathron” znajdowały się krzesła, na których mógł siadywać jedynie sam pan domu, prawie nikt z gości nie wiedział dlaczego, a wyjaśnienie tajemnicy było zadziwiająco proste: krzesła te miały równie krótkie nogi jak Schliemann.

* Chodzi o starogr. myślicieli okresu przefilozoficznego, którym przypisywano słynne sentencje. Istniało wiele „list” imion tych mędrców, zawsze jednak wymieniano cztery: Talesa z Miletu, Solona z Aten, Pittakosa z Mitytenu i Biasa z Prienu (przyp. red.).

Wspólną cechą krzesel w tym domu było to, że nadawały się do wszystkiego, tylko nie do siedzenia, były bardzo dekoracyjne, ale niewygodne. Schliemann-asceta nienawidził wygodnych krzesel, sam bowiem lubił stać. Swe książki i listy pisał stojąc przy pulpitach w obu gabinetach mieszczących się na drugim piętrze nad salą balową. Między Henrykiem a Zofią, która nie miała żadnego wpływu na urządzenie domu, wybuchła kiedyś kłótnia, gdyż mąż nie zgodził się na zakup wygodnego fotela z oparciem na głowę. Nawet architekt Ziller dawał do zrozumienia, że mimo luksusu dom będzie sprawiał zimne i nieprzytulne wrażenie. Istniała wprawdzie sala balowa z sześćdziesięcioma połączonymi krzesłami, jednakże w „Iliou Melathron” nie urządzono nigdy żadnego balu.

Urządzono natomiast wspomniały buduar, który jednak nie odpowiadał potrzebom Zofii, lecz wyobrażeniom Henryka dotyczącym wyglądu takiego pomieszczenia. Wiatrak w ogrodzie pompował wodę do łazienki mieszczącej się na drugim piętrze, ale, jak należało oczekiwać, w domu Schliemanna kąpano się tylko w zimnej wodzie. Już samo słowo higiena wywoływało u Henryka entuzjazm. Jeżeli w towarzystwie nie rozmawiał o Homerze lub na jakiś inny związany z antykiem temat, to rozwodził się z całą pewnością na temat higieny.

Schliemann bardzo lubił przyjmować gości w bibliotece. W tym miejscu czuło się ciepło, gdyż było ono utrzymane w pompejańskiej czerwieni. Na trzech ścianach mieściły się regały z książkami, a na czwartej, największej, był kominek z popiersiem Homera, które musiało być codziennie ozdabiane wieńcem z liści oliwnych. Nad kominkiem wisiała fotografia Zofii Schliemann w greckim stroju ludowym z trojańskim diademem na głowie. Obok zaś dyplomy towarzystw archeologicznych i akademii. Pośrodku stały trzy stoły, dwa weneckie ze zbiorem greckich monet oraz jeden zwyczajny z gazetami i czasopismami. Zbiór książek ograniczał się w zasadzie do tematyki antycznej; Schliemann cenił również Bulwera, Dickensa, Hugo, Racine'a, Goethego, Schillera, Leibniza i Kanta.

Schliemann dysponował dwoma gabinetami do pracy: jednym zimowym, a drugim letnim. Zimowy był położony od strony południowej, letni od wschodniej. Nad wejściem do niego widniały słowa Pitagorasa: „Kto nie studiował geometrii, pozostaje na uboczu”.

W sprawozdaniu prasowym z roku 1884 pewien gość z Ameryki opisywał, jak został poproszony do gabinetu Schliemanna:

„Kiedy siedzieliśmy przy stole w bibliotece i czytaliśmy najnowsze gazety angielskie, podano kawę. W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu zimowego i wszedł doktor z piórem w rękę i zaczął z nami rozmawiać o zapasach żywności, jakie musi przygotować dla swej nowej kampanii wykopaliskowej; następnie zaprosił nas do swojego pokoju.

Stało tam kilka biurek, a pośrodku znajdował się wysoki pulpit, gdyż doktor zwykł był pracować na stojąco. Wokół ścian stały szafy ze starożytnościami, a nad nimi wisiały najważniejsze dyplomy doktora. Pokazał nam również niektóre listy, jeden od Gladstone'a, inny od cesarza Wilhelma, a trzeci od pewnego kupca (przypuszczalnie z La Guaira), który mu w młodości przyznał roczną pensję w wysokości 45 funtów. List ten ucierpiał wskutek rozbicia okrętu i był cytrynowożółty od wody morskiej, ale Schliemann przechowywał go starannie i pokazywał każdemu z gości z dumą jako dowód skromnych początków swej kariery. Przechowywał również w gabinecie fotografie z okolic, gdzie się urodził”.

ZOFIA — TRESOWANY PIESEK

Zofii w ogóle nie podobał się „Iliou Melathron”. Cichą tęsknotą darzyła dom rodzinny na przedmieściu Aten, gdzie było wprawdzie ubogo, ale swojsko. „Tutaj nie mam nawet wygodnej sofy, na której mogłabym wypocząć”, skarżyła się swej matce. Wobec tego mama Engastromenos kupiła córce sofę, a Schliemann był przerażony tym „niepotrzebnym meblem”. Kiedy Zofia w dobrej wierze podarowała mężowi fotel, kazał go usunąć.

Każda inna kobieta skorzystałaby z tego egoistycznego i często bezczelnego zachowania męża i opuściłaby go. Zofia tolerowała jednak wszystkie jego wybryki. Była nauczona posłuszeństwa i znoszenia tego wszystkiego, a ponadto kochała swego męża. Tłumaczyła, iż tylko geniusze mogą sobie pozwolić na tego rodzaju postępowanie. Znosiła więc wszystkie upokorzenia i przykrości ze strony Henryka, jego skąpstwo i marnotrawstwo.

Multimilioner Henryk Schliemann, posiadający ponad 50 garniturów uszytych przez londyńskiego krawca, a także wiele par butów, dwadzieścia kapeluszy i trzydzieści lasek, wymagał od swej żony, aby prowadziła książkę wydatków domowych, które kontrolował każdego tygodnia. Kiedy poszukiwał we wszystkich stolicach europejskich żyrandoli i innych przedmiotów do wyposażenia

swego domu, jego żona pozostawała w Paryżu bez wystarczającej sumy pieniędzy. Zofia spodziewała się dziecka i z trudem powstrzymywała wściekłość. Zapowiedziała, że napluje temu okropnemu egoiście w twarz, ale na zapowiedzi poprzestała. Ledwie bowiem znalazła się w pobliżu męża, miękła jak wosk, nie była zdolna do sprzeciwu i słuchała Henryka jak tresowany piesek. Dochodziło do niewiarygodnych scen: gdy wzgardziła winem, które lubił Henryk, ów kładł pod kieliszkiem Zofii złotą monetę, którą mogła dla siebie zatrzymać, jeśli wypijała wino do dna.

Jeśli małżonkowie byli rozdzieleni choćby na kilka dni, wymieniali wówczas pełne miłości listy; pozostało z nich niewiele, gdyż Zofia, porządkując spuściznę po mężu, nie chciała, aby były one opublikowane.

Henryk do Zofii: „Od czterech dni nie mam od Ciebie wiadomości. Nawet wobec największego wroga nie mogłabyś się gorzej zachować!”

Zofia do Henryka: „Moja duszyczko, cóż to za życie, stale rozdzieleni! Czy nie uważasz, że byłoby pięknie, gdybyś przebywał w pobliżu Twojej biednej żony, która Cię ubóstwia, a która życie małżeńskie zna tylko z marzeń?”

Kiedy Schliemann wracał do „Iliou Melathron”, kontynuował swój terror psychiczny, wymagał od Zofii określonego sposobu wyrażania się, zabraniał jej używać tak niesprecyzowanych określeń, jak „być może”, „około”, „prawie”. Schliemann zdumiewał żonę prawie każdego dnia nową manią, nowym zakazem czy nakazem, nowym zwyczajem, który zastępował poprzedni.

Ów ekscentryk żył w tempie zapierającym dech. Każdego dnia pisał ponadto 20 listów. Wiadomo było, iż Cezar, który służył mu za przykład, robił wiele rzeczy na raz. W tej niezmordowanej aktywności, która każdego, kto zetknął się ze Schliemannem po raz pierwszy, doprowadzała do rozpacz, naśladował sławnego Rzymianina. Przy jedzeniu, któremu ku zmartwieniu żony nie poświęcał wiele uwagi, załatwiał korespondencję, przyjmował dziennikarzy i wygłaszał swój życiorys po grecku albo cytował *Iliadę*. Bywały dni, kiedy jego wywody przy stole trwały trzy godziny. „Grekomania” Schliemanna przerastała niekiedy wszelkie wyobrażenia; dowcipy, które ukazywały się w czasopismach satyrycznych i których tematem były obsesje odkrywcy Troi, wcale nie były przesadzone. Na przykład Schliemann zgadzał się być ojcem chrzestnym wielu dzieci w swej meklemburskiej ojczyźnie, ale pod warunkiem, że będzie mógł im nadać imiona z *Iliady* lub *Odysei*; Nauzykaa

Meyer, wnuczka jego dawnego pryncypała Teodora Hiickstadta z Furstenbergu, otrzymywała z Aten roczną dotację w wysokości 100 marek.

Niemal z misjonarską gorliwością nadawał Schliemann Homerowe imiona. Urodzoną w roku 1871 córkę nazwał Andromacha. Dnia 16 marca 1878 roku urodził się w Paryżu Agamemnon. Pozostaje zagadką, dlaczego sam nie zmienił swego staroniemieckiego imienia Henryk. W rezultacie każdy z otoczenia Schliemanna musiał się poddać jego dyktatowi, jeśli chodzi o nadawanie imion. Portiera w swoim domu, który miał chrzestne imię Demetrios, Schliemann nazywał Bellerofonem. Ogrodnik szczycił się imieniem Priam, stangret nazywał się Kalchas, a na obie piastunki wołano Danae i Polyksene.

Jak ważne było to dla Schliemanna, wskazuje list z 1879 roku do jego przyjaciela Virchowa. Schliemannowie przebywali wówczas na kuracji w Kissingen. Hekabe, niemiecka bona i dama do towarzystwa, właśnie wymówiła pracę i Schliemann prosił Virchowa, aby znalazł mu następczynię „Miss Hekabe”. Virchow zaproponował Marię Mellien, córkę berlińskiego adwokata. Schliemann ucieszył się i odpowiedział: „Na podstawie Pańskiego opisu stwierdzam, że panna Mellien odpowiada naszym oczekiwaniom, co się tyczy wyglądu zewnętrznego, zdolności i umiejętności; chętnie przyznamy jej wynagrodzenie w wysokości 1500 marek oraz zwrot kosztów podróży, żądamy jednak, aby:

- 1) zobowiązała się ona pozostać u nas przez dwa lata, chyba że wyjdzie za mąż, wówczas może nas opuścić w każdej chwili;
- 2) na czas przebywania w naszym domu będzie nosiła inne imię; jeżeli nie odpowiadałoby jej imię Hekabe, mogłaby przybrać inne, np.: Klitajmnestra, Laodike, Briseis, Nauzykaa, Tyro, Hippokaste lub jakieś inne Homerowe imię, tylko nie Maria, gdyż żyjemy tu w greckim świecie”.

STOSUNEK SCHLIEMANNA DO PIENIĘDZY

Również jeśli chodzi o pieniądze, Schliemann przekraczał wszelką miarę. Z jednej strony przez całe życie pozostał drobnym kramarzem, jakim się stał po wydaleniu go ze szkoły realnej w Furstenbergu, z drugiej zaś — wyrzucał pełnymi garściami pieniądze przez okno. Jego ateński dom „Iliou Melathron” kosztował

tyle, że za tę sumę mógł zbudować całą ulicę. Komentarz Schliemanna na ten temat: „Całe życie mieszkałem w małym domu, więc resztę moich dni pragnę spędzić w dużym”.

Kiedy Henryk Schliemann doglądał swych spraw w Paryżu i kontrolował pobieranie czynszu ze swoich 270 mieszkań i konta bankowe, zwykle zatrzymywał się w „Grand Hotelu” przy rue de Capucines, najwytworniejszym miejscu w Paryżu. Gdy jego żona Zofia udawała się sama w podróż, co zdarzało się dość rzadko, wówczas Henryk rezerwował jej miejsce w hotelu średniej klasy i żądał rachunków do kontroli. Nie wstydził się nawet wymagać od żony, aby nie jadła zbyt drogich hotelowych śniadań, lecz w kawiarni obok.

Zresztą Schliemann pozostawał na wojennej stopie z hotelami i restauracjami; były one jak na jego gust za drogie. Wprawdzie rezerwował dla siebie zawsze najdroższe hotele, wybierał jednak najtańsze pokoje, a często zdarzało mu się nawet nocować na najwyższym piętrze w pomieszczeniach dla personelu.

Podczas prac wykopaliskowych w Tirynsie ów 64-letni multimilioner najchętniej bywał w kawiarni „Agamemnon”, ponieważ można tam było dostać filiżankę czarnej kawy „jeszcze po starej cenie 10 leptów lub 8 fenigów, podczas gdy wszędzie indziej ceny bardzo wzrosły”. Wbrew przyzwyczajeniom podczas prac wykopaliskowych w Tirynsie zamiast mieszkać w prywatnych pokojach lub własnoręcznie zbudowanych szałasach, mieszkał Schliemann w „Grand Hotel des Etrangers” w Nauplii, ale tylko dlatego, że właściciel hotelu przedstawił mu specjalną ofertę: 6 pokoi za sześć franków dziennie. Pod warunkiem, że będzie mógł przynosić własną żywność, Schliemann jadał w hotelu nawet kolacje. Kuchnia hotelowa dostarczała jarzyny, ryby, baraninę i ser, Schliemann zaś przynosił kucharzowi konserwy z chicagowskim „Corned beef”, wyciąg mięsny Liebiga oraz wino dostarczane przez firmę Schröder et Co. z Londynu, oczywiście po cenie hurtowej.

Poza tym Schliemann nie przywiązywał wielkiej wagi do jedzenia. Służyło ono tylko do zaspokojenia głodu. Jego skromne pochodzenie i pełne przygód podróże, które zajmowały większą część jego życia, sprawiły, że w tej dziedzinie nie był zbyt wymagający. Dopiero później, po przekroczeniu siedemdziesiątki, i właśnie w Anglii poznał Schliemann rozkoszny urok wspaniałych obiadów. Do tego czasu wołał proste pożywienie domowe swej meklemburskiej ojczyzny: naleśniki ze słoniną, tak zwaną zupę śmietnikową, świńskie uszy z grochem. Pewien kuracjusz w Warnemunde

Stosunek Schliemanna do pieniędzy

wspominał w artykule opublikowanym w „Mecklenburg-Strelitzer Landeszeitung” z roku 1891, że Schliemann w czasie pobytu na kuracji w nadmorskim kąpielisku daremnie próbował namówić Zofię na owe potrawy. Usiłowania te były równie daremne jak próba wtajemniczenia Zofii w tajniki języka dolnoniemieckiego.

Nawet podczas wielkich kolacji w domu w Atenach, na które Schliemann zaprasza! naukowców, profesorów, dyplomatów i inne znane osobistości z całego świata, wśród nich króla Grecji Jerzego I, jedzenie było skromne, wręcz dziwne dla dystyngowanego Europejczyka. Pewien gość wspominał: „Jeśli chodzi o stronę kulinarną, ucztą odpowiadała raczej gustom, jakie mogły panować w starożytnej Troi, a nie potrzebom współczesnego żołądka”. Dla Schliemanna, który palił papierosy i cygara, ważniejsze od jedzenia było zażywanie chininy.

Listy i dokumenty z życia Schliemanna nie pozostawiają wątpliwości, iż był on raczej urodzonym kupcem aniżeli archeologiem. Podczas gdy jako badacz prześlizgiwał się przez tysiące lat z naiwnością dyletanta, już we wczesnych latach okazał się niesympatycznym dusigroszem i pozostał takim do końca życia. Swoim siostrzom Doris i Wilhelminie donosił w liście pisanym na początku 1842 roku, w jaki sposób wykorzystał spadek po matce, z którego po odliczeniu wszystkich długów pozostało mu 29 talarów:

czynsz	5 talarów
nauka księgowości i angielskiego	20
9 potrzebnych do tego książek	4
wwzwanie i papier	10
kuracja wodna u T. F. Vicka	11
sukno	10
krawiec	13
szewc	6
krawiec jeszcze z czasu, kiedy byłem u Ottona	9,32
Razem	<u>88,32 talarów</u>

Ta pedanteria była niewątpliwie spowodowana biedą, ale również w późniejszych latach nie udało się Schliemannowi od niej uwolnić. Kiedy w czasie wykopalisk w Troi wydawał 400 franków dziennie, zapisał w swym dzienniku na temat budowy domu na wzgórzu Hissarlik: „Wszystko razem łącznie z pokryciem wodoodpornym filcem kosztowało tylko tysiąc franków, gdyż drewno jest tu tanie, i deskę długości 3 metrów, szerokości 25 centymetrów

i grubości 1 cala można kupić za 2 piastry albo 40 centymów". Niekiedy odnosi się wrażenie, że wyliczanka kosztów dominuje w dokładności nad opisem samych wykopalisk.

Korespondencja Schliemanna z jego wydawcami Edwardem i Arnoldem Brockhausami obejmuje w ciągu 18 lat aż 900 listów, w tym 120 napisanych tylko w roku 1880; chodzi w nich jednak raczej o rozliczenia, nakłady i sprzedaż aniżeli o problemy związane z treścią jego książek. Wydawca miał wyszukać odpowiednich tłumaczy na angielski i francuski, ale „za niską cenę”, pracy Schliemanna, która, zdaniem autora, otworzy przed archeologią nowy świat. Dwa tysiące egzemplarzy książki o Troi zostanie z pewnością sprzedane od ręki.

Z jednego z tych listów wynika, że Schliemann płacił recenzentom z gazet łapówki: „Istnieją jednak inni, których recenzje znacznie ułatwią Panu sprzedaż, ale których za to bardzo wysoko opłacam”. Jednocześnie zaś Schliemann potrafił prowadzić trwającą tygodniami korespondencję z powodu kilku marek pozostałych z rozliczenia honorarium, które ogółem wynosiło sto marek.

UTRACJUSZ I DOBROCZYŃCA

W roku 1886 Schliemann udał się w trzymiesięczną podróż do Egiptu bez małżonki, jedynie w towarzystwie służącego Pelopsa, gdyż podróż taka „wpływała dobroczynnie na umysł i ciało”. Zofia nie mogła się zdecydować, gdyż nie chciała pozostawiać dzieci samych. W Kairze Schliemann wynajął statek wraz z załogą za 9 tysięcy marek, za co można było wówczas nabyć dom. Ten dość duży wydatek skomentował Schliemann uwagą: „Pociesza mnie myśl, że zamierzone uprzednio prace wykopaliskowe na Krete kosztowałyby trzykrotnie więcej”.

Sam Schliemann mówił o sobie, że w życiu miał więcej szczęścia niż rozumu, a największe głupstwo, jakie popełnił, kiedy zrezygnował z posady w St. Petersburgu i wyjechał do Kalifornii, przerozdziło się w jego największe szczęście. Z tego przekonania zrodziła się u niego pewnego rodzaju pokora — uczucie dotychczas całkowicie mu obce — które skłoniło go do wydatkowania znacznych sum na cele dobroczynne, przede wszystkim w meklemburskiej ojczyźnie, gdzie jako jego przedstawiciel i pełnomocnik do spraw finansowych działał szkolny kolega, późniejszy kupiec i bankier Wilhelm Rust.

Uciążliwe dla Schliemanna były listy z prośbami o wsparcie, które zaczęły licznie napływać, kiedy ludzie dowiedzieli się o jego bogactwie — zresztą nie bez własnego udziału. Zgłaszali się kole-dzy szkolni i towarzysze zabaw, których Schliemann nawet sobie nie przypominał, lub też dalecy krewni, którzy popadli w nędzę. Wiele spośród tych listów Schliemann zachował, nawet te, gdzie odmówił pomocy, na przykład owej młynarce Luizie Pless; ta rezolutna kobieta z młyna w Userin niedaleko Neustrelitz, matka czworga małych dzieci, poprosiła go o 300 talarów, z tego 100 na zapewnienie egzystencji sobie i mężowi, który wyemigrował do Ameryki, a 200 dla siebie i dzieci na podróż do Ameryki. Napisała ona: „Jest to dla nas bardzo bolesne, co Pan z pewnością rozumie, ale niejednokrotnie słyszałam, że ma Pan miękkie, współczujące serce”. Schliemann i Pless mieli się rzekomo znać z czasów szkolnych w Neustrelitz, ale Schliemann nie zdecydował się na udzielenie pomocy.

Natomiast inne osoby, jak wyrobnik Friedrich Suhrweier, ubogi krawiec i grabarz Fritz Wöllert, czy też nauczyciel Schliemanna Carl Andress, któremu Henryk zawdzięczał znajomość łaciny, uzyskali od niego dożywotnią pomoc. Andress napisał w 1862 roku błagalny list po łacinie. Groziła mu śmierć głodowa i fantazjował na temat szerokich kręgów towarzyskich, w których obracał się jego dawny uczeń w St. Petersburgu. „Proszę sobie przypomnieć — pisał do Schliemanna — kiedy będzie Pan wesołym towarzystwie, swego starego nauczyciela, który znajdując się w wielkiej potrzebie przywołuje na pamięć słowa Wergiliusza: «Nie cofaj się przed nieszczęściem, tylko staw mu czoło*. Władze zapewniły mnie, że wkrótce będzie mi się lepiej powodziło, ale zwlekają i nie kończą mej sprawy, tak że mogę powiedzieć: dwa razy daje ten, kto szybko daje”.

W kwietniu tego samego roku krawiec z Ankershagen Fritz Wöllert dziękował swemu dobroczyńcy, że ten pomógł mu wydo-być się z nędzy. Bez jego wsparcia nie mógłby sobie pozwolić na konfirmację drugiej córki, co na meklemburskiej wsi było równo-znaczne z hańbą. „Pomógł mi Pan w niejednej potrzebie, czasy są tu teraz bardzo ciężkie, a ja nie zarabiam nawet tyle, aby się utrzymać wraz z żoną i dziećmi”.

Rodzeństwo Henryka, a przede wszystkim jego ukochana siostra Doris, było zawsze wspinałomyślnie wyposażane. Siostra dziękowała mu za 4 tysiące talarów, które wystarczyły na zakup znacznego kawałka gruntu, następującymi słowami: „Moje serce

pełne jest gorącej i serdecznej wdzięczności dla Stwórcy i dla Ciebie, ukochany Henryku. Niech Cię Bóg błogosławi za to, że jesteś podporą dla Twoich biednych bliskich; Bóg dał Ci tak szlachetne i kochające serce dla Twoich najbliższych, ale czyż nie jest to radosne uczucie, mój Henryku, kiedy się ma świadomość, że dzięki Twojej zapobiegliwości i Twojej pracy Twoi bliscy wolni są od trosk?"

Czasami Henryk Schliemann miał uczucie, że jest instytucją dobroczynną, kiedy na przykład jego starszy o pięć lat kuzyn Adolf błagał go w rozpaczliwych słowach o bliżej nie określonej sumie pieniędzy. Wpływowy radca sądowy był namiętym graczem i podczas gry w karty w roku 1869 przegrał pewną kwotę, i to wystarczająco dużą, aby zrujnować siebie i swoją rodzinę. Henryk pomógł swemu kuzynowi „pod warunkiem, że odtąd nigdy więcej nie dotknie kart”.

Schliemann lubił obwarowywać swe przekazy pieniężne warunkami; dawało mu to poczucie przewagi moralnej. Jego kuzyn Adolf nie mógł już więcej grać, ojciec Ernst musiał na powrót zaprowadzić w domu czystość i ład i szorować podłogę, krawiec Wöllert nie mógł już wziąć do ust kropli alkoholu, a siostra Doris miała odłożyć pieniądze, aby móc do nich sięgnąć w razie potrzeby. Wszyscy, którym Schliemann dawał pieniądze, mieli się stać tak jak on oszczędni, czysti i porządni oraz mieli się powstrzymać od hazardu i alkoholu.

Jednocześnie zaś Schliemann nie dostrzegał brzydkich cech własnego charakteru, ale tego nikt nie odważył się powiedzieć prosto w twarz temu bogatemu dorobkiewiczowi. Jego pierwsza żona Jekatierina uczyniła to, ale została ukarana. Istniał tylko jeden człowiek, który nie bał się powiedzieć na ten temat swojego zdania: był nim bankier Jan Henryk Schröder. Napisał on 25-letniemu wówczas Schliemannowi, który pracował dla niego w Hamburgu:

„Nie posiada Pan absolutnie znajomości ludzi i świata, mówi Pan i obiecuje o wiele za dużo, wciąż roją się Panu rzeczy osiągalne jedynie w Pańskiej wyobraźni, a nigdy w rzeczywistości. Kiedy wydaje się Panu, że osiągnął swój cel, staje się arogancki wobec przyjaciół, którzy Panu przecież dobrze życzą i którzy się szczerze Nim interesują i mówią Mu prawdę, starając się Pana uświadomić i kształtować dla Pańskiego dobra. Zamiast być za to wdzięcznym, staje się Pan arogancki i ordynarny... Proszę, aby Pan starał się

Utracjusz i dobroczyńca

być człowiekiem praktycznym i nabył przyjemnych i skromnych manier, a nie bujał w obłokach etc, etc, lecz przyjmował świat i ludzi takimi, jacy są".

Oceniając postawę Schliemanna, należy stwierdzić, że nie wziął on sobie do serca żadnej z życzliwych rad Schrodera, i wydaje się, że w tym właśnie tkwiła tajemnica jego powodzenia.

XII MYKENY: ZŁOTA

MASKA AGAMEMNONA

Trzy miast[a] kocham, te-m sobie nad inne wybrata:
W Argach, w Sparcie, w Micenach mam rozkosz jedyną,
Lecz gdy ci nienawistne będą, niechaj zginą.
Nic w dopełnieniu zemsty Juno nie przeszkadza
I próżny by był odpór, twoja większa władza.

Bogini Hera do swego małżonka Zeusa (*Iliada*, księga IV)

7 sierpnia 1876: „Zacząłem wielkie dzieło wraz z 63 robotnikami, których podzieliłem na trzy grupy: 12 ludzi postawiłem przy Lwiej Bramie, aby umożliwić wejście do akropolu, 43 ludzi postawiłem w odległości 40 stóp od bramy, aby dokonali wykopu długiego na 113 stóp i szerokiego również na 113 stóp, a pozostałych 8 ludzi ustawiłem na południowej stronie skarbcza, położonego w dolnym mieście w pobliżu Lwiej Bramy, aby przekopali teren i znaleźli tam wejście...”

Mykeny były ostatnim wielkim wyzwaniem w życiu odkrywcy Henryka Schliemanna. Mykeny? Na Zeusa, dlaczego właśnie ta miejscowość? Czego szukał w Mykenach odkrywca Troi?

W odróżnieniu od Homerowej Troi, która już w starożytności uznawana była za zaginioną i wobec tego poszukiwali jej w różnych miejscach podróżnicy, ludzie żądni przygód czy też zdobywcy, Mykeny nigdy nie przestały istnieć. Zachowały się wprawdzie jedynie ruiny, ale mury cyklopie tej legendarnej miejscowości fascynowały ludzi w każdej epoce. W historii powszechnej współczesnego Juliuszowi Cezarowi historyka Diodora Sycylijskiego czytamy: „Owo miasto obdarzone bogactwem i potęgą, które wydało tylu wielkich mężów i było świadkiem tylu wielkich czynów, zostało... zniszczone i zachowało się do naszych czasów nie zamieszkane”.

Dwieście lat później Mykenami zajmował się bardziej dokładnie Beadeker starożytności, pochodzący z Azji Mniejszej Grek Pauzaniasz. W swym dziele pt. *Wędrowka po Grecji* (II, 16, 5-6) pisze on:

Przet. Fr. Ks. Dmochowski (IV 50-54).

„Argiowowie zniszczyli Mykeny z zazdrości. Oto, podczas gdy oni sami zachowali się biernie w czasie wyprawy Persów na Heladę, Mykeny wysłały pod Termopile osiemdziesięciu ludzi, którzy wzięli udział w dziele podjętym przez Lacedemon. Tak więc podrażniona ambicja Argiwów przyniosła zgubę Mykenom. Sterczy jeszcze część murów i brama. Stoją na niej lwice. Podobno te mury są także dziełem cyklopów, którzy dla Projtosa wykonali już obwarowanie Tyrynsu.

Wśród ruin Myken bije źródło tzw. Perseja. Istnieją także podziemne pomieszczenia Atreusa i jego dzieci. Wewnątrz nich skarbcze ich majątności. Znajduje się tu grobowiec Atreusa oraz grobowce świty Agamemnona, przybyłej z nim spod Troi. Wymordował ją w czasie uczty Ajjistos. [.. .]”*

Tych kilka wierszy podziałało elektryzująco na Henryka Schliemanna. Jeżeli Pauzaniasz widział groby Atreusa, ojca Agamemnona, oraz jego trojańskich wojowników, to był to dowód, że wojna trojańska się odbyła, a jej bohaterowie byli żywymi ludźmi. Tylko w jaki sposób mógł Schliemann potwierdzić wypowiedź Pauzaniaza? Była tylko jedna droga; musiał zatem odnaleźć w Mykenach królewski pałac Agamemnona lub choć jeden ze wspomnianych grobów. Wówczas dostarczyłby ostatecznego dowodu, że Homer nie był fantastą, lecz można go traktować jako źródło historyczne.

Już podczas pierwszej podróży do Grecji w roku 1868 Schliemann nosił się z zamiarem zweryfikowania w Mykenach swej teorii dotyczącej Troi. Podczas prac wykopaliskowych w Azji Mniejszej starał się u rządu greckiego o licencję na wykopaliska na Peloponezie. Jednakże zabranie skarbu trojańskiego i wynikająca z tego faktu zła opinia wśród członków Towarzystwa Archeologicznego w Atenach zmniejszyła znacznie jego szanse. Schliemann po rozładowaniu konfliktu z rządem tureckim musiał się ponownie starać o licencję na prace w Troi.

Pełen gniewu na ateńską biurokrację Schliemann wyjechał już przed dwoma laty, w roku 1874, do Myken w towarzystwie swej żony. W ciągu jednej nocy najął tuzin robotników, którym polecił wykopać w południowo-wschodniej części miasta 34 rowy głębokości 5,5 metra. Po sześciu dniach prac rabunkowych — gdyż ostatecznie taki był charakter tej działalności, albowiem nie można się

* Przeł. J. Niemirska-Pliszczyńska, w: *W świątyni i w mieście*. Z Pauzaniaza *Wędrówki po Helladzie*, księgi I-III i VII. Ossolineum, Wrocław 1973.

było wylegitymować pozwoleniem — policja położyła temu kres dnia 2 III 1874 roku, na polecenie Ministerstwa Porządku Publicznego. Wyniki poszukiwań — duża liczba glinianych skorup oraz nie zdobiona stela — były raczej skromne, ale akcja przyniosła nie zamierzony efekt: dowiodła władzom, że w Mykenach nie ma niczego do odkrycia.

Nieprawdopodobne, aby Schliemann świadomie sprowokował tę sytuację, choć pozostaje zagadką, dlaczego ten doświadczony odkrywca poprowadził swoje wykopy właśnie przez południowo-wschodni teren. Eżdż co bądź to samowolne i bezskuteczne postępowanie spowodowało, że Henryk uzyskał dwa miesiące później pozwolenie: „Zezwała się Panu Schliemannowi na odkopanie akropolu w Mykenach. Równocześnie udziela Mu się prawa jako pierwszemu do ogłoszenia odkrycia. Co się tyczy odkopania grobu Atreusa, ministerstwo zachowuje sobie prawo do podjęcia decyzji w terminie późniejszym. Nadzorowanie prac zleca się specjalnemu urzędnikowi, eforowi, z którym Pan Schliemann ma uzgodnić termin rozpoczęcia prac, liczbę robotników itp.”

Minęły dwa lata, zanim Schliemann mógł rozpocząć prace wykopaliskowe. Ciągle bowiem zajmowała go sprawa skarbu Priama i planowane umieszczenie go w jednym z europejskich muzeów, a ponadto rząd turecki, po wspaniałomyślnej ugodzie ze Schliemannem, zasygnalizował, iż wspomagać będzie dalsze prace w Troi; nawet sam wielki wezyr Mahmud Medim pasza wstawił się osobiście za archeologiem.

ŚMIERTELNY WRÓG STAMATAKIS

Wobec całego obrotu sprawy Schliemann wolał jednak zrealizować projekt mykeński, mimo prawie niemożliwych do przyjęcia warunków, jak na przykład tego, iż nie wolno mu było zatrudnić na raz więcej aniżeli 50 robotników (taką liczbę łatwiej było kontrolować niż 150 ludzi). Kontrolę nad całym przedsięwzięciem przejął efor Panajotis Stamatakis, mianowany przez ministra kultury Georgiosa Milessesa.

Schliemann zniechęcił Stamatakisa od pierwszego wejrzenia. Szalał wprost, mając stale u boku nadzorcę, który od rana do wieczora śledził każdy jego krok. Stosunki między nimi były bardzo napięte, gdyż Schliemann nie dotrzymywał warunków umowy.

Śmiertelny wróg Stamatakis

Już pierwszego dnia zamiast uzgodnionych 50 robotników sprowadzi! 63, a dwa tygodnie później pracowało już 125 ludzi, których Schliemann zwerbował w wioskach Kutsopodi, Phichtia i Charvati. Ponadto na terenie prac Schliemann zjawił się z żoną Zofią i wyznaczył ją jako drugiego samodzielnego kierownika robót, tak jak zawsze tego pragnął. Jej najważniejszym zadaniem było pośredniczenie w czasie prac między bardzo poprawnym Grekiem a porywczym Amerykaninem.

Henryk i Zofia wynajęli w pobliskiej wsi Charvati dom i konia. Za dom, konia i obrok Schliemann zapłacił z góry 162 drachmy. Robotnicy otrzymywali 2,5, a poganiacze wołów z zaprzęgiem 8 drachm. Pracę rozpoczynano o godzinie 6 rano, a kończono często o 21, ale i wówczas nie był to koniec pracy dla Schliemanna. Nierzadko sprzeczał się on ze Stamatakisem o jakieś drobiazgi aż do godziny 2 w nocy; ale było to życie, jakie Schliemannowi odpowiadało; był szczęśliwy, kiedy miał dookoła wykopaliska, a u boku żonę. Nie potrzebował dużo snu, nie więcej niż 4-6 godzin.

Ubrana w czarny kostium i w kapelusz z szerokim rondem Zofia rozpoczęła swe pierwsze prace wykopaliskowe w odległości około 100 metrów na zachód od Bramy Lwów, gdzie odkopywano zasypane wejście do znanego już grobu Klitajmnestry; Schliemanna natomiast zaprzętały całkiem inne sprawy. Chodziło mu przede wszystkim o odnalezienie grobu Agamemnona i miejsca spoczynku jego towarzyszy. Chciał wykazać, że dowódca wojska Achajów spod Troi nie był Homerową fikcją. Postępował przy tym równie niekonwencjonalnie jak przed pięć laty podczas poszukiwania Troi.

O Mykenach i spuściznie po legendarnych królach Achajów krążyło niemniej dużo legend niż o Troi Homera. Snuto rozmaite spekulacje przede wszystkim na temat potężnych kopułowych grobów zrujnowanego miasta, które już w epoce klasycznej stały puste. Pausanias określał je jako „podziemne pomieszczenia, w których znajdowały się skarbcce”. Był to, jak się później okazało, mylny pogląd, ale Schliemann wierzył Pausaniaszowi: „Dowód na to, że te wspaniałe podziemne budowle* służyły jako skarbcce, wywodzę stąd, iż Mykeny i Orchomenos są jedynymi miastami, o których Homer powiada, że kapią od złota, i przypisuje im wielkie bogactwa”.

Schliemann nie dawał wiary mieszkańcom okolicznych wiosek, którzy określali największą z podziemnych budowli jako „grób Agamemnona”. To przychyła się do teorii skarbcza, to znów uważa

za wykluczone, iż właśnie Agamemnon miałby wznieść największą i najbogatszą podziemną budowlę.

„Zachowana budowla — pisze Schliemann w swym sprawozdaniu z prac wykopaliskowych — była największym skarbcem i ma cechy wskazujące na to, iż była wspaniała. Wejście do niej było pięknie ozdobione, a wewnątrz wyłożone metalowymi płytami. Dlatego też możemy z dużym prawdopodobieństwem przypisywać największy zachowany skarbiec samemu Atreusowi, najbogatszemu i najpotężniejszemu królowi kapiących od złota Myken, a nie kóremuś z jego synów. Agamemnon zmarnował bogactwa Atreusa na ekspedycje do Azji Mniejszej; najdłuższy okres swego panowania spędził za granicą, a do domu powrócił biedny i słaby, tak iż po jego śmierci Mykeny były już miastem drugorzędnym w Argolidzie. W tej sytuacji jest raczej mało prawdopodobne, aby grób Agamemnona był wspaniałym pomnikiem”.

STOSUNKI RODZINNE W MYKENACH

Dla Schliemanna, który bez zastrzeżeń wierzył Homerowi, istniał przede wszystkim jeden przekonujący powód, dlaczego Agamemnonowi nie wzniesiono najwspanialszego ze wszystkich mykeńskich grobów. Agamemnon, syn Atreusa z rodu Tantalidów, ożeniony był z Klitajmnestra, córką króla Sparty. Z tego małżeństwa pochodziło troje dzieci, Ifigenia, Elektra i Orest. Podczas gdy Agamemnon przebywał całymi latami w odległej Troi, Klitajmnestra zabawiała się z ognistym kochankiem Ajgistosem. Również Agamemnon nie gardził przyjemnościami; po zdobyciu Troi wziął córkę króla Priama Kassandrę początkowo jako niewolnicę, następnie zaś jako kochankę, i przywiózł ją do Myken; tam czekała Klitajmnestra, która wraz z Ajgistosem zamordowała podstępnie Agamemnona i Kassandrę. Jest zatem raczej nieprawdopodobne, aby po tym czynie Mykeńczycy wzniesli zamordowanemu królowi tak wspaniały grób.

O grobie Kassandry nawet Pausaniasz nie mógł powiedzieć niczego konkretnego. O swoich poszukiwaniach w Mykenach pisze on: „[...] Klitajmestra i Ajgistos są pochowani nieco poza murem. Nie byli bowiem godni pogrzebania wewnątrz muru, gdzie leży sam Agamemnon i razem z nim pomordowani towarzysze.” (II, 16, 6).

Wiedziony instynktem odkrywcy, który naprowadził go na właściwy trop już w Troi, Schliemann rozpoczął kopanie wewnątrz

muru zamku, na południe od Lwiej Bramy. Decyzję swoją uzasadnił tym, że Pauzaniasz, wspominając o murze, nie mógł mieć na myśli murów miejskich w Mykenach, lecz wał, którym opasane było górne miasto. Tym samym Schliemann przeciwstawił się znowu opinii wszystkich uczonych, którzy reprezentowali pogląd, iż Agamemnon musiał być pochowany gdzieś w dolnym mieście, a Klitajmnestra i Ajgistos poza murami miejskimi. Schliemann wierzył bardziej Pauzaniaszowi aniżeli profesorom: „O tym, że Pauzaniasz miał na względzie jedynie mur cytadeli, świadczy jego oświadczenie, że Lwia Brama znajduje się w murze”.

Wydaje się, że ta mała wskazówka uchodziła dotychczas uwagi wszystkich badaczy. W odległości 10 metrów od Lwiej Bramy Schliemann rozpoczął zatem prace wykopaliskowe; równocześnie na odległość głosu pracowała Zofia ze swą niewielką żalogą.

„Grunt jest tak twardy jak kamień — żaliła się ona wieczorem pierwszego dnia — może potrwać pół roku, zanim dokopiemy się do wejścia do skarbcza”.

Henryk machnął lekceważąco ręką; jemu również nie szło lepiej. Już przy pierwszym ruchu łopatą natrafił na twardo ubity kamienny grunt, a do tego dawał się we znaki upał wprost nie do zniesienia; prace postępowały więc naprzód bardzo powoli.

„Teraz wiem wreszcie, co przeżyłeś w Troi” — stwierdziła Zofia i uderzyła packą w muchę, których pełno było w ich mieszkaniu w Charvati.

„Przekłete dręczycielki!” — złościł się Schliemann — ale i tak jest o wiele lepiej niż na wyżynie pod Troją, dodał, wysypując do szklanki chininę z puszki i dolewając z butelki wodę. „Masz — powiedział i przysunął żonie szklankę — to najlepsza profilaktyka przeciw chorobom, nigdy nie jest jej za dużo”.

Zofia wypila od razu całą zawartość szklanki.

„Jak sobie dajesz radę z ośmioma robotnikami?” — zapytał Henryk.

„Nie jest to wcale takie proste — odpowiedziała Zofia — nie mogą się pogodzić z faktem, że kieruje nimi kobieta”.

„Wiem — Schliemann zrobił poważną minę — tego, kto cię nie będzie słuchał, powinienem wyrzucić, ale nie mogę sobie pozwolić na zwolnienie chociażby jednego człowieka, wprost przeciwnie, potrzebuję jeszcze więcej ludzi”.

„Ale to jest sprzeczne z umową!” — wykrzyknęła zatroskana Zofia.

„Zapewne — skinął głową Henryk. — Będziemy pracowali również w niedzielę i zapłacę wówczas o pół drachmy więcej. Poza tym zwerbuję nowych robotników”.

Podczas gdy Schliemann to mówił, zapukano do drzwi i wszedł Stamatakis. Schliemann zrobił niezadowoloną minę, ale Zofia uspokajająco ujęła go za rękę.

Panajotis Stamatakis był wysokim chudym mężczyzną. Jego ciemna twarz i sumiaste wąsy nadawały mu zuchwały wygląd, ale był to nadzwyczaj poprawny urzędnik. Nosił stale przy sobie dziennik wykopalisk, w którym zapisywał każdą pracę, a przede wszystkim każdy znaleziony przedmiot; przychodził co wieczór.

Nie spojrzawszy nawet na Greka, Schliemann wskazał na drewnianą skrzynię w rogu pomieszczenia — „Kilka miedzianych monet z głową Hery po jednej i kolumną po drugiej stronie, kilka glinianych skorup z zygzakowatymi liniami — to wszystko. Mógł pan sobie oszczędzić drogi”.

Stamatakis brał do ręki każdy przedmiot, przypatrywał mu się, następnie notował wszystko w swym dzienniku. Potem pożegnał się i wyszedł.

„Nie znoszę tego typu!” — wymyślał za nim Schliemann.

„NATKNAŁEM SIĘ NA NAJWIĘKSZE TRUDNOŚCI”

Schliemann przysunął lampę i zaczął notować w swoim dzienniku:

„Natknąłem się na największe trudności w Lwiej Bramie z powodu ogromnych głazów, którymi zavalone jest wejście; wydaje się, że głazy te były zrucane na napastników z okalających murów, kiedy w 468 roku przed Chr. Argiowowie zdobywali akropol. Wejście zostało zatarasowane z pewnością w owym czasie, gdyż rumowisko, w którym się te kamienie znajdują, powstało wskutek stopniowego zmywania gruzów z wyższych teras, a nie wskutek nakładających się na siebie warstw domostw.

Przy wejściu do bramy, zaraz na lewo odkryłem niewielkie pomieszczenie, które z całą pewnością było mieszkaniem prahistorycznego strażnika bramy; sklepienie tego pomieszczenia tworzy jednolita, gruba płyta kamienna. Ma on wysokość zaledwie 4,5 stopy i nie odpowiadałoby w żadnej mierze gustom naszych współczesnych strażników; w epoce herosów komfort był jednak

„Natknąłem się na największe trudności”

pojęciem nieznanym, szczególnie wśród niewolników, nie odczuwano więc też jego braku...”

Henryk odłożył pióro i bębnił palcami po blacie stołu.

Zofia spojrzała pytająco na męża — „Czy jesteś rozczarowany dotychczasowym przebiegiem prac?”

„Rozczarowany? W żadnym wypadku. Jedno jest już dla mnie jasne teraz, kiedy dokopałem się na głębokość trzech stóp. Mykeny po zburzeniu zostały ponownie odbudowane przez Argiwów”.

„Ale czyż Strabon i Pauzaniusz nie zastali tu wyłącznie ruin? Czyż nie twierdzili obaj, że Mykeny nie zostały odbudowane?”

Henryk stanął przed drewnianą skrzynią z glinianymi ułamkami.

„No to Strabon i Pauzaniusz się mylili. Mimo że na podstawie tych skorup nie da się określić czasu ponownego zaludnienia Myken, to przypuszczam, że Nowe Mykeny zostały zbudowane na początku czwartego wieku przed Chrystusem, gdyż nie ma tu pozostałości z okresu klasycznego, a dotychczasowe znaleziska pochodzą z okresu macedońskiego i sięgają drugiego wieku przed Chrystusem. Ale to mnie w ogóle nie interesuje”.

„Wiem — odpowiedziała Zofia — myślisz tylko o Agamemnonie i jestem pewna, że odnajdziesz jego grób”.

Henryk pogłaskał rękę Zofii.

Nazajutrz, ledwie robotnicy przebili się do warstwy gruzu Nowych Myken, oczom ich ukazały się figurki zwierząt, przedmioty z brązu, obręcze i groty strzał z ołowiu i żelaza, a nadto koła młyńskie, ułamany grzebień i ozdobiony, przedziurawiony odłamek kości, który Schliemann zidentyfikował jako lirę [!]. Napięcie rosło.

Następny dzień minął bez powodzenia. Przy pracach wykopaliskowych w Troi Schliemann nauczył się, że nie należy się zniechęcać, jeżeli po dniach obfitujących w znaleziska przyjdą dni niepowodzenia. Ponaglał więc do pośpiechu robotników, kuślił ich obietnicą podwyższenia dniówki o pół drachmy i zatrudnił jeszcze więcej pracowników. Obecnie było ich ponad stu.

Dwa dni później: „Na głębokości 10-11 stóp (ok. 3-3,4 m), a niekiedy nawet już na głębokości 6,5 stóp (ok. 2 m) pod powierzchnią odkryłem olbrzymie ściany domostwa, wzniesione z nie ociosanych kamieni, bez zaprawy, które spoczywały na naturalnej skale na głębokości 20-24 stóp (ok. 6,3-7,5 m) pod powierzchnią”. Były to niewątpliwie Mykeny Agamemnona!

Znaleziska i resztki murów z okresu klasycznego Grecji nie zainteresowały Schliemanna. Poszukiwał on Myken Homerowych, które już były ruiną w okresie klasycznym. Jeden z murów z tego czasu kazał zburzyć, co było powodem otwartego sporu z Panajotistem Stamatakisem.

„Nie pozwolę na to! — wołał zdenerwowany Stamatakis — to jest wbrew umowie, zburzył pan mur bez mojej zgody”.

Schliemann, karzelek w porównaniu z wybujałym eforem, parsknął gniewnie — „To stało się przecież na pańskich oczach, jeśli stracił pan orientację, to niech się pan postara o drugiego efora”.

„Nie potrzebuję drugiego człowieka — odpowiedział Stamatakis — jeśli pan będzie się trzymał przepisów, to sam dam sobie radę. Wolno panu zatrudniać tylko połowę pracujących obecnie robotników”.

Schliemann dał znak robotnikom, aby przerwali pracę. „Mam tego dość — mruknął — nie chcę już dłużej pracować”, a następnie udał się z 90 ludźmi do Charvati.

Efor nie wiedział, co ma o tym sądzić. Kiedy przybył następnego dnia na miejsce wykopalisk, praca szła pełną parą, ale Schliemanna nie było, nadzór nad wszystkim sprawowała Zofia. Kiedy Stamatakis podszedł bliżej, stwierdził, że tymczasem zburzono drugi mur z okresu klasycznego.

„Mur — jęknął wytrącony z równowagi efor — Schliemann zburzył znów następny mur”.

„Tak, zrobił to — potwierdziła zuchwale Zofia. — Nie ma pan prawa czynić mojemu mężowi wyrzutów, to wielki uczonec. Mur pochodzi z okresu rzymskiego i przeszkadza w dalszych poszukiwaniach, a pan jest nieukiem i proszę, aby pan zaprzestał dalszych uwag. Schliemann łatwo wpada w gniew, a kiedy się rozzłości, może przerwać prace”.

Poprawny nadzorca nie dorównywał Schliemannom w ich arbitralnym zachowaniu się; napisał do ministra kultury w Atenach: „Musi Pan wiedzieć, że burzy się tu wszystko, co rzymskie i greckie, aby odsłonić mury z czasów Pelazgów. Kiedy odkrywamy greckie albo rzymskie wazy, [Schliemann] patrzy na nie ze wstrętem, a kiedy dostanie je w ręce, rzuca je na ziemię... Traktuje mnie, jakbym był barbarzyńcą. Jeśli ministerstwo nie jest ze mnie zadowolone, to proszę mnie odwołać, pozostaję tutaj z uszczerbkiem dla mego zdrowia. Cały dzień bowiem, aż do godziny 9 wieczorem nadzoruję roboty, a potem siedzimy jeszcze ze Schliemannem do 2 w nocy i spisujemy przedmioty. Pozwalam mu zabierać

niektóre z nich do jego pokoju w celu dokładniejszego zbadania. Mimo tych wszystkich ułatwień, jakie mu stwarzamy, Schliemann powiedział burmistrzowi, że nie jest zadowolony".

WALKI O WYKOPALISKA

Minister zainteresował sprawą prefekta Argos. Miał on w razie potrzeby przy pomocy policji zapobiec dalszemu burzeniu wszelkich murów, niezależnie od tego, z jakiej epoki pochodziły. Ponadto wydał polecenie ścisłego przestrzegania umowy, a więc ograniczenia liczby robotników i prowadzenia prac tylko w jednym miejscu.

Prefekt z Argos poprosił o pomoc miejscowego burmistrza. Razem udali się na teren wykopalisk, aby pośredniczyć między Schliemannem a Stamatakisem. „Było to jednak niemożliwe — napisał prefekt w swym raporcie do ministra — gdyż obaj tylko się ze sobą sprzeczali, a Schliemann nie zamierza dalej pracować, dopóki nie zastąpi się Stamatakisa innym nadzorcą".

Minister kultury Mileses poprosił telegraficznie badacza, aby poszedł na ustępstwa i trzymał się uzgodnień. Schliemann nie chciał przyjąć do wiadomości treści telegramu. Chwyił za pióro i napisał do Milesesa list pełen goryczy: „Panie Ministrze, wraz z moją żoną ponoszę tu wiele trudu, nieustannie ryzykując życiem, gdyż cały dzień stoję w palącym słońcu; wydaję dziennie 400 franków jedynie z czystej miłości do nauki i do Grecji... ściągają tu dzięki temu tysiące obcokrajowców. Dlatego uważam, że Pański telegram jest niegodny Pana, jak również niegodny, abym go czytał...

Doznałem w Grecji wielu niesprawiedliwości. Podczas gdy wszyscy inni wywożą z Grecji starożytne zabytki, ja przywożem tu nieocenione skarby trojańskie... Nie muszę dodawać, że odtąd nie zamierzam uczynić niczego, co byłoby z korzyścią dla Grecji".

Było zasługą Zofii, że Schliemann nie zrealizował swych gróźb i nie zaprzestał prac wykopaliskowych w Mykenach. Młodej żonie, która dzięki zdecydowanemu opowiedzeniu się po stronie męża zdobywała sobie szacunek, udało się nawet pogodzić na kilka dni walczące koguty. Uzyskała od ministra Milesesa pewne ustępstwa dotyczące lokalizacji robót oraz liczby zatrudnionych pracowników, ale już po tygodniu doszło do następnego ostrego sporu.

Schliemann miał już wszystkiego dosyć. Wieczorem napisał następujący telegram: „Do ministra kultury Georgiosa Milessesa, Ateny. Urzędnik robi ogromne trudności stop przerywam prace stop wyjeżdżam z żoną do Ameryki — Schliemann”.

Schliemann nie miał wcale zamiaru ustępować z placu boju. Ale powiedział żonie, że telegram na pewno podziela, i kazał jej zanieść go na pocztę.

Zofia zawsze wykonywała polecenia męża, ale tym razem naruszyła jej się wątpliwość. Bała się, że minister przyjmie rezygnację Schliemanna, a wtedy wszystko byłoby stracone.

Zamiast udać się na pocztę do Nauplii, Zofia pojechała do Aten, a telegram podała. Chciała ponownie pertraktować z Milessesem. Do męża wysłała telegram: „Muszę dopilnować spraw w domu — list w drodze”.

Tymczasem w Mykenach kontynuowano prace, ale Schliemann nie odzywał się do Stamatakisa. Kiedy mieli sobie coś do zakomunikowania, korzystali z pośrednictwa jednego z nadzorców. Schliemann dokopał się do głębokości 10 metrów twardej jak kamień ziemi, ale nie natrafił na ślad grobu Agamemnona. Czyżby się omylił?

Brakowało mu Zofii, brakowało mu słów, którymi podtrzymywała go na duchu, nie kończących się rozmów i nocnych dyskusji. Gdyby nie ona już dawno porzuciłby roboty. Kiedy wieczorem wrócił do Charvati, napisał do Zofii list: „Moja Ukochana Żono, otrzymałem Twój list oraz dwa telegramy, na podstawie których z podziwem stwierdzam, że czynisz wszystko, co tylko możliwe, aby nasz wróg zamienił się w rozsądnego człowieka. Niech Pallas Atena kieruje Twoimi krokami i oby Twoje starania zostały uwieńczone sukcesem. Wiadomość, że dziś nie przyjedziesz, sprawiła, iż czuję się chory, gdyż byłem pewny Twego powrotu. W każdym razie czekam na Ciebie za osiem dni, gdyż bez Ciebie praca tutaj skazana jest na całkowity zastój”.

TAJEMNICA KAMIENNYCH OKRĘGÓW GROBOWYCH

Dnia 9 września 1876. Kiedy dalsze prace wykopaliskowe nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, Schliemann rozpoczął wykopy w innym miejscu. Już na niewielkiej głębokości natrafił na wkopane w ziemię kamienne płyty tworzące krąg. Krąg ten był wewnątrz innego kamiennego okręgu, któremu Schliemann dotychczas nie

poświęcał uwagi. Średnica tego kręgu wynosiła około trzydziestu metrów. Pomiędzy ścianami obu okręgów znajdowało się rumowisko z archaicznymi glinianymi ułankami, wśród nich liczne fragmenty figurek z terakoty przedstawiających Herę.

Schliemann nie był szczególnie uradowany tym odkryciem, gdyż przypuszczał, że owe kamienne okręgi są fundamentem jakiejś budowli należącej do pałacu królewskiego w Mykenach. A Henryk nie szukał przecież pałacu, tylko grobu Agamemnona. Jednakże jego początkowe rozczarowanie szybko ustąpiło, kiedy tuż przy wewnętrznym okręgu znaleziono trzy nagrobne stele. Żaden z tych pamiątkowych kamieni o wymiarach 1 m² nie miał napisów, co stanowiło pierwszą wskazówkę, iż pochodzą one z czasów prehistorycznych. Pierwszy z tych miękkich kamieni wapiennych był rozbity na kawałki, które jednak dały się szybko połączyć. Górną część kamienia zdobiły spirale, pośrodku których widoczna była scena z polowania: myśliwy na zbrojnym wozie ciągniętym przez konia, przed nim jego pomocnik z nożem. Również pozostałe dwie nagrobne stele zdobiły geometryczne wzory i przedstawienia myśliwego na dwukołowym wozie zaprzężonym w konia.

Schliemann zapisał w swym dzienniku: „Przy dokładnym zbadaniu rzeźb na kamieniach stwierdzam tak zdumiewającą dokładność i symetrię wszystkich tych spiralnych ozdób, że dochodzę do przekonania, iż takie dzieło mogło wyjść ze szkoły zdobniczej, która tworzyła w tym stylu od setek lat. W przeciwieństwie do nich ludzie i zwierzęta przedstawione są prymitywnie i niedokładnie, tak jakby artysta dopiero uczył się odtwarzania żywych istot. Jednak istnieje duże podobieństwo między postaciami zwierząt i lwami nad Lwią Bramą; jest to ten sam styl artystyczny”. Czy był to właściwy ślad?

W dzienniku Schliemann sam sobie dodawał odwagi: „Oby tylko teraz się nie zniechęcić! Co znaczą te cztery tygodnie pracy! Pomyśl o Troi! Nie możesz teraz przestać!” Odwaga była konieczna, gdyż przypuszczenie, że po kamieniach nagrobnych Schliemann znajdzie przynależne do nich groby, okazało się złudne. Odkrywca doszedł raczej do przekonania, że wcale nie natrafił na miejsce pochówku, lecz na agorę — plac targowy. Oba okręgi otaczały bity plac. W *Iliadzie* istniało wiele wzmianek dotyczących „świętego okręgu otoczonego wygładzonymi kamieniami”, w którym zasiadali starsi oraz herosi. Nawet takiemu odkrywcy jak Henryk Schliemann, w którego wyobraźni wszystko było możliwe, nie

przyszło na myśl, że pod tym miejscem może się znajdować grób Agamemnona.

Dlatego też poświęcił swą uwagę głównie odsłonięciu grobu kopułowego Klitajmnestry, którym zajmowała się już Zofia, oraz dwóm budowlom znajdującym się na północ i południe od pierścienia murów. Jego nieomylny instynkt odkrywcy nie pozwolił mu jednak na całkowite wstrzymanie prac wewnątrz agory. Schliemann posłał tam małą grupę robotników z poleceniem dalszego badania terenu.

Kiedy Zofia wróciła do Myken, zastała Henryka w niezwykle dobrym nastroju. Wprawdzie rezultaty prac nie dawały ku temu powodu, ale skutek interwencji Zofii minister Mileses zmusił efora mykeńskiego do pewnych ustępstw.

„Tym ludziom trzeba tylko wciąż grozić” — twierdził Henryk. Nie wiedział, że Zofia zniszczyła jego telegram.

„A Agamemnon?” — dopytywała się ostrożnie Zofia.

Henryk pokręcił głową. — „Nic, nawet najmniejszego śladu”.

„A te kamienie nagrobne? Przecież to są kamienie nagrobne — a może nie?”

Schliemann wzruszył ramionami. — „Na początku byłem absolutnie pewny, ale teraz? Być może kamienie postawiono dopiero w późniejszym okresie, być może pierwotnie znajdowały się one w innym miejscu. Bez wątplenia są one starsze aniżeli kamienie, z których składają się pierścienie murów”.

„A jeżeli skarbiec jest jednak grobem Agamemnona?”

„Ach, co też mówisz! — przerwał Schliemann żonie. — «Niecokolwiek poza murem!», pisze Pauzaniaz. Ta uwaga nie dotyczy żadnego ze skarbców. Ponadto powiada on wyraźnie, że w podziemnych pomieszczeniach znajdowały się złote skarby Mykeńczyków”. Spojrzenie Schliemanna wybiegało poza olbrzymie cmentarzysko, które miało niemal trojańskie rozmiary.

W ciągu następnych nocy Schliemann siedział przy świetle lampy naftowej samotny i zamyślony nad mapami, planami i notatkami. Wielokrotnie czytał opis Myken Pauzaniaza, sięgał do *Iliady* Homera i próbował porównywać je ze sobą. Nawet jedno słowo, być może jeden błąd w tłumaczeniu mogły stanowić klucz do powodzenia.

Podczas tych samotnych nocy Schliemann zwierzał się jedynie swemu dziennikowi. Nawet Zofia nie powinna była wiedzieć, jak był zrozpaczony. „Nie znam ani jednego przykładu w historii

— pisał Henryk — wskazującego na to, że akropol mógł kiedykolwiek służyć jako miejsce pochówku, z wyjątkiem małej budowli z kariatydami na Akropolis w Atenach, nazwanej grobem Kekropsa, pierwszego króla Aten. Teraz wiemy jednak z całą pewnością, że Kekrops... jest zwykłym mitem. Ale na akropolu w Mykenach groby nie są mitem, są namacalnym faktem".

PRZYBYWA CESARZ BRAZYLI

Dnia 9 października Schliemann przerwał prace w Mykenach. Rząd turecki poprosił odkrywcę, aby przybył natychmiast do Troi. Dom Pedro II de Alcantara, cesarz Brazylii i wielki przyjaciel nauki i sztuki podczas swej oficjalnej wizyty w Turcji wyraził życzenie zwiedzenia wykopalisk w Troi. Schliemann nie zwlekał ani chwili; czyż oprowadzenie po ruinach Troi cesarza z egzotycznego kraju nie jest najlepszą reklamą dla niego samego i jego projektów?

Podczas gdy Zofia trwała na posterunku w Mykenach, Schliemannowi udało się wzbudzić zainteresowanie cesarza bohaterami Homera. Wbrew uprzednim planom Jego Cesarska Mość wyraził życzenie zwiedzenia również rodzinnego miasta Agamemnona.

„Cesarz przyjeżdża!" — powitał Henryk żonę, kiedy pod koniec miesiąca wrócił do Charvati.

„Gdzie?" — zapytała Zofia.

„Tu, do Myken!"

Zofia chwyciła się za głowę. — „Mój Boże, prawdziwy cesarz! Kiedy?"

„Pojutrze. Podejmiemy śniadaniem Jego Cesarską Mość Dom Pedra de Alcantara".

„Tu, w tym nędznym szałasie?"

Schliemann uśmiechnął się znacząco — „Nie, to byłoby rzeczywiście niegodne cesarza. Mam lepszy pomysł, przyjmujemy go w skarbcu Klitajmnestry, w twoim pierwszym wykopalisku".

Na twarzy Zofii malowało się podniecenie.

„Muszę już iść! — zawołała — muszę kazać zamieść podłogę, ozdobić ściany, sprawdzić stoły i krzesła. O Boże, z iloma osobami towarzyszącymi może przybyć taki cesarz na śniadanie? Z pięćdziesięcioma, ze stoma?"

Henryk usiłował uspokoić żonę. — „Nie przejmuj się tak. Dom Pedro zapowiedział swą wizytę wraz z czterema, sześcioma osobami, a poza tym to bardzo przystępny i skromny człowiek".

Niezwykle wcześnie, z dnia na dzień, pożegnano lato w Argolidzie. Kiedy Dom Pedro przybył 25 października do Myken, nastąpiły gwałtowne deszcze. Zofia ozdobiła kopułową budowlę kwiatami i świecami, trzy proste drewniane stoły przykryto białymi obrusami, podano herbatę, kawę, chleb, ser, miód i owoce z pobliskich wsi. Cesarz był zachwycony i ucałował rękę Zofii.

Fotografie i sprawozdania z tego wydarzenia obiegały cały świat. Jak ongiś wykopaliska w Troi, tak teraz Homerowe Mykeny, ojczyzna Agamemnona, budziły powszechne zainteresowanie.

Mimo złej pogody — Henryk, Zofia i robotnicy stali często po kolana w błocie — Schliemann nie chciał przerwać pracy, mimo że nie znalazł nawet najmniejszego śladu, żadnej najdrobniejszej wskazówki odnoszącej się do Agamemnona. Tymczasem nastął listopad i nadzieja na poprawę pogody zmniejszała się z każdym dniem.

Henryk i Zofia, owinięci w długie płaszcze, w kapeluszach z szerokimi rondami chroniącymi głowy przed deszczem, stali nad pierścieniem muru i śledzili prace wykopaliskowe.

„Powinniśmy już przestać w tym roku” — narzekała Zofia; od kilku dni bowiem była przeziębiona i chodziła z podwyższoną temperaturą.

Schliemann potrząsnął głową — „Nie będzie żadnego następnego roku, Zofio. Jeśli przestaniemy pracować, nie osiągnąwszy widocznego powodzenia, to ministerstwo nie udzieli nam licencji na rok 1877; już Stamatakis z pewnością się o to postara. Ale ty, moja kochana, musisz przez następne dni pozostać w domu i oszczędzać się”.

Odtąd Schliemann sam nadzorował prace, miał teraz już tylko połowę załogi z tej, z którą rozpoczął wykopaliska. Od paru dni nagromadziło się wiele zabytków, ale wszystkie były mało znaczące: pierścienie z brązu, miecz, kawałki malowanej ceramiki, mała rybka ze skamieniałego drewna, przedziurawione paciorki ze szkła i fluorytu oraz małe gemmy z agatu, onyksu i steatytu; wszystko to było rozproszone na znacznej przestrzeni, wylaniało się raczej przypadkowo i nie dawało żadnych wskazówek dotyczących grobu Homerowego herosa.

GRÓB ZALANY BŁOTEM

Z początkiem grudnia odkryto czwartą stelę nagrobną. Czy był to przypadek, że w tym samym czasie natknięto się na guzy wykonane ze złota i maie, ozdobne złote płytki? Złoto zapowiadało następne, bardziej znaczące znaleziska.

Schliemann kazał przenieść stelę do Charvati i polecił kontynuować pracę w miejscu jej odkrycia. Już po godzinie łopaty i motyki natrafiły na opór; Schliemann nawoływał do ostrożności. Powoli i stopniowo ukazywał się kamienny czworobok długości siedmiu metrów i szerokości trzech metrów.

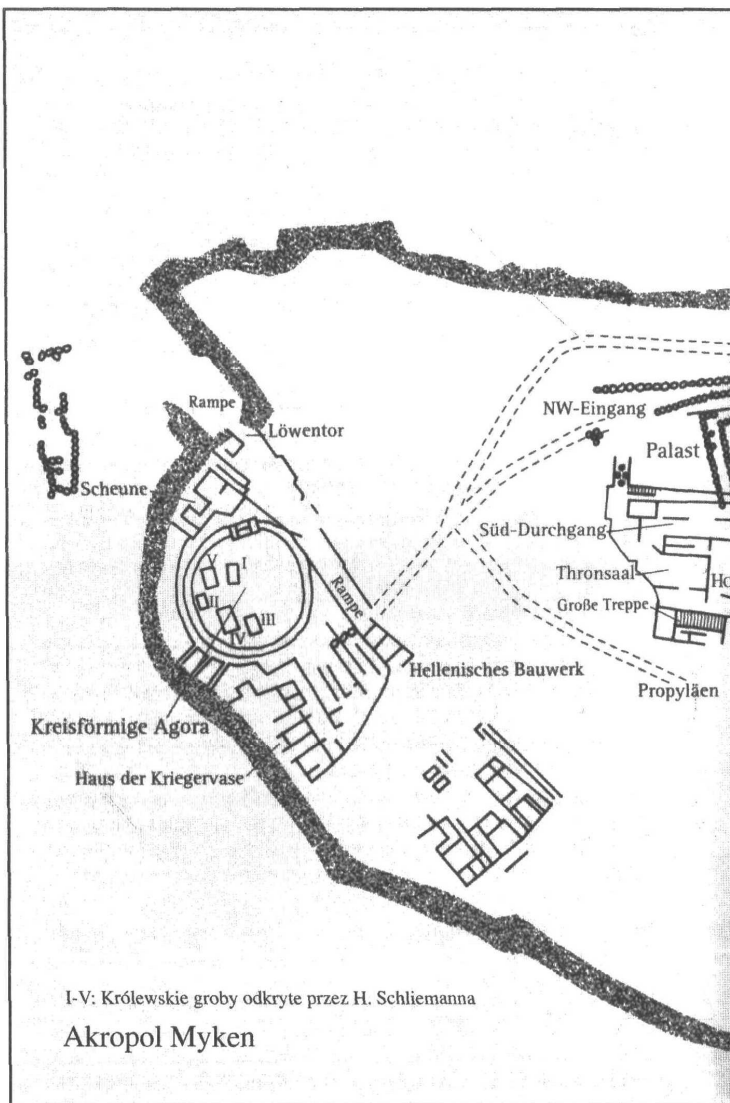
Był on od góry otwarty i wypełniony gruzem i ziemią. „Kiedy zacząłem kopać głębiej, natrafiałem od czasu do czasu na czarny popiół, a w nim dziwne przedmioty: drewniany guz pokryty złotą blaszką z pięknym intaglio, wyrzeźbiony z kości słoniowej przedmiot w kształcie baraniego rogu... a następnie inne ozdoby z kości słoniowej oraz niewielkie złote płytki”.

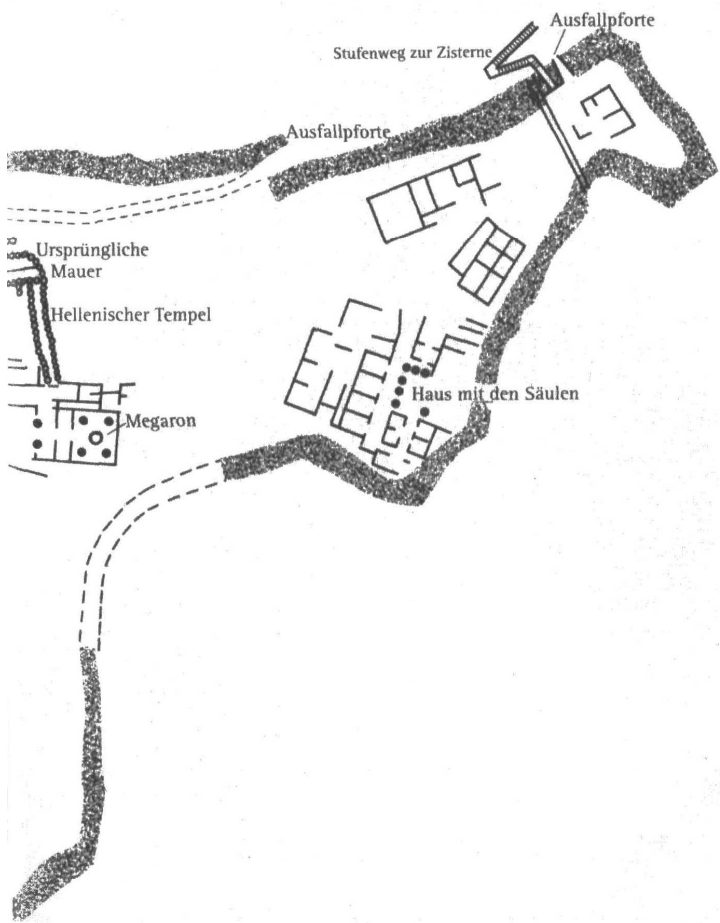
Rozproszone małe znaleziska świadczyły, że grób został już wcześniej splądrowany. Deszcz zalał dopiero co odkopany grób i robotnicy musieli wydobywać wiadrami wodę i błoto z głębokości czterech i pół metra. Nie tylko Zofia była chora, lecz również coraz to inny robotnik okazywał się niezdolny do pracy.

Grób nie kończył się na skale, lecz sięgał w jej głąb. Na głębokości pięciu metrów pod powierzchnią skały i ponad ośmiu metrów pod ziemią ukazała się równomierna warstwa krzemieni. Ta płaska warstwa pozwalała przypuszczać, że plądrujący rabusie nie mogli się dostać na tę głębokość.

Schliemann oddalił więc ponad połowę swej i tak już zmniejszonej ekipy, uznał bowiem, iż im mniej będzie świadków ewentualnego odkrycia, tym lepiej. Owe krzemienie gołymi rękami, kamień po kamieniu usuwano następnego dnia. Stamatakis śledził tę pracę z podejrzliwością i sceptycyzmem. Cóż bowiem mogło się ukrywać pod tą warstwą krzemieni? Ale Schliemann nie dał się zbić z tropu w swej skrupulatnej pracy. Był też pierwszym, który spostrzegł, że w tej warstwie powoli zarysowuje się ludzki szkielet, obok niego drugi, a dalej trzeci.

„Wygląda na to — pisał Schliemann w swym sprawozdaniu — że wszystkie trzy szkielety zostały spalone jednocześnie w miejscu, gdzie leżały. Popiół ze spalonych szat, w które były odziane zwłoki, i z drewna oraz całkowicie lub częściowo zwęglonych ciał, a także barwa najniższej warstwy kamieni i ślady ognia i dymu na





murze otaczającym grób z czterech stron nie pozostawiają cienia wątpliwości; znajdowały się tam niezaprzeczalne dowody istnienia trzech różnych stosów".

Schliemann mylił się jednak w swych domysłach. Rzekomy popiół, w którym leżały szkielety, to nie były pozostałości po spaleniu, lecz resztki drewnianych belek, którymi pierwotnie zakryty był grób, i pozostałości po drewnianych marach, na których leżały ciała. Pomyłka ta nie miała jednak żadnego wpływu na dalszy przebieg odkryć.

Podczas nie ustającego deszczu nie można było wybrać domniemanego popiołu. Dzień i noc trwała ulewa i wykop napelniał się błotem. Nazajutrz Schliemann dostrzegł na szkieletach coś połyskliwego: złoto! „Na każdym z trzech szkieletów znalazłem pięć diademów; są one zrobione z bardzo cienkiej złotej blachy, długie na 19,5 cala, a pośrodku szerokie na 4 cale, wszystkie są spiczasto zakończone". Schliemann polecił przykryć grób.

Czy Pauzaniusz nie mówił o pięciu grobach? Schliemann nie wiedział jeszcze, co odkrył. Wysłał Stamatakisa do szefa policji w Nauplii i zażądał ochrony policyjnej. Następnego dnia zjawiała się trzyosobowa straż. Schliemann zanotował w dzienniku dnia 6 grudnia 1876: „Po raz pierwszy od czasu zdobycia Myken przez Argiwów, w roku 468 przed Chr., a więc po 2344 latach akropol w Mykenach miał swój garnizon, którego ognisko było widoczne w nocy na całej wyżynie Argosu; przypominało to strażę, jakie wystawiono, aby oznajmiły powrót Agamemnona spod Troi, i sygnały, które ostrzegły Klitajmnestrę i jej kochanka przed zbliżaniem się..."

Wyczerpany, ale i upewniony co do tego, że żadna złota hałastrą nie wtargnie na teren wykopu, wrócił Schliemann konno do Charvati. Po drodze zatrzymało go czterech studentów Instytutu Archeologicznego w Atenach. Jednym z nich był Artur Milchhófer. Widział Schliemanna po raz pierwszy i nie przypuszczał, że kiedyś napisze o nim w „Deutsche Rundschau" zwracające uwagę wielu wspomnienie pośmiertne.

„Czy któryś z panów jest archeologiem?" — zawołał z konia Schliemann.

Milchhófer odpowiedział, że wszyscy są stypendystami i byłby to dla nich zaszczyt, gdyby mogli obejrzeć prace wykopaliskowe w Mykenach.

„Nie mogli panowie wybrać bardziej korzystnego momentu — powiedział podniecony Schliemann — gdyż właśnie odkryłem grób z trzema ludzkimi szkieletami".

„Czy może grób Agamemnona?”

Schliemann wzruszył z zakłopotaniem ramionami — „Może tak, a może nie”.

Według opisu Milchhófera, Schliemann był średniej postury, lekko pochyłony; miał dużą głowę, świeżą cerę, nosił krótko przystrzyżone włosy oraz wąsy.

Na nocleg Schliemann dał młodzieńcom do dyspozycji prosty dom jednego z brygadzystów; nie był on wprawdzie komfortowy, ale studenci mieli przynajmniej dach nad głową. Milchhófer wspominał zaproszenie ich na kolację: „Wcale nie lepszy ani nie gorszy był barak, który sam zajmował. Było to jedno długie pomieszczenie podzielone surowymi deskami na kuchnię, sypialnię i pokój stołowy, który służył jednocześnie jako biblioteka, jadalnia i salon, gdzie przyjmowano gości. Tu zgromadziliśmy się wkrótce na kolację, na którą jesień dostarczyła rozmaitego ptactwa. .. Schliemann wcale nie wyolbrzymiał udręk fizycznych, jakie musiał znosić w tym oddalonym zakątku w czasie upalnego lata; bardziej narzekał na trudności, jakich przysparzali mu Grecy, oraz na brak uznania ze strony Niemców... Wraz ze Schliemannem trudy prac wykopaliskowych znosiła jego żona Zofia. Ponieważ z powodu przeziębienia pozostawała w łóżku, słyszeliśmy tylko jej głos, gdyż cienka ściana z desek ani sama choroba nie przeszkadzały jej brać udziału w rozmowie; głos miała bardzo dźwięczny”.

Późno w nocy udał się Schliemann wraz ze swymi gośćmi do znajdującego się w pobliżu domu Stamatakisa, gdzie przechowywano wszystkie znaleziska. Młodzi ludzie podziwiali kamienne reliefy, gliniane skorupy i przedmioty ze złota. Rzuciło im się przy tym w oczy, że Grek traktował Schliemanna „z nie ukrywaną nieufnością, a nawet brakiem szacunku, tak że nie mogliśmy się uwolnić od przykrego wrażenia”.

Nazajutrz po pikniku na „cyklopiach blokach muru” w Mykenach studenci wracali do Aten. Ledwie statek opuścił port w Nafplii, sztorm, który szalał od tygodni, ucichł i ustąpił miejsca bezwietrznej pogodzie, tak że statek poruszał się biernie przez cały tydzień u wybrzeży Argolidy.

murze otaczającym grób z czterech stron nie pozostawiają cienia wątpliwości; znajdowały się tam niezaprzeczalne dowody istnienia trzech różnych stosów".

Schliemann mylił się jednak w swych domysłach. Rzekomy popiół, w którym leżały szkielety, to nie były pozostałości po spaleniu, lecz resztki drewnianych belek, którymi pierwotnie zakryty był grób, i pozostałości po drewnianych marach, na których leżały ciała. Pomyłka ta nie miała jednak żadnego wpływu na dalszy przebieg odkryć.

Podczas nie ustającego deszczu nie można było wybrać domniemanego popiołu. Dzień i noc trwała ulewa i wykop napełniał się błotem. Nazajutrz Schliemann dostrzegł na szkieletach coś połyskliwego: złoto! „Na każdym z trzech szkieletów znalazłem pięć diademów; są one zrobione z bardzo cienkiej złotej blachy, długie na 19,5 cala, a pośrodku szerokie na 4 cale, wszystkie są spiczasto zakończone". Schliemann polecił przykryć grób.

Czy Pauzaniasz nie mówił o pięciu grobach? Schliemann nie wiedział jeszcze, co odkrył. Wysłał Stamatakisa do szefa policji w Nauplii i zażądał ochrony policyjnej. Następnego dnia zjawiała się trzyosobowa straż. Schliemann zanotował w dzienniku dnia 6 grudnia 1876: „Po raz pierwszy od czasu zdobycia Myken przez Argiwów, w roku 468 przed Chr., a więc po 2344 latach akropol w Mykenach miał swój garnizon, którego ognisko było widoczne w nocy na całej wyżynie Argosu; przypominało to strażę, jakie wystawiono, aby oznajmiły powrót Agamemnona spod Troi, i sygnały, które ostrzegły Klitajmnestrę i jej kochanka przed zbliżaniem się..."

Wyczerpany, ale i upewniony co do tego, że żadna żadna złota hałastra nie wtargnie na teren wykopu, wrócił Schliemann konno do Charvati. Po drodze zatrzymało go czterech studentów Instytutu Archeologicznego w Atenach. Jednym z nich był Artur Milchhöfer. Widział Schliemanna po raz pierwszy i nie przypuszczał, że kiedyś napisze o nim w „Deutsche Rundschau" zwracające uwagę wielu wspomnienie pośmiertne.

„Czy któryś z panów jest archeologiem?" — zawołał z konia Schliemann.

Milchhöfer odpowiedział, że wszyscy są stypendystami i byłby to dla nich zaszczyt, gdyby mogli obejrzeć prace wykopaliskowe w Mykenach.

„Nie mogli panowie wybrać bardziej korzystnego momentu — powiedział podniecony Schliemann — gdyż właśnie odkryłem grób z trzema ludzkimi szkieletami".

Grób zalany biotem

„Czy może grób Agamemnona?”

Schliemann wzruszył z zakłopotaniem ramionami — „Może tak, a może nie”.

Według opisu Milchhofera, Schliemann był średniej postury, lekko pochyłony; miał dużą głowę, świeżą cerę, nosił krótko przystrzyżone włosy oraz wąsy.

Na nocleg Schliemann dał młodzieńcom do dyspozycji prosty dom jednego z brygadystów; nie był on wprawdzie komfortowy, ale studenci mieli przynajmniej dach nad głową. Milchhofer wspominał zaproszenie ich na kolację: „Wcale nie lepszy ani nie gorszy był barak, który sam zajmował. Było to jedno długie pomieszczenie podzielone surowymi deskami na kuchnię, sypialnię i pokój stołowy, który służył jednocześnie jako biblioteka, jadalnia i salon, gdzie przyjmowano gości. Tu zgromadziliśmy się wkrótce na kolację, na którą jesień dostarczyła rozmaitego dzikiego ptactwa. .. Schliemann wcale nie wyolbrzymiał udręk fizycznych, jakie musiał znosić w tym oddalonym zakątku w czasie upalnego lata; bardziej narzekał na trudności, jakich przysparzali mu Grecy, oraz na brak uznania ze strony Niemców... Wraz ze Schliemannem trudy prac wykopaliskowych znosiła jego żona Zofia. Ponieważ z powodu przeziębienia pozostawała w łóżku, słyszeliśmy tylko jej głos, gdyż cienka ściana z desek ani sama choroba nie przeszkadzały jej brać udziału w rozmowie; głos miała bardzo dźwięczny”.

Późno w nocy udał się Schliemann wraz ze swymi gośćmi do znajdującego się w pobliżu domu Stamatakisa, gdzie przechowywano wszystkie znaleziska. Młodzi ludzie podziwiali kamienne reliefy, gliniane skorupy i przedmioty ze złota. Rzuciło im się przy tym w oczy, że Grek traktował Schliemanna „z nie ukrywaną nieufnością, a nawet brakiem szacunku, tak że nie mogliśmy się uwolnić od przykrego wrażenia”.

Nazajutrz po pikniku na „cyklopich blokach muru” w Mykenach studenci wracali do Aten. Ledwie statek opuścił port w Naplii, sztorm, który szalał od tygodni, ucichł i ustąpił miejsca bezwietrznej pogodzie, tak że statek poruszał się biernie przez cały tydzień u wybrzeży Argolidy.

„PIĘĆ! MUSI BYĆ PIĘĆ GROBÓW!”

W tym samym czasie — Schliemann był zadowolony, że wreszcie ustąpiły burze i deszcze — odkrywcy natknęli się w obrębie murów na drugi grób. Był on położony tylko o parę kroków na zachód od pierwszego i o połowę mniejszy. Struktura ziemi okazała się podobna do tej z pierwszego grobu, a warstwa krzemieni pozwalała przypuszczać, że grób nie został splądrowany.

„Pięć, musi być pięć grobów!” — słowa te wykrzykiwał Schliemann niemal jak zaklęcie i wyciągniętym ramieniem kierował robotników na południe. Nie trwało długo i ukazał się trzeci grób.

Groby drugi i trzeci leżały w odległości dziesięciu metrów od siebie. Schliemann stał na murach i spoglądał w dół. Porównał swój plan, który trzymał w ręku, z terenem i zaznaczył na kartce krzyżyk. „Tu musi być” — mruknął do siebie. Następnie polecił robotnikom zaprzestać robót przy trzecim grobie i kopać dalej w miejscu, które zaznaczył między drugim i trzecim grobem.

Stamatakis, śledząc z dala tę scenę, nie po raz pierwszy wątpił, czy Schliemann jest przy zdrowych zmysłach. Nie pojmował, co się działo w jego głowie, nie wierzył także w to, co napisał Pauzaniasz. Przecież ten wariat powinien być zadowolony, że znalazł trzy groby! Schliemann jednak nie spoczął, póki po odkryciu czwartego grobu nie odsłonił resztek muru piątego, znajdującego się na północ od drugiego i na zachód od pierwszego. Ale czy wszystkie te groby będą nie naruszone tak jak pierwszy?

Schliemann zaczął z otwarciem grobów, chciał, aby Zofia była obecna, jak wydobydzie złoto mykeńskie na światło dzienne; żona powinna mu przy tym pomagać. Ponadto zażądał większej liczby strażników, następnych sześćdziesięciu robotników i archeologa z Towarzystwa Archeologicznego w Atenach.

Dwa dni później zjawiała się Zofia razem z wiceprzewodniczącym Towarzystwa Archeologicznego Spyridonem Phendiklesem. Wyraził on uznanie dla bystrości odkrywcy, który zapragnął to natychmiast udowodnić.

Czwarty grób wydawał się Schliemannowi najbardziej interesujący; długi ponad siedem metrów i szeroki na sześć metrów był dwukrotnie większy od grobu drugiego i trzeciego.

Henryk i Zofia wspólnie objęli dowodzenie. Tuzin robotników, którym zalecono daleko idącą ostrożność, przekopywał ziemię w wyznaczonym miejscu; i oto na głębokości sześciu metrów

Zofia odkryła kamienny ołtarz ofiarny w kształcie bębna, w środku wydrążony. Jeszcze w ciągu tego samego dnia spod tysiącletniego rumowiska wyłoniły się cztery naczynia z brązu oraz złote naczynie ozdobione rysunkiem delfina.

CZASZKA ZE ZŁOTĄ MASKĄ

Następnego dnia na terenie wykopalisk panowała pełna napięcia cisza. Umilkł gwar i dzikie okrzyki, jakie zazwyczaj towarzyszyły pracom. Przy czwartym grobie Schliemann ponownie zredukował o połowę liczbę robotników. Oboje z Zofią od wczesnych godzin porannych klęczeli i grzebali łyżkami, nożami i gołymi rękami w warstwie krzemieni, która właśnie się odsłoniła. Straż otoczyła teren i zagroziła dojście do niego. Schliemann przyglądał się jeszcze bardziej poważnie niż zazwyczaj. Kopał, rył łopatą jak w transie, nie mówił ani słowa, nie odpowiadał nawet na pytania Zofii.

Usuwanie warstwy krzemieni trwało całą wieczność. Pod spodem znajdowała się jasna bryłowata glina. Było inaczej niż za pierwszym razem, kiedy odkopywano grób numer jeden. Do akcji wkroczyły łopaty. Warstwa miała grubość rozpostartej dłoni. Schliemann zanotował w dzienniku: „Do głębokości mniej więcej jednej stopy nad warstwą krzemieni odkopywanie nie było trudne, ponieważ wydawaliśmy tylko polecenia robotnikom, żeby kopali tu czy tam. Od tego miejsca musieliśmy jednak całą pracę wykonywać sami, a było to nader ciężkie i męczące, szczególnie przy panującej deszczowej pogodzie, gdyż pracowaliśmy cały czas w pozycji klęczącej: starannie odgrzebywaliśmy za pomocą noży rumowisko, uważając, aby niczego nie uszkodzić ani do reszty nie zniszczyć”.

„Jest!” — Schliemann zatrzymał się. Pod jego dłońmi z warstwy ziemi wyłoniły się kości. Odkrywca wziął do pomocy nóż. Wiedział, że ocalenie kości, a właściwie ich zwapniałych resztek jest sprawą beznadziejną. Przy podnoszeniu bowiem albo przy najmniejszym dotknięciu rozsypywały się one w bezbarwny proszek.

Podczas gdy Henryk był zajęty szkieletem, Zofia natrafiła tuż obok niego na wyposażenie grobowe: miecze, naczynia z brązu, fragmenty ozdób, i wreszcie — jej ręce zadrżały — na srebrny łeb byka naturalnej wielkości ze złotymi rogami.

Tymczasem Henryk dotarł do ludzkiej czaszki. Narzędzia, którymi oczyszczał oblicze zmarłego, wydawały metaliczne dźwięki. Głowa była jakoś dziwnie nieforemna. Widoczne były nabrzmiałe

powieki, wystawał wąski grzbiet nosa, wydatne kości policzkowe, całkiem inaczej niż w przypadku innych czaszek. Uplynęły godziny, zanim Henryk spostrzegł, że głowę zmarłego pokrywała złota maska, którą zdeformowały tony kamieni.

„Agamemnon! — powiedział cicho Schliemann — to musi być on”.

W ciągu całej bezsennej nocy Schliemann rozkoszował się pewnością, że odkrył grób i szkielet Agamemnona. Ale już następnego dnia skorygował swój dziecięcy entuzjazm. W grobie szybowym ukazał się drugi szkielet, potem trzeci i czwarty, a następnego dnia piąty. Ten ostatni miał najwspanialszą maskę; dwie czaszki nie były przykryte maskami.

„Pomyliłem się — jęczał Henryk przejęty — pierwszy szkielet nie należał do Agamemnona, dopiero ten jest Agamemnonem!” Ale Schliemann był w głębi duszy niepewny, a nawet zrozpaczony, albowiem ani Homer, ani żaden z późniejszych klasyków nie wspominali nigdy o zwyczaju chowania zmarłych w złotych maskach.

Zapis w dzienniku: „Czaszki tych pięciu zmarłych były niestety tak uszkodzone, że nie dało się ich uratować. Twarze szkieletów, zwrócone na północ, okrywały wielkie złote maski; jedna z masek jest tak uszkodzona przez zwały gruzu i pokryta warstwą popiołu, że nie można jej nawet sfotografować. Jednakże kiedy się jej przyjrzeć przez kilka minut, można dostrzec całkiem wyraźne rysy twarzy. Maską przedstawia dużą, owalną, młodzieńczą twarz o wysokim czole, długim greckim nosie i małych ustach z wąskimi wargami; oczy są zamknięte, włosy, brwi i rzęsy dobrze oddane”.

Całkiem inne oblicze przedstawia druga maska; jest to okrągła twarz, o pełnych policzkach, niskim czole, małych ustach, grubych wargach i również zamkniętych oczach.

Także trzecia maska była niezwykła. Schliemann pisze o niej: „Trzecia maska z grubej złotej blachy pokrywa twarz szkieletu, którego głowa skierowana jest na północ. Maską ta ukazuje całkiem inne oblicze niż dwie poprzednie; zmarszczki wokół dużych ust z wąskimi wargami nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że chodzi tu o portret mężczyzny w zaawansowanym wieku. Bardzo wysokie jest jego czoło, duże oczy otwarte bez brwi i rzęs. Niestety nos został nieco zgnieciony i zgięty przez kamienie”.

W swej naiwności wynikającej z zamięłowania do mitów Schliemann całkiem inaczej wyobrażał sobie bohaterów Homera. To, co tu znalazł, były to bardzo ludzkie charaktery, wcale nie emanujące

boskością, do jakiej Agamemnon i jego towarzysze rościli sobie pretensje. Maski te nie ukazywały również wyidealizowanego typu herosa, tylko zwykłych śmiertelników o różnym wyglądzie.

TELEGRAM DO KRÓLA

Mimo irytacji i wątpliwości, o których nie wspominał początkowo nawet Zofii, Schliemann upierał się przy twierdzeniu, że znalazł grób Agamemnona. Dnia 28 listopada 1876 roku nadał on w Nauplii telegram adresowany do króla Grecji Jerzego I: „Z największą radością melduję Waszej Królewskiej Mości, że odkryłem groby, zgodnie z prezentowanym przez Pauzanasza przekazem określone jako miejsce pochówku Agamemnona, Kassandry, Eurymedona i ich towarzyszy, którzy podczas uczty zostali zamordowani przez Klitajmnestrę i jej kochanka Ajgistosa. Wokół tych grobów rozciągał się podwójny okrąg z płyt kamiennych, który mógł być zbudowany jedynie na cześć wspomnianych osobistości. W grobach tych znalazłem niezmierzone skarby; są one prastare i wykonane ze szczerzego złota; jest ich tyle, że mogą zappełnić duże muzeum, które będzie najwspanialsze na świecie i które przez wiele przyszłych stuleci ściągać będzie do Grecji tysiące ludzi z całego świata. Ponieważ pracuję z czystej miłości do nauki, oczywiście nie zgłaszam do tych skarbów żadnego prawa i przekazuję je z ogromną satysfakcją Grecji. Niech Bóg sprawi, aby te skarby stały się łańcikiem niezmierzonego bogactwa całego narodu”.

Zycie już dawno pozbawiło Schliemanna jakiegokolwiek poczucia skromności, mimo to z trudem można sobie wyobrazić, w jakim patetycznym tonie ów szczęśliwy odkrywca zredagował nazajutrz telegram do króla. Właśnie bowiem następnego dnia, 29 listopada, Schliemann dokonał największego odkrycia w Mykenach.

Kiedy był jeszcze zajęty czwartym grobem, jego robotnicy natrafili na piąty grób położony na północ od pierwszego, bezpośrednio przy murze, i zaczęli go odkopywać. Oczywiście Schliemann i tu oczekiwał, że znajdzie szkielety ludzkie i wyposażenie grobowe, ale to, co znalazł, kazało zamilknąć nawet temu głośnemu poszukiwaczowi szczęścia.

Schliemann przejęty klęczał przed rozsypującymi się szczątkami wysokiego mężczyzny. Leżące na nich zwały ziemi spłaszczyły zwłoki o 3 do 4 centymetrów, ale można było rozpoznać

wszystkie szczegóły. Tylko czaszka wystawała imponująco z ziemi jak kamień. Twarz przykrywała złota maska, ale grubsza, bardziej ozdobna i lepiej zachowana aniżeli inne dotychczas odkryte przez niego maski. Henryk przywołał Zofię i oboje przystąpili do oczyszczania złotego oblicza. Kiedy skończyli tę pracę, Schliemann zamilkł na pewien czas i bez słowa przypatrywał się złotej masce.

„Wydaje mi się — Zofia przerwała po chwili milczenie — że oboje myślimy o tym samym”.

Henryk spojrział na żonę — „Co masz na myśli, moja droga?”

„Uważam, że dopiero teraz znaleźliśmy Agamemnona, to jest on”.

Schliemann skinął głową — „Masz rację, to Agamemnon”.

Maska przedstawiała postarzałe, brodate oblicze z długim, cienkim nosem. Oczy osadzone blisko siebie były zamknięte, brwi przyszytych i uczesane, wargi wąskie i wydęte, długie bokobrody i nie zarośnięty podbródek. Jako jedyny z antycznych bohaterów człowiek ten miał starannie utrzymane wąsy, których końce były wywinęte do góry jak półksiężycy; wyglądały tak, jakby posmarowano je pomadą.

Złote oblicze nawet w tym śmiertelnym śnie promieniowało autorytetem. Zdradzało silną wolę i wielkość, mimo że głowa tego mężczyzny była nietypowo mała. W uduchowionych oczach, które przyglądały się Schliemannowi, ożywał dumny i władczy mąż; jeden z tych nadludzi, których Homer opisywał w swej *Iliadzie*.

Za uszami po obu stronach Schliemann odkrył w masce otwory; przypuszczalnie był tam przymocowany drut lub nić, która przytrzymała maskę na twarzy. Schliemann próbował w obecności żony wyciągnąć z ziemi czaszkę wraz z maską; wówczas Zofia wydała krótki, ostry okrzyk: czaszka rozsypała się w rękach Henryka w proch.

W milczeniu i skupieniu klęczał Schliemann wraz z żoną przed ostatnimi dowodami ludzkiej znikomości. Trwało długą chwilę, zanim Henryk podniósł się i wyciągnął w górę rękę z maską; wziął ją od niego Spyridon Phendikles. Nie było co marzyć o uratowaniu szkieletu; wobec tego odkrywcy zaczęli zbierać znajdujące się wokół nich wyposażenie grobowe: włócznię, dwa miecze z brązu, wspaniały złoty puchar z wyczelowanymi przedstawieniami liści wokół wylewu i motywem ryb na podstawie i w środku; ponadto wydobyto jasnozieloną wazę egipską i fragment jasnoczerwonej wazy z przedstawieniem kobiecych piersi.

Trzy szkielety przykryte złotem

Podczas gdy wszyscy byli jeszcze zajęci piątym grobem, od strony doliny przybył posłaniec przywożąc telegram od greckiego monarchy.

„Do Pana doktora Schliemanna, Argos:

Mam zaszczyt donieść Panu, że Jego Królewska Wysokość otrzymał Pański telegram i zobowiązał mnie do złożenia Panu podziękowań za Pański zapał i miłość do nauki, a także polecił mi, abym Panu pogratulował tak ważnego odkrycia. Jego Wysokość ma nadzieję, że Pańskie wysiłki będą i w przyszłości ukoronowane sukcesem. Sekretarz Jego Królewskiej Mości

A. Calinskis".

Formalny ton odpowiedzi królewskiego sekretarza zmartwił Schliemanna. „Król zapewne nie pojął, cośmy tu odkryli” — mruknął.

TRZY SZKIELETY PRZYKRYTE ZŁOTEM

Schliemann żałował teraz, że tak pochopnie zrzekł się wszelkich praw do mykeńskiego złota, gdyż wcale jeszcze nie zakończył prac wykopaliskowych. W swoim dzienniku napisał: „Ponieważ przy dobrej pogodzie błoto w pierwszym grobie wyschło, podjąłem ponownie prace i doszedłem wreszcie do fundamentu grobu, który wykuty był od strony północnej na głębokości 17,5 stóp (5,5 m), a od strony południowo-wschodniej na głębokości 17 stóp (5,2 m). Znajdujące się w tym grobie trzy ciała były niezwykle duże i wyglądały tak, jakby na siłę wepchnięto je do tak małego pomieszczenia. Mimo iż głowa pierwszego szkieletu (licząc od strony południowej) nakryta była masywną złotą maską, czaszka rozsypywała się; poza piszczelami nóg uratowano tylko niewiele innych kości. To samo dotyczyło drugiego szkieletu, którego miejsce ostatniego spoczynku zostało ograbione już w starożytności. Jednakże na szkielecie znajdującym się w północnej części trzeciego grobu, pod ciężką złotą maską zachowała się okrągła twarz; brak było włosów, lecz wyraźnie rysowały się oczy oraz usta, szeroko otwarte, ukazujące pełne, ładne uzębienie”.

Wygląda na to, że te mykeńskie zwłoki były z mumifikowane na wzór egipski i zmniejszone do rozmiarów dziecięcych. Przemawia za tym także żółtawobrazowy kolor, który różni je wyraźnie od szarości pozostałych szkieletów. Również i w tym przy-

padku zwłoki uległy spłaszczeniu wskutek nacisku kamieni. Na piersi szkieletu leżała złota płytka ozdobiona falistymi meandrami; prosta, okrągła złota płytka leżała również na czole, a dwie inne znajdowały się na prawym oku i nad prawym biodrem.

Schliemann obawiał się, aby ciało nie rozpadło się pod wpływem powietrza i światła dziennego. Dlatego posłał po malarza Periklesa z Nauplii; ten jeszcze tego samego dnia namalował obraz olejny. „Wiadomość — zanotował Schliemann — o dość dobrze zachowanych zwłokach mężczyzny z bohaterskiego okresu mykeńskiego, pokrytych złotymi klejnotami, rozeszła się lotem błyskawicy po całej Argolidzie, i tysiące ludzi przybywało do Argos, Nauplii i okolicznych wiosek, aby ujrzeć ten cud”.

Mimo iż nieład w pierwszym grobie sprawiał początkowo wrażenie, że splądrowano go już w przeszłości, właśnie w tym grobie znajdowało się najwięcej skarbów: ponad sto złotych guzów, artystycznie zdobiony złoty puchar, złota 20-centymetrowa przepaska, miecze z brązu ze złożonymi rękojeściami, okrągłe i kwadratowe złote płytki niewiadomego przeznaczenia, małe naczynie z kryształu górskiego, srebrne obciążki i dwie części srebrnej wazy, wysoki puchar w kształcie kielicha z alabastru, waza z terakoty i dwie maski. Łącznie w okresie między 23 listopada a 3 grudnia Schliemann zebrał z pięciu grobów 13 kilogramów złota.

Kto, jeśli nie mykeńscy królowie dysponowali taką ilością złota? Kto, jeśli nie Agamemnon, był najbogatszym i najpotężniejszym spośród nich? O nim to mówi Homer w *Iliadzie* (IX, 153-160):

Siedm pięknych miast ode mnie wianem odziedziczy,
W nich Kardamila, Hira wesola się liczy,
Enopa, możne Fery, Anteja zielona,
Miła Epeja, Pedaz płodny w winogrona;
Wszystkie nad morzem leżą, przy Pilach piaszczystych,
Od ludów zamieszkałe w trzody zamożystych.
Czcic go będą jak Boga, darami bogacić
I królowi swojemu winny pobór płacić.*

Teraz, kiedy Schliemann przypuszczał, że znalazł groby Homerowych bohaterów, teraz, kiedy natknął się na istotny element tych olbrzymich puzzli *Iliady*, mógł się wreszcie rozkoszować pewnością, że odkrył nieznaną kulturę. Wszyscy liczący się w świecie

uczni reprezentowali dotychczas pogląd, że wojna trojańska była jedynie wytworem wyobraźni ślepego poety. Teraz, myślał Schliemann, przekonają się nawet ostatni wątpiący.

Po ekspertyzie znalezionych szkieletów i uporządkowaniu da-rów grobowych Schliemann doliczył się doczesnych szczątków 12 mężczyzn, 3 kobiet i 2 dzieci. Prawdopodobnie wszyscy zostali zamordowani i spaleni w tym samym czasie. Odpowiadając na zarzuty niektórych krytyków, że odkrył groby królewskie z różnych okresów, Schliemann przytoczył jako argument najpierw taki sam sposób pochówku zmarłych i podobieństwo stylu wszystkich znalezionych ozdób. Uważał za niemożliwe, „aby trzech albo pięciu niezmiernie bogatych wielmożów, którzy zmarli w odległych od siebie okresach, zostało wrzuconych razem do tego samego grobu”.

SCHLIEMANNA NĘKAJĄ WĄTPLIWOŚCI

Po krytycznej ekspertyzie wielu mykeńskich znalezisk i porównaniu ich stylu ze skarbem Priama pojawiły się jednak wątpliwości. Czy wyposażenie grobowe z grobu Agamemnona pochodzi rzeczywiście z tego samego okresu co ozdoby ze skarbu trojańskiego?

„Brak ornamentacji w klejnotach trojańskich — pisał Schliemann — nie malowane naczynia, które zostały wykonane ręcznie, z wytłoczonym lub nacinanym ornamentem, wreszcie brak żelaza i szkła przekonały mnie, że ruiny Troi sięgają głębszej starożytności, że są one o wiele setek lat starsze niż ruiny Myken... Myślę przeto, iż Homer wiedział o oblężeniu i zniszczeniu Troi jedynie z tradycji zachowanej u wcześniejszego od niego poety i że do swej wielkiej epopei wprowadził jako bohaterów współczesnych sobie ludzi w podzięcie za uzyskane od nich względy. Nigdy jednak nie zwątpiłem, iż król Myken Agamemnon, jego woźnica Eurymedon, księżniczka Kassandra i ich towarzysze zostali w zdradziecki sposób zamordowani... Choć w grobach tych zaobserwowałem wysoki poziom cywilizacji technicznej, to znalazłem tu, podobnie jak w Troi, tylko naczynia wykonane ręcznie lub na kole garncarskim, jak również stwierdziłem brak żelaza. Ponadto w Troi znane było pismo alfabetyczne, gdyż znalazłem tam dużo napisów z dawnymi cypryjskimi znakami alfabetycznymi* oraz w języku, który, jak

Na podstawie odczytanego tzw. „sylabariusza cypryjskiego” pismo było pi-smem sylabicznym, por. D. Diringier *Alfabet*, PIW Warszawa 1968, s. 171-172 (przyp. red.).



Okrąg grobowy w Mykenach na początku prac wykopaliskowych w roku 1876. W tym samym roku Schliemann natrafił tu na pięć grobów szybowych ze szkieletami i złotymi maskami zmarłych. Jego pogląd, że odkrył groby z czasu wojny trojańskiej, został później obalony. Groby bowiem były o 300 lat starsze. Drzeworyt pochodzi z książki Schliemanna *Mykenae*.

możemy przypuszczać, jest bardzo podobny do greckiego, podczas gdy teraz mamy już pewność, że w Mykenach alfabetu nie znano... W Mykenach mogła istnieć wysoka cywilizacja, podczas gdy w tym samym czasie w Troi sztuki piękne dopiero powstawały, a niezależnie od tego sztuka pisania za pomocą liter cypryjskich mogła być znana w Troi już ponad tysiąc lat wcześniej aniżeli alfabet w Grecji".*

Ów pogląd Henryka Schliemanna był pod niejednym względem mylny. Może to umniejszać jego sławę jako historyka (za którego jednak nigdy nie pragnął uchodzić), ale nie jako archeologa. Schliemann, uparty indywidualista, również jako badacz był samotnikiem, i właśnie na tym polegała jego wielkość, której był świadom. Z jego słów można wnioskować, iż szukał nawet prowokacji: „W tym względzie, jak już wspomniałem, pozostawałem w sporze z Leake'em, Dodwellem, O. Mullerem, Ernstem Curtiusem, Prokeschem i innymi podróżnikami..." Faktem jest, że dopiero pierwsze prace Schliemanna obudziły dyskusje na temat kultury mykeńskiej i zachodnioazjatyckiej (Troja).**

* Pismo cypryjskie było używane od ok. 1500-1150 p.n.e. Według innej teorii było w użyciu na Cyprze od ok. 1275-1200 p.n.e., por. D. Diringer, op. cit, s. 171; I. J. Gelb/*Study of Writing*, Chicago 1963, s. 153 (przyp. red.). ** Tj. na zachodnim wybrzeżu Azji Mniejszej (przyp. red.).

Historyk starożytności Ernst Meyer, który przed trzydziestu laty opublikował sprawozdania Schliemanna z Myken, wypowiedział się na ten temat w następujących słowach: „Skutki i zasięg wykopalisk Schliemanna w Mykenach są co najmniej tak ważne jak jego prace badawcze przeprowadzone podczas ostatniej kampanii wykopaliskowej w Troi. Dzisiaj mówimy o kulturze egejskiej, która obejmuje kulturę mykeńską (helladzką), minojską (kreteńską), zachodnioazjatycką (Troada) i- kulturę wysp egejskich (Cyklad) i przekazuje nam wspaniałe ślady kultury wschodniej części basenu Morza Śródziemnego łącznie z sąsiadującymi terenami lądowymi i wyspami”.*

Inaczej niż w Troi, gdzie Schliemann musiał się troszczyć o ocalenie skarbu Priama, w Mykenach po odkryciu grobów przerwał pracę niemal z dnia na dzień. Swoją część zadania wykonał. Obowiązek przetransportowania znalezisk do Aten przekazał Stamatakisowi.

Henryk i Zofia opuścili Mykeny w różnych terminach, Zofia 2 grudnia, Henryk dwa dni później nagle, w nocy na pokładzie parowca, który wypływał z Nauplii. Pospieszny wyjazd Schliemannów, i to osobno, dał powód do rozmaitych spekulacji. Gazeta „Neologos Athenon” doniosła 9 grudnia o zaprzestaniu prac i podała, że Panajotis Stamatakis przetransportuje „za kilka dni” skarby do Aten, gdzie zabezpieczone zostaną w piwnicach Banku Narodowego.

Dziennik ten podał, że Schliemann wyjechał w towarzystwie profesora Spyridona Phendiklesa. Z Charvati do Nauplii udali się powozem. W ich bagażu znajdowała się szacowna skrzynia z napisem „Towarzystwo Archeologiczne”. Według korespondenta w skrzyni znajdowały się gliniane naczynia i skorupy, przekazane odkrywczy przez Towarzystwo Archeologiczne, którego wiceprzewodniczącym był Phendikles. Gazeta pisała: „Ponieważ jednak wiele ludzi nie chce w to uwierzyć, byłoby właściwe, gdyby Towarzystwo dla uspokojenia opinii publicznej wydało oficjalne oświadczenie dotyczące zawartości tej skrzyni oraz tego, kto ją otrzymał i dlaczego”.

* Podana przez Ernsta Meyera chronologia kultury egipskiej różni się od współczesnej (przyj. red.).

CAŁY ŚWIAT MÓWI O MYKENACH

Ogarniętemu pasją publikowania udało się Schliemannowi rozpowszechnić w całym świecie informacje o Mykenach i znalezionych skarbach z okresu prehistorycznego. Między 27 września 1876 roku a 12 stycznia 1877 opublikował on w londyńskim „Timesie” czternaście jednostronicowych reportaży z wykopalisk, a ponadto pięć krótkich telegraficznych sprawozdań. Informacje te przedrukowały następnie gazety z całego świata.

Ku oburzeniu naukowców Schliemann rozpowszechniał oczywiście swoje własne teorie oparte wyłącznie na jego znajomości dzieł Homera i autorów klasycznych. Przy dokładniejszych rozważaniach okazało się jednak już wówczas, że niewiele faktów zgadza się z tymi teoriami. Schliemann był nie tylko niepohamowanym fantastą; do jego cech należała również zdolność usuwania tego, co nie pasowało, było niewygodne lub niemiłe.

Przypadek zrządził, że Panajotis Stamatakis następnego roku natknął się na szósty grób. Był on równie mały jak drugi i znajdował się na północ od pierwszego wewnątrz murów; został już wcześniej splądrowany, a Stamatakis odnalazł tu jedynie różne drobne przedmioty ze złota, brązu i alabastru.

Dla Schliemanna zawalił się cały świat. Pauzaniasz mówił przecież o *pięciu* grobach; kto się więc pomylił? Pauzaniasz czy Schliemann? A może to wcale nie były groby Homerowych bohaterów?

Na odkrycie Stamatakisa Schliemann zareagował w typowy dla siebie sposób; nie wymienił jego nazwiska aż do śmierci tegoż i nigdy już nie odwiedził Myken.

Pozostało jednak pytanie: Co Henryk i Zofia Schliemannowie w istocie odkryli?

Schliemann pomylił się w przypadku Myken podobnie jak i Troi co do okresu pochodzenia znalezisk. Okrąg grobowy w pobliżu Lwiej Bramy nie pochodził z czasów wojny trojańskiej, był o 300 lat starszy i założony został w XVI wieku przed Chr. Oznacza to, że żadna z masek nie okrywała twarzy Agamemnona ani innego herosa.

Schliemann odkrył raczej groby królewskie, które świadczą, jak wielkimi bogactwami dysponowała ta kraina już na 300 lat przed wojną trojańską. Na podstawie znalezisk ceramicznych w tych grobach ustalono czas ich powstania na epokę średnio- aż do późnohelladzką, a więc od połowy XVI do początku XV wieku przed

Chr. A zatem Schliemann musiał odkryć groby pierwszych królów mykeńskich.

Podczas gdy w roku 1876 w nadmiarze radosnych uczuć Schliemann obwieszcza! w „Timesie”: „Odnalazłem grób, który starożytne podania określają jako grób Agamemnona!”, to w rok później pod naciskiem wyników badań naukowych napisał speszony: „Nigdy nie przyszło mi do głowy twierdzić, że odnalazłem groby Agamemnona i jego towarzyszy; usiłowałem po prostu udowodnić, że są to groby, które Pauzaniusz określił jako groby tych bohaterów”.

Sprzeczności, w które uwikłał się Schliemann, stanowiły łączy żer dla wszystkich niezycliwych mu ludzi. Na czele jego krytyków stanął ponownie Ernst Curtius. Odkrywca Olimpii, kiedy tylko Schliemann opuścił Mykeny, zwiedził odkryty okrąg grobowy, następnie udał się do Aten, aby tam w Banku Państwowym poddać ekspertyzie mykeńskie złoto. Ostatecznie zajął miazdzące Schliemanna stanowisko, oświadczając, że złote maski nie mają nic wspólnego z antykiem klasycznym. Złoto jest zbyt cienkie, a Agamemnon musiałby być ubogim księciem. Może tu także chodzić o bizantyjską głowę Chrystusa.

Berliński profesor nie mógł boleśniej ugodzić odkrywcy Troi i Myken. Schliemann wprost szalał i postanowił zemścić się na zaciętym filologu klasycznym. W artykule zamieszczonym w gazecie Schliemann wziął pod lupę prace wykopaliskowe w Olimpii, prowadzone pod kierunkiem Curtiusa. Napisał, że nie przyniosły one nic, o czym warto byłoby wspomnieć, a rząd niemiecki zmarnował tylko w Olimpii pieniądze. On sam uzyskałby przy jednej trzeciej nakładów o wiele więcej.

W ten sposób Schliemann utracił ostatnich sympatyków, jakich miał jeszcze w szeregach uczonych. Uznali oni atak na Curtiusa, papieża nauk antycznych, za świętokradztwo. Nawet dyrektor muzeum Aleksander Conze, który dotychczas odnosił się do Schliemanna z życzliwością, podważył wagę jego pracy. Troja nie jest Troją, lecz kolonią grecką, a skarb Priama posiada raczej cechy rzymskie.

Najtwardszym ze wszystkich przeciwnikiem okazał się kapitan artylerii królewsko-pruskiej, żądny sławy psychopata nazwiskiem Ernst Bötticher, który będąc na emeryturze spędzał czas na pisemnych intrygach w czasopismach i innych publikacjach. Mianując sam siebie badaczem, wykorzystywał popularność Schliemanna i krytykował jego odkrycia w dzienniku „Ausland” i „Zeitschrift

für Ethnologie", nazywając je błagą. Domniemana Troja nie jest w żadnym wypadku Homerowym Ilionem, lecz wielkim cmentarzyskiem całopalnym. Schliemann nie odkopał wcale świątyń ani pałaców, lecz murowane groby szybowe.

„Te obrzydliwe artykuły pripraviają mnie o chorobę” — zwierzał się Schliemann swemu przyjacielowi Rudolfowi Virchowowi; zaczął też powątpiewać w jego przyjaźń. Bo przecież Virchow był wydawcą owego periodyku „Zeitschrift für Ethnologie”, w którym ukazywały się te obrzydlistwa. „Jeżeli teraz w Niemczech daje się wiarę obłądnym teoriom Bottichera — żalił się Schliemann — a pełne chwały miasto ma być zamienione w bezimienne miejsce pochówku, to oczywiście nie przyślę już żadnych trojańskich starożytności, gdyż i tak ma Pan ich za dużo”.

Henryk Schliemann był ponownie głęboko rozczarowany nie stosowną reakcją naukowców na jego odkrycia. „Myślę, że odkryłem dla archeologii nowy świat”. To stwierdzenie Schliemanna dopiero później miało być uznane za słuszne.

Mimo to nie zraził się tym. Żył nadal w swym własnym, dla niego świętym świecie. Kiedy Zofia urodziła mu w roku 1878 od dawna upragnionego syna, nazwał go imieniem owego legendarnego króla mykeńskiego, którego czaszka pod złotą maską rozsypała się w jego rękach — Agamemnon.

XIII

TROJA I TIRYNS: POMYŁKI I ROZCZAROWANIA

Wszystkie dotychczasowe próby naszkicowania obrazu Homerowego domu panującego musiały okazać się w pewnym sensie niezadowalające, ponieważ Homer nie dość wyczerpująco opisuje pałace swych bohaterów, podając jedynie sporadycznie krótkie wzmianki o nich. Pozostaje zatem jeszcze wiele pytań, na które nawet najwnikliwsi badacze Homera nie mogą dać odpowiedzi na podstawie jego słów.

Wilhelm Dorpfeld, asystent Schliemanna

Wraz z bocianami powróci! Henryk Schliemann po koniec lutego 1879 roku do Troady. Przywiódło go tu proste pytanie: Mykeny, ojczyzna Agamemnona, odznaczały się dużą ekspansją. Czy owa ongiś potężna Troja była istotnie tak mała?

Nadal jeszcze miał Schliemann przeciwko sobie większość naukowców. Oczywiście blask trojańskiego i mykeńskiego złota uczynił go sławnym. W szerokiej opinii publicznej uchodził za archeologa, cierpiał jednak z powodu lekceważenia, z jakim spotykał się ze strony kolegów po fachu. Aby móc się wśród nich utrzymać, potrzebował nie złotych skarbów, lecz historycznych dowodów. Jeśli chodziło o historyczne zaszeregowanie Troi, a przede wszystkim o zidentyfikowanie niektórych budowli, to Schliemann sam musiał przyznać, że opierały się one jedynie na teoriach tych, którzy wierzyli Homerowi. Schliemann musiał więc znaleźć nowe przekonujące dowody.

Wiedział, jak trudne jest to zadanie, i nastawił się na wieloletnie prace wykopaliskowe. W roku poprzednim, czekając na odnowienie wygasłej już licencji, rozpoczął nowe wykopaliska na Itace: miał nadzieję na odnalezienie śladów pełnej chwały przeszłości bohaterskiego Odyseusza, a może nawet jego zamku. Natrafił jednak na resztki „cyklopich murów” oraz na fragmenty ceramiki, które nie dawały prawie żadnych wskazówek dotyczących czasu powstania.

Po tygodniach bezskutecznych wysiłków Schliemann, który przez cały czas mieszkał w domu miejscowego bogatego obywatela Aristidesa Dendrinosa i jego pięknej żony Praxidei, odjechał, nie

dokonawszy żadnych nowych odkryć. I jak zawsze w podobnych sytuacjach uciekł w świat fantazji.

„Wszystkim wielbicielom Homera polecam odwiedzenie Itaki, gdyż wspomnienie o tym heroicznym okresie nigdzie w świecie greckim nie jest tak żywe jak na tej wyspie. Tutaj każda mała zatoczka, każde źródło, każda skała, każdy wzgórek, każdy gaj oliwny przypomina nam boskiego poetę i jego nieśmiertelną *Odyseję*, i w jednej chwili czujemy się przeniesieni o sto pokoleń wstecz, do najwspanialszych czasów greckiego rycerstwa i greckiej poezji”.

Naukowców i profesorów trudno było uwieść takim marzycielstwem. Dla nich liczyły się fakty. Aby przekonać możliwie wielu ekspertów, Schliemann wysłał wspaniałomyślnie zaproszenia do Troi. Na północno-zachodnim zboczu wzgórza Hissarlik zbudował małą wioskę. Między innymi wzniesiono murowany dom z kuchnią i pomieszczeniami dla gości, barak dla żandarmów, których Schliemann zaangażował dla bezpieczeństwa własnego i 150 robotników, następnie prowizoryczny magazyn do przechowywania najnowszych materiałów wykopaliskowych, służący również jako jadalnia oraz niewielkie muzeum; wystawiano tam znaleziska, które miały następnie przejść na własność państwa tureckiego.

SCHLIEMANN PRZESADZA: NOWY SKARB

Wystawiony w roku 1878 firman przewidywał, że dwie trzecie wszystkich znalezisk mają być przekazane Muzeum Ottomańskiemu w Konstantynopolu. „Moje prace — pisał Schliemann w swych sprawozdaniach z prac wykopaliskowych, które ukazały się w roku 1881 pod tytułem *Ilios* — służyły odkopaniu dużej budowli położonej na zachód i północny zachód od bramy. Jak już wspomniano, uważałem ową wielką budowlę za identyczną z domem ostatniego króla albo władcy Troi, gdyż tu oraz w najbliższym otoczeniu znaleziony został nie tylko duży, odkryty przeze mnie skarb, lecz również wykopano trzy mniejsze skarby, które przywłaszczyli sobie moi robotnicy, a następnie skonfiskowały je władze tureckie; ponadto znaleziono dużą liczbę naczyń glinianych. Teraz jednak z większym uporem bronię ich identyczności niż poprzednio, gdyż ponownie odkryłem w tej budowli i jej najbliższym otoczeniu trzy mniejsze i jeden większy skarb złożony ze złotych ozdób...”

Owe odkryte przez Schliemanna wspomniane „skarby” to gliniane skorupy i broń z brązu, które pod względem jakości nie dorównują skarbowi Priama. Jak to często miało miejsce, i tym razem Schliemann przesadził, nadając wykopaliskom z roku 1878 większą wartość, niż miały w istocie. Patrząc krytycznie, należy stwierdzić, że znaleziska z tego roku były raczej mało znaczące. Za to udało się Schliemannowi odsłonić duże fragmenty murów i budowli, które ukazywały pewien obraz dawnej wielkości Troi.

Schliemann wyszedł od trzech leżących na sobie warstw osad trojańskich, i to rozpoznanie miało znaczny wpływ na dalszy przebieg prac. Teraz skierował uwagę na mury, które ciągnęły się na wschód i południowy zachód od Bramy Skajskiej, na północ i północny zachód od pałacu Priama oraz na wschód od wielkiego wykopu, hen ku północy.

Schliemann zanotował: „Ponieważ szczególnie ważne było to, aby domy spalonego miasta zostały zachowane, odkopywałem stopniowo, warstwa po warstwie, horyzontalnie, ruiny trzech wyżej położonych miast, dopóki nie natrafiłem na wyraźnie odznaczające się zwapniałe gruzы trzeciej warstwy. Kiedy cały teren, który chciałem zbadać, został odsłonięty na takiej samej wysokości, zacząłem na zewnętrznym jego krańcu odsłaniać jeden dom po drugim i w ten sposób kierowałem się ku zboczowi północnemu, gdzie zrzucano gruz. Dzięki temu udało mi się odkopać wszystkie domy trzeciego miasta, nie uszkadzając ich murów”.

W następnym roku Schliemann zajmował się wielkim murem obronnym i kurhanami herosów. Pod dwoma dużymi i czterema mniejszymi kurhanami położonymi u stóp wzgórza Hissarlik miał nadzieję znaleźć takie same skarby jak w Mykenach. Pozwolenie na prace przy tych tumulusach załatwił dla Schliemanna poseł niemiecki hrabia Hatzfeld i poseł angielski sir Henry Layard. Nadeszło ono w tym samym czasie co obietnica profesora Virchowa, że będzie uczestniczył w pracach w Troi.

VIRCHOW I SCHLIEMANN — PODOBNI, A JEDNAK TAK RÓŻNI

„Wspaniałe spotkanie, szczęśliwe zrządzenie losu — odpowiedział Schliemann berlińskiemu profesorowi — kogóż bowiem na świecie mogła zainteresować eksploracja tych kurhanów bardziej aniżeli Pana i kto mógłby przy tym bardziej przysłużyć się nauce

niz Pan? Jeżeli nie uzyskano oczekiwanych rezultatów w przypadku dotychczas odkopanych grobów herosów, to winę ponosi tu jedynie niedoświadczenie badaczy, i zobowiązują się znaleźć dowody nawet w zbadanych już grobach; a jeśli nie uda się nic więcej, to przynajmniej odkryją klucz do ich chronologii".

Virchow przybył do Aten pod koniec marca wraz z Emile'em Burnoufem z Ecole Francaise. Przybycie obu profesorów oznaczało dla Schliemanna równie wiele co odkrycie nowego złota. Virchow i Bumouf dodali jego pracy naukowego blasku. Virchow zajmował się badaniami warunków botanicznych, zoologicznych i geologicznych na płaskowyżu trojańskim; Bumouf, który stał się sławny również jako malarz i inżynier, rysował precyzyjne plany i mapy oraz szkicował widoki rozmaitych miejsc, gdzie znajdowały się groby.

Virchow i Schliemann, dwaj rówieśnicy, obaj niskiego wzrostu i interesujący się tymi samymi problemami, dobrze się rozumieli. Virchow był i pozostał jedynym człowiekiem, z którego krytyką Schliemann bardzo się liczył. Profesorowi udało się odwieść nieco Schliemanna od jego ślepej wiary w Homera i skierować jego myśli na bardziej realne tory. Jeżeli Henryk nie mówił już o „Bramie Skajskiej” tylko o „wielkiej bramie”, jeżeli „pałac Priama” nazywał teraz „główną budowlą Troi”, to była to zasługa niskiego, brodatego mężczyzny o chytrych oczach, ukrytych za niklowanymi okularami, zasługą antropologa Rudolfa Virchowa.

Po powrocie z wykopalisk w Troi profesor Virchow miał interesujący wykład w Towarzystwie Antropologii, Etnologii i Prastorii w Berlinie. Ustosunkował się w nim do metod wykopaliskowych Schliemanna, do stosowanej techniki cięcia i sondażu terenu, która w porównaniu z dotychczas stosowanym sposobem odkopywania warstwowego była wręcz rewolucyjna i wywoływała w kolach fachowców największy sprzeciw. Virchow bronił Schliemanna bardzo zrećnie. Twierdził wprawdzie, że technika Schliemanna i jego rozległe cięcia, jakich dokonał na wzgórzu Hissarlik, podziałała niszcząco na górne warstwy, ale dzięki temu odkryto marmurowe pozostałości świątyni z późniejszego okresu.

Dalej Virchow mówił: „Jednakże pan Schliemann nie interesował się świątynią, która należała do znacznie późniejszego okresu, i mogę śmiało powiedzieć, obejrząwszy znaczną część znalezisk, iż mam wątpliwości, czy po ich zebraniu uzyskano by znaczącą korzyść dla historii, sztuki czy też nauki. Przyznaję, że był to rodzaj świętokradztwa; pan Schliemann dokonał cięcia przez środek świą-



Skarbiec Minyasa w Orchomenos. Schliemann wierzył Homerowi, który przedstawia! Orchomenos jako miasto „kapiące złotem”, tak jak Troja i Mykeny, i pracował tam ze 120 robotnikami (wśród nich także kobiety), szukając ukrytych skarbów. Przedsięwzięcie to przyniosło skromne rezultaty. Albo Homer się pomylił, albo całą pracę wykonali już wcześniej rabusie grobów.

tyni, kawałki budowli rozrzucono na boki i częściowo ponownie przysypano, tak że teraz nie będzie łatwo zebrać je ponownie nawet przy największych nakładach finansowych. Ale bez wątpienia, gdyby pan Schliemann postępował w ten sposób, że odsłaniałby od góry warstwę po warstwie, to z uwagi na wielkość zadania nie dotarłby jeszcze dziś do warstw, w których odkryto najważniejsze znaleziska".

Profesorowi i odkrywcy skarbów współpracowało się w Troi tak dobrze, że Schliemann przedstawił swemu gościowi ofertę, „aby ten rzucił wszystkie swoje dotychczasowe zajęcia” i wspólnie z nim prowadził wykopaliska w Troi aż do najgłębszej warstwy, a także w Tirynsie, Sparcie i Delfach. Proponował Virchowowi honorarium, które równało się jego profesorskiej pensji plus wszystkie dodatkowe dochody. Ale Virchow odmówił; obawiał się zapewne o swoją sławę profesora, gdyby pozostawał na żołdzie amerykańskiego milionera.

Odmowa profesora wcale nie osłabiła ich więzów przyjaźni. Świadczy o tym obejmująca 600 listów korespondencja obu mężczyzn, w której jest mowa o sprawach rodzinnych, łącznie z bólami i chorobami, o polityce, ale przede wszystkim o problemach archeologicznych i historycznych — było to odzwierciedlenie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Henryk Schliemann wrócił do Aten z nowymi znaleziskami; były wśród nich wisiory zdobiące uszy, bransolety i wiele łańcuszków ze złota i srebra. Miał on teraz 57 lat i przekroczył już przeciętne oczekiwania, jakie mężczyzna ma wobec życia. Świadomość tego spowodowała u niego żądzę nowych czynów. Nie zwracając uwagi na własne zdrowie ani zdrowie swej żony, Schliemann skierował zainteresowania na Orchomenos, dawną siedzibę króla Minyasa. Orchomenos, położoną pod wioską Skripu, po Tebach największe miasto Beocji, było stolicą Miniów. Homer nazwał je potężnym, i jako jedyne, prócz Troi i Myken, uzyskało ono przydomek „kapiące złotem”.

Drogę wskazał Schliemannowi ponownie Pausaniasz, który w Orchomenos pragnął widzieć nie naruszony skarbiec Minyasa. Jednak skarbiec ten, porównywalny ze skarbcem Atreusa w Mykenach, nie przetrwał; rozpadł się i został splądrowany. Aby wejść do wnętrza, Schliemann potrzebował 120 robotników i po raz pierwszy zaangażował kobiety, które pracowały za drobną zapłatą i przy usuwaniu gruzów postępowały ostrożniej aniżeli mężczyźni.

Mimo wysokich nakładów finansowych wyniki archeologiczne były skromne. Schliemann, wspierany przez orientalistę Archibalda Henry'ego Sayce'a i swego architekta Ernsta Zillera, mógł być zadowolony, kiedy wieczorem przychodziło mu opisać kilka czarnych albo czerwonych glinianych ułamków. Rozczarowany przerwał prace.

PIERWSZE SPOTKANIE Z WILHELMEM DÓRPFELDEM

W Atenach Schliemann zastał podanie o pracę pewnego młodego Niemca nazwiskiem Wilhelm Dórfeld, który pracował dla Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Atenach.

Dórfeld? Schliemann słyszał już kiedyś to nazwisko. Czy nie był to ów Dórfeld, który pracował z Curtiusem w Olimpii? Schliemann poprosił kandydata na rozmowę do swego „Iliou Melathron”.

Wysoki, niezgrabny młody człowiek stawał się coraz mniejszy i mniejszy, kiedy został powitany słowami Homera przez służącego Bellerofona odzianego w greckie szaty i poprowadzony ciemnymi marmurowymi schodami do portalu. Z dużego wykładanego marmurem hallu prowadziły na górę schody zataczające duży krąg. Dookoła stały antyczne wazy i rzeźby. Drzwi przypominały portale w pałacu książęcym, a wnętrze każdego pomieszczenia wyglądało jak świątynia.

Pan domu przyjął gościa w jednym ze swych gabinetów grzecznie raczej z poczucia obowiązku, aniżeli z przyjaźni. Wiał od niego chłodem, podobnie jak od całego „Iliou Melathron”. Ale zarówno dom, jak i jego właściciel wywierał w dziwny sposób fascynujące wrażenie.

„Czy jest pan architektem, panie Dorpfeld?” — zapytał Schliemann.

„Owszem, panie doktorze. Studiowałem u profesora Adlera”.

„I pracował pan z Curtiusem w Olimpi?”

„Tak, panie doktorze”.

„Czy jest pan berlińczykiem?”

„Nie, panie doktorze, urodziłem się w Bernau”.

„Ile pan ma lat?”

„Dwadzieścia osiem, panie doktorze”.

„Kiedy miałem pańskie lata, zarobiłem pierwsze pieniądze jako poszukiwacz złota w Ameryce”. Schliemann zrobił dłuższą przerwę. — „A teraz chciałby pan pracować u mnie?”

„Myślę, że mógłbym się panu przydać”.

„Tak pan myśli? Czy śledził pan dyskusję wokół Troi?”

„Tak jest, panie doktorze”.

„I co pan myśli o Troi?”

„No tak. Wszyscy powątpiewają, czy owe małe domy w trzeciej warstwie, które opisał pan w swej książce jako Homerową Troję, są rzeczywiście domami Priama i jego synów”.

Schliemann skinął głową z namysłem. — „Wie pan co, panie Dorpfeld, ja również mam niekiedy wątpliwości. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się niemożliwe, że Homer przedstawiał Ilion jako duże miasto, skoro była to wieś. Dlatego chcę kopać dalej”.

„Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybym mógł być panu pomocny”.

W październiku 1881 roku Schliemann otrzymał od rządu tureckiego nowy firman na prace wykopaliskowe w Troi. Licen-

cja ograniczała się jednak tylko do wzgórza Hissarlik. Oprócz Dörpfelda Schliemann zatrudnił jeszcze jednego architekta; nazywał się Joseph Höfler i pochodził z Wiednia. Dörpfeld przywiózł ze sobą trzech dozorców greckich, którzy sprawdzili się podczas prac w Olimpii. Nikolaos Zaphyros, pracujący dla Schliemanna już dwanaście lat, objął ponownie ogólny nadzór nad pracami. Schliemann przywiózł ponadto z Aten swą kucharkę Jokastę i służącego Edypa.

1 marca 1882. Pod kierownictwem dwóch architektów, jednego nadzorczy i trzech strażników 160 robotników rozpoczęło odkopywanie ogółem 250 grobów szybowych. Celem tego gigantycznego przedsięwzięcia było uzyskanie jasności co do kolejności warstw na Hissarliku. Po długich rozmowach ze swym asystentem Dörpfeldem, który z jednej strony wykazywał podziw dla odkrywcy, z drugiej jednak krytycznie mu się przeciwstawiał, Schliemann doszedł do przekonania, że tylko w ten sposób można naprawdę udowodnić istnienie warstwy Troi Homerowej.

Jeszcze w książce wydanej w roku 1881 pt. *Ilios* obstawał Schliemann przy swej pierwotnej opinii, że mury, w obrębie których znalazł domniemany skarb Priama, należałoby przypisać czasom Homerowych bohaterów trojańskich. Virchow i Bur-nouf, a przede wszystkim młody Dörpfeld, zachwiali jego poglądy. „Wkrótce uznałem, że to niemożliwe wyobrazić sobie — pisał — iż boski poeta, przedstawiając nam z pewnością naocznego świadka i tak naturalnie obraz nie tylko trojańskiej równiny z jej wzgórzami, rzekami i grobami bohaterów, lecz całą Troadę z licznymi i różnorodnymi plemionami i miastami, Hellepontem, przylądkiem Lekton i Idą, Samotraką i Imbros, Lesbos i Tenedos, a także z potężnymi fenomenami natury, w jakie ta kraina obfituje, opisywałby nam Ilios jako duże, piękne, kwitnące, ludne, dobrze zbudowane miasto z szerokimi ulicami, gdyby w rzeczywistości liczyło ono zaledwie. .. 3 tysiące mieszkańców. Nie, gdyby Troja była tylko małym obronnym zameczkiem, jak wskazują ruiny trzeciej warstwy, to mogłoby je zdobyć w ciągu paru dni kilkuset ludzi, a wojna trojańska i dziesięcioletnie oblężenie byłoby czystym wymysłem i byłoby mało prawdopodobne”.

WĄTPLIWOŚCI WOKÓŁ PAŁACU PRIAMA

Schliemann nie mógł pojąć, że Homer opisując bardzo dokładnie katastrofę tak „małej warowni”, przedstawił ją w tak gigantycznym powiększeniu. Troja była jednym ze znaczniejszych miast w państwie Dardanów, które należało do najpotężniejszych w Azji Mniejszej. Skąpe resztki murów, określane dotychczas jako pałac Priama, nie były takich rozmiarów, jakie powinny cechować rezydencję królewską w tak dużym państwie.

Młodszy o trzydzieści lat Dorpheld od samego początku był Schliemannowi bardzo pomocny. Ten architekt i badacz architektury zdobył w Olimpii cenną wiedzę, a przede wszystkim był genialnym rysownikiem i kartografem. W Troi zaś należało usystematyzować wiele grobów, murów i warstw osadniczych.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu prac młody Dorpheld pisał do ojca do Niemiec: „Wykopaliska przebiegają całkiem inaczej niż w Olimpii, po części dlatego, że tu wiele miast jest zbudowanych warstwowo, jedno na drugim; dlatego też, aby odsłonić miasta niżej położone, trzeba zburzyć górne; po części zaś dlatego, że pan Schliemann jest zbyt niecierpliwy, aby pozwolić robotnikom spokojnie pracować na wyznaczonym terenie... Ale my, architekci, stopniowo przyzwyczailiśmy go do naszych metod pracy stosowanych w Olimpii. Żyjemy z nim w zgodzie i nie mam powodu na nic się uskarżać”.

Wilhelm Dorpheld z podziwem śledził zapał do pracy swego sześćdziesięcioletniego szefa: „Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie spotkałem tak aktywnego człowieka jak pan Schliemann. Ani minuty nie pozostaje beczynny. Wstaje codziennie o 4.30, jedzie konno nad morze, gdzie bierze kąpiel... O 7.30 zjawia się i z wyjątkiem krótkiej, jednogodzinnej przerwy obiadowej między 12 a 1 pracuje nieprzerwanie aż do zachodu słońca”.

Po czterech tygodniach Dorpheld uzyskał potwierdzenie swoich wątpliwości: trzecia warstwa nie mogła być Troją Homerową. Kiedy oznajmił swój sąd entuzjście Homera, ów prosił go gorąco, aby nikomu o tym nie mówił, obawiał się bowiem o swą sławę.

Dorpheld nie mógł jednak zatrzymać tych spostrzeżeń dla siebie. Prosząc o zachowanie ścisłej tajemnicy, napisał do swego teścia, berlińskiego badacza architektury, profesora Friedricha Adlera: „Trzecie, tak zwane spalone miasto, które Schliemann określił jako Troję Priama, jest jedynie nędzną wioską, zbudowaną po zburzeniu Troi na ruinach akropolu... W przeciwieństwie do

wielu małych domostw trzeciego miasta Pergamos drugiego miasta miał, co można już dziś z całą pewnością przyjąć, tylko cztery, pięć budowli, dokładnie tyle, ile występuje u Homera".

Henryk Schliemann musiał ostatecznie uznać, że się pomylił. Pomyłka jego nie dotyczyła położenia Troi, lecz jedynie głębokości warstwy Homerowej. Jednakże ta omyłka miała decydujące konsekwencje: zniweczyła teorię Schliemanna na temat skarbu Priama; odkrywca sądził bowiem, że znalazł go w Homerowej Troi. Również opisywany przez Homera pożar nie mógł służyć jako argument. Dörpfeld wykazał na podstawie nowych wykopalisk, „że drugie miasto zniszczone zostało w jeszcze straszniejszym pożarze aniżeli trzecie".

„OMYLIŁEM SIĘ"

Stwierdzenie tego faktu dotknęło Schliemanna jeszcze bardziej, niż gdyby stracił cały swój majątek. Pierwszą osobą, której przyznał się do porażki, był przyjaciel Rudolf Virchow. Jak miał się zachować wobec narastającej krytyki swych badań? Schliemann pisał do Virchowa 1 maja 1882: „Jeszcze nigdy Pańskie istnienie gdzieś w świecie nie było takie konieczne jak teraz... Bardzo proszę o Pańską radę i dobre słowo, ale także o zachowanie tajemnicy..."

Nie czekając na odpowiedź Virchowa, Schliemann zwrócił się po kilku dniach do dyrektora muzeum w Berlinie Richarda Schónego. Był to śmiały krok, gdyż z Schónem nie łączyła go przyjaźń tak jak z Virchowem. Musiał się liczyć z tym, że przez to jego omyłka stanie się tajemnicą poliszynela. Ale czyż dałoby się ją utrzymać na dłuższą metę w tajemnicy?

Schliemann pisał z rozpaczliwą odwagą do Schónego: „Omyliłem się w mojej książce *Ilios*, przypisując najniższą warstwę gruzu na Hissarliku, której głębokość wynosi ponad 7 metrów, dwu leżącym na sobie bardzo starym osadom; mój znakomity architekt bowiem udowodnił mi, że warstwy te są pozostałościami tylko jednej osady. I ponownie Virchow, Burnouf i ja omyliliśmy się, przyjmując, że głębokie rumowisko po pożarze jest pozostałością jednego miasta, gdyż mój architekt Dörpfeld udowodnił istnienie dwu osad... Duże drugie miasto, w którego skład wchodzi zamek z dwiema wspaniałymi świątyniami oraz dwie lub cztery inne budowle, jak

również położona poniżej osada, uważamy obecnie za słynny Ilion, gdyż jest on całkiem podobny do Ilionu Homera”.

Prace wykopaliskowe prowadzone wspólnie z Dörpfeldem oznaczały w istocie dla Schliemanna osobistą klęskę, ponieważ młody badacz architektury odkrył jego błędy w wyniku sumiennej pracy. Jednak już po kilku tygodniach kopania wspólnie z Dörpfeldem Schliemann doszedł do przekonania, że poprawki architekta mogą właściwie być korzystne dla sprawy.

Wielki zapał, z jakim Schliemann i Dörpfeld przystąpili do dzieła, obudził czujność nadzorca tureckiego, którego ustanowił minister oświaty Turcji. Beder Eddin effendi zakwestionował zatrudnienie przez Schliemanna fotografa oraz fakt, że Dörpfeld korzystając z własnego stołu pomiarowego sporządzał zdjęcia kartograficzne i przekraczał tym samym normy obowiązujące przy wykopaliskach. Nieufność wzmogła napięta sytuacja polityczna. Podejrzanie Eddina, że Amerykanin wraz z niemieckim asystentem wykorzystuje swą działalność do opracowania na wypadek wojny planów pobliskiej twierdzy Kumkale, nie pozostało bez konsekwencji.

W twierdzy Kumkale znajdował się telegraf, który wykorzystał Eddin effendi, aby oczernić Schliemanna i Dörpfelda wobec rządu w Konstantynopolu. Dżemal pasza, wojskowy gubernator nad cieśniną Dardanele, i dowódca artylerii w Konstantynopolu Said pasza skutecznie zaprotestowali u rządu, który natychmiast wydał zakaz fotografowania, szkicowania i dokonywania pomiarów.

Wytworzyła się groteskowa sytuacja. Kiedy odkrywcy opuszczali swe domy na wzgórzu Hissarlik, Eddin przez cały czas czuwał nad tym, aby nie szkicowali oni zarysów murów ani nie sporządzali żadnych notatek. „Taki potwór jak on — grzmiał Schliemann — to prawdziwa zaraza podczas badań archeologicznych”.

Od marca do lipca 1882 wszystkie rysunki i szkice najważniejszych wykopalisk można było wykonywać jedynie z pamięci. Dane dotyczące wielkości opierały się wyłącznie na szacunkach. Protest Schliemanna złożony w ambasadzie niemieckiej w Konstantynopolu nie odniósł skutku; nawet interwencja u kanclerza Niemiec księcia Otto von Bismarcka przyniosła jedynie nieznaczne złagodzenie, polegające na tym, że Schliemann i Dörpfeld mogli używać swych przyrządów pomiarowych przynajmniej w wykopanych grobach, a więc pod ziemią.

„Życie bez Ciebie jest nie do wytrzymania” — pisał Schliemann do żony w Atenach. Wobec tego Zofia zjawiała się natychmiast w Troi wraz z dziećmi Andromachą i Agamemnonem oraz poko-

jówką; miały do dyspozycji nowo zbudowany dom gościnny, ale tuż po przybyciu do Troi wybuchła tam epidemia malarii i Schliemann odesłał żonę z dziećmi natychmiast z powrotem do Aten. Dnia 22 lipca donosił swemu przyjacielowi Wilhelmowi Rustowi: „Moja żona wyjechała już przed trzema tygodniami, a ja musiałem nadal pracować na Hissarliku i nabawiłem się okropnej trojańskiej gorączki malarycznej, na którą nie działały nawet 30-gramowe dawki chininy”.

OSTATECZNE ZERWANIE Z TROJĄ

Schliemann zaprzestał prac w Troi. Warunki stawiane przez rząd turecki ułatwiły mu decyzję. Sześćdziesięcioletni odkrywca zmuszony był ponadto poważnie zadbać o swoje zdrowie. Mimo wszystko jednak mógł być zadowolony z tego, czego dokonał; wy dobył na światło dzienne następne liczne zabytki, przede wszystkim jednak udało mu się przy pomocy Dórfelda uzyskać dowód, że Troja zajmowała o wiele większy obszar, niż początkowo przypuszczano. A oto jego podsumowanie sezonu wykopaliskowego w 1882 roku: „Rekapitulując wyniki mojej pięcioletniej kampanii trojańskiej w 1882 roku: dowiodłem, że w odległej starożytności na płaskowyżu trojańskim istniało wielkie miasto, które kiedyś uległo zniszczeniu wskutek straszliwej katastrofy; że miasto owo posiadało na wzgórzu Hissarlik jedynie swój akropol ze świątyniami i kilkoma innymi budowlami, podczas gdy położona poniżej osada rozciągała się w kierunku wschodnim, południowym i zachodnim na miejscu późniejszego Ilionu i że miasto całkowicie odpowiada Homerowemu opisowi świętego Ilios... Zakończyłem na zawsze moją pracę w Troi; trwała ona ponad dziesięć lat — czas, który pozostaje w pewnym stosunku do legendy tego miasta. Ile jeszcze dziesiątków lat trwać będzie na ten temat nowy spór, pozostawiam krytykom — to ich dzieło; ja bowiem swoje już zakończyłem...”

Schliemann jeszcze nie całkiem doszedł do siebie po chorobie, a już wyrывał się w świat. Jeszcze raz zapragnął wraz z żoną i dziećmi przeżyć w Ankershagen w Meklemburgii swe młodzińcze lata. Choć istniały zapewne inne odpowiednie mieszkania, jednak on upierał się przy starej plebanii. Mieszkał tam wówczas kuzyn Schliemanna, pastor Hans Becker z rodziną. Nie uradował go zamiar kuzyna, mimo iż ten oferował mu 3 tysiące marek za

„cztery pokoje na plebanii wraz z wyżywieniem dla niego, żony, guwernantki, dwojga dzieci i pielęgniarki”.

Becker pozostawił bez odpowiedzi list osobliwego milionera — być może nie wierzył w prawdziwość tak wspaniałej oferty finansowej. Jednak Henryk przeforsował swą wolę przy pomocy starego przyjaciela Wilhelma Rusta i spędził w Ankershagen całe lato.

Cały czas był podejrzliwie obserwowany przez córkę pastora Augustę Becker, która wiele słyszała o sławnym człowieku. Nigdy jednak nie myślała, że może on być aż tak dziwny. Na przykład dzieciom Schliemanna z trudem przychodziło porozumiewanie się z ojcem, ponieważ mówił on z zasady tylko po starogrecku, podczas gdy Andromacha i Agamemnon opanowali jedynie nowogrecki. Z jednej strony ten milioner, który doszedł do majątku własnymi siłami, wspaniałomyślnie rozdelał datki pieniężne, z drugiej zaś nadzwyczaj drażniła go żebranina.

Schliemannowie żyli skromnie, wieczorem jedli kaszę gryczaną i wstawali — bo tak sobie życzył Henryk — o godzinie czwartej rano. Następnie Schliemann wyjeżdżał konno na trzy godziny i kąpał się w jeziorze Bom. Po śniadaniu oddawał się tłumaczeniom swoich książek *Troja* i *Eios*, robił korekty drukarskie lub ostrym piórem pisał listy. Nie osuszał atramentu, posypując listy, jak to było w zwyczaju, piaskiem, tylko trzymając je przy piecu. Doktor uważał, że posypywanie piaskiem „obraża adresata”.

Na plebanii w Ankershagen Schliemann gościł codziennie towarzyszy podróży i znajomych sprzed pięćdziesięciu laty: Niederhöffera, Rusta, Andressa i Minnę, przyjaciółkę z młodości. Po południu odwiedzało go także rodzeństwo i dalsi krewni. Ciekawi byli przede wszystkim żony Henryka, ciemnookiej Zofii, której zdjęcia w złotej biżuterii pochodzącej ze skarbu Priama krążyły po całym świecie. Rozmowy z rodziną prowadzone były wyłącznie w dialekcie dolnoniemieckim.

Wszyscy, którzy spotykali Schliemanna w Ankershagen, podziwiali jego niezmierną aktywność. Ten sześćdziesięcioletek nie odpoczywał ani minuty; jego dzień był zaplanowany aż do najdrobniejszych szczegółów, żył z dokładnością zegarka, a pojęcie odpoczynku było mu obce.

W owym czasie otrzymał w Oksfordzie honorowy doktorat. Wyróżnienie to przyznano mu dzięki interwencji archeologa Archibalda Henry'ego Sayce'a, z którym łączyły go luźne więzy przyjaźni. Sayce pochodził z Oksfordu i przez krótki czas współpracował ze Schliemannem przy pracach wykopaliskowych w Troi.

TIRYNS, DZIEŁO CYKLOPÓW

Na Homerowej mapie świata istniały tylko dwie białe plamy — Tiryns i Kreta. Schliemann zmuszony był z powodów biurokracyjnych i finansowych odłożyć plany badania kreteńskiego Knossos, źródła kultury kreteńsko-mykeńskiej. Zwrócił się przeto ku położonemu na południe od Myken zamkowi i osiedlu z okresu mykeńskiego.

Początki Tirynsu, odległego od Zatoki Argolidzkiej o 2 km i 4 km od Nauplii, sięgały 3 tysiąclecia. Resztki murów potężnego zamku zdradzały wyraźne podobieństwo do cyklopich kamieni z Myken. Homer, Pindar i Pauzaniusz wyrażali się o tych gigantycznych murach w pełnych podziwu słowach. „Mur — pisał Pauzaniusz [II25, 8] — który sam jeden ocalał z całkowitego zniszczenia miasta, jest jakoby dziełem cyklopów. Wykonano go z nie obrobionych kamieni. Każdy głaz jest tak wielki, że nawet zaprzęg mułów nie mógłby ruszyć z miejsca najmniejszego z nich.”*

Zagadkowa — podobnie jak sposób budowy piramid egipskich — pozostaje technika, za pomocą której w owych prahistorycznych czasach na wyżynie tej wzniesiono wysokie na dwadzieścia metrów i szerokie na sześć, siedem metrów mury. Nie dziwi zatem fakt, że lud wzniesienie tego cudownego dzieła przypisywał olbrzymom równym bogom, owym nieokrzesanym cyklopom, którzy wprawdzie charakteryzowali się nadludzką siłą, mieli jednak tylko jedno oko pośrodku czoła.

Dnia 17 marca 1884 Schliemann wraz z Dórfpoldem i sześćdziesięcioma robotnikami z Kophinion, Kutsion, Laluka Aria i Charvati zaczął kopać. Łagodna zima ustąpiła miejsca jeszcze łagodniejszej wiosnie. W Argolidzie kwitły drzewa, łąki pyszniły się bujną zielenią. Pomieszczenie, które wynajął Schliemann, wydawało mu się jednak zbyt brudne, dlatego też zamieszkał z Dórfpoldem w „Grand Hotel des Etrangers” w Nauplii. Właściciel Georgios Moschas zaoferował mu za sześć pokoi wraz z częściowym wyżywieniem korzystną cenę.

Schliemann miał już 62 lata, a był wciąż w zadziwiająco dobrej formie. Wstawał codziennie o 3.45, połykał 4 gramy chininy i udawał się do portu, gdzie czekał na niego żeglarz, aby go wywieźć na pełne morze; pływał tam przez dziesięć minut. Następnie

* Przet. J. Niemirska-Pliszczyńska. Czyt. dalej: „Ongiś między wielkie kamienie powtykano matę. Każdy z nich stanowi znakomite spojenie wielkich głazów.”

w kawiarni „Agamemnon” wypijał filiżankę czarnej kawy i jechał konno cztery kilometry do Tirynsu, aby o godzinie ósmej, siedząc na szczątku kolumny spożyć wraz z Dórfeldem śniadanie: chleb, ser owczy, pomarańcze i retsinę.

„Naszym pierwszym głównym zadaniem — pisał Schliemann — było wydobycie aż do... dna gruzu, jaki pokrywał całą powierzchnię akropolu i był przykryty półmetrową warstwą pokruszonych cegieł z zawalonego muru oraz humusu. Okazało się, że odkryte przeze mnie w 1876 roku mury zbudowane z ogromnych kamieni bez zaprawy były jedynie podmurówką albo też fundamentem olbrzymiego pałacu”.

Ponadto program prac Henryka Schliemanna w tym sezonie przewidywał odkopanie środkowej terasy, gdzie Dórfeld miał nadzieję odnaleźć budynki gospodarcze akropolu. Tu zwały gruzu sięgały sześciu metrów. Poszukując resztek budowli w dolnym zamku, trzeba było robić wykopy w poprzek i wzdłuż. Schliemann pragnął też odkryć rampę prowadzącą do wschodniej części pałacu. Ta czynność okazała się przedsięwzięciem wymagającym największego nakładu pracy, gdyż należało rozsądzić i usunąć olbrzymie bryły kamienne, które wypadły z murów.

Schliemann i Dórfeld stanowili idealny zespół. Schliemann cenił solidny stosunek do pracy oraz fachowość swego młodego asystenta, Dórfeld zaś podziwiał doświadczenie Schliemanna, a przede wszystkim jego nieokiełznaną, wybujałą fantazję, która nie pominęła żadnej okazji poznania związku między światem Homera a aktualnymi odkryciami. Młodego Dórfelda fascynowała umiejętność Schliemanna, który potrafił nakazać kamieniom, aby przemówiły.

Zaledwie wśród zwałów gruzu zarysowały się mury pałacu w Tirynsie, zaledwie ukazał się główny zarys wspaniałego dziedzińca pałacowego z ołtarzem ofiarnym, a już Schliemann wskoczył na największy cyklopi blok kamienny, rozpostarł ramiona, jakby chciał ulecieć w górę, i z patosem wyrecytował wersy z czwartej pieśni *Odysei* Homera:

Oni z podziwem patrzą na teren bogaty,
Bowiem jako blask słońca, księżycy miganie
Oczom ich się wydało Atrydy mieszkanie [...]

A najadłszy, napiwszy, gdy już chęć odpadła,
Do swego towarzysza nachylony głową,
Telemach mu na ucho mówił takie słowo:

„Patrzaj no, Nestorydo, patrzaj, serce moje,
Jakim blaskiem spiszowym sieją te pokoje!
Co tu złota, bursztynu, srebra, słoniej kości!
Nie wiem, czy jest świetniejszy dwór olimpskiej mości.
Nieprzebrane bogactwa! Aż mi ćmią się oczy”.

PAŁAC, JAK GO OPISYWAŁ HOMER

Założenie pałacu odpowiadało dokładnie temu, co podawał Homer w ogólnym opisie królewskich pałaców: megaron, sala mężczyzn, za nią mniejsze pomieszczenie dla kobiet, jeszcze dalej łazienka wyposażona w luksusową wannę. „Niech żyje Pallas Atena! — triumfował Schliemann w liście do Rudolfa Virchowa — pod której patronatem odkryłem tu przedhistoryczny pałac obejmujący cały górny gród warowny...”

Odpowiedź Virchowa brzmiała nie mniej euforycznie: „Po trzykroć «Niech żyje!»”.

Dörpfeld natomiast pisał o tym wydarzeniu do swego teścia, profesora Friedricha Adlera, z powściągliwością: „Siedzę na starych murach Tirynsu... gdzie pilnie pracuję. Liczne mury, trzony i bazy kolumn są jeszcze in situ... Zdziwiłaby Cię regularność rzutu poziomego, a następnie zdziwiłbyś się jeszcze bardziej. Dolne partie ścian wzniesiono z odłamków kamieni zmieszanych z gliną, a górne ich części z nie wypalanych cegieł. Komnaty wypełnione są całkowicie po części wypalonymi, po części nie wypalonymi lub nadpalonymi wskutek pożaru glinianymi cegłami. Parastady i narożniki składają się z dużych regularnych bloków; z kolumn pozostały jedynie duże starannie obrobione bazy [...]. Zachowane jeszcze in situ trzony kolumn z jednolitego kamienia [...] wycięte są przeważnie za pomocą łukowatej piły nieco ukośnie (podobnie jak wiele kamiennych bloków w Mykenach). Wszystkie ściany pokryte są tynkiem wapiennym o grubości 1-2 cm, który zachował się jeszcze w niektórych miejscach. Setki odłamków tego tynku znaleźliśmy na ziemi (odpadły od ścian); są one pięknie pomalowane na czerwono, niebiesko, żółto, biało i czarno. Widać na nich jeszcze starą ornamentację (np. niemal dokładną kopię wzorów sklepień z Orchomenos ze spiralami i rozetami) [...]. Najważniejszy jest jednak fryz, bardzo podobny do porfirowego fryzu odnalezionego w Mykenach. To wielkie szczęście, że zachowały się prawie wszystkie mury wysokości prawie pół metra i że we

wszystkich narożnikach stoją jeszcze wielkie prostokątne bloki [...]. Teraz można już z dużą pewnością wykonać najważniejszy rzut poziomy".

Wykopaliska z Tirynsu dają nam po raz pierwszy wyobrażenie o tym, jak wyglądał pałac herosów. Dotychczas pałace Menelaosa, Odyseusza i innych bohaterów istniały jedynie w sławnych opisach Homera. Pod tym względem mury trojańskie przyniosły wielkie rozczarowanie. „Jakże jasno — pisał Dörpfeld w swej relacji z prac wykopaliskowych, która ukazała się w roku 1886 — jawi się nam teraz na podstawie odkryć z Tirynsu obraz prastarego domu królewskiego. Widzimy potężne mury z wieżami i bramami, możemy wejść do wnętrza pałacu przez ozdobione kolumnami propyleje, widzimy otoczony kolumnadą dziedziniec dla mężczyzn z wielkim ołtarzem, dalej okazały megaron z przedsionkiem, możemy zwiedzić nawet łaźnię, wreszcie oglądamy pomieszczenie, w którym mieszkały kobiety, z oddzielnym dziedzińcem i licznymi komnatami. Jest to obraz, jaki stawał przed oczami każdego czytelnikowi Homera, na przykład w opisie powrotu Odyseusza i zabójstwa załotników".

W powyższym opisie daje się zauważyć u tego raczej trzeźwego badacza architektury wyraźny wpływ mistrza Schliemanna, który po dwóch miesiącach wycofał się z prac i przekazał kierownictwo Dörpfeldowi. Była to całkiem nieoczekiwana decyzja, mająca wiele przyczyn.

Schliemann przez całe życie uprawiał gospodarkę rabunkową wobec własnego organizmu, a teraz czuł, że wymagał od niego za wiele. „Jestem wyczerpany — pisał w liście — i odczuwam przemożną chęć wycofania się z prac wykopaliskowych". Ponadto Schliemann stracił nadzieję na dokonanie w Tirynsie jakichś szczególnych odkryć. Wszystkie znalezione gliniane naczynia, puchary i dzbany zostały przez Dörpfelda zaklasyfikowane jako pochodzące *sprzed* wojny trojańskiej. Dlatego między innymi znikło zainteresowanie Schliemanna dla tych przedmiotów.

Odkrycie zbudowanego pod koniec XIII wieku przed n.e. pałacu było dla nauki dostatecznie emocjonujące. Bądź co bądź Dörpfeldowi udało się udowodnić, że ta gigantyczna budowla uległa w ogromnym stopniu zniszczeniu około roku 1200 przed n.e. wskutek trzęsienia ziemi i pożaru. Katastrofa ta pozostawiła również ślady w Mykenach. Wyznacza ona koniec ważnej epoki.

PAŃSTWO KRÓLA MINOSA

Próba Schliemanna całkowitego wycofania się z prac wykopaliskowych nie powiodła się jednak. Nie mógł się pogodzić z tym, że inni mieliby pracować za niego. Chciał, a nawet musiał dalej kopać. „Bogowie — pisał do swego starego przyjaciela Wilhelma Rusta — są mi świadkami, że spędzanie lata z całą rodziną w Neustrelitz było dla mnie nie kończącą się przyjemnością; ale dni moje są policzone i chciałbym jeszcze podjąć wykopaliska na Krecie, zanim nadejdzie kres”.

Nawet najsurowsi krytycy Schliemanna, których było zawsze dostatecznie wielu, musieli przyznać, że we wszystkich jakże rozproszonych pracach wykopaliskowych tego upartego ekscentryka istniała pewna systematyczność. Jego teorie dotyczące Troi można było śledzić w Mykenach, Mykeny zaś przez dłuższy czas odzywały się w Tirynsie, brakowało jeszcze dowodu, że Homerowy świat mitów miał swe źródło na Krecie.

Wraz z Dörpfeldem udał się Schliemann w maju 1886 roku na Krete, aby zbadać teren wokół Knossos, gdzie było państwo króla Minosa, wykupić ten teren i uzyskać pozwolenie na wykopaliska. Kreta należała jeszcze wówczas do Turcji. Turecki gubernator wyspy, Sartinsky pasza, nie opierał się początkowo planom Amerykanina. Nieco turystów na tej pustej wyspie nie mogło zaszkodzić. Jednakże, stwierdził, Schliemann musiałby to uzgodnić z właścicielem gruntu na wzgórzu, na którym widać było jeszcze resztki murów.

Na wzgórzu — tak przynajmniej twierdził właściciel — rosło 2500 drzew oliwkowych. Z tego też powodu odszkodowanie w wysokości 100 tysięcy franków w zlocie wydało mu się właściwe; równało się to jednak przeszło dziesięciokrotnej wartości terenu. Wobec tego Schliemann zrezygnował. Ponieważ jednak bardzo mu zależało na Knossos, poprosił o pośrednictwo dyrektora muzeum w Heraklionie, lekarza doktora Josepha Chatzidakisa. Ten znał swych rodaków i powolność, z jaką podejmowali decyzje, odesłał więc Schliemanna do domu.

Stan zdrowia Schliemanna nie był najlepszy; cierpiał na dolegliwości płucne, a ponadto odczuwał ponownie ból ucha; dlatego obawiał się chłodnej zimy w Atenach.

„Powinniśmy spędzić zimę w Egipcie” — powiedział swojej żonie. — „W Luksorze i Asuanie panuje wieczna wiosna. Zimą zbiera się tam wytworne towarzystwo z całej Europy”.

„A dzieci?”

„Zabierzemy je ze sobą wraz z boną”.

Zofia miała zastrzeżenia, ale zgodziła się i Henryk był uszczęśliwiony.

Jednak na dzień przed wyjazdem Zofia zaskoczyła męża oświadczeniem — „Nie mogę ci towarzyszyć, musisz jechać sam”.

„Ale dlaczego, Zofio?” — zapytał Henryk rozczarowany. — „Klimat w Egipcie dobrze ci zrobi, wierz mi”.

Zofia była jednak nieugięta. — „Nie mogę, nie chcę, boję się sztormów w czasie morskiej podróży. Poza tym to niedobrze, jeśli dzieci pozostaną tak długo poza domem; lepiej będzie, gdy pojedziesz sam”.

Schliemann przywykł już do cech swojej żony. Od czasu ostatniej ciąży przed ośmiu laty często niedomagała. Virchow, którego Henryk poprosił listownie o poradę, stwierdził, że najwidoczniej chodzi tu o chroniczną dolegliwość. Na brak menstruacji zalecił gorące kąpiele z dodatkiem gorczycy oraz preparat żelaza w kroplach, a na bóle żołądka zimne okłady i zażywanie rozcieńczonego kwasu siarkowego („jeśli to możliwe kwasu Hallera z apteki, 1 łyżeczka na szklankę wody”), a ponadto wzmacniająca dieta zwierzęca, dużo żółtek, trochę wina i piwa oraz nacieranie całego ciała zimną wodą.

ŚLADAMI FARAONÓW

Tak więc Schliemann udał się sam w podróż do Egiptu. Wynajął komfortowy jacht z trzynastoosobową załogą. Do wycieczek w głąb łądu wioził na pokładzie pięć osłów.

Wypoczęty dotarł 10 stycznia 1887 do Asuanu, przebył statkiem pierwszą kataraktę Nilu i pod koniec stycznia przybył do Abu Simbel. Z odległej Nubii donosił swemu przyjacielowi Wilhelmowi Rustowi:

„Mimo iż już dwadzieścia osiem lat temu odbyłem podobną podróż Nilem, wszystko w Egipcie wydaje mi się nowe, gdyż ciężka praca, jaką przez ten czas wykonywałem, zatarła w mojej pamięci niemal wszystko. Przede wszystkim muszę Ci wyznać, że jest to najwspanialsza podróż, jaką człowiek w ogóle może w życiu odbyć; cudowne, bezchmurne niebo, przyjemne wiosenne powietrze, złoty spokój, piękne krajobrazy zmieniające się jak w kalejdoskopie, olbrzymie świątynie z najdawniejszej starożytności — wszystko to działa zbawiennie na umysł i ciało”.

Podczas trzymiesięcznej podróży po Egipcie Schliemann zakupił mnóstwo staroegipskich zabytków, pochodzących z miejscowych wykopalisk, wśród nich 300 waz, które wysłał z Kairu do Muzeum Schliemanna w Berlinie. Na wiele tygodni Schliemann przycumował swój jacht w Luksorze, w „stubramnych Tebach” Homera. Przy sprzyjającej temperaturze 20 stopni zwiedził świątynie po obu brzegach Nilu, a przede wszystkim niektóre ze znanych wówczas grobów faraonów.

W Kairze jego oburzenie wywołał stan mumii królewskich, które kilka lat temu przywieziono z Doliny Królów do Bulak-Muzeum*. „W imię nauki — pisał Schliemann 13 lutego do Berlińskiego Towarzystwa Antropologicznego — proszę, aby głośno zabrzmiał wasz głos wzywający do uczynienia czegoś dla zachowania spoczywających w Bulak-Muzeum odwiniętych mumii wielu potężnych królów, spośród których tacy jak Thotmes III i Ramzes II podbili obszary poza 36 stopniem szerokości geograficznej, co równa się odległości od Sztokholmu do pierwszej katarakty Nilu w Asuanie. To wielka szkoda, że owe królewskie mumie w ogóle rozwinęto, a ponieważ już dokonano tej zbrodni, trzeba teraz zastosować jakieś lekarstwa, gdyż w przeciwnym razie za kilka lat całkiem się odkształcą; myślę, że należałoby je umieścić w szklanych trumnach hermetycznie zamkniętych”.

Gdyby Henryk Schliemann był młodszy, niewątpliwie rozpocząłby nowe życie jako egiptolog. Państwo faraonów, ówczesna wysoka kultura, w czasach, zanim jeszcze pojawili się na świecie herosi z Homerowego świata legend — wszystko to mocno go fascynowało; miał jednak już 65 lat i czuł, że opuszczają go siły.

Jednakże snuł nadal wielkie marzenia, przypominające poszukiwania Homerowej Troi; chciał bowiem znaleźć zaginiony w Aleksandrii grób Aleksandra Wielkiego.

Dörpfeld piastował tymczasem stanowisko pierwszego sekretarza Niemieckiego Instytutu Archeologicznego w Atenach, nie mógł zatem uczestniczyć w pracach wykopaliskowych w Egipcie. Dlatego też Schliemann zwrócił się do swego starego przyjaciela Virchowa, z którym zerwał przed dwoma laty kontakty. Powód był bardzo błahy: niewłaściwe posadzenie Henryka i Zofii przy stole podczas obrad Kongresu Towarzystwa Antropologicznego. Schliemann zaprosił zatem Virchowa do podróży badawczej po Egipcie i do udziału w pracach wykopaliskowych w Aleksandrii,

* Bulak — dzielnica Kairu (przyp. red.).

mimo iż uprzednio poprzysiągł sobie koniec tej przyjaźni „raz na zawsze”.

Virchow, dla którego ta chęć pojednania nie była w pełni zrozumiała, przyjął zaproszenie; mógł jednak udać się w podróż dopiero cztery tygodnie później aniżeli Schliemann. Odkrywca rozpoczął więc sam w styczniu 1888 roku poszukiwania grobu Aleksandra w centrum miasta przy dworcu kolejowym Ramleh — za zgodą najwyższych władz. Kiedy jednak natrafił na fundamenty kościoła chrześcijańskiego, doszło do konfliktu. Rząd egipski nakazał wstrzymanie prac, a w zamian za to przyznał Schliemannowi do dyspozycji teren na obrzeżach miasta, pod którym miał się znajdować pałac królów z dynastii Ptolemeuszów.

Schliemann przeorywał piasek pustylny na głębokości 12 metrów. Jego zdobycz ograniczyła się do jednego znacznego obiektu. Kiedy Virchow przybył 22 lutego do Aleksandrii, Schliemann oświadczył przyjacielowi, że po odkryciu sensacyjnego obiektu przerwał dalsze prace. Chodziło tu o marmurowe popiersie Kleopatry, siódmej o tym imieniu, która ongiś zawróciła w głowie Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi i Markowi Antoniuszowi.

I znów nie było naocznego świadka tego odkrycia, i znów Schliemann wstrzymał pracę, co dało powód do spekulacji, czy wówczas w styczniu wszystko odbyło się prawidłowo. Obojętne jak było — czy Schliemann własnoręcznie wykopał popiersie Kleopatry, czy też odkupił ów cenny zabytek od jakiegoś fellacha — znalezisko to należy do najważniejszych z owej epoki.

Schliemann podróżował z Virchowem po Egipcie pięćdziesiąt dwa dni. Przemierzał te same szlaki co w poprzednich latach, a równocześnie traktował wędrowkę jako podróż poznawczą i wypoczynkową. O swym przyjacielu Schliemann powiedział, że w ciągu tych 52 dni odmłodził o 20 lat, choć ich jacht był po drodze ostrzelany przez bandytów. On sam czuł się jednak niezbyt dobrze. W chorobie płuc, której nabawił się na wietrznym Hissarliku i w Mykenach, nie przyniósł poprawy nawet suchy klimat Egiptu.

Na początku maja obaj przyjaciele powrócili do Aten. W bagażu odkrywcy znajdowało się białe popiersie Kleopatry. Schliemann wyznał, iż zakochał się w rzeźbie legendarnej królowej.

„Chciałbym do końca życia zatrzymać Kleopatę w moim gabinecie” — oświadczył.

Nie wiedział, że ów koniec był bliższy, niż przypuszczał.

XIV ŚMIERĆ W

NEAPOLU

Wykonawcom mojego testamentu polecam, aby mój grobowiec ozdobiono motywami z Orchomenos i Pompejów, ale przedtem należy podpisać z malarzem umowę.

Z testamentu Henryka Schliemanna

„Pseustai hoi Kretes, eis aei pseustai!” (Kreteńczycy są i pozostaną kłamcami!) — Schliemann z wściekłością rzucił na stół list od doktora Chatzidakisa.

Lekarz z Krety napisał, że wytargował u właścicieli gruntów w Knossos cenę 75 tysięcy franków, płatnych w ratach wysokości od 5 tysięcy do 8 tysięcy franków, i prosi o pełnomocnictwo do dalszych pertraktacji. Schliemann może sobie darować daleką podróż na Kretę. Cena ziemi z tego powodu się nie podniesie.

Wymagania Kreteńczyka były dla Henryka Schliemanna wystarczająco przejrzyste. Poczul się pokrzywdzony, a poza tym było to sprzeczne z jego kupieckim honorem. Schliemann nosił się z zamiarem nabycia całej ziemi, pod którą spodziewał się znaleźć pałac królów Knossos, mimo wygórowanej ceny. Kiedy jednak się dowiedział, że spadkobiercy już dwie trzecie gruntu sprzedali i że Chatzidakis zażądał wszystkich znalezisk dla muzeum w Heraklionie, wówczas zrezygnował. Uczynił to z ciężkim sercem. Jeszcze na pięć dni przed swą 67 rocznicą urodzin wyznał przyjacielowi Wilhelmowi Rustowi: „Chciałbym pracę mego życia uwieńczyć wielkim dziełem, mianowicie odkopaniem prastarego, prahistorycznego pałacu królów Knossos na Krecie, który, jak mi się wydaje, odkryłem przed trzema laty”.

Rozwianie się planów związanych z Kretą nie było aż tak niekorzystne. Albowiem projekt odkopania pałacu w Knossos w owym czasie, w związku z koniecznością uciszenia krytyki jego trojańskich wykopalisk, został i tak zepchnięty na dalszy plan. Albowiem Ernst Bötticher, emerytowany kapitan artylerii i zagorzały wróg Schliemanna, zaatakował własną bronią archeologa, który dzięki

swoim sprawozdaniom z wykopalisk stał się sławny w całym świecie. Nawet tak poważne pisma jak „Köllnische Zeitung”, „Deutsche Philologenblatt” i „Correspondenzblatt der Deutschen Anthropologischen Gesellschaft” uznały pełne nienawiści tyrady Böttichera za godne drukowania. Kapitan nieustannie grzmiał od swego biurka, że Troja jest właściwie miejscem pochówku i w żadnym razie nie ma nic wspólnego z *Iliadą* ani z Homerem. Ta opinia wydawała się dla wielu wystarczająca, aby starego przekorę zapraszać na kongresy naukowe i dyskutować z nim na temat jego mętnych tez.

Wskutek niedorzecznej krytyki Böttichera Schliemann czuł się zawiedziony w swoim dziele życia. Już dawno zauważył, że popełnił rozmaite pomyłki, że skarb Priama nie był skarbem Priama i że domniemane mury pałaców Homerowych należy przypisać innej epoce. Ale żeby podważać całą jego teorię dotyczącą Troi, historyczną egzystencję bohaterów Homerowych i wojnę trojańską — tego ów sześćdziesięciosiedmioletni mężczyzna nie mógł znieść i tylko marzył o zemście.

Latem 1889 Schliemann wyjechał do Paryża. Cały świat znalazł się w tym roku w stolicy Francji, albowiem Paryż był miejscem Wystawy Światowej; prócz tego świętowano setną rocznicę zdobycia Bastylji. Główną atrakcją wystawy była wieża wzniesiona specjalnie na tę okazję, która stanowiła symbol tego, co jeden człowiek potrafi urzeczywistnić, jeśli puści wodze fantazji.

Gustave Eiffel wznosił tę spektakularną konstrukcję kosztem 7,8 miliona franków. Państwo zainwestowało w nią tylko 1,5 miliona franków. Już w pierwszym roku ten cud techniki przyniósł zysk, który wpłynął do kieszeni firmy Eiffel i Co., posiadającej prawo do użytkowania obiektu przez okres dwudziestu lat. Jeszcze przed otwarciem wieży Henryk Schliemann wchodził na drugą kondygnację, która — jak stwierdził z podziwem — „była czterokrotnie wyższa niż wieża kościoła w Ankershagen”.

Z VIRCHOWEM W PARYŻU

Spotkanie z Virchowem w Paryżu nie usatysfakcjonowało Schliemanna, ponieważ profesor z Berlina radził wyrozumiałość wobec Böttichera. Nazwał go szalonym człowiekiem i fantastą, na którego szkoda słów.

Virchow i Schliemann byli honorowymi gośćmi Międzynarodowego Kongresu Antropologiczno-Archeologicznego, który odbywał

się w Paryżu w czasie Wystawy Światowej. Pewnego ranka Schliemann, bardzo wzburzony, zjawił się przed budynkiem, w którym toczyły się obrady. Wymachiwał niewielką książką i podsunął ją Virchowowi pod nos.

„Co to jest, drogi przyjacielu?” — zapytał Virchow zdumiony.

„O tu, niech pan przeczyta! Niech pan przeczyta!” — Twarz Schliemanna była czerwona ze zdenerwowania.

Tytuł książki brzmiał: *Le Troie de Schliemann, une necropole a incineration*. Autor Ernst Bötticher.

Virchow potrząsnął głową — „Ten człowiek jest bardziej niebezpieczny, niż sądziłem. Poza tym co za bezczelność publikować podczas Kongresu w Paryżu książkę w języku francuskim. Nie można było wybrać lepszej pory”.

„Troja Schliemanna cmentarzem całopalnym!” — pienął się Schliemann, krzycząc donośnym głosem. — „Cała Troja to cmentarzysko! Może ów pan mi wyjaśni, gdzie żyli Trojańczycy, skoro Hissarlik był cmentarzem!”

„Obaj wiemy, że to brednia” — Virchow próbował uspokoić przyjaciela. — „To tylko niepoprawny maniak”.

„Maniak? — on niszczy dzieło mojego życia. Nie pozwolę na to!”

„A co pan chce zrobić, drogi przyjacielu? Przecież nie zamknie mu pan ust!”

Schliemann uniósł w górę ramiona. Był bezradny. Cała sprawa przytłaczała archeologa tak bardzo, że nie mógł spać. Następnie, 13 września, przyszła mu do głowy zbawienna myśl. Napisał list do przyjaciela Virchowa: „Wzniosłem trzykrotny okrzyk ku czci Pallas Ateny, kiedy obudzwszy się dziś o wpół do czwartej rano doznałem nagiego olśnienia i wpadł mi do głowy genialny pomysł, jak zmusić tego typu do milczenia. Pomysł ów polega na tym, aby natychmiast rozpocząć przygotowania do kontynuowania prac w Troi, zgromadzić pojazdy do transportu wydobytego gruzu, postawić drewniane domy tak jak poprzednio, otoczyć się sztabem złożonym z przyrodników, architektów i archeologów, a Böttichera zaprosić do udziału w charakterze współpracownika”.

Wysokie koszty tego przedsięwzięcia nie przerażały Schliemanna. Niepokoiło go natomiast jego własne zdrowie. Całkiem ogłuchł na lewe ucho, prawe go bolało, cierpiał na pojawiające się nieregularnie zaburzenia pracy mózgu. Wycieńczone ciało małego człowieka domagało się trybutu.

Schliemann nigdy nie przywiązywał zbytnej wagi do własnego zdrowia, wprost przeciwnie, eksploatował swój organizm do ostatka sił i ignorował symptomy choroby. W 49 roku życia stwierdził u siebie „drżenie rąk”. Przyczyną był tasiemiec. Pasożyt dręczył Schliemanna dwanaście lat. Kiedy się go pozbył dzięki zastosowaniu silnych leków, drżenie rąk ustało.

W wieku 61 lat stały się u niego widoczne oznaki wyniszczenia. Po szóstej kampanii wykopaliskowej w Troi, powiadomił swojego wydawcę Brockhousa, że jest „straszliwie przepracowany” i musi „wypocząć z dala od wszelkich prac, bo inaczej maszyna odmówi posłuszeństwa”. Ponure przeczucia miał Schliemann już w wieku 53 lat, przed rozpoczęciem prac w Mykenach. „Moje lata są policzone”, napisał w roku 1875; ale potem odkrył złotą maskę Agamemnona i jego nadwreżone zdrowie poprawiło się na krótki czas.

Do głuchoty dołączyły się teraz dokuczliwe bóle. Dolegliwości uszu objawiły się już podczas pierwszej podróży Schliemanna do Ameryki. W roku 1864, podczas swej pierwszej wielkiej podróży dookoła świata, poddał się on na Jawie operacji ucha. Wówczas w klinice w Batawii wycięto mu narośl. Teraz znów dręczyły go takie same cierpienia, ale Schliemann nie miał czasu na operację. Cierpień okrutnie; Troja była jednak dla niego ważniejsza.

„W WIEKU 67 LAT NIE JEST SIĘ JUŻ MŁODZIEŃCEM”

Chłodna, dżdżysta pogoda, która w listopadzie zwykle nawiadzała Troadę, była zabójcza dla Henryka Schliemanna. Ale ani prośby Zofii, ani słowa napomnienia ze strony Dorpfelda, Virchowa i Humanna, którzy obiecali swe przybycie na Konferencję Trojańską — tak brzmiała oficjalna nazwa przedsięwzięcia — nie zdołały odwieść Henryka od jego planu.

Carl Humann, odkrywca Ołtarza Pergamońskiego, mieszkał w pobliskiej Smyrnie. Wiedział, jakie uciążliwości wiążą się z kampanią wykopaliskową prowadzoną późną jesienią, i wyrażał poważne zastrzeżenia:

„W wieku 67 lat nie jest się już młodzieńcem; to zdumiewające, jak bogowie Pana kochają, dając mu, jak się zdaje, wieczną młodość. Ale nie może Pan działać wbrew bogom i irytować się

z powodu Böttichera. Ten człowiek jest najwidoczniej opętany swoimi ideami i zawzięty, i nie przyjmie do wiadomości pouczeń ani Pana, ani nikogo innego. Obecnie jednak wielką jego zasługą jest, że właśnie dzięki niemu pragnie Pan kontynuować badania w Troi. Za to można mu wiele wybaczyć!..."

Humann dał do dyspozycji swemu koledze Schliemannowi najlepszego nadzorcę, Jannisa Laloudisa. „Jest to nadzwyczaj przyzwoity człowiek, cieszy się dużym autorytetem wśród robotników, umie nimi zarządzać, potrafi ocenić wartość każdego z nich i odpowiednio ich wynagrodzić, sumiennie prowadzi spisy, sporządza przejrzyste rachunki, wszystkiego sam dogląda i osobiście ingeruje tam, gdzie trzeba, wykonuje odlewy gipsowe, zna się na stolarce, a z zawodu jest kamieniarzem z Tinos”.

Zamiarem Schliemanna było zwabienie swego największego wroga i krytyka Ernsta Böttichera do Troi, aby mógł on na własne oczy, pod kierunkiem niezależnych fachowców, na miejscu obejrzeć prace archeologiczne. Ale Schliemann nie wziął pod uwagę dwóch rzeczy, o których powinien był wiedzieć: trojańskiej jesieni i uporu emerytowanego kapitana.

Jesień zaczęła się gwałtownymi burzami, lodowatymi wiatrami i oberwaniem się chmury, tak że Henryk podczas przygotowań do nowej kampanii często musiał godzinami brodzić po kolana w wodzie. Oto fragment listu do Zofii z dnia 10 listopada 1889: „... Ponieważ rozbity właśnie namiot nie chronił już przed deszczem, udałem się w pośpiechu do domu. Ale cała droga do Ciblak przypominała głęboką i rwącą rzekę, przez którą [...] z trudem przebrnąłem w ciągu półtorej godziny, choć odcinek nie był wcale długi...”

Mimo to Schliemann czynił wszelkie niezbędne przygotowania do „małej konferencji na Hissarliku”, jak nazywał to przedsięwzięcie. Dla Böttichera złożył w berlińskim banku Robert Warschauer i Sp. 1000 marek jako ryczałt na podróż. Bötticher zażądał jednak 7200 marek. Dopiero kiedy Dörpfeld, który właśnie przebywał w Berlinie, zagroził, że poinformuje o tym bezczelnym żądaniu berlińskie gazety, kapitan w stanie spoczynku zaakceptował zaferowaną kwotę.

SPOTKANIE EKSPERTÓW NA WZGÓRZU HISSARLIK

Obok Böttichera, Schliemanna i Dorpfelda w konferencji uczestniczyli także architekt Georg Niemann z Wiedeńskiej Akademii Nauk oraz archeolog i kartograf major Bernhard Steffen z Berlina.

Podczas spotkania Schliemann zachowywał się świadomie powściągliwie. Przewodnictwo i wszelkie objaśnienia pozostawił swemu współpracownikowi Wilhelmowi Dórffeldowi. Po sześciu dniach intensywnego przekonywania doszło w obecności niezależnych świadków Steffena i Niemanna do rozmowy z Bötticherem, podczas której ten upierał się przy swoich dawnych poglądach, choć Dórffeld wykazał mu wiele pomyłek.

„Jeśli nie jest pan skłonny — rzekł Dórffeld — uwierzyć w to, co pan widzi na własne oczy, to znaczy, że tracimy tu wszyscy czas”.

Na to Bötticher odpowiedział prowokująco — „Owszem, jeśli pan tak uważa...”

„Rzuci! pan na pana Schliemanna i na mnie publiczne oszczerstwo — podją! Dórffeld swoje wywody — twierdząc, że sfalszowaliśmy nasze plany i nawet usunęliśmy resztki murów”.

Bötticher odpowiedział rozdrażniony — „Powiedziałem to jedynie w celu wyjaśnienia naukowych kontrowersji. Nie widzę w tym nic obraźliwego. W każdym razie nie miałem zamiaru obrażać ani pana, ani Schliemanna...”

Wówczas Schliemann wtrącił się do dyskusji — „Panie Bötticher, żądam, aby pan odwołał publicznie swoje kalumnie i poprosił o przebaczenie. Tak samo publicznie, jak publicznie nazwał mnie pan kłamcą!”

Były kapitan odpowiedział krótko — „Nie!”

Schliemann nie spodziewał się innej reakcji. Równie krótko odpowiedział! — „Konie stoją gotowe do pańskiego odjazdu”.

Bötticher odwrócił się i wyszedł bez pożegnania, nie podpisawszy przygotowanego protokołu z sześciodniowej dyskusji.

Schliemann do Virchowa: „To było dla mnie straszne patrzeć, jak ten człowiek traktował przez cały czas doktora Dorpfelda, pierwszego specjalistę na świecie w dziedzinie architektury starożytnej; odnosił się do niego jak do głupiego uczniaka; Dórffeld zaś wszystko znosił, aby tylko dotrzeć do końca”.

Virchow do Schliemanna: „Historia z Böttcherem przeszła moje najśmielsze oczekiwania, jeśli chodzi o charakter tego człowieka. Wydaje mi się, że, mówiąc oględnie, w wielu jego wypowiedziach można zauważyć pewne symptomy zaburzenia umysłowego. Jednakże, ponieważ nigdy z nim nie rozmawiałem, muszę się powstrzymać z oceną. Ale nie skłamię, twierdząc, że ten cynizm jest zbyt wielki, aby mógł być wytworem normalnego rozumu. Mogę tylko poradzić, aby się więcej z nim nie zadawać”.

Bötticher wrócił do Konstantynopola i z miejsca zaczął wicherzyć przeciwko Schliemannowi i Dörpfeldowi. W „Levant Herald” opublikował następane sprawozdanie, w którym — „po przekonaniu się na własne oczy na miejscu” — powtórzył swe zarzuty i oszczerstwa.

Schliemann, niemal całkiem głuchy i poważnie zaatakowany chorobą, widział tylko jedno wyjście, aby zmusić zawziętego psychopatę do milczenia: musiał jego i jego twierdzenia ośmieszyć przed całym światem.

Dlatego wiosną zaprosił czołowych specjalistów w dziedzinie badań archeologicznych do Troady na międzynarodową konferencję poświęconą Troi. Jeśli mu się uda przekonać tuzin uznanych ekspertów do swojej sprawy, nikt nie będzie dawał wiary głupim artykułom w gazetach zdymisjonowanego kapitana artylerii. Dnia 21 stycznia 1890 Schliemann napisał do Brockhausa w Lipsku: „A więc nie powinno zabraknąć głosów ani piór, aby bronić prawdy przed tym półgłówkiem paszkwilantem...”

Schliemann polecił wznieść na Hissarliku wioskę złożoną z drewnianych baraków, przeznaczoną dla oczekiwanych gości — natychmiast nazwaną przez robotników „Schliemannopolis”. Aby przyspieszyć zaplanowane prace wykopaliskowe, Schliemann zbudował jeszcze trzecią połową linię kolejową obok dwóch już istniejących. Zaproszenia na dzień 25 marca, kiedy to miała się rozpocząć jednodniowa konferencja ekspertów, powędrowały do Grecji, Niemiec, Francji, Ameryki i Turcji.

Pominąwszy jedynie krótką przerwę na święta Bożego Narodzenia, Schliemann spędzał zimę przy dokuczliwym zimnie — w jego baraku temperatura wynosiła często zero stopni — na Hissarliku. Wiedział oczywiście, że jest to dla jego zdrowia szczególnie niebezpieczne; ale wiedział także, że ta konferencja być może jest dla niego ostatnią szansą, aby obronić siebie i swoją Troję.

SPÓR O TROJĘ

Na spotkanie ekspertów dnia 25 marca przybyli na Hissarlik: tajny radca profesor doktor Rudolf Virchow z Berlina, tajny radca doktor W. Grempler z Wrocławia, profesor archeologii doktor E von Duhn z Heidelbergu i doktor Carl Humann, dyrektor Muzeów Królewskich w Berlinie; z Konstantynopola przyjechał dyrektor generalny Muzeum Cesarskiego Osman Hamdi-Bej; z Dardaneli konsul Stanów Zjednoczonych Frank Calvert; ze Smithsonian Institut w Waszyngtonie dyrektor American School of Classical Studies w Atenach doktor Charles Waldstein; z Academie des Inscriptions et Belles Lettres w Paryżu inżynier C. Babin, który stał się sławny dzięki wieloletnim pracom wykopaliskowym, prowadzonym w Suzie wspólnie z M. Dieulafoyem. Ernstowi Bötticherowi nie wysłano zaproszenia.

Uczeni mężowie obradowali tydzień. Ocenili — zresztą bardzo krytycznie, choć wszyscy przybyli tu na koszt Henryka Schliemannna — wykopaliska w Troi i podpisali dnia 31 marca 1890 następujące

Oświadczenie

1. Ruiny Hissarliku leżą na wierzchołku wzgórza, wchodzącego w skład ciągnącego się ze wschodu na zachód łańcucha gór, sięgających aż po równinę Skamandra. Miejsce to, z którego widać równinę, a po przeciwnej stronie wjazd do Hellespontu, wydaje się całkiem odpowiednie do wzniesienia na nim warownych murów.

2. Widać tam mury, wieże i bramy, które stanowią części fortyfikacji pochodzących z różnych epok.

3. Mur warowny, o fundamencie z wapienia pochodzący z drugiej warstwy osadniczej opada stromo (zaznaczony na czerwono w *Troi*, plan VII, i *Ilios*, wydanie francuskie, plan VII); na nim wznosi się pionowo mur z surowej cegły. W kilku miejscach muru zachował się nawet tynk. Niedawno odsłonięto trzy wieże należące do owego muru, a na nich jeszcze część nadziemną z nie wypalanych cegieł; takie same znajdują się we wschodniej części wzgórza, w miejscu, gdzie fundament z wapienia ma najmniejszą wysokość i dlatego nie zachodziła potrzeba wzmocnienia muru przez kolumny przyporowe.

4. Przekrój poprzeczny tych murów, przeprowadzony na przedłużeniu wykopu XZ, wskazuje, że nie było tam „korytarzy”, o których istnieniu wszyscy byli przekonani. Co się tyczy murów

ceglanych, to są one jedynym przykładem, który można podać, aby usprawiedliwić przypuszczenie, że w murach tych istniały ko-rytarze. Bardzo blisko bowiem wznoszą się mury budowli A i B. W rzeczywistości jednak należą one do dwóch różnych budowli.

5. Wzgórze Hissarlik nigdy nie tworzyło budowy terasowej, przy której poszczególne terasy zmniejsza się ku górze; wprost przeciwnie: każdy wyżej położony pokład geologiczny zajmuje większą powierzchnię niż leżący bezpośrednio pod nim.

6. Badanie poszczególnych warstw gruzu doprowadziło do następujących spostrzeżeń: w najniższej warstwie widać tylko kilka murów równoległych i nie ma tam niczego, co by mogło wskazywać na palenie zwłok. Druga warstwa, budząca największe zainteresowanie, zawiera ruiny budowli, które pod każdym względem przypominają największe pałace Tirynsu i Myken. Leżące bezpośrednio nad nimi warstwy ukazują pozostałości domostw, które były zbudowane jedne na drugich w różnych epokach; w wielu z nich znaleziono ogromne naczynia (pitosy). W najwyższej warstwie wreszcie widać fundamenty budowli greckich i rzymskich oraz wiele pozostałości architektonicznych z tego czasu.

7. Liczne pitosy, które ujrzeliśmy w trzeciej warstwie, stały pionowo, pojedynczo albo w grupie. Wiele z nich zawierało dużą ilość bardziej lub mniej skamieniałych ziaren pszenicy, grochu albo oliwek, ale w żadnym z nich nie znaleźliśmy ludzkich kości, ani spalonych, ani nie spalonych. Ściany tych naczyń nie wykazują śladów działania ognia.

8. Ogólnie możemy oświadczyć, że w żadnej części ruin nie znaleźliśmy śladów, które wskazywałyby na całkowite spalanie. Ślady ognia, które znajduje się w różnych warstwach „spalonego miasta”, najwięcej jednak w drugiej, pochodzą najczęściej z pożarów. Siła ognia w drugiej warstwie była tak wielka, że surowe cegły częściowo zostały wypalone, a ich zewnętrzną powierzchnię pokryło szkliwo. Wreszcie należy zaświadczyć, że plany zamieszczone w dziele *Troja* całkowicie odpowiadają stanowi faktycznemu, wobec czego całkowicie podzielamy poglądy panów Niemann i Steffena, jakie zawarli oni w protokole z konferencji w dniach 1-6 grudnia 1889 roku.

Babin, Calvert, Duhn, Grempler, Hamdi-Bej
Humann, Virchow, Waldstein

Oświadczenie na temat Hissarliku było dla Schliemanna rozczarowaniem. Nie potwierdzało ono w żadnym razie jego teorii

na temat Troi i stwarzało wiele możliwości interpretacji. Nie podważało ono też poglądu Schliemanna. Zanegowano jedynie tezę Böttichera o cmentarzu całopalnym. A więc odkrywca osiągnął w każdym razie swój główny cel.

Jeszcze tego samego dnia wysłał on sprawozdanie z Hissarliku do londyńskiego „Timesa”, „Kölnische Zeitung”, „National-Zeitung Berlin”, „Yossische Zeitung Berlin”, „Tagliche Rundschau Berlin”, „Freie Presse Wien”, „Allgemeine Zeitung” w Monachium i „Berliner Philologische Wochenschrift”.

NIEZWYKŁA PRZEMIANA SCHLIEMANNA

Wszyscy uczeni wyjechali, oprócz Virchowa. Obaj sześćdziesięcioośmioletni panowie chcieli jeszcze wejść na górę bogów Idę, wysokości 1767 metrów, nie na Idę na Krecie, tylko w leżącym na południe od Troi paśmie górskim w Azji Mniejszej, którego szczyt Gargaros uważany był za miejsce, gdzie Zeus i Hera zawarli związek małżeński i gdzie Parys wydał swój słynny wyrok.

Virchow pierwszy zauważył dziwne zachowanie swego przyjaciela. Przypisywał to początkowo, tak jak wszyscy, którzy znali Schliemanna, jego głuchocie, która postępowała w tak szybkim tempie, że wszystko trzeba mu było powtarzać dwukrotnie i do tego bardzo głośno; Virchow przyzwyczaił się do tego i wcale mu to nie przeszkadzało. Ale teraz Schliemann zaczął mówić od rzeczy. Co drugie zdanie rozpoczynał od Homerowego okrzyku: „Niech żyje Pallas Atena!” Ale nie dość na tym, bredził o spotkaniach z bogami i o cennych skarbach i darach.

Schliemann niemalże pod przymusem pozwolił się zbadać swemu przyjacielowi Rudolfowi Virchowowi, kiedy wrócili z Idy.

„Jestem zdrow! Nic mi nie dolega! — wołał podnieconym głosem. — „Zawsze bolały mnie uszy, niech żyje Pallas Atena!”

Virchow poprawił nerwowo okulary na nosie. — „Drogi przyjacielu”, zaczął ostrożnie. — „Pański lewy przewód słuchowy jest całkowicie zatkany. Podejrzewam narośl. Z prawym uchem także jest niewiele lepiej. Czy pan zrozumiał, co powiedziałem?”

Schliemann skinął głową, ale Virchow miał wątpliwości, czy jego słowa dotarły do przyjaciela.

Virchow podniósł głos — „Radzę poddać się natychmiast operacji! Natychmiast! Taka narośl może zaatakować mózg”.

„Przecież ja jeszcze całkiem dobrze słyszę!” — odparł Schliemann pospiesznie. — „Niech żyje Pallas Atena. Czuję się dobrze. Jeszcze nigdy nie czułem się tak dobrze. Po co operacja? To nawet lepiej, jeśli się nie słyszy wszystkiego, co ludzie mówią”.

„Mówię całkiem poważnie” — przekonywał Virchow — „poinien się pan poddać operacji w Niemczech. Niech pan pomyśli o swojej żonie i dzieciach!”

„Operacja? — Schliemann patrzył przed siebie. — Niech żyje Pallas Atena! Niepotrzebna mi operacja!”

Virchow nie ustępował — „Znam profesora Hermanna Schwartzego w Halle. Uważany jest za najlepszego na świecie specjalistę od chorób uszu...”

„Nie mam czasu. Muszę odkopać Troję. Może później pojedę do Halle!”

Schliemann nie przypuszczał, że swoim uporem otwierał wrota śmierci. Nie wiedział, że nowotwór zaatakował już jego mózg.

Kierownictwo wykopalisk w Troi powierzył tym razem swemu asystentowi Dórffeldowi. Jeszcze raz zainwestował wielką sumę pieniędzy, aby odnaleźć swoją Troję.

Było to dla niego wielkie rozczarowanie, ale przyznał rację Dórffeldowi, kiedy ten szukał Homerowej Troi w szóstej warstwie. Fundamenty w tej warstwie były znacznie mocniejsze niż te, o których Schliemann sądził, że należą do poszukiwanej przez niego Troi; przede wszystkim przypominały one konstrukcję murów Tirynsu i Myken.

Inaczej niż Schliemann, Dórffeld kopał nie z góry na dół, tylko odwrotnie, z dołu do góry. Miało to nieocenioną zaletę: w ten sposób odkrywca ominął[^] warstwy pośrednie i mógł kopać cały czas jedną warstwę.

Wykopaliska wykazały, że Troja zajmowała znacznie większy teren, niż Schliemann sądził. Sam zasięg murów wynosił 540 metrów. Znaleźiska ceramiczne i ślady spalenia dostarczyły dowodu: Troja Homera rzeczywiście istniała. Ale pałac królewski na szczycie wzgórza nie pochodził z czasów Homera. Pałac ten, pergamos Troi, był podczas wielu tysięcy lat swej historii wielokrotnie burzony i w tym samym miejscu z tych samych kamieni znów odbudowywany. Nie znaleziono śladu pałacu Priama. A skarb Priama?

Dórffeld, któremu Schliemann pewnego czerwcowego wieczoru zadał to pytanie, potrząsnął głową zamyślony. Wiedział, że

nie starego Schliemanna nie zrani tak jak powątpiewanie w istnienie skarbu Priama. Dlatego wołał milczeć.

Ale Schliemann właściwie wytłumaczył sobie milczenie swego współpracownika i odparł: „No dobrze, wobec tego jest to skarb pana Schulze”.

„Skarb pana Schulze” — to jedyna żartobliwa uwaga Henryka Schliemanna, która została przekazana potomnym. Przez całe życie Schliemann był śmiertelnie poważnym człowiekiem. Nigdy się nie śmiał, w każdym razie nie zachowało się ani jedno zdjęcie, na którym byłby uśmiechnięty. Można by nawet przypuszczać, że to powiedzenie wcale nie miało charakteru żartobliwego. Albowiem przy końcu roku 1889 Henryk Schliemann stawał się jeszcze bardziej dziwny, niż był zazwyczaj.

Cierpiał na halucynacje, najwidoczniej wskutek przerzutów w głowie, dręczyły go maniackalne myśli o śmierci i dało się także zauważyć oznaki schizofrenii. Późno zrozumiał, że przez całe życie prześladowała go idee fixe, co spowodowało, iż brał poważnie rzeczy, które w ogóle nie istniały. Pozostając sam ze sobą i swoimi myślami, przeorywał wzgórze trojańskie, spotykał bogów i herośów, znalazł też następne skarby, którym przypisywał nadmierną wartość: cztery ozdobne topory pochodzenia trojańskiego.

Jego listy zdradzały cierpienie, jakie towarzyszyły mu w ostatnim roku życia. Rezygnacja i nadmierna potrzeba działania, jasne stany świadomości i majaki, skrytość i potrzeba wylewności występowały na przemian.

Do Rudolfa Virchowa pisał: „Kiedy dnia 8 tego miesiąca (lipiec 1890) [...] znalazłem skarb niewymiernej wartości, który znacznie przekracza wartość skarbów mykeńskich, głęboko wzruszony padłem na twarz i z pokorą ucałowałem pięty bogini, żarliwie błagając ją o łaskę i dziękując z całego serca za okazywaną mi dotychczas”.

Pisząc o skarbie niewymiernej wartości miał Schliemann na myśli topory. Do dyrektora muzeum w Berlinie Alexandra Conzego napisał odkrywca podobne słowa: „Ogarnęło mnie niezwykle wzruszenie, kiedy w końcu czerwca ujrzałem stojącą przede mną boginię Pallas, która trzymała w rękach skarb... Odruchowo padłem przed nią na ziemię. Płakałem z radości, głaskałem i całowałem jej stopy...”

Do pruskiego ministra kultury i dyrektora generalnego Królewskich Muzeów Pruskich w Berlinie wysłał Schliemann „tajny raport” o odnalezieniu toporów, a swemu przyjacielowi Virchowowi

zwierzył się, że nawet jego żona nie wie nic o tym nowym odkryciu.

Niezwykłe szczery okazał się wszakże Schliemann wobec króla Grecji Jerzego I. Napisał mu, że kontynuując prace w Troi, odkrył wykaz imion z okresu macedońskiego.

„Napis zawiera zdumiewająco wiele nieznanych, po raz pierwszy tu występujących imion; na przykład imiona męskie: Auilopolis, Eikadias, Noumenios, Pythomarchos, Euthes, Protophles, Attinos; imiona żeńskie: Skamandrodiike, Lamprys, Nikogeris, Mykinna, Asinna... Jak by to było cudownie, gdyby można znów wprowadzić te imiona. Każda dama bowiem byłaby niewątpliwie dumna, że nosi trojańskie imię i na przykład nazywa się Skamandrodiike”.

Do kanclerza Rzeszy księcia Otto von Bismarcka Schliemann napisał: „Ośmielał się zameldować Waszej Wysokości, że zmuszony zostałem wściekłymi atakami mojego wieloletniego paszkwilanta, kapitana w stanie spoczynku Böttichera, do ponownego podjęcia 1 listopada ubiegłego roku prac wykopaliskowych, i tylko z krótką przerwą zimową kontynuowałem je aż do tej pory [...]. Niestety 1 sierpnia musiałem zaprzestać prac; ale jeśli jeszcze będę żył, rozpocznę je znów 1 marca 1891 roku z całym zapalem”.

ZAPLANOWANY KONIEC

Ale tak się nie stało. Schliemann, który zaplanował swoją własną biografię i zgodnie z tą biografią żył, który od młodości grał główną rolę w wymyślonej przez siebie bajce, czuł, że ta rola go przerosła. W jego obolałych uszach grzmiały głosy bogów i herosów. Schliemann był z nimi sam. Już ledwie docierały do niego odgłosy świata zewnętrznego. Euforia, która go ogarniała podczas wycieczek do krainy Homera, teraz ustępowała miejsca depresji. Schliemann myślał o końcu.

Jak należało oczekiwać, również na wypadek swego odejścia Schliemann przygotował wszystko precyzyjnie i szczegółowo. Jego obszerny testament spoczywał, wielokrotnie aktualizowany, u notariusza. Na centralnym cmentarzu ateńskim Schliemann zakupił sobie miejsce z widokiem na Akropol. Czołowy architekt Ernst Zieller, budowniczy „Iliou Melathron”, pracował od pięciu lat nad planami mauzoleum Schliemanna, które miało kosztować 70 tysięcy franków. U swoich wydawców Brockhausów w Lipsku i w Muzeach Królewskich w Berlinie uregulował sprawy ochrony

praw po swojej śmierci. Syn Agamemnon miał strzec dzieła jego życia.

Sława, to Henryk Schliemann wiedział z całą pewnością, uczyni go nieśmiertelnym. Tu życie i śmierć odgrywały jedynie drugorzędną rolę. Ten mały wielki człowiek z pewnością bardziej obawiał się uszczerbku w swojej sławie niż śmierci.

Podczas badań w niemieckim szpitalu w Konstantynopolu doktor von Mellingen stwierdził naroślą w obu uszach. W lewym uchu sięgały one już tak głęboko, że nic nie można było zrobić. Prawe ucho należało natychmiast operować.

Schliemann zareagował obojętnie. Na początku września zapyta! Virchowa, „czy i w jakim stopniu jest to groźne dla życia, aby mógł wszystko uporządkować na wypadek, gdyby nie przetrzymał operacji”.

Virchow nalegał na pośpiech. Jednak minęły jeszcze blisko dwa miesiące, zanim Schliemann zdecydował się na podróż do Halle. Operacja odbyła się 13 listopada 1890 i trwała 105 minut. Pacjent został uspijony chloroformem. Profesor Schwartze zdecydował się na operowanie obu uszu. Narośl w prawym uchu usunął przez kanał słuchowy. W lewym uchu narośl była za wielka i za bardzo zaawansowana. Dlatego Schwartze odjął lewe ucho, wydłubał narośl i na powrót przyszył ucho.

Nękania wielkimi bólami, informował Schliemann dwa dni później o szczęśliwie przebytej operacji. Do Virchowa pisał: „Podczas operacji nic nie widziałem ani nie czułem, zapamiętałem tylko stół, na którym musiałem się położyć i który przypominał stoły służące do sekcji zwłok...” A do Brockhause: „Oczywiście bardzo bym się cieszył, gdybym mógł Pana zobaczyć, ale nie jestem w stanie Pana przyjąć, ponieważ jestem głuchy na oba uszy, a moja głowa jest cała owinięta bandażami”.

Choć nawet rozmowa sprawiała mu wielki ból, Schliemann wbrew lekarzom opuścił klinikę w Halle dnia 13 grudnia. Pojechał do Berlina, aby obejrzeć nową wystawę swoich zbiorów w muzeum etnologicznym, spotkał się z Virchowem w niedzielę na śniadaniu, następnie na Dworcu Poczdamskim wsiadł o godzinie 13 do pociągu i pojechał do Paryża, aby tam u swojego agenta i administratora domu zorientować się w sytuacji.

Paryż, 15 grudnia. Zima zaczęła się wyjątkowo wcześnie. Po ulicach hulał mroźny wiatr. Temperatura powietrza minus 18 stopni. Z próżności Schliemann miał na uszach zamiast bandaża tylko cienki szal. Troszcząc się bardziej o zdrowie własnej żony

niz o swoje, napisał w liście do Zofii — który miał być jego ostatnim: „Otrzymałem sześć listów od Ciebie i cieszę się, że dobrze Ci się wiedzie. Ta wiadomość jest dla mnie najważniejsza. Nareszcie jesteś zdrowa, możesz chodzić, nie męcząc się. Andromacha powinna Cię co tydzień ważyć. Nie mogę przywieźć Ci dużego obруса, nie mam na niego miejsca, kupimy go razem tu, w Paryżu. W czasie podróży z Halle przeziębilem prawe ucho, które było całkiem wyleczone, ponieważ zapomniałem je ochronić watą. Dlatego znów jestem głuchy i muszę jutro pójść do lekarza. Jestem pewny, że to nic groźnego i że w środę wieczorem będę mógł wyjechać. Chcę się zatrzymać na dwa dni w Neapolu (muzeum)”.

Dwa dni później Schliemann napisał do przyjaciela Rudolfa Virchowa:

„Niech żyje Pallas Atena, słyszę przynajmniej na prawe ucho i mam nadzieję, że lewe też się wyleczy. Wszystkim Wam składam najserdeczniejsze życzenia z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Niech ten rok przyniesie szczęście i błogosławieństwo boże Waszej rodzinie. Mam nadzieję, że dziś wieczorem będę mógł wyjechać do Neapolu”.

Był to ostatni znak życia od starego przyjaciela.

SAMOTNA ŚMIERĆ MAŁEGO CZŁOWIEKA

Czegóż, na Boga, szukał Henryk Schliemann w Neapolu? Połączenie statek-kolej z Paryża przez Neapol do Aten było najszybszą drogą do domu. Schliemann zamówił już sobie kabinę na trasie Neapol-Ateny. Na dworcu dręczyły go straszliwe bóle. Dlatego postanowił skonsultować się w Neapolu z lekarzem i dopiero po tygodniu jechać dalej. Wysłał telegram do Zofii: „Czekaj na mnie z kolacją wigilijną — stop — konieczna wizyta lekarska — stop — nie martw się — stop — Henry”.

W Neapolu Henryk Schliemann zamieszkał w „Grand Hotelu”. Znał jego właściciela Hausera od wielu lat, i to on polecił mu lekarza doktora Cozzolino. Cozzolino chciał skierować pacjenta do kliniki, ale Schliemann się wybronił.

Tabletki i zastrzyki poprawiły na krótko jego stan. Ledwie bóle nieco zelżały, Schliemanna ogarnął dziwny niepokój. Nie mógł zagrać miejsca w hotelu.

„Chciałbym jeszcze raz zobaczyć Pompeje!” — powiedział do swego lekarza.

Ten zaprotestował energicznie — „Jest zimno i wietrznie! To duże ryzyko w pańskim stanie”.

Schliemann nie dał się jednak odwieść od swego postanowienia, wobec tego Cozzolino zdecydował się towarzyszyć swojemu pacjentowi.

Schliemann i Cozzolino wędrowali w Wigilię 1890 roku przez opustoszałe ruiny Pompejów. Dla Schliemanna ta wycieczka szlakiem zaginionej kultury była niczym spacer wiosenny. Rozmowa sprawiała mu trudność. Szli więc obaj w milczeniu przez wymarłe miasto. Dopiero potem Cozzolino uświadomił sobie, że jego ciężko chory pacjent szukał śmierci w ruinach zasypanego miasta.

Samotny, nieobecny duchem spędzał Henryk Schliemann wieczór wigilijny w foyer hotelu. Patrzył bezmyślnie w pustkę. Nie mógł już mówić. Od czasu do czasu spoglądał ku wejściu do hotelu, jakby kogoś oczekiwał. W na pół opustoszałym hotelu rozbrzmiewały kolędy. Ale Schliemann ich nie słyszał. Był sam ze sobą i swoją przeszłością. Po jakimś czasie podniósł się i poszedł do swego pokoju.

Podczas tej samotnej nocy Bożego Narodzenia w „Grand Hotelu” w Neapolu jego stan zdrowia niewątpliwie dramatycznie się pogorszył. Rankiem pierwszego dnia świąt wymknął się Schliemann z hotelu i poszedł pieszo do doktora Cozzolino. W pobliżu Piazza della Santa Carita upadł nieprzytomny na ziemię.

„Guarda, che c'e un ubriaco!” (pijany) — orzekli przechodnie i zawiadomili policję. Policja zawiozła Schliemanna do najbliższego szpitala, gdzie nie chciano go przyjąć. Niemy nieznanemu nie miał przy sobie ani żadnych dokumentów, ani pieniędzy, tylko receptę, wystawioną przez doktora Cozzolino.

Cozzolino zidentyfikował mężczyznę jako wielkiego Henryka Schliemanna, odkrywcę Troi i skarbu Priama. W tym samym czasie Schliemann ocknął się z omdlenia. Dał lekarzowi znak na migi, że chciałby, aby go odwieziono do hotelu.

Czterech mężczyzn niosło małego człowieka przez hall „Grand Hotelu”. Głowa zwisała mu bezwładnie, twarz była szara jak popiół, oczy zamknięte.

Świadkiem tego zdarzenia był gość hotelu, który wiele lat później zdobył światową sławę — Henryk Sienkiewicz, laureat Nagrody Nobla i autor *Quo vadis*.

Sienkiewicz obserwował scenę z fotela w hallu.

Podszedł do niego Hauser — „Czy wie pan, kim jest ten chory?”

„Nie" — odpowiedział gość.

Na to Hauser tajemniczo — „To wielki Schliemann".

„Biedny wielki Schliemann!" — rzekł Sienkiewicz. — „Odkopał Troję i Mykeny i zasłużył sobie na nieśmiertelność — a teraz jest umierający".

Stan Schliemanna wydawał się krytyczny. Doktor Cozzolino poprosił lekarza z kliniki profesora Schroena do „Grand Hotelu". Profesor stwierdził ropne zapalenie obu uszu, które przerzuciło się już na mózg, zapalenie opon mózgowych i jednostronny paraliż.

Profesor zwołał w pośpiechu konsylium, złożone z siedmiu innych lekarzy. W pokoju hotelowym, sąsiadującym z pokojem Schliemanna, lekarze naradzali się, co dalej robić. Po wielogodzinnej naradzie podjęli decyzję: trepanacja — otwarcie czaszki.

Ale operacja już się nie odbyła. Podczas gdy ośmiu lekarzy się naradzało, Henryk Schliemann zmarł w pokoju obok. Stało się to 26 grudnia 1890 roku, o godzinie 15.30. Samotna śmierć samotnika.

„Schliemann nie żyje". Szybkość agencji informacyjnych była wprost niewiarygodna. Berlińskie biuro telegraficzne „Herold" zadepeszowało do Virchowa: „Właśnie otrzymaliśmy z Londynu następujący meldunek: W Neapolu zmarł nagle słynny archeolog Henryk Schliemann, na zapalenie opon mózgowych z komplikacjami płucnymi, w czasie konsylium lekarzy, którzy właśnie postanowili dokonać trepanacji czaszki. Schliemann chciał we wtorek wyjechać do Aten. — Proszę nas z laski swojej poinformować, czy otrzymał pan już podobny meldunek".

Zofia Schliemann przyjęła wiadomość o śmierci ze spokojem.

„Do mojego wielkiego bólu" — powiedziała do Virchowa — „doszła jeszcze straszliwa myśl, że nie byłam przy nim w jego ostatniej godzinie. Gdyby mi napisał, że czuje się źle, pospieszyłamby do niego z radością; ale nie, ten dobry człowiek nie chciał mnie niepokoić; on zawsze wierzył mocno w siłę swego organizmu i nigdy mi nie pisał, że źle się czuje..."

ŚWIAT ŻEGNA SIĘ Z WIELKIM CZŁOWIEKIEM

Zwłoki Schliemanna zostały przez profesora von Schroena zambalsamowane i wystawione w hali cmentarza angielskiego w Neapolu. Wilhelm Dörpfeld i najstarszy brat Zofii, Panagios, załatwili przewiezienie ciała do Aten. Dnia 4 stycznia 1891 roku w „Iliou Melathron" odbyła się uroczystość pogrzebowa.

Przebieg ceremonii Schliemann zaplanował jeszcze za życia aż do najdrobniejszego szczegółu: Pośrodku sali przyjęć stała otwarta trumna. W trumnie po obu stronach zmarłego leżały dwie książki: *Iliada* i *Odyseja*. Mowę pogrzebową wygłosił Wilhelm Dörpfeld w tonie, który u niego był czymś całkiem nowym. Recytował on tekst, który jego mistrz podyktował mu jeszcze za życia.

W swoim Elizjum ten tak często znieważany człowiek usłyszał teraz wiele ciepłych słów. Kondolencje złożyli cesarz Rzeszy Niemieckiej i król Grecji. Ambasadorowie Niemiec, Ameryki, Francji, Grecji i Turcji nazywali Schliemanna swoim rodakiem, człowiekiem, który wywodził się spośród nich, i każdy miał na swój sposób rację. „Imię Schliemanna” — powiedział przyjaciel Virchow — „stało się najbardziej popularne we wszystkich krajach [...] Nie zapominajmy nigdy, że ten w najlepszym tego słowa znaczeniu przez samego siebie ukształtowany człowiek, kiedy po wieloletniej ciężkiej pracy za granicą zgromadził wielkie skarby, całą resztę swojego życia poświęcił temu, aby pozyskane środki przeznaczyć na prace naukowe najtrudniejszego rodzaju, i że najcenniejszą dla siebie część swoich odkryć, a zarazem jedyną, którą mógł samodzielnie dysponować, podarował z własnej woli ojczyźnie!

Pragnął wielkich rzeczy i dokonał wielkich rzeczy. Potrafił przewyciężyć nieprzychylność otoczenia pracą i we wszystkich kłopotach życiowych człowieka interesu nigdy nie wyrzekł się ideałów, które zostały mu zaszczipione w dzieciństwie. Podczas wszystkich zmiennych kolei losu pozostał wierny sobie. Jego jedyną nieustanną troską było dążenie do wyższego poznania”.

Mądrość i doświadczenie 75 lat życia skłoniły Ernsta Curtiusa, wieloletniego przeciwnika Schliemanna, do wygłoszenia słów samokrytyki: „Nierzadko słyszy się — powiedział on pojednawczo — „że uczeni zachowują się elegancko niezyczliwie wobec prac człowieka nie należącego do branży. Ale profesorowie, którym w głębi serca chodzi o prawdę, nie powinni i nie chcą tworzyć zamkniętej kasty [...] To właśnie jest wielką zasługą naszego Schliemanna, że zasadniczo przyczynił się do przełamania barier. Teraz często się słyszy, że żywe zainteresowanie klasyczną starożytnością, która inspirowała czasy Lessinga, Winckelmana, Herdera i Goethego, już wygasło. Ale z jakim napięciem cały wykształcony świat po tej i po tamtej stronie Oceanu śledził kroki Schliemanna! Czyż nie przeżyliśmy radośnie faktu, że kiedy «Times» powątpiewał w rezultaty jego odkryć, zorganizowano w Londynie meeting, aby natychmiast w dużym gremium przedyskutować sprawę, jak gdyby chodziło

XIV Śmierć w Neapolu

o pałacy problem polityczny? Liczba stuleci, które leżą pomiędzy nami i przeszłością, nie jest miernikiem znaczenia tej przeszłości w naszym duchowym życiu. To, co najodleglejsze, może być dla nas najbliższe, najważniejsze, najbardziej pokrewne duchowo.

Liczba prac Schliemanna powiększała się z roku na rok, a ich rezultaty przeszły jego oczekiwania. O ile wielkiej liczbie publiczności wydawał się czarodziejem, który chodził z różdżką dokoła i znajdował miejsca, gdzie w głębokich ciemnościach spoczywały złote skarby, o tyle ludzie nauki mają mu do zawdzięczenia coś, co wykracza daleko poza poszczególne znaleziska i sięga głęboko w naszą świadomość historyczną...

Pozostaje do rozwiązania wiele zagadek. Sama Troja jest jeszcze dzisiaj widownią poważnych kontrowersji; ale droga jest przetarta, kurtyna przewietrzona, odsunięta zasłona, która pokrywała świat Homera. To zawdzięczamy Henrykowi Schliemannowi".

A sędziwy William Ewart Gladstone, który przeżył Schliemanna o osiem lat, powiedział, zwracając się do Zofii — „Na początku swojej pracy walczył on z niewiarą i obojętnością; ale jedno i drugie musiało zniknąć jak mgła zasłaniająca słońce, kiedy się okazało, jak ważne i cenne były jego odkrycia. Historia jego dzieciństwa i młodości jest równie godna uwagi jak jego późniejsze życie. Nie można jej w żadnym razie traktować oddzielnie, gdyż od początku do końca była ona podporządkowana jednemu jednemu celowi".

Zofia Schliemann, która całe życie niedomagała, w wieku 38 lat została wdową. Zmarła 42 lata po śmierci męża. O swoją przyszłość i przyszłość swoich dzieci nie musiała się troszczyć. Henryk uregulował wszystko w swoim testamencie. Agamemnon Schliemann został dyplomatą. Żył bezdzietnie do roku 1954 jako ambasador grecki w Paryżu. Andromacha, która poślubiła adwokata ateńskiego Leona Melasa, zmarła w 1962 roku.

Skarb Priama natomiast, który Schliemann zapisał narodowi niemieckiemu, cztery tysiące lat po zakopaniu, sto dwadzieścia lat po odkryciu i pięćdziesiąt lat po ostatnim zniknięciu stał się przedmiotem międzynarodowego sporu.

SUPLEMENT

TESTAMENT HENRYKA SCHLIEMANNA

(sporządzony w języku nowogreckim, przełożony na niemiecki przez Luizę Hallof)

Dnia dziesiątego stycznia roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego ja, Heinrich Schliemann, obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki, zamieszkały prawnie w Indianapolis w stanie Indiana (Stany Zjednoczone Ameryki), obecnie żyjący w Grecji we własnym domu w Atenach, będąc w pełni władz umysłowych sporządzam i własnoręcznie spisuję ten testament i postanawiam, co następuje:

1. Moimi spadkobiercami ustanawiam czwórkę moich dzieci, mianowicie dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, Sergieja i Nadieżdę Schliemannów, i dwoje dzieci z drugiego małżeństwa, Andromachę i Agamemnona Schliemannów.
2. Synowi Sergiejowi Schliemannowi, urodzonemu w sierpniu 1855, zapisuję jako jego część spadku mój dom na rue Aubriot nr 7, dzielnica du Tempie, i mój dom na rue de EArcade nr 33, dzielnica de la Madeleine w Paryżu; nadto jednorazowo kwotę 50 000 franków w złocie.
3. Córce Nadieżdzie, urodzonej w lipcu 1862, jako część jej spadku zapisuję dom na rue de Calais nr 6 przy rue Blanche w Paryżu i moją posiadłość na Buchanan Street nr 162 w Indianapolis w stanie Indiana; nadto jednorazowo kwotę 50000 franków w złocie. Świadcstwa własności obu wymienionych domów w Paryżu zostały zdeponowane u notariusza Alberta Laverne'a, rue Taithout nr 13 w Paryżu. Oświadczam, że żaden z tych domów nie jest obciążony długami. Świadcstwo własności posiadłości w Indianapolis jest załączone do niniejszego testamentu, również ta posiadłość nie jest obciążona długami.

Suplement

4. Ponieważ wszystkie trzy domy w Paryżu zawsze były należycie zarządzane i przynosiły znaczne dochody, radzę mojemu synowi Sergiejowi i córce Nadzieździe, aby ich nie sprzedawali, tylko pozostawili pod zarządkiem Polynice'a Beauraina, Paryż, 25. Chaussee d'Antin, który nimi zarządzał przez 23 lata ku mojemu pełnemu zadowoleniu. Gdyby moja córka Nadzieźda zechciała sprzedać posiadłość w Indianapolis, niech wyśle pełnomocnika, który jest zatwierdzony przez konsulat amerykański, do moich bankierów L. von Hoffmann i Sp. w Nowym Jorku, którzy dotychczas zarządzali nią za pośrednictwem agenta w Indianapolis.
5. Adresy moich dzieci Sergieja i Nadzieźdy znajdują się w banku J. E. Giinzburg w, St. Petersburgu.
6. Dwojgu dzieciom, Andromasze (urodzonej w maju 1871) i Agamemnonowi (urodzonemu w marcu 1878), zapisuję jako część ich spadku całą resztę majątku ruchomego i nieruchomości, który pozostanie po mojej śmierci, z wyjątkiem mojego domu „Iliou Melathron” z należącym do niego gruntem na odós Panepistimiou w Atenach, ponieważ ten dom i należący do niego grunt wraz z całym wyposażeniem, biblioteką i moimi zbiorami starożytności (z wyjątkiem starożytności trojańskich) przekazuję mojej obecnej żonie Zofii Schliemann z domu Engastromenos na mocy aktu darowizny numer 31854, który został sporządzony przez notariusza Georgiosa Antoniadesa; akt ten dołączony jest do niniejszego testamentu.
Zapisuję moim dzieciom Andromasze i Agamemnonowi wyżej wymienioną część spadku pod wyraźnie określonymi warunkami, mianowicie że sumiennie wypłacą specjalne legaty ustanowione w tym testamencie, a po wypłaceniu pozostałą gotówkę wypłacą moim dzieciom Sergiejowi i Nadzieździe.
7. Jekatierina z domu Łyszina była moją pierwszą żoną. Rozwiodłem się z nią w Indianapolis w stanie Indiana w lipcu 1869 zgodnie z załączonym aktem rozwodowym, do którego dołączony jest dokument potwierdzający moje amerykańskie obywatelstwo. Zapisuję Jekatierinie z domu Łyszynie jednorazową kwotę 100000 franków w złocie; jej adres zna bankier Giinzburg w St. Petersburgu.
8. Na pokrycie kosztów utrzymania Andromachy i Agamemnona aż do ich pełnoletności przeznaczam kwotę po 7000 franków w złocie rocznie.

Testament Henryka Schliemanna

9. Zapisuję ostatecznie Zbiorom Schliemanna w gmachu nowego Muzeum Etnologicznego w Berlinie cały zbiór moich starożytności trojańskich; spośród których przedmioty z brązu znajdują się w dwóch szafach mojego biura, cała reszta w czterech salach ew. w pokojach na parterze mojego domu w Atenach. W samą porę otrzymałem z ministerstwa greckiego zgodę na wywiezienie moich zbiorów trojańskich za granicę. Oryginał tej zgody został wysłany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie, odpis znajduje się w spiżowej szafie w moim biurze.
10. Mojej siostrze Luizie Pechel, małżonce Martina Pechela z Dargun w Meklemburgii, zapisuję jednorazowo kwotę 50000 franków w złocie. Pieniądze te mają być wypłacone jej dzieciom, jeśli umrze ona przede mną.
11. Mojej siostrze Doris Petrowsky z Róbel w Meklemburgii jednorazowo kwotę 50 000 franków w złocie.
12. Mojej siostrze Elizie Schliemann, adresu której należy się dowiedzieć u kogoś z mojego rodzeństwa, jednorazowo kwotę 50000 franków w złocie.
13. Ernstowi Meincke z Neustrelitz w Meklemburgii jednorazowo 2000 franków w złocie.
14. Pani Minnie Richers z Neustrelitz w Meklemburgii jednorazowo 5000 franków w złocie.
15. Fritzowi Wachenhusenowi z Róbel w Meklemburgii jednorazowo 4000 franków w złocie.
16. Mojemu bratu Wilhelmowi [?] Schliemannowi z Berlina, Griinstrasse 16, 25 000 franków w złocie.
17. Doktorowi Wilhelmowi Dorpfeldowi z Aten jednorazowo 10 000 drachm w banknotach.
18. Profesorowi A. H. Sayce'owi, z Queen's College w Oxford, Anglia, jednorazowo 10000 franków w złocie.
19. Pannom Marii i Joannie Virchow z Berlina, Schellingstrasse 10, jednorazowo 10 000 franków w złocie, które mają być pomiędzy nie rozdzielone.
20. Berlińskiemu Towarzystwu Antropologii, Etnologii i Prahistorii, którego prezesem jest Rudolf Virchow, jednorazowo 10 000 franków w złocie.
21. Mojej chrusniaczcze Briseis Koumantareos z Aten 5000 drachm w banknotach.
22. Towarzystwu Archeologicznemu w Atenach jednorazowo 5000 drachm w banknotach.

Suplement

23. Evangelismos [szpital] w Atenach jednorazowo 1000 drachm.
24. Domowi dla ubogich w Atenach jednorazowo 1000 drachm.
25. Domowi sierot „Hasikosta” w Atenach jednorazowo 1000 drachm.
26. Na urządzenie domu dla dzieci potrzebujących pomocy „Parnassos” w Atenach jednorazowo 1000 drachm.
27. Na pomoc kobietom żyjącym w niedostatku w Atenach jednorazowo 1000 drachm.
28. Każdemu z braci mojej żony, Joannesowi i Panagiosowi Engastromenosom i mojemu szwagrowi Joannesowi Sunisiosowi jednorazowo 5000 drachm (przez drachmy rozumiem cały czas banknoty).
29. Chcę, aby moje doczesne szczątki spoczęły obok mojej żony Zofii, moich dzieci i ich potomków w mauzoleum w najwyższym miejscu wielkiego greckiego [Centralnego] Cmentarza w Atenach. *Dolącam tu* projekt architekta *Ernsta* Zillera, wraz z umową, którą zawarłem z nim na budowę mauzoleum za kwotę 50 000 drachm (w banknotach). Ustaliłem z Zillerem, że dach mauzoleum będzie miał kształt kopuły (sklepiony). Wykonawcom mojego testamentu polecam, aby mój grobowiec ozdobiono motywami z Orchomenos i Pompejów, ale przedtem należy podpisać z malarzem umowę. Wolą moją jest, aby Major Drosinos sprawował nadzór nad pracami przy grobie. W wypadku gdyby on nie mógł, wykonawcy testamentu niech zamówią innego zdolnego i oddanego nadzorcę.
30. Zarządzam, aby przede wszystkim wypłacono kwoty wymienione w punktach 2, 3 i 7 Jekatierinie primo voto Schliemann i moim dzieciom Sergiejowi i Nadzieździe. Jeśli będzie za mało pieniędzy do dyspozycji, wykonawcy [testamentu] powinni polecić [Bankowi] John Henry Schröder i Sp. w Londynie, aby sprzedał odpowiednią ilość zdeponowanych u niego papierów wartościowych.
31. Tak samo jak najszybciej powinny być wypłacane roczne należności z punktu 8 jak również regulowane koszty budowy mauzoleum Schliemanna, przy czym postanawiam, żeby wszystkie te wypłaty pochodziły z moich dochodów i przypadających do zapłaty i ściągniętych należności z papierów wartościowych. W ten sposób spadkobiercy będą otrzymywać swoje płatności na rachunek i regularnie aż do całkowitej spłaty ich legatów.

Testament Henryka Schliemanna

32. Jest moją wolą, aby syn Agamemnon otrzymał wyłącznie dla siebie mój dom w Paryżu, Boulevard St. Michel 5; jednocześnie powinien on część przypadającą na Andromachę zrekomensować jej w pieniądzech albo w papierach wartościowych.
33. Jest moją wolą, aby wykonawcy niniejszego testamentu natychmiast po mojej śmierci zażądali odpisów moich bieżących rachunków z banków J. E. Giinzburg w St. Petersburgu i Emile Erlanger i Sp. w Paryżu. Co się tyczy reszty mojego kapitału złożonego u J. Giinzburga, chcę, żeby została ona wykorzystana na wypłaty, które, zgodnie z powyższymi dyspozycjami, należy uiścić wobec Jekatieriny, primo voto Schliemann, jak również wobec moich dzieci Sergieja i Nadzieży. Kapitał pozostający u Emile'a Erlangera i Sp. powinien być wykorzystany na wypłaty dla wszystkich [pozostałych] spadkobierców.
34. Dochody z mojego domu w Paryżu, Boulevard St. Michel 5, pozostają do dyspozycji wykonawców testamentu i mają być przeznaczone na wypłaty dla spadkobierców. Mój poborca tych pieniędzy w Paryżu jest zobowiązany co trzy miesiące wysłać dochody z czynszu z wymienionego domu do [banku] Johna Henry Schródera i Sp. w Londynie albo do Roberta Warschauera i Sp. w Berlinie; niniejszym postanawiam też, żeby jeden i drugi [banki] również w przyszłości pozostały powiernikami wszystkich moich pieniędzy i obligacji z wyjątkiem moich greckich akcji i obligacji, które mają pozostać zdeponowane w Narodowym Banku Grecji.
35. Pieniądze, które pochodzą z pożyczek udziałów spadkowych powinny być zdeponowane w [bankach] John Henry Schröder i Sp. w Londynie i Robert Warschauer i Sp. w Berlinie w celu zakupu trwałych papierów wartościowych (consolides) na 2,5% odsetek, w porozumieniu z wykonawcami mojego testamentu i ustanowionymi opiekunami sądowymi moich dzieci; przede wszystkim postanawiam, żeby przesłali oni odpis tych punktów wymienionym bankom.
36. Wyznaczam na poborcę i zarządzającego moim domem w Paryżu, Boulevard St. Michel 5, wspomnianego już Polynice'a Beauraina [zamieszkałego] w Paryżu, Chaussee d'Antin 25, i zezwalam mu, aby zatrzymywał dla siebie prowizję w wysokości 3 procent czystego dochodu z pobieranych czynszów; za to zobowiązuje go do przedstawiania wykonawcom testamentu co trzy miesiące rachunków do kontroli.

37. Na wykonawców niniejszego testamentu wyznaczam: w Atenach panów Markosa Renieresa, prezesa Greckiego Banku Narodowego, Paulosa Kallegasa, zastępcę prezesa tegoż banku, i prof. Stefanosa Streita; w przypadku gdyby jeden z tych [panów] zmarł przed ostatecznym wykonaniem niniejszego testamentu, pozostali niech powołają kogoś innego na jego miejsce. Ci trzej [panowie] jako wykonawcy są zobowiązani dostarczyć spadkobiercom szczegółowe zestawienie, co się komu należy. Jako zapłatę za ich trudy wyznaczam dla każdego z nich kwotę w wysokości 3000 drachm po pierwszym roku i 2000 drachm rocznie przez cały czas trwania ich działalności. Mają oni za to sprawdzać dokładnie rachunki [poborcy] Beauraina i [banków] John Henry Schröder i Sp. oraz Robert Warschauer i Sp. Tych trzech wykonawców wyznaczam także obok mojej żony na opiekunów moich nieletnich dzieci; a konkretnie z powodu braku doświadczenia mojej żony w sprawach pieniężnych wyznaczam jej jako doradców i opiekunów małoletnich dzieci wymienionych wyżej wykonawców i nakazuję, aby bez zgody wykonawców moja żona nie sprzedała ani nie obciążyla hipotekami żadnej z moich posiadłości. Poza tym nie wolno jej bez zgody wykonawców testamentu pożyczać [pieniędzy] ani zaciągać pożyczek w imieniu dzieci, ani ściągać należności, nawet jeśli są na nie rachunki. Żądam, aby wyznaczona kwota na wychowanie [dzieci] wystarczyła aż do pełnoletności mojego syna Agamemnona.
38. Jak powiedziano wyżej w punkcie 34, moje akcje greckie i dokumenty są zdeponowane w Greckim Banku Narodowym; pokwitowania znajdują się w żelaznym sejfie w moim biurze. Bank Narodowy zatrzymuje też odsetki; wykonawcy testamentu mają ich żądać od niego co pół roku.
39. Aby przeszkodzić naruszeniu niniejszego testamentu, nakazuję, żeby każde z dzieci, które zechce podważyć ważność i wykonanie tegoż [testamentu], zostało pozbawione pozostałej mu części spadku; a więc każde będzie samo sobie winne, jeśli nic nie odziedziczy.
40. Każdy, kto na mocy niniejszego testamentu otrzyma przeznaczoną mu część spadku, powinien prawomocnym aktem potwierdzić, że przyjmuje mój testament i nie będzie wnosił żadnych [dalszych] roszczeń, prócz tego, co zostało mu przeznaczone. Nakazuję jeszcze raz, aby moi spadkobiercy wymienieni w punkcie 6 wraz z wykonawcami i opiekunami wypłacili

Testament Henryka Schliemanna

sumiennie ustanowione legaty i płatności Sergiejowi i Nadzieździe.

41. Wykonawcom mojego testamentu podaję do wiadomości, że zgodnie z umową, którą zawarłem z wydawcami Harper and Brothers w Nowym Jorku, są oni zobowiązani do wypłacenia mi 10% ceny detalicznej (*prix de detail*) od sprzedanych egzemplarzy moich książek *Ilios* i *Troja*; i że zgodnie z umową, którą zawarłem z wydawcami Charles Scribner's Sons, Nowy Jork, Broadway 743-745, wydawcy ci są zobowiązani wypłacić mi 12% ceny detalicznej sprzedanych egzemplarzy mojej książki *Mykenae* i 10% ceny detalicznej mojej książki *Tiryns*. Ponadto podaję do wiadomości, że mam połowę udziału w zysku ze sprzedaży moich książek *Mykenae* i *Tiryns* u wydawcy Johna Murraya, Londyn, Albemarle Street 50; ten zajmuje się też sprzedażą moich książek *Ilios* i *Troja*. Ma on sobie obliczyć 50% prowizji, reszta z ceny obu książek należy do mnie. Ten, jak i wyżej wymienieni [wydawcy] w Ameryce mają dwa razy do roku przedkładać rozliczenia. Poza tym podaję do wiadomości, że u wydawców E. A. Brockhausów z Lipska mam udział w połowie zysków [ze sprzedaży] niemieckich wydań moich sześciu prac *Mykenae*, *Orchomenos*, *Ilios*, *Reise in der Troas*, *Tiryns* i *Troja*; poza tym zakończyły się właśnie pertraktacje w sprawie wydania następnej książki, która będzie zawierała przegląd wszystkich moich prac. Brockhaus przedłożył ogólny rachunek na połowę zysku [ze sprzedaży] tych siedmiu książek. Poza tym ma on prawo do sprzedaży moich prac *Ithaka*, *Peloponnes und Troja*, *Trojanische Altertumer* (po niemiecku), *Trojanische Altertumer* (po francusku) i *Atlas der troischen Altertumer* (po francusku), z których zysk należy mi się po potrąceniu prowizji.
42. Każdemu z moich dzieci wymienionych w punktach 2 i 3, Sergiejowi i Nadzieździe, daję ponadto po 50 000 franków w zlocie.
43. W wypadku, gdyby któraś z moich córek wychodziła za mąż, a ja chciałbym jej dać posag, przedmiot tego posagu będzie wzięty z części jej spadku.

Sporządziłem ten testament własnoręcznie i spisałem w Atenach dnia 10 stycznia 1889.

Heinrich Schliemann

Suplement

Kodycyl I

Potwierdzam mój własnoręczny testament z dnia dziesiątego stycznia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku sporządzonym i podpisanym przez siebie własnoręcznie kodycylem, na mocy którego pozostawiam w spadku Muzeum Etnologicznemu w Berlinie, z przeznaczeniem dla „Zbioru Schliemanna”, wspaniałą głowę kobiety wykonaną z marmuru, którą wykopałem w megaronie Ptolemeuszów w Aleksandrii i która znajduje się na kominku w moim gabinecie. Ateny dnia czternastego stycznia roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego.

Heinrich Schliemann

Kodycyl II

Potwierdzam mój własnoręczny testament z dnia dziesiątego stycznia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku i własnoręczny kodycyl z dnia czternastego stycznia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego własnoręcznie sporządzonym i podpisanym kodycylem, zgodnie z którym pozostawiam w spadku wybitnemu i wielkiemu uczonemu Georgowi von Streitowi, synowi Stefanosa von Streita, profesorowi z Aten, jednorazową kwotę 10000 tysięcy drachm (w banknotach). Anuluję jednocześnie punkt 18 mojego testamentu, zgodnie z którym przyznałem profesorowi A. H. Sayce'owi z Queen's College, Oxford, Anglia, 10000 franków w złocie. Ateny, dnia dwudziestego stycznia tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Heinrich Schliemann

HENRYK SCHLIEMANN I JEGO CZASY

- 1822 urodzony w Neubukow (Meklemburgia), dnia 6 stycznia. J. F. Champollion odszyfrowuje hieroglify na kamieniu z Rozetty.
- 1823 Przeprowadzka do Ankershagen.
- 1831 Śmierć matki.
- 1832 Zwolnienie ojca z piastowanego urzędu. Śmierć Goethego. 1833-1836 Gimnazjum w Neustrelitz. Przeniesienie do szkoły realnej. 1836-1841 Nauka handlu w Fiirstenberg. 1841: Nauka handlu w Hamburgu. Katastrofa okrętu u wybrzeży Holandii. Urodzili się Daumier i Renoir.
- 1842-1846 Uczeń, buchalter u B. H. Schródera w Amsterdamie. Studia języków obcych, rosyjski.
- 1847 Własny dom handlowy w St. Petersburgu. Liebig wynajduje ekstrakt mięsny. Urodził się Paul von Hindenburg.
- 1850-1852 Podróż w interesach i pobyt w Ameryce.
- 1852 Małżeństwo z Jekateriną Pietrowną Łyszyną (dzieci Sergiej, ur. 1855, Natalia 1858-1868, Nadieżda ur. 1861). Filia w Moskwie. Napoleon III zostaje cesarzem Francji.
- 1855 Aleksander II zostaje carem Rosji.
- 1858-1859 Podróż na Wschód.
- 1864 Zlikwidowanie firmy w St. Petersburgu. Karol Marks organizuje w Londynie „Pierwszą Międzynarodówkę”. 1864-1866 Studia na Sorbonie w Paryżu (języki, literatura, filozofia). Podróż do Egiptu, Indii, Chin, Japonii, Ameryki.
- 1867 Pierwsza książka *La Chine et le Japon au temps present* w języku francuskim. Pierwsza poczta pneumatyczna w Paryżu. Stany Zjednoczone kupują od Rosji Alaskę za 7,2 miliona dolarów.
- 1868 Pierwsza podróż śladami Homera: Grecja i Azja Mniejsza. Na wzgórzu Hissarlik zapada decyzja odkopania Troi.
- 1869 Schliemann pragnie zostać archeologiem. Druga książka *Ithaka, der Peloponnes und Troja*. Marzec: Schliemann uzyskuje obywatelstwo amerykańskie. Zaoczna promocja na uniwersytecie w Rostocku. Małżeństwo z Zofią Engastromenos (dzieci Andromacha 1871-1962, Agamemnon 1878-1954). Tolstoj publikuje *Wojnę i pokój*.
- 1879 Osiedlenie się w Atenach. Śmierć ojca. Pierwsze próby wykopaliskowe na Hissarliku. Bitwa pod Sedanem. Urodził się Lenin.
- 1871-1873 Trzy pierwsze kampanie wykopaliskowe w Troi. 30 maja 1873: odkrycie skarbu Priama.
- 1873 Napoleon III umiera w Anglii. Związek trzech cesarzy: Niemiec, Austrii i Rosji.
- 1874 Trzecia książka *Trojanische Allertimer*. Nielegalne próby wykopaliskowe w Mykenach. Proces o skarb Priama. Powstanie Deutsches Archaeologisches Institut w Atenach.
- 1875 Podróże z wykładami po Europie. Proces zakończony ugodą z Turcją. Spotkanie z Rudolfem Virchowem. Wykopaliska na mniejszą skalę we Włoszech i na Sycylii. Ernst Curtius kopie z Wilhelmem Dórfpoldem w Olimpi.
- 1876 Mykeny: Odkrycie pięciu grobów szybowych. Złota maska Agamemnona.

Suplement

- 1878 Czwarta książka *Mykenae*. Wykopaliska Humanna w Pergamonie.
- 1878-1879 Czwarta i piąta kampania wykopaliskowa w Troi. Współpraca z Virchowem.
- 1880-1881 Piąta książka *Ilios*. Poświęcenie domu „Iliou Melathron”. Przekazanie skarbów trojańskich narodowi niemieckiemu. Szósta książka *Orchomenos*. Siódma książka *Reise in der Troas*. Pierwszy tramwaj elektryczny w Berlinie. Zamordowanie cara Aleksandra II. Emil Brugsch odkrywa grób z 40 mumiami królów.
- 1882 Szósta kampania wykopaliskowa w Troi (wspólnie z Wilhelmem Dörpfeldem). Wielka Brytania zajmuje Egipt.
- 1884 Ósma książka *Troja*. Wykopaliska w Tirynsie. Spór z kapitanem Bötticherem. Fiasco planów związanych z Knossos. Początek niemieckiej polityki kolonialnej.
- 1886 Dziewiąta książka *Tiryns*. Wykopaliska w Orchomenos wspólnie z Dörpfeldem. Wielka podróż do Egiptu. Śmierć Ludwika II Bawarskiego. Wzniesienie Statuy Wolności w Nowym Jorku. Pierwszy samochód w Niemczech.
- 1888 Wykopaliska w Aleksandrii. Podróż z Virchowem do Egiptu. Wilhelm II zostaje cesarzem Niemiec. Nansen przemierza Grenlandię.
- 1889 Pobyt na Krecie. Pierwsza konferencja w Troi. Wydarzenie w Mayerling. Pierwsza wystawa samochodowa w Paryżu.
- 1890 Druga konferencja w Troi. Siódma kampania wykopaliskowa w Troi. Dziesiąta książka *Bericht über meine Ausgrabungen in Troja im Jahre 1890*. Z Virchowem przez Troadę, 13 listopada: Operacja uszu w Halle. 26 grudnia: Śmierć w Neapolu. Śmierć Yincenta van Gogha.

RODZINA SCHLIEMANNÓW

Pierwsze małżeństwo *Ernsta* Johanna Adolfa Schliemanna (1780-1870) z Luizą Teresą Zofią Burger (1793-1831)

Dzieci:

Jan Joachim Henryk (1814-1822)
Karolina Luiza Eliza Augusta (1816-1890)
Zofia Fryderyka Anna Dorota (18818-1912)
Fryderyka Juliana Wilhelmina (1819-1883)
Jan Ludwik *Henryk* Juliusz (6 I 1822-26 XII 1890)
Karol Fryderyk Ludwik Henryk (1823-1850)
Franciszek Fryderyk Ludwik Teodor (1825-1826)
Maria Luiza Helena (1827-1909)
Paweł Fryderyk Ulryk Henryk (1831-1852)

Drugie małżeństwo *Ernsta* Schliemanna z Zofią Behnke (1814-1890)

Dzieci:

Karol (1839-1842)
Ernst (1841-1899)

Rodzina Schliemannów

Pierwsze małżeństwo *Henryka* Schliemanna z Jekatieriną Pietrowną Łyszyną

Dzieci:

Sergiej (1885-?) Natalia

(1858-1868) Nadieżda

(1861-?)

Drugie małżeństwo *Henryka* Schliemanna z Zofią Engastromenos

Dzieci:

Andromacha (1871-1962)

Agamemnon (1878-1954)

Krewni:

Krystian Ludwik *Fryderyk* Schliemann, Kalkhorst, brat ojca, wuj *Henryka*

Magdalena Schliemann, żona Fryderyka, ciotka Henryka

Adolf Schliemann, kuzyn Henryka

Ferdynand Schliemann, kuzyn Henryka

Zofia Schliemann, kuzynka Henryka

Luiza Schliemann, kuzynka Henryka

Hans Becker, kuzyn Henryka

BIBLIOGRAFIA

I. Maj 1945: Berlin plonie

Skarby sztuki w sztolni kopalni: Mechthilde Unverzagt, Jahrbuch Preufischer Kulturbesitz; John Toland, Adolf Hitler Jedna wieść Hiobowa goni drugą; Heinrich Fraenkel, Roger Manvell, Goebbels Dramat w bunkrze w Friedrichshain: Otto Kummel, Bericht iiber die von den Staatlichen Museen zu Berlin getroffenen Mafnahmen zum Schutze gegen Kriegsschaden vom 11.11.45, Archiv des Deutschen Archaologischen Instituts
Zwycięzcy i zwyciężeni: Gunter Schade, Neue Museumskunde 2/85, Jg. 28; Irene Kühnel-Kunze, Bergung — Evakuierung — Ruckfuhrung
Ciemności się rozjaśniają: Klaus Goldmann, Antike Welt 4/1994

II. Początek wielkiej kariery

Rozbicie statku u wybrzeży Holandii: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann, Briefwechsel
Przygody Telemacha — po rosyjsku: Emil Ludwig, Schliemann

III. Niebieskie ruble/ złote dolary

Chybione oświadczyzny: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Selbstbiographie; Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Briefwechsel Dwa tygodnie bezradny na Atlantyku: Shirley H. Weber, Schliemann's first visit to America

IV Ucieczka przed samym sobą

Sceny małżeńskie: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Selbstbiographie
Cud w Klajpedzie: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Briefwechsel
Dlaczego Schliemann stał się workaholic: Emil Ludwig, Schliemann W teatrze chińskim w Szanghaju: Franz G. Brustgi, Heinrich Schliemann; Wolfgang Richter, Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens

Y Zapóźniony student i miłość

Rozpaczliwa propozycja: małżeństwo w stylu biblijnego Józefa: Emil Ludwig, Schliemann; Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Briefwechsel

VI. Śladami herosów

Gdzie Nauzykaa znalazła Odyseusza: Heinrich Schliemann, Ithaka, der Peloponnes und Troja

VII. Nowy człowiek, nowe życie

„Czyjego Eminencja nie znalazłby dla mnie żony?": Emil Ludwig, Schliemann

Bibliografia

VIII. Małżeństwo w trójkę: Homer, Zofia i Henryk

Miłość — początkowo w listach: Emil Ludwig, Schliemann

Drugi ożenek Schliemanna: Wolfgang Richter, Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens
Curtius uważa Schliemanna za fantastę: Philipp Vandenberg, Das versunkene Hellas

IX. Skarb trojański

Agamemnon i Hektor z łopatom i miotłami: Heinrich Schliemann, Trojanische Altertiimer
Schliemann chce opuścić Ateny: David A. Traill, Priam's Treasure

X. W jaki sposób skarb trafił do Niemiec

Dar dla narodu niemieckiego: Emil Ludwig, Schliemann; Joachim Herrmann, Die Korrespondenz zwischen Heinrich Schliemann und Rudolf Virchow

Wciąż nowe wymagania: Wolfgang Richter, Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens

XI. Schliemann w gabinecie psychologa

Byto dwóch Henryków Schliemannów: Emil Ludwig, Schliemann

Cyniczny nekrolog: Wolfgang Richter, Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens

Mężczyzna pełen seksualnych lęków: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Briefwechsel

Dom zainscenizowany perfekcyjnie jak całe jego życie: Neustrelitzer Zeitung 1884, Nr. 10/13, Nachdruck aus der griechischen Zeitschrift »Hestra«

XII. Mykeny: Złota maska Agamemnona

Śmiertelny wróg Stamatakis: Heinrich Schliemann, Mykenae „Natknąłem się na

największe trudności": Emil Ludwig, Schliemann Grób zalany biotem: Philipp

Vanderberg, Das versunkene Hellas Schliemanna nękają wątpliwości: Ernst

Meyer, Vorwort zu: Heinrich Schliemann, Mykenae

XIII. Troja i Tiryns: pomyłki i rozczarowania

Schliemann przesadza: nowy skarb: Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Selbstbiographie; Heinrich Schliemann, Troja; Wolfgang Richter, Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens; Pausanias, Beschreibung Griechenlands; Homer, Odyssee, IV, 44-47, 68-75; Philipp Vanderberg, Das versunkene Hellas; Heinrich Alexander Stoli, Abenteuer meines Lebens. Heinrich Schliemann erzählt

XIV Śmierć w Neapolu

„W wieku 67 lat nie jest się już młodzieńcem"; Ernst Meyer (Hg.), Heinrich Schliemann. Briefwechsel

Spotkanie ekspertów na wzgórzu Hissarlik: Philipp Vanderberg, Das versunkene Hellas

Bibliografia

Suplement

Tekst przekładu testamentu Henryka Schliemanna za Joachim Herrmann: Heinrich Schliemann. Wegbereiter einer neuen Wissenschaft, Berlin (Akademie Verlag) 1990, s. 237-243.

Bibliografia ogólna

Bölke Wilfried: Heinrich Schliemann und Ankershagen, Mitteilungen aus dem Heinrich-Schliemann-Museum Ankershagen 2, 1988 Böлке Wilfried, Crepon Tom: Heinrich Schliemann, Odysee seines Lebens, Berlin 1990 Boveri Margret: Tage des Überlebens. Berlin 1945, München 1970 Brustgi Franz Georg: Heinrich Schliemann nach hundert Jahren, Frankfurt/M. 1990 Calder William, Traill David A. (wyd.): Myth, Scandal and History, Detroit 1986 Cobet Justus: Schliemanns Troja, Essen 1991 Deuel Leo: Heinrich Schliemann, München-Wien 1979 Dóhl Hartmut: Heinrich Schliemann, München-Luzern 1981 Dórfeld Wilhelm: Bericht über die im Jahre 1893 in Troja veranstalteten Ausgrabungen, Leipzig 1894 Dórfeld Wilhelm: Troja und Ilion, Athen 1902 Easton Donald E: The Schliemann Papers, w: The Annual of the British School of Archaeology at Athens 77, 1982 Fraenkel Heinrich, Manvell Roger: Goebbels, Köln 1960 Goldmann Klaus: ... das Schliemann-Gold vor Augen, Protokoll einer Dienstreise nach Moskau, w: Antike Welt 4, 1994 Grimm Hans: Heinrich Schliemann und Rudolf Virchow in Heutiger Sicht, Mitteilungen aus dem Heinrich-Schliemann-Museum Ankershagen 1, 1987 Herrmann Joachim: Heinrich Schliemann. Wegbereiter einer neuen Wissenschaft, Berlin 1990 Herrmann Joachim: Die Korrespondenz zwischen Heinrich Schliemann und Rudolf Virchow 1876/90, Berlin 1990 Homer: Iliada Homer: Odyseja Italiander Rolf: Berlins Stunde null 1945, Dusseldorf 1979 Kia Rolf: Die Hilfe der Sowjetunion bei der Wiedereröffnung der Museen 1945/46, Berlin Korres Georgios Styl.: Heinrich Schliemann. Ein Leben für die Wissenschaft, Berlin 1990 Kühnel-Kunze Irene: Jahrbuch Preußischer Kulturbesitz, Sonderband 2, Bergung — Evakuierung — Ruckführung. Berlin 1984 Kulturministerium Griechenlands: Troja, Mykene, Tiryns, Orchomenos, Heinrich Schliemann zum 100. Todestag, Athen-Berlin 1990 Lilly Eli: Schliemann in Indianapolis, Indiana Historical Society, Indianapolis 1961 Luce J. V.: Archäologie auf den Spuren Homers, Bergisch Gladbach 1975 Ludwig Wmil: Schliemann. Die Geschichte eines Goldsuchers, Berlin-Wien-Leipzig 1932 Meyer Ernst: Briefe von Heinrich Schliemann, Berlin-Leipzig 1932 Meyer Ernst: Heinrich Schliemann, Kaufmann und Forscher, Göttingen 1969

Bibliografia

- Meyer Ernst: Heinrich Schliemann, Briefwechsel, Berlin 1953
- Meyer Ernst: Heinrich Schliemann, Selbstbiographie, bis zu seinem Tode vervollständigt, Wiesbaden 1995 Milchhöfer Arthur: Erinnerungen an Heinrich Schliemann, w: Deutsche Rundschau
- 1891 N.N.: Berliner Schicksal 1945-1952. Amtliche Berichte und Dokumente. Berlin
- 1952 Niederland W. G.: Das Schöpferische im Lebenswerk Heinrich Schliemanns im
- Lichte psychoanalytischer Foeschung, w: Carolinum 32, 1966-67 Pausanias: Beschreibung Griechenlands, iibertragen von Ernst Meyer, Zurich 1954 Richter Wolfgang: Heinrich Schliemann. Dokumente seines Lebens, Leipzig 1992 Schade Gunter: Der Berliner Museumsinsel — Zerstörung, Rettung. Wiederaufbau, Berlin 1986 Siebler Michael: Troja — Homer — Schliemann, Mainz 1990 Stoli Heinrich Alexander: Der Traum von Troja, Berlin 1957 Stoli Heinrich Alexander: Abenteuer meines Lebens, Heinrich Schliemann, erzählt, Leipzig 1960 Stoli Heinrich Alexander: Auf den Spuren der Antike, Berlin 1974 Stone Irving: Der grechische Schatz, Munchen 1976 Toland John: Adolf Hitler, Bergisch Gladbach 1977 Trail David A.: Priam's Treasure. Schliemann's Plan to make Duplicates for Illicit Purposes, w: Myth, Scandal and History, Detroit 1986 Trail David A.: Schliemann's "Dream of Troy", w: Classical Journal 81, 1985 Unverzagt Metchthilde: Materialien zur Geschichte der Staatlichen Museums für Vor- und Frühgeschichte..., w: Jahrbuch Preufischer Kulturbesitz XXV, Berlin 1988 Vandenberg Philipp: Auf den Spuren unserer Vergangenheit, Munchen 1977 Vandenberg Philipp: Das versunkene Hellas, Munchen 1984 Virchow Rudolf: Erinnerungen an Schliemann, w: Gartenlaube, Berlin 1891 Weber Shirley H.: Schliemann's First Visit to America 1850-51, Cambridge Mass. 1942 Zengel Eva: Die Geschichte der Schliemann-Sammlungen, w: Das Altertum 36, 1990
- Ciechanowicz J.: Cień Minotaura. Warszawa 1996
- Krawczuk A.: Wojna trojańska. Mit i historia. Warszawa 1963
- Press L.: Budownictwo egejskie. Warszawa 1986
- Press L.: Zycie codzienne na Krecie w państwie króla Minosa. Warszawa 1972
- Rutkowski B.: Sztuka egipska. Warszawa 1973

INDEKS OSOBOWY

- Aaron (bibl.) 92
Abdul Hamid II, sultan 178, 224
Abraham (bibl.) 92
Abu Dahud, herszt rozbójników 92
Achilles (mit.), bohater wojny trojańskiej 127,
171, 172, 190, 201, 233 Adler Friedrich,
profesor historii architektury
w Berlinie 174, 175, 181, 325, 327, 334
Afrodyta (mit.), grecka bogini miłości 129
Agamemnon (mit.), król Myken 124, 128,
129, 131, 270, 279, 289-291, 293, 296-300,
304, 305, 308-310, 312, 313, 316-319, 329,
331, 343, 358-360 Ahmet pasza, gubernator
177, 178, 181 Ajas (mit.), heros grecki, syn
Telamona 129 Ajgistos (mit.), kochanek
Klitajmnesty, morderca Agamemnona 124,
287, 290, 291,
309 Alberyk (mit), król elfów 234
Aleksander I, car 55 Aleksander Wielki
131, 132, 338, 339 Alkinoos (mit.), król
Feaków 116, 117 Allah 177
Amin, urzędnik turecki 223 Anchizes (mit.),
król Dardanos w Troadzie,
ukochany Afrodyty, z którą miał syna Eneasza
268 Andress Carl, nauczyciel z Kalkhorst
86, 106,
268, 283, 331 Andromacha (mit.), żona
Hektora 169, 171,
176, 184, 192, 208, 265, 266, 279, 329, 331,
354, 358, 359, 360, 363 Akinsza
Konstantin, historyk sztuki 34 Antioch III
Wielki, hellenistyczny król Syrii
169 Antoniadēs Georgios, notariusz 360
Antonowa Irina, dyrektor Muzeum Puszkina
w Moskwie 34, 35 Apollo (mit.), grecki
bóg Słońca, patron
sztuki i wróżb 121, 131, 190, 200 Arete
(mit.), żona Alkinoosa 117 Argos (mit.), pies
Odyseusza 122 Arrian (Flavius Arrianus),
historyk grecki
131
- Artemizja, królowa karyjska 121 Asklepios
(mit.), bóg-lekarz, syn Apollina 233
Asproieraka Panagis, młynarz z Itaki 118
Atena (mit.), grecka bogini mądrości 35, 154,
164, 182, 189, 206, 215, 220, 296, 334, 342,
349 Atreus (mit.), król Myken, ojciec
Agamemnona i Menealosa 124, 287, 288, 290,
324
- Babin C, inżynier archeolog 347, 348
Bachmann Ludwig, profesor Uniwersytetu w
Rostocku 139, 140
Bahlmann J. H., kupiec z Waren 69, 81-83,
85, 89, 90, 93
Bakojannis Dora, minister kultury Grecji 34
Bange E. E, profesor 31
Baring, bankier 74
Bartsch, profesor Uniwersytetu w Rostocku
139
Bassi Carlo, hrabia 91
Bassi Giulio, hrabia 91
Beadeker Karl, wydawca przewodników tury-
stycznych 286
Beaurain Polynice, agent 228, 229, 231, 360,
363, 364
Becker Augusta, córka Hansa 331
Becker Hans, kuzyn Henryka Schliemanna,
pastor w Ankershagen 330
Behrens C. D., bankier z Nowego Jorku 61,
62, 65
Behrsing Eleonora 27
Bersarin N. E., generał radziecki 25
Bessow, współnik Henryka Schliemanna 91
Bietokopytow Andriej, pułkownik radziecki
30
Bismarck Otto von, kanclerz Prus 159, 170,
240, 247, 250, 251, 329, 352
Boeckh August 244
Boker George K., ambasador USA w Turcji
227
Bolan John, mieszkaniec Nowego Jorku 141
Born Hermann, główny konserwator Muzeum
w Berlinie 35

Indeks osobowy

- Botticher Ernst, kapitan 317, 318, 340, 341, 344-347, 352
Bóving, armator 42
Bowen, uczony 118
Branes Johannes, gospodarz z Texel 45
Breal Michel, profesor na Sorbonie 104
Brockhaus (Brockhausowie Arnold i Edward), wydawca Henryka Schliemanna 222, 224, 225, 234, 235, 244, 282, 343, 346, 352, 353, 365
Brown, armator 63
Brown John R, ambasador USA w Turcji 179, 181, 188
Brunhilda (mit.), walkiria 233
Brunn Heinrich von, archeolog z Monachium 193, 242
Bruns Gerda 27, 31
Biilow von, baron 232
Bulwer Lytton Edward George sir, pisarz angielski 276
Burnouf Emile, archeolog, profesor Ecole Française 193, 322, 326, 328
Burger, dziadek Henryka Schliemanna 257

Calinskis A., sekretarz Jerzego I 311
Calvert Frank, konsul amerykański w Dardanelach, archeolog-amator 130, 135, 136, 160, 163-165, 169, 173, 175-179, 187, 199, 207-215, 223, 231, 347, 348
Calvert Frederik, brat Franka 223
Calvert James 194
Carter Howard, odkrywca grobowca Tutenchamona 36
Cezar (C. Iulius Caesar), dyktator rzymski 264, 278, 286
Charikleia, mieszkanka Aten 145
Chatzidakis, lekarz z Krety 340
Chatzidakis Joseph, dyrektor muzeum w Heraklionie 336
Chrystus 317
Clay Henry, senator 65
Collier G. F., lekarz 74
Conradi, wikary w Ankershagen 75
Contarini Giovanni, malarz wenecki 28
Conze Alexander, profesor archeologii, dyrektor muzeum w Berlinie 215, 317, 351
Cozzolino, larygolog 354-356
Curtius Ernst, profesor archeologii 170-172, 174-176, 181, 193, 194, 200, 202, 226, 232, 237, 241, 243, 314, 317, 324, 325, 357
Cyceron (M. Tullius Cicero), mówca rzymski 87
Czujkow Wasyli Iwanowicz, generał radziecki 25

Dante Alighieri, poeta 233
Davidson B., bankier 69-72
Davis, senator 65
Declisur, armator 42
Defremery, profesor College de France 104
Demetrios Spiridion, nadzorca wykopaliisk na Hissarliku 194
Demetrios („Bellerophon”), portier w domu Schliemannów 279, 325
Dendrinios Aristides, mieszkaniec Itaki 319
Dendrinios Praxidea, zona Aristidesa 319
Dethier R. A., doktor, dyrektor Muzeum Cesarskiego w Konstantynopolu 208, 227
Deycke E. L., przedsiębiorca z Hamburga 38
Dickens Charles, pisarz angielski 276
Dieulafoy M., archeolog 347
Diodor Sycylijski, historyk 286
Djedved pasza, minister spraw publicznych Turcji 227
Dodwell, uczony 314
Donitz, admirał 25
Dorpfeld Wilhelm, współpracownik Henryka Schliemanna 249, 319, 324-327, 329, 330, 332, 333, 335, 336, 338, 343-346, 350, 356, 357, 361
Douglas, senator 65
Dow Sterling, archeolog 32
Dreyer Herbert, komisaryczny dyrektor generalny Muzeów Berlińskich 32
Drosinos Major, nadzorca 362
Duhn E von, profesor archeologii na uniwersytecie w Heidelbergu 347, 348
Duke, budowniczy okrętów 63
Dżema! pasza, gubernator wojskowy Dardaneli 329

Eddin Beder, urzędnik turecki 329
Edyp (mit.), heros grecki, bohater cyklu tebańskiego 254, 257 Edyp, służący Henryka Schliemanna 326 Egger E., profesor na Sorbonie 104 Eichhorn Herbert, dozorca Muzeum Niemieckiego 26 Eiffel Gustave Alexandre, architekt francuski 341 Eigruber, gauleiter 27 Elektra (mit.), córka Agamemnona i Klitajmnesty 124, 290 Elkan, właściciel firmy spedycyjnej 245 Emin bej, pierwszy skarbnik sultana 178 Eneasza (mit.), Trojańczyk, założyciel Lawinium; bohater *Eneidy* Wergiliusza 268 Engastromenos, rodzina 144, 149, 150, 154, 155

Indeks osobowy

- Engastromenos Georgios, kupiec, teść Henryka Schliemanna 144-146, 151,156,157, 160, 212
- Engastromenos Joannes, brat Zofii Schliemann 362
- Engastromenos Marigo, siostra Zofii Schliemann 160
- Engastromenos Panagios, brat Zofii Schliemann 362
- Engastromenos Wiktoria, teściowa Henryka Schliemanna 144,146,151,156,157,160, 277
- Erlanger Emile, bankier 363
- Eurymedon (mit.), woźnica Agamemnona 124, 309, 313
- Evans Artur, archeolog 234, 251
- Faustyna Młodsza (Annia Galeria Faustina), cesarzowa rzymska, żona M. Aureliusza 186
- Fenelon Francois, pisarz francuski 50
- Fesser, kupiec z Hamburga 38, 40
- Fillmore Miliard, prezydent USA 65, 71, 261
- Fógginsen, pasażer na statku „Oregon” 67
- Forckenbeck Max von, nadburmistrz Berlina 247
- Fritzsche, profesor Uniwersytetu w Rostocku 139
- Frohlich Ida, siostrzenica Minny Meincke, 262
- Froment-Meurice Emile, jubiler z Paryża 230, 231
- Fryderyk III, cesarz 237
- Furtwangler Adolf, profesor archeologii 232
- Wilhelm, syn Adolfa, kompozytor 232
- Gajusz Juliusz Cezar 339
- Gandar, uczony 118
- Gelzer Heinrich, asystent Curtiusa 174
- Gladstone William Ewart, filolog klasyczny, premier Wielkiej Brytanii 236, 237, 277, 358
- Goebbels Joseph, minister propagandy Rzeszy 15, 18-22, 24
- Goebbels Magda, żona Josepha 21, 22
- Goeres Burkhardt, tłumacz 35
- Goethe Johann Wolfgang 27, 251, 261, 276, 357
- Goldmann Klaus, naczelny kustosz Muzeów Państwowych 35
- Goldsmith Oliver, powieściopisarz angielski 49
- Göring Hermann, marszałek Rzeszy 21
- Gousti Polyxene, nauczycielka 145
- Gramont, minister spraw zagranicznych Francji 159
- Grant Ulysses Simpson, generał 110
- Grempler W., tajny radca z Wrocławia 347, 348
- Guizot Guillaume, profesor na Sorbonie 105
- Giinzburg J. E., bankier 360, 363
- Hager Zofia, żona pastora 112
- Hale, senator 65
- Hallof Luiza, tłumaczka 359
- Hamdi-Bej Osman, dyrektor generalny Muzeum Cesarskiego w Konstantynopolu 347, 348
- Harald, syn Magdy Goebbels 22
- Harper bracia, wydawcy z Nowego Jorku 365
- Hatzfeld, hrabia, dyplomata niemiecki 321
- Hauser, właściciel hotelu w Neapolu 354,355
- Hecker Zofia, naręczona Henryka Schliemanna 61, 264
- Hefajstos (mit.), bóg-kowal, władca ognia 209
- Hekabe (mit.), żona Priama 189, 214
- Hekabe, niemiecka bona Schliemannów 279
- Hektor (mit.), syn Priama 129,169, 171,172, 190, 201, 209, 214
- Helena (mit.), królowa Sparty 125, 128, 164, 201
- Helios (mit.), grecki bóg słońca 198, 199, 201, 202, 207, 275
- Hepner Konrad 110
- Hepner Frau, żona Wilhelma 55
- Hepner Wilhelm, pruski konsul generalny 47, 50, 55, 85, 90, 93, 106, 253
- Hera (mit.), bogini grecka, małżonka Zeusa 128, 286, 292, 297, 349
- Herder Johann Gottfried, filozof niemiecki 357
- Herodot z Halikarnasu, historyk grecki 131, 186
- Hirschfeld Gustav, asystent Curtiusa 174, 176
- Hitler Adolf (Führer) 15, 17, 18, 20, 21, 23-25
- Hodge Sydney, malarz portrecista 238
- Hoffmann L. von, bankier 360
- Höfler Joseph, architekt 326
- Hohne, kupiec z St. Petersburga 110
- Holstein Hennig von, rycerz-zbójca z Ankers-hagen 258, 263
- Holtz Emil Ludwig, kupiec z Furstenbergu 134
- Homer, legendarny poeta grecki 36, 49, 86, 88, 116-118, 120, 124-134, 144, 145, 152,

Indeks osobowy

- 164, 165, 167, 172, 183-185, 188, 190-192, 196-201, 203-205, 207, 209, 214, 216, 219, 233, 234, 236, 239, 241, 243, 248, 255, 266, 268-270, 272-276, 279, 286, 287, 289, 290, 294, 298-300, 308, 310, 312, 313, 316, 318-320, 322-330, 332-336, 338, 341, 349, 350, 352, 358 Hoyack L., właściciel kantoru handlowego
46, 47, 50, 55, 253 Hiickstadt Theodor, kupiec z Fiirstenberg
38, 253, 279 Hugo Victor, pisarz francuski
276 Humann Carl, archeolog 343, 344, 347, 348 Humboldt Alexander von, geograf, przyrodnik
i podróżnik niemiecki 244 Hiisni pasza, komendant policji 178 Husseyin Avni pasza, turecki minister wojny 178
- Ifigenia (mit.), córka Agamemnona i Klitajmnestry 290 Iris (mit.), posłanka bogów, bogini tęczy 128 Izaak (bibl.) 92 Izabella II, królowa Hiszpanii 159
- Jakub (bibl.) 92
Jelcyn Borys, prezydent Rosji 34
Jerrers Georg Ludwig, autor *Historii świata dla dzieci* 268 Jerzy I, król Grecji 281, 309, 352 Johnson Andrew, prezydent USA 110
Jokasta, kucharka w domu Schliemannów 326
Jowisz (mit.), naczelný bóg Rzymian, utożsamiany z Zeusem 128 Józef (bibl.) 108
Juczenko, pracownik Henryka Schliemanna 78
- Kaliphournas Georgios, minister spraw publicznych Grecji 226 Kallegas Paulos, zastępca prezesa Narodowego Banku Grecji 364 Kant Immanuel, filozof niemiecki 264, 276 Karol Y cesarz z dynastii Habsburgów, król
Hiszpanii 159 Karsten Hermann, profesor Uniwersytetu
w Rostocku 138, 139 Cassandra (mit.), córka Priama 124, 214, 290, 309, 313 Kekrops (mit.), pierwszy król Aten 299 Kemal pasza, minister w rządzie sultana 181 Kiau Max, dozorca Muzeum Niemieckiego 26, 27
- King James, bankier z Nowego Jorku 65 Klein Charles, poczmistrz z Lagny 168 Kleopatra VII Wielka, królowa Egiptu 145, 339 Klitajmnestra (mit.), żona i morderczyni Agamemnona 124, 193, 202, 289-291, 298, 299, 304, 309 Kochhann, honorowy obywatel Berlina 247 Koliades Konstantin, uczoney 118 Kommodus (L. Aelius Aurelius Commodus Antoninus), cesarz rzymski, syn Marka Aureliusza 186 Kosegarten, autor chrestomatii arabskiej 104 Koumantareos Briseis, chrześniaczka Henryka Schliemanna 361 Kozłów Grigorij, historyk sztuki 34 Ksenofont z Aten, historyk grecki 116 Kserkses, król Persów 131, 186 Kuhnel-Kunze Irena, historyk sztuki 29, 31 Kummel Otto, dyrektor Muzeów Państwowych 26, 27
- Laloudis Jannis, nadzorca wykopaliisk 344
Lammers Hans Heinrich, sekretarz stanu w Kancelarii Rzeszy 15 Laomedon (mit.), król Troi, ojciec Priama 214 Latham John, dyrektor kolei Pireus-Ateny
194 Laue Carl Ernst, muzyk 55, 87, 106 LaueH. 57
Laurent Adolphe, inżynier 194 Laverne Albert, notariusz 359 Layard Henry sir, dyplomata angielski 321 Leake, uczoney 118, 314 Lear (mit.), legendarny król Brytów 233 Lechevalier, podróżnik francuski z XVII w.
126 Leibniz Gottfried Wilhelm, filozof niemiecki
276 Lemoni Kleopatra, wdowa z Aten 149
Lennep St. van, kupiec ze Smyrny 54 Lentz, przyjaciel Henryka Schliemanna 56 Lessing 357
Levśque Ch., profesor College de France 104
Lilienstern, uczoney 118 Lindemann S. H., przedsiębiorca z Hamburga
38 Lipskerow, major 27 Lizymach, król Frygii 204, 206 Lorentz Friedrich, profesor historii 87, 88 Ludwig Emil, pisarz niemiecki 11, 53, 184, 251
- Lyszynowie, rodzina 77, 88, 89, 107, 150

Indeks osobowy

- Mac-Mahon Patrice de, marszałek, później prezydent Francji 165
- Machaon (mit.), lekarz, syn Asklepiosa 233
- MacVeagh Wayne, ambasador USA w Turcji 163, 167, 169, 173
- Mahmud Medim pasza, wielki wezyr 288
- Magnee, kaligraf 48
- Makrys Theodoros, nadzorca wykopalisk na Hissarliku 194
- Malutin M. P. N., kupiec 52
- Marek, kupiec z Hamburga 38, 40
- Marek Antoniusz, triumwir 339
- Marek Aureliusz (M. Aurelius Antoninus Augustus), cesarz rzymski 186
- Marks Karol, filozof niemiecki 268
- Matwiejew Aleksiej, pracownik Henryka Schliemanna 78
- McCulloch, minister finansów USA 110
- Meinke, ojciec Minny 55
- Meinke Ernst 361
- Meinke Minna (zam. Richers), pierwsza miłość Henryka Schliemanna 11, 40, 55-58, 61, 113, 261-264, 266, 267, 331, 361
- Melas Leon, adwokat, mąż Andromachy Schliemann 358
- Mellien, adwokat z Berlina, ojciec Marii 279
- Mellien Maria, opiekunka dzieci Schliemannów 279
- Mellingen von, laryngolog 353
- Menelaos (mit.), brat Agamemnona, król Sparty, mąż pięknej Heleny 129, 335
- Menghin Winfried, profesor 35
- Merck H. J. 89
- Meyer, współpracownik Henryka Schliemanna 79, 80
- Meyer Ernst, historyk 315
- Meyer Nauzykaa, wnuczka T. Htickstadta, chrześniaczka Henryka Schliemanna 279
- Meziers, profesor na Sorbonie 104
- Michel, właściciel hotelu w Szanghaju 99
- Mikołaj I, car 78, 79
- Milchhöfer Arthur, archeolog 254, 304, 305
- Milesses Georgios, minister kultury Grecji 288, 295, 296, 298
- Minerwa (mit.), rzymska bogini mądrości utożsamiana z Ateną 131, 163, 165, 186, 196, 199, 206, 210
- Minos (mit.), król Krety 185, 336
- Minyas (mit.), król Orchomenos 324
- Mojry (mit.), boginie losu 152
- Moltke Helmuth von, feldmarszałek 170, 247
- Montaigne Michel de, pisarz francuski 105
- Moschas Georgios, właściciel hotelu w Naulpii 332
- Muller Max, profesor filologii z Oksfordu, przyjaciel Henryka Schliemanna 237, 243, 244
- Muller O., uczyony 314
- Muller Peter, właściciel lokalu rozrywkowego w Hamburgu 40, 41, 55
- Murray John, wydawca z Londynu 365
- Mutschmann Martin, namiestnik Rzeszy 27
- Napoleon I, cesarz Francuzów 251, 264
- Napoleon III, cesarz Francuzów 159, 165
- Nauzykaa (mit.), córka Alkinoosa 117, 176, 192 Nefretete, królowa egipska 15, 216
- Neoptolemos (mit.), syn Achillesa 214 Neron (Nero Claudius Caesar Germanicus), cesarz rzymski 242 Nestor (mit.), król Pylos, najstarszy uczestnik wojny trojańskiej 128 Newton Charles X, dyrektor British Museum 130, 222, 224, 227, 236 Nibelungowie (mit.), ród karłów — strażników przeklętego skarbu Andwariego 234 Niederhoffer, pastor, ojciec Hermanna 272 Niederhoffer Hermann, czeladnik młynarski 272, 331 Niemann Georg, architekt z Wiednia 345, 348 Nikostratos, poeta grecki 121 Nobel Alfred, uczyony szwedzki, fundator Nagrody Nobla 355
- Oberfeld Emil, armator 17
- Odyseusz (mit.), król Itaki 116, 117, 120, 122, 128, 131, 166, 167, 172, 201, 270, 319, 335
- Odyseusz, syn kowala z Exogi 123 Orestes (mit.), syn Agamemnona i Klitajmnestry 290 Oswald Wilhelm, kupiec z Hamburga 38, 40
- Pallas („wywijająca włócznią”), przydomek bogini Ateny 296, 334, 342, 349-351, 354
- Parki (mit.), boginie losu 267
- Parys (mit.), syn Priama 125, 129, 214, 233, 349
- Patrokles (mit.), przyjaciel Achillesa 233
- Pauzaniusz zw. Periegeta, pisarz grecki 124, 286, 287, 289, 290, 291, 293, 298, 304, 306, 309, 316, 317, 324, 332
- Pechel Martin, szwagier Henryka Schliemanna 147, 361
- Pedro II de Alcantara Dom, cesarz Brazylii 299, 300
- Pelops, służący 282

Indeks osobowy

- Penelopa (mit.), żona Odysseusza 122, 123
Penelopa, żona kowala z Exogi 123
Perykles, malarz z Nauplii 312
Petranka, poeta wioski 104
Phendikles Spyridon, wiceprzewodniczący Towarzystwa Archeologicznego w Atenach 306, 310, 315
Photidas Georgios, pracownik Henryka Schliemanna 195-197, 201, 204, 208, 209
Piat, kierownik budowy kolei Pireus-Lamia 194
Pindar, poeta grecki 90,332
Piotrowski Borys, dyrektor Ermitażu 34
Pitagoras z Samos, filozof i matematyk grecki 276
Plato, radca sprawiedliwości w Kolbergu 163
Pless, mąż Luizy 283
Pless Luiza, młynarka z Userin 283
Pliniusz 116
Plutarch, pisarz grecki 131
Plotnikow Wasilij, agent handlowy 52
Polidor (mit.), syn Priama 214
Polifem (mit.), cyklop 179
Poliksene (mit.), córka Priama 214
Posejdon (mit.), grecki bóg mórz 63,190,200
Prehn H. E, kupiec z Hamburga 38, 40
Priam, ogrodnik Schliemanna 279
Priam (mit.), król Troi 11, 12, 14, 18, 22-24, 26, 28, 29, 32-36, 128, 129, 131, 163-165, 171,172,182,187,190,193,201, 214, 215, 217-219, 221-229, 231, 233, 237, 238, 241, 243-246,248, 250,272, 288, 290,313, 315, 317,321,322,325-328, 331,341,350,351, 354, 355, 358
Projtos (mit.), król Tyrynsu 287
Prokesch, uczoney 314
Ptolemeusze (Lagidzi), dynastia hellenistycznych władców Egiptu 339, 366
Puttkamer, minister kultury Drugiej Rzeszy 247

Quack Eduard, konsul Meklemburgii w Amsterdamie 46

Racine Jean Baptiste, poeta francuski 276
Radowitz Józef Maria von, ambasador niemiecki w Turcji 249
Rafael (Raffaello Santi), malarz wioski 27, 171
Ramzes II, faraon 338
Regely, major sztabu generalnego Prus, mierzniczy 174
Reitsch Hanna, oblatywaczka 22

Rembrandt Harmensz van Rijn, malarz holenderski 27
Renan Ernest, religioznawca 193
Renieres Markos, prezes Narodowego Banku Grecji 364
Richers Fryderyk, mąż Minny Meincke 55, 262
Roeper, profesor Uniwersytetu w Rostocku 139
Roesler, profesor Uniwersytetu w Rostocku 139
Roos 170
Roosevelt Franklin Delano, prezydent USA 18,19
Rothschild, bankier 69, 84
Rubens Peter Paul, malarz flamandzki 27
Rouge Vic. de, wykładowca na Sorbonie 105
Russdorf von, pastor z Ankershagen 256
Rust Bernard, minister nauki, oświaty i wychowania Rzeszy 16
Rust Wilhelm, kolega szkolny Henryka Schliemanna 265, 282, 330, 331, 336, 337, 340
Rutenick, radca sprawiedliwości z Neustrelitz, ojciec Anny 170
Rutenick Anna („Nauzykaa”), opiekunka dzieci Schliemannów 170, 176, 184
Ruźdi pasza, turecki minister sprawiedliwości 178

Safona, poetka grecka 121
Safved pasza, turecki minister szkolnictwa 165, 169, 173, 178, 223, 241
Said pasza, dowódca artylerii 329
Saint-Pierre Jacques-Henri Bernardin de, pisarz francuski 50
Salomon (bibl.) 92
Sarkis Georgios, urzędnik turecki 181
Sartinsky pasza, gubernator Krety 336
Sauckl Fritz, gauleiter 27
Sayce Archibald Henry, profesor orientalista 324, 331, 361, 366
Schade Giinther, dyrektor generalny Muzeów Państwowych w Berlinie 30
Schellberg Helena, znajoma Schliemannów 266
Schiller Friedrich 27, 233, 276
Schirrmacher, profesor Uniwersytetu w Rostocku 139
Schlie Friedrich, dyrektor muzeum w Schweininie 226
Schliemann Adolf, kuzyn Henryka 86, 137-142, 168, 169, 284

Indeks osobowy

- Schliemann Agamemnon, syn Henryka 353, 363, 364
- Schliemann Andromacha (zam. Melas), córka Henryka 169,266
- Schliemann Doris [Dorota] (zam. Petrowsky), siostra Henryka 37, 43, 48, 55, 105, 147, 154, 155, 157, 258, 265, 269, 281, 283, 361
- Schliemann Eliza, siostra Henryka 258, 259, 361
- Schliemann Ernst, ojciec Henryka 39, 82, 255, 257, 259, 260, 267, 284
- Schliemann Friedrich, wuj Henryka 75, 86, 147, 267, 270
- Schliemann Henryk, archeolog passim
- Schliemann Henryk, starszy, zmarły w dzieciństwie brat Henryka 258, 259, 264
- Schliemann Jekatierina Pietrowna (z d. Łyszczina), żona Henryka 56, 77, 78, 84, 85, 88, 89, 93, 95,108, 109,111, 113-116, 136, 137,142-144, 146,147,153,157,161,162, 264-266, 272, 284, 360, 362, 263, 363
- Schliemann Ludwik, brat Henryka 42, 59, 61, 65, 71
- Schliemann Luiza (zam. Pechel), siostra Henryka 113, 258, 259, 361
- Schliemann Luiza Teresa (z d. Burger), matka Henryka 37, 113, 257, 260
- Schliemann Magdalena, ciotka Henryka 85-87, 273
- Schliemann Nadieżda, córka Henryka 84, 93, 111, 137, 147, 359, 360, 362, 363, 365
- Schliemann Natalia, córka Henryka 84, 90, 93, 111, 137
- Schliemann Pawet, brat Henryka 59, 258
- Schliemann Sergiej, syn Henryka 84, 85,111, 137, 272, 359, 360, 362, 363, 365
- Schliemann Wilhelm [?], brat Henryka 361
- Schliemann Wilhelmina, siostra Henryka 37, 43, 48, 55, 94, 258, 281, 269
- Schliemann Zofia, kuzynka Henryka 109, 111-113,
- Schliemann Zofia (z d. Engastromenos), żona Henryka 11, 48, 53, 56, 61, 62, 144-146, 150-153, 155-162, 164, 165, 167, 168-170, 176, 183-185, 192, 202-204, 208-213, 217, 220, 222, 223, 237-239, 245, 247, 250, 263,265, 266, 273, 276-278, 280-282, 289, 291-296,298-301,306,307,309,310, 315,316, 318, 329, 331, 336-338, 344, 354, 356, 358, 360
- Schone Richard, dyrektor naczelny Muzeów Berlińskich 246, 247, 328
- Schrassmann, przewodniczący Izby Deputowanych w Berlinie 248
- Schroder Bernhard Heinrich, kupiec z Amsterdamu 50-55, 59, 60, 63, 80, 95, 172, 173, 280, 285
- Schroder John Henry, bankier z Londynu 51, 109, 172, 173, 284, 362-364
- Schroderowie, kupcy 54
- Schroen von, profesor laryngologii 356
- Schulze, profesor Uniwersytetu w Rostocku 139
- Schwartz Hermann, profesor laryngologii z Halle 353
- Schwarz, murarz z Ankershagen, ojciec Zofii 259
- Schwarz Zofia, kochanka Ernsta Schliemanna 259
- Scott Walter, powieściopisarz angielski 49
- Scribner bracia, wydawcy z Nowego Jorku 365
- Shipley, armator 63
- Sidorów Jewgienij, minister kultury Rosji 34
- Siebrecht, fotograf 203
- Siemonsen Jurg, kapitan statku „Dorothea” 44
- Sienkiewicz Henryk 355, 356
- Sisilas, mierniczy 203
- Smirnow Andriej, dyplomata radziecki 29
- Sofokles, tragediopisarz grecki 87, 88, 104, 150
- Solowiew Stiepan, kupiec rosyjski 92, 93
- Speer Albert, minister Rzeszy 17
- Stamatakis Panajotis, efor 288, 289, 292, 294-296, 300, 301, 304-306, 315, 316
- Starfinger Werner, lekarz wojskowy 23
- Stark B. C, profesor 174
- Steffen Bernhard, major, archeolog i kartograf 345, 348
- Stout, lekarz 68
- Strabon, grecki geograf i historyk 116, 121, 131, 132, 135, 293
- Streit Georg von, syn Stefanosa; uczoney 366
- Streit Stefanos von 364, 366
- Subic Juri, malarz wiedeński 275
- Suhrweier Friedrich, wyrobnik 283
- Sunisios Joannes, szwagier Henryka Schliemanna 362
- Sydow von, generał 20
- Talthybios (mit.), herold Agamemnona 129
- Tantalidzi (mit.), ród wywodzący się od Tantalą 290
- Telamon (mit.), król Salaminy 129
- Telemach (mit.), syn Odyszeusza 52, 123, 333
- Tezeusz (mit.), heros grecki 185

Indeks osobowy

- Thotmes III, faraon 338
- Totstikow W., kierownik oddziału archeologii Muzeum Puszkina w Moskwie 35
- Treister, główny konserwator Muzeum Puszkina w Moskwie 35
- Triantafyllides Aspazja, mieszkanka Vathy 118
- Triantafyllides Helena, mieszkanka Vathy 118
- Tsirogiannis Georgios Barba, nadzorca wykopalisk na Hissarliku 205
- Tukidydes, historyk grecki 116
- Tutenchamon, faraon 14, 36, 216
- Unverzagt Mechthilde, żona Wilhelma 19,24, 32,33
- Unverzagt Wilhelm, profesor, dyrektor Muzeum Historii Sztuki Starożytnej w Berlinie 13-20, 22-26, 29, 32-34
- Venizelos, profesor medycyny 167
- Vick T. F. 281
- Vielhack, kupiec z Hamburga 38, 40
- Vimpos Theokletos, duchowny greckokatolicki 86, 125, 143-146, 148-152, 154, 160
- Virchow Joanna 361
- Virchow Maria 361
- Virchow Rudolf, lekarz, fizjolog i polityk niemiecki 239-241, 243-245, 247, 248, 279, 318, 321-323, 326, 328, 334, 337-339, 341-343, 345-351, 353, 354, 356,357, 361
- Voss Johann Heinrich, tłumacz *Iliady* na język niemiecki 12
- Vretos, adwokat i konsul Grecji w Livorno 161
- Wachenhusen Fritz, wuj Henryka Schliemanna 39, 61, 75, 361
- Wagner Richard, kompozytor 234
- Waldstein Charles, dyrektor American School of Classical Studies 347, 348
- Warncke Conrad, kupiec z Hamburga 38, 40
- Warschauer Robert, bankier z Berlina 344, 363, 364
- Weickert Carl, dyrektor generalny Muzeów Państwowych w Berlinie 30
- Weidling Helmut, generał 24, 25
- Wendt]. F. 42,46
- Wergiliusz, poeta rzymski 283
- West, kapitan parowca „Atlantic” 63
- Wilamowicz-Moellendorf Ulrich von, profesor filologii klasycznej 232, 233
- Wilhelm I, król pruski z dynastii Hohenzollernów, później cesarz Rzeszy Niemieckiej 159, 170, 244, 246, 277, 357
- Wilhelm II, cesarz 251
- Winckelmann 357
- Yföttert Fritz, krawiec i grabarz z Arfuershausen 283, 284
- Wordsworth, uczony 118
- Zaphyropoulos Panago, fotograf ateński 235
- Zaphyros Nikolaos, pracownik Schliemanna 194, 179, 201, 326 Zeus (mit.), naczelny bóg grecki 128, 206, 286, 349 Ziller Ernst, architekt 274-275, 324,352,362 Zygfryd (mit.), starogermański heros, bohater wielu utworów literackich; jedna z głównych postaci cyklu operowego *Pieśń Nibe-lunga* R. Wagnera 234
- Żiwago, hurtownik 53